

JA, SZEKSPIR
JA, BÓG

Publikacja objęta patronatem:



Jak stwierdził Adam Skwarczyński, *„Żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta w głębę życia w jego organizm...”* tą dewizą stara się kierować Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsińskiego.

Nasze działania nie byłyby możliwe bez wsparcia naszych darczyńców.

Dziękujemy!



BOHDAN URBANKOWSKI

**JA, SZEKSPIR
JA, BÓG**

Warszawa 2019

Przy projekcie okładki wykorzystano zdjęcia
z Narodowego Archiwum Cyfrowego

© Copyright by Bohdan Urbankowski, 2019
© Copyright by Wydawnictwo Polskie IHOO

Wydawca – Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego

Wydanie I
Warszawa 2019

ISBN: 978-83-949058-4-2

Skład, druk i oprawa:
Akces, Warszawa

SPIS TREŚCI

PROLOG

Niedokończony manifest	11
----------------------------------	----

GALA I

(Wczesny Gierek, lekka odwilż).	13
Narodziny Henryka Langa	13
Otworzył i przemówił. Wstał	15
Dziennikarz i pinda	21
Wiktor Młodszy	24
Wywiad nocny i szczerzy jak trzepot kapucyna	27
Moje uniwersytety	30
Parę słów o zajęciach praktycznych	38
Czas poezji	42
Małe trzęsienie ziemi	46
Temperamentna Teofila	48
Proces, którego nie było	54
Kłótnie z Hiobem	64

Doświadczanie Hioba	73
Krótką historia Oriona	77
Krótki urlop	78
Konkurs w Zameczku	80
Mikołaj Bakłażan	83
Konrad Dippel von Frankenstein	89
Koniec przypowieści i sprawy Bąka	94
Wreszcie w górę	98
Śladami Szołochowa	99
Młodość Laryssy	103
Radość Laryssy	106
Literatów życie codzienne	109
Hioba dzieje śmiertne i pośmiertne	113
„Mellud” Toruń	117
Następny numer Wiktora	120
Echa toruńskiego balu	123
Namowy Szefa (Kazimierz I)	124
Rozmowa z ciciem i późniejsze refleksje	129
Ballada o Laryssie	130
Artek	143
Kartki z daleka	152
Romeo i Julia z PRL-u	153
Święty Paweł znad Odry (1980)	159
Żywot esbeka pocziwego. (Brudnica o Laryssie. Aresztowanie, Choroszcz)	162
Ich bin ein Teil von jener Kraft, die stets das Böse will und stets das Gute schafft (Przed II galą)	167
Ostatnia taka jesień	170
Show w Auli	175
Drugie spotkanie Białowąsa	182
Przedostatnia runda	186

Nocna rozmowa o nowych listach Apostolskich	189
Ostatnia runda – pogrzeb	193
Rozmowa z cieciami II	196
„Dingo” na tle	198
Aneks podręczny	206
Historia nagle przyspiesza	209
Dokształt ściśle tajny	211
Wycieczka do mauzoleum	218
Spotkania po latach	225
Nocny bal na Wariagu	231
Dzienne i nocne dzieje PRL	242
Żelazo	245
Dobry rok	246
Przesłanie	250
Okrągły Stół i demokratyczne wybory	251
Jeszcze trochę roboty w nadbudowie	254

GALA II

Dwadzieścia lat później	257
(Podrozdział Kubiak – Kanał)	261
(Podrozdział Merkucjo – Marek Śpiewak)	263
(Podrozdział Heller – „Orion”)	265
Lewy prorok nowej etyki	267
Żyrandol jako narzędzie Boga	270
Spotkanie z sobą i Laryssą	275
Od praktyki do teorii	279
Wstęp do poetyki donosu	282
Wstęp do wstępu	283
Wkręt. Wtręt, który trzeba gdzieś wkręcić:	284

Stałe i zmienne wartości utworów kapownicznych	284
Z notatnika	285
Teoria donosu polskiego – ciąg dalszy początek właściwy . . .	286
Tożsamość genologiczna donosów i problemy pokrewne	286
Donos klasyczny	287
Problem prawdy i innych wartości	288
Schron w Dubrowniku (przed 17 IX 93)	290
Stypa w „Złotej Kaczce”	299
List pośmiertny kniazia Obolenskiego	302
Przedostatnie plany. (I) Około 1993	305
Agnostyk okrakiem siedzący	308
Zuzanna i ubecy. Kazimierz	316
Będzie III Gala	318
Z notatnika	327

GALA III 329

Majchrzak – aneks do Langa	341
Powrót	342
Życie po życiu	345
Aneks. Notatki wstępne	349
Kolejny problem z Wiktoorem	356
Bolero piwniczne	359
W pogoni za cieniem	360
Dusza, czyli podręczna biblioteka	364
Mity nas rozszarpią	365
Propozycja nie do odrzucenia	366
Dach	367
Wielki Happening. Projekt Jezus	369
Notatka Hölderlina	373

Wielkoduszność Wiktora w Złotej Kaczce.

Mesjasz Triumfujący	375
Męczący odpoczynek na dachu	378
To był sen, Polacy, nic się nie stało	379
Labirynt	380
Religia III Tysiąclecia Antychryst	387
Sam na dachu	390
Poszukiwania. Pierwsza zagadka	392
Wiadomość od Wiktora	393
Poszukiwania. Wąwóz Małachowskiego	394
Mistrz	397
Powrót	401
Na tropie	403
Noc albo dzień, albo ani to, ani to	405
Wiadomość od ciecia	406
Polowanie na węglik – wspomnienia konsultanta	408
Takie sobie dywagacje przed snem	411
Sen / Rytuał	413
Wyjaśnienie zamachów, wyjaśnienie wyjaśnienia	414
Po pogrzebie	417
Bóg Janus i prezent od Wiktora	418
Nowy zakład Pascala	422
Wszystkie drzwi pozamykane	424
Do notatnika	426
Refleksje po	427
Koniec literatury	428
Uwierzą albo nie	431
Odchodzi Lang, głos zabiera generał Majchrzak	433
Do notatnika	437
Banalny i bardzo zabójczy testament generała: prawda	438
Primo	439

Secundo	441
Tertio	443
Quarto	445
Quinto	447
Do notatnika. Paradoks Hryniewieckiego	449
Dzieło żywe. Nyatapola	449
Pożegnanie z dachem świata	450
Opowieść dla Laryssy	451

ANEKS: NEKROLOGI WARSZAWSKIE 10.10.2000	454
---	-----

TROPY PRAWDZIWE

TROPY FAŁSZYWE...

Posłowie autora	457
Więc parę słów o źródłach, wykopaliskach i dawcach	458
Czekista, który zmarnował wygraną na loterii biografii	459
Najohydniejsza zbrodnia Polski Ludowej	463
Polski Hiob	464
Księżna Zajączek – wcielenie II poprawione	465
Nie tylko trzech wieszczów socjalizmu	467
Popiełuszko czasów bierutowskich	469
Źródła nieco cuchnące	470
Szpicel i handlarz śmiercią, czyli wzór moralny dla lemingów	473
Kilka kropek nad i	475

PROLOG

Niedokończony manifest

Koniec literatury! *Twórczość prawdziwie artystyczna wymaga prawdziwego tworzywa. Przenosi się z nadbudowy w bazę, nadbudowa to zaledwie poligon, prawdziwe dramaty rozegrają się w bazie!*

To tylko początek manifestu. Lecz czy nowej twórczości potrzebne są manifesty? Zwłaszcza kiedy ta twórczość zaczyna się i gaśnie jednocześnie...

Qualis artifex pereo! Bez względu na to, czy śmierć zostanie odczytana jako zabójstwo czy jako samobójstwo – prawdziwym zwycięzcą będzie artysta.

W pierwszym wypadku powstanie opowieść o męczenniku, w drugim nawet o Bogu. Samotnym, lecz na tyle potężnym, na tyle nieśmiertelnym, że nikt go nie mógł zabić.

Musiał uczynić to sam.

Nowa przypowieść o Hiobie, dramat o Szawle przemienionym w Pawła, jak i nowa legenda o miłości młodziutkiej Julii do Romea nie otrzymają Nobla, może nawet nie zostaną dostrzeżone – ale to ja wcieliłem w życie te utwory. Szekspir czy Paweł to byli jałowi

marzyciele – ja sprawilem, że napisana krew pociekła z ran i poplamiała ludzi.

Na marginesie tych poważnych prac – jak Bóg dla radosnego wytchnienia – stworzyłem komedie o Mikołaju Bakłażanie, poecie ludowym, i o przygodach kompozytora Melluda. Nie tylko zabawne, ale także prawdziwe, to był żywy śmiech! Włączyłem się też, ale bardzo dyskretnie, w działania plenerowe typu światło i dźwięk. Tylko co dalej?

Był u nas taki reżyser, który wchodził na scenę z aktorami, był drugi, który grywał epizody we własnych filmach, lecz to wszystko działo się w nadbudowie, w świecie mgły. Gdy zniknęli – ich sztuka zniknęła razem z nimi. Czy naprawdę nie można iść dalej, pomimo śmierci?

Ars longa, vita brevis.

Parę dni temu odbyła się gala, której byłem głównym bohaterem. Sam im to podpowiedziałem – wiedziałem, że nie odmówią. Jak za pierwszym i jak za drugim razem, bo była to już trzecia taka uroczystość w moim życiu. Nie mówiono „gala pożegnalna”, nie mówiono: „ostatnia” – choć słowa te unosiły się w powietrzu jak przekleństwo. Laudatorzy, rozprawiający o zwieńczeniu mojej twórczości, tak jak się mówi o przywaleniu jej wieńcem żałobnym – nie wiedzieli, jak bardzo się mylą. Lecz zanim powiem o tej ostatniej gali – najpierw powiem o dwóch poprzednich. I o tym, co było jeszcze wcześniej. Podróż w głąb czasu też nie byle komu jest dostępna.

GALA I

(Wczesny Gierek, lekka odwilż)

Narodziny Henryka Langa

Wtedy, ponad ćwierć wieku temu, wydałem książkę *Człowiek wobec luster*. To był spóźniony debiut, bo późno, nazbyt późno wpadłem na swój pomysł. Dlatego Henryk Lang narodził się jako pisarz od razu dojrzały, by nie powiedzieć: stary, trochę zgorzkniały, trochę ironiczny – jakby się upił na smutno.

Promocja książki odbyła się w najbardziej prestiżowym miejscu Polski, 20 metrów w linii powietrznej od Kolumny Zygmunta – w warszawskim Domu Literatury. Trochę staroświeckiej godności i coś starczego. Na ścianach twarze Starych Patronów: Mickiewicz i Słowacki, Sienkiewicz i Żeromski... XIX – wieczne, zaściankowe portrety wykorzystujące jarmarczny chwyt: gdziekolwiek jesteś, masz wrażenie, że na ciebie patrzą. Mickiewicz, Sienkiewicz... Dziś już nie patrzą, ale wtedy patrzyli – nawet gdy wyszedłeś na schody, nawet gdy wybiegłeś na ulicę...

Do dziś pamiętam każdy szczegół tamtej gali, także każde niedociągnięcie. Zapomniano włączyć światło i zmierzch nadawał lu-

dziom i sprzętom szarą, trupią barwę, wyostrzał rysy upodabniając twarze do greckich masek. Dało się czuć lekki odór jakby rozkładającego się, zielonkawego mięsa.

Pamiętam nawet, gdzie kto siedział.

W środku pierwszego rzędu wiceprezes Putrament, miejsca po bokach wolne, widać nikogo nie zaprosił. Za dziurami – dwóch błaznów władcy: Żulik i Żółcik, którzy się wszystkim mylili, dalej w stronę wyjścia – poeta Nawrotek w czarnym swetrze egzystencjalisty do kolan, za nim mistyk prowincjonalny Kuryłko – niby siedzi, a jakby się unaszał. Bliżej okna zaś, żeby łatwiej wejść po schodkach na podium, zasiedli doktor Lewy z Janem Krzysztofem Brudnicą – jeszcze chwila i będą wygłaszać laudacje. Nie mogli mi odmówić...

A w centrum sali i świata piękna wtedy Laryssa, której wielki secesyjny kapelusz zapewne zasłaniał widok wszystkim następnym rzędom – na wszystko. A poprzednim – na wszystko, oprócz jej twarzy.

Zbiegiem okoliczności usiedli obok siebie Kubiak, Śpiewak i Heller – nie wiedzą, że błahy przypadek jest echem poważniejszych powiązań i przeznaczeń. *Ordo et connexio rerum idem est ac ordo et connexio idearum*. Seneka.

Mignął mi także Wiktor – niewiele o nim wiedziałem, nawet ile ma lat, ciągle zapominałem zajrzeć do jego teczek. Miał twarz ładną, ale jakąś krzywą, jakby zlepioną z prawie białych i z bardziej różowych kawałków. Skutki odmrożenia, czy co? Kiedyś zwrócił moją uwagę dziewczęco delikatnymi wierszami, to ułatwiło nam nawiązanie kontaktu.

W dalszych rzędach siedzieli znani i mniej znani aktywiści Związku – wszyscy jeszcze żywi. Koźniewski, Kuśniewicz, Kapuściński – usiedli razem, czyżby wiedzieli, że nie tylko pierwsza li-

tera ich łączy? Nawet Kabatc, nawet Kajtoch z Krakowa i Kurylak z Przemyśla! Cała elita tych na „K”! Tych na „G” też jest paru: Gises, Grynberg, Gaworski, Garlicki; na „D” – Drawicz z Damiętkim, ale ci siedzą osobno, a potem to już chaos, czyli kosmiczny burdel: Lewin i Stiller, Passent i Toeplitz, Safjan i Minkowski, Wiczorkowski, Piwowski i Szczypiorski, Sadkowski i średniej klasy tłumacz z ambicjami poety, który sam siebie kazał nazywać „Hölderlin”. Już wtedy nie nosił krawata i lansował angielskie marynarki w kratę. Jest także uzdolniona młodzież: Wawrzekiewicz, Boni, Zaniewski, Żuliński, Nawrocki, Huzik, Walczak – elyta!

A wszyscy zaszczycający mnie!

Pozytywne recenzje zapewnione!

Otworzył i przemówił. Wstał

Otworzył wiceprezes Putrament. Może literacko nie ta ranga, co nieobecny prezes Związku Literatów Iwaszkiewicz, ale jako człowiek parasol – znacznie lepszy. Bo Iwaszkiewicz wprawdzie pisał wiersze tak wielkie jak *Plejady* (to podwójnie udane porównanie, nieprawdaż?) – ale Putrament był szefem POP, a parasol miał w Moskwie, do której jeździł i z której – co trudniejsze – powracał.

Początek gali był dziwny. Putrament może odruchowo, może z oburzeniem, powitał zebranych zwrotem *Towarzysze i towarzyszki* – i złapał się teatralnie za usta. Jakby z czymś się niechcący zdradził, z czegoś żartował, a może coś groźnego tym żartem oswajał. Było to na tyle wieloznaczne, że zdezorientowana publiczność zaczęła klaszczeć – i mówca miał już ją w garści. Złapał ją także dla mnie.

Kiedy ucichły brawa, Putrament z namaszczeniem stwierdził, że przodującą dziedziną twórczości staje się nie proza, nie poezja,

a krytyka. I taka będzie literatura przyszłości, co potwierdza znakomity debiut Langa – tak powiedział! Mimowolnie zdradził się, że nie wierzy we współczesną literaturę, ale wątku tego nie rozwijał.

Skłonił się w moją stronę i oddał głos prelegentom.

Pierwszy wzniosł się i przemówił doktor Leopold Lewy. To była lekcja wygłaszania referatów! Zaczął od zacytowania Althussera, co zabrzmiało jak deklaracja marksizmu – ale takiego wytwornego, który do wersji radzieckiej miał się tak, jak miłość francuska do chamskiego wydupczenia w piwnicy. Tej na Łubiance. Potem wspomniął z uznaniem o uchwałach ostatniego Plenum Partii i dopiero pochwalił moją książkę. Nazwał ją prekursorską mapą grup młodoliterackich w Polsce – i pierwszy zaczął klaskać (oklaski). Potem przestał i kontynuował wypowiedź:

– Na Zachodzie młodzi poeci nikogo nie obchodzą, w krajach socjalistycznych ich twórczość obserwuje się czujnie i troskliwie. (Znów oklaski). To pierwsza taka mapa w dziejach historii literatury. (Burzliwe oklaski). Dzięki mapie poezji Langa można góry odróżnić od nizin i pustyń, poznać dopływy i wpływy, określić bezpośrednie i pośrednie połączenia grup, eksploatowane i lekceważone pokłady tradycji. (Cisza. Ostatnią pochwałą mówca wzbudził niepokój, bo mimowolnie ostrzegł, że z tej mapy można wyczytać, kto do jakiej tradycji nawiązuje, kto podpadł, a kto dopiero podpadnie. Oczywiście, że tak być może, ale o tym nie należy rozgadywać).

Mówiąc o mojej książce, Lewy załatwiał także swoje sprawy, rozdawał razy i pochwały, przedstawiał siebie jako strażnika doktryny. Jako niesłuszny potępiony został ruch Nowego Romantyzmu – to jest romantyzm anarchiczny, a właściwie – Lewy zawiesił głos jak topór nad głowami obecnych – a właściwie to nacjonalizm! Tak,

towarzysze! Upiory sanacji wracają! – krzyczał Lewy, wznosząc po proletariacku kułak w górę. Ten gest przypominał hitlerowski salut, ale był bardziej chamski, bardziej z cuchnącego przedmieścia.

Jako słusznych doktor Lewy pochwalił krakowskich „marksistów siódmego pokolenia”, rzucił nawet nazwiska: Zagajewski, Kornhauser... Po chwili dorzucił Barańczaka z Poznania, który ogłosił marksistowski romantyzm dialektyczny i bohatersko zapisał się do partii.

Nie wiem, a właściwie wtedy nie wiedziałem, dlaczego nagle z krzesła zerwał się krytyk Tomburek i krzyżując historycznie *ad vocem!* – zaczął niby przekupka zachwalać marksistowskich poetów ze stolicy. Taki Jurek Koperski, czyli „Leszin”, to nawet próbował przybrać pseudo „Lenin”, tylko jakiś aparatczyk mu zabronił. Pseudo „Leszin” to wynik zgniłego kompromisu. Słuszna jest też – przekonywał Tomburek – cała warszawska grupa „Orientacja” – bo orientować można się tylko na wschód, towarzysze! Jako rodzaj gościńca dla naszego przyjaciela Langa, chciałbym teraz przeczytać ich wiersze...

I w tym momencie mogłem podziwiać towarzysza Lewego w kontrnatarciu. Przerwał Tomburkowi... bijąc brawo. Ale drugi raz imprezy mu nie oddał!

Gdy oklaski zaczęły cuchnąć... Przepraszam, taki błąd freudowski. Więc: gdy zaczęły cichnąć – Lewy przyssał się do mikrofonu i jakby nigdy nic wrócił do referatu. O Tomburku nie wspomniał, za to niemal odśpiewał cytat z Barańczakowej książki *Nieufni i zadufani*, że marksizm najdoskonalszym romantyzmem, a Marks największym z romantyków jest – i znowu zaczął bić brawo. Tym razem nikt mu nie chciał przerwać – nikt, z wyjątkiem mnie!

Bo w mojej książce była właśnie polemika z Barańczakiem. Dla poznańskiego marksisty Marks był największym z romantyków,

dla mnie największym myślicielem, bo odrzucił romantyzm w je-
sień i dupę średniowiecza, a zastąpił socjalizmem naukowym. Na-
ukowym – podkreślam. Tylko piękny rozum stworzy piękny świat.
Piękny – to znaczy jasny, bez cieni napawających niepewnością,
bez irracjonalizmu łapiącego nagle za gardło. Już zrywałem się,
by o tym przypomnieć – lecz doktor Lewy wbił mnie wzrokiem
w krzesło. Usiadłem i pomyślałem, że może on ma rację – nie wol-
no psuć imprezy sprostowaniami...

...Lewy tymczasem skończył i z wolna podszedł do mnie – jakoś
tanecznie, że wyglądało to tak, jakbym ja podszedł do niego.

– Uratowałem ci tyłek – wymamrotał. – Partia lansuje Barań-
czaka, to ostatnia nadzieja czerwonych, a ty chcesz się wdawać
w pyskówki? Samobójca jesteś?! – dokończył, podając mi rękę. Za-
wahałem się chwilę, ale podałem mu rękę, na koniec ucałowaliśmy
się z dubeltówki.

A potem usiadł obok łaskawie uśmiechniętego Putramenta.

Dopiero teraz zrozumiałem, czego naprawdę byłem świadkiem.
Lewy po raz kolejny zlikwidował śmiertelne zagrożenie: odparł
atak młodych warszawskich marksistów! Lewy montuje swój gang
i właśnie zaprosił mnie do współpracy. Liczy też na poparcie mark-
sistów prowincjonalnych, liczy na Kraków, na Poznań, to znaczy,
że w Warszawie nie czuje się dość pewnie. Ale ma silne poparcie
w Komitecie i nie tylko. O związkach Putramenta z NKWD już mó-
wiłem. A w każdym razie dawałem do zrozumienia.

Czy ja naprawdę chcę być z nimi wszystkimi?

Tak!

Jeśli życie literackie to burdel – trzeba zostać największą kurwą.

To znaczy, że czekają mnie lata nauki. Bo kurewstwo warszaw-
skich literatów, to wiedza i sztuka jednocześnie, nie wystarczy po
prostu dawać dupy.

Następnie na mównicę wskoczył krytyk Jan Krzysztof Brudnica. Na szyi miał pedalski szaliczek, dostał brawa zanim usta otworzył.

Wiem, już wtedy wiedziałem, że moja książka była od Sasa do Lasa. Poezja i taternicy, wernisaż i szkolna stołówka, plotki z obozu wędrownego jako analiza podkultury studenckiej, donosy z kabaretów jako sondaże nastrojów elity PRL, a nawet – to była nowość! – fantastyka naukowa jako przemysł wrogich programów społecznych. Prywatnie Jan Krzysztof stwierdził, że w mojej książce jest jak w mojej głowie, a w głowie – jak w żydowskim sklepiku: szwarc, mydło i powidło. Ale publicznie potrafił zamienić wadę w zaletę. Oświadczył, że „w aspekcie metodologicznym” książka Langa (czyli moja!) *Człowiek pośród luster* reprezentuje awangardowy polimetodyzm. Na wszelki wypadek zaznaczył: *polimetydyzm marksistowski* – i znowu dostał brawa.

Przeczekawszy oklaski Jan Krzysztof śladem Lewego też zaczął rozdawać pochwały i kopniaki. Najpierw uderzył w literacką opozycję. Tak jak to było w mojej książce: walił alfabetycznie: Ambroziewicz z Płocka, Bierezin i Biskupski z Łodzi, w środku jakaś prowincja – Kawałko z Lublina, Kupiszewski z Chorzela, Roszko z Ciechanowa – miałem meldunki o ich pobytach w Warszawie, a na koniec stolica: Berowska, Kmicic, Kowal, Mocarski, Nawrocki, Pudełkiewicz, Tomaszewicz – wyliczanka była znacznie dłuższa, ja też nie wszystkich pamiętałem. Tym „nieszusznym” Jan Krzysztof przeciwstawił trzech słusznych, „trzech przyszlých wieszczów nowego socrealizmu”. Z samego dna mojej książki wyłowił dwóch poetów partyjnych: Kubiaka i Śpiewaka, oraz jednego paksowca: Hellera.

Litanie pochwał zaczął od Jana Kubiaka. Nazwisko wymówił „Jankubiak”, jakby to była całość. Przez lata mieliśmy problem z tłącym w niewygaszonych mózgach kultem Powstania Warszawskiego.

Nawet uzależniony od alkoholu Broniewski nie chciał pisać przeciw Powstaniu – narzekał Brudnica. Ponad ćwierć wieku trzeba było czekać, żeby ktoś pokazał absurdalność tego kultu! I zrobił to kolega Jan Kubiak w wierszu *Kanał*. (Oklaski). To świetny symbol, groteskowy i pogardliwy, kojarzy się z wpuszczeniem kogoś w kanał, a dodatkowo przywołuje film Wajdy (znów razem), który też zwalczał akowską legendę i martyrologię. Kubiak skanalizował Powstanie! (Brudnica wyczekał, aż sala pojęła dowcip i odwaliła oklaski). Groteskowym bohaterem wiersza Kubiaka jest ranny powstaniec, który z grupą kumpli i kumpelą nawiewa przed Niemcami. Trafia na ślepy kanał, nie ma sił by zawrócić, liczy naboje, czy dla wszystkich wystarczy. A gdzieś tam w garsonierze ozdobionej portretami przodków i Piłsudskim sanacyjny oficer liczy srebrniki. Tak zestawione obrazy nie wymagają komentarza, same za siebie mówią. To nazywa się jukstapozycja – dodał takim tonem, jakby rzucił perłę przed wieprze.

Drugim poetą, którego Jan Krzysztof pochwalił, zwłaszcza za proletariacki internacjonalizm, był Marek Śpiewak. Młody, zawsze gotowy, z jakiegoś Muchosrańska dostał się do Warszawy na studia i za wszelką cenę chciał tu zostać. W książce przywołałem jakiś jego wiersz o tematyce żydowskiej, chyba nawet nie z druku, a z maszynopisu. Wręczył mi go Jan Kubiak, na dowód że Śpiewak jest krypto-Żydem. Bohaterką wiersza była „piękna jak Pieśń Salomona o miłości” dziewczyna, która uciekła z getta. Zaprasza ją polski student, który się w niej od dawna podkochuje i gdy zapada wieczór, chce skorzystać z okazji. „Zrozpaczona jak rzeki Babilonu” Żydówka odtrąca napalonego studenta i wraca do płonącego getta. Wiersz zamieściłem w swojej książce, bez komentarzy, nawet bez entuzjazmu, nie pisałem, czy Śpiewak to Żyd, potrzebny był mi jakiś cytat obsrywający Polaka katolika, maszynopis Śpiewaka trafił mi się jak ślepemu psu... Jan Krzysztof jeszcze bardziej

go nadmuchał, przedstawiając jako godny naśladowania przykład internacjonalizmu w poezji:

– Moim zdaniem – Brudnica mówił tak głośno, jakby chciał, by słyszano go aż w KC – wiersz o polskim szmalcowniku, wychowanku sanacyjnej uczelni i o ubogiej Żydówce powinien trafić do antologii poezji współczesnej. Myślę, że taką antologię powinien układać Henryk Lang – zakończył Jan Krzysztof.

Pochwaliwszy jeszcze Karola Hellera za przeciwstawianie racji humanistycznych religijnym, Brudnica spointował referat oklaskami dla mojej książki. Tak! Dosłownie! Po prostu zaczął walić brawo i stała się rzecz piękna: i Lewy, i Nawrotek z Kuryłką i wszyscy inni wstali i też zaczęli bić brawo. Wstali wszyscy na „K” – Koźniewski, Kuśniewicz, Kapuś-ciński... walili ci na „G” – Gisges, Grynberg, Gąsiorowski, Garlicki, na „D” – Drawicz z Damięckim i wszyscy, wszyscy: Lewin i Stiller, Passent i Toeplitz, Wiczorkowski i Sadkowski, Piwowski i Szczypiorski, Safjan i Minkowski też, też, też. Na koniec wstała i waliła nasza uzdolniona młodzież: Wawrzkievicz, Zaniewski, Żuliński, Nawrocki, Kurylak, Walczak, Boni, Żółciński –

Więcej niż pół sali było moje! Czy kierował nimi jakiś lęk stadny? Czy nawzajem coś o sobie wiedzieli? Każdy z nich klaskał, klaskał i nie chciał być tym, który pierwszy przestanie... Więc oklaski nie milkły.

I takie były narodziny Langa.

Dziennikarz i pinda

Wysłuchawszy tych lizusowskich pochwał, strzepnąwszy gestem ręki wciąż oblepiające mnie oklaski, wygłosiłem wylizaną odpowiedź: zapowiedziałem druk następnej książki (słowa tytułu na

razie trzymam przy piersiach, jak karty) i wszystkich swoich gości zaprosiłem na bankiet. Dopiero wtedy – wychodząc – ktoś zapalił światło. Nadal było trochę niesamowicie i wciąż czymś delikatnie cuchnęło.

Impreza odbywała się w sali Zarządu Głównego. Wjechały nawet jakieś ciepłe dania, ale się nie załapałem. Udzielałem wywiadów – pierwszych w życiu. Dziennikarz i pinda. Odpowiadałem najlepiej jak umiałem, z biciem serca. Dziennikarz ze „Sztandaru” pyta o inspiracje – ja nawijam o Szołochowie, a ze stołu znikają dania ciepłe, zwłaszcza bigos.

Blond pinda z organu KC „Polityka” wypytuje o drogę twórczą – ja, że zacząłem wcześniej, ale debiutowałem późno. Najsamopierw wspominałem doświadczenia własne, ale wiecie, towarzyszeńko, to było małe i egocentryczne, dopiero jak sięgnąłem po doświadczenia innych ludzi... – a inni już przy stole sięgają po pierożki, szlag trafia kanapki z tatem, jeszcze chwila a nawet kabanosy pójda się dupczyć. I poszły! Pierdolę taką sławę.

Gdy wyrwałem się blond pindzie z „Polityki”, na stole były już tylko słone paluszki i poeta Karasek, który kończył przemówienie. Nie wiem, czy za, czy przeciw, on tak zawsze. Potem przyszli trzej przyszli wieszcz socrealizmu – Kubiak, Śpiewak i Karolek Heller. Odsunęli precz stół z Karaskiem i zaczęli tańczyć trojaka. Młodzieńczego, zadzierzystego, bezczelnego, takiego, który zmiata ze swej drogi ludzi a nawet przestrzeń. Po nich zostanie nicość.

Wciąż młoda mimo wieku pani Krysia, sekretarka, donosiła butelki wódki i rozkręcał się kosmiczny ochłaj. Pierwszy, w którym wziąłem udział, i to tak, że postanowiłem nie wracać do domu, tylko zostać w jednym z pokoików hotelowych na górze. W domu i tak nikt nie czekał, a tu mogło jeszcze być wesoło.

I było.

Laryssa ogłosiła turniej jednego wiersza – ze względu na nagrody poszliśmy do pokoju. Pierwsza nagroda numerek z Laryssą w dowolnej pozycji, druga – numerki z Laryssą, ale pozycję ona dyktuje.

– A trzecia? – Nie wytrzymał Hölderlin.

– Będą dwie trzecie – poinformowała Laryssa. – Ja idę spać, a laureaci pieprzą się między sobą. Z nagrodami pocieszenia nie sypiam!

Po chwili byliśmy w pokoju i natychmiast zaczął się turniej. Czytano głównie erotyki, tylko Karasek czytał wiersz o Starym Marksie. Nagroda pocieszenia murowana. Drugą pewnie dostanie Kornhauser za wierszyk o tym, jak Lenin dmuchał Różę Luksemburg, a Lenin nie mógł się mylić. Oczywiście nie wziąłem w takim turnieju udziału. Byłem wolny, żony przecież nie miałem, ale po co mają wiedzieć w resorcie, że – jak mówił rosyjski poeta – *u mienia chuj na dusze!* W pokoju były dwa łóżka – wałęsałem się na tym drugim w ubraniu, czekając na wynik zawodów – niestety natychmiast zasnąłem.

Śniło mi się, że leżę na plaży, siada na mnie jakaś mała dziewczynka – delikatnie jakby całowała, nie wiem kto, twarz ma przesłoniętą włosami, powoli, jak na zwolnionym filmie mnie ujeżdża, jest mi dobrze a jednocześnie wiem, że nie wolno, że to dziecko, robi się coraz ciemniej, plaża zmienia się w hotelowy pokój, lecz nadal ktoś mnie pieści, a ja wciąż nie wiem kto, z daleka słyszę zachrypnięty głos Laryssy: wygoniłam ich, ty jesteś moją nagrodą, ja twoją, przecież na to czekałeś, próbuję ją zsunąć z siebie, ona mnie głaszcze po twarzy: nie bój się jesteśmy sami, nie bój się choć kilka minut w życiu, znów mnie głaszcze, w ciemności coraz wyraźniej widzę jej twarz – jakby co chwilę, coraz szybciej, zapalało się i gaśło światło, w tym świetle jest coraz starsza, twarz się rozpada, ro-

piejące dziury zamiast oczu, jeszcze próbuję ją zepchnąć, ona się śmieje, lecz śmiech przechodzi w krzyk, wszystko jest przerażająco jasne, nigdy nie widziałem tak wyraźnie, tak boleśnie: pościel, stół, wazon, wszystko wyrzeźbione w białym ogniu, jej ciało, nie przypuszczałem, że jest takie jasne, jej ciało, gdybym wiedział... Wszystko powoli gaśnie, znowu leżę w ciemności, Laryssy nie ma, chyba znów zasnąłem.

Wiktor Młodszy

Jeśli zasnąłem, to znów na bardzo krótko. Usłyszałem kroki za drzwiami, potem stukanie. Nie zamykałem – może to zrobiła Laryssa, może wyszła, chociaż wyraźnie czułem, że w pokoju jeszcze ktoś jest, z łóżka pod ścianą dochodziło jakby mruczenie kota, dużego kota, prawda – damy nie chrapia... W końcu wstałem i wściekły otworzyłem drzwi. Na progu stał Wiktor.

– Junior? Co ty, kurwa, po nocy... I jak ten cieć mógł cię wpuścić. No gadaj junior!

– Mógłbyś choć raz po imieniu. Musimy porozmawiać, nie?

– O tej porze? Czyś się z chujem na łby pozamieniał?

– A kiedy? Jutro przy ludziach?

– To czego, kurwa, chcesz?

– Przecież wiesz! Jak mogłeś coś takiego zrobić?

– Co niby?

– Nie udawaj? Przecież mnie okradłeś, kapitan, nie?

Nie lubię tej jego małomiasteczkowej *prywyczki*, tego „nie” zamieniające każdą myśl w głupawe pytanie, ale jeszcze mówię stanowczo i spokojnie:

– Miałem prawo.

– Ale nie do upubliczniania słowo w słowo. A ty to zrobiłeś, mogę przypomnieć, bo ja to wynotowałem z twojej niby książki:

Dnia 15 listopada o godzinie 18.00, w Klubie imienia Pietrzaka odbyło się spotkanie dyskusyjne na temat „Wątki światopoglądowe poezji XXX-lecia”, półtoragodzinny referat wygłosił...

– Pamiętam, pamiętam, to było pierwsze twoje zadanie dla nas, majstersztyk!

– Ale to przecież sam kapitan potwierdzasz, że to moje! To ja przeprowadziłem granicę między marksistami a nacjonalistami w młodej literaturze, to ja ujawniłem, że dla nich poezja to zasłona dymna, im chodzi o politykę, to ja przyniosłem wiersz Kubiaka o powstańcach, jeszcze nie był drukowany...

– Gównu tam wiesz, to myśmy mu podpowiedzieli...

– No może podpucha nie była moja, ale konkretny tekst, do tego w rękopisie... On mi go podarował po przyjaźni, nie? Kiedy tylko wiersz powstał...

– Choćby nawet nie powstał, i tak my mamy prawo zacytować.

– Nie macie! Cała ta niby mapa poezji to moje!

– List należy do adresata, zwłaszcza list miłosny. A chyba nie zaprzeczysz, że twoje listy do SB aż pękają od miłości. Nie tylko twoje, także Aleksandra, także Jana, także innych. Wy mi znosicie donosy, a ja to przetwarzam, to dla mnie pokarm.

– To już wiem, na czym polega Langa metoda twórcza, kapitan. My piszemy, a dla kogoś to pokarm...

– Dla mnie tak, dla mnie cały ty jesteś pokarm! Ale pamiętaj gnojku, że ptak nie jest ani tym, co zje, ani tym, co wysra. To ptak fruwa, nie pokarm! Pierwsze twoje donosy to były niejadalne śmiecie, prosto szajs! Jeśli piszesz o nielegalnym spotkaniu i nie potrafisz wykrztusić więcej niż trzy nazwiska, to ja wiem, że środowiska nie znasz, a jeżeli próbujesz pominąć jakichś koleżków, to pamiętaj, że na tej samej imprezie są jeszcze inni moi ludzie, oni napiszą co trze-

ba a ty dostaniesz kopa. Powiedzieć ci, dlaczego mimo tylu wpadek dałem ci szansę? Ty jesteś gorszy poeta od tych nacjonalistów i dlatego ich tak nienawidzisz. I dlatego cię przyjęliśmy. Bo innych trzeba dopiero tej nienawiści uczyć. A ty przychodzisz do nas napompowany nienawiścią, wycieka ci z nosa i z oczu i z pomiędzy zębów.

– No ja jestem wdzięczny, kapitan... Ale co innego współpraca, a co innego robienie partnera w wała, nie?

– Ty, kurwa, znowu swoje! Jakim prawem w ogóle masz te pierdolone kopie? – wrzasnąłem, wyszarpując mu papiery z ręki. – My walimy pieczętkę „tajne” a ty robisz odpisy? Za samo to mogę cię wsadzić do pierdla!

– Ale to moje teksty...

– Nie teksty, tylko donosy. Przepisałem fragmenty donosów, biedny chuju. Jeśli chcesz, ogłoszę to w prasie, dodam, że dostałeś wynagrodzenie w naturze: praca, mieszkanie spółdzielcze pod Warszawą, chcesz tego? Jutro dam takie oświadczenie, a teraz spierdalaj.

– Nie, ja przepraszam... Pan kapitan...

– Przepraszasz?

– Tak, ja wypilem, myślałem, że może coś utarguję, ja nie chciałem, żeby to opisać, tylko może jakiś awans w redakcji, albo może talon na samochód. Auuu, puść nos kapitan, to boli...

– Ty gnido, ty przyszedłeś szantażować mnie? Mnie szantażować? Ty możesz mi buty czyścić, ty mi możesz...

– Jak pan kapitan chce, to ja mogę

– Powiem ci co mi możesz, możesz mi obciągnąć!

– Ależ, pan kapitan!

– Obciągaj!

– Ale...

– Traktuj to jak część dzisiejszej zabawy, to ci łatwiej pójdzie, udawaj pijanego dla zachowania twarzy, zamknij nawet oczy i ob-

ciągaj, jak nie, to ja cię, kurwa, załatwię, rodzina się dowie, w wydawnictwie się dowiedzą, słyszałem, że się niedawno ożeniłeś.

– Ależ nie trzeba, dziś święto, wszyscy się bawią, jeśli pan kapitan to lubi, bo ja lubię, żona mi czasem, nie wiem, czy będę tak dobry jak żona.

– Jeśli nie, to mi ją przyprowadzisz!

– Ależ nie, ja już! pan kapitan pozwoli.

Ten gad rzeczywiście się brał do obciągania. Odepchnąłem go, że upadł na podłogę.

– Won, szmato.

– Ależ to pan kapitan chciał, nie?

– Boże, jakie kurwy, jaki kurewski świat. Wstawaj, nie, lepiej kładź się do tamtego łóżka, tam leży taka jak ty, możesz ją wydupczyć.

– Nie, gdzieżbym śmiał po panu kapitanie.

– Ależ tak, ależ tak! – Rozległ się gardłowy, ale dźwięczny głos. Ja wszystko słyszę. Należy mi się jeszcze druga nagroda!

Wybiegłem z pokoju. Padał deszcz, ale postój był dosłownie o parę metrów. Dopiero w taksówce zorientowałem się, że mam otwarty rozpokreś, ale co mnie jakiś szoferak.

Położyłem się, lecz nie mogłem zasnąć. Byłem wkurwiony. I z okazji debiutu robiłem wreszcie uczciwy wywiad z samym sobą.

Wywiad nocny i szczerzy jak trzepot kapucyna

Sen jest przyzwyczajaniem się do śmierci. Nie wiem komu ukradłem tę myśl, ani po co. Bo do trzeciej na pewno nie zasnę, nie będę się do niczego przyzwyczajał ani snami kolorowymi, ani sna-

mi pozbawionymi barw, a nawet ludzi. Sen pozbawiony snu, jak śmierć – śmierci.

Mam więc przed sobą sporo czasu i mogę odpowiedzieć szczerze na wszystkie pytania. Jakby znów stali przede mną dziennikarz i pinda.

Na początek oboje was zaskoczę: nie nazywam się Lang.

Nazywam się Majchrzak. Ale w tym środowisku miałem działać pod przykrywką, nie jako ja – to po pierwsze. Wyjaśnił mi to Szefer, gdy przerzucał mnie na front literacki. Po drugie: „Majchrzak” to nie jest dobre nazwisko dla krytyków, zwłaszcza radiowych – chrzęści przy wymawianiu i wywołuje podświadomy, dwutaktowy odruch wymiotny. Imię też nie jest lepsze. Po trzecie – nie jest dobre handlowo, czyli dla cudzoziemców. Nie będą mogli wykrztusić mojego nazwiska i dadzą nagrodę czy stypendium komuś, kto nazywa się prosto i krótko, na przykład Bang, albo podwójnie krótko Big Bang. Wyjaśnił mi to Leopold, czyli doktor Lewy, którego Szefer przekazał mi na kontakt. Był taki poeta Lesman, przerobił nazwisko na Leśmian i dupa z króla – stracił szanse na Nobla. A taki Ricardo Eliecer Neftalí Reyes Besualto zagrał w drugą stronę, skrócił się do Neruda – i dostał. Jako Majchrzak nie mam szans nawet na wyjazdy i prośzone obiady w Pabianicach. A jak nie będę miał kontaktów, służby nie będą miały ze mnie żadnej korzyści i zastąpią mnie jakimś Żydem z kontaktami – tym postraszył mnie cieć urzędujący na parterze naszej kamienicy. Chagiewu skąd wiedział, ale chyba ma rację. Dziwny jakiś, jakby cieć i nie cieć.

Nazwisko Lang podpowiedział mi właśnie Leopold. Pierwszy prawdziwy pisarz, którego prowadziłem. Lewy był w Związku Literatów niby-ministrem spraw zagranicznych; stypendia, wymiana, wycieczki – wszystko zależało od niego. On sam miał paszport służbowy i zwoził nam wiadomości o syjonistach, którzy knują przeciw Polsce Ludowej. Sam wymyślił, żeby zbierać wiadomości

nie u Żydów mieszkających w Polsce, tylko u Żydów, którzy siedzą zagranicą. Zagraniczni nie pilnują się tak jak krajowi, gadają szczerze – zwłaszcza po kieliszku wódki z Polski. Bo ci Żydzi niby wyjechali, ale dwie rzeczy u nich pozostały: sentyment do Polski i sentyment do polskiej wódki. A Lewy przyjeżdżał do nich jako najlepszy przyjaciel ich przyjaciół i już na progu wręczał polską wódkę. To jakby wręczał worek listów z kraju. Z kraju, z którego tak naprawdę nigdy do końca nie wyjechali, w którym są nadal – i to młodzi. Pili, płakali i gadali, płakali i znów gadali, i znów pili. A Lewy przywoził nam od nich najlepsze informacje.

Podczas któregoś ze spotkań opowiedział mi o Benjaminie Wilkomirskim, który wydał *Fragmenty. Z dzieciństwa – Bruchstücke. Aus einer Kindheit 1939–1948*; najspierw po niemiecku, potem po angielsku, francusku... Benjamin – dziecko cierpiące kolejno we wszystkich niemal obozach: Majdanek, Auschwitz, czego tylko dusza zapagnie, do tego ofiara medycznych eksperymentów. Stąd – jak wyjaśniali literaturoznawcy i płatni cmokierzy – prościutki (broń Boże prymitywny!) język narracji – prościutki jak u dziecka. Dziecka zatrzymanego w rozwoju. Wilkomirskiemu dali audycje w BBC, komentarze w paru amerykańskich gazetach, został ekspertem od Shoah! A ile nagród zafasował, w tym trzy żydowskie! Wilkomirski przejdzie do historii! Jedyny nie-Żyd, któremu udało się przechytrzyć Żydów względem forsy. Bo tak naprawdę to ten Wilkomirski był Szwajcarem, nieślubnym dzieckiem puszczalskiej panny Grosjean, na imię dostał Bruno, adoptowało go bezdzietne małżeństwo Dössekke – ale jako Grożan czy Doseker gównem by dostał, nie nagrodę. A dostał kilkanaście, w tym trzy żydowskie!

No i taka jest tajemnica pochodzenia Henryka Langa.

Proszę o następne pytania.

Moje uniwersytety

Zacząłem pisać wcześnie, ale debiutowałem bardzo późno. Pozwólcie, że to rozwinę. Każdy może zrobić jedną dobrą książkę – sałatkę z własnego życiorysu. Ale ja właśnie nie mogłem, wszystko prawie było objęte tajemnicą. Życie składało się z dni ścisłego zachowania.

Próbowałem jakieś kawałki z dzieciństwa, nawet prozą, ale było to gównie warte. Żadnej sielanki, mała błotnista wioska, ludzie jakby rodzili się z błota. Przyjaciół żadnych nie miałem, koledzy się przezywali. Dobrze jak Stasiek – ptasiek, ale częściej wołali Stasiek – srasiek, a jak ptasiek, to z dodatkiem, że mały. Albo wołali „majcha”. Ukradłem parę kur, oczywiście w sąsiedniej wsi, tylko że za mało na powieść, a nawet, kurwa, na opowiadanie. I choćbym ukradł sto kur – dalej byłoby za mało, to byłaby wciąż jedna kura, tylko sto razy. Albo jedna krowa sto razy, albo jedna wydupczona sąsiadka.

Jedno z wcześniejszych wspomnień to wesele. Może wtedy zacząłem odróżniać kobiety od mężczyzn, może nawet przeżyłem jakieś pierwsze, dzieciakowskie zauroczenie. Panna młoda przypominała mi figurę z kościoła, była ubrana na biało, jakby w jakąś cieniuchną firankę. Skojarzyła mi się z pianą na rzece, nie żebym miał taką poetycką wyobraźnię, ale to się samo narzucało, nawet cichy szum było słychać. Była piękna, ale moi jej nie lubili. Daje jak suka – powiedział jeden z wujków – nie bardzo rozumiałem o czym mówi, a oni strasznie się śmieli. Podobna do Żydówki – dodał drugi – i to też nie bardzo rozumiałem. Ślub przecież był katolicki i wesele jak należy – trzydniowe. Pierwszy raz najadłem się do syta, pierwszy – i na długie lata ostatni.

Poza tym nędza, głód, głód w oczach młodszej siostrzyczki – ale kto wtedy nie był głodny...

Zaczęło się od razu po pierwszym wyzwoleniu, jak wtedy mówiono: za pierwszego Sowietę. Nadzieje były piękne. Żydowscy towarzysze i nawet kilku naszych witało wyzwolicieli chlebem – a potem wyzwolicieli zabrali chleb, nawet zboże, wpadali do stodoł, do mieszkań. Zdarzały się wypadki naruszania socjalistycznej praworządności. Nie powiem, idea braterstwa była słuszna, ale w wielu chałupach cuchnęły trupy, których nie miał kto pochować. Zdarzało się też, że ciała w tajemniczy sposób znikały, a nocami nad wioską unosił się słodkawy odór gotowanego mięsa. O tym nie wolno było myśleć, do dziś nie wolno. A co dopiero pisać.

Ksiądz nakazywał się dzielić, na plebanii była taka izba darów, na ścianie krzyż i napis: „jesteś głodny – weź, masz nadmiar – zostaw”. Tylko kto wtedy miał nadmiar. Jedynie ksiądz coś zostawiał – i natychmiast znikało.

A księdza i tak nie lubili. Surowy był. Jak opowiadał o wojnie Chrystusa z Antychrystem, to jakby grzebieniem po szybie draapał. Pewnie to jego gadanie miało podtekst polityczny, może nawet i wrogi, ale byliśmy za mali, żeby to wyrozumieć. Mówił, że trzeba pomóc Chrystusowi, bo bez nas – nie da rady. Można pomóc, tylko siłę mieć trzeba. A najbardziej to pomstował na tych „letnich”, że ich wypluje. Kto wypluje, dlaczego wypluje letnich a nie zimnych? A jeszcze bardziej to by pasowało, żeby wypluwał gorących, jak kartofel z ogniska, co gębę parzy, a nie tych letnich. Obrzydliwe i nielogiczne. Nielogiczne i obrzydliwe. Zjadł i wypluł, wypluł, bo nie zjadł? Dziwny klecha. Więc kiedy którejś niedzieli znów zaczął nawoływać do dzielenia się z innymi – wieś postanowiła zacząć ten podział od niego. Rozgrabili całą plebanię, nawet klepki z podłogi, a księdza przybili niby jakiego Jezusa na drzwi końskimi gwoździami, hufnalami. Krwi to chyba miał mało, bo nie spłynęła na ziemię, tylko zawisała na drzwiach. Nie wsiąkla, tylko tak wisiała. Ze strachu przed tym co widzą, a pewnie i ze strachu

przed śledztwem ludzie podpalili plebanię. Ja nie paliłem, mały byłem, tylko ślepią dziecinne wytrzeszczałem i krzyczałem. Potem już tylko wytrzeszczałem. Nie potrafiłem nawet mrugnąć okiem. A plebania już cała spłonęła, tylko jeszcze te drzwi się kołysały. Nie wiem, na czym się mogły trzymać, bo chyba nie na tym ogniu. Potem mówiono, że ksiądz wyrwał jedną rękę, może groził... Strzęp ognia tylko czarny, babskie strachy. Zresztą potem nie znaleziono ani drzwi, ani ciała, ja myślę, że ktoś je ukrył, żeby myślano: nieśmiertelny, zniknął z pogorzeliska, wniebowstąpił, Chrystus taki. Średniowieczny zabobon i zbrodnia. Nie wiedziałem jak to opisać. Obiektywnie to było słuszne podpalenie, obiektywnie to była sprawiedliwość klasowa i postęp historyczny, bo taki ksiądz to jesień średniowiecza, znaczy to był nie mord, a wyrok. Ale za co niby ten wyrok, gdy ksiądz wszystko rozdawał, nawet jak co dostał od ludzi nosił do tej swojej izby, która też rzecz jasna spłonęła. A sam nie jadł, bywało, że korę z drzew gotował.

Nie opowiedziałem tego, a jednak opowiedziałem, bo mi się to potem przyśniło.

I ten ksiądz, który nas jadł i wypluwał, jakby rzygał – też mi się śnił. I boję się, że znowu wróci w takim krwawym i zarzyganym śnie. Budzę się, a wszystko wokół jeszcze śmierdzi z tego snu.

A to było najważniejsze wydarzenie. Ale ani na prozę, ani na wiersz, tylko na sen.

Więc ani o tym księdzu, ani o swojej siostrzyczce nie napisałem. Tyle o mojej młodzińczej prozie.

Próbowałem także poezji. Bo pierwsze wiersze też były, i drugie, i trzecie nawet. Rymowane, uczuciowe, tylko czegoś do dupy. Pierwsza miłość? Nie było pierwszej miłości. Jedna kurwa na całą Szczepanówkę. Przez nią nabrałem obrzydzenia do kobiet. Nawet nie chciało jej się myć po poprzednim parobku.

A śmierci siostry – siostrzyczki, nie potrafiłbym opisać, nawet boję się o niej myśleć. Potem krótki i cuchnący krwią areszt, za krótki na opowiadanie nawet, a potem już internat.

Technikum Mechaniczno-Chemiczne, które powstało z dwóch rozpieprzonych szkół średnich zakładanych jeszcze na potrzeby COP-u. Też podobne do hali fabrycznej. Jedną salę dzielono na dwie mniejsze, malowano na szaro jakąś farbą do metalu – wyglądały jak wielkie blaszane pudła zawieszone w powietrzu. Korytarze pomiędzy nimi jakby rury potężne, też szare, o kwadratowym przekroju. Koszmar z internatem. Gdyby nie Bibliotekarz pewnie bym się zabrandzłował na śmierć. Albo powiesił jak Bil Adam. Kazali mu pokazywać „film o dwóch braciach bliźniakach”, a jak nie chciał, to dostawał wycisk. Nie wytrzymał. Potem kazali mnie. Tylko rób tak, żeby cały kolektyw był zadowolony. Robiłem, co mogłem, ściągałem gatki i żonglowałem półdupkami, ustawiałem je poziomo i prostopadle, czasami wyglądały wesoło, jakby się do siebie uśmiechały – śmiech udzielał się patrzącym, z radości to oni puszczali bąki, a nie ja. Ale czasami wyglądały tak żałośnie, że kazali mi zaciągać gacie, gasili światło i nawet nie mieli ochoty lecieć w konia. Pewnie myśleli o domach, bo płakali. Generalnie było co raz gorzej i byłem bliski załamania.

I wtedy na mej drodze życia stanął Bibliotekarz.

On też najpierw zawołał za mną „Majcha”, ale wziął mnie na pomocnika.

Ten Bibliotekarz miał do kolana protezę, opowiadał, że niby mina mu giczołkę urwała na wojnie, nie wierzyłem, bo dlaczego urwała mu tylko jedną? Ta proteza go obcierała – więc odpinał i kładł na stołeczku. A jak położył – to nie chciało mu się wstać, więc za niego skakałem jak małpa po regałach. Przy okazji gadałem, co się dzieje w klasie, co mówią nauczyciele, co rodzice. On to wszystko notował, a czasem ja mu zapisywałem, masz ład-

niejszy charakter pisma – tak mi kadził. Prawą ręką bazgrałem jak kura pazurem, lecz jak nie patrzył, to pisałem lewą i wtedy wychodziło ładniej. W nagrodę pożyczał mi różne zakazane książki, na przykład Karola Maya. Verne’a też, ale ten nie był zakazany, więc trochę gorzej się czytał. A potem poważniejsze, radzieckie. Ale nie Szołochowa, to zupełnie inna historia. Tylko na ten przykład Jesienina, taki ichni Gałczyński, razem żeśmy go tłumaczyli, parę wierszy do dziś pamiętam. Ты жива еще, моя старушка? Żyjesz jeszcze, moja ty staruszek? I ja żyję, pozdrowienia ślę...

I właśnie ten Bibliotekarz zapoznał mnie z kim trzeba. Z samym Szefem, który chyba był jego krewnym i który potem przez lata zastępował mi ojca. To od niego po raz pierwszy usłyszałem, jakie trzy cechy powinien mieć bojowiec – od razu zapamiętałem, za co pogłaskał mnie po głowie. I dzięki niemu zacząłem pisać. Takie tam, rymowanki. Gdy inni się brandzlowali – ja pisałem wiersze, co wychodziło na to samo, ale ja miałem ręce posmarowane atramentem. Poezja to onanizowanie wyobraźni – taka jest moja definicja.

Po ukończeniu technikum przyjęli mnie bez żadnych ceregieli do Urzędu, słowo Szefa starczyło. Potem ktoś mi wyjaśnił, że Szef był dobrze z samym ministrem Radkiewiczem, który też chłopem był, po trzech klasach. Ktoś inny jednak uzupełnił, że resortem to rządzi żona Radkiewicza „madama Ruta”, z domu jeszcze gorzej, a nią manipuluje zastępca „Radka-sradka” – Mojżesz Bobrownicki, zwany Mietkowskim. Słowo „zastępca” wymawiano oczywiście ze śmiechem, bo zastępował ministra zwłaszcza w łóżku „madamy”. Trudno się było w tym wszystkim połapać. Zorientowałem się tylko, że Szef trzyma z dawnymi partyzantami generała Moczara, ale resortem rządzi naczelny dzierzymorda Berman, czyli że postawiłem na złego konia. Bo Berman ma w domu budkę telefonicz-

na połączoną bezpośrednio z Kremlen takim bezprzewodowym, czerwonym kablem, a naszego Szefa nienawidzi.

Powtarzane na ucho plotki już wkrótce miały okazać się bardzo przydatne – dla wszystkich kumpli oprócz mnie.

Na „dzieńdobry” pognali mnie na kurs wakacyjny do Szczytna – na tyłach Szkoły Milicyjnej.

Tu po raz pierwszy zetknąłem się z przodującą ideologią marksizmu-leninizmu. Wykładowca był młody, trochę przypominał kapitana Bauman, którego miałem poznać później, jakby wygląd jednego człowieka zapowiadał spotkanie z innym, podobnym. I nazywał się też podobnie, ale dziś już nie pamiętam jak. Pamiętam tylko, że podobała mi się wykładana przez niego nowa ideologia. Mówił jak nasz nieżyjący już ksiądz, też z głowy, tylko czasem zapuszczał żurawia na kartkę taką małą, co mieściła się w dłoni. Nam rozdał pomoce naukowe – portrety Lenina i Dzierżyńskiego oraz maszynopisy. Podstawowym tekstem był skrypt *3 źródła i 3 części składowe marksizmu*, napisane cyframi. To była angielska ekonomia, francuski socjalizm utopijny i filozofia niemiecka, zwłaszcza dialektyka Hegla. Fragmentów nauczyliśmy się na pamięć, mogli je recytować obudzony w środku nocy.

Nauka Marksa jest wszechmocna, ponieważ jest słuszna. Jest słuszna, bo jest wszechmocna. Jest jedyna, dlatego daje ludziom jedynie słuszny, jednolity światopogląd, nie godzący się z żadnymi przesądami, z żadną reakcją, z żadną obroną ucisku burżuazyjnego. Jest ona prawowitym spadkobiercą tego, co ludzkość stworzyła najlepszego w postaci niemieckiej filozofii, angielskiej ekonomii politycznej, francuskiego socjalizmu.

To było najpiękniejsze miejsce, podkreślone czerwoną kredką. Bo cały tekst był raczej kiepsko przetłumaczony z rosyjskiego, fragmentów nie kapowałem, ale ta ogólna idea była piękna: wziąć co

najlepsze z martwych już filozofii i je ożywić. To zrobił Marks. To robili potem marksiści, wykrawając najlepsze fragmenty, w których tliło się życie i sklejali jak dawni lekarze cudotwórcy. A to coś tam o alienacji wyróżnili z Hegla, a to o bazie i nadbudowie wycięli z jakichś Anglików czy może Francuzów, nieważne. Ważne, że dzięki temu te martwiejące fragmenty dostawały drugie życie, żyły w nowym organizmie jak przeszczepione narządy. To robili jeszcze za życia Stalina, żeby przedłużyć jego cenne dla ludzkości życie, a może jeszcze wcześniej za Lenina. Wtedy jeszcze nie przeszczepiano serc, ale inne narządy – i owszem. A podobno w ZSRR nawet serca, tylko żyły bardzo krótko, kilka godzin, więc nie ogłaszano publicznie. Potem dopiero odkryto, że niepełne powodzenie tych badań było skutkiem dywersyjnych działań lekarzy kremlofskich, zresztą Żydów. Stalin wiedział, że celowo nie chcą zdążyć za jego życia, więc żeby przyspieszyć badania chciał ich rozstrzelać, lecz nie zdążył. Wrogowie byli szybsi, znaczy się wolniejsi. Parę lat później, już po naszym kursie, bo w 1954 roku szpiedzy amerykańscy wykradną ten pomysł. W Bostonie kapitalistyczny lekarz Józef Murray przeszczepi nerkę bliźniaka drugiemu bliźniakowi i kapitalistyczna propaganda ogłosi, że dokonali przewrotu w medycynie, że odtąd ludzkość będzie nieśmiertelna. Ale my słyszeliśmy już o przeszczepach na kursie i wiedzieliśmy, kto naprawdę był pierwszy.

Z historii ruchu robotniczego najciekawsze były fragmenty o Rewolucji Październikowej. Też nie wszystko z nich kapowałem, począwszy od tego, dlaczego obchodzić mamy ją w listopadzie. Polityczny raz tłumaczył, że to taka maskiówka, żeby się wróg nie dowiedział, kiedy naprawdę świętujemy. To jakoś kapowałem – napadli by pijanych i wyróżnili cały obóz komunistyczny. Ale drugi raz twierdził, prawie krzyczał, że to wynik naszego zacofa-

nia, wina jeszcze przedwojennej Polski i sanacji. Kraj Rad jest ze wszystkim do przodu, ma najszybsze zegarki, to i Rewolucja tam wcześniej. Rozumieliśmy, że to takie wice i podśmiejuchy, ale jak jest naprawdę – nikt nie wiedział, nawet pewnie ten polityczny, chociaż Żyd. Za to opowieści o Rewolucji, o tym jak Lenin bohater-sko przedarł się ze Szwajcarii żeby walczyć z wyzyskiwaczami, jak na czele matrosów z Aurory prowadził szturm na Pałac Zimowy – tego mogliśmy słuchać po kilka razy. I słuchaliśmy, bo czasem agitatorzy mieli te same tematy, albo coś im się popierdoliło, albo nic innego nie umieli i z jednym po różnych kursach jeździli.

Było wśród nas wielu towarzyszy pochodzenia robotniczo-chłopskiego, tym podobał się opis pierwszego buntu Zakładów Putiłowskich. Bo właśnie od wyjścia robotników na ulicę cała rewolucja się zaczęła. Paru rzeczy nie rozumieliśmy, dlaczego mówi się pierwszy bunt – ale prelegent wyjaśnił, że to wyraz szacunku, jak mówi się pierwszy sekretarz, a nie tylko sekretarz. Na wiele rzeczy jednak umysły nam się otworzyły, ze zrozumieniem przyjęliśmy, że to co się mówi o terrorze to prawda. To była smutna konieczność. Kontrrewolucja atakowała nas zza węgła, złowrogą rolę odegrali jak zwykle Żydzi. To oni wymusili terror. 30 sierpnia 1918 roku fanatyczna Żydówka Fanny Kapłan śmiertelnie postrzeliła samego towarzysza Lenina. Dlatego 5 września ogłoszono czerwony terror. Kapitałiści tak się wystraszyli, że uciekli najpierw do Denikina, a potem przez Krym do Francji. Część jednak zwała do Polski, która – z przykrością tego słuchaliśmy – odegrała w tej wojnie rolę haniebną: gdy masy rosyjskie walczyły o szczęście i pokój całego świata – faszystowskie hordy Piłsudskiego zaatakowały od tyłu. Byli jednak i pozytywni Polacy, na przykład Dzierżyński, Marchlewski, którzy stworzyli w Białymstoku rząd Polskiej Republiki Rad. Jak prelegent wymieniał ich nazwiska, zawsze biliśmy brawo.

Byłbym zapomniał o rzeczy najpiękniejszej: dokonawszy przewrotu bolszewicy znieśli karę śmierci. Wyprzedzili w ten sposób cały świat.

Parę słów o zajęciach praktycznych

Część zajęć w Szczytnie prowadzili radzieccy, co polepszyło naszą znajomość rosyjskiego. Krótki kurs WKP(b), jeszcze krótszy kurs prawa – głównie jak omijać przepisy, na przykład jak bić przesłuchiwanym, by nie zostawiać śladów. Na przykład kłaść deskę na plecach i napierdalać młotem. Jakies wewnętrzne wylewy wprawdzie powstawały, ale z wierzchu nie było widać, a sekcji – *zaprzeczono. Nielza!* I to jest dobra, czekistowska robota. A jak te nasze wiejskie ciule brały się za przesłuchiwanym, to ich pacjenci zęby wypluwali, a nieraz i oko wypływało. Nawet najbardziej ze-strachanym sędziom nie dawało się wmówić, że samo z siebie wypłynęło.

Więc lepiej trzymać się przepisów. I to dosłownie. Na ten przykład, że przesłuchiwany może siedzieć na taborecie. Ale nie ma zakonu dla tego taboreta, jak ma stojać. A może stojać nóżkami do góry, zwłaszcza tą nóżką, co to podejrzanemu wejdzie do odbytu i zmieni w befsztyk tatarski. Z żółtkiem. Albo zakon, że musi być światło. No to można postawić lampkę, dwieście świec na biurku i wycelować mu w oczy jak nagana. Po 10 minutach płacze jak zbity szczył, po godzinie już tylko skuczy. A niektórzy, to kurwa wariowali, ale to już był błąd w sztuce – chyba że chodziło o eliminację jakiego wroga klasowego czy księdza, na którego nic nie mieliśmy. Na przykład taki Szczepański, klecha *jebanyj w rot*. Niby korzystał z prawa do wolności słowa, ale prawa nie są dla wrogów ideologicz-

nych. Że napisane? Nie wszystko co napisane jest prawdą. U nas na wsi, na jednej stodole było napisane dupa. Kolega chciał pogłaskać i wbił sobie drzazgę.

Uczono też podtapiania. Ruscy wykład i demonstracja, nasi – ćwiczenia praktyczne. Wsadzić takiemu łeb w cebrzyk, ale naukowo, żeby nie przedobrzyć. Podtapianie ma też – mówiono – wymiar psychologiczny, ale wtedy tego nie kapowałem. Dopiero przy sprawie tego chuja przydrożnego, Bąka. Przy Szczepańskim nie przedobrzyli, przy Bąku – sam chyba przedobrzyłem, ale tylko psychologicznie, nie naprawdę. Pomysłowe było też bicie przez szmaty – zwykle zmoczone szmaty położone na plecach przesłuchiwanego, sam tego nie stosowałem, lecz słyszałem wiele dobrego.

Oczywista były zajęcia terenowe, jak śledzić, żeby figurant się nie połapał, jak zbierać kompromisy, podstawiać dupy obu płci, sprzedawać trefny towar. Jeden funk w cywilu sprzedaje frajerowi coś z amerykańskiej paczki, tanio, ale nie podejrzanie tanio. A drugi pięć minut potem aresztuje kupującego. Świadców bierze z bazaru, najlepiej spośród naszych kapusiów. Albo robi się nalot na dom, coś podrzuca się, a potem i znajduje. Każdy zachodni towar podpada pod kontakty z wrogiem, kontakty podpadają pod szpiegostwo...

Ci bardziej durnowaci na tym kurs i kończyli. Dla tych bardziej inteligentnych był dodatkowy turnus, mówili „generalski” i wiedzieli dlaczego tak mówią. Uczyli nas na przykład takiej pracy myślowej: trzy „zołotyje” reguły, żeby wykryć sprawcę: MOŚ.

Motyw – Okazja – Środek.

Jak czegoś z tych trzech nie ma – na przykład motywu czy okazji – to *ni chrena*, ni chuja, nie on. No, rzecz to jasna odpowiednio przesłuchany, mógł się przyznać – a przyznanie załatwiało sprawę. Dlatego tak nas uczono sztuki przesłuchiwania. Człowiek to tylko pojemnik z informacjami. Jeśli nie da się otworzyć jakimś

kluczem, to czasem trzeba wyrwać wieczko albo zrobić dziurę – lecz informacja musi być wydobyta. To ona jest ważna, nie biedny, pierdolony pojemnik. W ostateczności pojemnik należy zniszczyć. Każdy z nas jest takim pojemnikiem, ty, on, ja. W czasie dyskusji ktoś trafnie zwrócił uwagę, że przesłuchanie wydobywa informacje i pozostawia, bo przesłuchiwany sypie, ale informacje w nim pozostają. Jakby nam dawał kopie a sobie zostawiał oryginały. Wniosek był prosty, po wydobyciu informacji – pojemnik z oryginałami zniszczyć. Prowadziło to do dalszych wniosków, lecz nie do końca zdawałem sobie z tego sprawę. Zwłaszcza że byłem pojemnikiem prawie pustym, więc czułem się bezpiecznie. Ważnymi informacjami wypełniono mnie za wiele lat...

Na koniec szkoleń oczywiście ochłaj. Do tego nas na kursie nie przygotowano, rzygaliśmy po kilka razy – a radzieccy dalej weseli, śpiewali czastuszki i opowiadali wice, zwłaszcza o Czapajewie. Jeden, z pożegnalnego ochłaju to pamiętam do dziś:

Czapajew rozmawiał z Rostową. W pewnym momencie poprosił wybaczenia i wyszedł. Po chwili wrócił cały mokry.

– Deszcz? – spytała Rostowa.

– Nie, wiatr...

Potem podobno były lepsze kawały, sam nawet opowiadałem, lecz *ni chrena* nie pamiętam. Film mi się urwał, także *pierwyj raz w żyzni*. Po rosyjsku.

A po kursie od razu na głęboką wodę. Jako „technik” z wykształcenia zostałem skierowany do nadzoru w Zakładach Wyrobów Precyzyjnych imienia Świerczewskiego, czyli po prostu do fabryki karabinów. Pilnowałem roboli, ale dawałem też baczenie, czy jacyś szpiedzy albo dywersanci się nie kręcą. Wtedy wszędzie ich było pełno albo nam się tak wydawało. Ale lepiej wskazać kilku

niewinnych, niż przegapić jednego winnego. Jednak po cuchnącej spermą i szczynami atmosferze internatu – to było czyste, górskie powietrze, a na nim górskie kwiaty. Ze wzruszeniem przypominaliśmy sobie trzy cechy dobrego ubowca, a na każdej akademii recytowaliśmy *Tatrzańską pieśń bojową* towarzysza Słuckiego Arnolda – przytupując nogami, jak byśmy maszerowali:

*Szliśmy – w sercu gniew uroczysty
wsi i miast
Za spokojne życie na ziemi,
ciszę gwiazd.*

*nie wryto w skale nazwiska –
górski kwiat
zdobi kamień, gdzie prosty Ubowiec
w boju padł*

Przytupując i recytując byliśmy pewni, że po to przyszedliśmy na świat, by kiedyś układano o nas pieśni.

Na zakończenie akademii i zwykłych zebrań śpiewaliśmy hymn. Nie ten ogólny, dla tłumów, tylko nasz własny: CZUWAMY

*Wróg ołowiem nas witał
I zabijał zza węgła,
Lecz z krwi naszej rozkwita
Wolna i Niepodległa.*

Refren:

*Spokojny każdy polski próg,
Strzeżone wszystkie bramy.
Niechaj pamięta wróg:
Czuwamy! Czuwamy! Czuwamy!*

*Ziemia śpiewa od rana,
Sławi pokój i pracę;
Zieleńcami przybrane,
Szumią rozległe place.*

Refren, kurwa! – dziarsko pokrzykiwał szef kursu, a my śpiewaliśmy bojowo, tuptaliśmy na wroga i podnosiliśmy ku górze pięści zaciśnięte tak mocno, jakby na gardłach imperialistów.

To był czas poezji. Gdy śpiewaliśmy nasz hymn – nie wiedziałem, że autorem był doktor Lewy i że kiedyś go spotkam. Wtedy to bym uważał za zaszczyt. Teraz role się odwróciły.

Czas poezji

Zaczęło się coś nowego, ale o tym nie mogłem nawet mówić, a co dopiero pisać. *Strogo zaprzieszczono!* Nawet listy do kobiet sprawdzali, był zresztą cichy nakaz, żeby raczej korzystać z resortowych. Czyste były, wesołe, bo uczyli je nawet śmiechu, nawet przytulanek takich pełnych oddania, nawet podmacywania chłopów uczyli... Śmiałości ich uczono. Więc niektórzy z naszych się żenili. Ale one dalej były w służbie, więc ten czy ów nie wytrzymał i albo po roku brał rozwód, albo – jak mięczak – sam do siebie ze służbowego nagana... Znałem dwa takie przypadki, jeden to chłop z naszych stron, rzut kamieniem od Szczepanówki. Myślał, że zarobi, odłoży i pójdzie na wcześniejszą emeryturę z tą swoją, drugi – to pokręcony Gruzin, który dla resortowej kurwy wyrzekł się wysokiego Kaukazu i został w polskiej ziemi – jak się miało okazać został dosłownie i na zawsze. Myślałem, że jeśli to

opiszę, powstaną dwie fajne opowieści w stylu *Zgodnie z prawem* Bocheńskiego – a prawdziwe, po ludzku prawdziwe. Ale nie wolno. *Nie nada!* Znów *strogo zapieszczeno!* Opowieść o Gruzinie poszła się pieprzyć w pokrzywy.

Materiał na trzecią nie napisaną opowieść dostarczyli mi oficerowie z dywizji NKWD. Prawdziwi oficerowie, nawet trochę naśladowali carskich junkrów – jeden używał nazwiska Obolenskij. Pijaństwo, strzelanie z naganów, a nawet rosyjska ruletka. Jej nazwę i jej tajemnicę poznałem podczas pierwszej w życiu specoperacji, gdy wysłano nas w komandirówkę do Siedlec i stamtąd na Podlasie. Wtedy Ruscy rządili i Białostockiem i Lubelskiem, nasi nie daliby rady, podziemie było zbyt silne. AK, NSZ – basiory zahartowane przez lata partyzantki przeciw Niemcom, uczciwie przyznają: lepsi niż nasi młodzi ubowcy, wśród których było zresztą wielu Żydów, co to przy pierwszej salwie spierdalali. Niektórzy do dziś spierdalają.

A radzieccy to byli odważni, kochali igrać ze śmiercią. Czasem, zwłaszcza jak się pokłócili o jakąś babę, choćby brzydką, którą przywlekli ze wsi tylko dlatego, że nie chciała za bardzo uciekać – to grali o nią w ruletkę. Baba leży goła na wyrku, czasami przywiązana, czasem ordynans przytrzymuje, a ci pijani w dupę na zmianę przystawiają sobie nagan do łba. Ten co wygrał był taki podniecony, że czasem spuszczał się nim na nią wlaź. Tym, którzy nie wiedzą przypomnę, że nagan miał obrotowy bębenek na sześć naboí, jeśli wsadziłeś tylko jedną kulę – szansa była jak jeden do sześciu, ale oni grali do końca. Choć zdarzało się, że jak pierwszemu nie wypaliło w łeb, to drugi się poddawał, kłaniał się nisko i wypowiadał z szacunkiem:

– *Žienszczina wasza, komandir, jebicie szcástliwio!*

Odmianę rosyjskiej ruletki widziałem w Siedlcach, podczas

obławy na bandytów żołnierzy AK, NSZ i innych takich matkojebców.

Z naszej strony też było w polu kilku bojców, orderonośców, chyba nawet kapitan „Semjon”, dziś kurwa ważny filozof, właściwie socjolog, ale wtedy – *ruki po szwam...* Bo dowodzili radzieccy, właśnie ten Obolenskij. Przystojny, z kozią bródką – albo miał na nią specjalne pozwolenstwo, albo był z tych, co pozwolenstwa wydają.

Normalnie złapanych bito przed przesłuchaniami, żeby zmiękli, nawet nasi Żydzi tak robili, nawet „Semjon”, ten z rybimi oczyma. A Obolenskij miał klasę. On dawał przesłuchiwanemu AK-owcowi nagana i kazał kręcić. A oficerowie stali w koło i przyjmowali zakłady. Na ogół aresztanci się zgadzali na taką ruletkę, tylko jeden złapany rotmistrz się wahał, węszył, gdzie jaki podstęp. Wtedy ten Obolenskij wziął nagana, zakręcił, przystawił sobie do głowy i wypalił – nic się nie stało. Rotmistrzowi nie wypadało już inaczej postąpić, niż też zakręcić i wypalić. Ale on chyba był na bakier z honorem! Jeszcze próbował coś kręcić, żeby magazynek załadować dwoma kulami, wtedy to i Obolenskij nie wytrzymał, jak mu przywalił – to ten Polak spadł z krzesła. A jak go znów posadzono – na stole czekał nagan. Rotmistrz przeżegnał się, zakręcił – i znów spadł z krzesła, tyle że z rozwaloną głową. Wtedy upiłem się po raz pierwszy w życiu. „Semjon”, tak to on był, nie mrugał, tylko wytrzeszczał te swoje rybnie oczy, podszedł do mnie wtedy i powiedział: z Ruskimi nie da się wygrać. Uczciwie czy nie, ale zawsze wygrają. Dlatego, chłopski synu – trzymaj z nimi, jak my. I zwrócił się do Obolenskiego łamanym rosyjskim, tłumacząc, że jestem wielkim miłośnikiem kultury rosyjskiej.

Obolenskij popatrzył na mnie trochę z góry i spytał, co czytałem. W odpowiedzi wałęnałem poznany w internacie wiersz Jesienina o matce.

*Ты жива еще, моя старушка?
Жив и я. Привет тебе, привет!
Пусть струится над твоей избушкой
Тот вечерний несказанный свет.*

Obolenskij wzruszył się do łez, podał mi rękę i powiedział: *umnyj malczik*. I podarował mi swojego nagana. *A ostalnych w podwał i pulia w zatyłok* – dodał ze śmiechem, mając na myśli oczywiście AK-owców związanych w sąsiedniej izbie a nie biesiadnych gości. Do piwnicy i w potylicę! *Krasota!*

Piliśmy aż do nocy. „Semjon” przepowiadał mi wielką karierę w służbach, ale chyba zapeszył, bo na koniec tej operacji wszystko się poszło jebać. W buraki!

Z Siedlec zawieźli nas na Podlasie. Ta operacja to był dla mnie rodzaj praktyki: skłoniliśmy do współpracy chłopaka, którego brat był w bandzie. Brat, pseudonim „Boruta”, walczył na Podlasiu, drugi brat, chyba Witold, walczył u jego boku, ale najmłodszego nie wzięli. Oddali go do krewnych w Płocku, kazali mu się uczyć, żeby choć jeden ocalał.

Nasza specoperacja to była niemal podręcznikowa akcja psychologiczna. Powinni nauczać o niej w Szczytnie, a może nawet w samej Moskwie. Ten najmłodszy kochał starszych braci, więc przekonał go, że bracia zginą jak zaszczuta dziczyzna, jeśli nie skłoni ich do wyjścia z lasu. Zgodził się nawet bez bicia, tylko trochę popuścił.

Daliśmy mu ksywę „Małachowski” bo kończył liceum Małachowskiego w Płocku. Znów nie pamiętam, jak się ten chłopak nazywał, częściej pamięta się ksywę, niż nazwisko. Pomagałem go zawieźć na Podlasie, to było ważne, ale jakoś wymazało mi się z pamięci.

I chuj z tym!

Po Podlasiu odsunięto mnie od działań operacyjnych, dano do jeszcze gorszej fabryki – pod Warszawą. Każdy z roboi robił jakąś śrubkę i na pewno nie wiedział, gdzie zostanie wkręcona, choćby w zadek, ale takie szczegóły były objęte tajemnicą. Praca debilna, robociarze debilni, za głupi na imperialistycznych szpiegów. Nie potrafili nawet poprawnie mówić, tylko bluzgali. Ja też przy nich głuپیiałem i bluzgałem – szambo z gęby. Jak wybiło, zwłaszcza po pijaku, to żaden mnie, kurwa, nie przegadał. Brygadzysta, gruby ciul spod Piaseczna, z którym trochę kolegowałem, to otwierał gębę z podziwu i przepowiadał, że zostanę pisarzem.

No i sprawdziło, się kurwa, sprawdziło!

Ale trochę lat przepuściłem. I to były durnowate lata.

W zakładach robiliśmy radia, i to wzorowane na ruskich. Szpieg na ich widok posrałby się ze śmiechu. Nie znaczy to, że całkiem marnowałem czas, dużo czytałem, zwłaszcza podczas nocnych dyżurów i to w końcu pomogło mi się odbić.

Małe trzęsienie ziemi

Po śmierci Stalina otworzyły się szanse na awans, ale...

Po kolei.

Nasza kompartia na pozór była monolitem, dopiero jak coś zaczynało się walić – uwalniały się gejzery nienawiści i gówna się zrozumie z historii PRL, jeśli nie weźmie się pod uwagę ciągłej walki dwóch partyjnych gangów: policjantów i politruków. To znaczy dawnych komunistów krajowych – przeważnie bandziorów, i komunistów z importu – przeważnie dawnych szpicli. Napierdalanka między nimi trwała od zawsze i trwać musiała, bo Ruscy od

początku tak to ustawili i jednych na drugich napuszczali. Sami przy pomocy Smiersza i naszej niby Informacji trzymali za pysk „polskie” wojsko, poza tym, jak prosiaki cyckali polski przemysł. Brrr! Upiorne prosiaki, większe od maciory, zębate.

Mój rówieśnik Jurek Jedlicki, partyjniak z uniwerku, i co tu ukrywać, sierota po Darwinie, wyjaśniał wszystko waśniami rasowymi. Wszyscy Żydzi to rasiści. Jurek machnął nawet taką książkę *Chamy i Żydy*, w której to detalicznie opisał. Trochę rozjaśniła mi w głowie. Bo te dwa gangi, o których żem mówił (Jurek nazywał je frakcjami), różnią się nawet nosami. Politrucy to przeważnie Żydzi z KPP, którzy w 1939 zwieli, wojnę przeczekali w Sojuszu a wróciwszy z ZSRR ucapili urzędy bezpieczeństwa i resort propagandy. Nosy mieli duże, nawet ptasie. Policjanci to polscy chłopci, przeważnie byli bandyci, kolaboranci, którzy za Niemca wydawali Żydów, a w miarę „wyzwalania” zapisywali się do partii, do AL, a potem do milicji. Nosy mieli takie jak kartofle, tyle że czasem czerwone. A nad tymi dwoma frakcjami Stalin postawił Bieruta, niby wielkiego komunistę, agenta NKWD. Wielki to on tam nie był, może cwany, nieślubny syn praczki i Żyda Hempla. Praczki wiadomo w jakiej pozycji piorą, a Hempel był nieśmiały... Ten mój Jurek wyniuchał, że kiedy Niemcy napaśli na ZSRR i zajęli Mińsk – Bierut poszedł na kolaborację. Takiego Rusczy mieli na niego haka! Rodzoną matkę by powiesił, gdyby mu rozkazali – tak się bał. I to Bierut pilnował porządku. Szczuł obie frakcje na siebie albo je brał za pyski – po to przecież został prezydentem, bo tak naprawdę rządzić mu nie pozwolili.

Tyle Jurek Jedlicki, Żyd zresztą. To on mi uświadomił, że mój Szef jednak ma rację, gdy stawia na Moczara. To też agent, za nim stoi GRU, elita Czerwonej Armii – wyjaśnił.

Wróć do tych dwóch gangów.

Polskim „chamom” przewodził były czeladnik ślusarski, Gomułka pseudo „Wiesław” – jako szef Polskiej Partii Robotniczej.

„Robotnicza” dla zmyłki, bo radzieccy nie pozwolili wyzdradzać, że naprawdę to komunistyczna. „Polska” – też chyba dla zmyłki. Pomagierami „Wiesława”, czyli „pistoletami” byli: Ałowiec z Powstania Warszawskiego, Kliszko i ten łzegenerał partyzancki Moczar. Z kolei „Żydom” przewodził Jakub Berman, przedwojenny szpicel i aparatczyk; jego pistoletami byli starzy agenci z KPP: Fejgin, Grynszpan-Romkowski, Albrecht, z pomniejszych Nachum Alster.

W 1948 „Żydzi” obalili Gomułkę za „odchylenie nacjonalistyczne”, szurnęli go ze stanowisk, a potem wsadzili do pierdła. To oni teraz byli tymi lepszymi, wierniejszymi sobakami Stalina i zaczęli pudłować kolejnych „Chamów”, między innymi Kliszkę. A Moczar się przestraszył i zaczął dawać dupy aż furczało jak propeler. Na kilku zebraniach potępił odchylenie Gomułki i do pierdła nie poszedł, tylko na wojewodę do prowincjonalnego Olsztyna. Jego obrońcy, między nimi mój Szef, przyznawali, że zdradził – ale zaraz dodawali, że na rozkaz. Bo naprawdę nazywał się Diomko, był rezydentem GRU i jak mu kazali – to musiał. Ale cały czas marzył o rewanżu.

Temperamentna Teofila

Zmiany zaczęły się po śmierci Stalina. Te głupie „Chamy” nie potrafiły z nich skorzystać, „odnowa” mogła skończyć się ich wygraną, skończyła się ledwie remisem. „Żydzi” wpadli na pomysł na miarę wskrzeszenia Łazarza: z dnia na dzień ogłosili „liberalizację” i „grubą kreskę”, wypuścili Gomułkę z pudła i postawili na czele partii. Ale paru najgorszych oprawców i popaprańców z UB musieli dla pozoru poświęcić. Jako wielkiego zbrodniarza wsadzo-

no pułkownika Fejgina – myśleli, że ma raka. Dla picu dali mu 12 lat więzienia. Okazało się, że nie umiera, nie ma w ogóle raka – więc puścili go po 7 latach, dali ciepłą posadkę, różne odszkodowania. A jak się okazało, że jeszcze może pojebać – abonament do partyjnego burdelu, i oczywiście do stołówki KC. Pewnie dożyje setki, jebanko życie wydłuży, a jak się na śmierć zajebie – pochowają go na Wojskowych Powązkach.

Że profanuję i w ogóle przesadzam? Że to wulgarne proroctwa? Ja nie prorokuję, bo jestem materialistą, ja to wszystko, kurwa, wiem na pewno. A skąd? – A stąd, że Grynspan-Romkowski, drugi odpowiedzialny w resorcie za tortury, też posiedział tylko 7 lat, też go wypuszczono, odchuchano, a gdy kopnął w kalendarz – po- grzebano go właśnie na Wojskowych Powązkach z honorami. Bo to, kurwa, człowiek honoru!

Mnie już nie będzie, to wy sprawdzicie moje słowa, idźcie na Powązki biedne chujki!

Wierzycie w „polski Październik”, bo jesteście tchórze i mię- czaki. Chcecie żeby was okłamywać – no to się was, oczywizda, okłamuje. Budowa PRL to ponad trzysta tysięcy zabitych, wywie- zionych na Sybir, zagonionych do dawnych niemieckich obozów śmierci – nadzorowanych już przez polskich oprawców – i nie ma winnych! Główny oprawca, szef bezpieki i nadzorca kultury, znaczy morderca ludzi i morderca dusz, Berman – nawet na jeden dzień nie poszedł do więzienia. Utracił stanowisko, dostał inne, forszę dostawał dwadzieścia razy większą niż emerytury ofiar, które przesłuchiwał. Spotkają się z Fejginem i Romkowskim na Wojsko- wych Powązkach! Zatańczą trojaka na waszych najświętszych gro- bach, na waszych najświętszych kościach. A wy nie ośmielicie się przeszkadzać, ojcojebcy!!

I tym razem także nie bluźnię, nie przesadzam, to wy niczego nie kapujecie.

Powiem wam teraz coś ekstra, biedne akowskie, narodowe i ogólnie patriotyczne chujki. Tych z resortu, tych z UB i MB, to specjalnie grzebią nad dołami, gdzie leżą wykończeni przez nich AK-owcy i inni żołnierze „wyklęci” skazani w kiblowych procesach, albo i bez tych ceregieli normalnie zajebrani w celach. Trupy nad trupami to numer – sięgający w zaświaty! Dzięki temu do końca świata nikt tych waszych kości nie odnajdzie. A jeżeli pomyśli, że znalazł – i tak nie ośmieli się usunąć trupów oprawców sponad trupów ich ofiar. Nikt ich już nie rozdzieli, nawzajem zapewniają sobie bezpieczeństwo, ludzkie modlitwy, nim dotkną szczątków ofiar najpierw muszą pogłaskać znacznie świeższe ciała katów.

Te groby na Powązkach mają drugie dno. Dobrze zabrzmiało, no nie? Zaraz zabrzmie wam jeszcze lepiej, bo powiem coś do śmiechu. Mówił mi jeden z resortu, że paru tych starych politruków to się przed śmiercią nawróciło. A sadzenie trupów na trupach, jak się sadi kartofle na gnoju, ma także znaczenie mistyczne, masonskie i egipskie. Wszędzie możecie przeczytać, że zgodnie z egipskimi wierzeniami, faraonów także grzebano na trupach niewolników. Po śmierci trupy niewolników ożywały i dalej harowały na panów!

Tym razem was nabrałem.

Nie ma i nie będzie zaświatów, choćby się te trupy pobudziły. Nie ma Egipcjan, bo skąd, Żydzi zaledwie. Ale to o harowaniu, to może być prawda. A o trupach wypoczywających na trupach – jest!

Więc wracam do swojej opowieści.

U nas w resorcie też było małe trzęsienie ziemi. Ministra bezpieczeństwa Radkiewicza razem z tą jego Rutą wykopano na ministerstwo pegeerów, Mietkowski, czyli Mojżesz Bobrownicki wyleciał na zbity pysk – był odpowiedzialny za tortury. Na dole zwolniło się bardzo dużo stanowisk, bo Żydzi wpadli w panikę i zaczęli wiać do Izraela, czyli głównie do Stanów i trochę do Skandynawii.

Tacy to byli i Żydzi.

Ci prawdziwi wyjechali zaraz po wojnie. Chyba ze dwieście tysięcy. Połowa – rzeczywiście do Izraela. A nawet walczyć o Izrael. A potem budować kibuce. Takim podałbym rękę, pełen szacun. Ale teraz, po tym „polskim Październiku” spierdały z kraju zwykłe szuje, ubecy od rwania paznokci, propagandziści od grzebania nożem w mózgach. Zwiało około pięćdziesięciu tysięcy. To było jak marsz Hunów – tyle że w drugą stronę. Późniejszy, legendarny marzec '68, to już mały pikuś. Pięć, góra dziesięć tysięcy, przeważnie podstarzali ubecy. Oczywiście, paru przestało być dyrektorami a zostało wicedyrektorami, paru dostało tłuste emerytury. A w dupę dostali studenci.

I tak wyglądała ta „odwilż”. Chuj dupa i kamieni kupa.

A potem to już była zabawa w komórki do wynajęcia – kto był cwańszy, to się załapał. Stanowisk narobiono od chuja, ale nie dla wszystkich. Dla swoich.

I trochę to, kurwa, trwało, zanim ustalono, kto swój.

W miejsce MBP utworzono jakby dwie Łubianki na Polskę: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Ten Komitet to było skopiowane z KGB – *Komitiet Gosurdastwiennoj Biezopastnosti*. Cóż, cała Polska była skopiowana z rosyjskiego, władze, urzędnicy, podwładni, nawet liczba kapusiów na hektar, na blok mieszkalny, szkołę i fabrykę.

Na krótko zostałem polskim kagiebią.

Ministrem od spraw wewnętrznych zrobiono Władysława Wichę – robociarz, trochę oszlifowany na Zachodzie, być może przedwojenny agent. W skrócie Wał. Byłby dobry, ale niestety ożeniony z temperamentną Teofilą Lewin, krewną naszego Lewego, ona trzęsła i Wichą, i służbami.

Na czele Komitetu do spraw BePu postawiono Dworakowskiego – także Władysława, także Wała. Z urodzenia fornal, z wykształcenia – ślusarz, taki przygłup awansowany na pokaz, na starość znów zostanie ślusarzem. Podsrywał go jego zastępca, Nachum Alster, rzeczywisty kierownik komitetu. Przedwojenny agent, działacz KPZU, nadzorca polwychu w wojsku. Mówiono potem, że to Alster stał za aferą małego Piaseckiego. Jakiś czas te dwie władze podgryzały się i podsrywały, koniec końców zlikwidowano nasze kagiebe, włączono nasz Komitet Bezpieczeństwa do ministerstwa Wichy i przemianowano na Służbę Bezpieczeństwa. Alster został wiceministrem i faktycznym rządcą bezpieki. Koniec dwuwładzy.

A ja zostałem oficerem SB. Nie zmieniając biurka, ani krzesła, ani dupy.

W czasie remontu chałupy zawsze wylażą różne pluskwy, prusaki i inna chujowizna, co to normalnie siedzi pod podłogą.

U nas wyleźli chmarą paksiarze-pachciarze. Ich szef, Piasecki, przedwojenny endek, bojówkarz i faszysta, któremu Ruscy z naiwności, albo z wyrachowania, darowali życie – też wylażł wtedy spod podłogi i zaczął pchać się do władzy. Mówiono, że miał brata Żyda, redaktora pisma „Prosto z mostu”, czy nawet „Prosto w mordę”, ale potem się okazało, że to żaden brat, Żyd też nie do końca, przepraszam za dwuznaczność. Niemcy go zabili w Oświęcimiu, chuj mu na grób.

Drugie zagrożenie stanowił Kościół.

Alster miał nawet dobry pomysł, żeby odciąć Kościół od dopływu kadr, zlikwidować zakony, seminaria i szkoły prowadzone przez zakonników, jednorazowo zamknięto by około trzydziestu tysięcy, ale na lata byłby spokój – lecz Gomułka się nie zgodził. Stary cap marzył, żeby naród go kochał – wtedy będą posłuszni. Gównoprawda. Oni powinni się bać, wtedy słuchają.

Była też szansa, żeby po cichu sprzątnąć prymasa Wyszyńskiego. Szef nawet miał pomysł na miarę Miczurina: klechę stuknąć, schować w dół z wapnem, a zamiast niego wypuścić podobnego aktora. Odpowiedni człowiek został już przeszkolony, chodził Wyszyńskim, gadał Wyszyńskim, czekał i kichał Wyszyńskim. Z daleka nie do odróżnienia, podobni jak dwa bracia bliźniaki z mojego tylnego filmu. Ale podobno ktoś na górze się nie zgodził i Wyszyński ocalał. Szczegółów nie znam, Szef też nie znał, bo wtedy odstawili go na bok i Szef bał się, że mogą go całkiem wykończyć, bo wie za dużo. Podobno Szefa wybronił sam Moczar, wyliczając ze sto nazwisk tych, którzy o planowanej *maskirowce* z prymasem wiedzieli tyle co Szef – i to tacy z najwyższych szczebli. Połowa sekretarzy zaczęła popuszczać ze strachu, a nikt nie wiedział czemu, bo rzecz tajna. W końcu stanęło na tym, że upierdolino tylko tego aktora, a mój Szef do końca życia robił Moczarowi laskę. Na czym i ja skorzystałem.

Reformy dotknęły mnie o tyle, że zlikwidowano referaty ochrony w fabrykach – w tym i mój. I wtedy właśnie otworzyły się możliwości awansu – i wtedy je zapieprzyłem.

A byłem na dobrej drodze.

Szef miał albowiem nowy pomysł. Przesunął mnie do działalności operacyjnej w Komendzie Stołecznej. Wytlumaczył mi jak synowi, że to tylko dla mojego dobra, że bez stażu w operatywce trudno potem o awans, do końca będę pierdział w stołek i obracał papierki. Więc nawet się ucieszyłem. Moim bezpośrednim przełożonym był „Kola”, najpierw myślałem, że to jeszcze z ruskich „popów”, ale wkrótce się okazało, że swojak, na Ruska tylko szpanował, żeby wzbudzać respekt u podwładnych. W kadrach przydzielili mi mieszkanie – z dawnego gmachu, gdzie prowadzono przesłuchania, usunięto biura i zrobiono coś w rodzaju hotelu. Do-

stałem po jakimś dyrektorze, który zwał do Izraela, był nawet sejf w ścianie i lodówka. A ponieważ Komenda mieściła się w Pałacu Mostowskich – do roboty miałem parę kroków. Wykładziny z marmuru, sekretarki, chińska herbata, bufet z kelnerami – dla szczyła ze Szczepanówki tak musiało wyglądać niebo.

Odwdzięczę się władzy ludowej! I Służba będzie ze mnie dumna i ja awansuję – powtarzałem. Do siebie powtarzałem – więc uczciwie.

Ale miałem pecha.

Proces, którego nie było

Na początku 1957 roku, dokładnie 22 stycznia, dwie dwójki – łątwo zapamiętać, zniknął uczeń z liceum świętego Augustyna. To była szkoła katolicka, mówiono „białogwardyjska”, więc nikt się za bardzo nie przejął. Zgodnie z procedurami utworzono grupę dochodzeniową, potem drugą, by kontrolowała tę pierwszą i obie poszły na piwo. Jakiś wychuchany synalek, w dupie mu się poprzewracało i uciekł z domu. Jeśli trochę poczekać – sam się znajdzie. Góra też nie naciska – tak brzmiały najczęstsze komentarze.

Kiedy jednak zaczęły spływać pierwsze informacje, takie o które żeśmy nawet nie pytali, same spływały jak wybite szambo – zaczęliśmy się niepokoić. Przede wszystkim nie był to zwykły uczeń, tylko syn „wodza” Piaseckiego, Bohdan. Nie ukrywam, że niektórzy nawet się ucieszyli, a przynajmniej za bardzo nie przejęli. Przedwojenny prawicowiec, dobrze mu tak, jest coś takie jak sprawiedliwość dziejowa – wykrzykiwał nasz „Kola” po pijaku. Z drugiej jednakże strony w grę wchodził honor naszej odnowionej służby, trzeba było coś zrobić.

Dość łatwo ustaliliśmy, że chłopca porwano spod szkoły świętego Augustyna. Pod budę zajechała taksówka, jakiś facet podszedł do grupki wychodzących smarkaczy, spytał który z nich to Piasecki, odprowadził parę kroków na bok i coś mu półgłosem tłumaczył. Po krótkiej chwili wrócili i chłopak wszedł do taksówki. Dotarliśmy potem do chłopaków, jeden z nich, Wojtek Szczęsny, trochę z daleka podsłuchiwał, dwaj pozostali byli mniej kumaci.

Ten Wojtek to nawet zapamiętał numer taksówki. Zapisalem ołówkiem kopiowym na biurku, do dziś widać, choć niezbyt wyraźnie: T-75-222. Był z nimi jeszcze jeden, mógł zapamiętać więcej, ale zginął w wypadku. Ktoś był szybszy. Wojtka także pobito, raz i drugi. Z tych pierwszych działań sporządziłem protokół, wręczyłem „Koli”, ale trochę się pospieszyłem.

Porywacze odezwali się jeszcze tego samego dnia. Był telefon do szkoły, był do starego szczura Piaseckiego. Nagraliśmy ich głosy, to był wyczyn! Zrobiliśmy to zresztą na żądanie starego „wodza”, myśmy jeszcze takich amerykańskich numerów nie robili.

Z tego co zapamiętałem, porywacze poinformowali Piaseckiego, że na poste restante w Urzędzie Pocztowym nr 1 czeka na niego list. List rzeczywiście był – powiadamiał o uprowadzeniu dziecka, porywacze żądali czterech tysięcy dolarów i jeszcze stu tysięcy w złotych za uwolnienie. Trzeba było robić nowy protokół, do brze, że tamten nie poszedł.

Dwa dni później porywacze kazali Piaseckiemu udać się z pieniędzmi do restauracji „Kameralnej” – na Foksal. Chciał pójść, szczur stary, rozum tracił, ale mu odradzono. Zamiast niego poszedł szkolny katecheta, ksiądz Suwała, z dyskretną obstawą milicjantów. Nikt do niego nie podszedł. Gdy miał wychodzić, zadzwonił nagle telefon:

– Poproszę księdza Suwałę – mówił porywacz. – Weźmie pan natychmiast taksówkę i szybko pojedzie pan pod adres: Aleja na

Skarpie 65. Proszę czekać przy aparacie, zadzwonię do pana za chwilę. Tam w bramie, w gablotce listy lokatorów jest pudełko od zapalek. Proszę je wziąć.

W pudełku było podane kolejne miejsce spotkania – miał udać się na Jakubowską 16 – tam czekała nowa instrukcja. W końcu ślad się urywał.

Były jeszcze dwie czy trzy takie instrukcje. W jednej mieli pretensje, że Piasecki nie przyszedł osobiście, w drugiej – że za Suwałką łąził milicyjny ogon – więc niby „za karę” podwyższyli Piaseckiemu stawkę. Albo cały czas naszych obserwowali, albo wiedzieli – też od naszych...

Zostawili potem list w kościele świętego Krzyża, z nowym terminem, Piasecki miał się zjawić na jakimś wygwizdowie, nad Wisłą. Oczywiście daliśmy mu dyskretną obstawę, akcją kierował „Kola”, ale znów nikt nie przyszedł. Na koniec kazali czekać w mieszkaniu pisarza, Jana Dobraczyńskiego. To był ostatni podany kontakt, 28 stycznia 1957.

W następnych miesiącach różne typy pisały i dzwoniły do starego Piaseckiego żądając okupu.

– Pan Piasecki? Ja w sprawie syna. Czy rozmowa jest podsłuchiwana przez milicję? O 11.00 wyjdzie pan z domu z pieniędzmi i do 13.00 uwolni się pan na mieście spod opieki tajniaków – mówił jeden z porywaczy. Rozmówca podał jakiś adres, chyba fachowiec, bo powtórzył dwa razy.

Pod wskazanym przez niego adresem nie było ani syna, ani w ogóle nikogo.

Potem kontakty znowu się urwały. W marcu 1958 Piasecki otrzymał list:

Drogi Tatusiu!

Bardzo tęsknię i chciałbym żebyśmy jak najprędzej byli znowu razem. Zawdzięczając Pani Chrapowickiej, mogę skreślić tych kilka słów. Chcę zawiadomić, że mimo ciężkich przeżyć, jakich doświadczyłem, czuję się ze zdrowiem nieźle. Stale żyję nadzieją powrotu do domu. Wierzę, że już się niedługo zobaczymy. Proszę uważać na swoje otoczenie – tam przyjaciół nie ma!

Proszę ucałować Babcię. Uściskam Tatusia.

9.III.1958 r. Bogdan

Był to kolejny fałszywy trop. Zdradził to błąd w imieniu. Ktoś po prostu chciał wyłudzić pieniądze. Skąd o tym wiem? Przypadkiem byłem przy zakończeniu sprawy, przynajmniej jej zasadniczej części, ale o tym za chwilę.

No bo nie było tak, żebyśmy całkowicie nie posiadali sukcesów. Może nie całkiem my je osiągnęliśmy, ale jednak. Piasecki, szczur chytry, powołał swoją bojówkę śledczą, jego łapacze udali się po prostu do jakiegoś biura taksówek, ustalili właściciela samochodu, którym odjechał spod szkoły mały Piasecki. Był to niejaki Ignacy Ekerling, bardzo grzeczny, nawet dowcidupny. Milicja go przesłuchiwała, opowiedział, że jakichś dwóch wynajęło taksówkę, że pojechali najpierw pod szkołę, po jakiegoś chłopca, a potem wszyscy wysiedli niedaleko Sądów. Oczywiście nie znał pasażerów, bo skąd. Ekerlinga po przesłuchaniu zwolniono.

Kilka dni potem wyjaśniło się, dlaczego był taki grzeczny. Sprzedał mieszkanie i wyjeżdżał do Izraela, za trzy dni miał odbiór paszportu, bał się, że go możemy zatrzymać. Nikt nie zatrzymywał. I na pewno by wyjechał, gdyby nie chciwość. Przepierdolił ładnych parę dni sprzedając mieszkanie i meble. Targował się jak na Nalewkach – a czas płynął. Cały czas chodzili też za nim paksia-

rze, bojówka Piaseckiego jeszcze chyba z AK. I kiedy już Ekerling wszedł w pociąg – zawiadomili milicję w Zebrzydowicach, że przestępca usiłuje nawiać z Polski – a milicjanci Ekerlinga zawrócili. Z tego co wiem, zgłosił się do MSW, zrobił im kurewską awanturę, zażądał mieszkania i mebli – i co kurwa powiecie? – otrzymał!

Ponieważ Piasecki wciąż się ciskał, wciąż zawracał nam dupę – więc dla picu jakieś śledztwo się toczyło. Zrobiono nawet rewizję u Ekerlinga, znaleziono w jakimś sraczu notes, w nim ciekawe adresy – o dziwo, z tych podawanych Piaseckiemu. Na Skarpie 65 mieszkał jego znajomy Rodziewicz, przy Jakubowskiej 16 – jakiś Szyja Szewc, na Świerczewskiego z kolei znajdowały się mieszkania MSW, którymi zawiadywał Kossowski, też Żyd. Był też jakiś Toruńczyk, jakiś Konstański, był ubek Stefan Łazorczyk, a nawet łódzki przestępca skazany prawomocnym wyrokiem, zwolniony przedterminowo po interwencji z naszego ministerstwa – Michał Barkowski. A tak naprawdę – Robert Kalman. Był też adres Jana Kossowskiego, jak się miało okazać, jednej z ważniejszych postaci tego dramatu. Nawiasem mówiąc, adresy okazały się psu na buty: wszyscy zdążyli spieprzyć do Izraela.

Czy wszyscy zdążyli przedtem sprzedać mieszkania – nie wiem, czyli chagiewu.

Sprawa w końcu wygasła, co nie znaczy, że się wyjaśniła. Nie mogłem jej śledzić dokładnie, bo odsunięto mnie od operacji, skierowano do przewracania najbardziej gównianych papierków, dosłownie cuchnących gównem, bo wyjmowanych ze sraczy różnych państwowych instytucji.

Gdyby nie to, że jako „młodszy papierkowy” zostałem wezwany do akcji – nigdy bym prawdy nie poznał.

8 grudnia 1958 dostałem polecenie, by stawić się na Świerczewskiego. Podjechałem, wbiegłem do bramy, pokazali mi schodki.

Zbiegłem w dół, potem parę kroków korytarzem... W piwnicach był schron przeciwlotniczy. Gmach podlegał zresztą pod resort, mieszkało wielu naszych.

Zdrętwiałem.

Drzwi były już rozwalone, wcześniej były zabite gwoździami. To była jakaś brudna ubikacja, pajęczyny, jakieś szare grudy i plamy po zaschniętych kałużach. Na podłodze, z głową opartą o sedes pół siedziało, pół leżało ciało chłopca. Z piersi wystawała drewniana rękojeść bagnetu. W głowę, serce i żołądek wbito gwoździe. Obok ciała leżały książki i zeszyty podpisane Bohdan Piasecki.

Czysta bielizna świadczyła, że został zabity prawie natychmiast po porwaniu. Pertraktacje na temat okupu były grą na czas, miały ułatwić mordercom wyjazd.

Mogłem zacząć wstępny protokół.

8 grudnia 1958 roku dwóch robotników dokonywało kontroli pomieszczeń sanitarnych w schronie mieszczącym się w piwnicach budynku Świerczewskiego 82A. Zdziwieni zauważyli, że drzwi do jednej z ubikacji są zabite gwoździami...

Udało mi się także uzyskać wiadomość, że lokal nr 120 był własnością działu gospodarczego Komendy Miejskiej MO i podlegał Janowi Kossowskiemu, którego nazwisko znaleziono w notatkach Ekerlinga. Z tego mieszkania można było przejść klatką schodową do piwnic – w sposób prawie niezauważalny – wszystko to akuratnie opisałem, a nawet więcej. Zacząłem sobie kombinować, skąd porywacze mogli znać nasze ruchy, dlaczego unikali zasadzek i wyszło mi, że u nas w centrali jest szpion. Musieli znać informacje pochodzące z różnych raportów, z różnych szczebli operacyjnych. Takich informacji nie mam ja, nie ma „Kola”, takie informacje spotykają się bardzo wysoko, tam łączą się w sensowne całości, niżej to tylko groch z kapustą. Zrobiłem nawet wykres, na jakim poziomie łączą się wiadomości z nasłuchów i z przesłuchań świad-

ków, notki operacyjne i meldunki z komisariatów i wyszło mi... O, kurwa, sam się przestraszyłem. Ale podpisałem z zawijaszem i oddałem „Koli”. Rzucił okiem, powiedział, że może będzie pochwała z wpisem do akt – a potem było cicho. Gdy nieśmiało się przypomniałem – „Kola” warknął, że mój opis jest za długi, chujowy i literacki, że podaję nieistotne szczegóły i tworzę nieuprawnione hipotezy. Potem znów było cicho. W międzyczasie znajomy z operatywki, taki Janek, powiedział mi w tajemnicy, że „Kola” napisał znakomitą analizę i że był nawet przedstawiony wiceministrowi. Z tego co mówił wynikało mi jedno: ten cwany wsiok przepisał mój raport słowo w słowo i jako swój posłał wyżej. To „Kola” dostanie awans, nie ja. Dwie gwiazdki, o których marzyłem poszły się dupczyć w pietruszkę.

Po kilku kolejnych dniach ciszy przeniesiono mnie do innego działu. „Kola” gdzieś zniknął i gadanie o awansie ucichło.

A jeszcze po kilku dniach odbył się pogrzeb „Koli”. Załamał się brakiem awansu i strzelił sobie w łeb. Janek, który miał znajomego w prosektorium twierdził, że wcale nie w łeb, a w klatę, za to trzy razy.

I to był prawie koniec mojej pierwszej „prawdziwej” sprawy. Prawie. We wrześniu 1959 Ekerlingowi próbowano wytoczyć proces. Był gotowy akt oskarżenia o współudział w zbrodni. W przeddzień procesu, wieczorem, zwołano posiedzenie ścisłej wierzchozki PZPR. Nawet nie całe Biuro, ale był sekretarz KC, Jerzy Albrecht i on naskoczył na Gomułkę, że chce rozpętać antysemityzm. Po chwili drzwi się otwierają, wpada Roman Zambrowski, że jutro mogą być rozruchy, żeby ściągnąć do Warszawy wojsko. Ta polska hołota odbierze proces jako sygnał do pogromu, może polać się krew – bełkotał teatralnie. Albrecht też był za użyciem wojska, machał rękami, histeryzował. Kilkakrotnie telefonował do Alstera,

który po drugiej stronie linii telefonicznych czaił się niby pajak. To było chytrze wyreżyserowane, jak w teatrze. Gomułka był jednak cwany, wiedział, że jak wyprowadzą wojsko, to po nim. Podyktują taki skład Biura, jaki zechcą, to znaczy – Gomułkę wykopią albo otoczą swoimi ludźmi, że nie beknie. Po trzech latach „odwilży” wróci stalinizm. Gomułka nie zgodził się na wyprowadzenie wojska z koszar, ale odpuścił z procesem. Wydarzenie toczą się błyskawicznie:

Jeszcze przed świtem Albrecht zawiadamia Alstera, że proces Ekerlinga zostaje odwołany. Alster jeszcze nad ranem jedzie do prokuratora, dyktuje mu, co ma robić.

– Ale przecież materiały są w sądzie.

– Durak! – odpowiada z ruska Alster.

Na rozkaz Alstera prokurator żąda zwrotu materiałów, niby do uzupełnienia.

Sąd wydaje pośłańcowi materiały.

Procesu nigdy nie wznowiono.

Materiałów nie odnaleziono.

Spóźnione i niepełne wyjaśnienie tej afery dostaliśmy kilka lat później. W marcu 1966 roku izraelski dziennik „Maariv”, dobrze poinformowany, blisko rządu, opublikował artykuł, w którym ogłosił, że „zabójcy syna polskiego polityka żyją w Izraelu”. Jednocześnie autor tekstu stwierdzał, że było to zabójstwo polityczne i Polska na wydanie morderców nie ma co liczyć. Przesłanie artykułu dawało się streścić w kilku słowach: jesteśmy ponad prawem. Możecie nam skoczyć na warsztat.

Ekerling zmarł nie niepokojony w 1977 roku. Ciekawe, nad kim go pochowano. Wiele lat temu myślałem, że nad małym Bohdanem.

Niewiele z tego rozumiałem, ale Szeff mi wyjaśnił.

– W grę wchodziły najwyższe racje. Nie jest prawdą, że nasi komuniści byli w pełni zależni od ZSRR, pewien stopień wolności posiadali – choć bez wsparcia Moskwy nie rządiliby ani dnia, zwłaszcza ci Żydzi. Po śmierci Stalina władza partii osłabła, zohydziły ją zbrodnie ubeków, skompromitowała pazerność urzędników. Jednocześnie Piasecki ożywił swoją działalność, pisywał artykuły w których dawał do zrozumienia, że z „odnowionym” ZSRR można i trzeba współpracować, że polską racją stanu jest Układ Warszawski, czyli...

– *Dogovor o druźbie, sotrudnicziestwie i wzaimoj pomoszczi* – wtrąciłem przymilnie.

– Dokładnie. Na przywódców partii padł blady strach. Bali się, ciule z Nalewek, że po obciachu partii, jaką był w Polsce stalinizm – Kreml może postawić na prorosyjskich endeków i odgonić od cycka partię. A jak radzieccy odganiają, to daleko, kurwa jak daleko. Czasem na Sybir, a czasem na tamten świat.

Postanowiono zlikwidować Piaseckiego.

– Ale zlikwidowano jego syna, Szeffie.

– Może chodziło o to, by starego tak psychicznie wykończyć, tak zeszmacić, by mu się polityki odechciało. – Szeff zawiesił na chwilę głos...

– Słucham, Szeffie?

– Mam dowody na swoją hipotezę. Piaseckiemu wyznaczano różne miejsca, widać było, że jest obserwowany, część milicji, zwłaszcza bandziory od Alstera, ta grupa pracowała dla morderców. Ja myślę – kontynuował Szeff, że mogło chodzić o to, by wywabić go z domu, w jakieś puste miejsce, choćby nad Wisłą, albo w jakimś resortowym mieszkaniu. Człowiek zdenerwowany, myślący o wymianie, o synu, nie patrzy co się dzieje dookoła. Chcieli go tam gdzieś wykończyć.

– Dlaczego nie wykończyli?

– Niektórzy z tej grupy chcieli jak najszybciej wyjechać, było ich tylko kilku. A Piasecki wciąż miał obstawę, i naszą i swoją, pakowską. Wciąż nie było dobrej okazji. Potem zaczęli wiać. Do Dobraczyńskiego Piasecki poszedł już sam – tylko nie było nikogo, by go dobić. Potencjalni mordercy byli już w Izraelu albo już w drodze do Izraela.

Szef przerwał, po czym nieco zmienił temat:

– No, ale przynajmniej wiesz dlaczego wciąż cię odsuwano, i jeszcze paru naszych. Nie byłeś złym funkcjonariuszem, wróć, byłeś dobrym, Majchrzak, za dobrym! Zbyt gorliwie wyjaśniałeś sprawę, niepotrzebnie zacząłeś gadać z ludźmi Piaseckiego, twoje szczęście, że nie znałeś całokształtu i że nie ty pisałeś ten raport.

– Ależ Szefie.

– Twoje szczęście, że pisał go kto inny i mimo ciężkiego przesłuchania wciąż powtarzał, że to on, sam z siebie. Nawet ja byłem zdziwiony, bo nie myślałem, że z niego taki Herlak Szolmes – zaśmiał się jakoś nieprzyjemni szef. I po raz pierwszy poczęstował mnie prawdziwym koniakiem.

– Więc Szef mnie nie wyrzuca?

Szef przyglądał mi się dłuższą chwilę i powiedział:

– Ty gówniarzu masz ale szczęście. Może nawet dostaniesz awans.

– Dziękuję, Szefie, ale...

– Nie dziękuj, wyznam ci szczerze, jak mawia towarzysz Alster.

Wionęło nagle czymś zimnym, nie bardzo wiedziałem czemu, tymczasem Szef mówił dalej:

– Jeden z moich kontaktów opowiedział mi taką anegdotę. Napoleon otrzymał kupę wniosków o mianowanie na szczebel dowódczy. Połowę wniosków od razu zgniótł i wrzucił do kosza. A jak adiutant pytał go dlaczego – cesarz odpowiedział mu py-

taniem: Mieli pecha. A czy chciałbyś za dowódców ludzi, którzy mają pecha?

Brudnopis swego pechowego raportu wsadziłem do pustego dotąd sejfu. To był mój pierwszy materiał „zabezpieczający”. Gdybym miał zrobić wycieczkę śladami swego poprzednika, dyrektora Światły – to jest najlepsza waluta. Jeszcze wtedy nie wierzyłem w swoje szczęście.

Kłótnie z Hiobem

Jedynym urozmaiceniem w tamtych latach była wycieczka z Szefem do Poznania. Pierwsze zetknięcie ze środowiskiem literackim, początek nowej, długiej drogi życiowej – choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem.

Przechodzę do adremu.

W całym kraju wprowadzano Nowe – tylko w Poznaniu coś nie wychodziło, a to z winy katolickiego poety Bąka. Nie wiadomo, co ten chuj przydrożny narozrabiał, wiadomo, że wsadzono go do domu wariatów, wzburzono niepotrzebnie Kościół i rozdrażniono dewotki. A rozdrażniona dewotka gorsza byka ciągniętego za jaja.

Szef jechał, żeby wyjaśnić i wziąć za mordę. W pociągu opowiedział mi co i jak – byłem pełen podziwu dla Szefa i dla naszego resortu. Nim dojechałem – znałem już całą tę historię – oczywiście z wyjątkiem zakończenia. Dziś wiem, że powinna była skończyć się inaczej. Wtedy się dopiero zaczynała.

Poezie katolickiemu Bąkowi to się trafiło: urodził się wśród bogactwa i od razu w świecie literatury pięknej. Rocznik 1907. Po chlebcy mówili: zmarł Wyspiański, lecz urodził się Bąk. Za pan

brat świnia z pastuchem, taki dobry to on nie był. Ojciec Bąka miał kamienicę i wydawnictwo, mieszkanie było pełne książek, z których każda była dla dziecka jak podróż z przygodami. Podróż, którą można włożyć do kieszeni – to nawet fajna definicja książki, może zdążę ją wykorzystać.

Dzieciakiem popisywano się jak jakimś małym Szopenem. Tyle że nie grał mazurków a wiersze. Własne, nad wiek dojrzałe, wypasione. Za debiutancki tomik *Brzemie niebieskie* dostał nagrodę „Wiadomości Literackich”. Za dużo pieniędzy mu nie dali, bo to Żydzi, ale liczyła się młodojecka sława. I to, że dostał chłopak nie z Warszawy, a z Poznania, czy nawet rodem z Ostrowa. Za następny zbiór, *Monologi anielskie* – Srebrny Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. Tym samym oficjalnie uznano Bąka za najwybitniejszego z młodych wybitnych. Do tego piękna kobieta, której cały Poznań mu zazdrościł, sprawa zresztą dość tajemnicza, tajemnicy też mu zazdroszczono. Wojna to wszystko zniszczyła, ale nie do końca, Bóg jeszcze nie podjął decyzji.

Na razie Bóg podsuwał Bąkowi okazje i pokusy. Na przykład mógł Bąk jechać na zagraniczne stypendium i zostać na emigracji. Taki Gombrowicz pojechał – i tak zrobił. Konkretnie: narznął w portki i został. Co prawda potem nie podawano mu ręki, ale to tylko rozhisteryzowani Polacy. Bo obcy to coraz bardziej lubili Gombrowicza – zwłaszcza szachiści i pederasci.

Ale Bąk wybrał „walkę za ojczyznę”. Wrócił do polskiej ziemi, a raczej do polskiego podziemia. Z Poznania wysiedlili go Niemcy, przyjechał do Warszawy i tu zaczął działać w konspiracji jako Konrad Wallen, *aluzju poniali?* Jakiś folksdojcz go sypnął, ale niewiele wiedział, więc Bąk nie poszedł pod ścianę, a tylko do obozu pracy Cottbus. Po naszymu Chociebuż, stolica Dolnych Łużyc. Zwierzęca praca ponad siły, głodowe racje żywnościowe.

W pewnym momencie do Poznania dotarły wiadomości o śmierci poety. Kiedy więc, już po wojnie, literaci urządzili wspominki – na honorowym miejscu postawili fotografię Bąka w czarnej ramce, zapalili świece, drzwi przymkli i zaczęli apel poległych. Nagle rozległo się stukanie – obecnych przeszedł dreszcz, jakby grzebieniem po szybie, ale ktoś z młodszych – niby odważniejszy czy dowcipniejszy – krzyknął: dla duchów wstęp wolny. Świece załopotały jak pod tchnieniem cmentarnego wiatru, drzwi z wolna zaczęły się otwierać i ukazał się w nich poeta. Wyniszczony, z owiniętą głową, ale żywy. Z tym życiem to mu się udało jak ślepemu psu pojebać. Podczas wyzwalania dostał odłamkiem w łeb, ale przeżył. Odłamek pozostał w czaszce – póki nie ruszać – czaszka żyje. Więc lekarze nie odważyli się tego wydlużyć.

Zmartwychwstałego poetę wybrano na pierwszego prezesa Poznańskiego Oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich. Żaden oddział takiego nie miał! Związek otrzymał willę przy Noskowskiego, w niej mieszkania dla pisarzy. Bąk dostał trzypokoje, więc po mieście rozeszły się znów plotki o tajemniczej piękności. Bąk został także kierownikiem literackim Teatru Polskiego, a poza tym drukował i dorabiał w wydawnictwie własnego brata, Władysława. Można powiedzieć, że Bąk stał się żywą reklamą tego, co oni nazywają opieką Opatrzności. Nie tłusty, ale wyglądał na tłustego, cokolwiek mówił – jakby wygłaszał modlitwę dzięczynną.

A na tym jeszcze nie koniec. Bąk został redaktorem „Życia Literackiego”! To był wtedy najlepszy dwutygodnik literacki – szefował mu sam Iwaszkiewicz a pisywała między innymi Malewska, Miłosz, Tuwim, Brandstaetter, podsyłał coś po cichu Gołubiew, Rembek też pod jakimś pseudonimem... To ichnie „Życie Literackie” było sto razy lepsze od marksistowskiej „Kuźnicy”, którą Żół-

kiewski z Jastrunem wydawali w Łodzi – trzeba więc było je zniszczyć. Nie wydawano zakazu druku, ale nie dawano na ten przykład zgody na rozpowszechnianie, czasem zwalniano numer po paru tygodniach, kiedy połowa tekstów nadawała się już tylko do podcierania. Iwaszkiewicz przywarował w Stawiskach i zajął się dupczeniem truskawek i gotowaniem młodych chłopców na kompot, ze strachu mu się pomieszało. Ale Bąk dalej się stawiał. Naraził się też w teatrze – chciał przemycić coś tak wstecznego jak *Dwa teatry*. Ukryta pochwała faszystowskiego powstania warszawskiego! A jako rzekome „odkrycie” próbował przeszmugłować *Sybir Zapolskiej*... Jeden z informatorów napisał uspokajająco, że sztuki może nie są marksistowskie, ale mają poziom arcydzieła. Chuj złamany! Jeżeli arcydzieło – to tym samym jest przeciw ustrojowi! Kiedy, kurwa, nauczą się myśleć dialektycznie!

W 1949 Bąk dostał Nagrodę Episkopatu. Co za dużo, to i świnia nie zje.

Więc wzięto się za Bąka.

A formalnie sprawa była trudna, bo nie było na niego *kompr-materialów*. Ten ciulik w niebo zapatrzony nie spiskował i nie knuł potajemnie, tylko jawnie olewał ustrój, partię i przyjaźń z Krajem Rad. Mistycyzm i zacofane poglądy wyznawał, ale to nie było karalne, póki nie wzywał do obalenia ustroju. A nie wzywał, a tylko miał głęboko w dupie, więc nawet nie było za co złapać. I wtedy osiągnęliśmy szczyty zawodowej finezji. Ja też od pewnego momentu aktywnie się włączyłem w operację, którą w resorcie nazwano dowcipnie *gra z Hiobem*, co wymawiane z ruska brzmiało jeszcze dowcipniej.

Dziś, z perspektywy czasu trzeba przyznać, że czas był dla kultury marny. Po Zjeździe Literatów w Szczecinie rozlewał się po Polsce czerwona mazią socrealizm. Poeci najpierw grzęzli po kolana, potem zalewało im usta. Ktoś taki jak poeta katolicki Bąk w ogóle

nie miał prawa istnieć. A on wciąż podskakiwał i podśpiewywał niczym ten wróbel w gównie. Poznańscy towarzysze zareagowali nerwowo, to znaczy bez finezji. Najpierw go wylali z teatru, potem zwolnili z prezesury ZZLP a gdy dalej aluzji nie pojmował – zgłosili się do nas po pomoc. Ja jeszcze nie brałem udziału, tę część gry operacyjnej z Jobem znam nie z autopsji, a z relacji.

To była zegarmistrzowska robota wydziału do walki z wrogą ideologią! Szef jak mi o tym opowiadał, to się ślinił. Jeden z poetów został zadaniowany, by napisać tekst chwalcący Bąka jako obrońcę katolickich wartości. Zadanie to wypełnił Karol Heller – na tyle przekonywająco, że kiedy po 89. zaczęliśmy akcję „transformacja”, tekst ten posłużył do uwiarygodnienia Karolka. Odpowiednio pouczona cenzura tekstu Hellera puściła – i zaczęła się kontrakcja z naszej strony. Odezwały się pełne słusznego gniewu głosy pisarzy partyjnych, nawet przedwojennych socjalistów, nawet z TSKŻ. Dołożył mu po linii i na bazie Boguś Kogut, dorzucił Feluś Fornalczyk, a dyrygował nagonką młody pracownik resortu, tak wyszczekany, że uważano go za pisarza, chociaż nie wydał żadnej książki – niejaki Henio Rospendeck-Rospendowski. W dwudziestu pismach naraz zarzucono Bąkowi wsteczność, religianctwo, antysemityzm a nawet homoseksualizm. W państwowych instytucjach nie miał już czego szukać.

Te wszystkie połajanki Bąk początkowo lekcewał. Zaczął robić w mieszkaniu wieczorki poetyckie, na które przychodzili także mieszkańcy literackiego kołchozu. Gościom podawał kakao, przed pierwszym czasem rozrabiane wodą, ale pili jakby czekoladę u Wedla. Uciekano w daleką przeszłość, urządzano sympozja poświęcone Homerowi, Sofoklesowi, Horacemu, z bardziej współczesnych – Szekspirowi. A marksizm olewano! Poza tym Bąk robił coś, co wprawdzie nie było zakazane, ale zgody też nie otrzymał: w maszynopisie rozpowszechniał wiersze o charakterze antyustrojowym.

Na przykład taki:

Nie będziesz słupem dla ogłoszeń, na którym co rano przyczepiają etykiety: Tak ma być – a tak nie ma być! Nie będziesz megafonem, nie będziesz orkiestrą wojskową, ani trąbką alarmu, ani ostrym krzykiem komendy. Na stronicach twych książek nie zawisną woskowe pieczęcie, nikt nie złoży na nich ministerialnego podpisu, nikt nie zachowa ich w archiwum ważnych akt i dyplomów. Pieczęcią twoją jest łza, podpisem cień gałązki bzu, zabłąkany do wiersza. Dla ciebie orderem uśmiech Przyszłego, krzyżem zasługi ręka cudza wyciągnięta do innej dłoni, miejscem chwalebnym żywy głos ludzki. Grobu nie masz. Tyś nie jest od rzeczy ważnych – tyś jest od rzeczy najważniejszych. Od rosy porannej, od deszczu wiosennego, od siewu i koszenia, od młotów i dłut, od krzyku nowo narodzonego, od pieszczot kochanków, od jęku konających, od trwogi samotnych, od nadziei zrozpaczonych... I od dłoni wyciągniętej łagodnie ku wszystkim ludziom i rzeczom. Wszystkie słowa twoje są wyciągniętymi rękami.

Niby wiersz – a wraży manifest. To chłopaków z resortu wkurowiło. Uczestnikom spotkań u Bąka zaczęły się przydarzać różne przykre rzeczy. Nie jemu – i to było słuszne. On by przetrzymał nawet z jakąś masochistyczną radością. Różne kawały robiono jego przyjacielom, bywalcom tych poetyckich sabatów. Jednemu ukradziono samochód – więc musieli chodzić piechotą, więc po ciemku wracali z tych swoich spotkań u Bąka, więc pobili ich nieznani sprawcy...

Logicznie, nie?

A żeby było jeszcze bardziej logicznie – zaczęto go wyrzucać z mieszkania. Mieli na nie ochotę i sekretarz Kogut, i Fornalczyk i nasz Rospendek. Pisarz Rospendek poszedł nawet tam razem z pisarzem Kogutem i grzecznie niemal poprosili:

– Towarzysz Rospendek nie ma gdzie nocować, niech Bąk tylko na parę dni udostępni jeden pokój.

Ale Bąk nie dał się podejść i naszych towarzyszy pogonił.

Niektórym jednak rura zmiękła. Z tygodnia na tydzień przyjaciele zaczęli opuszczać Bąka, Bóg także opowiedział się przeciw Bąkowi – księża zaczęli go potępiać, dopatrując się w jego wierszach herezji. Klechy nie rozumieją, że herezje świadczą o życiu i o uwodzicielskim uroku danej wiary, heretycy są bogactwem religii nie mniejszym niż święci.

W końcu Bąkowi został tylko jeden przyjaciel, dominikanin. I ten – z dobroci serca zresztą – zdradził naszego poetę. Bąk przyznał mu się, że postanowił z sobą skończyć, ale że nie da się załatwić po cichu. Pojedzie do Warszawy na czerwcowy zjazd literatów, tam będą dziennikarze, świat pisarski, tam wystąpi, powie jak komunizm niszczy Polskę, opowie o terrorze, o UB – i popełni na estradzie samobójstwo. Tak po japońsku!

I pojechał.

Po japońsku to Jebiesuki Nabosaka! Życia nie znał.

Chyba tym samym pociągami pojechał ten dominikanin. I on był szybszy. Dotarł do Putramenta i zapodał, że Bąk chce publicznie odebrać sobie życie. Bąk przyszedł na salę, najpierw usiadł, potem, gdy zaczynali obrady zerwał się, krzycząc, że ma coś ważnego, najważniejszego w życiu do powiedzenia. I jak wstał – tak złapali go za wszarz ubecy. Odstawili go do Poznania, na do widzenia poczęstowali kilkoma kopniakami. Nie żeby skrzywdzić, tylko żeby znał swoje miejsce, pedał głupi, Job Jobowicz Jobanyj.

Dopiero w październiku 1950 udało się temu złamasowi targnąć na swoje życie. Połknął 30 tabletek nasennych. Uratował poetę podglądający go ubek – zobaczył co się dzieje, a nie wiedział co

robić, na wszelki wypadek zadzwonił po instrukcje. Martwy Bąk to byłaby woda na młyn Watykanu. Natychmiast wysłano karetkę. Szpital, w mordę, płukanie żołądka, w mordę, a potem – Państwo-
we Sanatorium dla Nerwowo Chorych w Kościanie. W tym samym więziono kiedyś Broniewskiego, gdy poecie przestał się podobać ustrój. Obu twórców przyjmował ten sam doktor Oskar Bielawski i obydwu wystawiał świadectwo szaleństwa. No bo nie może być normalny ktoś, kto nie docenia błogosławieństw komunizmu, jasne, kurwa.

Żeby zalegalizować porwanie i uwięzienie Bąka doktor Bielawski przesłał do Oddziału ZLP w Poznaniu inteligentne pismo;

Stwierdziliśmy u wyż / wym. ciężkie schorzenie psychiczne o charakterze paranoidalnym z bogatym systemem urojeniowym. Kuracja Ob. Bąka musi trwać czas długi, by mogła dać rezultaty.

Na wszelki wypadek przygotowany został scenariusz rezerwowo – chłopcy z „jedyńki” mieli przysłać podpisane przez niego kartki z Włoch, nawet z Indii. Dla rodziny, dla kleru i dla innych ciekawskich.

I wszystko byłoby po poznańsku zalegalizowane, zamiecione pod dywan, gdyby nie jedna poetka Karczevska, która także mieszkała na Noskowskiego, a na dodatek przyjaźniła się z Bąkiem, nie chcę powtarzać plotek jak głęboko. Gdy parę dni i nocy się nie zjawiał – wyruszyła na zwiady i po kilku rozmowach знаła prawdę. Upiła samego Putramenta, wycygała *propusk* i pojawiła się w Kościanie jako przedstawicielka Związku Literatów. A po wizycie wysmażyła oficjalny raport dla Zarządu:

Utrata życia mu nie grozi. Mają go poddać leczeniu wstrząsami elektrycznymi (o ile do tej pory sobie coś nie zrobi). Chce wyskoczyć oknem, leży związany.

Jej notka nosiła datę 4 listopada 1950, szybko dotarła do Zarządu Głównego do Warszawy i od tego się zaczął smród. Bo ofi-

cialnie trzymano poetę w zamknięciu dopiero od 6 listopada 1950. A wcześniej? Widać było, że kręcą i chachmęcą. I w końcu Szefer się wkurwił. I przyjechaliśmy do Poznania.

Mnie kazał zwiedzać miasto, obejrzeć ratusz i trykające się koziołki, bo w Warszawie takiego cudactwa nie ma – a sam udał się najpierw opierdolić towarzyszy z resortu. Potem razem z jednym resortowym pomaszerowali do oddziału ZLP – opierdolić towarzyszy literatów. Nie wiem kiedy, ale jakimś cudem Szefer zdążył opierdolić jeszcze kilku lekarzy – i na noc wracaliśmy do Warszawy. Kilka dni później przyszło zawiadomienie, że 22 marca 1951 Bąk został oficjalnie zwolniony, ale ktoś musiał oficjalnie go odebrać. Żeby nadać rangę wydarzeniu Szefer postanowił osobiście jechać do Poznania, ale potem coś mu wypadło. Zrzucił to na mnie, a ja to przerzuciłem na Karolka Hellera, ostatecznie to on go bronił w prasie. Tak więc Bąka osobiście nie poznałem, co dla mnie okazało się korzystne przy następnej rundzie „walki z Hiobem” a Heller zyskał dodatkowo rozgłos obrońcy pisarzy chrześcijańskich, został dzievicą Orleańską Peerelu.

Sprawa Bąka zdawała się zakończona.

Byłem pełen podziwu dla Szefa! Tak postępował z wrogami Feliks Edmundowicz Dzierżyński! Przede wszystkim próbował przekonać, dyskutował i zamieniał wrogów ustroju w gorących orędowników. Pozyskiwał dla sprawy.

Bąka też byśmy pozyskali, tylko sprawę znów zapieprzył Poznań. Kilka dni po zwolnieniu poety jakiś chuj połamany przysłał Bąkowi pismo, w którym zażądał od niego spłaty zaległości: po 24 złote za każdy ze 137 dni leczenia. Nadawcy zagrozili zabranie mieszkania i mebli na poczet długu. A do nas, żeby było zgodnie z paragrafami, tak po poznańsku – przesłano kopie pism. Szefer ryk-

nał niczym byk, któremu przerwano popierdółkę. Aż w Poznaniu było ten ryk słyszać, ściany i stołki się zatrzęsły, kilku towarzyszy z nich zleciało, a rachunek za dom wariatów anulowano. Wydawało się, że tym razem gra w Hioba została zakończona. Chyba remisem.

Doświadczanie Hioba

Tym razem to Bąk nas zawiódł. Nie po to wypuściliśmy go z psychuszki! Władza do niego łaskawie – a ten chuj wędrowny postanowił wyjechać do Włoch. Koledzy z kontrwywiadu przechwycili jego listy do ambasady. Poza tym, znów się zaczęły awantury o mieszkanie. Wciąż mieszkał w willi literatów przy Noskowskiego – głodny, znerwicowany, prawie nie wstawał z barłogu by dokądkolwiek wyjść. Chyba żeby na jakie zebranie – porozrabiać. Na to znajdował siły, Hiob jebany! Na przykład 9 czerwca 1951 – jak raportowali poznańscy – *zakłócając pracę nieodpowiedzialnym wystąpieniem, porównał do siebie hitleryzm i komunizm*. Podwójnie jebany!

Wiadomo, że takie sprawy rozwiązuje się na różne sposoby, normalnie – we własnym zakresie.

Jednakże poznaniacy normalni nie są. Mówią, że kiedy w czasie Powstania Wielkopolskiego poznaniacy chcieli zaatakować dworzec, to najpierw ustawili się w kolejki do kas i wykupili peronówki. Z Bąkiem postępowali podobnie – gotowi byli go zarznąć i przerznąć w dowolnej kolejności, ale musieli mieć podkładkę. No i przysłali do Warszawy zupełnie niepotrzebne pismo, drogą służbową, za pokwitowaniem. Czy politycznie wskazane będzie go aresztować, czy może problem rozwiązać w inny sposób – jeśli

w inny, to w jaki – pieprzyli tak na okrągło. Szef się znów zdenerwował jak wspominany już byk, lecz tym razem wysłał tam mnie.

– Po pierwsze znasz już sprawę, po drugie jesteś już duży, czas cię odstawić od cycka, sam działaj, a po trzecie ja mam Poznań w dupie, jadę na ryby. *Eto twoje dzieło* – zakończył z ruska, a ja zrozumiałem to po polsku. Tak, wtedy chyba po raz pierwszy to zrozumiałem. Dzieło artysty.

Tak więc miałem pojechać do Poznania, obsobaczyć wszystkich literatów, a Bąkowi przemówić do rozsądku albo po prostu go przymknąć. Przy okazji nie zaszkodzi wpierdol, ale bez śladów, jak uczono na kursie. I nie do końca, bo jeśli znów się zmieni linia partii i ktoś zażąda Bąka jako żywego dowodu tolerancyjności naszego ustroju dla wierzących – trzeba będzie mieć co okazać.

Takie przemówienie do rozsądku nazywało się rozmowa ostrzegawcza.

Ale przemówić do rozsądku poety było trudno. Najpierw nie chciał mnie wpuścić. A jak doczłapał do drzwi i z wielkim wysiłkiem je otworzył – sam się przewrócił. Od kilku dni nic nie jadł, nie wstawał z brudnego barłogu, nikt z kolegów go nie odwiedzał. Gałęm z nim godzinę i – wstyd się przyznać – miałem łzy w oczach. Oczywiście rozmawiałem pod przykrywką, udając urzędnika ubezpieczeń – i to nam się potem przydało.

Zadzwoiłem do Szefa i postanowiliśmy wysłać Bąka na leczenie, tyle że do innego zakładu, nie do Kościana. Ale jak go namówić. Skoro już raz odgrywałem urzędnika, mogę i drugi. Tym razem poznał mnie po głosie i wpuścił bez problemów. Oświadczyłem, że właściwie nie mamy nic przeciw wyjazdowi do Włoch, dostanie paszport, może pomyślimy o drobnych na drogę. Jak każdy prawdziwy poeta nie miał nawet na sracz na dworcu, może nie wiedział,

że w kapitalizmie nawet za to się płaci. Nie tak jest u nas, można srać, gdzie kto chce.

Miał poczekać dwa dni, a my dopinaliśmy operację. Trzeciego dnia otrzymał wezwanie do ZUS-u, „życzliwi” dali mu do zrozumienia, że to w związku z jego wyjazdem, że pewnie dostanie paszport i nawet wspomniane pieniądze. Poszedł, wskazano mu pokój na rozmowę. Wszedł. Chwila ciszy, a potem drzwi się otwierają i z twarzą omotaną ręcznikiem wytacza się Bąk. Za nim trzech chłopaków z UB. Wynieśli go na podwórze, a tam już czekał samochód. Odwieziono go do Zakładu Psychiatrycznego w Gnieźnie, dokładniej w podgnieźnieńskiej Dziekance. Żeby sprawa wyglądała na legalną, potrzebne było jakieś świadectwo lekarskie. Zwłaszcza poznańscy na to naciskali. Lekarz psychiatra Edwin Herbert – odmówił. Stwierdził, że nie pozwala mu na to etyka lekarska. Myślał, że za tych parę patetycznych słów to przejdzie do historii. Do dupy! Do historii przeszedł internista Jan Barańczak, partyjny „numer jeden” w Akademii Medycznej, nasz „czerwony doktor”! Napisał, co było trzeba i zajął się urządzaniem Bąka w psychuszcze. Tym razem rozpoznanie brzmiało „paranoja alkoholicka”.

Gdy rozmawiałem o tym wszystkim z Szefem, powiedziałem coś, co bardzo mu się –podało. Że pan Bóg stosował wobec Hioba „podtapianie”. Wsadzał mu łeb do cebrzyka, ten się krztusił, więc mu wyjmował, Hiob był wdzięczny – więc znowu mu łeb w cebrzyk.

– Ciekawe do czego ten cały Hiob miał się przyznać – zażartował Szef.

– No, do miłości do Boga – odpowiedziałem i zaczęliśmy się tak śmiać, że długo nie mogliśmy skończyć. Co jeden na drugiego spojrział – znów ryczał śmiechem. To się nazywa głupawka.

Bąk spędził kilka miesięcy wśród obłąkanych, kokainistów, alkoholików i innych pojebów; „leczono” go elektrowstrząsami, po których czuł straszny ból głowy i rzygał; stracił słuch. Kuracja niemal zamieniła go w warzywo – lecz przynajmniej nie podskakiwał.

To były kolejne podtopienia, nie ostatnie.

Zarząd Związku Literatów w Poznaniu usunął Bąka ze Związku, a nawet wystąpił o jego ubezwłasnowolnienie.

Z trzypokojowego mieszkania zabrano Bąkowi dwa pokoje. Otrzymał je zasłużony towarzysz Bogusław Kogut. Nie całkiem był zadowolony, chciał wszystkie trzy, ale socjalistyczną sprawiedliwość buduje się powoli. Żeby jej pomóc, zaczął przeciągać do siebie meble Bąka.

Z bibliotek wycofano tomiki jego wierszy. Jeśli coś wtedy kojażył, to zapewne zazdrościł Gombrowiczowi. W Polsce lepiej być pedałem niż patriotą.

W marcu 1953 zmarł towarzysz Stalin, poculiśmy lekki powiew wiosny. Sąd Wojewódzki odrzucił wniosek poznańskich literatów o ubezwłasnowolnienie Bąka, a w kwietniu na podstawie orzeczenia komisji lekarskiej poetę wypuszczono z Dziekanki. Jakby wylazł podtopiony z cebrzyka. Mokry, przymarniony, ale żywy.

Gdy wrócił na Noskowskiego – czekał na niego jeden pokój. Pusty. Jeśli była w nim kiedykolwiek jakaś kobieta albo inna życzliwa dusza – odeszła. Mówiono, że jako katolik dalej uważał, że wiąże go sakrament i drugiej rodziny nie założył. Kupił sobie psa.

Krótką historia Oriona

Bąk kupił sobie psa. Nazwał go Orion.

O tym psie zaczęły krążyć legendy. Towarzyszy z resortu i nawet tajnych współpracowników wyczuwała bestia na kilometr. Bąk podobno nauczył tego Oriona pić wódkę, a na pewno przepijał do niego i gadał z nim godzinami. Wiersze mu chuj biedny czytał, a ten popierdolony pies pilnował jego papierów. Albo Bąk go tak wytresował, albo pies sam z siebie pilnował jako część dóbr należących do ich dwuosobowego stada. Było to dziwactwo, lecz nie tylko. Rospende, który miał kontrolować co Bąk pisze – zamiast robić notatki, po prostu wykradał papiery. Podpiżdził nawet cały rękopis powieści, co Bąka doprowadziło znów na skraj samobójstwa. Widocznie w czasie kolejnego przeszukania pies zaatakował agenta – ten potem oskarżył Bąka, że celowo go poszczuł. Nikt w to nie wierzył, Bąk czytał w tym czasie wiersze w podziemiach kościoła, nasi agenci go odnotowali, ale zarzut i tak wykorzystano – Bąka znowu przytknęli. Tym razem na parę godzin, tyle ile było im trzeba. Dali mu trochę po głowie – a wiedzieli dokładnie gdzie bić – tam gdzie wciąż tkwił odłamek. A potem znów puścili. Nawet podwieźli elegancko pod mieszkanie i weszli razem z poetą, by zobaczyć jak będzie reagował. Otworzyli drzwi dość szeroko, Bąk zobaczył swego psa o dwa kroki, eskorta też widziała. Bąk ucieszył się, wyciągnął ręce, ale pies się nie ruszył. Krzyknął: Orion! – pies nadal stał bez ruchu. Był wypchany.

Przy ludziach Bąk się nie rozplakał, ale w nocy próbował się chlastać. Tym razem nasz współpracownik się przydał. Co jakiś czas go podglądał i jak wyniuchał co się dzieje – fachowo zatamował mu żyły i wezwał pogotowie. Można powiedzieć, że Opatrzność używa dziwnych narzędzi. Dobry kołchoźnik to i chujem orze – jak mówią towarzysze.

Krótki urlop

Moja pozycja w Departamencie uległa wzmocnieniu, niektórzy prorokowali, że może zostać szefem Wydziału. Na razie wspieram pozycję aktualnego Szefa. Rzecz w tym, że nasz Szef robi zaocznie germanistykę, celuje na Departament I, znaczy wywiad, i na Berlin Zachodni. Zdanie do zdania składa, o najbliższy *Wasserklosett* się dowie, jeśli się wcześniej nie posra, ale do wypracowań potrzebuje pomocy. Nie znaczy, że ja wiem wszystko, często umawiam się z Szefem na pojutrze, a na jutro wzywam odpowiedniego TW z germanistyki.

Najlepszy jest TW „Hölderlin”, ten w angielskich marynarkach. Na razie adiunkt, ale trzeba go będzie popchnąć. Wybrał taką ksywę nam na złość, myślał, że mnie będzie trudno to nawet wymówić, a co dopiero zrozumieć, więc mimo wszystko on będzie dominował. A priori (to jedno z takich dominujących powiedzonek). Ale się pomylił, chuj na kaczych łapach! Na pierwszym spotkaniu opierdoliłem go za nic, ale dodałem, że on dobrze wie za co. Głowę daję, że nie spał całą noc i robił rachunek swojego małego ufajdanego sumienia. Na drugim spotkaniu był już nadskakująco grzeczny. Warto było. Ten „Hölderlin” przez noc może napisać pracę semestralną i potrafi trzymać język za zębami. Też przymierza się do WestBerlina. Udaje, że nie chce forsy, lecz nie zdarzyło się, żeby odmówił. Paczki delikatesowe też bierze i sprzedaje znajomym, mam na to donosy od jednego współpracownika z PAN, który przy okazji przyznaje, że kupuje, ale tylko dla lepszego kamuflażu.

Pierdoleni intelektualści!

Tym razem Szef miał oddać jakąś rozprawkę o kulturze niemieckiej, niekoniecznie za mądrą, ważne, żeby była napisana i znalazła się w papierach uczelni. No i żeby była bez błędów, bo

Szef chciał mieć co najmniej czwórkę. Wybrał więc temat ambitny – mit *Fausta*.

Coś tam słyszałem o renesansowych teatrzykach lalek, ale czułem, że bez pomocy „Hölderlina” nie dam rady. Wiedziałem też, że po tej rozprawce przyjdzie następna, z literatury angielskiej, którą Szef wziął jako fakultet. Szef chyba nawet miał już temat, ale nie chciał go zdradzić. Powiedział tylko ogólnie, że chce zająć się powieścią gotycką, że w rozmowach z Niemcami dobrze jest rzucić cytaty na przykład z Hölderlina – to zyskuje sympatie, umacnia wiarygodność. Nie wiem, czy nazwisko Hölderlina rzucił przypadkiem, czy coś wie o moich kontaktach.

– Jak mi załatwisz to wypracowanie – rzekł jak targująca się koka – to załatwię ci urlop...

– Urlop?

– Wróć, może nie całkiem urlop, ale nie musisz załatwiać sprawy w dwa dni, możesz w dwa tygodnie, wróć, może nie aż tyle, ale cztery – pięć dni możesz posiedzieć, oczywiście na koszt resortu.

Zmitrężyliśmy z adiunktem pół nocy, on pisał, ja przepisywałem na maszynie – po to, by jutro szef znów to przepisał ręcznie. Trochę robota głupiego, lecz coś niecoś i ja skorzystałem. Na przykład, że Goethe nie zerznął swojego Fausta z kukiełek, tylko poznał przykład Marlowe’a, tego rywala Szekspira. Dziadek za rzepkę, babka za dziadka. To Marlowe zerznął ze średniowiecznej opowieści niemieckiej, potem Goethe z Marlowe’a – tak powstała pierwsza wersja – Urfaust. A może Goethe zerznął swego Fausta trzy razy? Raz z kukiełek, drugi – z Marlowe’a i trzeci z samego siebie. Dlatego taki dobry! Muszę dopytać „Hölderlina”. Może to jest recepta na sukces: najpierw robi się lżejszy samogon, a z niego dopiero koka.

Gdy wręczyłem Szefowi maszynopis – uśmiechnął się i powiedział:

– Słówko się rzekło, pojedziesz jako juror. Nie musisz sprawy załatwiać błyskawicznie, lecz za długo też nie siedź, niedługo dostaniemy temat następnej pracy.

„Dostaniemy” – ładnie powiedziane. Gdyby chociaż go wcześniej podał – mógłbym uprzedzić „Hölderlina”. A tak – znów nikt się nie wyśpi. Prócz Szefa.

Konkurs w Zameczku

Przed wyjazdem zapoznałem się z zadaniem. Chodziło o imprezy na Zameczku pod Krakowem, to miał być „polski Artek” dla przodującej młodzieży miast i wsi, ale po „Październiku” zaczęła się tam pchać nomenklatura. Sięgnięto nawet po relikty feudalizmu i zaczęto urządzać turnieje rycerskie dla niemieckich kapitaistów, rewizjonistów i innych baronów dewizowych. Urządzano też pokazy dawnych tańców, a od pewnego czasu nawet konkursy literackie, głośnie już we wszystkich demoludach. Przyciągała nagroda, którą stanowił „Klucz do Zamku”. Ten konkurs czynił z prowincjonalnego laureata „Księcia Poezji” – taki miał prawo przyjeżdżać kiedy chce i zawsze dostawał nocleg, nawet z dupencją.

Od pewnego jednakże czasu zaczynały się dziać rzeczy dziwne: Miejska Rada Narodowa, Powiatowa Rada Narodowa, Kuratorium – chuj wie ile jeszcze instytucji, zaczęło nagle fundować bardzo wysokie nagrody. Laureatami zaczęli być wyłącznie okoliczni twórcy, w jury – to właśnie sprawdziłem – dominowali miejscowi dygnitarze, czasami decydenci z Krakowa, którzy otrzymywali kosmiczne honoraria i stanowili parasol dla całej tej machlojki. Zrobił się straszny chujopłás – cokolwiek to słowo znaczy.

Za wszystkim stał II sekretarz partii, którego synuś miał ambicje poetyckie. Wiersze dla niego pisali poloniści ze wszystkich trzech szkół w okolicy.

Mogliśmy zrobić pokazówkę, ja wolałem jednak załatwić rzecz po cichu i elegancko, choćby ze względu na gości dewizowych. Po cichu zesłaliśmy ichniego sekretarza do pegieeru w Pomorskie, na razie tylko jego. Poza tym ogłosiłem, że impreza jest tak znakomita, że patronat obejmie Ministerstwo Kultury i Związek Literatów. Jury oczywiście organizowała Warszawa – chciałem dać zarobić swoim ludziom: Śpiewakowi, Kubiakowi i Hellerowi, dla pierwszego z nich miałem ekstra zadania. Na sekretarza jury zarekomendowałem Wiktora. Wyrastał na ostrego krytyka, dopilnowałem, żeby skończył zaocznie studia i teraz był na każde gwizdnięcie. Zdobywał też jakąś popularność w środowisku, głównie różnymi dowcipami i „złotymi myślami”, które kradł gdzie popadło. Niektóre z „jego” powiedzonek pół Związku Literatów powtarzało potem przez miesiąc. Na ten przykład, gdy zrobił coś choć trochę męczącego, wszedł po schodach, albo z nich zszedł – stawał i z patetyczną miną informował: zmęczyłem się, jakbym trzy razy obłapiał. A po namyśle dodawał: albo i cztery.

Lokalne władze kulturalne, które patronowały podejrzanemu konkursowi na Zameczku wyczuły pismo nosem – w ostatniej chwili obniżono wysokość nagród. I o to nam w zasadzie chodziło. Oczywiście nagrody nie dostał żaden z miejscowych grafomanów. Posiedzenie jury zaczęło od postawienia litra i otwarcia kopert z nazwiskami. Zobaczyłem, że Wiktor rozpaczliwie szuka jakiegoś swojego pupilka. Albo wpadł w długi, albo się spedalił... Na takie kombinacje oczywista nie mogłem pozwolić. Wziąłem go na bok i opierdoliłem jak święty Michał diabła. Kazałem jurorom czytać

wiersze, i tak cały stos grafomanii odrzucił wcześniej sekretariat, nam zostały najlepsze do wyobrać. Wychodziło, że wygra poeta z Krakowa, który nie dostał się do szkoły teatralnej. Drugą nagrodę miała dostać poetka, jeszcze nawet nie studentka, ale bardzo utalentowana. Wspaniałe czarne włosy, zielone oczy, na imię miała Zofia, lecz wszyscy zaczęli na nich mówić Romeo i Julia. Reprezentant Rady Narodowej był za niedoszłym aktorem, poufnie nam przekazał, że dziewczyna jest Żydówką a nawet ma siostrę – też Żydówkę. Chuj głupi. Do tego śmiał się powoływać na sugestie z SB. Wziąłem go na bok, powiedziałem jaki mam stopień i zagroziłem, że jak kopnę go w dupę, to Polska Ludowa dorobi się sputnika, ale on straci posadę. Od razu zaczęły mu się podobać wiersze tej Zosi. Ostatecznie jako przewodniczący jury i znany krytyk z Warszawy zaproponowałem salomonowy werdykt: poetka i poeta dostają ex aequo – tak elegancko powiedziałem – pierwszą nagrodę.

Żeby nikt już nie pochachmęcił spraw przyjechałem na rozdanie nagród. Oboje laureaci byli wniebowzięci, a i pomiędzy nimi coś zaiskrzyło. Dostali oboje klucze do Zamku i komnaty też obok siebie. Podobno nawet po zgaszeniu świateł było widno. Laureatka przyjechała z siostrzyczką, taką Olą, lecz jej pacyfikację zajął się Marek Śpiewak. To było to ekstra zadanie, oczywiście w ramach honorarium. Podobno jak na swój wiek była niezwykle utalentowana. Zrobiła z niego wiatrak. Brata obydwu dziewcząt na szczęście nie było. Wszyscy moglibyśmy mieć kłopoty, bo podobno ma niezłego pierdolca. Ktoś powiedział, że w raju nie bywa samobójstw. Lecz dlaczego bywa alkoholizm?

Wróciłem do Warszawy bardzo zadowolony. Podczas tych kilku dni urlopu przebywałem jakby w innym – mówiąc po marksistowsku – jakościowo świecie. Spotkania, rozmowy z twórcami i ani-

matorami kultury uświadomiły mi moją nową pozycję, coś, czego przedtem nie doceniałem: przecież mogę być kimś w rodzaju Szekspira. To ja tu wcieliłem w życie polską, a właściwie peerelowską wersję Romea i Julii. Można i trzeba iść za ciosem. No bo kurwa, jak nie my, to kto i jak nie teraz – to kiedy!

Miałem już nowy pomysł. Postanowiłem podworować z naszych sojuszników z ZSL, forsa – słowo pioniera – była na drugim miejscu. Głównie chodziło o jaja. Bo tym „zielonym” zaczęła już sodowa odbijać, że niby oni sól ziemi, oni żywią i bronią i w ogóle prawdziwi Polacy. Wymyślili nawet takie słowo: depozytariusze i chyba godzinami trenowali, by mówić bez jąkania. Postanowiłem to wykorzystać. Jest tylko małe ryzyko: ludowcy, jeśli się pokapują, to albo się uśmieją, albo będą udawać, że się śmieją, bo to chytrusy są. Ale Szeff może opierdolić.

Przechodzę do adremu. Zacznę od genezy historycznej.

Mikołaj Bakłażan

Towarzysze ze Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego po Grudniu zaczęli rozwijać swoją prasę, ale nie mieli poetów – nad czym ubolewali. Ich prezes Bucwa Stanisław, który posiadał maturę i studiował na WUML-u, osobiście zainspirował akcję *Malwy na kartoflisku*, zachęcającą młodych literatów do współpracy. Jakby w odpowiedzi na tę inicjatywę do redakcji pism ludowych „Zielony Sztandar” i „Nowa Wieś” zaczął nadsyłać wiersze całkiem niezły poeta. Wiersze różne pod względem stylu, ale każdy był podpisany „Mikołaj Bakłażan poeta ludowy”. Redakcja drukowała, wysyłała honorarium na podany adres i nic się złego nie działo, póki pre-

zes Bucwa Stanisław nie wyraził życzenia zapoznania osobistego. Pod wskazanym adresem jednak poety nie zastano. Do towarzyszy z resortu, czyli do nas, wysłano w tej sprawie monit i podejrzenie na piśmie.

Nie mieliśmy zamiaru nic wyjaśniać, ale pismo nie może pozostać bez odpowiedzi. Poprosiłem tewulca (czyli TW) „Gapienia”, by zrobił odpowiednią analizę – rzecz jasna w całość sprawy go nie wtajemniczałem. Napisał, że wiersze nie są złe, lecz trochę dziwne, to znaczy zadziwiają wszechstronnością. Czasem robione są pod *Ścieżki polne* Staffa, czasem pod *Księgę ubogich* Kasprowicza, nieco wtórne, nieco staroświeckie, ale była w tym chłopska rzetelność warsztatu. Nazwisko też brzmiało dobrze, jak jaki kwiat.

Bakłażan nadawał się do części artystycznej każdej akademii – nie był trudny, ale nie był grafomanem, deklamowano go też często w radiu, a nawet w telewizji w wykonaniu aktora Siemiona, zwanego „Żydem Polnym”. Bakłażan nie udzielał się jednak na zjazdach, nie uczestniczył w wymianach kulturalnych – na dobrą sprawę nikt go bliżej nie znał. A prezes Bucwa to nawet zasmucił się osobiście.

W sprawę wdał się jakiś jego znajomek z Komendy Dzielnicowej, wcielił się w listonosza przynoszącego honorarium i udał się pod wskazany adres. Drzwi otworzył mu jakiś typ w podkoszulku, właściciel mieszkania, który nie wyglądał na poetę, ale wylegitymował się jako Wiktor Ząbkowicki i okazał upoważnienie do odbioru honorarium. Człowiek Bucwy stracił dwie stowy – lecz nie odpuszczał. Dla odmiany zaatakował wieczorową porą – jako rzekomy przedstawiciel redakcji w sprawie wadium na udział w konkursie na scenariusz z życia spółdzielni lub Kółka Rolniczego. Właściciel mieszkania, który znów się wylegitymował jak poprzednio, poczęstował nawet kawą rozpuszczalną, ale o swoim lokatorze niczego nie potrafił powiedzieć. Pracuję w radiu, w praktyce cały

dzień mnie nie ma. Rano wstaję – sąsiad Bakłażan śpi po całonocnym chędożeniu, wracam późno wieczorem – sąsiad właśnie zaczyna chędożyć. Wiecie, ci ze wsi mają dziwne obyczaje. Właściwie się mijamy. Obecnie poeta Bakłażan przebywa w rodzinnej wsi i pomaga starej matce w pracach polnych ponad siłę. Znajomek Bucwy znowu odszedł smutny jak księgowy z pegieeru i wkrótce olał sprawę. Mikołaj Bakłażan o wadium nie wystąpił. Drukował w prasie ludowej i to go satysfakcjonowało.

Sprawa nagle przypomniała się sama. Prasa ludowa jak raz ogłosiła, że w poetyckim Konkursie Złotego Kłosa główną nagrodę zdobył poeta ludowy Mikołaj Bakłażan.

Złotego Kłosa plus kilkadziesiąt tysięcy miał wręczać miał sam prezes Bucwa. W regulaminie jednak zaznaczono, że nagrody należy odebrać osobiście, poświadczyć odbiór podpisem, wylegitimować dowodem – nagrody niepodjęte zostaną przekazane na inne szczytne cele związane z kulturą. Bakłażan nie mógł się nie zjawić, ale zjawić się tym bardziej nie mógł. Forsa poszła się dymać w buraki.

Chyba wszyscy się domyślili, że „operacja Bakłażan” to był nasz szekspirowski pomysł. Ale takiego węzła gordyjskiego nawet Szekspir by nie rozplątał. Co gorsza, węzeł mógł dotrzeć do Szefa i skutkować niezłym o-pe-erem. Żeby wyjść z twarzą obmyśliłem takiego co następuje. Wręczenie miało się odbyć w szklanej superchałupie ZSL-u na Grzybowskiej, zaraz po części oficjalnej. Po odczytaniu listy nagród na pewno będą pytać, czy laureaci są fizycznie obecni. Ja miałem wtedy wystąpić i odczytać list Bakłażana. Widząc ciężką sytuację kultury, zwłaszcza w terenie, kolega laureat Bakłażan rezygnował z nagrody na rzecz Koła Gospodyń Wiejskich. Koła cieszyły się wówczas dużym szacunkiem ze względu na przejawianą wszechstronność. To o nich mówiono z podziwem: tańczy, śpiewa, recytuje, daje dupy i gotuje.

Będą oklaski, może notki w prasie ludowej, ale nagroda pójdzie dupczyć się w sałatę.

Impreza zaczęła się z niewielkim opóźnieniem – jeden z ludowych aktywistów przyjechał na zjazd wielkim traktorem i parkując przesunął parę trabantów innych aktywistów, a nawet wartburga prezesa. Po dokonaniu autopsji powrócono dziarsko na górę.

Najsamprzód jakiś senior ruchu ludowego głądził o znaczeniu chłopca dla kultury czy może kultury dla chłopca, *wsio rawno*. Następnie wiceprezes Ozga odczytał werdykt jury i zaczęło się wręczanie nagród. Sekretarka jury zapytała dla porządku, czy laureaci są na sali, zwłaszcza zdobywca Złotego Kłosa, który jak dotąd się nie zgłosił.

No to wstałem, żeby odczytać rezygnację, lecz nawet nie zrobiłem kroku, gdy ktoś mnie przegonił jak wiatr dziada. Postrzępiony kapelusz, koszula wywalona na gacie – jakby stracha na wróble okradł. Do tego ogorzała twarz, niezbyt równomiernie przyciemniona – oczywista! Ten idiota! Zażądają dowodu i kompromitacja. A jeszcze dla fasonu powoła się na współpracę albo nawet pracę w SB. O kurwa, kurwa, kurwa!

Tymczasem Wiktor – on to był, chuj we własnej osobie, przedstawił się lekko mazurząc.

– Mikołaj Bakłażan poeta ludowy.

Sala zagrzmiała oklaskami, ale sekretarka ze zmijowatym uśmieszkiem wysyczała: My oczywiście wiemy, my znamy, ale pro forma dowodzik, żeby kopertkę. Wiktor podszedł beczelnie, wyjął babie kopertę z dłoni i mówiąc nie bierę, nie kwituje stanął obok prezesa Bucwy. Zaczął od krótkiej pochwały działalności Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego na niwie i oświadczył, że on, Mikołaj Bakłażan, poeta ludowy, zrzeka się nagrody na rzecz wzmiankowanej działalności – i wcisnął Bucwie kopertę.

Sala zagrzmiała oklaskami, prezes potrząsnął kilkakrotnie ręką Bakłażana, a potem dał znak, że pragnie parę słów jednoosobowo wygłosić. Sala ucichła.

– Myślę, że będę wyrazicielem opinii wszystkich zebranych, jeżeli podziękuję za ten dar szczerego, chłopskiego serca a jednocześnie go nie przyjmę. Poeta Bakłażan po wielekroć sobie na te pieniądze zasłużył, i pięknymi utworami, którymi nas karmi, i tym dzisiejszym gestem. Gdyby takich było więcej w Ludowej Polsce!

W tym momencie prezes przerwał ze wzruszenia, zaczął całować Bakłażana i jednocześnie wpychał mu wprawnym gestem kopertę do kieszeni. Sala wstała i zaczęła bić brawo, potem wszyscy przeszli do bufetu. Żmijowata baba zniknęła dyskretnie – jak główny z sufitu w KC.

Przechodząc obok mnie Wiktor uchylił kapelusza:

– Aleś się sfatygował, jakbym trzy razy obłapiał. Albo i cztery – dodał po krótkim namyśle.

Potem zszedł na dół, wsiadł na swój wielki traktor i odjechał.

Nagrodę opiliśmy w „Złotej Kaczce”, stawiał laureat. Na kwadrans zaszczycił nas SzeF. Nie opierdolił, lecz powiedział kawał, który dał nam co nieco do myślenia.

– Za co stary złodziej bije syna?

– No?

– Nie za to, że kradnie konfitury, tylko za to, że zostawia odciski na słoiku.

Nie wiedzieliśmy, czy wolno się śmiać, czy nie, ale kiedy SzeF się roześmiał – dołączyliśmy lojalnie.

Potem SzeF poszedł w buraki, Wiktor zamówił więcej żarcia, zaczęto opowiadać naprawdę wesołe dowcipy, takie na czasie. Na przykład:

Przychodzi gość do baru, może być „Złota Kaczka”, rozgląda się podejrzenie, kelnerka każe mu wyjść. A on na to przymilnie:

– Ale proszę tylko o jedną wykałaczkę.

– A wyjdzie pan, jak ją dostanie? – pyta kelnerka.

– Tak, słowo pioniera.

Dostał tę wykałaczkę i wyszedł. Chwilę później przychodzi drugi gość i też prosi o wykałaczkę. Dostał. Sytuacja powtarza się kilka razy, aż przychodzi ostatni gość.

– Co pan, kurwa, też po wykałaczkę? – pyta wkurzona kelnerka.

– Nie, ja tylko słomkę poproszę.

– Słomkę?! Wszyscy chcieli wykałaczki – pyta zdziwiona kobieta.

– Widzi pani. Tam ktoś pod barem się zrzygał i wszyscy najlepsze kawałki już wyjedli...

Potem zaczął się konkurs najbardziej obrzydliwych kawałów, a potem nieoczekiwanie Wiktor wlaź na stół i oświadczył, że zrobił nas w chuja.

– Widziałem kapitan, jak się trzęsłeś i chyba pół sali się posrało na okoliczność tej nagrody, że przejdzie nam koło nosa i jeszcze może być wpadka. Tylko ja jeden byłem spokojny, widziałeś kapitan, nie? A wiesz dlaczego? Bo wiedziałem jak to się skończy.

– Gównu tam mogłeś wiedzieć. Gdyby się Bucwa nie wzruszył, to forsa by przepadła. To było ryzykowne zagranie. Miałeś fart, że ci wyszło, ale powtarzam: kurewsko ryzykowne.

– Nie, kapitan, żadnego ryzyka. Ja Bucwie przedtem obiecałem dwadzieścia procent z nagrody.

– I zgodził się?

– Najpierw to chciał pięćdziesiąt, stanęło na trzydziestu.

Jak mówią towarzysze: *spasienie utopajuszczych – dzieło ruk samych utopajuszczych*.

Wiktor nie utonął ani teraz, ani przy następnej okazji.

Kończąc zaś sprawy konkursu poetyckiego w Zameczku.

Kilka dni po powrocie otrzymałem stamtąd anonim „pisany” słowami wyciętymi z gazet i grożący nam śmiercią od kuli albo noża, do wyboru. Nie wiem jednak, na ile łączył się z tą całą aferą. Posklejany był chaotycznie, właściwie bardziej dotyczył Marka Śpiewaka niż mnie. Ktoś mi mówił, że ta mała Julia, prócz siostry Oli, ma też brata alkoholika, który pilnuje cnoty obu dziewcząt jak pies ogrodnika.

Krakowscy go sprawdzili, ale nic na niego nie mieli, prócz tego, że chyba wcale nie alkoholik a ćpun. Dali mu parę razy w dzień i wypuścili.

Konrad Dippel von Frankenstein

Po powrocie z kolejnej wyprawy w teren musiałem trochę przyłożyć się do pracy. To znaczy do kolejnej pracy semestralnej Szefa, tym razem z tego jego „fakultetu” – z literatury angielskiej, a konkretnie z jej wpływu na kulturę niemiecką. No, jakoś tak. Szef wybrał „demoniczny” temat, legendę Frankensteina, bo jak mówił, rzecz go rajcowała. Lecz przekazał mi go mało precyzyjnie:

– No wiesz, kurwa, akcja dzieje się w Niemczech, a bohaterem jest niemiecki lekarz. – Szef jak coś chciał uzyskać, to był ze mną „na ty”. – Wiesz, kurwa, on wymyślił takiego potwora, Frankenstein.

Znaczy chodziło mu o powieść Mary Shelley o Frankensteinie. Fajna historia! Był słynny rok 1816, mówiono „rok bez lata”, śnieg, zamrożone jeziora w lipcu i sierpniu, burze śnieżne w Stanach i w Kanadzie. Podobno zawiniły wulkany, ich pył nie dopuszczał słońca, ale różnie mówiono, nawet o otwartych wrotach piekieł. Wejście do piekieł było na wyspie Sumbawa, gdzie wybuchł wulkan Tambora. To były Pompeje Indonezji. Te szczegóły przekazał mi potem „Hölderlin”, szczegóły i kilka cyfr. Kilkanaście tysięcy zabitych natychmiast, dziesiątki tysięcy umierających powoli i w męczarniach. Popiół zasnuł niebo nad Azją, spowodował też anomalie w Europie. Jedną z nich był brak lata i nuda, taka, że wymagała osobnej nazwy. Nazwali ją z angielska spleen, z greckiego σπλήν – *splén*, czyli śledziona. Po naszymu: chuj na dusze.

Mary Wollstonecraft młodsza (bo była i starsza), poetka, która w wieku 16 lat związała z żonatym zresztą poetą Shelleyem, podróżowała wtedy wraz z nim, Byronem i doktorem Polidori po Szwajcarii, wokół Jeziora Genewskiego. Śladami Jana Jakuba Rousseau. Zaczynali się nudzić, bo pogoda fatalna, a ile można się pieprzyć. Z tych nudów opowiadali sobie różne przerażające opowieści, a nawet porobili zakłady, kto wymyśli i napisze najstraszniejszą. Polidori wymyślił wampira i napisał o nim niezłą książkę, niektóre strachy i świństwa podobno podpowiadał mu Byron. Lecz i tak zwyciężyła Mary. Dwa lata później wypuściła w świat powieść, która podbiła świat. Pełny jej tytuł to: *Frankenstein, albo Współczesny Prometeusz*. Kto zna książkę – nie przypisuje tego nazwiska żadnemu potworowi. Nawet u nas w resorcie mało kto czyta, ale przynajmniej mamy kogo zapytać...

Wy tłumaczyłem Szefowi najtaktowniej jak potrafiłem, że Wiktor Frankenstein to był lekarz, który chciał stworzyć człowieka idealnego – ale tworzył go z różnych odpadów, uzupełniał jakąś

zgnilizną i brudem – i wyszło to, co zawsze. Szef spojrzał pytająco:

– Nie wiesz przypadkiem, jak ten nowy człowiek miał na imię?

To mnie zaskoczył! Za cholerę nie mogłem sobie przypomnieć, czy Frankenstein w ogóle nadał mu imię. Chyba nie, ale coś wypadało powiedzieć. Może rzucić, że Adam? To nawet by pasowało. Pierwszy człowiek, znaczy pierwszy stworzony naukowo z materii, bez domieszki miazmatów. Na akademii w ministerstwie ktoś nawet mówił, że Lenin to nowy Adam... Wróc – jakby powiedział Szef. W głowie zadźwięczały mi dzwoneczki! Jak Lenin ma być Adam, to imię zostało zajęte, uświęcone, i wara nam od niego. Szef czasem czyta „swoje” wypracowania, jak powiada „pod kątem”. Więc jak się, kurwa, wczyta, że w jego wypracowaniu też jest Adam, do tego, do tego, kurwa, posklejany? Wszyscy wiemy jak radzieccy obwąchują takie teksty! Szef posra się ze strachu, ale najpierw powyrywa mi nogi z dupy i dopiero potem jednak się zesra. Taka jest, kurwa, logika! Ale coś muszę odpowiedzieć Szefowi, który stoi i czeka gapiąc się wytrzeszczonymi ślepiami. On chyba nigdy nie mruga. Ratuje mnie skojarzenie najprostsze:

– Też Wiktor, tylko młodszy – mówię. – Wiktor Junior – mówię.

– I też patrzę się w jego gębę i też ani mrugnę.

Szef pierwszy spuścił oczy i skinął głową. Znaczy kupił.

Do wypracowania wsadzi się już poprawnie, jeśli to monstrum w ogóle miało imię.

Przez chwilę gadaliśmy jeszcze o legendach – Japończycy też mieli uczonego, który z ludzkich okrawków wyhodował potwora, Ruscy też coś kombinowali...

– Tylko Polakom taki numer się nie udał – zaśmiał się Szef.

Pozbywszy się kłopotów z wypracowaniem pod tytułem *Frankenstein w kulturze*, Szef nalał po koniaczku. Czułem się jak wydymana Mary Shelley.

Tego samego wieczora wezwałem do gabinetu „Hölderlina”. Przyszedł na tych swoich kaczych nogach, w jeszcze bardziej angielskiej marynarce niż dotychczas. Pewno z komisju – nic dziwnego, że dorabia kablowaniem. Do trumny też go pewno w taką marynarkę ubiorą. Zapytał, po co go wzywamy. Odpowiedziałem mu w dwóch ratach. Najsampierw przekazałem mu dobrą wiadomość, że jego docentura już załatwiona, potem tę gorszą, czyli nowe zadanie.

– *Bieżpłatno tolko syr w myszołowkie*. Za darmo jest tylko ser w pułapce na myszy – jak mawiają towarzysze. Po czym wprowadziłem go w szczegóły tego zadania. Zadałem parę pytań. Na niektóre potrafił odpowiadać *a vista*!

Nie przypuszczałem, że miasteczko Frankenstejn to nasze małe, pierdolone Ząbkowice Śląskie – wyrwało mi się z podziwem.

Bo tam się to wszystko zaczęło. W pierwszych latach XVII wieku, w wyżej wymienionych Ząbkowicach zwiększyła się nieoczekiwanie liczba pogrzebów. Ludzie marli jak muchy, podejrzewano dżumę – ale nie, medycy mieli wątpliwości. Jednocześnie zaczęła się panika, ktoś nocami bezcześcił groby, z trumien znikwały ciała, nawet z kostnicy znikwały. W końcu udało się przyłapać przestępców – okazali się nimi grabarze. Poddani torturom, na początek hiszpańskim butom, wyznali, że kradli zwłoki dla lekarza, nazywał się Konrad Dippel, był synem pastora. Nawet podpisywał się jako Dippel z Frankenstejnu, czyli von Frankenstejn.

Z dostarczonych mu zwłok sklejał kawałek po kawałku nowego, idealnego człowieka. Übermenscha. Podobno mu się nie udało, ale jeden z grabarzy docięnięty butami powiedział, że jednak potwór ożył i że doktor uciekł z nim do Strasburga. Co z nimi potem się działo – różnie mówiono. Podobno wyuczył swego potwora takich staroniemieckich sztuczek, że cieszył się większym powodzeniem na jarmarkach niż baba z brodą i koń z dwoma chujami.

– Ludzkość za wcześniej zrezygnowała z tortur – zauważył „Hölderlin”.

– Dlaczego tak uważasz? – Byliśmy już na ty, ten ciul sądził, że robi mi zaszczyt.

– Dawały efekty. Dziś może być zbok, zwierzę, prymitywny morderca, a palcem go tknąć nie można! Adwokat za niego kłamie i jeśli taki bydlak ma dobrą papugę, wyjdzie, śmieje się z sędziów, a często dla rewanżu łamie palce i wydłubuje oczy świadkom. W baroku jednak było lepiej, a ten proces to właśnie potwierdza. W tym wypadku a priori można było założyć winę, a nawet wiele przewin. Złapano ich przecież na przestępstwie. Lecz czuć było, że za tym co wyznali kryje się jeszcze dalsza, równie straszna niewyznana część tajemnicy, może dla nich bardziej niebezpieczna. Chodziło o to, żeby i tę resztę wydobyć. Gdy poddano grabarzy kolejnym, jeszcze bardziej wymyślnym torturom, wyjawili, że doktor nie tylko płacił im złotem. On wykrawał dla swoich potrzeb tylko najlepsze kawałki, zostawało dużo odpadków. Poddawał je obróbce, jakoś odcedzał, rozdrabniał w takim staroniemieckim mikserze, potem suszył – i powstawał proszek śmierci, jak go nazywali grabarze. Posypywali nim klamki, progi domów, nawet ławki w kościele, albo rozsmarowywali ze smalcem. Ludzie umierali, grabarze mieli zarobek, doktor miał nowe ciała...

Genialne w swej prostocie.

Więc wypiliśmy za pracowitych grabarzy, za genialnego lekarza, a potem to już wszystko mi się płacze. *A priori* i *a posteriori* piliśmy. Nie wiem czy przyszedł ktoś jeszcze, chyba przyszedł i chyba ten ktoś mówił, że to nas wykończy, ale mógł mieć na myśli zarówno alkoholowe upojenie, jak coś znacznie głębszego, na przykład mity.

Obudziłem się z pyskiem na maszynie do pisania.

I tak nie miałem najgorzej, bo mój „Hölderlin” spał z pyskiem na butach, do tego zarzyganych.

Nie, jednak to były moje buty.

Obudziłem „Hölderlina” i zanim zjawily się sprzątaczkі, rozprawę mieliśmy gotową. Potem wyprowadziłem go na zewnątrz. Wyszliśmy – wyglądało to tak, jakbym wyprowadzał ofiarę swoich przesłuchań. Po kwadransie wróciłem bez ofiary, dokończyłem przepisywanie i wziąłem się za buty.

Koniec przypowieści i sprawy Bąka

Szef był wzruszony. Podarował mi „błyskotkę dla kobity”. To już drugi prezent. Poprzednio to był pierścionek z jakąś kością. Nie wie, że nie mam komu dać, a ja nie będę mu się zwierzał. Tu nikt nie ma przyjaciół, a jak ma to nieszczerých.

Po oddaniu maszynopisu zabrałem się do bieżączki – czekała mnie *komandirówka* do Poznania.

Powodem był znowu Bąk, chuj nadrzewny, który korzystając z odwilży publicznie deklarował wiarę w Boga – mimo tego, co mu zrobiono! Z głupawym dziecinny uśmiechem. Nawet jego koledzy literaci chcieli go wreszcie dobić, raz na zawsze wypierdolić ze Związku, a może wyszczuć z Poznania i to mimo październikowej odwilży. A ten chodził i deklarował. Taki Hiob to musiał wkurwiać i Boga, i Szatana. Nas też wkurwiał, a poznański resort jeszcze bardziej.

Poecie próbowano przemówić do rozsądku, raz i drugi go zatrzymano. Raz niby przypadkiem, w jakimś sztucznie zrobionym tłoku. I niby przypadkiem dano mu pałką po głowie. I przypadkiem w to miejsce, w którym przecież wciąż tkwił ten odłamek. Jak mawiał Szef: dla безпеکی nie ma wiadomości nieważnych. Ta o odłamku z Cottbus przydała się po kilku latach. Bąk potem

trochę majaczył, miewał zwidy, pewno widział te swoje niebiosy i anioły, może nawet który go przeleciał, ale po kilku – kilkunastu tygodniach mu przeszło. I znowu zaczął deklarować wiarę, tyleż naiwnie, co beczelnie. Zaczęliśmy się bać, że poznańscy w końcu tak się wkurwią, że biednego Bąka wykończą, a to byłaby przesada. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Więc Szefer znowu mnie wysłał.

Tak jak wcześniej jeździłem brać za pysk, tak teraz pojechałem, żeby pilnować odwilży. Wciąż jeszcze celebrowano „Polski Październik”, czy jak ten teatrzyk nazywano. Więc na zebraniu Związku Literatów postawiłem w imieniu centrali sprawę Bąka. Nie wdawałem się w niepotrzebne dyskusje, tylko zacząłem opierdalać, zwłaszcza pisarzy z POP, że działają wbrew linii partii, nie naprawiają błędów i wypaczeń, sprawa Bąka wciąż nie załatwiona, towarzysze. Jednym słowem, odegrałem rolę Jehowy i nie pozwoliłem diabłu dobić biednego zasranego Hioba. Wyjąłem mu łeb z cebrzyka, nawet go trochę wskrzesiłem.

Robiąc dobrą minę do złej gry poznańscy literaci ogłosili, że znowu przyjmują Bąka do Związku, zobowiązali się nawet wznowić jego dawne wiersze.

W ramach wdzięczności za interwencję w jego sprawie zaprosił mnie na wódkę. To znaczy ja piłem wódkę, on jako niepijący – kakao, które specjalnie mu robiono. Także nie pali, nie klunie – stąd pogłoska, że pewnie jest pedałem. Po trzecim kieliszku zapytałem, czy nadal wierzy – po Kościanie, po Dziekance, po torturach. Po zdradzie przyjaciela, tego zakonnika.

Odpowiedział, że tak, choć może trochę inaczej.

– Jak?

– No, chyba sam świat jest cudownym powodem!

Przerwałem mu sztucznym nieco śmiechem. Takiego argumentu nie brałem pod uwagę. Na to nawet ci Żydzi co układali Biblię nie wpadli, ich Hiob po prostu został wymyślony jako przykład wiary „mimo wszystko”: ufnej, bezrefleksyjnej. Przypomina naszych partyjniaków z terenu, który wierzą, że centrala wie lepiej, nawet jak zamknie im ojca albo każe podnieść nóż na syna.

A ten nasz Hiob polny się cieszy po prostu z tego, że jest. Że co rano się budzi – to już powód do modlitwy. A jeśli zobaczy słońce, usłyszy ptaki – pisze wiersze i tańczy. Taką radość można zniszczyć tylko razem z Hiobem.

Do końca wieczoru milczeliśmy – najważniejsze zostało powiedziane. W pewnym momencie chciałem mu powiedzieć o „podtapianiu”, ale wymiękłem. Co ten chuj nadrzewny zna się na metodach pana Boga. Nawet w Szczytnie nie był, tylko w Kościanie. Nalałem po kieliszku, wypilem obydwu i zacząłem się żegnać. Obślinił mnie, albo może to były łzy.

Wracając do hotelu myślałem o filozofii życia. Dostrzegłem głębię w maksymie, którą kiedyś wymyśliłem o Baku. Że życie mu się trafiło – jakby ślepemu psu pojechać. Chyba nie tylko jemu. Także mnie – dzięki czemu ułożyłem tę złotą myśl, także wam, którzy ją czytacie.

Z Poznania nie wyjechałem od razu. I nie z powodu kaca. Chciałem mieć jeden dzień tego trafionego istnienia dla siebie. Mówię to nieco wzniośle, ale wtedy tak wzniośle myślałem. Istnienie mi się trafiło. Następny dzień poświęciłem na zwiedzanie ostatnich pawilonów, których nie rozebrano po Targach Poznańskich. Po obniżonej cenie kupiłem parę półbutów. Po namyśle – jeszcze jedną. Mogłem wracać. Nie wiem, jak Bąk się o tym dowiedział – przyszedł na stację, aby mnie pożegnać. Znowu mnie obślinił.

Na drogę dał mi kartkę z wierszem, napisał coś na odwrocie, wiersz robił wrażenie nieco staroświeckiego, a tego na odwrocie nie dałem rady odcyfrować. Miałem, kurwa, ważniejsze rzeczy do czytania – łatwo zgadnąć, że wypracowania Szefa. Kartka zresztą gdzieś mi się podziała, myślałem, że wsadziłem ją do sejfu, ale były tam różne rzeczy – prócz tej kartki. A potem zapomniałem o niej, jak i o samym Bąku.

W Centrali uznano, że sprawdzam się w pracy z literatami i odtąd działałem głównie na tym odcinku. Jeździłem w teren: Wrocław, Toruń, Szczecino i dopiero, po kilku latach znów Poznań. Docierały do mnie tylko strzępy informacji, w pewnym momencie niezbyt budujących, i to na temat Bąka.

Oczywizda koledzy literaci nie wydali jego wierszy, tylko swoje – oczywizda „odwilżowe”.

Oczywizda Bąk nie przyjął zwróconej mu legitymacji Związku Literatów.

A Rospendeck wyjechał do Wolnej Europy, gdzie do dzisiaj pracuje na etacie antykomunisty i ofiary polskiego antysemityzmu.

Bąk żył, co jakiś czas wyjmował łeb z cebrzyka i śpiewał na chwałę Panu. Dostał jakąś katolicką nagrodę, kupił buty. W Poznaniu wcielano nową linię, miłość partii do literatów, krzywdy zostały naprawione i wszystko na tym najlepszym ze światów toczyło się ku takiemu samemu dobru. Toczyło się i toczy – jakby Bóg przebaczył Hiobowi, Hiob Bogu i od nowa zaczynali wspólny interes.

A tymczasem Bąk wziął i umarł.

Sprawy nie wyjaśniono do dzisiaj.

Wreszcie w górę

Szczęście uśmiechnęło się do mnie dopiero kilka lat później. Marsz w górę towarzysza Moczara, który w 1962 roku pogonił Alstera, a w dwa lata później osobiście zastąpił Wichę na stanowisku ministra – dał awans mojemu Szefowi, więc i mnie. Zostałem wreszcie starszym oficerem operacyjnym. W międzyczasie przeszedłem parę szkoleń, zrobiłem zaocznie maturę i jako sprawdzonego na odcinku literatury skierowano mnie do wydziału zajmującego się w Komendzie Stołecznej literatami, dziennikarzami i równie podejrzanymi typami. Miałem dużo swobody. Sam sobie organizowałem pracę, od podstaw budowałem siatkę. Zaczynałem od nerwowych rozmów w lokalach kontaktowych, potem obiady w „Złotej Kaczce”, powoli stawałem się jednym z nich, w końcu po to zostałem Langiem – wybitnym krytykiem. To oni teraz stwarzali waruneczki, obiadczyki, koleżeńskie ploteczki – żeby sami siebie okłamywać: to nie donos, to przyjacielska rozmowa. Dymałem ich jak chciałem, od przodu i od tyłu, przez usta i przez uszy – a oni robili słodkie oczy niczym kurwy i udawali orgazm. Celowali w tym zwłaszcza partyjni, którzy nie musieli pisać „doniesień”, a tylko donosili ustnie. A przecież wiedzieli, że z tego co mówią będą raporty, wiedzieli, że ich informacje pójdą do wierchuszki SB, a te najciekawsze – na Łubiankę.

Nowa sytuacja miała pozytywny wpływ na mój indywidualny rozwój. Mogę powiedzieć, że w końcu lat sześćdziesiątych zaczął się permanentny mój dokształt. Wtedy to było modne słowo. Każda moja rozmowa z tajnym donosicielem to był taki dokształt! Z historii, z filozofii, z ekonomii – z każdego wydziału miałem donosicieli, z każdej dziedziny wiedzy. Miałem jakiś problem z socjologii – miałem „Gabriela”, czyli Edka Ciupaka, potrzebowałem kogo

mądrzejszego – ściągałem księdza „Filozofa” Życińskiego z Lublina. Księżuło też robił karierę, chciał wyjeżdżać, łatwo było go szantażować. Od poezji miałem Żulińskiego, od prozy – łysego Drawicza, od wydawnictw – dziesięciu innych. Zwłaszcza wymowny był Nawrocki i co lepsze, nie brał pieniędzy. Owszem – koniaki, owszem – kawę, ale on mógł uczciwie przysiąc, że przyjaciół za pieniądze nie sprzedawał... Nawet od astronomii miałem profesorka w Toruniu, światowa klasa! Odkrył jakąś nową planetę. Chuj wie po co... Dzieci królów nie miały takich nauczycieli jak ja! Ponieważ odbywało się to w godzinach pracy – nie miałem oporu, by spotkania wyznaczać jak najczęściej w „Złotej Kaczce”. Początkowo przeszkadzał mi specyficzny zapaszek, ale można się przyzwyczaić. A żarcie może niezbyt wyszukane – ale za to resort fundował.

I to były moje uniwersytety.

Śladami Szołochowa

Rzecz jasna nie od razu odważyłem się zostać autorem. Pierwsze opowiadania – pierwsze koty za płoty. Albo banalne, albo nie wolno pisać, więc jeszcze bardziej banalne. Od któregoś ze współpracowników, chyba od łysego „Zbigniewa” – Drawicza (on był dobry w ruskiej literaturze, bo latami donosił na Ruskich i na ich polskich przyjaciół) dowiedziałem się o numerze Szołochowa. Chodzi mi nie o powieść *Cichy Don*, tylko o ten numer Szołochowa, to był numer na Nobla! Bo tylko kapitaliści, którym sadło przeżarło mózgi mogli uwierzyć, że 20-letni obszczymurek, niedouk gęgający partyjnym i jeszcze wsiowym żargonem mógłby taką epopeję wysmażyć.

Autorem był prawdziwy kozacki pisarz, Fiodor Kriukow. Zabił go w 1920 roku. Nosił ten rękopis w chlebaku niczym największy skarb. A Michał Aleksandrowicz Szołochow był młodą, wschodząca gwiazdą czerezwyczajki. Więc Kriukow oficjalnie zmarł na tyfus, żadnych rzeczy nie pozostawił. Najpierw chciałem coś o tym napisać, może nawet pierdolnąć *essay*. Drawiczowi by nie puścili, choć był potulnym kapusiem, ale ja mogłem sobie załatwić. Że to niby taka prowokacja, że współdziałamy z Łubianką w wyłapywaniu resztek białogwardystów i trockistów – coś zawsze mogłem wykugłować. Jednak doszedłem do wniosku, że ta sprawa daje informacje, które lepiej zachować dla siebie. Na przykład, jak się ten ruski plagiacysta zabezpieczył. Bo Szołochow nie miał wtedy wiedzy literackiej, ale głupi też nie był, kraść umiał – a to przecież podstawa literatury. Pisarz kradnie tak, jak oddycha.

Więc ten Szołochow osobiście zaczął przepisywać to, co ukradł. A że szkoda mu było czasu – to machnął pierwszą połowę, a resztę kazał przepisywać żonie i jej siostrze. W ten sposób niczym Stachanow wyprodukował rękopis „pierwszej wersji”. Jak się zaczęły podejrzenia – papiery już miał przepisane, ale najpierw zapodał, że rękopis zaginął. To zbudowało dramatyczne napięcie – jak w dobrej sztuce. A gdy plotki się nasiliły – na specjalnym zebraniu partyjnym zapodał, że rękopis się odnalazł! Radość jak w kołchozie po wypłacie. Odnalazły się karty pisane jego własną ręką, odnalazły się też fragmenty, które z powodu zaszczytnych ran frontowych musiał dyktować żonie i jej siostrze. Plotkom ukrecono łeb, paru plotkarzom też chyba, a na pewno poszli do łagru. *Krasota!*

W całej aferze *Cichy Don* zaginął tylko rękopis Kriukowa i sam Kriukow. Ciało nigdy nie odnaleziono.

Oczywista NKWD wiedziało o całej sprawie i miało na Szołochowa haka, ale nie chciało go zdemaskować. Tej klasy współ-

pracownik to skarb, to superagent wpływu. Rozumiem ich – też się cieszyłem jak początkująca bladź, gdy uwiodłem pisarza Kuśniewicza czy starego Szurmieja. A Szołochow, żeby się przypodobać władzom, machnął potem *Zaorany ugór*. Gorszy niż *Cichy Don*, ale bardziej słuszny, sam Stalin czytał. Wiadomo, że trzech łagrowców pisało to za Szołochowa, za dodatkową michę zupy i obietnicę skrócenia odsiadki, podobno byli to niedawni plotkarze. Wiadomo było, że nie wyjdą, bo wiedzą za dużo.

„Projekt Szołochow” trwał ponad ćwierć wieku, niektórzy sobie pożyli, warto czasem mieć talent. Pierwszy tom *Zaoranego ugoru* wydano w 1932, jeszcze za Gienricha Jagody, drugi nadzorował sam Jeżow, lecz nie skończył, poszedł pod *stienku*. A ten końcowy tom wyszedł dopiero w 1959!, po Berii nawet. Do tego paru innych podpadniętych zeków literatów napisało Szołochowowi kilka opowiadań. Ta operacja warta była każde pieniądze! W 1965 Michał Aleksandrowicz dostał Nobla, jego dzieła szły na Zachód, potem zaczęto zapraszać tam samego Szołochowa. Radzieccy przekupywali tłumaczy i krytyków, przekupywali albo straszili oficjeli – i zapraszali połamani chuje Noblistę, jako Autorytet Numer Jeden, jako *gieroja nasziewo wriemieni*. I gieroj tłumaczył tłustym i naiwnym burżujom, że w ZSRR nie ma łagrow i wszyscy są w sześć pizd szczęśliwi...

A gdyby Szołochowa posłano do łagru – jaka korzyść? Zginąłby jak jaki Mandelsztam. A więc odpowiadając na pytanie, powtarzam grubymi bukwami: zadebiutowałem pod wpływem Szołochowa. Wziąłem przykład z prawdziwie komunistycznego pisarza, he, he.

Na pytanie tej pindy z „Polityki” odpowiadałem podczas gali szczerze, ale zdawkowo: „inspiracje czerpię z życia”. Teraz to mogę rozwinąć. Czerpię nie tylko ze swojego – bo co ja przeżyłem? – dzieciństwo na wsi, potem awans do miasta, a właściwie przejście

do świata tajnych służb, do świata wiecznych kłamstw i strachu. Z łąk i pól – do cuchnących krwią piwnic. Prawie pół wieku w UB i w SB! Nie wolno o tym mówić ani pisać. Lecz kto powiedział, że wszystkie książki mają być autobiograficzne? Praca w SB zabrała mi moje życie, lecz obdarzyła mnie niemal boskim dostępem do życia tysięcy innych ludzi. W swoim ubeckim życiu miałem tylko tę wyprawę do Płocka i na Polesie i tych debili w fabryce pod Warszawą. Potem trochę jeździłem – Poznań, Wrocław, nawet Kazimierz, nawet Krym i Moskwa. Ale to wszystko mało, wszystko po naszym małym śmierdzącym podwórku. Ale harówka w SB dała mi dostęp do tysięcy donosów! A od pewnego momentu sam mogłem takie donosy zamawiać, stawiać wymagania co do treści, wypatrywać i obwąchiwać to, co jest zazwyczaj skrywane, najbardziej prywatne, co tabu. Tak, to warto zapisać!

Wyskoczyłem z łóżka by znaleźć ołówek i kartkę, lecz niczego nie zapisałem. Ktoś zastukał do drzwi. O tej porze? Może to ten bydlak Wiktor? Ten typ potrafi zrobić każde świństwo, a budzić kogoś o tej porze, to właśnie świństwo. Nie muszę otwierać... Ale może to ktoś z Wydziału, oni lubią takie nocne narady...

Za drzwiami stała Laryssa, kapelusz trzymała w ręku. Uciekła z hoteliku ZLP i sądząc po zmęczonym wyglądzie, po mokrych włosach – przyszła do mnie piechotą. I wtedy popełniłem największy błąd w życiu – kazałem jej się wynosić. Inna rzecz, że uchyliły się drzwi z naprzeciwka, ale przecież stała tyłem do nich, twarzą do mnie.

Upłynęło ćwierć wieku, a ja wciąż widzę jej uśmiech zamieniający się w maskę.

Młodość Laryssy

Nie ukrywam, że szkoda mi tej dziewczyny. Chujowe miała życie. Wpadła z nauczycielem, który ją wykorzystał czy z kolegą z klasy na prywatce, kiedy pierwszy raz się upiła. Detalicznie to nie wiadomo, nawet spowiednikowi nie powiedziała prawdy. Kręciła raz tak, raz siak, może sama nie wiedziała kiedy i z kim, biedne kurwiátko. Zamiast pierwszej miłości – pierwsza skrobanka, do tego nieudana. Prowincjonalny felczer wziął za zabieg, coś pogmerał, pokrwawił – ale ciąża rozwijała się dalej. Potem było za późno, zresztą sama już nie chciała. A wszystko to przed maturą. Dookoła prowincja, dewotki krzyczące za nią „kurwa”, ksiądz szczujący z ambony. Więc urodziła nie z miłości, a na złość światu, zostawiła płaczącą córeczkę rodzicom i wyjechała do Warszawy. Próbowwała się jakoś zaczepić, zarobić, żeby ściągnąć dzieciaka. Ładna była to i chętnie ją zatrudniano w barach a nawet w lepszych kawiarniach. Potem szef się zaczynał dobierać do jej majtek, dostawał w pysk a ona szukała nowej pracy. Przy okazji zaczęła się kręcić po prywatkach, wieczorkach literackich, w „Hybrydach” – znakomicie udawała studentkę, nawet nasz wywiadowca, Janek, się nabrał. Ale to nam pomogło. Zauroczył się jej urodą, zaczął sprawdzać – okazało się, że nie studentka, nie mieszka w akademiku i w ogóle dziewczyna znikąd.

Janek złożył nam rutynowe sprawozdanie, sfalszowana legitymacja studencka to znakomity hak, *komprmaterial* jak mówiliśmy z ruska. Ale zdecydowałem, że można z tym poczekać. Ubrałem się w dzinsy, sweter i poszedłem z Jankiem do „Hybryd” na Mokotowską. Pokazał mi ją z daleka. Zachowywała się naprawdę jak królowa, choć w tym prząśnym, robotniczo-chłopskim stroju nie miała gdzie się tego nauczyć. Zamiast korony miała duży kapelusz,

pewno kupiony, gdy jakiś splajtowany teatr wyprzedawał kostiumy. Poza tym była bardzo blada.

Kazaliśmy Jankowi się nią zająć, spotkać niby przypadkiem na przystanku, złożyć wizytę z kwiatami. Nasi współpracownicy z ZLP układali mu teksty, jak marzy o rodzinie, o córeczce. Najpierw go lekceważyła, ale w końcu zaczęła się spotykać, zaczęła także – i to było niebezpieczne – wypytywać Janka o pracę. Załatwiliśmy mu robotę w księgarni koło filharmonii. Pół etatu starczyło. Po tygodniu kazaliśmy mu się „przyznać” na randce, że pracuje w księgarni i podać adres. Dwa dni potem poszła tam niby przypadkiem, a tak naprawdę to sprawdzić – chyba cały czas coś podejrzewała. No, ale zobaczyła go za ladą. Wypożyczał jej na lewo książki z półek, potem wstawiał z powrotem. Jedną, zbiór Jesienina, już po zwróceniu poplamiał herbatą i przy okazji podarował Laryssie. Gdy zrobiła zdziwioną minę, najpierw długo się droczył, potem pod jej naciskiem wydusił, że to ona poplamiła egzemplarz, więc nie mógł go wstawić na miejsce i po prostu odkupił. W ten sposób wszystko jest w porządku, a ty możesz mieć własnego Jesienina. Tylko przepraszam, że z plamą, ale to będzie nasza pamiątka. Głupia, sentymentalna pinda miała łzy w oczach, a Janek przytulił ją do siebie, nie pocałował, ale pogłaskał po włosach – zgodnie z instrukcją.

Po paru dniach zaczęło się odprowadzanie, lecz nic z tych rzeczy, mieszkała w małym pokoiku przy rodzinie. Polacy katolicy, co to sami nie dupczą i drugiemu nie dadzą.

Tyle że Janek podszkolił się w literaturze – ale niezbyt go to rajcowało. Pół żartem wyrzekał, że tego nie ma w zakresie obowiązków, dodatek bhp za pracę szkodliwą dla zdrowia się należy! Rzygam tą współczesną poezją, tego nie da się czytać – narzekał.

Kto powiedział, że praca w resorcie jest łatwa, czasem wymaga poświęceń.

Potem zaczęła się ta sprawa z córką. Bo Laryssa chciała ją wziąć do siebie – a rodzice nie chcieli ukochanej wnusi oddać. Częsty przypadek. Próbowwała założyć sprawę w sądzie – skończyło się na komisji pojednawczej, która ją przekonała, że nie wygra. Adwokat jej starych udowodnił, że jest nie zrównoważona, puszczańska, nie ma mieszkania, nie dostanie przedszkola, jednym słowem, nie wychowa córki na dobrą obywatelkę socjalistycznej ojczyzny. Dostała tylko prawo widywania córki. Wróciła do Warszawy jak skopana suka, napisała list z obelgami, o wszystkim opowiedziała Jankowi. Była strasznie samotna.

Ojciec odpisał na jej list – uroczyście ją wykłął. Larysso, córeczko moja, ostatni raz tak się zwracam, bo nie jesteś już moją córką... Tak, czytałem. Listonosz przyniósł, jak nie było jej w domu, Janek odebrał, coś go tknęło – lecz otwierał, chuj głupi, tak nieumiejętnie, że uszkodził kopertę – i przyleciał po ratunek. Zajęli się tym nasi fachowcy, dali nową kopertę, znaczek z dopasowaną pieczętą, no i wszystko musieli przepisać. Ale pismo najłatwiej podrobić, starczy parę typowych zawijasów. Laryssa do dzisiaj nie wie, że ma kopię a nie oryginał.

I tak to się zaczęło. Szefostwo doszło do wniosku, że można ją wykorzystać w środowisku studenckim a nawet literackim, na prowadzącego wyznaczyli Janka, ja miałem nadzorować całość.

Postanowiliśmy zastosować jednocześnie metodę kija i marchewki. Operacja była dość prymitywna, improwizowana, ale liczy się to, że się powiodła. Janek powiedział, że ma dojścia w spółdzielni. Ktoś nie wykupił mieszkania, jest do wzięcia od zaraz, zanim się rozejdzie wiadomość.

– A pieniądze?

– Mam dojścia do prezesa banku, dostaniesz kredyt.

– A co w zamian?

– Nie zadawaj głupich pytań. Czy nie rozumiesz, że jak masz duże mieszkanie, to pozwolą ci ściągnąć córkę?

Więc Laryssa nie zadawała głupich pytań. Trzeba było złożyć wizytę dyrektorowi spółdzielni – złożyła. Trzeba być miłą dla prezesa banku – była. Chodziło o to, żeby ją oswoić z przyszłymi zadaniami, ale żeby to było na razie niezbyt odstręczające, z niewielkim stopniowaniem trudności, to znaczy ohydy. Przeszła, przeskoczyła o metry nasze oczekiwania.

Na pytające spojrzenie Janka odpowiedziała:

– Zacisnęłam zęby i rozłożyłam nogi. A jak on zaczął walić, wyobraziłam sobie, że jestem daleko stąd, gdzieś z córką na spacerze i już do końca wyobrażałam sobie jaką ulicą idziemy, w jaką skręcamy, tu kupuję jej lody, tu balonik, taki niebieski... Ale nigdy już tego nie zrobię, prędzej się pochlastam.

Wtedy Janek nacisnął ostatni klawisz. Przyznał się, że pracuje w MSW i że musi porozmawiać jeszcze z szefem, bo mieszkanie jest z puli MSW. Powiedział mi o tym tak, że chciałem mu dać po pysku:

– Przy okazji szef sobie pojebiesz...

Radość Laryssy

Bo tajemniczym „Szefem” byłem oczywiście ja.

Spotkaliśmy się w lokalu kontaktowym, czyli w mieszkaniu Stacha Bruzdy, który miał wtedy kłopoty a my, żeby mu pomóc, podnajmowaliśmy od niego pokój na kilka godzin dziennie, za co dostawał 600 złotych za miesiąc.

Laryssa przyszła przed czasem. Gdy zobaczyłem ją z bliska, zostałem zaskoczony jej nieco orientálną urodą i tym, że jakby prze-

widując co ją czeka, dość ordynarnie się umalowała, nawet dodała sobie kolorów na policzkach, jakby wchodziła w rolę dziwki. Usiedliśmy obok siebie na wersalce, Laryssa zaczęła się rozbierać, kiedy rzuciła bluzkę i brała się za biustonosz – chwilę popatrzyłem, jak się szarpie a potem złapałem ją za rękę:

– Nie po to tu przyszedliśmy!

I kazałem jej się ubrać. Następnie zwięźle wyjaśniłem jej sytuację. Powiedziałem o wstępnych szkoleniach – szyfry, gubienie ogona, wywoływanie kontaktów – ale na pocieszenie dodałem, że najpierw będzie miała dwa tygodnie, by nacieszyć się córką, i że załatwiliśmy dla córeczki przedszkole.

Nawet się nie zdziwiła, skąd to wszystko wiemy.

Kilka lat później zwróciła się z najdziwniejszą prośbą. Umówiła się ze mną w „Kameralnej”, specjalnie przedtem poszedłem do fryzjera... dałem odprasować garnitur. Przyszedłem wcześniej. Żeby nie wyjść na wieśniaka zasięgnąłem rady „Hölderlina” i kupiłem jej w antykwariacie Rilkego. To znaczyło, że traktujemy ją jak pisarkę, sobie też wystawiałem dobre świadectwo. Gdy weszła – aż wstałem z podziwu. Była w letniej, krótkiej sukience, rozjaśnione włosy, warkoczyk. Byłem tak zaskoczony, że zwróciłem się do niej per „pani”:

– Wygląda pani jak własna siostra, chciałem podkreślić: młodszą siostra!

– O, to dobrze, bo ja właśnie mam prośbę.

– Jaką prośbę?

– Dużo bym dała – zawiesiła głos i powtórzyła – dużo bym dała za wyrobienie dokumentów.

– Przecież ma pani dokumenty – zauważyłem. Przynęty nie połknąłem, była wulgarna, niegodna tej dziewczyny. Zamiast tego zapytałem z troską:

– Czy coś się stało.

– Jak widać, odmłodziłam. A moja córeczka podrosła. Nikt nie uwierzy, że to moja córka. Zresztą jako wolna dziewczyna opiekująca się siostrzyczką, byłabym bardziej przydatna w działaniu operacyjnym.

Sztampowy zwrot zupełnie do niej nie pasował. Zachowywała się, jakby odgrywała wyuczoną rolę. Nastroje poprawiły się trochę, gdy podarowałem jej Rilkego, poprosiła o dedykację – aż mnie korkiło, żeby podpisać się podając stopień, ale jakoś złość mi wyparowała, tak jak mi radził „Hölderlin”, zapisałem jej fragment wiersza o Orfeuszu, dla szpanu – w oryginale, trochę, żeby ją speszyć, trochę żeby coś tym cytatem powiedzieć.

*Sie war in einem neuen Maedchentum
und unberuehrbar; in Geschlecht war zu
wie eine junge Blume gegen Abend¹*

– niech wie, że sroce spod ogona nie wypadłem – pomyślałem. Złośliwie zastanawiałem się też, ile czasu zajmie jej przetłumaczenie, a ile zrozumienie cytatu. Okazała się jednak na tyle cwana, że dopasowała dedykację do linijek wiersza o Eurydyce. Może знаła trochę niemiecki, może jidysz.

Parę dni później zgłosiłem się do swojego Szefa, starczył jeden jego telefon i Laryssa została siostrą swojej córki, ledwie kilka lat starszą.

Od tej pory była nasza. Parę razy zdarzało się nam nawet noco-
wać w tym samym hotelu, raz przyszła do mojego pokoju – lecz do

¹ Była jak w jakimś nowym dziewictwie / i niepokalana, w płci zamknięta / jak młody kwiat przed wieczorem

niczego nie doszło. To ja nie mogłem się przemóc... Za to gdy waliła się z innym, na złość mnie, czasem w sąsiednim pokoju, za cienką, jakby przezroczystą ścianą – chciało mi się wyc.

No a potem zdarzyło się to wszystko, o czym już wspominałem. Jak na diabelskim młynie: fruniesz w górę, aż serce staje w gardle, a potem spadasz w przepaść. Z Jankiem trochę jej się popsuło, praca u nas jest, jak mówią, stresująca, ciągle wyjazdy z domu, zero życia rodzinnego, coraz mniej ciepła – zaczął pić. Oczywiście niczego nie pisał, nie czytał, jakby raptownie zgłupiał i nawet cieszył się z tego. A Laryssa poznała lepszych i prawdziwszych poetów. Najpierw przeżyła kilka miesięcy euforii, ona naprawdę czuła się poetką, pisała na nich donosy, lecz skoczyła by za nich w ogień.

Czasem brała z sobą córeczkę, mówiła, że to jej siostrzyczka i nawet pokazywała dowód osobisty. Owinęła sobie wokół palca kilku poetów – tylu, ilu chciała. Mamy ich zdjęcia przy jakimś ognisku w parku Świętochowskiego w Gołotczyźnie, mamy przed tym białym, neogotyckim pałacem w Opinogórze, i to razem z profesorem Tatarkiewiczem, mamy zdjęcie w Płocku – z łużyckimi poetami na Wzgórzu Tumskim i drugie na dziedzińcu zamkowym, jak podpisuje swój tomik. Pojeździła sobie dziewczyna. A jeszcze później Laryssa występowała jako „Maria” – i wierzyła, że naprawdę jest Marią, taką z wierszy młodych poetów, niepokalaną. Ale to już osobna historia.

Literatów życie codzienne

Moje życie się zwielokrotniło. Majchrzak robił karierę w resorcie, Lang w kulturze. Ponieważ jednak dysponowali jednym ciałem – trochę im było ciasno. Kawałki Langa wyrastały, lub raczej

były zaszczepiane na kawałkach Majchrzaka, i te pierwotne czasami wylaziły na wierzch. Ale na co dzień się godzili. Generalnie biorąc, Majchrzak robił się coraz ważniejszy w bazie a Lang w nadbudowie.

Jako major Stanisław Majchrzak po paru latach miałem pod sobą całą warszawską siatkę. Koźniewski, Odojewski, Kuśniewicz, Drawicz, Lewin, Zaniewski, Gąsiorowski, młody Grynberg i stary Szurmiej, dwóch Szczypiorskich, ojciec i syn, jeden Kapuś-ciński i jeszcze księżulo Czajkowski. Agenci aktualni i agenci byli – bo kto raz został agentem – ten nigdy nie przestaje, do niektórych zwracaliśmy się o pomoc po kilkuletniej przerwie. Można powiedzieć: ludzie to przeszli i przyszli agenci. Perspektywiczni, jak mówiono. Dlatego nawet kiedy nie donosili – zachowywali się jak donosiciele. I bali się jak donosiciele. Elita Polski, ich mać. A ja zostałem pastuchem tego stada – jakbym znów był u siebie w Szczepanówce. Tylko że nawet świnie nie donosiły jedna na drugą, a krowy jak patrzyły w oczy, to uczciwie patrzyły. Żaden literat tak nie patrzy jak krowa.

Jako Majchrzak sprawowałem też kontrolę nad wybranymi agentami z Gdańska i Wrocławia, dla jaj mówiliśmy na każdego „Wałęsa”, albo po prostu „Bolek”. Całą Polskę oplątywała delikatna, czerwona pajęczyna, a ja tkwiłem pośrodku... Czasami otwierałem szafę, wyjmowałem papiery z sejfu i rozkładałem na stole jak karty. Taki pasjans czy poker. Potem się miało okazać, że są to ważne źródła literackie, psychologiczne, polityczne i chuj wie jakie jeszcze. Jak źródła Wisły, których jest kilka, zanim połączą się w strumyk. Ich odkrywcą był Majchrzak, ale pić miał z nich kto inny. Też ja.

Lang rozwijał się w innej sferze. Z książki na książkę nabiera-

łem wiedzy i odwagi, więc moje teksty były coraz bardziej odległe od „bazy”, to znaczy od „doniesień” znajdujących się w sejfach MSW; można powiedzieć, że latały coraz wyżej. Rok po debiucie wydałem poszerzone wydanie *Człowieka wobec luster*. Trochę pomógł mi w tym sprytny Majchrzak: jeden z TW dostał książkę do recenzji z gotowym tekstem, drugi TW, który został dyrektorem wydawnictwa – wydrukował w dużym nakładzie. Do zbioru doszły najświeższe i najlepsze donosy z ZLP – oczywiście twórczo przetworzone. Wiktora sobie odpuściłem, nie mogłem przemóc obrzydzenia – czytam jego wypociny o poetach metafizycznych, a widzę gębę śliniącą się przy moim rozporku. Trochę białą, a miejscami różową.

Z tego co wyszło, mogłem nawet być dumny, Lang stawał się coraz bardziej moim dziełem.

Doktor **Lewy** napisał raport o środowiskach pomarcowych w Szwecji, Anglii i Francji, dostał na to dotację zwaną konspiracyjnie stypendium twórczym MSW. Odwiedził koleśków sprzed Marca, odwiedził znajomych ojca z KPP – a potem wszystkich równo obsmarował gównem. A ja zrobiłem z jego szmatławego donosu drugą swoją mapę – polityczną mapę polskiej literatury emigracyjnej i dołączyłem do drugiego wydania swojej książki. Jego złośliwe uwagi typu: *odkąd wyjechał znowu zaczął żydłaczyć* przerobiłem na swoją troskę o pisarzy, którzy *odłączeni od mowy ojczystej piszą językiem coraz bardziej martwym*. Zakończyłem apelem o powrót – co uzgodniłem z Szefem. Lepiej mieć to bydło pod kontrolą. Nasi rzecz jasna zrobili z tego kopię, radzieccy byli bardzo zadowoleni, bo w Skandynawii prawie nie mają agentów. Ludzie ich tam nie nawidzą od czasu napaści na Finlandię. A teraz ruski „dyplomata” może przyjść do emigracyjnego prezesa stowarzyszenia ofiar polskiego antysemityzmu i zamiast powiedzieć „dzień dobry” powiedzieć: *wracaj chuj do roboty. Bystro, job twoja...*

Wpadło mi w ręce „doniesienie” wrocławskiego TW „Konara” – całkiem dobre! – o roli konkursów poetyckich organizowanych przez ZMS we Wrocławiu i Kłodzku. Podobno jest to jakiś nasz wybitny prozaik, ale nie jestem pewien, nie ja go prowadzę. To on nam uświadomił, że robiąc takie konkursy my nie chwytemy poetów, bo niewielu laureatów pozostanie przy pisaniu wierszy. My chwytemy w sieci przyszłych nauczycieli, dziennikarzy, filmowców, my już opłatujemy przyszłość. Nienawisć „Konara” do AK i powojennych band wydaje się autentyczna, warto będzie poznać jej źródła i w ogóle zainteresować się gościem. Nasz człowiek we Wrocławiu! Oczywiście po drobnych przeróbkach jego donos zmienił się w mój esej.

Dołączyłem też mapę naszej współczesnej poezji katolickiej. Że niby jestem taki otwarty i tolerancyjny. Za trampolinę posłużyły mi donosy „Oriona”, czyli Hellera. Szpiclował dla nas paksowców, miał dobre kontakty z Kościołem, więc jego panorama była rozległa – od PAX-u do „Tygodnika Powszechnego”. Parę donosów Żulińskiego też się przydało. Ja tylko zmieniłem kompozycję i dodałem – to już mój wynalazek – metaforyczne ramy. Zacząłem, że poezja księży ma dwa skrzydła: jedno wyciągnięte ku niebu, to poezja księdza Jawienia i drugie, skierowane ku ziemi, ku małym sprawom ludzi, nawet dzieci – to wierszyki księdza Twardowskiego. Dałem do zrozumienia, że to co między tymi skrzydłami to raczej kiepski materiał, zbyt ciężki na latanie, obciąża, ośmiesza skrzydła. A tak *między proczim*: Jawień wygląda na pseudonim. To jest pewnie jakiś wybitny prowodyr Kościoła, a jak nie jest – to będzie.

Problem sprawiła mi tylko recenzja Laryssy z „Głosów”. Dziewczyna się rozwijała. Nie chodzi mi o talent, na tym się za bardzo nie znałem, ale wynalazła sposobik na pisanie donosów na oczach znajomych, przy stole i nawet w łóżku. Pisała otwarcie, jak kto zaglądał przez ramię – odganiała:

– Nie podglądaj, powieść na konkurs piszę!

Potem przynosiła to do nas i razem, głowa przy głowie, odszyfrowywaliśmy poprzekręcane nazwiska.

Recenzję z „Głosów” machnęła zanim książka ukazała się na rynku, to była pierwsza recenzja tego tomu, dobra, nawet, kurwa za dobra!

Spotkałem się z nią specjalnie w „Złotej Kaczce”, by ją trochę podszkolić. O wrogach nie pisze się tak obiektywnie. Wrogów należy zamilczeć, gdy się nie uda – ośmieszyć, gdy się nie uda – zlikwidować. Spytałem ją, czy sypia z autorem. Zaczzerwieniła się i zaprzeczyła. Wtedy ją zaskoczyłem: a dlaczego?

Popatrzyła mi w oczy, chwilę wytrzymałem jej wzrok, ale tylko chwilę.

Recenzję zatrzymałem w teczce.

I znowu pojechałem w komandirówkę. Trzeba było dokończyć sprawę Bąka. Szef mówił, że nie przykładaliśmy ręki.

Hioba dzieje śmiertne i pośmiertne

Biedaczyna przydrożny – tak nazywano Bąka z aluzją do świętego Franciszka. W resorcie używaliśmy bardziej męskiej przeróbki tego miana. Dziwnym trafem byłem wpłątany w jego życie, sam nawet jego życie płątałem. Jego śmierć, jak już przyznałem, przepięłem. Podobno była tajemnicza, ciągnęła się latami (sprawa nie śmierć), wreszcie zajęło się nią nasze ludowe „archiwum X” – taka komanda od spraw niewyjaśnionych, a może i niewyjaśnialnych w sposób konwencjonalny. A mnie wrobiono dlatego, że się otarłem o sprawę, więc i trochę o śmierć „przydrożnego”.

– Nikogo lepszego do tej roboty nie mamy – powiedział SzeF. – Uczestnicy wydarzeń nie żyją, a ty coś tam pamiętasz. A żeby ci pamięć odświeżyć, ściągnąłem z Poznania trochę materiałów, resztę dokumentacji wyrwiesz im z pysków na miejscu.

– *Tak toczno* – odpowiedziałem, bo i co miałem powiedzieć.

Zajrzałem do wręczonych mi przez SzeFa teczek, pogrzebałem też trochę w naszym biurze „C”. Kilka donosów, kilka wierszy. Za mało, żeby sobie wyrobić jasny pogląd. SzeF twierdził, że centrala nie brudziła sobie rąk trupem tego „pojebanego poety”, ja także w to wierzyłem – chociaż z innego powodu. Uważałem, że ta śmierć nie miała prawa nastąpić, po prostu nie pasowała do poprzednich wydarzeń, niszczyła ich sens i logikę. To jakby Noe się utopił albo też święty Paweł zamiast pisać do Koryntian o miłości i w ogóle rozwijać chrześcijaństwo – wrócił do judaizmu. A na drodze do Damaszku nawrócił się jego koń.

Coś zostało przerwane w połowie, coś stało się absurdalne.

No i po latach znalazłem się znów w Poznaniu. Na komendzie najpierw nie mogli znaleźć teczek, mówili, że pewno już zostały zlikwidowane, dopiero gdy ich postraszyłem konsekwencjami, że zniszczyli materiały tajne spec znaczenia – przypomnieli sobie, że może są w piwnicy. Teraz tam już nie przesłuchują.

– Mamy tam coś w rodzaju waszego biura „C”, gdzie takie rzeczy archiwizujemy.

Posłali na dół jakiegoś sierżanta, porucznik na górze polewał – nikomu się nie spieszyło. Gdy sierżant wrócił z teczkami, wszyscy byli pijani w trzy dupy. Ale na trzeźwo też nikt by niczego nie wyczytał. Było kilka donosów przyjaciół literatów na Bąka, przede wszystkim z Poznania, choć i z Warszawy – gdy przyjechał na jakiś zjazd. Potem protokół, a właściwie kopia protokołu z miejsca wypadku, jakaś analiza zdarzenia pisana przez ewidentnego debila

– i to wszystko.

Wywiadowca informował, że Bąk wiadomego dnia zmienił porządek zajęć. Na początek poszedł mimo wszystko do kościoła. Mimo wszystko – bo cały Poznań wiedział, że poeta miał na pieńku z hierarchami. No ale z Bogiem nie miał. Przystąpił nawet do komunii. I dopiero po wyjściu z kościoła poszedł do swojej ulubionej knajpki „Metro”. Prawdę mówiąc, tania mordownia. Zamówił jak zwykle ulubioną kanapkę z tatarem, obsługa nawet go lubiła, czasami „na koszt firmy” dodawano mu lampkę alkoholu. Wódki nie pił, na koniak czasem dawał się skusić. Tym razem kanapka była dość pieprzna, lecz niemal demonstracyjnie odmówił spożycia alkoholu, łaskawie tylko łyknął wody. Nie jak człowiek, ale jak zwierzę – skomentował nasz wywiadowca – co podobno nagrodzono oklaskami. Poeta spałaszował kanapkę, wstał, kierując się w stronę drzwi – upadł – i więcej nie żył – jak sformułował wywiadowca. To mi coś przypomniało, nie z naszej wprowadzie historii tylko radzieckiej, ale za to dokładnie. Postanowiłem to sprawdzić po powrocie.

Był też meldunek z pogrzebu. Katolicki, więc może rzeczywiście dali mu wcześniej tę komunię. Ewangelikom, z którymi ostatnio trzymał, nie pozwolono ani na przemówienia, ani na zbiorową modlitwę. Pastor chciał go pożegnać psalmem – też nie. *Mołczy durak!* O śmierci nic więcej nie pisano.

To było w 1961 roku, 30 kwietnia. Sekcji nie przeprowadzono, jako powód wpisano: *zatrzymanie akcji serca*. To następuje zawsze – u samobójców i pomordowanych zarówno.

Ostatni świstek, jaki znalazłem w teczce na jego temat, to był świstek z wierszem:

Bóg mnie rzucił na ziemię jak w burzliwe morze.

*Zły ze mnie pływak – mdleje mi bezsiłą ramię.
Wiem, nikt tratwy nie wyśle, w walce nie pomoże,
Jakbym był odrzucony na wieki w niepamięć.*

*Ale stado żurawi, płynąc w dal przecutą,
Uczy mnie wierzyć w Boga, który nim kieruje –
I pogodą ich skrzydeł rozkwita mój smutek.
I Jego skrytą pomoc w mych ramionach czuję.*

Tak, to ten wiersz, który dał mi na pożegnanie.

Na drugiej stronie – jakby rodzaj komentarza, a może pomysł nowego wiersza było zdanie, którego kiedyś nie mogłem odcyfrować, atrament rozlał się po kartce z przyczyny łez. Na szczęście potem odczytał tekst jakiś ekspert i dokleił kawałek napisany na maszynie. *Jestem tak szczęśliwy, że mógłbym popełnić samobójstwo. Bo wiem, że On tam czeka wyciągając ręce.*

Świstek zwinąłem niby „do laboratoryjnego badania”, miałem prawo. Nie kradłem, odkradałem. Wiele lat czekał, żebym go przeczytał. Ale nie tak miało być. Jeżeli brałem udział w historii Hioba, to ktoś w niej poprzestawiał sceny, a nawet zmieniał zakończenie. Ktoś, kurwa, przesadził z podtapianiem.

O Laryssie nie myślałem. Nie była taka ważna. Były sprawy ważniejsze. Po powrocie z Poznania miałem kilka wyjazdów w teren, między innymi do Krakowa. Musiałem także jechać do Torunia. O tym właśnie wyjeździe muszę wspomnieć – los znów mnie zetknął z Laryssą.

„Mellud” Toruń

Okazało się, że jest problem z Wiktorem. Przynajmniej dla Szefa, nie dla mnie. Ale to ja mam jechać z Jankiem do Torunia, żeby ratować Juniorowi tyłek. Dostał „komandirówkę” na prowincję, został szefem niewielkiej siatki. I tu wykręcił numer, za który według jednych powinien siedzieć, według drugich zostać ministrem. Chcieli go wyrzucić i ze Związku Literatów, i z partii.

Już tłumaczę dokładniej o co chodzi. Wiadomo, że za wykonywanie utworów lecą do kasy ZAiKS-u, czyli Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych tantiemy dla twórców. Tylko trzeba zarejestrować nazwisko i pseudonim. Pod koniec roku kontrola ze zdziwieniem odnotowała, że najwięcej forsy, tyle ile pozostali tekściarze i kompozytorzy razem wzięci, dostał jakiś mieszkaniec Torunia, ale całkiem spoza branży. Niby nie było zarzutów – ale zaczęło się gadanie. Miałem jakieś przeczucie i postanowiłem przyjrzeć się sprawie bliżej. Przeczucie mnie nie zawiodło. Tantiemy kosił jak chłop zboże nasz bohater, nasz Wiktor. Oczywiście nie na nazwisko. Opatentował pseudonim... „Mellud”. *Krasota!* Wszystkie tantiemy za melodie ludowe, które tym skrótem były oznaczane na płytach, na filmikach, w radiu i w telewizji – „Mel. lud”. – płynęły na jego konto. Setki tysięcy. Gdy zażądano zwrotu, stwierdził, że przyjął pieniądze w dobrej wierze i w dobrej wierze przepił. Ci z Torunia to z samej zazdrości chcieli go wykończyć. Wkroczyłem na zebranie ich Związku i zażądałem, by został tylko zarząd i członkowie partii. Kazałem polać wódki, a potem rozpocząłem mowę. Zgodnie z poradą Szefa nie używałem modnego słowa ciul, tylko jak kiedyś się mówiło, zwyczajnie chuj – toruński komitet jest dość konserwatywny. Dla starych moczarowców, chuj to znak, jak magiczne zaklęcie. Młodzi karierowicze już prawie nie używają słowa chuj, a tylko ciul, wy ciule itp. To kod dla wtajemni-

czonych, że należy się do ekipy Gierka. Prostacki chuj jest symbolem promoskiewskiego betonu, ale też odchodzących w przeszłość moczarskich „partyzantów”. Jednym słowem, toruńskiego komitetu PZPR.

A przechodząc do adremu. Po wypiciu „za drużbu”, w imieniu Centrali „zdradziłem” im partyjną tajemnicę. Otóż SB prócz akcji rutynowych przewidywanych w budżecie, wykonuje specjalne tajne albo zlecone przez towarzyszy radzieckich. Takich i najmądrzejszy budżet nie przewidzi, na nie trzeba pozyskiwać ekstra środki i właśnie obecny tu towarzysz „Mellud” wykonywał na tutejszym terenie takie odpowiedzialne zadanie. W imieniu służby wyrażam Wiktorowi Z. (nazwisk w służbie się nie ujawnia!) podziękowanie w tym gronie, bo publicznie tego robić nie wolno, procedury w całym bloku zabraniają. Przyczepiłem mu do klapy odznakę pożyczoną od Szefa. Dostał ją kiedyś od radzieckich. Tarcza, na niej miecz, na nim gwiazda, a na wierzchu jeszcze sierp i młot. Przydała się, bo niektórzy wiedzieli o co chodzi. Moją opowieść kupili, bo mimo lekkiej formy otwierała się na sprawy przerażające, sprawy, o których woleliby nie wiedzieć. Szybko rozlali następną kolejkę. I następną, żeby zalać tę straszną, otwierającą się w duszy dziurę. Ktoś rzucił propozycję, żeby pomaszerować do ratusza, gdzie jak raz zaczął się ochłaj dla laureatów konkursu twórców ludowych. Coś mi się obilo o uszy, bo kiedyś wkręciłem Larysę do jury czegoś takiego, niech ma na córkę, ale potem o sprawie zapomniałem.

Przeszliśmy całą komandą na ratusz – jak marynarze „Aurory”. Krok na ukos w lewo, potem na ukos w prawo. Na ratuszu zabawa była w całej pełni. Nad salą unosił się specyficzny zapaszek. Wtedy modne zaczęły być tak zwane szwedzkie stoły, Europa, kurwa! Twórcy ludowi przepychali się wokół żarcia, parę osób tańczyło.

Wodzirej ogłosił białe tango i nagle wyrosła przede mną Laryssa. Wyjęła mi z ręki kanapkę, wręczyła jakiemuś twórcy ludowemu i zaczęła tak tańczyć, jakby publicznie mi się oddawała. To było coś szybkiego, coraz szybszego, jak takie jedno bolero. Chyba amerykańskie. Żeby ją uspokoić, zacząłem ją przyciskać i specjalnie, na przekór narastającej muzyce tańczyłem wolno. Ale Laryssa tak zaczęła się kleić, że po chwili wiedziałem: długo nie będę się opierał. Odsunąłem ją dość stanowczo, aż zatoczyła się pod ścianę. Wściekła zaczęła krzyczeć, że teraz przyprawi mi rogi, jakby to, że dawała na prawo i lewo, zresztą na polecenie służb, wcale się nie liczyło.

– Ale żeby mi nie było smutno – powiedziała „mi” a nie „ci” – żeby mi nie było smutno – powtórzyła – to wybiorę faceta podobnego do ciebie. – I rzeczywiście przyssała się do jakiegoś typu, który też się zaczął do niej lepić. Mój wzrost, podobna fryzura, jakbym patrzył na samego siebie. Nie wytrzymałem, poszedłem do hotelu. Janek wcześniej gdzieś zniknął, pewno z jakąś ludową artystką.

W nocy obudziły mnie hałasy, gwałtowne szarpanie za ramię, pokój był pełen ludzi. Z szacunkiem ale stanowczo kazali mi się ubrać i zawieźli mnie na komendę. Tam dopiero rzecz się wyjaśniła. Okazało się, że na Laryssę i jej partnera ktoś napadł jak wracali z ratusza. Jakiś czubek krzyczał „ty kurwo”, ją drasnął w rękę, ale nieźle pokłął faceta. Opatrzono ją na pogotowiu, potem poddano przesłuchaniu. Okazało się, że byłem podejrzanym dla tych pojebańców, ale ona to wykluczyła. Skwitowali to złośliwie, że pewnie dokładnie mnie zna i zaczęli węszyć w hotelu. Ale obsługa również potwierdziła, że wcześniej przyszedłem. Gorzej było z amantem Laryssy – kilka głębokich ran w plecach, cięcie przez szyję, stan krytyczny. Okazało się, że wcale nie próbował jej bronić, tylko odwrócił się i chciał wiać. Dlatego dostał też w plecy. O Janku jakoś w tym bałaganie zapomniano, ja też nie chciałem mu robić dodat-

kowych kłopotów. Do Warszawy wyjechaliśmy osobno, potem nie wracaliśmy do tej sprawy, były ważniejsze.

Zwłaszcza, że Wiktor wykręcił następny numer.

Następny numer Wiktora

Dzięki moim donosicielom zacząłem inaczej patrzeć na rzeczywistość. Dostrzegłem na przykład, że na poetyckim konkursie zaczyna się polski, dokładniej mówiąc peerelowski wariant *Romea i Julii* i że historia wrocławskiego „Bolka” może być tak ciekawa jak historia tego gdańskiego – tylko trzeba je obie dobrze popchnąć. Reżyseria musiała być dyskretna – Jehowa też był niewidzialny. W każdym razie zadaniowałem „Konara”, żeby jeżdżąc do Wrocławia i do Gdańska podrzucał naszym pupilkom opozycyjną bibułę. Opozycja nie może być głupia, bo jak dojdzie do władzy, to się posra.

Uratowałem dupę Wiktorowi i chłopak uwierzył w swoją bezkarność, że z każdego gówna go wyciągnę. Albo uwierzył, że jest mądrzejszy od wszystkich. Kilka miesięcy później dano mi znak z terenu o zamknięciu Witii w jakimś pierdlu na Dolnym Śląsku. Zorganizował szajkę, która okradała kościoły we Wrocławskim. Najpierw załatwili kościół w Kłodzku. Sprawdzili w porządku nabożeństw, podpytali kościelnego, ministrantów, o której ksiądz będzie chodził po kolędzie, a potem, w sobotnie popołudnie podjechali samochodem pod kościół, weszli przebrani w kombinezony. Naród tam kresowy, uczciwy, nikt świątyń przed wiernymi nie zamyka. Na oczach jednej czy może dwóch dewotek wydłubali kilka barokowych rzeźb – ukłonili się nisko tym babulom, jedna nawet

ich krzyżem przeżegnała. Na rzeźby mieli już nabywców z NRF, ale Wiktor albo nie chciał mówić, albo rzeczywiście nie znał szczegółów. W następną sobotę załatwili Nową Rudę i wybrali się do Ząbkowic. I tu wpadli. Czy milicjanci rzeczywiście przewidzieli, że spróbują obrobić świętą Annę, czy może ktoś dał cynk – w każdym razie w kolejną sobotę czekali. Tym razem oni byli przebrani za dewotki. I posadzili nam Witę do aresztu w Ząbkowicach.

Pojechałem najszybciej, jak mogłem, ale i tak za późno. Do tego Wiktor coś nieszczercze kombinował.

– Co jest, Witia? Z chujem żeś się na głowy pomieniał, czy co.

– Nie, nie tak. To nie jest tak, jak myślisz, major.

– Mówisz jak baba, którą mąż przyłapał w łóżku z przydupasem! Małą, kurwa, od nas dołę dostajesz? Trzeba było powiedzieć, załatwiłbym ci jaką nagrodę, albo paczkę delikatesową, a ty byś ją sprzedał na bazarze za trzy koła. Ale tak, masz przesrane.

– To była egzystencjalna sprawa, tylko wyszło nie tak, pułkownik.

– Nawet nie chcę słuchać, jak się płaczesz. I co myślisz, co można zrobić?

– Ty zawsze coś wymyślisz, pułkownik.

Nie dało się nic lepszego wymyślić, jak trochę postraszyć sędziego. No i zwinąć dowody przestępstwa. Nie pojawiły się na rozprawie ani nigdzie – znikły i chuj! Mieliśmy zaprzyjaźnioną Cepelię, która sprzedawała nasze trofeje. Poszły i te anioły z Kłodzka, i ten pokrecony święty z Nowej Rudy. Ponieważ Wiktor był z tej trójki złodzieiów najmłodszy – sędzia zrobił z niego ofiarę zawodowych włamywaczy, do tego literata żadnego przygód i nawet trochę świra. Dostał dwa lata w zawiasach. Prosto z sali sądowej poszliśmy do restauracji – z widokiem na jeden z najładniejszych ratuszów w Polsce. Poznań, Wrocław, Buczacz – gdyby ten był jeszcze w Polsce

i chyba już Ząbkowice. No, łeb w łeb z Zamościem, ale zostawmy te inteligenckie pierdoły. Po kieliszku za odzyskaną wolność i po zjedzeniu tatara na przystawkę spytałem go w końcu:

– No, teraz mogę posłuchać, czy masz coś na usprawiedliwienie, czy tylko łcesz jak sobaka.

– Chciałem coś sprawdzić.

– Co?

– Nie żebym bał się Boga, po twoich korepetycjach jestem stu-procentowym ateistą, ale coś tam z dzieciństwa zostaje. Wiesz: bluźnierstwo, świętokradztwo i takie tam. Chciałem zobaczyć, czy coś poczuję, jakiś dreszczyk, nie?

– No i?

– Stoję na schodkach pod ołtarzem, wydłubuję barokowego aniołka, i nic. Nic nie czuję. To samo z Chrystusami. Odrywam od krzyża, ani łzy z niego nie ciekną, ani krew. Ze mnie nic, nawet spermy. Coś we mnie zabiłeś, major.

– Ja?

– A niby kto? – Ton Wiktora stał się agresywny.

– Więc uważasz, że to ja jestem winien, że ty kradłeś?

– A ty uważasz, że nie? Zupełnie nie?

– Odpowiem tym samym pytaniem: a ty uważasz, że jesteś niewinny? Kradli twoi rodzice? Nauczyciele? Oni tylko coś ci mówili, oni wciąż mówią do ciebie. Coraz ciszej, ich głosy się mieszają... Ale to ty musisz dać odpowiedź. Albo nie odpowiadasz, milczysz. Ty oceniasz, czy to co oni kiedyś mówili jest jeszcze ważne. Czy chociaż wiesz, na co teraz odpowiadasz?

Milczał, minę miał niezbyt rozgarniętą. Powtórzyłem pytanie. A ponieważ nie odpowiedział – dałem znak kelnerowi, żeby znów nalał.

Nie wiem, jak dotarłem do domu, do mieszkania wprowadził mnie cieć. Ten ciul ma chyba drugie klucze. Słyszałem, że pracował w naszym resorcie, ale nikt nie zna szczegółów.

Echa toruńskiego balu

Incydent toruński raz jeszcze się odbił jak czkawka. Musiałem składać dodatkowe zeznania. Regionalni detektywi odkryli, że w czasie tamtego napadu na Larysę obecna była jeszcze jedna osoba: Janek. Nie mogąc znaleźć żadnego sprawcy – rzucili podejrzenie na Janka. Oczywiście naczalstwo ukręciło łeb sprawie, a detektywów z Torunia przeniesiono do Grudziądza. Na wszelki wypadek uzupełniłem zawartość sejfu. Czasem sączę sobie jakiś koniak i patrzę w lustro na szafie. Wiem, że takie sejfy są w mieszkaniach kilku urzędników, to była moda jeszcze z czasów Bermiana. Jak wpadam do któregoś coś załatwić i widzę jakiś obraz, to wiem, że nie obraz jest ważny, jego właściciel przeważnie nie wie kto go malował – chyba, że akurat przypadkiem przesłuchiwał tego malarza. Ważne co za tym obrazem, a jeszcze ważniejsze, co w sejfie. To prawdziwe papiery wartościowe, papiery wymienialne na dolary, to nasze polisy na życie. Gdybym na drzwiczkach sejfu powiesił obraz – każdy by wiedział od czego zacząć rewizję. A tak – stoi sobie szafa z lustrem, w niej wiszą jakieś rzeczy – dostęp do sejfu musi być łatwy, szybki w razie ucieczki. Jeśli co – będą szukać właśnie pod obrazami, zrywać tapety, opukiwać ściany. Nie wiedzą, że drzwi mojej szafy otwierają się w tę samą stronę. Z tym, że te z lustrem – na zewnątrz, a te tylne od ściany – do wewnątrz.

Namowy Szefa (Kazimierz I)

Szef znowu mnie namawiał na przejście do bezpośredniej działalności operacyjnej. W pewne sprawy sam by mnie wprowadzał, na przykład te wyjazdowe, niemieckie. Poza tym, oficer służb naprawdę sprawdza się i wyrasta w działalności operacyjnej, wśród ludzi. Tam tylko można wyrosnąć na Ü bermenscha – Szef popisał się słówkiem z Nietzschego – znaczy czytał jakiś donos „Hölderlina”.

Jak usłyszałem o Niemcach – w głowie rozdzwonił się alarm. Szef załatwiałby swoje interesy, a ja jeździłbym jako tłumacz i tra-garz. Wolę działać, jak to mówią, w nadbudowie. Do czasu nasze ministerstwo było tak nawet podzielone: Departament Pierwszy i Drugi to tradycyjnie wywiad i kontrwywiad, za to Trójka zajmująca się działalnością antypaństwową i antykomunistyczną rozpa-dała się na III A – walka w bazie (sabotaże, szkodnictwo gospodar-cze) i III B – walka w nadbudowie (wrogie partie, literaci, nawet plotki i dowcipasy). „Czwórka” zajmowała się Kościołem i zwią-zami wyznaniowymi, jakby swoim istnieniem potwierdzając, że ponad nadbudową, ponad kulturą jest jeszcze coś wyższego. Jeśli jest urząd od Boga, Świętych i święt – to znaczy, że Bóg i te różne świętości tak czy inaczej istnieją i trzeba im przywalić.

Najgrzeczniej jak się da wykręciłem się od Szefa propozycji, przy okazji usłyszałem kilka dających do myślenia uwag. Przede wszystkim kpił z moich zainteresowań literackich. Ty chcesz pracować we mgle, to jakbyś dymał jakieś upiornie chude dziewczęta, tłumaczył Szef. Liczy się baza, materia i konkret. Jeśli dymać, to trzeba czuć opór i tarcie. Głupi, nie zajmuj się tym, co jest tylko za-słoną dymną. Polska Ludowa to jest konkret, to przedsiębiorstwo. Ja nie mówię, że całkiem niezależne, powiedzmy filia. Zakład-matka to ZSRR, tam jest prawdziwa dyrekcja i oczywizda kadry. Ale po

opłaceniu składek obowiązkowych, podatków na Pakt Warszawski, na przemysł gdzieś w pierdolonej Angoli, no jeszcze na jakieś wojny wyzwolenicze w jeszcze bardziej pierdolonym Kongu – reszta zostaje u nas. Jak to mówią, dla klasy robotniczej, do podziału. Oczywiście żaden robociarz nie jest właścicielem, ale żaden burżuj – też nie. A nawet żaden konkretny aparaczyk. Właścicielem jest partia – jako grupa, a raczej jako gang, czyli banda. Ona zrobiła skok na kasę i teraz trzyma cały szmal w garści. Ale nie wszyscy. Jest partyjna nomenklatura, ci od wyższych stanowisk, są na specjalnej liście i oni rządzą – jako grupa. Póki jesteś na takiej liście – jesteś bezpieczny. Spadniesz z jednego stanowiska – dostaniesz inne, nie sprawdzisz się w oświacie – pójdziesz do rolnictwa albo odwrotnie, nieważne. Budżet państwa jest budżetem partii. Twoje ambicje literackie, to ambicje zarządzania widmami, urojonymi ludźmi i urojonymi pieniędzmi. A ja chcę cię zabrać do bazy. To jest konkret, to naprawdę podnieca – jakbyś uczestniczył w przesłuchaniach, bił w mordę, gwałcił w celi.

Jak chcesz w życiu naprawdę podupczyć – przejdź do Departamentu III A. W naszym gronie używamy starej nomenklatury. Mówisz III A albo III B i od razu wiadomo o co chodzi. III A to baza, konkret a tylko to się liczy. Reszta to mgła.

Pomimo wszystko zająłem się literaturą, szerzej biorąc ideologią, czyli mgłą. Mówiąc modnym językiem służb: w Departamencie III B zajmowałem się walką z wrogą propagandą w nadbudowie. Zbyt dużo tej mgły trującej. Miałem już sporą samodzielność, możliwość wglądu w raporty różnych szczebli – i wykryłem rzecz niebezpieczną: wykorzystywanie struktur jawnych, legalnych do wrogiej nam roboty. Ostatnio zainteresował mnie Kazimierz. Małe miasteczko, jakby zaprojektowane przez pijanego malarza. Trochę ponad trzy tysiące ludności a pięć kościołów, dwa klasztory i jesz-

cze ci artyści – to musi być antyrządowe i jest. W 1945 roku jakieś niedobitki AK napadły tam na naszych i na radzieckich. Do dziś za przystankiem autobusu a przed Rynkiem jest cały trawnik grobów z czerwonymi gwiazdami, nie ma dat, ale gdyby były – byłby to 19 maja 1945. I w okolicy jest dużo grobów z tą datą. Po niej poznać, że to żołnierze z Resortu, że to nasi towarzysze z PPR i z ORMÓ, a w nieoznakowanych grobach – jeszcze Rusczy. Oczywiście reakcja nie została w Kazimierzu, poszła rozrabiać do sąsiedniej Bochotnicy. Ni wieś, ni miasteczko, wredna dziura. Kiedyś podpalili ją Niemcy za działania AK, teraz my do spółki z radzieckimi. Domy popaliliśmy, trupy co się nie spaliły – wywieźliśmy, żeby zostało doliczone do dawnych zbrodni niemieckich. Ale reakcja się zawzięła, doszło do strasznej bitwy w Lesie Stockim. Kilkuset radzieckich i naszych poszło do piachu, trudno było ukryć tę klęskę. Radzieccy oficerów powywozili w workach, szeregowych normalnie do ziemi, tylko zdjęli z nich buty, i opuścili teren. Ale my nie darowaliśmy reakcji. Większość wrogów dopadliśmy w prosty sposób. Przeczesywaliśmy okolicę, kolejne wsie i miasteczka i skoro o kimś pozyskaliśmy wiadomość, że on albo ktoś z rodziny był kiedykolwiek w AK czy NSZ – to choćby osobiście miał alibi na kilka lat do tyłu – siedł do piachu. Synów AK-owców także. Po całej Polsce skurwysynów tropiliśmy. I będziemy ich tropić – do dziesiątego pokolenia.

A jednak reakcja się odradza, jak hydra, cokolwiek to jest. A przechodząc już do adremu: dostaliśmy kilka meldunków, że właśnie w Kazimierzu reakcja robi zjazdy filozoficzne. Nawet czasem coś tam mataczą, że to niby marksści, ale jak ich poskrobać, to są marksści katolicy, marksści egzystencjaliści, marksści ingardeniści, tylko kurwa marksistów marksistów nie ma. Zapraszali także literatów, poetów, ale znowu nikogo z naszych. Pojawiły się także

podejrzane nowinki w rodzaju „Teologii wyzwolenia”. A robił to jakiś „docent Janusz”. Według rysopisu łysy, z brodą, oczy duże i niebieskie jak u dziecka. W pierwszym doniesieniu nie było nazwiska – dopiero w którymś z rzędu się wyjaśniło. A robił to całkiem legalnie, za pieniądze socjalistycznej uczelni, a to znaczy, że jest to albo ktoś związany z wojewódzką komendą SB w Lublinie, albo jakaś wyjątkowo bezczelna nacjonalistyczna swołocz z Warszawy.

Szef mówił, żeby odpuścić, że to przeszłość zasrana przez historię, ale ja czułem, że coś śmierdzi, moim klasowym nosem czułem. Kazałem sprawdzić. Zgadza się! Ten docent figurował w naszych papierach od 1948, ale agenta z niego nie zrobiono, jako powód podano „brak możliwości”. To zafrapowało mnie jeszcze bardziej, sam poszedłem do archiwum „C”. Janusz Kuczyński, z Warszawy, prześwietlony kilka razy, niby nic, tyle że do partii nie należał. Ale czy nie miał jakichś zatartych spraw? Jakiegoś trupa w szafie? Miał, kurwa, i to nasze trupy! Podobno aż 50. Powołałem grupę i kazałem grzebać w papierach jego rodziny, w papierach jego sąsiadów, nawet w dawnych miejscach zamieszkania. Instynkt klasowy mnie nie zawiodł. Okazało się, że jako szczeniak Kuczyński był w bandzie Hedy – „Szarego” w Górach Świętokrzyskich, że w sierpniu 1945 wziął udział w napaści na więzienie w Kielcach i w uwolnieniu pół tysiąca bandytów z AK. Strzelał chuj młody do radzieckich sojuszników! Dostałby czapę, gdyby nie był młodociany. Rocznik trzydziesty, albo tak sobie sfalszował. Sąd mu darował, amnestia zatarła, władza ludowa łaskawie zapomniała, nawet na studia pozwoliła. Musiał mieć kogoś z AK w sądzie, nasz sędzia by nie popuścił. A teraz znowu robi to samo co w młodości. To nieważne, że nie ma w garści nagana, ma równie niebezpieczną broń, bo książkę. Każda linijka to taśma kulomiotu, każda litera to kula – jak mówi radziecki poeta. Ale jebany chytrze się zabezpieczył! Zaczął od działań maskujących

i dezinformujących, zaprosił na pierwszy dzień obrad jakichś kutasów z lubelskiego KW, jakichś naukowców tak z państwowego UMCS, jak z kościelnego KUL-u, ogłosił, że będzie wielka dyskusja najmądrzejszych ludzi z różnych szkół, zaprosił zagraniczne radio-stacje, wygłosił ociekającą humanizmem gadkę na temat „polskiego fenomenu” jakim jest twórczy dialog różnych ideologii... Dość! Nie ma, kurwa, czegoś takiego, jest tylko jedna słuszna ideologia, bo tylko jedna prawda. Potwierdziło ją zwycięstwo rewolucji, a kryterium prawdy jest praktyka. Gdyby teoria Lenina nie była słuszna, to car by powiesił towarzysza Iljicza i to bynajmniej nie za głowę – a nie odwrotnie. Szef zgodził się co do Lenina, ale zgody na interwencję nie dał. Jeszcze parę lat temu posłałoby się paru chłopaków, którzy by to towarzyszo samymi chujami rozgonili! Niestety – nie te czasy. Nawet radzieccy mieliby nam za złe – powiedział Szef. Teraz jest modna detenta – Szef pochwalił się znajomością tego terminu, detenta i KBWE, czyli dialog, towarzyszu Majchrzak. I ten docent Janusz w to wskoczył, sprzątnął wam ją sprzed nosa i na niej jedzie. A wy możecie tylko stać z boku i walić kapucyna – zadowcipkował i nalał po szczeniaczku.

Ja jednak postanowiłem nie odpuścić.

Próbowałem na ten zjazd podsunąć kogoś z naszych, na przykład „Gabriela” z Instytutu Socjologii, zgłosiłem go formalnie, niby z jakiejś uczelni – wolałem nie precyzować, że z UW – odrzucili, że to zjazdy młodych filozofów, a nasz „Gabriel” za stary. Próbowałem ich pozyskać dowcipem, że stary, ale jeblimy – nie chwyciło, nie mają poczucia humoru. Co gorsza, łżą jak psy. Bo wiedziałem od naszego TW, zresztą hierarchy podwiązanego pod Lublin, że bywają na zjazdach dość dziwni osobnicy, może kolesie Kuczyńskiego po linii filozofii, może nawet po linii poakowskich band. Warto by się niektórymi zająć. Jest Płużański, znany jeszcze ze sprawy Pi-

leckiego, jest Strzelecki, apostoł socjalizmu humanistycznego, do tego były AK-owiec, jest jakiś dziwak Fiszer, który czasem używa nazwiska Hryniewicki – gruby, brodaty, w nieokreślonym wieku i nieokreślonych poglądów. Mówią, że pod tym pseudonimem kryje się najgłośniejszy polski filozof, jeszcze przedwojenny. Oczywiście wszyscy trzej starsi od „Gabriela”, a jakoś są zapraszani! Najgorsze, że to wszystko legalne!

Gdy nie wiedziałem co robić – głupi na pozór Wiktor podsunął mi niezły pomysł, żeby podesłać na ten zjazd Larysę. Niezła poetka, znana już w środowisku, do tego piękna – takiej na pewno nie odmówią. Przy tej okazji i ja mógłbym się tam wybrać prywatnie – wyobraźnia podsuwała jednocześnie liryczne i plugawe obrazy, coś jak pieprzące się anioły. Jeszcze jak dziś wspominam, to się podniecam, ale jeszcze bardziej się wkurwiam, bo nic nie wyszło, jak wyjść miało. Ten Kazimierz ma najwięcej odlotu na centymetr kwadratowy. Kłasztory, pijani malarze, dziwacznie pokręcone kamienice, a nocą po uliczkach chodzą trupy z Lasu Stockiego. Lepiej w ogóle nie wspominać.

Dobrze się pije do lustra, wiedząc co jest za nim ukryte. Ciekawe, jak ja wyglądam. Ten w lustrze uśmiecha się chytrze, ale niezbyt wesoło.

Rozmowa z cieciem i późniejsze refleksje

Dłuższa rozmowa z cieciem o sprawach bieżących. Przy okazji zwróciłem uwagę, że cieć niemal nie klnie.

W resorcie od zawsze się klęło. To była manifestacja klasowej przynależności, dziś widzę, że trochę sztuczna. Taki Berman, czy nawet Krwawa Luna, powie trzy razy kurwa i jest już awangardą

klasy robotniczej. A to przecież wykształceni prawnicy, Luna Brystigerowa nawet po doktoracie. Tak samo wulgarnie wyrażają się ich dzieci. A resortowe dzieci są teraz w radio, w telewizji, wszędzie – język polski zamienia się w szambo, szambo cieknie z telewizorów, paruje z radioaparatów nawet w nocy, nawet po wyłączeniu odbiorników. Język klasy panującej jest językiem panującym, jak zauważył Marks. Ciekawe jednak, że pisarze, którzy na co dzień klną – w donosach tego nie robią. Przed nami nie poszpanują, bezzębne chuje.

Ballada o Laryssie

Sprawa poetów kontestatorów (dziś mówi się po prostu warcholów), ciągle nie daje mi spokoju. Popełniliśmy błąd. Usprawiedliwia nas to tylko, że nie mieliśmy doświadczenia w walce z młodymi, pełnymi niekonwencjonalnych pomysłów wariatami. A jak powiadał Szekspir, wariat, zakochany i poeta utkani są z tej samej mgły. Ten cytat powiedziała mi Laryssa, kiedy włączyłem ją do akcji. Ona, jako poetka rozumiała naszych wrogów „od środka” i obiecała rozpracować ich „od środka”. Oczywiście nie za darmo. Wtedy myślałem, że nie powinienem jej ustępować, góra mogłaby to źle zrozumieć, dziś myślę, że ustąpiłem jej za mało.

Zaczęło się od tego, że z kilku miast nadeszły doniesienia o imprezach organizowanych nielegalnie przez Klub Awangardy Antysocjalistycznej. Właściwie nie organizowanych, ale przejmowanych, kradzionych. Wpadali na jakieś imprezy, czytali nie ocenzone wiersze i znikali. Nazywali to „desantami”. Prowincja się ruszyła – powiedział Szefer na odprawie. Warszawę żeśmy uciszeli, to prowincja, jej mać.

Tego się nikt nie spodziewał, to było trudno kontrolować. W pewnym momencie zupełnie im odwaliło, zaczęli telefonować do ludzi, których numery znajdowali w książce i czytali im antyrządowe wiersze. Albo rozrzucali wiersze jak ulotki – w kościołach, poczekalniach, na przystankach i tak dalej. Nawet w publicznych sraczach. Jeśli kontrola kościołów była jeszcze znośna, to na przystankach warunki bhp były zimne, wietrzne i ogólnie biorąc chujowe, a w sraczach o komforcie, a choćby o higienie pracy można zapomnieć. Poza tym cierpiał prestiż i partii, i naszej służby. To było coś więcej niż wygłup, bo wiadomo, że ci, którzy piszą wrogie wiersze, mogą pisać też wrogie ulotki. Tajemniczy poeci występowali w Lublinie, Krakowie i w Katowicach, a żaden z informatorów ich nie znał, żaden nie kojarzył z działalnością istniejących na danym terenie grup literackich. Podczas jednej z takich akcji na ścianie wymalowali litery KAA, ich lider oświadczył, że to można czytać na wiele sposobów, najlepiej – Klub Awangardy Antysocjalistycznej. To już był jakiś punkt zaczepienia, przez kilka miesięcy pół służby latało po Polsce za tym klubem, oficerowie przeprowadzili kilkadziesiąt wywiadów, nawet rewizji rzekomej siedziby Klubu... by w końcu stwierdzić, że nikt o takim klubie nie słyszał. Nie poznano też nazwisk członków. Najczęściej występowała trójka: Jerzy, Konrad i Maria. Stawali się coraz bardziej popularni, grafomani pisali polityczne wiersze na ich wzór i erotyki do Marii. Trójka to żadna grupa, żadne zagrożenie. Ale ta sama trójka, która pojawia się na przykład jednocześnie w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Lublinie o godzinie 18 w sobotę – to już zagrożenie polityczne, a nawet ideologiczne, bo urąga nie tylko zdrowemu rozsądkowi, ale także spiżowym prawom marksistowskiego materializmu. A takie właśnie informacje dostawaliśmy z terenu. Tego samego dnia, o tej samej pierdolonej godzinie, w miastach odległych o setki kilometrów, ci sami poeci. Wysoki blondyn, czyli

Jerzy, kudłaty brunet znaczy Konrad i Maria, ich „La Pasionaria”, nawet ze smagłej cery i długich włosów. To coś więcej niż bilokacja, to prawie wszechobecność poezji i poetów. Do tego oni czytali nie tylko swoje wiersze, ale też takich sanacyjnych emigrantów jak Lechoń, Wierzyński i Norwid. A w komentarzach używali na nasz temat obraźliwego określenia „SB-mani”, i choćby tylko za to należał im się wpierdol. Gdyby SzeF się dowiedział...

A właśnie SzeF się dowiedział i wezwał mnie na dywanik.

– Miałem monit z departamentu walki ideologicznej! Wiedziecie, co by się stało, gdyby takie określenie się przyjęło?!

– Jakież? – Udałem głupa.

– SB-man.

– Niemożliwe, Szeffie. SS to co innego, a nasza SB, co innego. Ludzie tego nie łączą.

– Jak powiecie, że nas kochają, to nie wytrzymam i mimo zakazów przypierdolę. Wróć, dwa razy przypierdolę! Macie chociaż, kurwa, jakieś tropy?

– Mamy, kurwa – odpowiedziałem, wpadając w poetykę SzeFa.

– No mówcie...

– Ustalono już pierwsze nazwiska.

– Nawet nie mówcie – przerwał SzeF. – To pewnie lipa, takie same pseudonimy, jakie my nadajemy naszym. Potrzebne autentyczne nazwiska i adresy.

– Ale w środowisku literackim mamy za mało nasadzeń agencji, to nie głupie, nieruchawe robole. A w środowisku młodoliterackim – zero nasadzeń.

– Na to pieniądze się znajdują. Na kaszanke dla roboli może nie być, na kolonie dla gówniarzy może nie być, a na walkę z ideologicznym wrogiem forsa musi się znaleźć. Ale wyniki też być muszą, bo inaczej...

– SzeF powyrywa nam nogi! – wykrzyknąłem radośnie.

– Dokładnie! Jak żeście na to wpadli... No spierdalajcie Majchrzak! Za miesiąc chcę mieć od ciebie raport z nazwiskami, adresami i papierami dla prokuratury. – Szef przeszedł z „wy” na „ty”, co znaczyło u niego dobry humor. Ale miesiąc to niewykonalny termin. Jak to do kurwy nędzy ugryźć.

To pytanie musiało się rysować długo na mojej twarzy, bo nawet Laryssa zauważyła, że mam „pysk bardziej esbecki niż zwykle”. Spotkałem się z nią w „Świteziance”, żeby odebrać od niej doniesienie i wypłacić „stypendium”. Sama proponowała taką nazwę... Ja ze swej strony proponowałem najbardziej romantyczną, no, przynajmniej najbardziej romantyczną w okolicach resortu kawiarnię „Świtezianka”.

– No, czegoś taki ponury – powtórzyła.

Naruszając pragmatykę służbową opowiedziałem jej o naszych kłopotach. O Klubie Antysocjalistycznej Awangardy, o trójce liderów, którzy robią wiece w trzech miastach o tej samej godzinie. Najpierw zaczęła się śmiać, a potem wzięła mnie za rękę.

– Mogłabym ci pomóc – powiedziała tonem, jakby to były jakieś oświadczyzny, a pomoc dotyczyła zupełnie innych rzeczy.

Popatrzyłem na nią ze zdziwieniem.

– Nie gap się. Czy ty nigdy nie mrugasz? Ponawiam swoją propozycję, chcę pomóc.

– Ty? Przecież nawet nie mógłbym ci udzielić wskazówek, u nas nie ma fachowców od tego odcinka – rzekłem cofając rękę.

– Tu ja bym mogła panu udzielić wskazówek – powiedziała chłodno. – Mój ojciec był w Kedywie, a po wojnie robił NIE.

Nie bardzo rozumiałem, a Laryssa zalewała mnie potokiem słów.

– A o tym, że PPR to nie Polska Partia Robotnicza tylko Płatne Pachołki Rosji pan słyszał. A PZPR to Płatni Zdrajcy Pachołki Rosji?

– Ty sobie nie pozwalaj, smarkulo.

– Za smarkulę dziękuję, to najmiłsze, co usłyszałam w tym miesiącu. A ty się nie obrażaj – znowu przeszła na „ty” – tylko weź dokończ z historii. Przecież to jest konspiracja w konspiracji. Nazwiska są pseudonimami, nazwa tej grupy także, lecz litery mogą się zgadzać. W klubie „Babel” widziałam amerykańską komedię, przywiózł syn jednego ministra, tam było o napadzie. Gangsterzy wystąpili w maskach Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, po akcji po prostu się rozebrali i wrócili do domów. To byli zwykli amerykańscy mieszczaństwo, tyle że przyciśnięci podatkami. Nauczyciel, hydraulik, masażysta i chyba pastor, nie jestem pewna. Widzę, że dalej nie kojarzysz, to dlatego, że wam nie wolno oglądać amerykańskich filmów. A na myślenie też chyba dostajecie pozwolenia z resortu i to w ograniczonych ilościach.

– Czasem jednak myślimy lepiej od was. W każdym razie dziękuję za informację na temat klubu „Babel”.

– Nie ma za co, i tak Klub Babel dawno rozwiązaliście, a Ernest już wyjechał do Izraela.

– Ten twój Ernest pracował dla nas, miał ksywę Edward. I wcale nie był synem ministra – powiedziałem, żeby jej dokuczyć.

– O nim to ja wiem więcej – odpaliła. – Na nodze ma bliznę w kształcie V, jak Victory... – Popatrzyła na mnie złośliwie. – Bardzo wysoko na nodze. – Tym mnie dobiła.

Wracając do domu układałem sobie w głowie to, co mi powiedziała. Ci poeci to był taki antykomunistyczny Kedyw, takie, kurwa, poetyckie NIE, tacy antyradzieccy gangsterzy w maskach. Nagle jakby mnie, kurwa, olśniło. Oni się przecież przebierali na akcje za Jerzego, Konrada i Marię, a po akcji – wracali do swych mieszkań, do swojego wyglądu. Mogli być studentami w akademiku, młodymi nauczycielami, bo raczej ani pastor, ani hydraulik, do tego trzeba nauki.

Laryssa wywołała mnie telefonicznie. Tym razem obiad w „Złej Kaczce”. Najpierw przedstawiła mi listę – jak to nazwała – oczekiwań – a potem dopiero plan działań. Oczekiwania nie były nazbyt wygórowane. Miałem załatwić córce szkołę z internatem, im obu wakacje w Bułgarii. Nawet Jugosławii nie żądała, nie mówiąc o Krymie, droczyłem się z nią dla zasady. Cholera, że też wtedy nie podpowiedziałem jej Krymu, Szef załatwiał dla jednej osoby, mógłby załatwić dla dwu.

Jej plan zaskoczył i mnie, i połowę departamentu. Była równie inteligentna, jak zepsuta. A przez to, że plan był dobry, za dobry, zwrócił na nią uwagę – sama spieprzyła sobie życie. Lecz po kolei.

Laryssa zażądała trzech poetów. Pierwsze nazwiska które mi wpadły łatwo zgadnąć: Kubiak, Śpiewak i Keller. Laryssa wszystkich odrzuciła:

– Są zbyt znani, są lansowani jako trzej wieszczowie socjalizmu, jednym słowem, są niewiarygodni, ja nie robię radia Erewań.

Poszedłem do telefonu i po powrocie zadeklarowałem, że mogę oddelegować Janka. Walczak-Gapień albo inny Zaniewski napisze mu parę wierszy. Ale tutaj lista mi się urywała. Zamówiłem wino – nie pomogło.

Przy drugim winie Laryssa wytargowała Kuryłkę i Nawrotka. Nie byli dobrymi poetami, ale to przemawiało na ich korzyść – mało kto w tym kraju o nich słyszał, twarzą ani nazwisk nie kojarzono. Wiersze można im było napisać, mogli też deklamować cudze – byle ostre. Laryssa postanowiła przerobić parę wierszy tamtych „antysocjalistów” – i przedstawiać jako wiersze swojej grupy. To może ich sprowokować, a już na pewno zaciekać.

I oto w Polsce pojawił się nowy ruch opozycyjny, Laryssa nazwała swoją grupę „Desant”. Wiersze deklamowali, ale mieli też pierwsze w kraju „samizdaty” – maszynopisy z wierszami naklejały na kartkach zwykłych 16-stronicowych zeszytów.

„Cyrk Laryssy” wystąpił najspierw w Krakowie, to najbardziej plotkarskie miasto świata, błyskawiczny przepływ informacji w obie strony, potem Lublin, a potem zapowiadał „desant” na Warszawę. Musiało dojść do spotkania obu grup, choć jasne było, że miesięczny termin zakończenia operacji jest niewykonalny. Ale przynajmniej widać było światło w tunelu a nie dziurę w dupie.

Spotkanie grup nastąpiło w klubie Związku Nauczycielstwa na Pradze. Następne miało się odbyć w jednej z bibliotek – niestety nawet Laryssa nie znała daty ani adresu. Tamci od Marii „La Pasionarii” trzymali karty przy guzikach.

Żeby uniknąć narzekań na małą wydajność, Laryssa sprzedawała mi parę mało istotnych informacji. Jako sensację podała, że „figuranci” (tak głupio się popisowała), czyli podejrzani poeci mówili o sobie „anarchiści”. Też Klub.

– Więc jakby wcale nie mówili – zgasilem ją może za ostro. I tu mnie zaskoczyła:

– Przeciwnie, była kiedyś taka grupa, Klub Artystów Anarchistów. Inicjały te same, muszę sprawdzić.

– Szkoda czasu, na pierwszy rzut widać, że to fałszywy trop, specjalnie podsunięty.

– A ja czuję, że może być dobry, bo to nie było w Warszawie, a oni także występują nie w Warszawie a na prowincji, ale w miastach, gdzie mają znajomych, meliny, łatwo zniknąć. Może nawet kiedyś w nich mieszkali. To wszystko trzeba sprawdzić.

– Inwigilacja, to nie kwestia czucia, to fachowa wiedza.

– A ja czuję – upierała się Laryssa.

– No to jedź, gdzie trzeba, sprawdzaj!

– A na pociągi? A szmal na jedzenie? Nawet bary mleczne podróżowały. Tylko nie mów, że nie ma pieniędzy, bo popatrz, ile zyskujesz odwołując wszystkie swoje psy. Przedtem musiałeś opłacać

kapusiów po kościołach, na dworcach, nawet w kiblach – i zero informacji. A teraz tylko nasza grupka i jakie zajebiste informacje!

Informacji to właściwie jeszcze nie zdobyła, ale na przejazdy i diety dostała.

Po którymś z poetyckich „desantów”, dość ryzykanckim, bo na warszawski ZBoWiD, Laryssa ustaliła, że jeden z liderów, Jerzy, mieszka na Jelonkach.

– Co, pojechałaś do niego? To chociaż znasz adres.

– Z tym problem. Bo on nie jest tam zameldowany. Śpi na waleta, a jeśli potrzebuje intymności – kolegom daje na kino. No nie patrz tak ponuro, jak ty możesz być SB-manem, skoro na twarzy wszystko masz jak na plakacie. Poza tym Jurek jest dżentelmen, zawsze mnie odprowadzał do domu.

Gdyby nie lokal, dałbym jej po pysku.

Kilka dni później w grupie Laryssy nastąpił kryzys – i to podwójny. Zaskoczył nawet samą Larysę. Najpierw zawiadomiła, że Konrad z nią się umówił, że będzie wkrótce miała konkretne wiadomości, potem przez dwa dni była cisza. Trzeciego zadzwoniła, że Konrad spotkał się z nią na stacji w Zalesiu tylko po to, żeby powiedzieć, że Nawrotka trzeba się pozbyć. Na intuicję wydaje mu się podejrzany, za dużo wypytuje, a nawet jeśli nie jest podejrzany, to pracuje w warszawskim wydawnictwie i zbyt wielu literatów go zna. Musieliśmy wycofać Nawrotka i nie tylko jego. Kuryłko oblał jakiś poprawkowy egzamin ze starocerkiewnego (nie słyszałem, że taki istnieje, ciekawe, gdzie jest w użyciu) i wyleciał z polonistyki. Ledwo uchroniliśmy go przed wojskiem, ale powrót do Warszawy na studia byłby zbyt podejrzany. Załatwiliśmy mu spółdzielcze mieszkanie w Skierniewicach, będzie donosił z miejscowego PAX-u. Laryssie został tylko Janek – może i dobrze, nie stworzyła

osobnej grupy i występowała doklejona do tej pierwszej, „artystów – anarchistów” jako kolejna „Maria”. Już wkrótce zadzwoniła na mój prywatny telefon, że poznała obie swoje imienniczki. Jedna była rzeczywiście Marią, ostatnio w Lublinie, druga miała na imię Elżbieta. Obiecała, że przy okazji podejrzy ich dokumenty. Jerzy w tym czasie przestał waletować na Jelonkach, zaczął waletować w akademiku na Kickiego. Ona już nad tym pracuje i zaproponowała mu pokoik u siebie. Na razie jeszcze się waha, był już dwa razy oglądać. Ciekawe, co oglądał przy okazji.

Konrad, który był już po studiach (nie chciał Laryssie powiedzieć, po jakich) podobno melinował się u jakiejś ciotki pod Warszawą – stąd wniosek, że mógł pochodzić z tej podwarszawskiej miejscowości. Chociaż nie, wtedy mieszkałby po prostu u rodziców. Wszystko to było jeszcze zawikłane, co gorsza, SzeF się zaczął wściekać – tym razem jego wzięli na dywanik. Usłyszał od wiceministra, że za resortowe pieniądze kolejna grupa poetów ruszyła w teren i czyta obywatelom PRL zakazane przez cenzurę, antypartyjne i antyrządzieckie wiersze. SzeF dał mi „ostatni” miesiąc, zapowiedział, że wycofa Janka, a jeśli nie będzie wyników – wyrzuci córkę Laryssy z internatu.

I wtedy Laryssa wykonała piękny numer. Najsamprzód wyciągnęła ode mnie forszę na dowerbowanie dwóch niby-studentów, takich z eSeNu, czyli studium nauczycielskiego. Nie wypytywała ich za bardzo, bo w ramach zwierzeń musiałaby odpowiadać na ich pytania, wyjaśniać skąd ma forszę na przejazdy, na papier maszynowy i przepisywanie. A dałem jej na przepisanie równego tysiąca różnych wierszy-ulotek. Więc narzuciła „konspiracyjną” zasadę „mniej wiesz – mniej będziesz sypał”. Powoli zaczęła przejmować kierowanie grupą i to ona zaczęła tresować naszego Janka. Ma kurwizson jakąś charyzmę, cokolwiek to słowo znaczy i przez

jakie „H”. Wszyscy razem zrobili duży „desant” w bibliotece na Krypskiej, na Grochowie. Laryssa wcześniej kazała Jankowi wziąć magnetofon, żeby nagrywać.

– Przecież nie zmieści mi się do kieszeni – oponował.

– A kto ci każe do kieszeni. Weźmiesz wojskową polówkę, to teraz modne. Grundig wejdzie spokojnie, z boku zostanie miejsce na ulotki i na kilka zeszytów „Desantu”.

Janek potulnie się zgodził. Zbyt dobrze pamiętał Laryssę z dawnych awantur.

Wparowali na Krypską na legalny wieczór poezji miłosnej przy świecach. Weszli na salę niby jacyś AK-owcy z opaskami na rękawach i zaczęli rąbać wiersze – wszystkie anty. Było o Katyniu, o najeździe na Czechy, o Palachu. Publiczność z początku myślała, że to tak wyreżyserowane, bito brawo. Bibliotekarki zamarły z przerażenia, a może im się, kurwom, podobało. Dyrektorka gdzieś wyparowała, w razie czego – nic nie widziała...

Gdy nastrój na imprezie zda się sięgnął sufitu – Laryssa przebiła sufit. Nagle przerwała recytować wiersz o tym faszyscie Piłsudskim i wrzasnęła:

– Zapalić światła!

Salka rozbłysła, żarówki waliły po oczach jak na śledztwie. A Laryssa wyciągnęła rękę w stronę Janka i wrzasnęła teatralnym głosem:

– To jest szpicel! Nie byle współpracownik, prawdziwy szpicel, ma legitymację. On to wszystko nagrywa, ma w torbie!

Janek zamiast uciekać popełnił błąd: wyjął legitymację i próbował wszystkich zastraszyć. W rezultacie odebrano mu torbę, ktoś zapieprzył magnetofon z taśmami, wszyscy zniknęli.

– Dyrektorka nazajutrz odniosła torbę polową Janka na postęrunek milicji. Niczego nie ukrywała, ale też nic istotnego nie miała do powiedzenia. Dlatego jej nie wylano, ale jednak zdegradowano.

Wbrew pozorom była to akcja udana. Laryssa uzyskała taką wiarygodność, że to ona stała się „Marią numer 1”, podziemną „La Pasionarią”. Jurek chciał z nią jechać do Bułgarii, nawet się wstępnie zgodziła, żeby – jak mówiła z wrednym uśmiechem – lepiej poznać sprawy grupy. Ale już moja w tym głowa, żeby dostała skierowanie darmowe do Bułgarii, lecz tylko jedno miejsce i to w ministerialnym pensjonacie pod Warną. Najwyżej z dostawką dla córki.

A na Jurka czeka miejsce w pierdlu.

Sprawa właściwie dobiegała końca, nadchodził, jak to mówimy, czas dorzynania watahy. Ja też mogłem pomyśleć o wyjeździe. Wcześniej jednak zażądałem od Laryssy spotkania, na którym pokaże mi plan działań. Obiecałem jej za to ekstra „honorarium”, więc przyszła. Żeby mnie udobruchać, obiecała nazwiska obu „Marii”, jedna była z Lublina, druga z Warszawy. Ta druga to naprawdę Elżbieta. Dokładne dane Laryssa obiecała na przyszłe spotkanie. W ogóle, jak zauważyłem, cedziła informacje, tłustsze kąski zostawiała dla siebie. Ale plany układała logiczne.

Przedstawiła na przykład sposób na ustalenie tożsamości członków grupy (choć podejrzewałem, że w połowie już sama te sprawy rozgryzła). Na pewno zna albo wkrótce pozna nazwisko Jerzego. Jeśli ten u niej zamieszka – to będzie u niej sypiać, także w sensie dosłownym – tu spojrzała tak na mnie, że miałem ochotę jej przywalić. Jak zaśnie – ciągnęła wredna suka – nietrudno będzie zajrzeć do dowodu czy innego dokumentu.

Konrad dostawał z domu listy, ale przebiegle je niszczył, co do dowodu – zwierzył jej się, że fałszywy, nawet nie żadnego znajomego, tylko od jakiegoś menela za butelkę jabłoka. A komu menel go podpieprzył? – Nie, tymi tropami nie da się dojść do niczego. Ale przecież Konrad skończył jakąś szkołę, wątpliwe, by zbyt wie-

lu absolwentów dostało się na studia do Warszawy z jakiegoś zapyziałego miasteczka. Tam muszą go uważać niemal za bohatera, na pewno mają jego adres i adres jego rodziców. Bywa też pewnie na zjazdach absolwentów, taki typ lubi szpanować. Na pewno zostawił w szkole jakiś adres do korespondencji... Dwie dziewczyny, dwóch chłopaków, jak złapiemy pierwszych parę osób – nie ma cudów, ktoś pęknie i zacznie sypać. Posypią się dalsze adresy, posypią się nowe werbunki.

Na jedno ze spotkań Laryssa przyniosła także prosty plan przyłapania ich grupy na działalności i to takiej, na którą był paragraf. Tu niestety my daliśmy plamę. Gdy zorientowała się, że robią ulotki, ale nawet oni sami nie wiedzą dokładnie gdzie – zaproponowała, że załatwi im tańszą drukarnię, żeby się tam przenieśli. Drukarz – tak nawijała – wciąż zmienia adres – dlatego jest bezpieczny.

To byłaby dobra pułapka, przyłapałibyśmy ich na druku – ale niestety nie mieliśmy wtedy wiarygodnego drukarza. Pomysł trzeba było odłożyć. Dorzynanie watahy zostawiliśmy na „po wakacjach”. Na razie bilans był i tak bardzo dodatni. Laryssa, po numerze w bibliotece na Krypskiej, Laryssa, która mogła załatwić drukarnię na ulotki i prawdziwe podziemne tomy wierszy – urosła do roli niekwestionowanej liderki. Organizowała imprezy, nie zawsze nas informowała, ale przecież i tak nikt by ich nie rozbijał, nie potrzeba było kapusiów, skoro od niej dostawałem zdjęcia przedstawiające ją przy ognisku w parku Świętochowskiego w Gołotczyźnie albo przed białym, neogotyckim pałacem w Opinogórze, albo podpisującą płocczanom swój tomik po spotkaniu na zamku. Bo tomik też jej wydaliśmy, żeby ją trochę podbudować, choć i bez tego była „La Pasionarią” młodych gniewnych, była „Marią” opozycji – i wierzyła, że naprawdę jest Marią, tą z wierszy młodych poetów, niepokalaną.

Była zresztą tak piękna, że nie mogli jej nie ufać.

W środowisku poetów popularne było powiedzenie „zobaczyć Larysę i umrzeć”. Oczywiście zobaczyć naga... To powiedzonko zaczęło powtarzać i w resorcie. Sprawy sunęły jak lawina, a lawiny nie da się zatrzymać ani zawrócić. Stworzyliśmy własną grupę opozycyjną, zlikwidujemy własną grupę opozycyjną a z nią dziesiątki autentycznych opozycjonistów, potencjalnych wrogów ideowych. Uderzymy na kilku uczelniach, w kilku akademikach jednocześnie. To będzie lepsze niż „Inteligenzaktion” o której uczono nas w Szczytnie. Bo Niemcy aresztowali inteligencję dojrzałą, my załatwimy ją zanim dojrzeje, zanim młodzi poeci zostaną dziennikarzami, nauczycielami, urzędnikami. Ze względów kalendarzowych uderzenie wyznaczaliśmy na październik. Laryssa ustaliła a potem poda nam terminy i miejsca imprez. Pod pretekstem poetyckich spotkań wykona kilka fotek czołowych opozycjonistów. Zacznie się rok akademicki, wszystkie jajka będą w jednym koszyku. Wygarniemy! W tym momencie musiałem dodać do planu rzecz z Laryssą nieuzgodnioną. Dla niepoznaki też musimy ją aresztować z innymi, będzie musiała jakiś czas posiedzieć. Jakoś jej to uprzyjemnimy, może szpital więzienny, choć lepiej żeby posiedziała z nimi w celi, agentów celnych znających to środowisko nie mamy. Trudno, trochę posiedzi, potem zwolnimy ją ze względów zdrowotnych, z okazji Rewolucji można urządzić jakąś amnestię, a potem jej to jakoś wynagrodzę. Może jakieś wczasy na socjalistycznej Kubie? *Kuba wyspa jak wulkan gorąca...* Zanuciłem szlagier Gniatkowskiego, jakbym miał kilkanaście lat. Następnym linijkę niestety nie pamiętałem, będę musiał podpytać Larysę.

No, ale najpierw obowiązek.

Napisałem długi raport do naczalstwa, zawnioskowałem o nagrody dla Janka i dla Laryssy.

I wreszcie mogłem pomyśleć o odpoczynku. Szef też pomyślał i to tak od serca. Bo choć jeszcze nie odniosłem sukcesów – w nagrodę za sukcesy wysłano mnie wprawdzie nie na Kubę, lecz do ZSRR. Może i dobrze. Na Kubę pojedę z Laryssą, choćbym miał wziąć pożyczkę i pół miesiąca bezpłatnego urlopu.

Artek

Tak więc w nagrodę za sukcesy w pracy wysłano mnie do ZSRR. Nie do Moskwy, tam jeździło naczalstwo, także Szef, my – na szkolenia do Arteku na Krymie. Nawet lepiej, bo ciepłej, tanie owoce, a co ważne, wyjazd szkoleniowy nie liczył się do urlopu. Nie zabiorą ani jednego z tych dni przeznaczonych na Kubę! Po powrocie skończymy „dorzynanie watahy”, w kraju zacznie się długa jesień, na Kubie czeka lato!

Prócz ogromnego obozu dla pionierów w Arteku był mały podobóz dla służb, słowa obóz, czyli łagier staraliśmy się nie używać, źle się nam kojarzyło i mogło przynieść pecha. Poza tym, mieszkaliśmy nie w baraku, a w wielkiej, secesyjnej willi odkradzionej jakimś burżujowi.

Szkoleń, takich fachowych, było co kot napłakał. Radzieccy nie chcieli się dzielić najcenniejszymi umiejętnościami. Szkolenia teoretyczne były mieszaniną patosu, nudy i politycznych połajanek. Najbardziej obrywał niejaki Broz-Tito, pół Chorwat a pół Słoweniec, który był kiedyś bohaterem I wojny, potem przywódcą Jugosławii – by zdradzić nasz obóz i przejść na żołąd Amerykanów. Prelegent mówił o nim „pies łańcuchowy” imperializmu, a nawet

gorzej. Wstawiano nam także kit o „kremlowskich lekarzach”, którzy podobno mordowali na rozkaz Stalina, a potem nawet chcieli samego Stalina otruć. Używano do tego kwasu pruskiego², który daje objawy podobne do ataku serca. O tym jak nakłonić ofiarę do wypicia takiego kwasu jakoś prelegent nie mówił. Można w soku, można w wodzie do popicia – tyle to sami wiemy. Ale zbyt rozcieńczony sok może wzbudzić podejrzenia, czysta woda do popicia jakiejś ostrej potrawy jest bardziej naturalna.

Tak naprawdę ciekawy był tylko jeden wykład – o wojnach z Napoleonem i o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Szkoleniowiec przyszedł nawalony jak stodoła, zamiast mówić o armii rosyjskiej tłumaczył, że Napoleona rozdupczyła Armia Radziecka, potem ta sama armia spuściła Niemcom wpierdol w Wojnie Ojczyźnianej. Trochę nam podpadł, mówiąc, że druga wojna zaczęła w 1941 roku, ale to chyba nie błąd a oficjalne stanowisko. Potem jednak znowu nam podpadł, gdy tajemniczym szeptem ogłosił, że zdradzi sekretną doktrynę komunizmu, która zawsze prowadzi do zwycięstw. Strategia w obu wojnach była identyczna, szkoleniowiec nazwał ją „strategią Frankensteina”. To nie zgadzało się ani ze skrytem, ani z legendą, ten ciul chyba nigdy nie czytał tej powieści. Jakby ją znał – mówiliby o strategii syna Frankensteina, tego monstrum. To monstrum posklejane było z ośmiu trupów, natomiast nie miało duszy. Więc kiedy jego twórca, śląski lekarz zaczął go ściągać, by zabić – monstrum nie musiało się wysilać. Uciekało na północ. Wiedziało, że mrozy jemu nic nie zrobią, zachowa młodość niby mięso w lodówce, ale doktor Frankenstein nie przeżyje. I tak się stało. Podobnie było w czasach Napoleona, podobnie w czasach

² Cyjanowodor – kwas pruski mówiąc prościej, dla niektórych zupełnie niewyczuwalny. Można rozbełtać, rozpylić jako gaz bojowy, szczegółów oczywiście nie znamy, ale daje objawy takie jak atak serca. To było często stosowane w służbach radzieckich.

Hitlera – *nasz wróg pomierzył, my pobiedili. Ura, Ura i xyŭ!* Kursanci podjęli okrzyk, potem walili brawo – ja też parę razy waliłem, żeby u radzieckich nie podpaść. A jednocześnie ledwo się powstrzymałem, by nie przypomnieć kacapowi, że nasi w 20 roku potrafili się w odpowiednim momencie zatrzymać, w zimową pułapkę nie poleźli – ale wcześniej złoili im skórę! Jednak się nie odważyłem, a potem – nie było okazji. Bo Rusek nagle wybiegł z sali, a chwilę potem usłyszeliśmy strzał na korytarzu. Zerwaliśmy się z miejsc i staliśmy jak skamieniali, nikt nie odważył się otworzyć drzwi. Po paru minutach wpadł na salę jakiś *starszyna* i powiedział, że zajęcia zostają skrócone. *Ura, Ura i xyŭ!*

A jeśli biega o zajęcia praktyczne, to było ich tak mało, że zapamiętałem prawie wszystkie. Z ciekawszych pamiętam ćwiczenia, podczas których instruktor potępiał metody gestapowskie i imperialistyczne i zachwalał komunistyczne. Te wsteczne, gestapowskie polegały na wybijaniu zębów i wyrywaniu paznokci, czyli powodowały pozostawianie śladów. Zza to metody przodujące, znaczy radzieckie, śladów nie zostawiają. Jedną z nich jest walenie mokrymi ręcznikami, co nie pozostawiało śladów, bądź zostawiało niewielkie, samoznikające. Sztuka polegała na tym, żeby wiedzieć gdzie – najskuteczniejsze było bicie po jajach. Nie bardzo chcieliśmy wierzyć, że mogą osiągać aż takie rozmiary. Umówiliśmy się, że sprawdzimy to po powrocie.

Niektóre metody były wdrażane już u nas, na przykład świecenie lampą w oczy. Mało kto wytrzymał. Rekord ZSRR wynosił 72 godziny. Oczy pęczniały, zaczynały krwawić, po pewnym czasie były nie do odzyskania. Ale niszczyło to przydatność więźnia w późniejszych pracach, obniżało wydajność w łagrze. W tym miejscu my, Polacy mogliśmy poczuć dumę. U nas AK-owcy wytrzymywali nawet 4 doby czyli 96 godzin. Czy któryś przekroczył setkę

– nie jestem pewien. W aktach tego nie odnotowywano, a więźniowie i tak szli na rozwałkę. Tu дума nam jednak małała, bo – jakby powiedział nasz szkoleniowiec – była to *nieracjonalnaja rastoczitelnost'* – niewybaczalne marnotrawstwo.

Apropos (tak to wtedy mówiłem) racjonalizmu szkoleniowiec opowiedział nam historyjkę ze spotkania naukowców krajów socjalistycznych i wyzwalających się. Jeden z afrykańskich myślicieli wystąpił z krytyką Europejczyków, że są nieracjonalni a ich historia to jedno wielkie marnotrawstwo. Prowadzicie tysiące wojen, zabijacie tysiące wrogów, a potem żadnego nie zjadacie!

Może wciąż tajemnicza dla nas różnica między socjalizmem a komunizmem polega na tym, że komunizm jest bardziej racjonalny, wyciąga do końca konsekwencje z doktryny Marksa. Są na to określenia: socjalizm utopijny i socjalizm naukowy. My naszych więźniów zabijaliśmy – Rosjanie zamieniali ich w niewolników budujących Białomorskie Kanały, wygrzebujących rudę a nawet cudowny malachit. Czytałem nawet książkę *Szkatułka z malachitu*, ale że wydobywają go więźniowie – dowiedziałem się dopiero na szkoleniu.

Opowiastkę o postępowym myślicielu z czarnej Afryki nawet sobie zanotowałem. Opowiem ją po przyjeździe Laryssie. A potem – tak sobie planowałem – zaskoczę ją pytaniem, czy wie jak przeskoczyć radzieckich. Bo oni także nie doprowadzili komunizmu do końca. Radzieccy kończyli używanie więźniów na zakopywaniu ich ciał w zmarzlinie na Syberii – nie zdając sobie sprawy, że robią z nich mrożone tuszonki. Po latach zapominali, gdzie są te składowiska. *Nieracjonalnaja rastoczitelnost'*. Marnotrawstwo.

Jeszcze ciekawsze były zajęcia ze śledztwa, w dosłownym już tego słowa znaczeniu – w znaczeniu mianowicie ideowym. Bo bicie to było raczej przygotowanie fizyczne, baza dla nadbudowy. Nazy-

wało się to: *Nowe, marksistowsko-leninowskie metody pozyskiwania informacji* – radzieccy wszystko tak patetycznie nazywali. Metody nie były nowe, były programowo staroświeckie, jakby z czasów Feliksa Edmundowicza. Prowadzący zajęcia szkoleniowiec zaczął oczywiście od krytyki burżuazyjnej koncepcji „domniemania niewinności”. Polega ona na tym, że prowadzący dochodzenie musi zakładać niewinność badanego, musi szanować jego prawa – także do kłamstwa i milczenia – w efekcie wychodzi na chuja.

Przesłuchiwany również demonstruje niewinność – a chodzi o to, by w ogóle do takiej demonstracji nie dopuścić. Przesłuchanie najlepiej zacząć od zaskoczenia, można użyć środków przymusu – należy jednak uważać, bo rozdrażniony podejrzany może być niebezpieczny.

– Nie mamy czasu na zbyt długie treningi, więc zademonstruję wam łatwy do zapamiętania i do praktykowania schemat – żebyście do swoich macierzystych organizacji wrócili ubogaceni. (On to powiedział po rosyjsku).

Prowadzący poprosił ochotnika i patrzył na mnie – jak głupi zgłosił się Janek, który chciał mi coś udowodnić.

– Nie wolno oddać inicjatywy badanemu. Trzeba zacząć od szoku. Najlepiej kazać mu stać i gdy on nie wie o co chodzi, kopnąć go między nogi. Badany pod wpływem bólu pochyla się do dołu, rzadziej pada. Leżącego można przydeptać, ale to skrajne przypadki. Sytuacja pierwsza jest częstsza, więc zapamiętajcie. Demonstruję:

I w tym momencie wykładowca kopie Janka w jąja genitalia, ten rzeczywiście się zwija, wykładowca rąbie go kantem dłoni w tył głowy. Janek upada a wykładowca tłumaczy:

– Uderzać należy nie za mocno, by badanego nie uszkodzić. Gdy wróci do przytomności, zmieniamy taktykę. Żadnych wrzasków, można podsunąć krzesło, mówimy głosem spokojnym, na-

wet współczującym. Żeby wyrobić w nim winę podkreślamy, że to on nas do tego zmusza. Można także grać na sentymentach, powiedzieć, że ma się podobnego brata albo nawet syna w jego wieku, spytać o plany życiowe, urlopowe *i tak dalsze*. Najważniejsze jest pierwsze zaskoczenie. Teraz podzielimy się na pary...

W czasie wolnym młodzi śpiewali, pływali i dupczyli się do upadłego – a wszystko w ramach walki z moralnością burżuazyjną. Wierzyli, że poprawiają w ten sposób urodę świata. My *inostrancy* nie mieliśmy takich złudzeń, przeważnie piliśmy wódkę milcząc lub mówiąc o niczym. Chociaż pewnego razu, niewiele brakowało... Szef przed wyjazdem ostrzegał, że u nich baby robią to na polecenie służb i żebym nie dał się nabrać, ale... To już nie były czasy ponurego stalinizmu, radzieccy snobowali się na Zachód, z harmoszek przesiadali się na gitary, powstawały jakieś zespoły młodzieżowe, był luz – zwłaszcza w kurortach.

Tego dnia miało być wieczorne szkolenie, ale nikt nie miał wątpliwości, jak się skończy. Zamiast zeszytów wszyscy poprzynosili butelki, o szklankach też pamiętano. Pierwszy toast był za powodzenie kursu, potem zdrowie kolejnych wykładowców. W pewnej chwili ktoś rzucił hasło, żeby już siadać na podłogę, bo jak popijemy, to mogą być trudności ze staniem. W naszej grupie byli sami mężczyźni, ale gdy dotarliśmy na podłogę obok nas jakimś cudem zjawily się skądś kobiety, pojawiły się też gitary, jedne piękne jak drugie, nic dziwnego, że się nam myliły. Najpierw ten i ów improwizował, ktoś polecał Wertyńskim a ktoś ryknął *Wariaga*, bo jesteśmy nad Czarnym Morzem. Łzy nam się w oczach kręciły, umieraliśmy z każdym marynarzem, w ostatniej chwili widząc dziewczynę czekającą przy oknie, matkę wychodzącą na drogę, dzieci, które pomimo wszystko się uśmiechały. Jednocześnie szumiało nam tamto i to morze.

W pewnej chwili, nie wiadomo skąd, chyba z ruskich bajek, zjawiała się taka czarnowłosa, czarnobrewa i z warkoczem. Śpiewała początkowo dla wszystkich, ale potem – jakby tylko dla mnie. Ktoś mówił, że jest żoną jakiegoś ważnego czekisty, ale jakoś się tym nie przejąłem. A ona stanęła w rozkroku i patrząc mi w oczy zaśpiewała gardłowym głosem:

*Я так люблю, когда большой,
Когда большой и толстый хуй во мне.
Я так хочу, чтоб он был твой,
Но твой большой – он только в моем сне.*

Nie uwierzycie – ja to od razu zapamiętałem! W Urzędzie zawsze mówiono, że mam fotograficzną pamięć, raz zobaczę albo raz usłyszę i mogę zeznawać przed sądem. Ale teraz to był rekord życiowy! Chwilę potem śpiewaliśmy to w duecie. Dostaliśmy ogromne brawa. *Burnyje aptodismienty prochodiaszczeje w owaciju.*

A potem chodziliśmy po plaży i co chwilę się całowaliśmy. I nagle, nie wiadomo którędy znaleźliśmy się u niej w pokoju. Robił wrażenie dwuosobowego, ale była w nim sama, zresztą za bardzo nie miałem czasu się przyglądać, bo w ułamku sekundy znaleźliśmy się w łóżku. Nie wiem, czy była to miłość, na pewno była to sztuka i to taka, przy której nasze resortowe kurwiszczka to były amatorki, takie z dupą po prośbie na wieś. Całowaliśmy się i rozmawialiśmy z ust do ust, jakby słowa też były pocałunkami. Chciała, żebym opowiadał o pracy, o domu, o Warszawie, zapraszałem ją do tej Warszawy, obiecywałem kupić perły, prawdziwe perły – powtarzałem, a ona zamykała mi usta pocałunkiem, potem znów mnie o coś pytała, potem ja ją... Namawiała mnie, żeby oglądać wschód słońca, ale nagle zachciało mi się spać, strasznie spać.

Kiedy się obudziłem, w pierwszej chwili nie wiedziałem gdzie jestem. Nie mogłem też poznać dziewczyny. Robiła wrażenie starszej, znacznie starszej. Makijaż rozpułynał się w ciemne plamy, jakby jakaś choroba wypełzła jej na twarz, sięgała po oczy. Odpięty warkocz leżał obok jej twarzy na poduszce. Zabrałem ubranie, wkładałem je, niemal biegnąc po korytarzu.

Ze wstydem musiałem przyznać, że to ona mnie wyruchała.

Nie spotkałem jej już do końca turnusu. Nie wiedziałem, jak miała na imię. Czasem myślę, że oni dokonali podmianki, że wieczorem śpiewała inna, a w nocy rozmawiała ze mną inna kobieta, zmylili mnie tym warkoczem.

Wieczornych szkoleń też już więcej nie było, gitary poznikały, pojawiły się znów harmoszki i jakieś kanciaste melodie. Jakby chór Aleksandrowa – ale z głosami eunuchów. Ktoś wyjaśnił, że KGB już wie, co chciało wiedzieć, ma na nas haki – zwłaszcza na żonatych – *i chwatit!*

Mam nadzieję, że Laryssa się nie dowie. Niby nic nas nie łączy, ale jednak... Mogłaby nie chcieć jechać ze mną na Kubę. A o Kubie myślałem coraz częściej, zwłaszcza że na Krymie zaczęła się psuć pogoda.

A tam: Kuba wyspa jak wulkan gorąca

Palm wachlarze rozkłada do słońca.

Przypomniałem sobie następną linijkę! Dobry znak!

Ostatnich kilka dni spędziliśmy siedząc przed budynkiem, niczym chłopci na przyzbie. Czekając.

Pachniało dyskretnymi rzygowinami. Smętny nastrój próbowaliśmy rozładować opowiadaniem dowcipów, ale nie wychodziło. Tak popularne u nas kawały polityczne były – na mocy jakichś

niepisanych praw – zabronione. Opowiadaliśmy przeważnie byle świństwa, od pasa w dół. Często ten sam „bezpieczny” kawał opowiadał jakiś Rusek wieczorem mnie, a następnego ranka, przy „klinie” – ja jakiemuś Ruskowi. Może temu samemu. Dzięki temu kilka zapamiętałam i mogłam nimi szpanować po powrocie, że to teraz najmodniejsze w Moskwie. Nie w Arteku, a w samej Moskwie. Na przykład zagryzając wódkę, rzucaliśmy zagadkę:

– *Co mówi kanapka do pijaka?*

– *Nie znaju...*

– *Ja skoro wiernus’*

To samo mówią sobie zakochani. Zwłaszcza na kursach w Arteku.

Był też jeden dowcip odważniejszy, który wracał do mnie ze trzy razy. Syberia, łagier, jakiś gościu się budzi i widzi, że jedzie na furce. Pyta powożącego jamszczika:

– *Dokuda mnie wieziotie?*

– *Ano na kładbiszczę, na cmentarz.*

– *Przecież ja jeszcze nie umarłem.*

– *A my jeszcze nie dojechali.*

Ten drugi kawał chciałem po przyjeździe opowiedzieć Laryssie, wydał mi się bardzo angielski, a ona zawsze kpiła, że znam tylko ordynarne kawały, z których słoma wyłazi jak z butów.

Wymyśliłem, żeby najpierw załatwić zgodę Szefa, potem z Biurem Podróży Orbis, mamy tam swoich ludzi. A potem wtajemniczę Larysę i na początek zacznę ściemniać, że mamy tam specjalną misję, takie *Siedemnaście mgnień wiosny*. W to, że kogoś mamy rozpracować nie uwierzy, ale że na przykład jakiś kurier przedrze się do nas z Ameryki na Kubę, żeby przekazać materiały, które my dostarczymy do Warszawy. Tylko skąd wziąć kuriera? Ameryka-

nie mogli po drodze go złapać, teraz on może nas wsypać, musimy szybko wyjeżdżać!

Uwierz, nie uwierz – spróbować można. A jeśli nie wymyślę żadnej legendy, to Laryssa zorientuje się w końcu, że misja to spacer po plaży, kąpiel, lody i...

No i co z tego, ja się pytam?

Czyżbym zaczynał mieć poważne plany?

A może wtajemniczyć we wszystko Szefa? Przez lata jest mi jak ojciec. Najlepiej gdyby resort po prostu w nagrodę wysłał nas oboje na Kubę. Gdyby to nie było możliwe – sam zapłacę. Chodzi o stworzenie pozorów.

A właściwie dlaczego stwarzać pozory?

Dlaczego nie możemy żyć prosto i mówić prawdy, dlaczego z wakacyjnego wyjazdu chcemy zrobić jakąś mroczną i pełną kłamstw „operację”?

Ostatnie dni przed powrotem wlokły się jak ta furka na cmentarz.

A kiedy wróciłem do Warszawy – Laryssy nie mogłem nigdzie znaleźć. Nawet nie zdążyłem jej opowiedzieć o Kubie.

Kartki z daleka

Wyjechałem – a przez ten czas wszystko się, kurwa, zmieniło. Znikła Laryssa, zniknęli gdzieś opozycyjni poeci, a już ich trzymaliśmy za ogon.

Wezwałem Janka, ale przyszedł pijany w trzy dupy i mówił, że to wszystko moja wina. Poprosił o zwolnienie ze służby. Na począ-

tek dostał w ryj i tydzień paki za pijaństwo na służbie – po trzech dniach go odwiedziłem. Łaził za mną po celi na kolanach, obejmował mnie jak chłop pod nogi, żebym mu tylko wybaczył. Wybaczyłem.

O Laryssie nie rozmawialiśmy. Rzuciłem się w wir pracy. Po kilku dniach dostałem od niej pierwszą kartkę. Wysłana była z Kuby, w czasie gdy byłem w Arteku. Pojechała kurwa z kim innym. Jakby kto podsłuchiwał moje myśli. Znów szukałem ukojenia w pracy. Nie ukojenia, co ja pieprzę, narkotyku!

Romeo i Julia z PRL-u

Najsamopierw pojechałem parę razy do Krakowa. Ta sprawa czeka na ciebie – uzasadnił Szef. To środowisko aktorskie, ty znasz się na literatach, a to prawie to samo. Zresztą ten pokręcony aktorzyzna coś tam nawet pisywał, dałeś mu wyróżnienie na konkursie – więc jakby twój wychowanek.

Rzeczywiście parę lat temu byłem jurorem w konkursie, ukreśliłem łeb niesmacznej aferze – ale tak, jak robią to uczciwe służby: ucierpiała afera, a nie ludzie.

A teraz zaskoczył nas nieoczekiwany finał tej historii.

Sprawa była dosyć tajemnicza. Wyglądała na podwójne samobójstwo. Wyglądała albo miała wyglądać.

Dwa trupy w kuchni, ona, Zofia Wójcik aktorka, lat 23, on, Zbigniew Marcinkowski – 8 lat starszy. Chyba że poprzestawiałem na zwiska, co mi się czasem zdarza. Na pogrzeb pojechał od nas Śpiewak, niby jako delegat Koła Młodych ZLP. Pamiętałem, że poznał ich jeszcze jako juror w Zameczku, poczuł miętę do Oli, młodszej siostry naszej Julii, po imprezach zachował cenne kontakty. Uni-

kał za to ich brata (ksywa „Tybalt”), który zazdrosny był o obie siostry, do tego ćpun. Raz się spotkali, Śpiewak już miał dostać w mordę, ale pokazał mu legitymację. Nie całkiem była formalna, ale „Tybalt” był tak nawalony, że niczego nie sprawdzając uciekł z krzykiem. Od tamtej pory kilkakrotnie się odgrażał, jednak bez rękoczynów.

Po powrocie Śpiewak zrelacjonował nam kilka rozmów, z których nic nie wynikało i wykpił mowę księdza nad grobem, zresztą podwójnym, co wymagało zgody paru hierarchów. Normalnych rodzin, prócz tego ćpuna „Tybalta”, kochankowie nie mieli.

Podczas krótkiej żałobnej mszy ksiądz porównał młodych do Romea i Julii, co jakąś aktorkę doprowadziło do histerycznego śmiechu. Zamiast śpiewać – szeptano o podwójnym morderstwie, o kłótniach między kochankami i o tym, że jakąś rolę odegrała w tym nasza służba.

Teraz ja miałem tam jechać i wszystko do końca wyjaśnić. Szef nie mógł lepiej trafić.

To ja nagradzałem ich za wiersze, dostali główną nagrodę *ex aequo*. Te nagrody połączyły ich w parę. To ja potrafiłem wyreżyserować dla nich kilka scen pięknych jak w prawdziwym teatrze. O następne mieli zadbać sami.

Chcieliśmy mieć kogoś w środowisku aktorskim, więc spotkałem się z nimi jeszcze raz i drugi, oczywiście pod przykryciem – jako znany warszawski krytyk Henryk Lang. Zbigniew – szybko przeszliśmy na ty – starał się dostać do szkoły teatralnej – no to mu pomogliśmy. Nie ukrywam, że miałem związane z nim plany na przyszłość – chyba nawet na jego teczce napisałem AP, agent perspektywiczny, ale póki co – nie naciskałem. Oboje młodzi żyli jakoś na marginesie, w opozycji się nie udzielali, w partii – też nie,

żadnych *komprmatiałów* na nich nie pozyskano. Nie zdradzali się z przygodnymi partnerami, nie handlowali walutą, nie chałturzyli po knajpach, akademiach i remizach strażackich, choć połowa aktorów to robiła. Zajmowali się tylko sobą, jednym słowem: żyli miłością. To było ładne, bardzo im tego ciepła zazdrościłem.

Za każdym razem, gdy jeździłem do Krakowa chodziłem ze Zbyszkim do knajpy, gadaliśmy o wszystkim i o niczym, potem robiłem z tego raport, ale nie jako jego „doniesienie”, tylko jako moje – „ze słów”. Zbyszek znał mnie jedynie jako krytyka z Warszawy, wprowadzał w środowisko – nie chciałem się dekonspirować. Raz i drugi dałem mu pieniądze – widać było, że zaczyna coś podejrzewać, lecz forszę wziął. Można powiedzieć, że był wstępnie opracowany. Potem posłałem zamiast siebie Śpiewaka, co do którego mieliśmy jeszcze dalej idące plany. Oczywiście wysłaliśmy go pod przykrywką, jako poetę. Był już TW, ale chciał się załapać na etat, pomyślałem: niech się zasługuje. W resorcie zaczynały się oszczędności, czepiali się rachunków z Krakowa – kazałem Śpiewakowi na pierwszym spotkaniu dać Zbyszkowi parę tysięcy, a na następnym się ujawnić i zażądać od niego deklaracji na piśmie.

Nie wiedziałem, że tak zawali sprawę.

W rozmowie ze mną oczywiście szedł w zaparte. Podsunął mi jednak pewien trop, raczej poszlakę, domysł. Że na przykład Romeo się załamał i przyznał Julii do współpracy – i o to poszła awantura. A może nawet popełnili wspólnie samobójstwo. Literacko niezłe, ale tylko literacko. Kupiłem to jako hipotezę wstępną, bo nic lepszego nie było, ale raczej podejrzewałem coś innego.

Nie przypuszczałem wtedy, żeby Śpiewak mógł przekroczyć swoje kompetencje i z butami wleźć w moją sztukę. Raczej wypchałem wszystko w ramy „Romea” i „Julii” – a pasowało świetnie. Dramaturg powinien być jak zegarmistrz, który kończy swą pra-

cę na nakręceniu zegara. Rozdałem role, podreżyserowałem parę scen a potem moja komedia grała się sama.

A teraz zobaczyłem na fotografii dwa trupy.

Ona z głową w kuchence gazowej. To znaczy, że odkręciła gaz. Sąsiad, też zresztą aktor, przypadkowo słyszał, że się kłóca, ona na coś Zbyszkowi nie pozwalała, on krzyczał zatkaj się, ludzie słyszą, ja cię zatkam – albo coś podobnego. Ale jego ciało leżało daleko od niej, pod oknem, to znaczy przodem do okna a tyłem do piecyka.

– No, Lang, uruchomcie waszą literacką wyobraźnię – zażartował kapitan, który prowadził tę sprawę. I opiszcie co się tam stało, ale tak, żeby nikogo z naszych nawet po premii nie trzepnęli.

Wtedy jakby mnie olśniło.

– Znaczy nie dawaliście mu spokoju?

– Delegat od was, z centrali, uznał, że to jest agent perspektywiczny, to nas obligowało do kontrolnych spotkań. Był nawet pomysł, żeby go izolować, żeby ktoś go pokłócił z dziewczyną, żeby jednemu powiedzieć, że to drugie go zdradza. Wtedy są łatwiejsi do obróbki. Ale żeby zaraz zabijać, to nie. Nie te czasy, jak mówią czescy towarzysze: *Dachau, Dachau, to se już ne vrati!* – zażartował znowu kapitan. – Więc nawet my nie wiemy, co tam dokładnie się stało. Na zlewozmywaku był ślad krwi, on, ten Romeo, miał także krew na włosach, tu są zdjęcia. A tu liścik: *Nie mogę bez niego żyć*. Dziewczyna napisała go przed śmiercią. Według nas znaczy tyle co: proszę nikogo nie winić. Dobra, stara szkoła samobójców, którzy nie chcieli sprawiać kłopotu swym bliskim.

Ciekawe, ile jeszcze dowodów trzymają w osobnej teczce.

Odbyłem jeszcze raz rozmowę z sąsiadem aktorem. Słyszał więcej, niż zeznał za pierwszym razem, bo słyszał odgłosy bójki. Potem cisza. Zajrzał przez dziurkę, ale niczego podejrzanego nie zoba-

czył. Ta Zofia siedziała przy stole, tyłem do drzwi i coś pisała. Jakiś czas potem, upłynęły ze dwa kwadranse, usłyszał jakby szuranie a potem już do końca było cicho, żadnej kłótni ani nawet rozmowy.

Połączyłem to z pierwszymi zeznaniami sąsiada i z naszymi danymi.

Idąc za sugestią Śpiewaka, w pierwszej chwili uznałem, że Zbyszek połapał się, kto stawia mu wódkę, pewnie rozplakał się i przyznał swojej Julii do potajemnych randek z esbekami, może prosił o radę, może błagał o rozgrzeszenie – ona stanowczo zażądała, żeby zerwał z SB. Zrobiła awanturę. Na przemian wrzeszczała i płakała. Zbyszek był przerażony, krzyczał zatkaj się, krzyczał ludzie słyszą, może zaczęli się szarpać, może chciał ją uderzyć. Był pijany, to stwierdziły oględziny.

Oględziny stwierdziły także, że zmarł ponad pół godziny później od niej, od swej Julii. Prawdopodobnie odepchnęła go tak mocno, że upadł – wałąc głową w zlewozmywak. Zaczął krwawić. Ona przeraziła się, że go zabiła – napisała ten liścik i wsadziła głowę do piecyka. Potem ten Romeo się ocknął, może zobaczył jej zwłoki, a może zaczął się wlec do okna, żeby wpuścić powietrze. Albo wyskoczyć. I nie dał rady.

Oczywiście były i inne hipotezy, uparcie powtarzano plotkę, że Zbigniewa Wójcika znaleziono nie w mieszkaniu a na bruku pod oknem. Nikomu jednak nie chciało się robić ekshumacji. A gdyby co – krakowscy towarzysze mogli mieć rezerwową hipotezę. Romeo ocknął się i zobaczył, że jego Julia nie żyje. I rzucił się w rozpacz i w poczuciu winy na bruk. Nie twierdzę, że takie wyjaśnienie ogłosili, ale mogli ogłosić, dali mi to do zrozumienia. Ta hipoteza również przystawała do mitu i również wykluczała udział osób trzecich.

Tak został odegrany Romeo i Julia w PRL. Było to dzieło zależne, niemniej ci, którym przypadły te role – przeżyli je naprawdę,

to nie były udawane scenki, po których aktorzy zdejmują kostiumy i wracają do „normalnego” życia – aż do następnego seansu. Ich życie stało się prawdziwą sztuką, a nie jej udawaniem, przeżyli piękną, pełnokrwistą miłość i równie piękną rozpacz. Intryga, którą wymyślił dla nich los, a ja mu trochę pomogłem, była godna Szekspira – a jednocześnie nowoczesna, na miarę naszego wieku. Rozwijała się trochę inaczej, niż początkowo opisałem w raporcie, lecz nawet ten wariant odmienny wrócił szybko do głównego nurtu, i ostatecznie umarli tak, jak przedstawiłem. Dzieło prawdziwe i jednorazowe, nie w nadbudowie a w bazie.

To był początek. Coraz bardziej świadomie zacząłem tworzyć nową mitologię, a przynajmniej udoskonalać już istniejące wzorce. Laryssa – polska Mata Hari. Nawet lepsza, nie została zdekonspirowana, o jej współpracy zapomnieli nawet ci, którzy ją werbowali. Przy moim udziale powstawał „Małachowski” – zdrajca i bratobójca, postać na miarę germańskich i żydowskich mitów. Dziełem resortu, więc reżyserii zbiorowej byli także „niewinni czarodzieje”: kapuś – podróżnik Kapuściński, kapuś – aktor Sykutera, tańczący kapuś – „Henryk” Tomaszewski i paru innych tewulców.

W mojej pracy było coś boskiego. Ale w pewnym momencie straciłem nad swym dziełem kontrolę. Z dnia na dzień odechciało mi się pracować. Nie pracować też mi się nie chciało. Ruscy mają dobre przysłowie, jakiś dekadенcki książę im to wymyślił: *nadojeło odiewatsja i razdiewatsja*. Szef zadbał jednak, bym nie miał czasu na babskie humory. Kiedy robiąc aluzję do urlopu użyłem słowa depresja – niemal wrzasnął: nie istnieje coś takiego jak depresja, są tylko rozmamłani faceci. I wysłał mnie dla odmiany do Wrocławia.

Święty Paweł znad Odry (1980)

Laryssy nie było w Warszawie, mnie też nie. Byłem przeważnie we Wrocławiu albo w pociągu na trasie Warszawa – Wrocław. We Wrocławiu objawił się wtedy ostry, opozycyjny poeta, nazywano go literackim Wałęsą, nie wiedząc, ile w tym określeniu jest prawdy. A ile jest – najdokładniej wiedziałem ja, to był mój pomysł – choć może nie do końca. Bo coś takiego wpadło mi do głowy, gdy Laryssa organizowała niby opozycyjną, ale trochę i naszą grupę. Oczywiście była to amatorszczyzna, zakończyła się klapą, ale gdy z takim pomysłem przyszedł „Kowalski” – ziarno padło na podatny grunt. TW „Kowalski”, czyli Andrzej Drawicz z rusycystyki oficjalnie już niby nie donosił. Był czas Solidarności, ale stare więzi wciąż były mocne – udawaliśmy, że to tylko przyjaźń. Zapraszałem go przy okazji różnych świąt i rocznic – a on wciąż bał się odmówić. Za każdym razem, żeby podtrzymać fikcję przyjacielskiej, ożywionej rozmowy miał przygotowaną jakąś ciekawą opowieść. Wtedy, a było to oczywiście w „Złotej Kaczce”, opowiedział mi o carskim policmajstrze Zubatowie, któremu groziła emerytura. Znaczący margines i czekanie na śmierć. Żeby się przed tym uchronić, zorganizował podziemny ruch socjalistyczny, a kiedy kółka poszły w ruch – on, jako specjalista okazał się niezastąpiony w ich wykrywaniu, udaremnianiu zamachów, wyłapywaniu hersztów. Zagoniłem paru tewulców do kwerendy i już wkrótce wiedziałem, że „Kowalski” trochę haftuje. Niektóre szczegóły opowieści brał na przykład nie z Zubatowa a z biografii Jewno Azefa, który zorganizował kółko studenckie – i wyspał, zorganizował spisek na jakiegoś ministra – i nie wyspał, ale nie przeszkadzałem Drawiczowi zmyślać. Mnie emerytura nie grozi, a pomysł generalnie jest świetny: socjalizm policyjny, czyli zubatowszczyzna. Arcydzieło!

Oczyma duszy widziałem naszą policyjną opozycję, nasz milicyjny KOR, milicyjne tajne gazetki, nasza „Krytyka”, nasz „Zapis”. Nasz „Kowalski” znowu się przyda.

Nie tylko on, są inne miasta, inne zagrożenia.

Trochę trwało zanim Szef zatwierdził mój projekt, chyba zażดościł, że sam na to nie wpadł. Na miejsce naszej „zubatowszczyzny” wybraliśmy Wrocław. Chodziło o to, by wyhodować tam, jeśli nie własną opozycję, to chociaż jakieś autorytety moralne złożone z byłych, aktualnych i przyszłych tewulców. W czasie gdy Solidarność pleniła się we wszystkich zakładach – potrzebni byli ludzie, którzy uzbrojeni w charyzmę mogli gasić strajki, schładzać nastroje i blokować zbyt radykalne projekty. Miałem szukać takich autorytetów wśród pisarzy i nauczycieli. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności trafił się nam literat, który był jednocześnie i poetą, i nauczycielem, i wicedyrektorem szkoły. Miał też i tę zaletę, że nie pochodził ze Lwowa. Lwowiacy byli zoologicznie antyradzieccy i antykomunistyczni, nawet gdy podpisywali współpracę, to potem oszukiwali. W tej chwili nie pamiętam nazwiska naszego literata, ale miał ksywę „Małachowski”. Był kiedyś naszym TW, potem zawieszono współpracę, nie wiedział, że my znamy jego przeszłość.

Wspominałem już o tajnym współpracowniku ksywa „Konar”. Pisał świetne raporty, niektóre wprost z Wrocławia do centrali. Mówią, że nazywa się Worcell, ale to trzeba sprawdzić. Bo jeśli jest to ten literat Worcell, co napisał „Zakłęte rewiry” – to jest to ściema do kwadratu. Bo Worcell to naprawdę nazywał się Kurtyka, a hrabiowskie nazwisko Worcell przybrał, by lepiej się sprzedawać. Więc „Konar” dla nas, Worcell dla czytelników, a naprawdę Kurtyka ze wsi Krzyż, dziś dzielnica Tarnowa. Kim jest „sam w sobie”? Czy

on w środku może być jeszcze uczciwy, czy odwrotnie – niezwykle podły, wręcz potworny? Czy ja, kurna, nie zaczynam myśleć o samym sobie? Kogo mam w środku?

Do adremu, stary.

„Konar” był nasz, brał szmal, musiał wykonywać zadania. Był uznanym, nagradzanym literatem, więc nikt go nie podejrzewał. Został zadaniowany, by skontaktować mnie z raczkującą we Wrocławiu opozycją, a zwłaszcza z „Małachowskim” – sugerując tym naiwniakom, że ja też trochę podpadłem, że pisuję do Wolnej Europy i inne takie. „Konar” wywiązał się na piątkę. Na początek zaprowadził mnie do jakiegoś akademika, rozdaliśmy parę gazetek – to, że występowałem pod nazwiskiem, to znaczy jako Lang, zdobyło mi opinię odważniaka. „Konar” zadbał też o to, by informacje o spotkaniu z „podziemiem studenckim” dotarły do „Małachowskiego”. Ten od razu kupił legendę. Na tajne spotkania jeszcze bał się przychodzić, ale zaprosił mnie do domu. Też niby konspiracja – w rzeczywistości wiocha i amatorszczyzna.

Kiedy otworzył – natychmiast go rozpoznałem. I wreszcie sobie przypomniałem, że naprawdę nazywał się Białowąs. On jednak nic nie kojarzył. Chyba ma już kłopoty z pamięcią. Niełatwo będzie zrobić z niego autorytet opozycji. Żeby być Pawłem, który wyklął się z „Szawła”, jednak trzeba mieć chociaż dwa jaja. A do knucia w podziemiu trzeba mieć pamięć jak słoń. „Konar” wprowadził mnie na dwa takie spotkania z Białowąsem – a nasz bohater dwa razy tak się witał, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu. I dwa razy opowiedział mi wic o „waszym warszawskim pisarzu Szczypiórkowski” – nie wiedząc rzecz jasna, że ja znam tego pisarza, że od lat jest naszym tajnym współpracownikiem, ksywa „Mirek”.

A wic był taki:

Dzwoni telefon, odbiera żona pisarza. Głos w słuchawce: – Jest towarzysz Piórkowski? – Pewnie Szczypiórkowski – mówi żona. – To ja poczekam.

Ja też musiałem poczekać i to długo, aż nasz przyszły autorytet opozycji przestanie rechotać. Zostawiłem mu trochę bibuły, udałem, że nie znam jego przeszłości i wyjechałem.

Następną porcję bibuły podrzuciłem mu przez „Konara”, potem znowu wybrałem się do Wrocławia. „Konar” urządził tajne zebranie u siebie w domu, Białowas był wniebowzięty, zaczął się przekonywać do swojej roli. Nawet cera mu się poprawiła – jakby zrzucał z siebie starą skórę.

Żywot esbeka pocziwego. (Brudnica o Laryssie. Aresztowanie, Choroszcz)

Żyłem więc jeden w dwóch osobach. Rekord w naszej kulturze wynosi jeden w trzech, więc trochę mi brakowało. Czułem już jednak pewien komfort, polegający czasem na możliwości ucieczki, a czasem po prostu odpoczynku w drugiej osobowości i w zupełnie innym świecie. Jako Majchrzak awansowałem na wicenaczelnika, w ten sposób Szef, który był już bliski zaocznego magisterium z germanistyki miał mnie stale pod ręką. Czasem tylko musiałem jechać w teren, ustawiałem jakąś operację.

Zdarzało się, że w tej samej miejscowości raz byłem w jednym, a raz w drugim wcieleniu – nigdy nie doszło do dekonspiracji. Nie musiałem wymyślać żadnych legend czy uciekać się do charakteryzacji. Starczyło włożenie munduru, czasem granatowego garnituru z krawatem, który też był rodzajem munduru – jak w carskiej

Rosji. Jako Lang nie nosiłem garniturów, a jeśli, to bez krawatów, marynarki w kolorach, na które urzędnik państwowy musiałby reagować ucieczką.

Wprowadzałem także dodatki, które w oczach aparaczyków musiały wyglądać wręcz antypartyjnie. Kiedyś w kawiarni literatów spotkałem Jana Krzysztofa Brudnicę, jak zwykle wytwornego – z pedalskim szaliczkiem na szyi. Zwróciłem na ten szalik uwagę już podczas promocji swojej książki. Tak bardzo rzucał się w oczy, że właściwie unieważniał twarz i całą resztę, co mogło być operacyjnie przydatne. Zaproponowałem Brudnicy dwie dychy, ta szmatka nie była tyle warta. A ten pajac odmówił! Proponuję pięćdziesiąt – odmawia. Daję stówę – trochę mięknie, ale dalej się droży. No to mu przypomniałem kim jest dla nas, oburzył się pro forma, że wykorzystuję stosunki służbowe, ale spuścił za pół stowy i piwo.

W sumie byłem zadowolony: przy piwie dowiedziałem się trochę o Laryssie. Brudnica jako krytyk robił jej kiedyś wieczorek i jak wszyscy w tym porąbanym Związku Literatów też miał ochotę ją przelecieć. Oczywiście go pogoniła, to ona niczym caryca Katarzyna wybierała partnerów – ale Jan Krzysztof z daleka obserwował jej przygody. Od niego dowiedziałem się, że aktualnie przebywa w Białostockiem, nawet w jakimś pałacyku, ale że gości nie przyjmuje. Szczegółów nie podawał, ale patrzył tak na mnie, jakby mówił, że to ja jestem temu winien. Tylko czemu? Postanowiłem zrobić prywatne śledztwo. Wezwałem znowu Janka i ostro wziąłem go za mordę. O parę rzeczy podpytałem Szefa, poszedłem też do mieszkania Laryssy – niedaleko Sądów. Oczywiście było zamknięte, małe okienka u góry były zabite deskami, nic się nie dało podpatrzeć, ale zrobiłem wywiad wśród sąsiadów.

Kawałek po kawałku ułożyłem całą łamigłówkę.

Jeden z sąsiadów, też zresztą z resortu, powiedział, że był świadkiem jak „nasi” przyjechali ją aresztować.

– Nasi?

– Tak, ale im się nie udało. Musieli wyłamać drzwi. Przyjechało pogotowie. Ale dawała znaki życia.

O przyczynach tej absurdalnej akcji dowiedziałem się, postawiwszy kilka wódek w resortowej „kawiarence”.

Zaczęło się od tego, że ktoś z „Naczalstwa” wrócił z Moskwy i zdawał sprawozdanie na zebraniu podstawowej organizacji partyjnej. Radzieccy szkolili swoich agentów na potęgę, modny był zwłaszcza Sun-Cy, którego próbowali stosować także w wojnie ekonomicznej, ideologicznej, nawet sportowej, jaką prowadzimy z Zachodem. Bo na frontach, gdzie walczy się żelazem i krwią wojna jest chwilowo wstrzymana, ale na innych, gdzie walczy się pieniędzmi i propagandą – konfrontacja narasta i często te fronty są ważniejsze. Doceniał ich rolę już Lenin, który czasem nie miał na chleb dla ludu miast i wsi, nie miał na budownictwo, ale na propagandę i na agenturę miał zawsze. Tak jest i tak było od pradziejów. Na przykład wzmiankowani już Chińczycy nawet w czasie pokoju wysyłali do kraju wroga zasyfione prostytutki – można podobne podesłać kapitalistycznym sportowcom, uczonym, przywódcom politycznym, dyplomatom i wszystkim, bo dobrze wyszkolona dziwka nawet świętego wyrucha. Radzieccy już taki numer stosowali, jeszcze przed II wojną, wysyłając do Francji całe desanty kurw udających wygnane przez bolszewików arystokratki. Odmianą syfa, nieco inaczej wszczepianą był pacyfizm – zarażono nim także połowę młodych Amerykanów.

Kolejni mówcy wygłaszali coraz bardziej odlotowe i coraz wulgarniejsze wypowiedzi. To było najciekawsze zebranie partyjne w resorcie. Z jednej strony ciarki po grzbiecie, z drugiej jakiś gnijący smaczek w ustach. Wysłać zasyfioną literatkę do emigracji w Londynie albo do „Kultury” Paryskiej, podłożyć upudrowaną kurwę Gie-

droyciowi albo staremu generałowi Maczkowi. Oczywiście najpierw trzeba taką zarazić, ale przy dzisiejszym poziomie medycyny to nie problem. A radzieccy mają choroby jeszcze lepsze niż syf.

Te i podobne pomysły sypały się jak z rękawa kilka godzin. Janek mówił, że to było pierwsze zebranie partyjne, na którym mu stanął. I niby na tym się skończyło, ale zebranie miało dalszy ciąg.

Pod moją nieobecność ktoś z pierwszego Departamentu umówił się z Laryssą. Chcieli z niej zrobić socjalistyczną Matę Hari, gwiazdę wywiadu – świecącą brudnym światłem. Właściwie było ich dwóch, jeden z wywiadu, drugi z obyczajówki. Zaprosili ją do kawiarni, nawet niezłej, z orkiestrą, coś jakby harfa, saksofon, wielki szpan, ale od początku źle zaczęli. Bo ten z obyczajówki próbował ją postraszyć.

– Domyślasz się, po co zostałam wezwana, chodzi o pewne delikatne misje, jak to mówią, gdzie diabeł nie może... Więc chcielibyśmy cię posłać do paru dżentelmenów, a ty...

– Od kiedy jesteśmy na ty?

– Możemy mówić po imieniu. Więc słuchaj mała dziwko! Nie zgrywaj przed nami dziewczycy, bo wiemy komu dajesz dupy, z którymi „literatami” już spałaś, zupełnie bezsensownie. Teraz chcemy, byś robiła to sensownie, nie będzie ci gorzej, wszystkie chuje są takie same, no uśmiechnij się, kurwa, czasem będziesz musiała coś nagrać, czasem wystarczy zapamiętać...

– A czasem będą komplikacje, że tak powiem natury medycznej, kwestie szczepionki, odkażeń, nasz lekarz ci wytłumaczy – wtrącił łagodząco drugi z funkcjonariuszy.

– Słucham tego za długo!

– Siedź, kurwo!

– Pierdol się – warknęła Laryssa

– Co ty, kurwa...

– Ludzie, ten zbok mnie napastuje! Ludzie, wezwać policję! Ludzieeeee!

Orkiestra umilkła, zrobiła się nagła cisza – jak w kinie, gdy wyśiądzie fonia i wszystko zmienia się w jakąś upiorną pantomimę.

Laryssa wstała wywracając stolik i nagle jakby z powrotem włączono dźwięk, ludziom wróciły głosy, krzyki, nerwowy śmiech, zrobiło się zamieszanie. Laryssa wywróciła jeszcze jeden stolik, na wypadek, gdyby kto ją gonił i uciekła z lokalu.

Myślała, że uciekła.

Następnego dnia wysłano po nią patrol. Chłopcy z obyczajówki byli nieźle wkurwieni, chcieli ją dodatkowo upokorzyć, może skuć kajdankami, wyprowadzić na oczach sąsiadów poszturchując i wymyślając od kurew, w każdym zdaniu powtarzać kurwa, kurwa... A jak co, to przywalić, aż się pizdą nakryje. Nawet gdyby ją potem wypuścili – nie miałyby już życia w tym domu, na tej ulicy, kurwa jedna.

Od razu zaczęli głośno walić w drzwi.

Nie otworzyła. Jeden mówił, że chyba mignęła mu w okienku u góry, ale potem nastąpiła cisza. Ta franca sobie z nich kpiła! Chwilę się naradzali, a potem rozwalili drzwi tak, żeby zrobić jak największe szkody, potłuc szyby.

Leżała na łóżku naga, w kałuży krwi wsiąkającej powoli w posciel. Porznęła się żyłką jak ćpunka. Ledwo ją odratowano.

A potem ją zamknięto – lecz zrobiono z tego tajemnicę. Siedziała w pałacu bez klamek, a dla zmyłki wysyłano kartki niby pisane przez nią z „bajecznej podróży dookoła świata”. Z rozpędu jakiś gorliwiec przysłał do mnie – z Kuby. Nie od razu sobie przypomniałem, że takie numery stosowano jak kogoś zamknięto – na przykład Bąka w zakładzie pod Poznaniem. Wtedy wysłano jakieś kartki z Włoch, a nawet z Indii, że on niby taki mistyk. Trochę czasu zabrało mi ustalenie, że Laryssę zamknęli w zakładzie w Cho-

roszczy. Pojechałem ją odwiedzić. Ona była nie w pałacyku, ale w hali fabrycznej, do której przeniesiono część chorych. Upiorna sala balowa, Laryssa chodziła jakby we śnie, inni zresztą też, wyglądało to jak widmowy taniec, w którym każdy tańczy sam z sobą i swoimi strachami. Czasem poruszali się jak kukły, jak potworki sklejone z kawałków ciała przez szalonego lekarza, czasem stawali wykonując pokraczne, wulgarne gesty. Nie wiem dlaczego miała podrapaną twarz, usta krzywo pomalowane jaskrawą szminką. Jak dziwka czekająca na klienta. Nie mogła czekać, nie zapowiadałem przyjazdu. A jeśli mogła? Jeśli cały czas czekała?

Nie miałem odwagi podejść. Uciekłem.

Potem sam załatwiłem jej zakład w Radziejowicach, pielęgniar-
kę, opiekę psychologa – oczywiście anonimowo, jako resort, ale z mojego funduszu dyspozycyjnego. Naśladując jej charakter pi-
sma wysyłałem pozdrowienia do znajomych – z Włoch, Indii a na-
wet z Nepalu. Z taką świątynią, która miała pięć dachów, więc z da-
leka wygląda jak pięć świątyń. Pamiętam nazwę: Nyatapola. Do jej
wnętrza nie wolno wchodzić.

Laryssa przesiedzi w tym zakładzie Solidarność i rozbiście Soli-
darności, stan wojenny i czas „nieznanych sprawców”.

Gdy wyjdzie – świat będzie już inny. Wolny od lęku.

Ale lęk będzie w niej.

Ich bin ein Teil von jener Kraft, die stets das Böse will und stets das Gute schafft (Przed II galą)

Zarysowała się możliwość spożytkowania zdobytej w służbie wie-
dzy. Tylko ja mogłem napisać i wydać zbiór szkiców, któremu dałem

tytuł *Po drugiej stronie luster*. Dzieło literackie jest zwierciadłem chodzącym po drogach. To znaczy, że odbija, ale zarazem przesłania to, co kryje się za nim, jest jak tarcza. Pomysł, żeby opisać świat ukryty *Po drugiej stronie luster* sam się narzucał: wykorzystać zdobytą w SB wiedzę o literatach i ich dziełach. Rozłuc lustra!

Nie miałem najmniejszych oporów. Ja kłamałem, pisałem donosy, prowokowałem, wykańczałem – bo to był mój zawód. Oni robili to samo – na ochotnika. Z chciwości, z zawiści, ze strachu. Teraz mogłem to wykorzystać, mogłem piętnować zło, czyli, wbrew opinii jaką cieszył się mój zawód – pracować na rzecz dobra, prawdy i sprawiedliwości.

Wszedłem na wyższy szczebel wiedzy o człowieku.

Mój debiutancki *Człowiek wobec luster* był prosty, trochę – dziś przyznaję – chamski. Jak kradzież jajek sąsiadowi. Wykorzystywałem wiedzę operacyjną, nieosiągalną badaczom pracującym tradycyjnymi metodami i upubliczniłem prawdziwszy obraz rzeczywistości. Precyzyjne opisy doniesień, emocje związane z szantażem czy choćby wyciąganiem na zwierzenia podnosiły aurę emocjonalną, jak i stopień prawdziwości mojej książki. Wcześniej sądzono, że wzrost jednej powoduje spadek drugiej z tych wartości.

Otóż nie!

Człowiek wobec luster dostarczał czytelnikom więcej prawdy i więcej emocji, niż zakłamanie książki tamtego okresu. Taka prawda jest zarazem dobrem – i to ja działałem na rzecz dobra. Tak, kurwa! Ja, ubek, okazywałem się siłą, która działa ostatecznie na rzecz dobra i przywraca sprawiedliwość. Jak mówił Goethe: Jam częścią tej siły, która zawsze zła pragnąc, zawsze dobro tworzy. Ale to już poza mną. Tamtą książkę napisałem i zamknąłem.

Po drugiej stronie luster zajmie się dekonspiracją, „drugim dnem” dzieł donosicieli. Jan Krzysztof nazwał ten etap moich prac

hermeneutycznym – kupilem. Pretensjonalnie, ale chyba trafnie. Każde dzieło, dramat czy wiersz można traktować jako list od Hermesa Trismegistosa pisany szyfrem – tym doskonalszym, im bardziej udającym, że żadnym szyfrem nie jest.

Ten grecki, a właściwie hellenistyczny patron pasuje, bo Hermes Po Trzykroć Wielki (tak można jego miano przetłumaczyć) reprezentuje triadę religii, nauki i sztuki (to starożytna Trójca!), a do tego jest bogiem złodziejstwa i innego kurestwa. A nadto jeszcze patronem i pisma, i magii. I to on przyniósł Pandorze pustą na pozór puszkę. Na Boga! To daje pole do snucia błyskotliwych analogii i wymyślania po trzykroć skrzydlatych metafor. Nie ma bogów, ani chrześcijańskich, ani greckich, ale ten Hermes jest! Nie widzimy go, bo jest niewidzialny, a to z kolei dowód – że jest bogiem. To taki metafizyczny żart.

Zarówno zwerbowani przez nas literaci, jak i księża i naukowcy żyli od podpisania współpracy życiem podwójnym i chcąc nie chcąc tworzyli dzieła podwójne, hermetyczne właśnie. W nich – prócz przesłania jawnego – była też warstwa mroczna. Ujawnienie jej ukazywało dramatyzm dzieł na pozór niedramatycznych, widać było rozpaczliwe próby przywrócenia równowagi rozdygotanych osobowości. Ciśnienie życia, presja służb z jednej strony, z drugiej strony – piętrzenie kłamstw, usprawiedliwień i mitów na własny temat. Fascynujące zjawisko, które można nazwać homeostazą. Zdolność każdego układu – fizycznego i psychicznego – do przywracania sobie równowagi. Gdyby ta homeostaza zawiodła – połowa naszych dziennikarzy i poetów skończyłaby w wariatkowie albo by się pochlastała jak Laryssa.

Taki Witkacy, na przykład, przywracał sobie równowagę twórczością, dramat po dramacie, koncepcja filozoficzna po koncepcji, jak się zapala papierosa od papierosa. I cały czas rósł, nawet fizycznie był wielki. Ale jak zobaczył widmo wojny, jak sobie przypo-

mniał rewolucję, z której cudem ocalał, przecież stał już pod lufami karabinów – poddał się, zażył truciznę. Co cię nie zabije, to cię wzmocni.

Nie wiem, czy nie pod wpływem książek o Witkacym wpadam ostatnio w nerwicowo-narkotyczne nastroje. Na przykład już dwa razy śniło mi się, że słyszę krzyki, właściwie to krzyki mnie budziły. Dochodziły skądś z zewnątrz, jakby od sąsiadów. Oczywiście jest to niemożliwe, mieszkam w narożnym mieszkaniu, obie ściany szczytowe, chyba żeby jakieś nocne ptaki. Ale raczej – niezdrowe sny, po niezdrowej lekturze.

Rację miał mój bibliotekarz z internatu, gdy wszystkie takie „mistyczne i irracjonalne” książki po prostu wyrzucał.

Ostatnia taka jesień

Jesienią 1981 zrobiliśmy dyskretną przymiarkę do wzięcia Polski za mordę. Nie wszędzie mieliśmy taką kontrol jak trzeba. Naczelstwo było zaniepokojone brakiem postępów we Wrocławiu. Solidarność opanowała wszystkie zakłady pracy, rządziła na uczelniach, a partia zaczynała się sypać. Tu i ówdzie zamiast organizacji rządzonych po wodzowsku przez rekomendowanych sekretarzy, powstawały wybierane oddolnie przez motłoch struktury poziome zwane skrótowo „poziomkami”. Jednym słowem zrobił się burdel, który idioci nazywają demokracją. Trzymaliśmy rękę na pulsie, jeździłem do Wrocławia jako sympatyzujący z Solidarnością krytyk Lang. Ze mną jeździł też młody, zapowiadający się pisarz „Wiktor”, były „wieszcz” – Kubiak także jeździł. Wciąż mało! Nie da się trzymać ręki na pulsie milionów ludzi na raz. W zakładach, na uczelniach rządziła już Solidarność. Był okres dwuwładzy, Re-

wolucja bez rewolucji, ten okularnik Moczulski miał rację. Błąd, że wypuściliśmy go z pierdła, ale wkrótce ten błąd naprawimy.

Żeby uporać się z tym burdelem, na scenę wprowadzono wojsko. Na początku dyskretnie. W lutym 1981 premierem został generał Jaruzelski, 18 października przejął władzę w PZPR, został władcą, no, nie wpadajmy w przesadę, został namiestnikiem absolutnym. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Po wojnie walczył z bandami WiN-u i osłaniał nasze wybory – żeby były jeszcze bardziej nasze. W 1967 pogonił trochę Żydków z wojska, w grudniu 1970 nadzorował jako minister obrony narodowej pacyfikację Wybrzeża – za co został najpierw zastępcą a potem członkiem Politbiura. Okazało się, że jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

Po objęciu władzy namiestniczej Jaruzel poprosił Polaków o zaufanie, o 90 dni spokoju – i w teren puścił tak nazywane „trójki wojskowe”. Mówiono niby o przygotowaniu kraju do zimy, o łataniu dróg, naprawach rur i ocieplaniu budynków, a naprawdę to „trójki” węszyły po fabrykach i domach i robiły dokładne rozeznanie pod przyszły stan wojenny. Łebski gość ten generał. Chłopaki z Informacji Wojskowej zdradzili mi jego tajemnicę. Jaruzel był przez lata ich tajnym współpracownikiem, ksywa „Wolski” – tam się wyrobił i nauczył takich dobrych numerów.

Jeszcze lepsze przed nami.

Ostatnią tajemnicę generała zdradził mi po koniaku nasz re-sortowy konsultant. Jaruzelski pochodził z polskiej, ziemiańskiej rodziny, imię dostał po dziadku – powstańcu 1863 roku. W szkole ojców Marianów był nawet za jednego z prymusów. Radzieccy ich wyzwolili już w 1939, całą rodzinę za łeb i wywieźli na Sybir, ojca mu wykończyli, a jego wystraszyli jak sto diabłów. Potrzymali go trzy tygodnie w areszcie NKWD – i starczyło. To się nazywa

„pieriekowka dusz”. Im bardziej dusza miękka, tym szybciej się przekuwa, ale całkiem gówniana być nie może, bo się rozprysnie i jeszcze nas ochlapie, smród będzie nieusuwalny. On miał taką w sam raz, trochę tylko gównianą – więc dali go na kurs i zrobili z niego oficera w armii Berlinga. Jednego z najinteligentniejszych i najbardziej wystraszonych.

I taki pozostał.

Idealny kandydat na namiestnika.

W ramach rewanżu przypomniałem, że Ruscy mieli już raz swojego człowieka tak wysoko: króla Stanisława Augusta, którego zmamili dupą carycy i dwoma koronami. Co do pierwszego otrzymał nawet w nadmiarze, ale drugiego – nie powąchał. Breżniew nie mógł tak wabić jak caryca. Mógł straszyć – i to wystarczyło. No i teraz Jaruzel robi całą brudną robotę za Ruskich. Nie będą musieli babrać rąk krwią – on to robi za nich. Krwią z tyłu trupów, ilu trzeba do ratowania władzy sowieckiej nad PRL.

Na razie mieliśmy dwa razy tyle roboty. Brudnej, ale kunsztownej. W listopadzie 1981 nieomal zamieszkałem w pociągu Warszawa – Wrocław. Nawet cieć robił mi wymówki, że jak mnie nie ma, to jaki z niego cieć. Wyglądało to na aluzję do Dostojewskiego, lecz skąd u takiego karalucha takie skojarzenia? Z każdym spotkaniem ten typ wydaje się dziwniejszy.

Czas nagiął, żeby przyspieszyć pracę nad wylansowaniem paru autorytetów, żeby potem, niby gówna patykami, albo raczej gówna gównami popychać te historyczne wydarzenia. Zamienić je w nowinki. Wziąć masy za pysk, ale raczej oszukiwać niż zabijać – taka była nowa linia partii. Wzorem radzieckich, a właściwie za ich poradą postawiliśmy przede wszystkim na agentów wpływu. Realną siłę stanowią robotnicy, każda fabryka to jeden pułk wojska, tu bez krwi się nie obejdzie. Zwłaszcza że mamy wielokrotnie

mniej pułków niż fabryk. Oczywiście, mamy w zakładach nasadzoną agenturę, która powstrzyma roboli przed wyjściem na ulice, przed połączeniem sił i zrobieniem totalnej rewolucji. Wewnątrz, w zamkniętych fabryczkach niech strajkują ad mortem usrantem, niech śpiewają *Ojczyzno ma* i inne rzewne kawałki, niech pyskują i układają deklaracje – i niech czekają, aż do nich przyjdzie ZOMO. Wszystkich naraz nie da rady obsłużyć, musimy ich tłuc po kolei. A oni niech czekają jak bydło, którym w istocie i są.

Mniej przewidywalna jest młodzież. To zawsze element łatwopalny. Tu potrzebni są uznani przywódcy, z ich środowisk, ale z naszego aparatu albo chociaż z nim powiązani. Wiadomo, że studenci prędzej uznają pisarza, choćby kiedyś był stalinowcem, jak Woroszyłski, czy Szczypiorski niż autorytet swoich własnych belfrów, których widzieli przy codziennym, pracowitym dawaniu dupy. Dlatego przydał się Kubiak, autorytet z Warszawy, który wprawdzie nie zdążył na AK, ale o Szarych Szeregach pieprzy tak wzruszająco, że jeszcze trochę a sam w to pieprzenie uwierzy.

Kubiak jednak musiał dojeżdżać. Dlatego zależało nam na miejscowym Białowąsie. Nie był autorytetem, ale to było już nasze zadanie, żeby go wylansować. Dlatego miałem wtedy taki zapierdół, bo pracę tego nazwać się nie da. Żołnierze Jaruzela łazili po fabrykach, czyli po bazie – a my dosłownie po zaświatach, po podręcznikach historii i po tomikach poezji. To była pełna ofensywa na wszystkich frontach.

Za moją wiedzą, a nawet za podpowiedzią „Konar” organizował Kubiakowi i Białowásowi spotkania ze strajkującymi studentami, musieli wystąpić razem, żeby jeden mógł ręczyć za morale drugiego. Białowás chwalił „odnowionego” Kubiaka, Kubiak odnowionego Białowásę i obydwa chwalili odnowę. Potem Kubiak wrócił do

Warszawy, ale wcześniej wkręciliśmy Białowąsa do miejscowego radiowęzła. Potem jeszcze ze dwie wizyty w fabrycznych komitetach Solidarności, a już zupełnie na deser zainspirowałem w wojewódzkim organie partii atak na naszego Białowąsa, w którym co zdanie był okrzyk „antysocjalistyczny”, albo „antyradziecki”. Wspomniano także, że jego brat był dowódcą bandy WiN na Podlasiu, autor podał nawet pseudonim, ale w ostatniej chwili udało nam się go wyjąć z tekstu. Zamiast tego dowaliliśmy że „niedaleko pada jabłko od jabłoni”. To uwiarygodniło naszego poetę ostatecznie. Z dnia na dzień nad Odrą mieliśmy drugiego Wałęsę. W pełnym tego słowa znaczeniu. Nawet kościelne pisemka rozczulały się nad losem Szawła, który przejrzał i stał się Pawłem.

Ponieważ publiczność lubi zawsze pierdółki, wybiliśmy plastikowe plakietki, na których alfabetem Solidarności napisaliśmy „wolne słowo” – z punktu logiki bzdura, słowo ma sens na uwięzi – w zdaniu, w wierszu. Ale takie haselka cieszą. „Konar” zaprojektował plakaciki w formacie A4, na których był jakiś cytat i prawdziwe nazwisko: Białowås. Nawet: Czesław Białowås. W nawiasie podał ksywę „Boruta”, a w środowisko wpuścił informację, że taki był podziemny, korowski pseudonim Białowąsa, że nawet jako „Boruta” wydrukował coś w „Kulturze” paryskiej. Tak naprawdę „Boruta” to był właśnie jego brat, dlatego w gazetach nie mogliśmy podać jego pseuda, bo choć szczel marnie – jednak ludzie mogli jeszcze pamiętać. Sam Białowås na pewno nas nie wsypie, jemu nawet pasuje taka święta pawłowatość, marzy, żeby dostać tę rolę.

Nadszedł czas, by zrobić wielki show!

Show w Auli

Trzeba przyznać, że „Konar” wywiązał się dobrze z zadania. Grzeczny tewulec! Przedświąteczna promocja wierszy Czesława Białowąsa „Boruty” odbyła się w przepięknej Auli Leopolda.

Wiersze wydrukowano wcześniej w „Odrze”, ale „Konar” załatwił też stosik tomików odbitych na powielaczu. Tak było bardziej romantycznie i solidarnościowo – a powielacz był dobry, resortowy.

Imprezę rozpoczął sam poeta. Nie od wyjaśnień czy przeprosin, co mogło prowokować do dyskusji i rozpieprzyć całą imprezę, ale tak, jak mu zasugerowałem – walnął od razu wierszem:

*Wyskoczyłem ze szkoły
by zabić paru ludzi
(Trzeba było ich zabić
bo tak wplątali się w przeszłość
że można ich było odplątać
tylko kulą)*

*I wróciłem do klasy
w granatowym ubranku
pachnący młodością
i krwią*

Wiersz można było różnie interpretować. Starzy, bezzębni AK-owcy potraktowali go jako wspomnienia partyzanta antysowieckiego powstania, może żołnierza „Zapory”, może żołnierza „Szarego”. Tak się tym zachwycili, tak wzruszyli, że nawet nie bardzo słuchali, kiedy Białowás znów walnął:

*Kończyła się pora zabijania ludzi
kiedy dorosłem do tego
by spać samotnie w nieprzytulnym lesie
w nocny deszcz wczółgiwać się do wiatraków
by wreszcie w ciepłuteńkim sianie
usłyszeć zbrojny śpiew:
„Walka na śmierć i życie
Walka o wolność i byt
A wy tam zza morza patrzycie
O Anglio, czy tobie nie wstyd?”*

*Musiałem szybko zabić śpiewających
bo takie były obowiązki czasu*

*Nie było tam poezji, nie było łez ani wahań,
była tylko pamięć o Irce
która pewnie pisała klasówkę
i nie przysłała mi ściągawki
bo mnie nie było w klasie
bo w niedalekiej stodole wypisywałem cudzą krew
pożegnanie z Bogiem, który mnie oszukał
pożegnanie z głupią romantyczną pieśnią,
która mnie upiła nim nauczyłem się pić.*

*wychowany w porze zabijania ludzi
patrzyłem obojętnie na płonącą stodołę
przechodziłem cichy przez rubikon dzieciństwa
przez smugę cienia zabitych
przez palący się most do przeszłości
w której została Irka
którą kochałem tak okrutnie
jak znienawidziłem porę zabijania*

Patriotyczne dziadki szczały po nogach i płakały zamiast słuchać. A byłoby o czym pomyśleć! Podejrzewam, że w Auli Leopolda siedziało kilku takich, którzy trzęsąc się z zimna w ziemiance śpiewali ową głupią, romantyczną pieśń *Jeszcze Polska*, a może nawet *Anglio czy tobie nie wstyd*. A siedziało toto dziś na sali tylko i wyłącznie dlatego, że w owej wspominatej w wierszu porze nie upierdolił ich tak zwany podmiot liryczny utworu. *Wsiech nie priejebiosz* – jak mawiają radzieccy. I potem dopowiadają: *no nada striemitsja*. Trzeba się starać. Jestem świadkiem, że Białowąs się starał.

Po poecie głos zabrała muzyka organowa, nie wiem czy z taśmy, czy może autentiico – po coś jest nad wejściem ta empora, czy jak to się nazywa. A potem wstał i przemówił główny krytyk Wrocławia profesor Jacek Łukasiewicz. Mądry, ale naiwny jak dziecko lub jak większość lwowiaków. Nawet fizycznie trochę podobny do Herberta. Wzniosłym głosem oznajmił, że oto narodził się nowy poeta i nowy rodzaj poezji, a nawet nowy rodzaj humanizmu. Co detalicznie mówił nie bardzo już pamiętam, używał terminów – a ja nie wszystkie wówczas kapowałem. Ogólnie jednak chodziło mu o język.

Wersyfikacja wiersza Białowąsa (a właściwie nie tyle wersy, co skupiska słów skoncentrowanych wokół jakiejś myśli) przypomina nieco wersyfikację Różewicza, ale – według Łukasiewicza – Białowąs jest już piętro wyżej. Różewicz używa języka jeszcze w sposób tradycyjny, by nie powiedzieć staroświecki. Jego zdania oznajmujące są po prostu oznajmujące – i tyle. Szlus. Banał. Kamieni kupa. Jeśli chce coś opisać – po prostu opisuje, jeśli chce skłonić do etyki – moralizuje i mędzi (drugie z określeń dodałem profesorkowi od siebie). A w poezji Białowąsa język występuje w funkcji, którą nazwać można prowokacyjną, a także inspirującą. Więc nie zda-

nia oznajmujące, tylko prowokujące, ciężar przekazu przeniesiony poza wiersz – na sprowokowanego odbiorcę, jego teraz kolej. Autor nie narzuca poglądów, nie potępia zbrodni – chce, by słuchacz sam je potępił, by znalazł na dnie duszy wartości, w imię których potępia zło i opowiada się po stronie dobra – tak jakoś rzewnie zakończył Łukasiewicz.

Siedziałem w pierwszym rzędzie, obok dziekana, ale nie zabierałem głosu. Nie chciałem ujawnić swojej roli, poza tym wiedziałem, że mój tewulec „Konar”, zawodowy literat, jest bardziej wyszczekany. Ja go tylko inspirowałem kierunkowo, jak by to ujął Witkacy. Więc „Konar” przedstawił się najpierw jako współorganizator imprezy i dziennikarz – do niedawna podziemny, lecz dziś działający już jawnie, oczywiście w Solidarności. Potem poparł Łukasiewicza tak pokręconym wierszem Białowąsa, że obecni znaleźli się na samym szczycie etyki. Takim, z którego nie widać nawet ziemi:

*Kiedy miałem czternaście lat
przyjechali po mnie z bezpieki*

*Chrzęściły nabite peemy,
Kiedy mnie prowadzono*

*Żołnierze śpiewali wesóło,
bo zabili mojego brata*

*Leżał w podwórku w bezpiece
niegroźny, poprzestrzelany*

*Żołnierze śpiewali wesóło,
bo żadnego z nich już nie zabije*

*

*Gdy dorosłem, nad grobem brata
podałem im swą rękę*

*Ale czasem patrzymy na siebie
przez tamto lipcowe podwórko*

– To jest kwintesencja humanizmu – zapiał „Konar”. – Nie waham się podkreślić, chrześcijańskiego humanizmu – dorzucił. – Jest oskarżenie zabójców brata poety, ale jest i chrześcijańskie wybaczenie. Wszystko oczyma czternastoletniego chłopca i nieomal jego językiem. Ta liczba jest symboliczna, czternaście lat to wiek, gdy wkraczamy w dorosłość, ale w mowie cyfr czternaście to cztery plus sześć plus cztery, co oznacza DWD. To liczba Dawida, który pokonał zło i zapoczątkował ród Chrystusowy. – „Konar” zawiesił głos, wymuszając na nas, cwany lis, oklaski. Słabe, ale jednak się rozległy, jak mlaskanie. Kiedy urządzę promocję swojej następnej książki, ściagnę tego papugę z Wrocławia do Warszawy. Pieprzy lepiej niż Jan Krzysztof Brudnica, a tak mętnie, iż słuchacze myślą, że wszystko rozumieją.

„Konar” bajtlował salę dłuższą chwilę, potem znowu muzyka, potem dyskusja ociekająca humanizmem jak świnia tłuszczem, żeby nie powiedzieć posoką. Wiedziałem, że najlepsze jeszcze przed nami, i to bynajmniej nie dzisiaj. Jakiś typ w czarnym swetrze wstał i zaczął złośliwie przewidywać dla autora nagrodę Nobla. Argument, którego użył był chujowo niebezpieczny: powiedział, że teraz Nobla dostają dawni lewicowcy, najlepiej żeby Żydzi, do tego czarni albo chociaż pręgowani. Za typem w swetrze siedziało kilku jego kumpli, mordy ponure, zawzięte – na pewno KPN. Dyskusja mogła zboczyć w niewłaściwym kierunku.

ku, pół sali mieliby za sobą. Wszyscy lwowiacy to nacjonaści, a zwłaszcza antysemita. Więc teraz moja kolej. Szturchnąłem łokciem dziekana.

Dziekan zerwał się i niemal jednym skokiem wylądował na środku sali.

– Zaszły nowe a niespodziane okoliczności – stwierdził scenicznym szeptem. – Spotkanie musi być przerwane, dokończone zostanie jutro, w tym samym miejscu, o tej samej godzinie.

Było to dramatyczne, niejasne, mogło chodzić o bombę albo o akcję bezpieczeństwa – na pewno napędzi nam na jutro publiczność, w tym kupę gówniarzy z opozycji. Dobrze to w resorcie ktoś wymyślił. Autor i lansujący go profesorek byli wyraźnie zaskoczeni, więc podesłałem im kilku tawulców z gratulacjami. To ich rozanieliło. Mieli najgłupsze miny w całej auli.

Mimo przerwania imprezy – poczęstunek się odbył. Widać, że we Wrocławiu panowała lwowska gościnność, żadna dobra impreza nie może kończyć się *na bezhirno*. Wtrajać także co było, więc kularowe dyskusje były coraz bardziej optymistyczne. Wrocław był dumny, że wcześniej coś nowego zaczynał tu Różewicz, teraz Czesław Białowas. Oczywiście postawiono go wyżej od autora „antyakowskiej bździny” *Do piachu*. Dumni też byli działacze opozycji. Bo wreszcie niebo im zsyłało prawdziwego bohatera – nowego świętego Pawła, który wyfrunął z komunistycznego Szawła jak motyl z poczwarki. Większość naszych poetów w najlepszym razie grała na dwie strony jak Bryll, w gorszym – całymi latami robiła łaskę partii, a buntowała się dopiero, gdy odstawiano ich od żłobu. Woroszyński, Międzyrzecki, nawet Wisia Szymborska – wszyscy mieli za pazuchą jakieś świństwa. A tu nagle opozycja zyskuje autorytet niemal dziewiczy, do tego reformatora poezji i w ogóle języka.

– Bo przecież takim językiem prowokacyjnym będzie można pisać dramaty, także prozę – tłumaczył z zachwytem dziekan otaczającym go profesorzycom.

– Oj to, to – podchwycił Łukasiewicz, który uparcie nie chciał zejść ze sceny. A pierwszy taki chwyt stosował Borowski, który na pozór neutralnie opisywał zbrodnie w łagrze, a przecież wymuszał protest. Ja – dodał skromnie Łukasiewicz – jestem już nawet w trakcie projektowania essayu *Białowas i Borowski – poeci w walce z grzechem zaniechania*.

Grzecznościowo chwilę klaskaliśmy, po czym przeszliśmy do wolnego stolika. Używam liczby mnogiej, bo przeszliśmy tam z „Konarem” i z Jankiem, który spóźnił się na imprezę, lecz na poczęstunek dojechał. Przy wódeczce „Konar” dał upust swojej radości:

– No to udała nam się operacja wprowadzenia kreta w ich szeregi. Dla nich będzie autorytetem, a dla nas informatorem.

– Na agenta trochę za dupiaty – zauważyłem powściągliwie. Zwłaszcza, że w każdej chwili jego przeszłość może wybić jak szambo.

– Nic nie wybije, tłum ma pamięć jednodniową – odparował z przekonaniem Janek.

– Dla nich to Paweł nawrócony z Szawła – zabełkotał „Konar”, zakąszając wódkę dziwnym, czerwonym śledziem, który wciąż mu zjeżdżał z kanapki. A dla nas to dalej Szaweł, który gra Pawła. Może taka była tajemnica listów świętego Pawła? – zapytał, przytrzymując językiem śledzia.

– Trzymaj się lepiej Pisma. Tam stoi inna tajemnica. Że jak Szaweł zamienił się w Pawła, to już dojrzał do ścięcia – usłyszałem sam siebie. Nie wiem czemu tak powiedziałem, chyba chciałem mu dopieprzyć. Janek sięgnął po następną wódkę. Wieczór się powiadał.

Drugie spotkanie Białowąsa

Oczywiście nie było powodu, by przerywać spotkanie – z wyjątkiem jednego: dzięki temu tajemniczemu alarmowi w środowisku wrocławskich literatów ciekawość rosła jak gorączka.

Następnego dnia sala była pełna. Ludzie machali do siebie gazetami, które po raz pierwszy od lat drukowały na swoich stronach wiersze – i były to wiersze Białowąsa.

Nowy wieszcz siedział skromnie z brzegu stołu, jakby nie wiedzieć czemu szykował się do ucieczki. Na środkowym miejscu za stołem siedział profesor Łukasiewicz i uśmiechał się jeszcze naiwniej niż zazwyczaj.

Głównym aktorem był początkowo mój „Konar”, mówił nie całkiem to, co wczoraj, ale w powszechnym entuzjazmie nikt tego nie zauważył.

„Konar” poszedł na całość i zaczął opowiadać o nawróceniu Białowąsa, akcentując to zwłaszcza, że ten miał się z czego nawracać. Na dowód zacytował wiersz z tomiku *Z codziennych polemik*:

*Na piersiach mieli ryngrafy ozdobne,
W ładownicach zamorskie kule.
W sumieniach nieśliby setki morderstw,
Ale oni nie mieli sumień.*

*Komunistów zarąbali siekierami
I wrzucili w rzeki głębiny.
Nie zapomnę. Mam dobrą pamięć.
Pewnych rzeczy się nie zapomina.
Thumaczono mi długo, że muszę,
Gdy dorosnę z „czerwonymi” bić się.*

*Nocą gryzłem zębami poduszkę,
Żeby z bólu głośno nie krzyczeć.*

*Ksiądz tłumaczył, tłumaczyli bliscy –
Nie tak łatwo ich słowa oddalić...
(– Przychodzili zarąbani robotnicy
Milcząco w oczy spoglądali –)...*

*Narodziłem się z tej boleści
Po raz drugi, po raz ostatni.*

*...Dzisiaj cicho na wsi i w mieście,
dziś już noc wystrzałami nie zagrzmi.*

*Ale wiem: niejeden bandyta
Skrycie szkodzi nie mogąc zabić.
Więc mnie nigdy o to nie pytaj,
Skąd się we mnie bierze nienawiść.*

Łukasiewicz uśmiechał się nieco dwuznacznie, ale z wyrazem twarzy, który mówił: ja to wszystko wiem, nawet lepiej. Udawał, że to on ma wszystko pod kontrolą. W pewnym momencie wtrącił nawet anegdotkę:

– Wiecie, to był, jak mówi Kuroń, „gwiezdny czas”. Pamiętam, przyjechał do Wrocławia Słonimski, czytał wiersze o socjalizmie, o Bierucie, a po spotkaniu, które było na Mazowieckiej zażądał taksówki na dworzec. Wiecie co powiedział mu Czesiek Białowas? Powiedział:

– Jak towarzysz Słonimski może się tak zachowywać? Przecież to tylko trzy przystanki tramwajowe!

Cechowała go rewolucyjna asceza. Nigdy nie chodziło mu o ka-

rierę ani o pieniądze. To byli młodzi, szlachetni ludzie, oni przynajmniej w coś wierzyli. A dziś? Szybkie dupki i łatwe samochody – zakończył Łukasiewicz dowcipem pod publiczkę.

Sala została rozbrojona i znów była po stronie poety.

A wtedy ku zaskoczeniu i Łukasiewicza, i „Konara” wystąpił mój drugi człowiek, Wiktor. „Wiktor młodszy” – jak go od pewnego czasu nazywałem.

Specjalnie kazałem mu przyjechać z Warszawy, do której wrócił na stałe po aferze „Melluda”.

Wiktor zaczął od tego, że jest z Solidarności, że drukował w prasie podziemnej i że ostatnio działał w komisji weryfikacyjnej. Szczegółów nie wyjaśniał, tylko od razu przystąpił do poezji Białosępa, a zwłaszcza do jego osoby.

– Nie było żadnego nawrócenia i nie ma żadnego nowego humanizmu, nie ma żadnej poezji prowokacyjnej, to dalej ten sam człowiek!

Na dowód zacytował jego wiersz *Droga na Złot* ze zbioru *Z codziennych polemik*:

*Nam w twarz siekł nieraz deszczem wiatr,
Lecz łez nigdy nie nawiał do oczu.
Ciężko mając siedemnaście lat –
Niemał co dzień o śmierć się otrzeć.*

*Chadzałem po wsiach, niedorostek
Nienawiść i miłość roznosząc pospołu.
Może jutro mnie znajdą wśród sosen
Z sercem cięższym o pocisku ołów?*

*Ej, ta droga, droga uparta
droga tych, co się w nędzy hartowali.
Mnie tą drogą prowadziła Partia
Z wiejskich chat w wykładowe sale.*

„Konar”, nie wiedząc, co jest grane, ani kim jest mówiący – zaprotestował. Łukasiewicz poparł „Konara” i wystąpił po raz dzięsiąty z ewangelią o złym Szawle nawróconym w Pawła. Sala była po jego stronie. Każdy ma jakieś grzechy, zwłaszcza w czasach młodości durnej i jurnej – zażartował Łukasiewicz pod publikę – ale potem, na drodze do Damaszku padamy porażeni, bo olśniewa nas nagle światłość z góry. A gdy padamy, głos słyszymy, głos który mówi: *Szawle, Szawle, dlaczego mnie prześladujesz.*

Łukasiewicz zatrzymał się na moment, żeby wymusić oklaski, a potem nacisnął najwyższy możliwy klawisz, powołując się na Chrystusowe: *kto jest bez grzechu, niech ciśnie w nią kamieniem.* Sala bulgotała radością, cieszyła się z nawrócenia Szawła i z nawrócenia Białowąsa, a każdy dodatkowo się cieszył, że wszyscy byli umoczeni, ubabrani i nikt nie jest bez grzechu. Oklaski przechodzące w owację, owacja przechodząca w orgazm. I już się wydawało, że wyniosą Białowąsa na ramionach, że namaluje go Matejko, wyrzeźbi Dunikowski, zagra Szopen – gdy *Wiktor raz jeszcze wstał*, uśmiechając się do Białowąsa, do Łukasiewicza, do dziekana, a nawet do otaczających go starych profesorzy.

Pod wpływem tego uśmiechu pozwolono mu zabrać głos.

Zaskoczył wszystkich. Jak nieoczekiwany cios w mordę.

Przedostatnia runda

To nie był cios, to była cała seria nokautujących ciosów.

Najpierw Wiktor przywalił w „Konara”:

–To jest agent SB, TW „Konar”, nazwisko nieważne, też fikcyjne – wykrzyknął, wyciągając oskarżycielsko rękę. – Ta cała impreza jest ukartowana, chodziło o wprowadzenie agenta na szczyty Solidarności. Czesław Białowąs naprawdę był kim innym. To was zaskoczy! Znam jego przeszłość, bo przed laty, zbiegiem okoliczności, zawoziłem tego chłopaka na Podlasie, na teren, gdzie walczyli jego bracia Stanisław i Witold.

Oto jego wyznanie, oto jego prawdziwy wiersz:

Ja, Białowąs Czesław, zobowiązuje się jako brat Witolda – członka bandy, który chodzi u „Brzaska” – współpracować z Wojewódzkim Urzędem Bezpieczeństwa w celu skontaktowania się z bratem swym Witoldem i dopomóc UB w likwidowaniu band działających na terenie powiatu Sokołów. Powierzone mi zadania będę wykonywał sumienie i na czas dla zachowania konspiracji wszystkie moje doniesienia będę podpisywał pseudonimem „Małachowski” i dawał je na piśmie.

Data tego zobowiązania to 26 marca 1950 – dodał nieco urzędowo Wiktor i wrócił do opowieści.

Starszy z braci Białowąsów, Stanisław, pseudonim „Boruta”, porucznik Armii Krajowej, potem WiN-u, dowodził oddziałem powstańców. Przyjechaliśmy za późno. Stanisław zginął. Zabili go oprawcy z lokalnego UB, przy pomocy radzieckich i kabewiaków. Obława jak na dzikiego zwierza. Owszem, bo bitwie ubecy pogrzebali jego ciało. A potem naszczali na grób. Dosłownie! Dziś to się chyba nazywa świecką obrzędowością. Dowieźli nas tam. Gdy znaleźliśmy się przy mogile, ubecy znowu zaczęli szczać, któryś podszedł do „Małachowskiego”

- Ty też oddaj cześć bratu!
- I „Małachowski” naszczał! – krzyknął Wiktor.

Salą zawirowało, jak przez wiatr przebijały się krzyki ludzi:

– Hańba, to niemożliwe – żądamy wyjaśnień – krzyczeli. Tylko Białowas milczał ze spuszczoną głową.

I nagle jakby w głowie ktoś zaczął mi wyświetlać stary film.

Byłem jeszcze „młodym ubowcem” i to była moja pierwsza praca w terenie. Znalazłem się na leśnej polanie, kilka kroków od krzyczącego chłopaka. Zasłonił twarz rękami, nie chciał patrzeć co oni robią, zaczęli go bić i kopać, ja stałem z boku, dwóch ubeków zaczęło mu ściągać spodnie, wrywać małego, skurczonego ptaszka, ten Białowas także wyglądał jak mały skurczony ptaszek, nie mówił, tylko krzyczał, a po nogach ciekły mu siki i wsiąkały w grób brata. Ubecy cały czas się śmiali, a potem przewrócili go na ziemię. Ponieważ spodnie miał spuszczone, nie mieli żadnego problemu. Jeden wciskał chłopakowi twarz w ziemię, dociskał plecy, a drugi położył się na nim i worywał się w blade pośladki. Potem się zamienili. Po nich podbiegł trzeci, ale odskoczył z obrzydzeniem, bo chłopcu z pośladków ciekła krew, do tego zmieszana z kałem. Ja stałem jak zdrewniały. Nie, nie sprawdziłem się w tej pierwszej akcji jako twardy, bezwzględny komunista. To dlatego odesłali mnie znowu do pilnowania robociarzy pod Warszawą.

Tymczasem Wiktor monotonnym głosem hipnotyzował salę. W każdym nieomal zdaniu popełniał błąd, na który jakoś nikt z obecnych nie zwracał uwagi:

– Pierwszy brat, Stanisław, leżał w ziemi, Białowasa posłali do drugiego, który walczył w oddziale „Brzaska”. Drugi brat to Witold Białowas pseudonim „Litwin”, bo z Wileńskiej Brygady AK. Czesław udał się do jego oddziału, może nawet chciał tam zostać, może

nawet razem z bratem chciał walczyć przeciw nam. To jego brat się nie zgodził. Potraktował znów Cześka jak dzieciaka, nazwał szczeniakiem i prawiczkiem, kazał do szkoły wrócić, egzamin dojrzałości zdać. Wtedy w tym naszym Czesiu – „Małachowskim” – coś chyba się wywróciło. Albo też wreszcie dojrzał i zrozumiał, że w materialnym świecie rządzi materialna siła, nie?

Wrócił do nas, po drodze znów naszczał na grób brata, a potem powiedział, gdzie bandyci będą spędzać Wielkanoc. Dla pewności też udał się do lasu już w Wielki Piątek – z kołaczem, kiełbasą, wódką. Przyjęli go jak brata. A tuż przed szykowanym atakiem uciekł do nas na posterunek i opisał, gdzie i ilu można złapać. My nie chcieliśmy łapać. Wybiliśmy cały prawie oddział. Witold Białowąs, brat Czesława, ciężko ranny znalazł się w szpitalu. Jak umrze – nic już nie powie, informacje pogrzebią razem z nim. Więc kazaliśmy go ratować za wszelką cenę. Przynajmniej do przesłuchań. Witold nie wiedział, kto na niego doniósł, nie wiedział, że w ogóle ktoś doniósł, nie wiedział, co z nim się dzieje. Wysłano więc „Małachowskiego” do szpitala. Jego brat skręcał się z bólu, ale z wolna odzyskiwał przytomność. Tym razem on chciał wysłać młodego do lasu, dał mu adresy, hasła, ratować ludzi, może przejść na Roztocze. „Małachowski” wszystko wydał.

Coś mnie tknęło, że Wiktor też chyba tam był. Znał za dobrze szczegóły. Tak, tylko o wiele lat młodszy, jak i ja wówczas, może nawet młodszy ode mnie, a może starszy... Ileż on ma naprawdę lat? Kto to jest?

Tymczasem Wiktor kończył:

– Brat, ten Witold Białowąs, na noszach został do sądu zanieśiony i na ławę oskarżonych wywalony jak wór kartofli. Otrzymał dożywocie, ale przeżył tylko dziesięć lat. Wiochy, które wspomaga-

ły partyzantów poszły z dymem. Nasz Czesiek, nasz poeta „Małachowski” nie miał już czego szukać – ani na Podlasiu, ani w Płocku. Więc przyjechał tu do was, do Wrocławia, ubecja załatwiła mu maturę, potem studia na polonistyce. Odtąd donosił na studentów. Na koniec został wicedyrektorem czy może nawet dyrektorem szkoły.

Mało wam? – spytał Wiktor. – On donosił nawet na matkę, że jest *reakcjonistką, wrogo wypowiadającą się*.

Takiego hałasu i tyłu niecenzuralnych słów Aula Leopoldina w swej trzystuletniej historii nie słyszała. „Konar” pomimo wielu szkoleń, stał czerwony jak burak, nie wiedział co jest grane, nikt przecież go nie uprzedził. Białowąs gdzieś zniknął, Łukasiewicz machał rękami, próbował coś tłumaczyć, włożył na stół, lecz i tak nikt go nie słuchał. Ludzie pchali się do drzwi, jakby w auli wybuchł pożar. Nie wszyscy. Wiktor stał na środku, udzielał wywiadów – rzecz jasna jako lider Solidarności z Warszawy. Przy okazji skromnie dodawał, że jest także poetą i scenarzystą. Dziennikarze i oficjele niemal go sobie wyrywali. Otrzymał propozycję dołączenia do autorów piszących serial o starych AK-owcach mieszkających, a właściwie ukrywających się na Śląsku. Jego kontakty bardzo się nam potem przydały.

To była moja pierwsza samodzielna operacja.

Nocna rozmowa o nowych listach Apostolskich

Do Warszawy wracaliśmy we trójkę nocnym. Ja miałem pojedyńczy sypialny, drugi przedział za jakimś Ruskiem; „Konar” z Wikto-rem – siedzące w pierwszej klasie. Spotkaliśmy się w restauracyjnym. Jakiś typ laźł tuż za mną, ale nie wszedł, byliśmy jedynymi gośćmi. Drugie danie zamawialiśmy dwukrotnie, podlewaliśmy

chyba pięciokrotnie. W pewnej chwili zaskoczył mnie Wiktor, gdy zauważył, że jak sobie popiję, to biorę kieliszek do lewej. Wyrabia się w naszej służbie.

Początkowo prowadziliśmy poważną, operacyjną rozmowę. Wiktor miał już żelazną legendę, na lata, ale co będzie dalej z tym Szawłem przemienionym w Pawła i z powrotem. Ten gość cały czas był manipulowany, był igraszką losu. Teraz nagle stanął przed koniecznością wyboru. To od niego zależy, czy będzie Szawłem, czy Pawłem.

– Myślicie, że opozycja go zechce? – rzuciłem w przestrzeń.

Na pytanie odpowiedział Wiktor:

– Kuroń był kiedyś szefem hufców walterowskich, Geremek sekretarzem partii, nie?

Oni przyjmą każdego. Zwłaszcza że literatów nie mają za dobrych, a już i dobrych i uczciwych – ani jednego. Białowąs spadł im jak manna Żydom.

– A jeżeli on zechce wrócić pod skrzydła naszej SB? Przecież za swoją krzywdę on teraz obwinia Solidarność, zwłaszcza ciebie junior, bo nie wie, że jesteś z tych samych skurwysynów. W jego oczach ty go wytropiłeś, ty zadenuncjowałeś, ty ośmieszyłeś wobec całego Wrocławia.

– Ale przecież to wszystko ty wyreżyserowałeś, pułkownik!

– Ale on o tym nie wie – warknąłem.

Wiktor uświadomił mi w tej chwili, że byłem nie tylko reżyserem, ale „nieznanym reżyserem” nowej wersji Listów Apostolskich: przeistoczenie Szawła w Pawła i z powrotem! Odkryłem tamtą opowieść o tyle, że historyczny Szaweł posuwał się tylko w jednym kierunku, był skazany na zostanie świętym Pawłem, został wybrany, by zilustrować jedno z przesłań Ewangelii. To nie było wielkie

dzieło sztuki, to była postać dydaktyczna. Mój Szaweł-Paweł, jeżeli na cokolwiek został skazany – to na wolność. Musiał dokonać wyboru i tym samym przekreślić jedną z możliwości swego życia; zabić Szawła i jako były grzesznik zostać bardem Solidarności, bądź zabić Pawła, ośmieszyć Solidarność i jako syn marnotrawny wrócić do nas, do służby. W nagrodę go nie zabijemy, a nawet przedstawimy tę historię jako naszą udaną prowokację, wzorcową grę operacyjną, powiesimy na tym chuju order. Co wybierze?

– Myślę że wróci do nas – zawyrokował Wiktor, jakby czytał w moich myślach.

– Nie wróci! – zaoponował „Konar”.

– Wróci!

Chwilę się tak przepychaliśmy, lecz kawałek za Łodzią nas zmoгло. Wiktor jak zwykle zasnął z pyskiem w talerzu, jego szczęście, że nie było tam buraczków. „Konar” zaofiarował się, że mnie odprowadzi, wziął mnie pod ramię i ciągnął do sypialnego. Był taki wlany, że w połowie musiałem go zamienić – i to ja go dociągnąłem do przedziału. Coś mamrotał, coś śpiewał po rosyjsku, konduktor wyjrzał ze swej nory wyraźnie zniesmaczony, nawet jakiemuś typowi pokazywał nas paluchem, no więc „Konar” się przymknął. A kiedy już weszliśmy do przedziału – walnął się na moje łóżko i zasnął. Szturchanie, nawet łapanie za nos – nic na tego chama nie działało. Coś mi odbiło i postanowiłem być szlachetnym dla podwładnego – poleźć na jego miejsce do jedyńki. Ostatecznie do Warszawy było już blisko. Tylko gdzie ten cham niemyty siedział? Olśniło mnie, że przecież Wiktor mi powie i wróciłem do restauracyjnego. Wagon był pusty, stoliki uprzątnięte, jakby nigdy nie było Wiktora ani nikogo z nas. W tym momencie po prostu się wkurzyłem i postanowiłem jednak wygonić „Konara” z mego wyra. On będzie chrapać, a ja będę się tułał jak sierota po korytarzach?

Coraz bardziej podenerwowany wróciłem do swojego wagonu, po omacku znalazłem drzwi – pewno konduktor zgasił światło dla oszczędności. Pamiętałem, że mój przedział był drugi od wejścia, na szczęście nie zamknąłem drzwi, chyba żeby „Konar” je zamknął. Miałem fart, były lekko uchylone. „Konar” nawet nie chrapał. Zapaliłem światło – zsunął się do połowy na podłogę, ale nie spał. Był martwy.

Wybiegłem na korytarz, podniosłem alarm, wybiegł konduktor, wybiegł Rusek, zaczęli się pchać jacyś ludzie, skądś zjawił się SO-K-ista. Nie było sensu zatrzymywać pociągu, i tak zatrzymuje się na Warszawie Zachodniej. Tu ogłoszono koniec jazdy, lecz nikomu nie pozwolono wysiąść. Rozglądałem się za Wiktorem – ten jednak jakoś zniknął. Ja musiałem siedzieć razem z trupem i – mimo że legitymacja budziła u tych gnojków szacunek – poczekać, aż mnie spiszą.

Słyszałem potem o genialnym pomysle chłopaków z warszawskiego wydziału. Wezwano ich, bo „Konar” był bądź co bądź literatem. Trzeba było coś z gościem zrobić. To oznaczało kłopotliwe badania, Sanepid, zgodę na transport zwłok, może nawet kwarantannę. Żeby się pozbyć kłopotu wpadli na prosty pomysł. Ponieważ pociąg wracał do Wrocławia – wsiedli z trupem do pierwszej klasy i pojechali. Zachciało im się jeść, a bali się, że ktoś im może go ukraść albo wykryje aferę – wzięli go z sobą do restauracyjnego. Siedział z nimi przy stole dosłownie „zalany w trupa”. Potem wrócili i jakoś sen ich zmorzył – nie zdążyli wysiąść we Wrocławiu. Złośliwi twierdzą, że jeździli tak kilka dni. W końcu jednak wysiedli, „Konara” pochowano na cmentarzu świętego Wawrzyńca, ale długo po pogrzebie Białowąsa.

Ostatnia runda – pogrzeb

Bo Białowas też umarł. Zrobił to nagle – we wrocławskim szpitalu – jak bym nie tylko ja układał dla niego scenariusz. Trochę nawet mnie to zaskoczyło, bo pomyśl ze szpitalem ja im podpowiedziałem. Z jednej strony chodziło o to, żeby go schować przed hordami dziennikarzy, z drugiej – i to było ważniejsze – żeby wzbudzić współczucie dla poety umierającego na serce. Mało tego! Dla poety umierającego na serce z winy radykałów i lustratorów z Solidarności! Ofiary „polowania na czarownice” – jak mówili nasi propagandziści.

Choroba była nieprawdziwa – a on wziął i umarł naprawdę. Jeszcze 13 grudnia odwiedziło go paru kolegów z partii i z resortu, opijali wprowadzenie stanu wojennego. Wiem, bo przypadkiem byłem chwilę z nimi. Tylko chwilę. Zostałem ich siedzących na łóżku jak na czołgu i śpiewających pieśni rewolucyjne. Z polskich Białowas przypomniiał sobie ubecki hymn Lewina *Czuwamy*, z radzieckich oczywiście *Sziraka strana maja radnaja*. Przeważały jednak czastuszki i zwykłe świństwa. Kiedy Białowas udając prostytutkę, zaczął wdzięczyć się do nas i wyć

Я так люблю, когда большой,
Когда большой и толстый хуй во мне

– coś się we mnie zwinęło w pięść. Musiałem wyjść, bo inaczej spuściłbym wpierdol choremu i kto wie, może spowodował śmierć lub trwałe kalectwo. Żeby ocalić mu życie, poszedłem wcześniej na dworzec, a po drodze kupiłem trzy butelki piwa. Więcej w sklepie „Społem” nie mieli.

A po przyjeździe do Warszawy otrzymałem wiadomość o jego śmierci.

Gdy podzieliłem się wątpliwościami z Szefem, powiedziałem, że – w dosłownym sensie – zostawiłem go w stanie śpiewającym – kazał mi przestać „węszyć” i to podobno dla mojego dobra. No cóż, widocznie martwy Białowas mógł być lepszym agentem SB niż żywy.

Może dlatego odrzucono projekt dyskretnego pogrzebu na rzecz demonstracyjnego, prowokacyjnego, takiego na 24 fajerki. Jakby to nie był pogrzeb, lecz ostatni utwór poety – zasłużonego agenta. Niech widzą, kurwa, kto rządzi – i na tym i na tamtym świecie!

Ponieważ Czesław Białowas, nawet nieżywy, był mimo wszystko literatem – wypadało, żeby Warszawa przysłała kogoś na pogrzeb. Iwaszkiewicz dopiero co umarł, ten się zawsze potrafił ustawić, jego następca Jan Józef Szczepański, który był w AK, a nawet w NSZ powiedział, że nie pojedzie przemawiać na pogrzebie takiej szmaty. Może zresztą i lepiej, jeszcze by co powiedział. Choćby gdyby chciał co powiedzieć, to raczej by się zgodził, przyjechał, przywitał i dopiero nad trumną wygarnąłby nieboszczykowi – i nam przy okazji.

Bartelski, który zresztą lubił gadać na pogrzebach, zawsze przy tej okazji opowiadał o swoich dziełach i wspominał Powstanie Warszawskie – nagle dostał korzonków – może dlatego, że też był w AK, może dlatego, że tuż przed świętami nie chciało mu się ruszyć tyłka ze stolicy.

Sytuację uratował mój Wiktor, który zaproponował, że przemówi w imieniu Sekcji Poezji Związku Literatów Polskich. Zgodziłem się, a nawet zadaniowałem dwóch swoich tewulców, Kubiaka i Hellera, żeby pomogli mu układać przemówienie. Kubiak od stro-

ny politycznej, Heller podlał trochę metafizyki, dorzucił wzniosły cytat. Najlepiej, żeby cytat katolicki a skierować go przeciw katolikom, opozycyjny – a przeciw opozycji. Należało skorzystać z okazji, pokazać Białowąsa nie jako współnika katów, ale jako ofiarę, podkreślić jaka to strata dla kultury – zmilitaryzowana telewizja była na nasze rozkazy. Nakręci każde kłamstwo – ale musi być ktoś, kto pięknie kłamie do kamery. Tak więc najpierw w imieniu wrocławian Białowąsa miał żegnać Tadeusz Różewicz, nasz Wiktor zaraz po nim – jako młodszy.

No i tak to się odbyło.

Różewicz bąkał coś pod nosem o doczesnej roli pisarza, zacytował coś ze swojej *Kartoteki*, poskarżył się na niskie honoraria – czym zasłużył na dyskretnie oklaski, a potem, jakby przypomniawszy mu się temat imprezy – wykrzyknął tytuł swego socjalistycznego dramatu *Do piachu*. Grabarze zgłupieli. Kogo do piachu? Ten najważniejszy już jest...

Sytuację uratował Wiktor, który wyrastał na męża opatrznościowego, takiego, który może pojednać władzę z opozycją. Pieprzył trzy po trzy – za to z artystycznym rozmachem. Pocił się, ściszał głos, gdy mówił o poezji, podnosił – gdy wychwalał zaangażowanie polityczne nieboszczyka i życzył Ludowej Ojczyźnie takich nieboszczyków jak najwięcej. Nazwisko Białowąsa czasem śpiewał, a czasem wykrzykiwał – jakby chciał, by i w niebie je słyszano. Mówił, że to był typ na Nobla i jeśli wzięto go w zaświaty, to muszą mu tam dać jeszcze lepszą nagrodę. Inaczej on, poeta i scenarzysta, zwątpi w niebieską sprawiedliwość – zagroził.

Pomimo że się starał, robiło się coraz nudniej – aż słońce zaszło nad cmentarzem. Wreszcie skończył. Ale gdy skończył, odwrócił się do nas i scenicznym szeptem powiedział:

– Alem się ufatygował. Jakbym trzy razy oblał. Albo i cztery.

Słońce znowu wyrzało. Dokumenty świętego Pawła znad Odry pogrzebane zostały w sejfie. To czasowy pochówek.

Rozmowa z cieciem II

– Ja się godziłem tylko na pilnowanie ludzi, kto wchodzi, kto wychodzi, takie tam. Ale od pewnego czasu to się zmienia. Najpierw zaczęły wychodzić szczury. Potem jacyś ludzie, ale bardzo dziwni – tłumaczył, zatrzymując mnie za guzik cięć.

– Jak to dziwni?

– Dziwnie ubrani, sam pan kiedyś zobaczysz. Kurtki jakby z ruskich magazynów, na głowach zupełne wariactwo, jak pan dłużej postoisz, to któryś na pana wyjdzie. A teraz przepraszam, muszę pisać raport.

– Przecież ta służba została rozwiązana.

– Pan jesteś naiwny jak dziecko. Nie wiem, kto czyta, ale pisać muszę. Nie wiem komu – ale donosić muszę. Na tym stoi to społeczeństwo. I wszystkie inne.

Sprawdziłem w naszych archiwach, popytałem koleżków – ciecia przyjęto z łaski. Ale robił wrażenie normalnego. Z papierów wynikało, że współpracował z Urzędem Bezpieczeństwa w Kielcach, to on wywiózł na prośbę naszych swojego 8-letniego Henia do krewnych, a po mieście rozgłaszał, że Żydzi go porwali i więzili. Ale nie był przekonujący, co gorsza, dla polepszenia wymowy wypił tyle piw, że bełkotał. Nikt nie wiedział o co mu chodzi. Sprawę nadzorował Romkowski, ale przyjechał jakiś Rusek, co Romkowskiego sparaliżowało. Rusek za to się schlał, więc też go sparaliżowało. Siedzieli na bal-

konie jak w łoży teatralnej, nienaturalnie wyprostowani, czasem wznosząc jakieś okrzyki. Resortowi chłopcy musieli sami uderzyć na dom, w którym mieszkali Żydzi, znaczy na Planty 7. Nawet doszło do pechowej pomyłki, bo w jednej klatce mieszkali Żydzi syjoniści, a w drugiej nasi Żydzi z UB. A resortowym Żydom pomyliły się klatki i zaczęli rozpierduchę nie na tej klatce, co trzeba. Syjonistyczni Żydzi zaczęli strzelać, utrupili naszego porucznika, co chłopców jeszcze bardziej wnerwiło. Nie patrzyli, czy resortowy, czy trefny, byle Żyd – to dostawał łomot. Antysemici jebani, do tego pijacy. Ten naród nie zasługuje na demokrację.

Ale generalnie rzecz ujmując – to była wina Ruskich! Ich pomysł i ich wina.

Szef dokładnie wyjaśnił mi całą kombinację. Radzieccy koniecznie chcieli mieć w Polsce jakiś pogrom, żeby zagłuszyć proces w Norymberdze, przykryć zainteresowanie Katyniem i inne duperele. No i chodziło o sprawę generalną, przyszłościową: w Polsce grozi odrodzenie faszystów i sanacji, nie wszystkich takich z NSZ i AK udało się wyłapać. Hydra kontrrewolucji w każdej chwili może podnieść głowę! Dlatego Armia Czerwona musi dalej stacjonować w Polsce – co było do udowodnienia.

Na wszelki wypadek Ruscy przysłali paru oficerów na pogrom, ci wydawali komendy po rosyjsku – znów doszło do pomyłek, znów bito nie tych co trzeba, nawet dwóch naszych po cywilu – bo wyglądali na Żydów. Tak to jest, jak poważne akcje daje się w ręce chamstwa, które nie zna języków. Ruscy na bicie Żydów wysyłają samych najlepszych, często z wykształceniem. Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło, ze trzydziestu Żydów ubito, dla fasonu dorzucono parę trumien, skazano kilku mętów i jednego przygłupa, w prasie oskarżono andersowców – co niestety nie całkiem chywiło. Ale zwycięzców nikt nie pyta o detale.

Sprawdziłem w archiwach kieleckich. Ojciec małego Henia, miał na imię Walenty, a w ogóle to Błaszczyk. W nagrodę za udział w aferze został woźnym w kieleckim Urzędzie Bezpieczeństwa, potem w nagrodę awansował na ciecia w Komitecie Wojewódzkim, wiadomo po co. Następnie został członkiem KW, cały czas w Kielcach, jako reprezentant klasy robotniczej. Dzięki temu jeszcze lepiej donosił, a nasz resort mógł sprawniej kontrolować tych aparatczyków. No i wszystko jest jasne: mój cieć mieszka razem ze swym synem Heniem w Kielcach i jednocześnie jest tu u nas w Warszawie, bez syna, do tego nie nazywa się Błaszczyk i w ogóle nie wiadomo skąd się wziął.

Więc kto pilnuje mojego upiornego domu?

Widocznie istnieje sfera, w której nie obowiązują ani prawa logiki, ani nawet fizyki. Obowiązuje dialektyka snu. Ten sam agent jest i nie jest sobą. Ten sam agent jest jednocześnie w dwóch miejscach. Dobry, kurwa, agent!

„Dingo” na tle

Tragedia, której bohaterem był Białowas zakończyła się – jak wspominałem – już po nocnym zamachu generała Jaruzelskiego. Potem brałem udział, ale tylko jako drugi reżyser, w komedii, którą można nazwać „Dingo”. Ta farsa również rozgrywała się na tle stanu wojennego. To było wielkie widowisko plenerowe. Światło i dźwięk. Światło reflektorów i dźwięk wyjących syren. Prawdziwe krzyki bólu i prawdziwa krew.

Był to majstersztyk Generała, ale i Szef mu pomagał, a i ja miałem w tym udział – choć najbardziej dyskretny. *Dieu caché* można powiedzieć.

Nasz przewrót przeprowadzony został według wskazówek radzieckich – więc trochę przypominał ich działania, zwłaszcza te z września 1939 roku. Atak nastąpił nagle, w sposób zaskakujący i zakamuflowany – dla bitych nie było jasne, czy to napaść, czy może obrona przed napaścią, winę przerzucono propagandowo na ofiary, które podobno chciały mordować komunistów i rozpocząć wojnę domową. Generał przejął pełnię władzy, internował przejściowo Gierka, jednocześnie udawał trzecią siłę ratującą kraj przed wojną domową. I w rzeczywistości był tą trzecią siłą: armią przywracającą sowiecki ustrój. Ogłoszono przejęcie władzy przez WRON – Wojskową Radę Ocalenia Narodowego.

Lecz po kolei.

12 grudnia rano przyleciało do Polski dziesięciu wyższych oficerów Sztabu Zjednoczonych Sił Zbrojnych w Moskwie, po południu przyleciał zastępca szefa KGB Władimir Kriuczkow. Wliczając tych, którzy byli już wcześniej... można było zaczynać.

Już w ciągu pierwszych godzin stanu wojennego uwięziono około 5 tysięcy osób, potem liczba ta jeszcze wzrosła; do podboju i pacyfikacji zrewoltowanego społeczeństwa Generał rzucił 80 tysięcy żołnierzy, 30 tysięcy milicjantów, 1750 czołgów i 1900 transporterów. Wystarczyło aż nadto.

Operację zaczęto w nocy na 13 grudnia, do otwartych starć doszło w poniedziałek, gdy ludzie udali się do pracy. Zmasakrowano strajki w 40 zakładach. Pierwsze strzały padły 15 grudnia do strajkujących w kopalni „Manifest Lipcowy”; górnicy odparli dwa ataki – ustąpili, gdy milicja otworzyła ogień raniąc 4 osoby.

Najbrutalniejsza akcja miała miejsce 16 grudnia w kopalni „Wujek”: milicjanci zastrzelili 9 górników, 21 ranili.

Jednym z zabitych był 22-letni Zenon Zając. Narzeczona wybłagała ciało, odwiozła do rodzinnej wsi. Po drodze kilkakrotnie zatrzymywały ją patrole, trzykrotnie otwierano trumnę, szarpano zwłoki.

Józef Stawisiński miał również 22 lata. Otrzymał postrzał w głowę. Matka szukała syna po wszystkich szpitalach Śląska, znalazła go w Szopienicach. Zatrudniła się jako salowa, by być przy nim. Była – do 25 stycznia. Tego dnia umarł.

Najdziwniejsza była śmierć Ryszarda Gzika: dostał w głowę, lecz nie było widać rany. Kula przeszła uszami. Wyglądał – jakby spał. Pozostawił żonę i dziecko.

Najstarszą ofiarą był 48-letni Józef Czekalski. Dostał w serce. Z przodu prawie nie było widać rany, z tyłu ziała ogromna wyrwa. Żonie nie pozwolono iść za trumną.

Strajki trwały do końca miesiąca. 28 grudnia wyjechali na powierzchnię górnicy kopalni „Piast”. To był koniec strajków.

Kolejne, krwawe zapisy w notesie, w którym powinny być telefony przyjaciół.

W Warszawie spokój zapanował natychmiast. Transportery i wojsko wyprowadzono na ulice w nocy, a kiedy nastał ranek 13 grudnia, Jaruzelski mógł sobie powiedzieć jak Sébastiani po zdobyciu Warszawy przez Paskiewicza: *l'ordre règne à Varsovie*. Jeśli tego nie zrobił, to dlatego że nie zna języków, zna rosyjski.

W opanowaniu sytuacji pomogła nam agentura uplasowana obficie w „solidarnościowym” podziemiu i setki agentów wpływu. Chciałbym wspomnieć o jednym z kapusiów, nie dlatego, żeby był lepszy czy gorszy, był typowym przedstawicielem tzw. liberalnej inteligencji. Ale właśnie niedawno działacze Solidarności rozpo-

częli – jak to się dziś mówi – lobbying, by postawić mu pomnik. Albo chociaż jego nazwiskiem ochrzcić jaką uliczkę. Nazywałyby się uliczka Aleksandra J. Wieczorkowskiego. Proponuję krótszą nazwę: uliczka „Dingo”.

Przez krótki okres byłem pierwszym reżyserem, niemal autorem komedii, w której „Dingo” grał główną rolę. Zaczęło się od tego, że któregoś dnia rano dostałem telefon z komisariatu Śródmieście:

- Ratujcie towarzyszu, nie mamy pojęcia co robić.
- To się, kurwa, podajcie do dymisji.
- Wy sobie żartujecie, a problem nabrzmiewa.
- To mówcie, kurwa, zamiast marudzić jak baba!

Potykaç się o własny język, przekręćając trudniejsze słowa, głos w telefonie w końcu wyjaśnił powód alarmu. Chodziło o dziennikarza, który wczoraj wieczorem, na ulicy Marchlewskiego przywalił swoim małym fiatem w innego małego fiata. Nasi chłopcy odebrali mu prawo jazdy i odwieźli do domu. Nawet po mordzie nie nakładli – i to był błąd. Bo facet przyszedł rankiem na posterunek i rozrabia. Żąda oddania prawa jazdy, powtarza nie wiecie kto ja jestem i kogo znam. A zna mnie – stąd ten telefon.

Poleciłem, by go przytrzymali, zaraz będę.

Od razu go poznałem. Popularny dziennikarz, działacz Solidarności. Zналиśmy się z podobnej sprawy, też stłuczka. Wtedy go puściliśmy, licząc, że wcześniej czy później to nam się zwróci. I zwróciło.

Przywitałem się jak ze starym znajomym, prawo kazałem zwrócić, mówiąc, że to jest nasz człowiek. I oczywiście umówiłem się z nim „na obiadek”. W międzyczasie wprowadziliśmy stan wojenny. Nie mógł odmówić. Obiadek był bardzo miły, opowiadaliśmy sobie dowcipy o zomowcach, do karty dań dopisaliśmy: Ryj

Urbana i ozór Urbana po żydowsku. Następnie wypiliśmy brudzia. A następnego dnia w moim sejfie się znalazł śliczny dokument:

Zobowiązuję się do zachowania tajemnicy moich kontaktów i udzielanej pomocy organom kontrwywiadu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL. Aleksander J. Wieczorkowski. Warszawa, 15.12. 81

Wybrał sobie pseudonim „Dingo”. Donosił na środowisko dziennikarskiej Solidarności, nawet na swego kumpla Bratkowskiego, nawet na opozycyjnego dziennikarza Kalabińskiego, który przynosił mu z „podziemia” paczki żywnościowe i mnóstwo plotek. Niektóre – zwłaszcza te o szykowanych manifestacjach i o autorach gazetek okazały się bardzo przydatne. Jednocześnie „Dingo” – jak pijak, który próbuje udowodnić, że idzie prosto – z nadętą godnością podkreślał, że on rozmawia z nami tylko dlatego, że jest prawdziwym marksistą, że broni socjalizmu. Dlatego honorariów w złotych nie brał (no, chyba że to była pięciotysięczna „uznaniówka”), za to paczki delikatesowe – i owszem. Szynki, kawę i inne delikatesy sprzedawał, ale koniaki wypijał.

Żeby przed samym sobą zamaskować, że jest tylko lokajem – grał pana i próbował nas pouczać, że nieudolnie walczymy z wrogami ustroju. Na któreś ze spotkań przyniósł nawet maszynopis, który z obłudną skromnością zatytułował *Wstęp do teorii propagandy*. Trzeba przyznać, że był to świetny kurs robienia wody z mózgu społeczeństwu. Dostał parę tysięcy ekstra, lecz było warto.

Na wstępie „Dingo” uderza w wielki dzwon i powołuje się na „kanon Wilbura Schramma” z Uniwersytetu Illinois sporządzony dla potrzeb amerykańskiej TV. Jest to rodzaj szantażu: patrzcie trepy, jaki jestem czytany, taki współpracownik to skarb. Ale potem pisze do sensu. Postulaty Wieczorkowskiego to nie tylko dęte pouczenia, by narzucane ludziom sugestie były zgodne z potrzebami jednostki, lecz także wskazówki, w jaki sposób wywoływać

nastawienia nawet sprzeczne z takimi potrzebami. Te drugie są bardziej przydatne. Przede wszystkim postulat, aby do ogłupiania zatrudniać wynajętych fachowców, młodych, budzących sympatię, bo nieważne co myślą, ważne co ludziom wmawiają. Jak słuszne nawet hasła zacznie głosić oficer w mundurze – wywoła efekt bu-merangowy. Bo mundur kojarzy się z nakazem i w ogóle z represjami – nawet gdyby gadał o pogodzie. Nie należy też pomijać trudności, przeciwnie, wspominać o nich – ale w sposób bagatelizujący, ośmieszający. A wyolbrzymiać pozytywne. Cenne były też dla nas uwagi „Dingo” o dostosowywaniu propagandy do specyfiki danego społeczeństwa – jego historii, świadomości i podświadomości i tak zwanych narodowych wartości. Inaczej wpływa się na postawy robotników – inaczej na naukowców czy studentów.

Pointę do tego raportu dopisało nasze naczalstwo: usunęliśmy z TV mundurowych, nowomowę zmieniono na dowcipasy Urbana, a wciskając ludziom kit do żarcia – powoływano się na narodowe świętości. Naukowe wymóżdżanie da efekt: po obradach Okrągłego Stołu naród przełknie wybór Jaruzelskiego na prezydenta, a nieco później odda władzę „odnowionej” patriotycznie ekipie SLD.

Samego Wieczorkowskiego po drodze niestety zgubiliśmy. Jego historię trochę spartaczyłem, z dramatu zamieniła się w groteskę. Nie mogąc prowadzić tylu ludzkich spraw na raz, wyznaczyłem kogoś w rodzaju „asystenta reżysera”. Oficerem prowadzącym „Dingo” został major Piotr Kozłowski. I on się trochę dał podejść. Nie zauważył mianowicie, że „Dingo” coraz częściej wywołuje spotkania, na których przekazuje coraz bardziej duperelne wiadomości – ale o płynne paczki wręcz się dopomina. Jakby nie leninizm nim kierował, lecz pragnienie. Nie zauważył, że to wraca stary nałóg, bo nie znał historii „Dingo”, nie znał legend o jego orgiach w gronie młodych literatów – po których dla wytrzeźwienia biegali po Warszawie przyozdobieni tylko pawimi ogonami – wetkniętymi dokład-

nie tam, gdzie trzeba. Z powodu niedopatrzenia służb, „Dingo” Wiczorkowski znów się rozpił, operacyjnie przestał być przydatny, co gorsza – zaczął rozpijać Kozłowskiego. Jest faktem, że przy okazji przechwalał mu się swymi kontaktami i sypał nazwiskami tak obficie, że trudno je było zapamiętać, ale jest także faktem, że po takiej libacji obydwaj zasypiali z głowami na talerzach i rano żaden z nich nie pamiętał żadnego nazwiska. Ani żadnej rzeczy, która jego jest...

Miarka się przebrała, kiedy Dingo w „Złotej Kaczce” posadził Kozłowskiego do fortepianu, potem zwołał kelnerów i resztę obsługi, ustawił według wzrostu i kazał im śpiewać *Wyklęty powstań ludu ziemi*. – Ja jestem ostatnim marksistą-leninistą krzyczał, jednocześnie dyrygując. – Te chuje nawet nie wiedzą, że śpiewają święty hymn proletariatu: Międzynarodówkę Pottiera – załkał, lecz dyrygowania nie przerwał. Przy słowach *Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata* – ściągnął obrus razem z kolacją, alkoholem i przystawkami. Kozłowskiego obciążyliśmy kosztami, lecz z usług Wiczorkowskiego musieliśmy zrezygnować.

Gdybym miał kiedy przerobić na scenę historię „Dingo” – zacząłbym od prologu i epilogu w ciemności. Gwar ulicy, nagły trzask zderzających się samochodów, a potem bełkotliwie śpiewana Międzynarodówka.

A tak na marginesie: nie ma wiadomości duperelnych. W moim sejfie jest cała teczka donosów, których autorzy twierdzą, że są nieistotne, że oni tylko grają, a nawet wygrywają z nami. Nie wiedzą, że informacją jest wszystko i że nie ma informacji nieważnych! Wiele z nich przydało się naszym „nieznanym sprawcom”, zwłaszcza wędrującemu samobójcy. Wielu działaczy wtedy odchodziło od komunizmu, musieliśmy – po sprawiedliwości – redukować też pogłowie warcholów i solidaruchów. Przydatne były zwłaszcza wiadomości o spacerach z psem, o porannym joggingu, o kupowa-

niu lodów u ulicznych sprzedawców. Był taki jeden „Historyk”, nie pamiętam nazwiska, zresztą nie jest mu już potrzebne. Z towarzyskiej i „zupełnie błahej” rozmowy z jego sąsiadem dowiedzieliśmy się, jaki jest rozkład mieszkania „Historyka”, gdzie śpi córka, co gość trzyma na biurku – a facet po pierwszym przesłuchaniu uwierzył, że o każdej porze możemy wejść do sypialni – jego czy córeczki – po drugim zgodził się na współpracę, a po trzecim pochłastał sobie żyły. Jednego wroga ustroju mniej.

Ostateczna liczba ofiar stanu wojennego nie jest znana, wiadomo, że w ciągu pierwszych trzech lat przekroczyła nieznacznie 100 ofiar – to oznaczało trochę ponad 30 trupów rocznie – niecałe 3 miesięcznie. W starożytnej Grecji składano bogom kilkakrotnie więcej ofiar – i to za nic. My w zamian otrzymywaliśmy spokój społeczny, dyscyplinę pracy i – co też ważne – uznanie radzieckich dla naszych władz wojskowych. Można było odwieść stan wojenny i znowu było jak dawniej. Jak po 1945, jak po 1956.

Niektórzy nawet – pożałujcie Boże – polscy intelektualiści, wierzyli, że Jaruzelski reprezentuje inną siłę niż partia, że nie jest komunistą i wstępowali do PRON. Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego.

Pisarz Jan Dobraczyński, autor *Listów Nikodema* (chwilami nawet mnie coś ścisnęło za gardło) i paru innych książek (te inne mnie nie ruszały), stary mason Zbigniew Gertych, dziennikarz Klemens Krzyżagórski (tak lojalny, że nie musieliśmy go werbować). Tych i jeszcze paru łączyła jedna cecha: naiwność granicząca z głupotą. Łudzili się, że pod parasolem stanu wojennego Jaruzelski wprowadzi reformy, których partia się bała, że skorumpowane rządy coraz tłustszych aparatczyków zastąpi sprawnym aparatem wojska. Jeśli nawet miał taką szansę, to zabrakło mu i charakteru,

i mądrości. Nawet mój Szef po każdej rozmowie z Generałem pokazywał na dwóch zgiętych palcach: „Taki mózdzek”. Odległość między palcami była coraz mniejsza.

Aneks podręczny

Żeby życie toczyło się jak należy – trzeba było mu trochę pomóc. Wciąż czuwać nad właściwym kierunkiem. Przeciwdziałać ewentualnym zakłóceniom.

Wymagało to wysiłku i ofiar.

Oto kilka takich – dla przykładu.

Piotr Bartoszcze. Lat 34. Działacz NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych. 7 lutego 1984 roku zaginął w czasie rozwożenia „bibuły”. 9 lutego 1984 roku znaleziono jego ciało w studziencie melioracyjnej na polu – ze śladami bicia i duszenia.

Zbigniew Tokarczyk. Lat 31. Działacz NSZZ „Solidarność” i KPN. Internowany, wielokrotnie zatrzymywany przez MO i SB. Ciało znaleziono koło domu w nocy z 22 na 23 lutego 1984 roku. Sekcja wykazała urazy wątroby i płuc oraz liczne ślady ciosów.

Tadeusz Frąś. Lat 33. Nauczyciel, przewodniczący nielegalnej Solidarności w szkole w Zabierzowie. Ciało znaleziono 7 września 1984 roku na przedmieściu Krakowa. Według oficjalnej wersji wyskoczył z II piętra. Sekcja zwłok ujawniła ślady bicia i duszenia.

Edytka Hant. Uczennica, lat 8. Zginęła 29 marca 1984 roku, zabita przez sierżanta MO Halonia strzałem z okna.

Stanisław Kulka. Lat 47. W dniu 15 listopada 1984 roku został zastrzelony na szosie przez milicjanta Jana Żurka.

Łazarski Kazimierz. Lat 58. Nauczyciel. Zmarł 24 września 1984 roku pobity we własnym mieszkaniu przez milicjantów. Sąd w Oleśnicy skazał trzech morderców: Ryszarda Boryga, Zbigniewa Królaka i Józefa Jarosika na kary od 1 do 2 lat pozbawienia wolności.

Jarosław Romanowski. Lat 23. Zatrzymany przez MO podobno sam się powiesił w areszcie – 12 maja 1984 roku.

Jerzy Popiełuszko. Lat 37. Kapelan NSZZ „Solidarność” i KPN. 19 października 1984 roku został uprowadzony przez funkcjonariuszy MSW, skatowany i zamordowany. 30 października 1984 roku wyłowiono jego ciało ze zbiornika wodnego na Wiśle koło Włocławka. Sprawcy zostali skazani w 1984 roku. Mocodawców zbrodni nie ustalono.

Roman Franz. Lat 32. Górnik z Gliwic. Wieczorem 7 stycznia 1985 roku został zatrzymany przez milicję na komisariacie kolejowym, kilka godzin później znaleziono go nieprzytomnego. Zmarł po przewiezieniu do szpitala.

Jan Krawiec. Lat 22. W dniu 30 października 1985 roku został zatrzymany na komendzie MO w Miechowie. Według oficjalnej wersji tego samego dnia popełnił w areszcie samobójstwo przez powieszenie. Sekcja wykazała, że musiał przed śmiercią się również torturować – ciało nosiło ślady urazów piersi, brzucha i głowy.

Marcin Antonowicz. Lat 19. Student Uniwersytetu Gdańskiego. 19 października 1985 roku w Olsztynie został zatrzymany i pobity przez funkcjonariuszy ZOMO. Zmarł 2 listopada 1985 roku

Lesław Martin. Lat 37. Działacz Solidarności w Regionie Dolny Śląsk. Wieczorem 11 stycznia 1985 roku został zrzucony przez nieznanych sprawców z wysokości 20 m z kładki nad torami kolejowymi we Wrocławiu. Zmarł 23 stycznia.

Starczy tego. Takich przypadków można by wyliczać do znudzenia. Jak nie samobójstwo, to nieszczęśliwy wypadek. Na szczęście nie były to ofiary z naszej strony.

Parę nazwisk i dat wpisuję do notatnika, niektóre notatki schowam w sejfie, a niektóre – gdzieś jeszcze dalej i głębiej. Jako jeden z wielu przypadków ukryte zostało morderstwo księdza Popiełuszki – trupa najlepiej ukryć pośród innych trupów. W rzeczywistości była to śmierć wyjątkowa: zbrodnia założycielska tworu, który jest nazywany III Rzeczpospolitą. Mam dokumenty, także kopie raportów i zeznań, z których wynika, że wszystko było kłamstwem – miejsce śmierci, jej data, mordercy i rozkazodawcy – prawdziwy był tylko trup. Ale już 30 października Kiszczak, Jaruzelski, przywódcy państwa, spotkali się z przywódcami opozycji, naszymi kiedyś ludźmi – Geremkiem i Mazowieckim. Byłoby patetycznym kłamstwem powiedzenie, że spotkali się nad stygnącym trupem. Spotkali się w innym miejscu, nie trup leżał na stole, nawiasem mówiąc Popiełuszko zdążył ostygnąć w wodzie. Ważny jest jednak fakt spotkania: oto przywódcy władzy i przywódcy opozycji spotykają się – podkreślam nie nad trupem, by dogadać się, co robimy dalej. „Co robimy” – razem, wspólnie, w liczbie mnogiej. Jak dzielimy tę Polskę, którą Sienkiewicz porównywał do szarpanego

postawu sukna. Trochę trwało, nim się dogadali, ale już zaczynały się zmiany na Kremlu, trzeba było łapać wiatr w żagle. I dyskretnie – bo *tisze jediesz, dalsze budiesz*. Ten pakt zawierano w tajemnicy jak jakiś mroczny rytuał, więc jednak jakby nad tym ociekającym wodą, do tego cuchnącym już trupem. Ustalono, że będzie proces, przewidziano, co zeznają oskarżeni a co pletwonurkowie, jak głęboko będzie szukać się prawdy. Z tego, co potem słyszałem pletwonurkowie podpisali podsunięte protokoły i zginęli. Nie mogę ich jednak dopisać do tej listy – nie znam daty ani okoliczności śmierci.

Historia nagle przyspiesza

Po kilku latach wszystko wróciło do normy, to znaczy zaczęło znów śmierdzieć.

Smród czuć było zresztą w całym imperium. Jeszcze żyło, ale już zaczęło się rozkładać. Zbiorowości, podobnie jak jednostki, mogą chorować. Było to coś podobne objawami do trądu, lecz tylko objawami. Normalna lepra, zwana także „francuską chorobą”, niszczy żywy, zdrowy kiedyś organizm. Ta „sowiecka choroba” polegała na tym, że złęczone siłą i poruszane siłą martwe kawałki ciał zaczęły od siebie odpadać. Jedne już były martwe, inne martwiały, krwawiąc. Siła poruszająca sztucznie złączone części zanikała.

Radzieccy przegrywali największy w dziejach wyścig zbrojeń – tak zwane Gwiezdne Wojny. Wcześniej to wyścig fabryk zastępował wyrzynanie się armii i zarazem pozwalał ich unikać. Ale po latach takiej sztucznej wojny Kraj Rad stanął w obliczu prawdziwej klęski. Rosjanom brakowało zboża, groził głód – przy którym tamten z lat trzydziestych na Ukrainie, kiedy to jedli gotowane trupy,

jawiłby się jako złoty wiek dobrobytu i obżarstwa. Jedynym eksporterem, który mógłby uratować Rosję były Stany Zjednoczone. Ale czy oddechują swego najgorszego wroga? Niby są głupi, ale czy aż tak?

W lutym 1984 zmarł nagle sekretarz Andropow, rok później – jego następca Czernienko, a w marcu 1985 władzę w Kraju Rad objął Michaił Gorbaczow i z przerażeniem stwierdził, że wybrano go na kierowcę autobusu, który nie tylko się rozlatuje, ale toczy się w stronę przepaści. Co gorsze? Którą z katastrof wybrać? Wojna z Ameryką to klęska, dalszy wyścig zbrojeń – to głód i bunt głodowe. Gorbaczow postanowił pójść śladami Lenina i spróbować oszukać Zachód. Głośno zaczęto mówić o „pierestrojce” i odwilży, o liberalizacji handlu i otwarciu na Zachód. Na co jak na co, ale na pazerność kapitalistów zawsze można liczyć, chęć zysku zaślepiła im wzrok. *Kapitaliści sprzedadzą nam na kredyt sznur, na którym ich powiesimy.* Te zdania wielkiego Włodzimierza Iljicza brzmiały jak testament. Nowy sekretarz partii wziął je do siebie.

4 września 1986 Gorbaczow spotkał się z prezydentem Reaganem w Reykjavíku. Były to rozmowy kapitulacyjne, dla zachowania twarzy – tajne. Za to jawnie Ameryka zaczęła wspomagać ZSRR. „Gorbi” szykował się do opuszczenia okupowanej części Europy i zarazem pospiesznie kombinował, jakby tu jeszcze oszukać Amerykanów. Mówiono o histerycznych próbach z nową bronią, o pozostawianiu na opuszczanym terenie NRD i PRL szwadronów śmierci w rodzaju hitlerowskiego Werwolu, przypomniano wysadzenie mostu wraz z ludźmi w Szczecinie, podpalenie Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu, jednak niczego pewnego nikt nie wiedział.

Mój cieć ma na ten temat inną teorię, ale zupełnie odlotową, niezgodną z marksizmem-leninizmem. On też wierzy w moce wyższe, tyle że obce i dlatego wrogie. Mówi o kłątwie i w ogóle bełkocze. Podczas wakacji był na wycieczce w Korei – i tam zgłupiał. Powinno się go wylać z tej posady, z powrotem do Kielc czy skąd go nam naślali. Ale jeśli pracuje dla Ruskich, to jest nieusuwalny. Prędzej on nas wszystkich załatwi! To wcale nie jest takie głupie. Tylko Ruscy potrafili wysyłać swoich ludzi, żeby wrosli w nowe środowisko i kilkadziesiąt lat czekali na rozkaz, w wyniku którego mogą stracić życie. Takich szpiegów jak oni nikt nie wychował. Lepiej trzeba powiedzieć: wyhodował.

Dokszałt ściśle tajny

Razem z Szefem zabezpieczaliśmy się u radzieckich. Wybory do kontraktowego sejmu niczego nie zmieniły. Mimo wszystko nie traciliśmy nadziei, że ta zabawa w odwilż i „pierestrojkę” lada chwila się skończy. Była odwilż po śmierci Stalina, była po obaleniu Gomułki (i niestety Moczara – jak dodawał mój Szef), teraz też dwa – trzy lata i wszystko wróci do normy. Szef zabrał mnie z sobą do Moskwy. Pojedyncze domy nawet ładne, ale całość wstrętna, jakby posklejana z niepasujących do siebie kawałków. Niby żywa – a martwa. Nadaje się na stolicę, bo cały ich kraj posklejany z podbitych, pomordowanych ziem i miast.

Po raz pierwszy uczestniczyłem w obradach tak wysokiego szczebla, o tak wysokim stopniu tajności – i jeszcze wyższym cynizmu. Na tym poziomie nikt nie cytował Lenina, nie uprawiano marksistowskiego bełkotu. Mówiono o próbach z nową bronią,

o wycofaniu wojsk z Niemiec, ale tylko do Polski. Jako program maksimum pozostawało wypchnięcie Stanów z Europy, rozbięcie NATO i opanowanie kontynentu. Jako program minimum wrócił projekt stworzenia rosyjsko-polskich „spółek handlowych” na terenie dotychczasowych baz. Projekt ten miał poparcie następcy Jaruzelskiego, Wałęsy, wobec którego zastosowano metodę kija i marchewki. Kijem były jego dawne donosy, marchewkę mu obiecywano. „Nasza”, czyli radziecka broń miała zostać na miejscu w dawnych bazach, żołnierzy dowożono by rotacyjnie. Dla odwrócenia uwagi jedna z sekcji „wymiany europejskiej” planowała działania destabilizacyjne – chodziło o zorganizowanie dywersji na miarę protestów przeciw „Brudnej wojnie w Wietnamie” z lat 60. oraz o werbowanie młodzieży do nowych „Frakcji Czerwonej Armii” – w Niemczech, Francji, a może nawet w Stanach.

Miałem szczęście. Jako „towarzysz o wykształceniu technicznym z ukłonem chemicznym” (tak jakoś mnie Szef przedstawił) trafiłem do podkomisji broni niekonwencjonalnej.

Nad drzwiami napis, który przypomniał mi lata młodości *Czekista musi mieć chłodny umysł, gorące serce i czyste ręce*. I podpis: *Feliks Edmundowicz Dzierżyński*. Poczułem się jak w domu – lecz po chwili wiało już grozą. Jakby w tym domu powybijano okna i podziurawiono ściany. A podłogę pochlapano krwią.

Pierwszym i ważnym punktem obrad naszej podkomisji była sesja poświęcona nowej naszej, czyli radzieckiej „Wunderwaffe”. W stu procentach skuteczna i w prawie stu procentach niewidzialna.

Wojna na broń klasyczną jest niemożliwa, jest przegrana, mamy odwagę czekistów, by to sobie jasno powiedzieć, towarzysze – oznajmił, prawie wykrzyczał generał otwierający szkolenie. Ale

możemy mieć przewagę w innych broniach, na innych polach – dodał i zaczął o tych nowych broniach opowiadać.

Zaczął od gazów bojowych. To broń zakazana konwencjami, ale ataki można zamaskować jako różne awarie – pociągów, samolotów, całych zakładów pracy.

Trwają też doświadczenia nad bronią biologiczną, która mogłaby być jeszcze bardziej skuteczna. W pewnym momencie do wywołania rzekomych awarii zaczęłyby się przyznawać różnego rodzaju organizacje narodowo-wyzwoleńcze, ekologiczne a nawet religijne – i wysuwałyby konkretne żądania.

– To szantaż – krzyknął ktoś z sali.

– Tak towarzysze, szantaż – odpowiedział referent. – Kto boi się tego słowa już powinien iść na emeryturę, póki jeszcze ma szansę. Wkrótce nie będzie miał żadnych. – Zabrzmiało to złowieszczo.

Nieszczęśnik, który przerwał referentowi nie odezwał się więcej. Nazajutrz już go nie widziałem, mam nadzieję, że zdążył na emeryturę.

„Obrady” naszej sekcji były de facto dyktandami, ale takimi, na których nie wolno niczego pisać. Wprost do mózgu. Lecz i tak sporo zakonotowałem.

Nową komunistyczną „Wunderwaffe” miał być wąglik. Podali nam łacińską nazwę tej bakterii, antrakt czy jakoś tak, a także nazwy niemieckie, czeskie, bułgarskie. Najśmieszniejsza była estońska, pół sali szczało ze śmiechu.

Na potencjał ukryty w tym bakcyli zwrócili nam uwagę sami Amerykanie, którzy parę lat temu nazad zaczęli sobie przysyłać „listy wąglikowe”. Lecz historia tej cud-broni była dłuższa, sięgała pierwszej wojny.

Pierwsze próby podjęli Niemcy. Jeszcze przed zaatakowaniem

Rumunii w 1916 roku dostarczyli do swojej ambasady w Bukareszcie bakterie wywołujące węglik. Rozsyłano je w listach adresowanych do rumuńskich polityków i wojskowych, szło o ich wyeliminowanie przed rozpoczęciem wojny. Nie były to działania rycerskie, Niemcy nie chwalili się nimi publicznie – nie wiadomo więc, na ile skuteczna była ta broń. Z rozproszonych po raportach i wspomnieniach wzmianek wynika, że tylko kilka osób udało się wyeliminować, ich śmierć przypisano zapaleniu płuc. Tyle że ciała bardzo szybko gniły i z ich otworów wypływała ciemna, lakowata krew. Równie często jak adresaci ginęły przypadkowe osoby, które z racji swej funkcji otwierały albo czytały nadesłaną korespondencję.

Zaczęto intensywnie myśleć o bezpiecznych środkach przenoszenia bakterii na pole działania przeciwnika. W następnych latach badacze niemieccy koncentrowali się nad znalezieniem środków przenoszenia bakterii – brali pod uwagę pociski, a w miarę rozwoju lotnictwa także bomby – bez większego powodzenia. Jako ciekawostkę zapamiętałem, że główny niemiecki ośrodek doświadczalny mieścił się podczas wojny na poznańskim Pokrzywnie, zamaskowany jako Instytut Badań nad Rakiem. Niestety – zażartował złośliwie mówca – po przejęciu ośrodka Polacy nie rozumiejąc przeznaczenia tych skomplikowanych urządzeń zaczęli w ośrodku pędzić bimbler.

Oryginalnym podejściem do problemu wykazali się Japończycy, którzy zaczęli jako przenośniki wykorzystywać zakażone owady – pchły, pluskwy, kleszcze, wszy, komary, muchy i co im tam wlaźło pod rękę. Największe sukcesy odnieśli jednak nie na polu walki, lecz w obozach jenieckich, które pełniły rolę naturalnych laboratoriów. O sukcesach uczonych radzieckich mówca nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Żeby jednak pokazać, że traktuje nas jako swoich, przed którymi nie ma tajemnic – mówca przyznał się,

że w 1979 w Swierdłowsku mieścił się ośrodek badań i produkcji „biopreparatów”, czyli broni biologicznej. Jak się wydaje, ale tego referent jasno nie powiedział, w Swierdłowsku robiono doświadczenia na normalnych więźniach, w Stiepnogorsku na najbardziej zahartowanych lagrowcach, chyba żeby odwrotnie, nie był pewien. Ale obiektom doświadczeń i tak *wsio rawno* – zażartował. Pod koniec wykładu zjawiał się znów „polski akcent” – podobno polscy faszyści z AK wykorzystali bakterie do wykończenia kilku dygnitarzy hitlerowskich, a po wojnie urzędników ludowego państwa. Ktoś tam na płuca, ktoś niby na grypę – szczegółów znów jednak nie podał.

Drugi wykładowca koncentrował się na problematyce współczesnej, zwłaszcza na możliwości wykorzystywania broni biologicznej przez terrorystów. Przypadki takie miały miejsce w kilku krajach – prawie wszystkie zostały utajnione. Wiadomo, iż finansowani przez Irak terroryści rozpylili pewne ilości biopreparatów w Anglii i Stanach – byli to jednak terroryści samobójcy, czasem mimowolni samobójcy. Ich sposób walki nie nadaje się do kopiowania w armii radzieckiej i innych bratnich armiach. Jako wdzięczne obiekty ataków referent wskazał wodociągi, hale sportowe, stadiony, teatry i kina, stacje metra i oczywiście wagoniki. Na szczęście nasze metro dopiero rozgrzebują – pomyślałem.

Bioterroryści próbowali także rozpylić mikroorganizmy z wysokich budynków i mostów. Zwalczanie takich ataków jest zawsze spóźnione, jedynym środkiem zapobiegawczym jest kontrola imigrantów i środowisk opozycyjnych. W Sojuszu pod szczególną kontrolą są skupiska Gruzinów i Czeczenów, i to nie tylko w Groznm, ale także w Moskwie i Leningradzie. Należałoby profilaktycznie rozproszyć skupiska muzułmanów w Uzbekistanie czy Kazachsta-

nie. Należy się też liczyć z ekspansją terroryzmu islamskiego poprzez Albanie i Bośnię na Bałkany. Prócz działania biologicznego „biopreparaty” mają potężne oddziaływanie psychologiczne, wywołują lęk i panikę, a często prowadzą do rozruchów. Uprzedzając działania wrogów należy nasadzać agenturę zwłaszcza w południowych republikach Kraju Rad, inaczej grozi nam destabilizacja i oderwanie ich od rodziny narodów radzieckich.

– Można powiedzieć, że zakończył pogodnym akcentem – powiedział Szefer po wykładzie. A w sumie jest to straszne – dodał.

Korzystając z chwili milczenia podziękowałem Szefowi za to, że wziął mnie do Moskwy i przedstawił radzieckim.

– I co? Czujesz się jak wielki wtajemniczony? Jakbyś przeszedł na drugą stronę lustra?

– Trochę tak. Oczywiście nie jestem jeszcze w tej lidze co Szef...

– Prawdziwi wtajemniczeni obradowali w innym miejscu. I nie gadali o terrorystach, którzy stoją na moście i wrzucają bakterie do wody, ani o zatruwaniu mleka w uniwersytetach... Szef znów zamilkł.

– A o czym, Szef? Co jest tak ważne?

– Najtrudniejsza część każdej reformy. To co robił Stalin przed wojną 1939 roku, co robili następcy Stalina po jego śmierci. Jeśli na tej najważniejszej naradzie wspomnieli o biopreparatach, to jedynie o ich przydatności w likwidacji starej kadry. To obciążenie aparatu: towarzysze nieprzydatni ze względu na wiek i anachroniczne poglądy, niebezpieczni ze względu na sentymenty, a *prieźdie* wsiewo, ze względu na posiadaną wiedzę. Ty dopiero zaczynałeś służbę, ja to wszystko oglądałem z bliska. Z Gottwaldem poszło błyskawicznie, pojechał na pogrzeb Stalina do Moskwy i wrócił do Pragi śmiertelnie chory. Bieruta trzeba było specjalnie zapraszać do Moskwy, pozwolono mu nawet wysłuchać referatu Chruszczo-

wa, żeby uprawdopodobnić atak serca. Ale zniósł to z uśmiechem, pewno znał bardziej porażające tajemnice. To był agent wysokiej rangi, i właśnie dlatego musiał zostać zlikwidowany. Radzieccy odczekali parę dni, a potem Bierut dostał ataku serca. Nie, wróć, diagnoza oficjalna była inna.

– Jaka?

– Radzieccy sformułowali ją nawet uczciwie: *coś na pograniczu grypy i zapalenia płuc*. Uczciwie i chytrze. Bo ludzie zastanawiali się czy grypa, czy zapalenie, a o bakteriach nikt nawet nie pomyślał. W dezinformacji mówią: zacieśnienie horyzontu.

Najciężej było z szefami NRD, którzy mieli wierną obstawę złożoną z równie kościanych dziadów, w połowie chyba z SS, w połowie z KPD. Zanim udało się załatwić marionetkowego prezydenta NRD, Wilhelma Piecka, poszło na straty kilku kościanych dziadków z jego biura. Grotewohla dopadli jeszcze później. Wspominał mi znajomy, stary czekista, też go znasz, wspominał twoje nazwisko, że największe problemy mieli z sekretarzami w terenie. Niektórzy tam siedzieli od Rewolucji Październikowej, a żywotne to jak stare żółwie. Ale Rusczy mają swoje sposoby, posłali w teren tysiąc młodych aktywistów i tysiąc kurew. I nagle ci upiorni starcy zaczęli masowo jeździć na polowania i ginąć od przypadkowych strzałów. Albo wsiadali w samochody, które osobiście prowadzili prosto w jakieś jary przepaście, wpadali na niedokończone mosty... Paru kierowców także trzeba było poświęcić, parę kurew niestety też. Dla ciebie jako literata to powinno być inspirujące. Samochody spadające do morza, polowania na ludzi, uroczyste pogrzeby z orkiestrą i salutem wojskowym.

– Nie pozwolą tego wydrukować.

– Możesz napisać, że to w jakiejś bananowej dyktaturze albo zgoła na innej planecie. Ja mam ciebie uczyć? Dlaczego u radzieckich tak nagle rozkwitła literatura fantastyczno-naukowa? Tam

reformy i rewolucje robią zielone ludziki na dalekich planetach. Sześć nóg, pysk przerażający, ale serce czekisty. Bierz przykład, młody!

Wycieczka do mauzoleum

W ramach krzewienia świeckiej obrzędowości zawieźli nas autokarem na Cmentarz Nowodiewiczj, na grób jakiegoś naczelnika Iwana Iwanowicza Agajanca. Zmarł w 1968 roku.

– Powinieneś wiedzieć, młody – instruował mnie Szef – że Agajanc to wynalazca i pierwszy dyrektor kagiebowskiego Departamentu „D”, czyli Dezinformacji. Nie było tak bezczelnego kłamstwa, którego nie potrafił wcisnąć Zachodowi, to zresztą jego złota reguła: im kłamstwo bardziej bezczelne, tym łatwiej się przyjmie. Największym osiągnięciem Agajanca był wizerunek dobrotliwego, a nawet nieco dupiatego Chruszczowa, a Chruszczow był na tyle inteligentny, że to kupił, często udawał wstawionego, walił butem w mównicę i pieprzył zabawne kawałki. Lekceważyli go, a on ich osaczał. Wspierał złotem ruchy ekologiczne na Zachodzie, podsyłał elitom narkotyki, korumpował polityków, zapraszał dziennikarzy i pisarzy i albo przekupywał, albo zdobywał na nich kompromateriały. To Agajanc zdążył rozkręcić studencką wiosnę w Berlinie, potem w Paryżu, to Agajanc przygotował „Wiosnę Praską” – niestety jej końca nie doczekał. A może na szczęście?

Tak czy siak, już na cmentarzu wypiliśmy za zdrowie Agajanca. Gdziekolwiek jest – na pewno zdrowie mu się przyda. W ruch poszedł koniak „Ararat” – w partyjnych magazynach sprzedają butelki razem z piersiówkami.

Ta wycieczka to jednak było tylko preludium.

Punktem kulminacyjnym było to, co zawsze: pielgrzymka do Mauzoleum. Szef trochę kręcił nosem, że to już nie ten nastrój, nawet radzieccy po drodze dowcipkowali, że relikwie coraz słabiej działają. Jednemu, co przyszedł bez ręki wyrosła – ale trzecia noga! Zdarzył się też przypadek, że jednonogi kaleka z krzykiem odrzucił kulę: nawet ta jedna noga zaczęła mu zanikać i oba kikuty się zrównały. Mógł chodzić, tylko robił mniejsze kroki i jajami szurał po podłodze. Zaś ostatnio, już w czasach pierestrojki, zdarzyła się rzecz dziwna: zwiedzającym taśmowo wyrastały zęby, i to dobrze, jeśli trzecia szczeka, bo niektóre zębiska wyrastały w takich miejscach, że wstyd się przyznać... By nie być gorszym, a nawet podnieść poprzeczkę, sprzedałem im wiersz Noblistki, który teraz z upodobaniem powtarza cała „Warszawka”:

*grób w którym leży ten
nowego człowieczeństwa Adam
wieńczony będzie kwiatami
z nieznanych dziś jeszcze planet.*

Trochę przeszły nam dowcip i wiersze, kiedy zobaczyliśmy długą jak tasiemiec kolejkę drepzącą przez Plac Czerwony. Wszyscy w tym samym celu. Na szczęście jednak nie wszystko się jeszcze „przestroiło” w Kraju Rad. Dla takich jak my, była nadal osobna, znacznie krótsza kolejka, posuwała się dosyć szybko, bo nie wolno było przystawać. Mumię podziwiałoby się biegnąc świńskim truchtem, zdjęć oczywiście nie pozwalano robić. Widać było drewnianą jakby twarz, dłonie białe, z lekka poróżowane – Lenin wciąż był przerażający. Na pozór kukła, marionetka, tyle że większa. Ale jak komu się udało przystanąć, to mógł zobaczyć, że to nie żadna kukła, ciało jakby nie żywe i nie martwe, posklejane z kawałków innych ciał, nieruchome – ale jakby pulsujące, jakby wy-

dzielało jakieś gazy, emitowało ciemne, trujące promienie. Tak! Tu było źródło tego znajomego zapaszku, który czułem nawet w Warszawie, który zatruwał już pół świata.

Przystanąłem, oddychałem tym odorem, potem miałem upiornie sny. Już na jawie. Wydawało mi się, że to monstrum wychodzi sztywnym krokiem z mauzoleum, włóczy się nocami po ulicach, zagląda do mieszkań, do klas szkolnych. Nie tylko Lenin w Moskwie, takie żywe trupy są w każdym państwie, w każdym mieście, czasami kryją się wśród tłumu, czasami zupełnie bezwstydnie leżą na plażach, zwisają z krzeseł w knajpach, wydają rozkazy z mównic. Albo łączą się w bandy, jak kiedyś stada „biezprizornych” dzieci i maszerują podrygującym krokiem marionetek przez ulice. I tylko ten zapaszek...

Z koszmarnego półsnu wyrwał mnie głos przewodnika. Kazał stanąć w kółeczko i jak dzieciom sprzedał nam kilka opowiadań.

Lenin zmarł w 1924 roku, jedni mówili, że wskutek udaru, inni że wskutek syfy – jedno zresztą nie wyklucza drugiego, tyle że syf ma przyjemniejszą procedurę nabycia. Podobno przed jego śmiercią robili przyspieszone próby z przeszczepami, ale się nie wyrobili. Jedni mówią, że ktoś celowo spowalniał, inni – że ktoś z bardzo wysoka nie chciał, dziś nikt już tego nie rozbierze. Unieśmiertelnili go jak mogli, w końcu wyszło prawie na to samo. Na początek zabalsamowali go prowizorycznie, napompowali jakimś płynem fizjologicznym, byle do wiosny, to znaczy do pogrzebu. Zwłoki specjalnym pociągiem przewieziono z Górek do Moskwy – i dopiero zaczęły się kłopoty. Lenin chciał spocząć po bożemu, na cmentarzu, tak podobno mawiał do Krupskiej. Ale partia chciała być lepsza od cerkwi i mieć nie martwego świętego, a wiecznie żywego Boga. Chyba z miesiąc się o to kłócili, a tymczasem wódz leżał i pomimo, że wsadzili go w coś w rodzaju lodówki – zieleniał, zaczął

cuchnąć i wydzielać nieprzyzwoite płyny. Był zły, coraz gorszy. Jak ten święty u Dostojewskiego, co aby ukarać wiernych, a może ich wypróbować – zaczął śmierdzieć. Lewa ręka Lenina zrobiła się szaro-sina, uszy znacznie się zdefasonowały. W końcu ściągnięto do Moskwy profesora Władimira Pietrowicza Worobiowa i dano mu propozycję nie do odrzucenia, jak mówią na jednym filmie. Albo mumię odświeży albo... Do pomocy dano mu biochemika, Iwana Iljicza Zbarskiego, a także paru czekistów, których gadzie mordy samym wyglądem mówiły, co czeka profesorków w razie niepowodzenia.

Obaj uczeni wzięli się więc rażno do pracy. Najpierw wytoczyli, a raczej wycisnęli z wodza płyny fizjologiczne, napełnili mu żyły roztworem gliceryny i octanu potasu, wyciągnęli z niego won bebecchy i zakonserwowali w słoikach jak ogórki bądź maślaczki. Z czaszki wydłubano resztki mózgu – tyle co syf nie zeżarł. Chodziło o to, aby zbadać tajemnicę geniuszu Wodza. To, co zostało z Wodza – skorupę taką – położono leżeć w mauzoleum. W ostatniej chwili coś zrobiło się z oczami, wyłaziły, odpadły rzęsy i wyglądał jak wielka ryba z martwymi ślepiami, w których zupełnie nic się nie odbija. Więc wsadzono mu sztuczne rzęsy i tak upiękzonego wystawiono. Wtajemniczeni twierdzą, że z Lenina został tylko ten żółtawy łeb, resztki dobierają z innych trupów, w zależności, co akurat mu się psuje. Policzek to policzek, kciuk to kciuk, albo język. Stąd kawałki nie zawsze pasują kolorem, czasem długo trzeba czekać na dawcę, choć w tej sprawie podpisano umowę z re-sortem więziennictwa. Ale nie wszystko da się zsynchronizować. XVII-wieczny specjalista doktor Frankenstein był jednak lepszy, bo jego mumia to przynajmniej chodziła, mówiła, a nawet popełniała zbrodnie. Lenin zbrodnie popełnił za życia, po śmierci raczej odpoczywa. Albo się czai, a jak wyjdzie...

O Mauzoleum też szły kłótnie. Najpierw złożono Boga-trupa w grobowcu prowizorycznym, z drewna. Był moment, że o mało nie zginął po raz drugi. Pracowano w pośpiechu, mimo chłodu i mrozu. W trakcie budowy przebito rurę kanalizacyjną. Na szczęście wszystko było zamrożone, śmierdzącej kompromitacji uniknięto. Jednak Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Wraz z roztopami – rozmrożona nagle zawartość rur wybiła i zalała Mauzoleum. Dla mumii, która pachniała już podobnie różnica była niewielka, lecz mauzoleum trudno było uwolnić od okropnego zapachu. Do historii przeszła opinia siedzącego w areszcie domowym patriarchy Tichona: *Jakie relikwie, takie i namaszczenie*.

Porządne mauzoleum z czerwonego granitu ukończono dopiero w 1930, ale też nie od razu zapuszkowano tam Lenina. Podobno tak się ono spodobało Stalinowi, że chciał je zatrzymać dla siebie. W końcu jednak ustąpił, obiecano mu jeszcze większe. Słowa jednak nie dotrzymano. Stalina dokwaterowano Leninowi po śmierci na całe 8 lat. Na mauzoleum dopisano jego nazwisko. Ale nie wyszło. Podobno zaczęły się dziać dziwne rzeczy, strażnicy słyszeli głosy, kłótnie – dwóch czy trzech postradało zmysły. Oczywiście można to złożyć na karb zabobonu, można zamknąć strażników w psychuszcze – i to zrobiono. Ale mnożyły się problemy natury technicznej. Na mumiach znajdowano ślady uszkodzeń, czasem brakowało kawałków twarzy, palców u rąk i tak dalej. Czasem kawałki jednego znajdowano w drugim z bogów. Trzeba ich było rozdzielić. Stalina usunięto w 1961 roku.

Lenin wygrał i pozostaje niepodzielnym władcą swego pośmiertnego pałacu.

W roku 1941 wywieziono Lenina raz jeden z Mauzoleum – do Tiumeni, żeby Niemcy nie zbombardowali. Wieziono go w trzech pociągach, co nie znaczy, że trupa przewożono na trzy raty.

W pierwszych dwóch była ochrona, lekarze, cała służba nieboszczyka; on sam luksusowo – w trzecim, razem z komendantem mauzoleum i ochroną osobistą. Wagon wbrew zasadom bezpieczeństwa cały czas był oświetlony – mówiono, że na życzenie Lenina – cały czas śpiewy, słyszano nieco sztywnie brzmiący głos Lenina, po drodze donoszono alkohol. Cztery razy się zatrzymywano. Tak po śmierci jeździli tylko faraonowie. Wszystkie stacje zabezpieczone żołnierzami, wszędzie zielone światła – mimo to podróż trwała 12 dni, przyjęcia były, przemówienia. Lenin przybył do Tiumeni 12 lipca, przetransportowano go samochodem do gmachu Technikum Rolniczego (przewodnik użył określenia *Sielskochondrajskij technikum*), podobno cuchnął wódką, ale ten swojski smrodek też zalatywał. W Tiumeni był do marca 1945. Dokładnie 29 marca wrócił na Kreml.

A co się działo w jego moskiewskim Mauzoleum?

Mauzoleum na ten czas zamaskowano, przerabiając je na dwupiętrowy dom; na Placu Czerwonym ustawiono chałupy z dykty, kopuły cerkwi pomalowano na czarno, a nawet rzekę – zakryto brezentowymi płachtami.

– Przecież Niemcy by się zorientowali, że zniknęło Mauzoleum, zniknął Kreml, zniknął cały plac!

– Nie. Radzieccy inżynierowie wybudowali cały Kreml z dykty na Górze Pokłonnej. Tam Niemcy rzeczywiście walnęli parę bomb. A radzieccy znów odbudowywali, tak parę razy, Niemcy nic z tego nie rozumieli, ktoś zwariował, ktoś wstąpił do klasztoru.

– A ja myślę, że w ocaleniu Lenina też jest coś cudownego. Jak walnęło w Cmentarz Nowodiewiczj, to trupy latały w powietrzu, mało który ocalał. A Lenin jednak przetrwał, znaczy święty, materializmu jest bardziej nieśmiertelny niż święci idealizmu.

Nie wiedziałem, czy facet nawiedzony, czy robi jaja. Parę lat temu wzięłoby go NKWD i po godzinie przesłuchań wszystko by-

łoby jasne. Ale na naszej wycieczce nie było tajnych służb, bo były same tajne służby. A dookoła załatywało już pierestrojką. Więc przewodnik tylko odruchowo się rozejrzał, a potem jednak zmienił temat. Zaczął tłumaczyć – choć go nikt nie pytał – skąd Góra Pokłonna wzięła nazwę. – A stąd – odpowiadał sam sobie, że to z niej właśnie wędrowcy jakby kłaniali się pobliskiej Moskwie. I nawet Napoleon stał na niej nim wkroczył do rosyjskiej stolicy. Czekał na jakichś posłów, może na klucze do miasta. I taki chuj połączył a nie klucz – zadowcipkował patriotycznie. Roześmiałem się z całą wycieczką, ale nie wszystkie słowa zrozumiałem. Zwłaszcza kto kogo pouczał.

Tymczasem nasza ekskursja dobiegała końca. Przed pożegnaniem przewodnik zaserwował nam jeszcze opowieść o zamachach na mumię. Widocznie nie wszyscy wierzyli w jej martwość. Pogłoski o pojawianiu się Lenina nocami nie ustawały, w dzień jednak leżał w mauzoleum, tu można było go uśmiercić jak wampira. Pierwszy zamach miał miejsce 20 marca 1959. Jeden z przechodzących obok sarkofagu rzucił się z młotkiem – ale zamach się nie udał. Kryształowe szkło rozwalone – Leninowi, jak mówili złośliwi, włos z głowy nie spadł. Ktoś mówił, że w ostatniej chwili się usunął.

– A zamachowiec?

– Nie chcielibyście wiedzieć, towarzyszu.

Zapadła chwila ciszy, jakby wskazówki czasu się cofnęły, potem jednak wróciły na miejsce, a przewodnik dokończył opowieść:

– Drugi z zamachowców zapewne słyszał o torturach i śmierci swego poprzednika. Przyszedł do Mauzoleum z bombą własnej produkcji na ciele, odpalił – znów to samo: szkło popękane, z zamachowca strzępy, mumia nietknięta.

Znów na moment zapadła cisza. Przypomniała mi się teoria tego oficera z Arteku, który popełnił samobójstwo. Mówił wpraw-

dzie nie o Leninie, ale o „strategii Frankenstein”, ale to na jedno wychodzi. Nie tylko bogowie są nieśmiertelni, że ich zabić nie można, takie monstra sklejone z kawałków – również.

Rosji rozumem nie pojąć. Jest pod opieką starych i nowych świętych. Poszliśmy napić się wódki.

Spotkania po latach

Ostatniego dnia po południu wróciliśmy na ogólną salę obrad. Narada fachowców od morderstw, dezinformacji i manipulacji zmieniła się znów w klepanie rytualnych frazesów, maskujących rzeczywisty charakter naszego zjazdu. *Głasnost’*, *pierestrojka*, *pierestrojka*, *Głasnost’* i tak w kółko. Gdybyśmy zamknęli oczy – ujrzelibyśmy wschodnich mnichów kręcących bębenkami i klepiących mantry. I jednocześnie mielibyśmy pewność, że to tylko teatrzyk i szum informacyjny.

Przeżyłem jednak zaskakujące, prawdziwe i niesamowite spotkania. Dwa, a właściwie jedno. Jedno a właściwie dwa, zaraz wyjaśnię. Wchodzę na salę konferencyjną, dla szpanu w polskim mundurze generalskim, choć nie z taką ilością orderów jak radzieccy – i za stołem widzę znajomą, zmienioną przez lata twarz. Siwe włosy, żakiet w stylu dobrze dopasowanego munduru, nawet warkocz. Siedzi wśród najważniejszych generałów, ale siedzi, jakby była marszałkiem. Nie wiedziałem, czy mogę podejść, ona nie uczyniła żadnego gestu. Więc nie poznała? Stoję, nie wiedząc co robić, a tu kolejna niespodzianka: z drugiego końca stołu podnosi się też siwy gość – stary, ale niezwykle elegancki, jak nie Ruski. Jeden z wielu po cywilnemu. W pierwszej chwili nie mogłem go poznać,

skojarzyłem sobie dopiero, gdy wyciągnął rękę i powiedział, też po zachodniemu, bez „otczestwa”:

– *Obolenskij. A was ja uže znaju, wy tot umnyj malczik, czto daże Jesienina czytał.*

Mimo że znaliśmy się słabo – padliśmy sobie w objęcia. Właściwie on mnie zagarnął, niczym niedźwiedź. Gdy mnie wypuścił – cofnąłem się o krok i wyciągnąłem nagana. Obolenskij cofnął się przestraszony, ale ja podałem mu rewolwer, mówiąc – od tamtych czasów noszę go przy sobie. Szczęście mi przyniosł.

Wyściskaliśmy się jeszcze raz.

Podczas narady radzieccy komentowali wcześniejsze ustalenia, nasi nawet nie próbowali się kłócić. Uważali, że i tak „niedźwiedź był łaskawy”, mógł przecież zjeść, mógł wydupczyć, a on tylko wyściskał. Obiecali naszym pożyczkę na udawanie socjalistów w stylu zachodnim, z ręki do ręki, zgodzili się, byśmy dla picu zrobili czystki w milicji, nawet trochę w SB, ale już nie w służbach wojskowych. Na koniec doradzili, to znaczy nakazali nam spalenie wszystkich – to słowo powtórzyli – wszystkich akt tajnych służb.

– Najważniejsze raporty i tak mamy tu, na Łubiance. A waszym następcom, *na chren*, niepotrzebne.

Szef nie zabierał głosu, wiedząc, że i tak na nic nie będzie miał wpływu, ja przeciwnie – parę razy się wyrwałem, może żeby zrobić wrażenie na Obolenskim, a może chciałem zwrócić na siebie uwagę tej znajomej – nieznajomej sprzed lat. Zauważyłem, że miała perły. Nie spojrzała na mnie ani razu, czyżby po prostu nie poznała? A Szef zapewne przypuszczał, że tak podskakuję, bo chcę by mnie Ruscy zapamiętali. Wtedy mam większe szanse na zostanie jego następcą.

Po skończonej naradzie i wspólnym odśpiewaniu (chyba ostatni raz) *Międzynarodówki* zaczęliśmy się żegnać. Manewrowałem tak,

by znaleźć się koło dawnej znajomej – ale to ona mnie zaskoczyła. Zjawiła się przede mną nagle, popatrzyła mi w oczy i zanim pode-
szli inni goście – zaśpiewała gardłowym głosem:

Я так хотела чтоб он был твой – parsknęła śmiechem, nieco
mnie przy tym opluwając – i zniknęła.

Godzina była jeszcze wczesna – poszliśmy z radzieckimi na
ochlaj. Koniaki zachodnie, kawior ruski – niczego sobie nie odma-
wialiśmy, bo wszystko było za darmo.

W pewnej chwili Obolenski przysiadł się do nas i zaczął wspo-
minać pobyt w Polsce.

– To był dla mnie najszczęśliwszy okres, rządził u was jak
w folwarku, no i... byliśmy tacy młodzi.

Przypomniałem sobie ich zabawy, które miały coś z wyzywa-
nia Boga na pojedynek. Rosyjska ruletka – to ich symbol. Godło
Rosji, tajemnica duszy rosyjskiej. Rosji rozumem nie objąć. Meta-
fizyczna, rycerska, dekadencja stara Rosja. Obolenski był jednym
z ostatnich arystokratów. Książę. Francuskie słówka wtrącał.

Żeby się przypochlebić – radzieccy to lubią – zacząłem śpiewać
romans *Porucznik Golicyn*. Dołączył Obolenski, potem Szefer, dziw-
ne, że to w ogóle znał, potem starzy czekaści z sąsiedniego stolika,
w końcu nawet kelnerzy. Po *Golicynie* ktoś podrzucił *Walca jun-
krów*. Sala zaczęła nucić, starzy mężczyźni wyszli na środek i za-
częli tańczyć jeden z drugim. Zataczali się od zwrotki do zwrotki,
od wspomnienia do wspomnienia, od nienawiści do nienawiści
i od jakiejś dziwnej rozpacz do jeszcze dziwniejszej rozpacz.

Nie był to koniec niespodzianek. W pewnym momencie Obo-
lenski wziął mnie do tańca, objął wpół i wyrwał mi zza paska pi-
stolet. Wskoczył na stół i wystrzelił w żyrandol. Raz, drugi, trzeci
– walc skamieniał. Obolenski oddał jeszcze dwa strzały – w lustro

i w butelki za barkiem. Na koniec przełożył rewolwer do lewej ręki, prawą uczynił znak krzyża, potem zakręcił bębenkiem, przystawił rewolwer do głowy i nacisnął spust. Rozległ się metaliczny, jakby zardzewiały trzask. Obolenski wyjął z kieszeni kulę, doładował, potem podał rewolwer Szefowi. Ten jednak nie zaryzykował, chytrze udał, że nie wie o co chodzi.

Kniaź podał rewolwer mnie.

Popatrzyłem na Obolenskigo, tak jak on uczyniłem znak krzyża, przyłożyłem rewolwer do głowy – i strzeliłem – z tym samym skutkiem. Rozległy się oklaski. Ze złośliwym uśmiechem podałem rewolwer Szefowi. Ten widać sprawę zdążył przemyśleć, bo wysunął bębenek wyjął kulę i pokazał zebranym. Żeby nikt sobie nie pomyślał, że była jakaś lipa z tym strzelaniem. Rozległy się oklaski. Kelnerzy ruszyli z wódką.

Poczułem, że jestem nieśmiertelny.

Jest ktoś, kto czuwa, albo coś – *wsio rawno!* Wybiegłem na środek sali i zacząłem tańczyć kozaka. Żeby pokazać, jak bardzo jestem ich, zrzuciłem z grzbietu koszulę, gdyby chcieli – zrzuciłbym nawet kalessy. Bili brawo w rytm *Kozaczoka*, a ja wirowałem pomiędzy stolikami, niektórzy rzucali mi pieniądze, oczywiście odrzucałem z pogardą, ja dla nich, *dla друзей*, ja za darmo. W pewnym momencie na salę wkroczyła jakaś grupka – może chcieli się przyłączyć do tańca, może chcieli go przerwać. Grajkowie ze skrzypcami natrętni jak muzykanci na weselu, tancerze z piszczałkami jak pijane satyry, inni walący w bębny, jeszcze inni trąbiący wprost w twarz – jakby pierdzieli. Wydawało mi się, że widzę pośród nich Wiktora, ale nie zdążyłem się upewnić, bo zniknęli tak szybko, jak się pojawili. A ja tańczyłem klaszcząc w dłonie i bijąc się po łydkach – aż świat zaczął tańczyć razem ze mną. Czyjeś ręce nie pozwoliły mi upaść.

Zwalono mnie na krzesło między Szefa i Obolenskigo.

– *A triuk z rulietkoj wy rozgadali?* – spytał Obolenskij. I popisując się polskim powtórzył już bardziej twierdząco: – Sztuczkę z rosyjską ruletką wy rozgryźli...

– Nie bardzo rozumiem...

– Musicie to pamiętać, to nasza pierwsza *wstriecza była*, pierwsze spotkanie. Przez pomyłkę i was my aresztowali, pamiętacie tego oficera z waszej nacjonalnej bandy?

– *Pomniu*. Ja was podziwiałem. – Słowa rosyjskie mieszały mi się z polskimi, tak samo zresztą jak jemu, z tym, że mnie z uprzejmości.

– A potem o tym dumaliście? – dopytywał Obolenskij.

– Wiele razy. Czasami mi się śniło, jak przykładacie pistolet...

– Nie pistolet, tylko rewolwer – poprawił Szef. Sprzeczka wisiała w powietrzu, lecz książę ją rozładował

– No i jak to wam się wydawało – zapytał Obolenskij prawie po polsku.

– Wydało mi się to sprawiedliwe, jak sąd Boży – powiedziałem przypochlebie.

Obolenskij wybuchnął głośnym śmiechem, potem popatrzył mi w oczy.

– Więc wy przez tyle lat... *Naiwnyj kak wiesna*. Znów się roześmiał, a po chwili tonem wykładu zaczął:

– Jakby Bogu zostawić sąd, to byśmy nie wygrali. Ani tam pod tym waszym grodem Siedlce, ani tej całej wojny, ani nawet tej gry w ruletkę. Kto-to drugi musiał zarządzić! Na tym zasada się wielkość naszej Oktiabrskiej Rewolucji, że my zabrali sprawiedliwość Bogu i w swoje ręce schwycili. Dlatego Lenin cara powiesił! A w Siedlcach sprawa była prosta. U mnie był nagan z jedną kulą, a wtedy ryzyko nie jest duże. Rewolwer chodził luźno, kula ciężka – zatrzymuje się na dole. Grawitacja działa jak Bóg. Takie sztuczki to dziś już w Leningradzie w cyrku pokazują, sto procent bezpieczeństwa.

Ten wasz oficer chyba o tym myślał, gdy chciał, żeby wsadzić dwie kule po przeciwnych stronach. Wtedy jest równowaga – góra – dół. To bardzo zwiększa możliwość postrzelenia, zwłaszcza tego, kto pierwszy strzela. To w ogóle czyni zabawę groźną i sprawiedliwą, uczciwą, a to znaczy odbiera tę sprawiedliwość nam. Na to nie mogliśmy pozwolić.

– Dlatego dostał po mordzie? – powiedziałem znów tak przypochlebie, że nawet Szef zachrząkał.

– Nie, to dla odwrócenia uwagi. Gdy osunął się z krzesła, lejtnant podmienił rewolwer. Ten oficer to mógł przypuszczać, dlatego się przeżegnał. Mógł też w rękę wyczuć większy ciężar, rewolwer z sześcioma kulami jednak więcej waży.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Śpiew też już był, nawet taniec. Uratował mnie Szef, który sztucznym basem rozkazał:

– Borys Polewoj!

Głupie, ale działa. Polałem.

Na pożegnanie Obolenskij podarował mi rosyjskie kopiejki. Srebrne. Na jednej był dwugłowy orzeł, na drugiej – reszka.

Prócz tych nieoficjalnych musieliśmy jeszcze zaliczyć oficjalne uroczystości pożegnalne. Były nudne. Nie dość, że bez wódki, to na kacu. Zapamiętałem tylko, że podobno przegraliśmy bitwę, ale wojnę wygramy. Związek Radziecki wkrótce się odbuduje i to prędzej, nim ktokolwiek przypuszcza. A to, że wszyscy mówią: ZSRR już się chwieje, ZSRR już upadł, może zdechł – to tylko lepiej pozwala nam ukryć zbrojenia. Narody Pribałtyki, a także dawne kraje demokracji ludowej mają prawo do wyboru socjalizmu, mają prawo do życia w wolności, do życia w braterskiej wspólnocie narodów radzieckich. Miejsce Amerykanów w Ameryce, z wyjątkiem tych, którzy powinni wrócić do Afryki (śmiechy, oklaski), a dla NATO – miejsce na śmietniku historii. (Oklaski przechodzące w owację).

Organizatorzy chyba celowo przedłużyli pożegnalną akademię, żeby nie zostawić nam czasu na ochłaj. W hotelu znaleźliśmy się w nocy.

Nocny bal na Wariagu

Obudziłem się, czując, że ktoś nade mną stoi. Jakby w ciemności padał jeszcze głębszy cień. Nawet dwa – było ich dwóch. Kazali wstać, jeden krzyknął żebym się ubrał, drugi, że to nie będzie konieczne, zmartwiałem, a oni tymczasem śmieli się, uderzając rękami po kolanach. Chciałem zapalić światło, lecz poczułem uderzenie w rękę, znów usłyszałem śmiech. Wciągnąłem spodnie, narzuciłem na gołe ciało marynarkę, krawat po prostu zawiesiłem na szyi, licząc, że może w windzie...

Ale nie poszliśmy w stronę wind. Mężczyźni wzięli mnie pomiędzy siebie, z mroku wynurzył się jeszcze jeden. Szedł za nami i popychał mnie brzuchem, gdy zwalniałem.

Światła na korytarzu były wyłączone, lecz oni prowadzili mnie pewnie, szturchali, lecz nie bili, nie wykręcali rąk, w ogóle starali się jak najmniej dotykać. Weszliśmy po jakichś schodkach, potem kawałek korytarzem, znów w dół – jakby specjalnie, żebym stracił orientację. Po dłuższej chwili stanęliśmy przed drzwiami, przez szparę nad podłogą wylewało się na korytarz trochę światła – dziwnie czerwonego.

Znalazłem się w przedpokoju, mężczyźni zaczęli ściągać ze mnie ubranie, ktoś włożył mi na twarz tekturową maskę, ktoś uchylił następne drzwi i wepchnął mnie do pokoju.

Światło było zgaszone, blask bił tylko od płonącego kominka. Skądś – nie wiadomo skąd – napływała muzyka, lekka – jak wiatr

i dziwna – jak wiatr z bardzo daleka, znad ogromnych opuszczonych cmentarzysk. Chyba *Na sopkach Mandżurii*. Na łóżku i na fotelach siedzieli jacyś ludzie – wszyscy w podobnych maskach o zimnych, metalowych barwach i wszyscy byli nadzy. Więc ja też tak wyglądam – pomyślałem. Nawet nie wiem, jaką mam maskę. Jedna z kobiecych postaci podeszła do mnie – nie była młoda, na szyi miała perły. Poza tym była naga, jak wszyscy. Wręczyła mi kieliszek z jakimś alkoholem i szepnęła po rosyjsku: spóźniłeś się. *Ty opozdał*. Niezbyt sprawną ruszczyznę zacząłem się tłumaczyć, że dopiero oni po mnie przyszli, że nawet nie wiedziałem dokąd idę.

– *Ty opozdał dwadcat' liet* – powtórzyła.

Próbowałem ją objąć, ale mnie stanowczo odepchnęła, potem doprowadziła do fotela, sama usiadła na poręczy – lecz nie po damsku, ale tak, jak mężczyźni siadają na koniu.

– To nie uczta miłosna, to stypa – powiedział ktoś po polsku. – Nie można było rozjechać się bez pożegnania, po nudnej akademii. A żegnamy się nie tylko z sobą.

– A z kim? Z czym – poprawiłem niezdecydowany.

– Ze wszystkim. To koniec świata.

Ktoś w głębi pokoju zaczął śpiewać *Praszczaj ljiubimyj gorod* – jedną z tych pieśni, które i ja znałem po rosyjsku, jeszcze z Arteku. Melodię przechwyciła i poprowadziła dalej kobieta siedząca przy mnie na poręczy:

*Споемте, друзья, ведь завтра в поход
Уйдем в предрассветный туман
Споем веселей, пусть нам подпоет,
Седой боевой капитан.*

*Прощай, любимый город!
Уходим завтра в море.*

*И ранней порой мелькнёт за кормой
Знакомый платок голубой.*

*А вечер опять хороший такой,
Что песен не петь нам нельзя.
О дружбе большой, о службе морской,
Подтянем дружнее друзья³.*

To była ona, lecz nadal nie wiedziałem jak ma na imię, podczas narad zwracano się do niej po wojskowemu: *gienierał*, miała nadspodziewanie młody głos. Lecz siwe włosy i pomarszczona skóra nie pozostawiały złudzeń co do wieku. Prowadziła nas po kolejnych strofkach pieśni – w morze, w fale, aż staniesz się falą.

– Dlaczego mówicie, że to koniec? – spytał ktoś, próbując przekrzyczeć pieśń.

– Przecież to wszyscy czujemy. Nie tylko wiemy z gazet, z raportów gospodarczych i wojskowych – czujemy z wnętrza ciał. Dlatego śpiewamy to, co śpiewali tamci – gdy Rosja tonęła jak Wariag.

– A on był w Tybecie, on wie jeszcze więcej – powiedział jakiś starzec w srebrnej masce połączonej z czarnym, trójkątnym kapeluszem. Popychał przed sobą chudzielca, którego mięśnie wyglądały jak dodatkowe żebra. Miał złotą twarz wzorowaną na grobowej masce Agamemnona. Po głosie poznawałem, że ten srebrny

³ Słowa: Aleksander Czurkin, muzyka: Wasilij Sołowow Siedoj. Poniżej fragment w tłum. K. Gruszczyńskiego i W. Woroszyłskiego:

Niech zabrzmi nasz śpiew, / wszak jutro za mgłą skryjemy żołnierski swój los. / Kapitan nasz też, choć siwą ma skroń / do chóru dołączy wnet głos. // Nadejdzie czas odjazdu, / powiemy „żegnaj” miastu / i mignie wśród fal, prowadząc nas w dal, / o świecie błękitny twój szal. // Pogodny znów szept księżycy i wód, więc jakże nie śpiewać w ten zmierzch? I przyjaźń jak mur, i morski nasz trud / w melodię niech wplotą się też.

to Obolenskij, tego w greckiej masce nie kojarzyłem, nie był chyba żadnym z wykładowców. Gdyby nie był tak stary i chudy – myślałbym, że to woźny z mojego domu. W jego głosie czuło się nawet dziwny akcent:

– Byłem nie w Tybecie, a w Korei i dlatego ja wam mówię, że to koniec.

– A cóż tu ma Korea czy Tybet, po prostu przegraliśmy wojnę, zanim ją rozpoczęliśmy.

– Nie mogliśmy jej wygrać. Powtarzam to od kilku lat, nie mogliśmy jej wygrać. To klątwa.

– Ty znowu o tybetańskich demonach?

– O koreańskich. To zemsta koreańskich demonów. – Stary wyrwał komuś butelkę i pociągnął kilka łyków... Wypiwszy, otarł usta i odpowiedział temu w srebrnej masce i kapeluszu: – *Nie wierzysz, nie słyszysz, a wrat' nie mieszasz!*

Na tyle znałem rosyjski, że zrozumiałem: mam nie przeszkadzać łąć. No to podjąłem grę i nawet postanowiłem, pomóc.

– Dlaczego koreańskich – zapytałem dość głośno.

– To zaczęło się pierwszego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego – odpowiedział stary głosem bezbarwnym i martwym, zupełnie pozbawionym emocji. Jak aktor zanim ustawi go reżyser. Nazywa się to podawaniem kwestii „na białą”. Stary podawał:

– Zestrzeliliśmy ich samolot, zginęło dwieście sześćdziesiąt dziewięć osób. Te demony na ogół śpią, ale gdy Koreańczykom dzieje się krzywda, budzą się i szaleją. A potrafią być straszne...

– No, samolot mógł wykonywać misję szpiegowską – ktoś próbował usprawiedliwiać zbrodnię.

– Nie dano nawet strzałów ostrzegawczych – upierała się jakaś biała maska.

– Lotnik myśliwca twierdził, że dał strzał ostrzegawczy, tylko

nie miał amunicji smugowej, a zwykłej Koreańczycy mogli nie zauważyć – broniła inna maska, dla odmiany jak z antycznej komedii.

– Podobno myśliwiec od razu wystrzelił morderczą rakietę, bo miał mało paliwa. Wkrótce musiałyby lecieć do bazy albo spaść. Gdyby się katapultował, zgniłby w łągrze za stratę maszyny. Sławę zebrałby kto inny, a jemu śmierć – sentencjonalnie rzucił ten w białej.

– O osiemnastej dwadzieścia sześć został trafiony, wkrótce potem spadł – stary nadal mówił martwym głosem. – Pilot morderca, major Giennadij Nikołajewicz Osipowicz dostał dwieście rubli nagrody. Przed odejściem na emeryturę otrzymał też stopień pułkownika. Czarną skrzynkę wyłowiono niedługo po wypadku – dokonała martwo złota maska.

– Koreańczykom przekazano ją dziewięć lat po wypadku – podrzuciłem. To musiało dodatkowo rozwścieczyć demony.

– I rozwścieczyło! – przyświadczyła srebrna maska. – Władze zostały ukarane: Andropow, który chciał zakłamać sprawę, zmarł bardzo prędko: dziewiątego lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego. Przed śmiercią miał podobno straszne wizje. Sekretarz Czernienko porządził trochę ponad rok, tyle czasu mu dano na powiedzenie prawdy. Demony czekały, cały świat czekał. Nie powiedział, podtrzymał kłamstwo, dopadły go demony... Taki miał koniec – srebrna maska ściszyła głos do szeptu.

– To nie był koniec – starzec w złotej masce znów był przy nas. Był blisko, ale jednak nie śmierdział, czego nie można było powiedzieć o większości uczestników spotkania. To nie był koniec – protestował. – W kwietniu 1986 wybuchł Czarnobyl. Nie było trzęsienia ziemi, żadnej awarii, nalotu, musiały być demony. Wybuch miał moc stu bomb rzuconych na Hiroszimę. Próbowano ratować. Oficjalnie ze stu trzydziestu czterech ratujących zmarło niespełna

pięćdziesięciu, ale nieoficjalnie mówiono o tysiącach, o ciałach zagrzebywanych w rowach przydrożnych, nawet wrzucanych do studzien. Wysiedlenie mieszkańców zony miało służyć ukryciu strat.

– Wasza partyjna prasa pisała o próbie na Nowej Zelandii, że niby stamtąd to promieniowanie – dolałem oliwy do ognia, mimowolnie zdradzając swoją obcość w tym gronie. Zapadła chwila ciszy.

Tak, to było niedawno. Pamiętałem – jakby parę dni temu. Chodziło o to, by z Kijowa, miasta położonego blisko miejsca wybuchu mógł wyruszyć Wyścig Pokoju. Spokojnie, bez paniki. Dlatego również i nasze władze partyjne ukrywały wiadomość o wybuchu.

Prawda wypłynęła przypadkiem. Byłem akurat we Wrocławiu, więc znałem sprawę z pierwszej ręki. Bo we Wrocławiu trenowali przed wyścigiem polscy kolarze. Trenowali z Amerykanami. A czarnobyłską eksplozję zarejestrowali Amerykanie i Skandynawowie. Ambasada USA zadzwoniła natychmiast do Wrocławia, kazała swoim zawodnikom wyjeżdżać jak najszybciej z Polski. Pojechali do Berlina Zachodniego, tego nie dało się ukryć, lecz przed wyjazdem lojalnie poinformowali polskich kolarzy o awarii. Nasi zawodnicy także oświadczyli, że nie jadą. Odwołali się do Warszawy. Uruchomiono wszystkie środki nacisku. Szantaż, przekupstwo, groźby więzienia, rodzinom coś się stanie. Ustąpili. Warunek: własna woda, własne jedzenie. Po starcie, gdy znikali z oczu tłumów, wkładali ortalionowe płaszcze. Starali się nie jechać zbyt szybko – przyspieszony oddech oznaczał wchłonięcie większych dawek. Najlepszy z Polaków przyjechał na 14 miejscu. Wygrał jakiś samobójca z NRD, pewnie otrzymał taki rozkaz. A rok wcześniej wygrał nasz Lech Piasecki, a jeszcze wcześniej – Ryś Szurkowski. Cztery razy wygrywał ten wyścig. Ale teraz nie chcieli się narażać demonom. Nie, o demonach jeszcze

wtedy nie mówiono, o katastrofie – też nie. Dopiero 29 kwietnia – 3 dni po wybuchu, gdy kto miał zostać napromieniowany, to już został – oficjalnie zaczęto mówić o „awarii”, zaczęto poić ludzi płynem Lugola, czyli czymś w rodzaju jodyny.

Rosjanie wtedy fachowo minimalizowali znaczenie katastrofy, atakowali informującą o niej prasę światową, mówili o hysterii antyradzieckiej. Kilka miesięcy później zaczęły umierać noworodki, zaczęto przesiedlać mieszkańców, na polach padały stada bydła. Wygnano ze wsi i miasteczek mieszkańców, lecz musiano zostawić fabryki, straty szły w setki miliardów rubli, ludzkich strat nie liczo-no nawet. Poproszono o pomoc USA.

Wyjaśnianiem zajęła się organizacja Lekarze Przeciw Wojnie Nuklearnej. Centrala jest w Bostonie, ale mamy polski oddział w Poznaniu, stamtąd były przecieki. Liczbę napromieniowanych oceniono na 600 tysięcy, liczbę nowotworów tarczycy od 4 do 50 tysięcy, 5 tysięcy niemowląt zmarło, 10 tysięcy zdeformowanych płodów. Rodziły się, by powoli dogorywać. Pokręcone, ułomne śmieszne i straszne jednocześnie. Mówiono: dzieci komunizmu.

Ruscy dalej lekceważyli sprawę, nadal nie chcieli oddać żółtkom czarnej skrzynki. Na taśmach nagrane głosy, może ostatnie słowa do bliskich, każdy krzyczał to, co najważniejsze.

Ale Ruscy nie chcieli oddać skrzynek i uwięzionych na nich głosów, które nie należały już do żywych, ale przecież nie były martwe.

– Demony znów się wściekły! Opuściły zonę Czarnobyła i rzuciły się na Armenię. –Ton starca w złotej masce był niemal triumfujący. Chwilę milczał a potem znowu, półgłośnymi, skandowanymi zdaniami tłumaczył:

– Siódmego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego w południe, gdy większość mężczyzn była w pracy, dzieci w szkołach, demony nagle zatrzęsły południem kraju. Miasta sypały się w gruz, wioski znikały w głębi ziemi, z gór schodziły osuwiska i lawiny. Starte w pył zostało ćwierćmilionowe miasto o symbolicznej nazwie Leninakan, drugie co do wielkości w Armenii. Nawet słynny kościół Świętego Zbawiciela poszedł w gruzy. Gdy po latach zaczęła to miasto odbudowywać, dadzą mu nazwę Giumri, żeby demony nie poznały, nie wróciły... Kościoła nigdy nie odbudują. Do dzisiaj stoją gruzy.

A miasto Spitak dosłownie eksplodowało jak noworoczne race! – stary nagle wyrzucił ręce w górę i zaczął machać. – Szczątki domów wylatywały w powietrze i wpadały do pobliskiej rzeki Pitak. Nie ocalał żaden budynek wyższy niż parterowy. Tamtego dnia demony wyrwały z Armenii dwadzieścia większych miast i trzysta pięćdziesiąt osad. Jak wyrывa się drzewa.

Prasa pisała o dwudziestu pięciu–trzydziestu tysiącach ofiar. W rzeczywistości było ich co najmniej dwa razy więcej. A ponad pół miliona ludzi straciło dach nad głową. Nie można było ratować, demony nie odpuszczały. Ścisnął mróz, spadły śniegi, zawieje i zamiecie śnieżne uniemożliwiały pomoc dla umierających. Północna Armenia zmieniła się w białą mogiłę. Posłali samolot z pomocą, ale demony czuwały! Ogromny Iliuszyn 76 rozbił się jedenastego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego na lotnisku w Leninakanie. Zginęło dalszych siedemdziesiąt osiem ofiar, te dało się policzyć. I tylko te.

Rosjanie byli bezradni. Po raz pierwszy w historii poprosili o pomoc państwa Zachodu. Anglia przysłała ciężki sprzęt. Rosjanie zobaczyli o ile są z tyłu. Najwięcej pomogły... francuskie psy. To one odnalazły setki ofiar...

– Przestań krakać! – krzyknęła na starego moja partnerka. Ponury czar prysł.

Wstała, pociągając mnie ręką. Zaczęliśmy tańczyć, mimo że nie było słycać żadnej melodii. Bliżej kominka wyraźniej widziałem jej ciało, jakby ono było źródłem słabego światła. Zamiast pereł na szyi miała zmarszczki. Przytuliłem ją silniej, lecz odepchnęła mnie ze złością: *daże ob etom nie dumaj*. Nawet o tym nie myśl.

Odsunęła się i zaczęła tańczyć sama. Jak na rozkaz zaczęli podnosić się inni goście i też wyruszali w ten dziwaczny, nieco upiorny taniec. Wszyscy pojedynczo, samotnie, coraz wolniej. Mimo braku muzyki – tańczyli tę straszną ciszę, w której słyszało się szum krwi i bicie serc. Ta cisza porwała tańczących, zaczęła nimi kręcić, miotać po pokoju, coraz szybciej i szybciej... Nadzy tancerze próbowali pogodzić się jakoś z tą ciszą, kręcili się bezradnie coraz szybciej i szybciej i padali kolejno na podłogę. Sufit, meble zaczęły wirować wokół mnie, jedyny stały punkt stanowiło nagie ciało kobiety w masce, nagle i ono zaczęło się rozpadać... Upadłem.

Nie wiem, jak się znalazłem w pokoju, a w pociągu? – kosmiczna zagadka. Kiedy Szeł się obudził – zaczęliśmy wymieniać wrażenia, raz tylko wróciłem do wspomnień tej dziwacznej nocy. Na granicy sprawdzali paszporty, odruchowo zacząłem grzebać w kieszeniach – namacałem coś dziwnego. Myślę, że się zaczerwieniłem, na szczęście pogranicznik nie zwrócił na to uwagi. Przejrzał jeszcze dokumenty Szeła, pożyczył kiepską polszczyznę dalszej przyjemnej podróży i wyszedł. Wtedy odszedłem na koniec korytarza, raz jeszcze włożyłem rękę do kieszeni i wyjąłem z niej perły. Czulem zapach kobiecego ciała. Alkohol. Starość. Perły wszystko wchłaniają, to ich sposób zapamiętywania.

Do Warszawy było jeszcze dużo czasu, Stałem na korytarzu, patrząc na mijające nas drzewa, wieś, coraz weselsze miasteczka. Rosja została poza nami. Krajobraz za oknami nie tyle zmienił się, co ożył. Nabrał barw. I wtedy przypomniały mi się słowa Michała Glinki:

W Rosji nie ma nic, ale są pieśni, po których chce się płakać.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Oczywiście Szeff. Oczywiście poszliśmy do restauracyjnego. Na tej linii podawano wódkę niemal demonstracyjnie.

Wypiliśmy od razu po dwie lampki.

Przez dłuższą chwilę milczeliśmy. Szeff chyba również był na tej smutnej orgii – dziwnie dokładnie pomijał ostatnią noc, jakby jej w ogóle nie było. Żeby jednak coś mówić, zaczął wspominać o wcześniejszym spotkaniu radzieckimi, tym z tańcami i rosyjską ruletką. Powiedział coś, co dało mi sporo do myślenia:

– Gdy byłem w berlińskim kabarecie poznałem jeszcze jeden sposób – obwieścił ni w pięć, ni w dziewięć. – Praktykowali go iluzjoniści. Kosztowało mnie to sto dolarów, mogę odsprzedać po cenie.

Wiedziałem, że z Szeffem nie można się targować, ta setka, to był zresztą rodzaj kary. Może nie będzie się mścił za numer, który zrobiłem częstując go ruletką. Jednak to go trochę ośmieszyło. Zwłaszcza po wyjaśnieniach Obolenskiego. Ja też nie czułem się już taki nieśmiertelny...

Wyjąłem z zaskórniaka zieloną setkę i podałem Szeffowi. Chuchnął i schował do swojego zaskórniaka. A potem zaczął wyjaśniać:

– Pomyślisz młody, że wkładają ślepaka albo atrapę zamiast kuli. Nic podobnego, to zresztą łatwo byłoby wykryć. Naprawdę taki magik wkłada kulę. Tyle że, na wszelki wypadek, trochę mniejszego kalibru. Czasem podaje jakiejś kobiecie na widowni,

żeby włożyła. Na pewno się nie połapie. Dla niej taki pocisk to coś podobne do globulki „Zet”. Więc wkłada, nawet za bardzo się nie przyglądając. Kula wepchnięta, magik wymachuje rewolwerem dla efektu, pokazuje jaki jest wielki i prawdziwy, baby piszczą, magik zakręca bębenkiem... Nawet jak kula ustawi się przy lufie – iglica jej nie dosięgnie. Nie ma szans na śmierć. Jak nie ma szans na przeżycie, gdy władować sześć normalnych kul. No, chyba żeby sam Bóg się wmieszał.

Nie wiem, czy się wmieszał w sprawy Obolenskigo. Wyprzedzając bieg zdarzeń muszę o tym powiedzieć. Jakiś czas później w Rosji wiceprezydent Janajew podejmie próbę przewrotu. 18 sierpnia 1991 uwięzi Gorbaczowa, zawezwie starych komunistów – jakby wierzył, że uda mu się starych aparaczyków rzucić do samobójczej walki. Nawet nasz Szeł się przestraszy. A Wałęsa tak się zestracha w portki, że zadzwoni do Jaruzelskiego, zamelduje, że chce rozmawiać jak kapral z generałem i zacznie skomleć do słuchawki. Niepotrzebnie się pospieszy, cienki Bolek! Starcy nie zdobędą poparcia armii, kilku przywódców popełni samobójstwo o własnych siłach, a jak nie – to z pomocą. Janajew trafi do więzienia, a nasz Wałęsa wyjdzie na tchórza.

Wkrótce po uwolnieniu z aresztu Gorbaczow wróci do układów z Zachodem.

17 września 1993 radzieccy wycofali swe wojska z Polski. 9 lat po wypadku koreańskiego samolotu. I po oddaniu Koreańczykom skrzynek z nagranyimi głosami. Dopiero wtedy mogli usłyszeć je bliscy – i demony.

A Obolenski podobno zagrał w rosyjską ruletkę – sam z sobą – i przegrał. Pierwszy i ostatni raz.

Dzienne i nocne dzieje PRL

Z przygotowań czynionych na terenie PRL można było wysnuć wnioski, że wojska ewakuowane z Niemiec nie pojedą daleko, a tylko do baz w Polsce. Zasłonę dymną miały tworzyć reformy upodabniające PRL do zachodnich demokracji, wprowadzenie gospodarki rynkowej, przeprowadzenie wyborów i tym podobnej *maskirowki*.

Nie było jednak pewności, czy ten numer się uda. Co będzie, jeśli radzieccy całkiem opuszczą Polskę? Czy partia utrzyma władzę przez następne pięć minut?

Różni polskojęzyczni nadzorcy PRL zaczęli kombinować, jak przetrwać po ewentualnym wycofaniu się Rosjan z Polski. Nie było to dawne, dumne pytanie: jak wybić się na niepodległość, ale: co, kurwa, zrobić z tą niepodległością. Nie przywykliśmy, mamy dusze niewolników, ale także handlarzy niewolników, jesteśmy ludźmi ustroju niewolniczego – bo taki był nasz wiek. Taki wymyślił sobie raj na ziemi. Ale co teraz?

Projekt północnokoreański – stworzenie państwa stanu wojennego właśnie się sypał. Można było raz jeszcze wyprowadzić czołgi, cofnąć historię – po kilku latach wróciłyby w to samo miejsce. Zdarzenia powtarzałyby się jak w koszmarnej śnie: budzimy się i robimy to samo co wtedy: wychodzimy w grudniową noc, strzelamy do idących ulicą robotników, może nawet rozjeżdżamy ich gąsienicami czołgów. Rozbijamy drzwi, wywlekamy ludzi, którzy myślą inaczej, wrzucamy ich do więzień. Ale co potem? Znowu budzimy się i robimy to samo: wychodzimy w grudniową noc, strzelamy do idących... I znowu wychodzimy w grudniową noc... To nazywa się koniec historii. Koniec świata. Piekło.

Więc może projekt kubański? *Kuba wyspa jak wulkan gorąca* – to może się nieźle kojarzyć, sam kiedyś marzyłem... Na skrzyżowaniu najważniejszych ulic możemy postawić sztuczne palmy. Cygara, koniak, karnawał na ulicach, lecz pod murami snują się nieznani sprawcy. Też mają karnawałowe maski – takie jak w moskiewskim hotelu. Władzę sprawuje dyktator – patriota i jego brat – patriota i przywódca związków też patriota, też brat. I jeszcze paru dokooptowanych braci z opozycji. Ale przecież nie wszyscy mogą być braćmi. Nie dla wszystkich tego starczy. Musimy zdecydować, którzy z nas zostaną braćmi. Czas nagli!

Późniejsze wydarzenia oceniane są dzisiaj fałszywie. Talleyrand powiedział by o nich: to nowinki, nie wydarzenia. Nowinką było zniesienie stanu wojennego, potem Okrągły Stół, potem „pierwszy Rząd III RP”, jak zresztą wprowadzenie nazwy Rzeczpospolita i ukoronowanie orła. Odbywały się w nadbudowie, bez większego wpływu na bazę. Wydarzenia zaczęły się w 1988 – wtedy wybuchły potężne strajki, najpierw wiosenne, potem letnie, w sierpniu. Nie tylko Port Północny i Szczecin stanęły, ale także Stalowa Wola, także kopalnie Śląska. I to strajk Śląska był wydarzeniem – nie nowinką. Wydarzeniem naprawdę historycznym.

Organizatorami tych strajków byli już nie „wałęsowcy”, lecz młodszy działacze Solidarności – nastawieni i przeciw władzy komunistów, i przeciw dominacji starych ugodowych władz związku, cienkich Bolków. Na ogół nie znamy nazwisk. Kilku zginęło – także nie znamy nazwisk. Historia napierała jak sama młodość, obie zwaśnione strony miały powody do strachu, obie nie miały innego wyboru, jak dojść do porozumienia.

No i elity przyszłej III RP zaczęły się dogadywać.

Z jednej strony Jaruzelski, Kiszczak, Siwicki, Rakowski, Urban i paru młodszych – z drugiej – Wałęsa i „doradcy” – Kuroń i Gere-

mek, z młodszych Michnik, może paru tchórzliwszych katolików, na których mieliśmy teczki. Było też kilku prominentnych przedstawicieli Kościoła: arcybiskup Dąbrowski, biskup Gocłowski, biskup Orszulik. Zasiedli do obrad z ludźmi, których uważali za komunistycznych zbrodniarzy. Nie mogłem się zdecydować, czy podziwiam ich, czy nimi gardzę.

W końcu 1988 i w początkach 1989 roku w podwarszawskiej Magdalence, w obiekcie specjalnym nr 115, rozegrała się gra dwóch drużyn składających się z najlepszych oszustów. Więc rozmowy były serdeczne, towarzyszyły im toasty. Wznosili je reprezentanci narodu: Wałęsa, Kuroń, Geremek, Michnik – ubecy filmowali dyskretnie ich rozanielone miny.

Żeby coś ugrać, czyli ukraść, należało zamącić wodę, wprowadzić naraz sto „reform”, przede wszystkim zaś „kapitalizm” i „re-privatyzację” – dla swoich. Fabryki i banki sprzedawano przeważnie po 15% wartości, państwowe gospodarstwa rolne – jeszcze taniej. Z tym że „swoim” przyznawano kredyty, które po pewnym czasie umarzano. Wszystko to nazywało się uwłaszczeniem nomenklatury, głównie partyjnej – choć i nowej nomenklaturze, tej spod znaku Solidarności i KOR-u też jakieś kości i ochłapy obiecano. Czasem nawet rzucono. W PRL po stu latach pracy może dorobiliby się „Syrenki”, po dalszych stu – spółdzielczego mieszkania ze ślepą kuchnią. A popatrz, kurwa, czym jeżdżą, jak mieszkają, w co ubierają się ich coraz tłustsze baby. Po tych babach można rozróżnić, kto z opozycji jest nasz, a kto został uczciwy i głupi.

Żelazo

W tamtych pamiętnych dniach wyznaczono mnie do tajnej operacji. Obok generałów Henryka Dankowskiego i Tadeusza Szczygła, ja dowodziłem akcją palenia teczek. Dowodziłem nawet bardziej od nich, bo tylko ja kumałem, o co naprawdę chodzi. Pracowałem i w dzień, i po nocach. Bo wystawiłbym sobie świadectwo nieprzydatności do pracy w służbach, gdybym palił wszystko pośpiesznie i jak popadnie, gdybym nie ocalił najważniejszych kwitów, a *na wszelakij pożarny sluczaj* i nie porobił kopii, które trzymam na razie w sejfie. Za szafą z lustrem. Powinienem pomyśleć o jakimś schowku poza domem, ale komu tu można ufać? Te teczki to moja gwarancja, jeśli nie nieśmiertelności, to przynajmniej długiego życia. Gdy trafiłem na akta z operacji „Żelazo”, wiedziałem, że teraz to „oni” będą dbali o to, by nic mi się nie stało.

Operacja polegała na tym, że trzech nasi agenci, nawiasem mówiąc, trzech zawerbowani przez nas bardzo inteligentni bandyci, zaczęli działać na Zachodzie. Wyjeżdżali jako niższy personel naszych ambasad, a po drodze na placówki gdzieś znikali. Napadali na sklepy jubilerskie, na zegarmistrzów i nawet na lombardy. Byli to trzech Bracia Janoszowie: Kazimierz, Mieczysław i Jan. Łupy znosili do naszych placówek, przewoziliśmy to w poczcie dyplomatycznej. Działali w Niemczech, Austrii i w Szwajcarii – w części niemieckojęzycznej. Elegancy, znający z niuansami niemiecką literaturę, czasem sponsorujący jakiś studencki teatrzyk – byli poza podejrzeniami. Oni zorganizowali także pierwszy gang kradnący w Niemczech samochody. Ale skupiali się raczej na biżuterii. Krążyli spokojnie między PRL a Zachodem, mieli legalne mieszkania i dachy w Polsce, byli nietykalni. Część łupów dostawał Gierek, żeby przymykał oczy, a właściwie to jego żona i... jeszcze jedna pani, ta z telewizji. Ale reszta dobrości rozpyływała się po resorto-

wych mieszkaniach i garsonierach. Okazało się, że nawet mój Szef siedział w tym po uszy, po to były mu te niemieckie studia, po to język Goethego. Wpadał tam czasem na inspekcję i na drogę powrotną dostawał ekstra dolę.

Oczywiście dałem im do zrozumienia, Szefowi i tym z wierchuszki, że o tym wszystkim wiem, i że kwity są dobrze zabezpieczone. Oczywiście nie mówiłem, że w sejfie, tylko że w kancelarii adwokackiej. I nie wiadomo czy w Polsce.

Dobry rok

Nie tylko palenie akt odbywało się nocami. Wiele ważnych wydarzeń historycznych przebiegało pod osłoną ciemności, jakby nasza historia rozdzieliła się na dzienną i nocną. W ciemnościach odbyła się ostatnia wielka tajna akcja naszych służb. Było to właściwie kilka akcji, do nadzorowania jednej również ja zostałem oddelegowany. Do dziś pamiętam tamtą nocną jazdę, śnieg przyklejający się do szyb, samochód stojący co chwilę – jakby martwe żelastwo też było przeciw naszej akcji. Kilka razy gubiliśmy drogę, ni stąd, ni zowąd pojawiały się jakieś zakazy wjazdu, jakieś ślepe uliczki, drzewa wyrastające na jezdni, ktoś wybiegł wprost pod koła, nie, chyba cień, nie wolno wracać, to przynosi pecha. W końcu jednak dotarliśmy pod plebanię, akcja została przeprowadzona – bez śladów. Pozwoliłem sobie na mały plagiat: podjechaliśmy w nocy wzywając księdza do umierającego. Wpuścił nas, byśmy nie marzli i zaczął się szykować. Nie mógł odmówić. Chwilę potem sam był umierający, ale jeszcze się czołgał. Machał coś ręką, którą pokrwawił o ostrze noża, na krzyż machał dłonią. Wiktor powiedział mu, gdzie ma ją wsadzić. – Jak jest Bóg, to znikną ci te rany, postawi cię na podło-

dze, a nas wyrzuci przez okno – kpił Wiktor. Po chwili wyszliśmy, zataczając się od śmiechu. Musieliśmy odreagować. Ksiądz został na podłodze w złotawo-purpurowej kałuży. Było to na tyle efektowne, że kazałem zrobić parę zdjęć. Puszczaliśmy je potem nieoficjalnie, jednym do postraszenia, drugim do śmiechu – ale do postraszenia także. Owszem, przez chwilę przypomniła mi się tamta scena z dzieciństwa, tamten ksiądz dogorywający na drzwiach, krzyk, potem już tylko wytrzeszczone, jakby martwe oczy. Nie, to nie to. Podkreślam z całą stanowczością: nie było w tym nic nienawiści, nic osobistego. Nawet nie jestem pewien, czy był to jeden z tych trzech, czy jakiś czwarty ksiądz. Nie chodziło o zemstę, nie chodziło o sadystyczne przeżycie, nikt nie dostał orgazmu, raczej było nam zimno. Chodziło o coś innego, zupełnie innego.

U ludzi spoza służb ta nasza ostatnia akcja w wielkim stylu mogła budzić pewne wątpliwości – niepotrzebnie. Zależało nam na przeprowadzeniu reform kosztem najmniejszych strat – i wiedzieliśmy, jak to zrobić. Broń Boże nie chodziło o terror, chodziło o przekazanie sygnału do tej części opozycji, która za bardzo uwierzyła w odnowę i parła do jakichś rozliczeń czy lustracji. Nie schodzić z uzgodnionej ścieżki, bo w cieniu już czekają nieznani sprawcy. Oczywiście nie o wszystkim mogę pisać, nawet dzisiaj, ale mogę przypomnieć fakty, których zbieżność pozornie wyglądała na przypadkową. Może byłoby lepiej, gdyby wydarzyły się jednej nocy, niestety nie dysponowaliśmy wymaganą liczbą fachowców. Potem zresztą uznano, że pewna niedokładność koordynacji wpłynęła pozytywnie na dramaturgię wydarzeń i wytworzyła nastrój społecznego oczekiwania. Noce tamtego okresu nie były normalnymi nocami. Normalne były dni – toczyły się obrady Okrągłego Stołu, odbyły się demokratyczne wybory, wybrano prezydenta III Rzeczypospolitej. Naród dostał orła z koroną, my – banki. Lecz

żeby wszystko przebiegało sprawnie, musieli prócz głupiego entuzjazmu odczuwać mądry strach.

Najpierw prolog: 11 lipca 1988: nieznani sprawcy wykończyli socjologa marksistę Jana Strzeleckiego. To był sygnał dla naszej lewicy. Członek PZPR, ale Krzyż Walecznych za Powstanie Warszawskie, doradca Solidarności, przejściowo internowany. Ten dupek naprawdę wierzył w socjalizm humanistyczny, a podczas strajków ostatniego lata zaczął się dogadywać z młodymi „solidarnościowcami”, następcami Wałęsy. Niepotrzebny nam nowy Goździk, starczy stary, sprawdzony „Bolek”. Radzieccy wytypowali, że to mógłby być polski Dubczek. Ten czeski zresztą też mógłby być zawadą. Pepiczki wzięły z nas przykład i ich Dupczyk zginął w wypadku w 1992 roku.

A teraz kilka nieco ważniejszych dat:

11 stycznia 1989 na powązkowskiej plebanii zginął ksiądz Stefan Niedzielak. Ten od wznoszenia Krzyża Katyńskiego. Nieznany sprawca skręcił księdzu kark, media oficjalnie ogłosiły, iż „zdarzył się nieszczęśliwy przypadek”.

30 stycznia 1989 na plebanii w Białymstoku zginął ksiądz Stanisław Suchowolec, kapelan KPN. Przyczyną był przypadkowy pożar, ksiądz nawet się nie spalił, a tylko otruł czadem.

11 lipca 1989 zginął ksiądz Sylwester Zych, kapelan KPN, niedawny więzień polityczny i duchowy opiekun chłopców z Powstańczej Armii Krajowej. Śmierć nastąpiła w nieznanych okolicznościach, poprzedziły ją trzy wcześniejsze napady, de facto nieudane, w raporcie jednak określone jako „ostrzegawcze”. Patrzcie jacy byliśmy eleganccy. A trupy same sobie winne.

I jeszcze jedna data, której nie może tu zabraknąć. Nie mówię o śmierci, nie musi.

6 lutego 1989 roku w południe zaczęły się obrady Okrągłego Sto-

łu. Gości witał kordialnie generał Kiszczak. Z niektórymi nawet się całował. On także otworzył obrady, podkreślając: *przywiodło nas tu poczucie odpowiedzialności za przyszłość Ojczyzny*. Po przemówieniu Kiszczak przekazał prowadzenie obrad profesorowi Findeisenowi, który z kolei poprosił o zabranie głosu Wałęsę. Nim ten otworzył usta, rozległ się głos mecenasa Władysława Siły-Nowickiego, obrońcy w procesach politycznych. Wstał i poprosił o uczczenie minutą ciszy zmarłych niedawno księży Stefana Niedzielaka i Stanisława Suchowolca. Sala zamarła, potem zaczął narastać dziwny szum. Do przedstawiciela episkopatu, księdza Alojzego Orszulika, podskoczył przedstawiciel strony partyjnej, Stanisław Ciosek, proponując, by w transmisji telewizyjnej pominąć głos Siły-Nowickiego. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności robiona „na żywo” transmisja ukazywała się z kilkuminutowym opóźnieniem. Rzecz wymagała szybkiego refleksu. Orszulik zwlekał chwilę z odpowiedzią, potem przyznał, że wystąpienie mecenasa nie było przewidziane w porządku obrad, można je zatem pominąć.

I czas na wyjaśnienie.

Genialny pomysł z relacją, która była i nie była na żywo był chyba autorstwa rzecznika Jaruzelskiego, Jerzego Urbana, nazywanego „Goebbelsem stanu wojennego”, ale mówiono także, że podpowiedzieli go radzieccy. Cała sprawa miała głębsze dno. Z początkiem 1989 roku trwające od września rozmowy w Magdalence osiągnęły punkt kulminacyjny, zaczęto przygotowywać tak zwany Okrągły Stół, po nim miały się odbyć wybory. Przed samym Okrągłym Stołem należało dać jakiś sygnał. Do rozmów wybraliśmy paru „KOR-owców” przeważnie byłych partyjnych – ci znali już reguły. Ale było też paru księży i cała kupa zabobonnych katolików, którzy gęby mieli pełne wartości. Szef zastrzegł, że nie wolno ich fizycznie skrzywdzić, ale postraszyć – i owszem...

No i tyle.

To był naprawdę dobry rok. „Rok Trzech Księży”.

Pełna dokumentacja w sejfie, skryta głęboko za lustrem z moją zaczerwienioną twarzą. Daty i nazwiska przepisuję do notatnika.

Przesłanie

Istnieje coś takiego, jak mądrość zbiorowa partii. Nakazuje czasem decyzje trudne, ale na dłuższą metę jedynie słuszne. Po roku 1956 wystarczyło poświęcić małego Bohdana Piaseckiego. To był sygnał dla Moskwy: jesteśmy twardzi, jak wtedy, gdy własnymi rękami dobijaliśmy ostatnich partyzantów z AK, możecie na nas polegać. I to był sygnał dla naszych „postępowych” katolików: ani nie myśleć! *Daże nie dumajcie*. Jesteście ludźmi przeszłości. Cieszcie się, że w ogóle pozwalamy wam żyć. *Point de rêveries*!

W roku 1989, gdy nastroje były gorętsze niż przed laty, oczekiwania większe, nadzieja gotowa do zrywu – trzeba było poświęcić trzech księży. To większa, ale wciąż jeszcze niezbyt duża ofiara. Drugi raz nie mogliśmy wyprowadzać czołgów, nie było to potrzebne. Wystarczyło, żeby zrozumieli, przesłanie brzmiało tak samo: jesteście ludźmi przeszłości. Sytuacja jest jasna: to my zasiadamy przy stole, na którym stygnie potrawa zwana skrótowo PRL. Dla niepoznaki stół ma kształt okrągły, niemniej to nadal nasz stół. Dopyrosiliśmy kilku z was, damy parę ochłapów – ale to wszystko. *Point de rêveries*, biedne chujki. Nadal jesteśmy wszechobecni, nadal możemy zrobić z wami wszystko. I nic nam nie zrobicie, jeszcze będziecie nas bronić, usprawiedliwiać, osłaniać. Będziecie nam wdzięczni za każde podsunięte wam kłamstwo: ten klecha się potknął i upadł, tamten pisarz umarł na serce, a tamten wścibski dziennikarz to na babie. He – He – He. I wy będziecie z ulgą, potul-

nie śmiać się z nami. To był test na wasze tchórzostwo. To był test na podłość. Zdaliście Polacy! Możecie żyć!

Ten rok przyniósł jeszcze dwa sukcesy, których z początku nawet nie zauważyliśmy, nie doceniliśmy. Ale były, rosły z waszym przerażeniem.

Pierwszym było zachwianie zabobonnej wiary w pomoc Zachodu, drugim – zachwianie jeszcze bardziej zabobonnej wiary w Opatrzność. Zachód odetchnął, że wreszcie ma was z głowy i może handlować z Rosją. Opatrzność jak zwykle nie kiwnęła palcem – uważając, że i tak dużo zrobiła dając wam wolną wolę. Do przesłania mogliście sobie dopisać: jesteście sami.

Zawsze, kurwa, byliście sami!

Okrągły Stół i demokratyczne wybory

Spektakl „Okrągły Stół” odbył się zgodnie z ustaleniami. Potem odbył się spektakl pod tytułem „Pierwsze wolne wybory” i na koniec – pokaz ze striptizem: „Pierwszy niekomunistyczny rząd”. Najpierw Geremek z Michnikiem lansowali Wielką Koalicję, w której Generał byłby prezydentem a Geremek premierem. Resorty siłowe dla nas, także i sprawy zagraniczne, solidaruchom dałoby się gospodarkę. I tak wszystko zaczynało się walić, dobrze żeby spadło to na nich. Ale Kościół kręcił nosem przy Geremku, zrobiono przetasowania. Zgodnie jednak z magdalenkową ugodą prezydentem – głosami ludzi Geremka i Kuronia – został szef partii i wojska – Jaruzelski. Opierał się na wojsku, ale zadbał o ratowanie partii – wyprosił na to nawet pieniądze u radzieckich. Premierem początkowo mianowano Kiszczaka, ostatecznie został nim Mazowiecki. Były na niego dobre haki z czasów Pax-u.

Zaklepał go sam Kriuczkow, szef KGB, który przyjechał we wrześniu 1989 i wezwał Mazowera na dywanik. Przybiegł grzecznie i cały czas już był grzeczny, dzielnie bronił cenzury i Paktu Warszawskiego. Nie mieliśmy nic przeciw temu, by jego rzecznikiem rządu została śliczna Madzia Niezabitowska (zarejestrowana jako TW „Nowak”). Kluczowe resorty – wojsko i policję zatrzymali Siwicki i Kiszczak, generałowie, dobrzy komuniści. Oddaliśmy im jednak sprawy zagraniczne – ministrem został związany z Solidarnością Skubiszewski. Generał Siwicki, szef MON-u miał dobre notowania u radzieckich i dla naszych starych kadr był legendą: w młodości strzelał do ludzi „Ognia” i topił Podhale we krwi, w 1968 dowodził oddziałami LWP tłumiącymi czeską „kontrrewolucję”. Skubi wcześniej był członkiem Rady Konsultacyjnej przy Jaruzelskim, a tak naprawdę to nosił ksywę „Kosk” i był zasłużonym tewulcem (miał też inne zalety: był podobno homosem, pokątnym sybarytą a już na pewno – tchórzem! Zasłużył na panteon!). Szefem radia i telewizji został inny agent – podwójnie zasłużony – jako TW „Kowalski” i jako TW „Zbigniew” – Andrzej Drawicz. Zgodził się trzymać wytycznych i nie przeprowadzać zmian kadrowych. Był równie przydatny jak Urban, a o ile bardziej wiarygodny!

Trzymaliśmy rękę na pulsie tego chorego państwa.

Drugą na gardle.

My.

Gdy przychodziłem do resortu, w 1952–1953 roku, liczył on 33 tysiące funkcjonariuszy, ale wspierało nas 88 tysięcy tajnych współpracowników tworzących po stronie wrogów piątą kolumnę. W 1989 – resort liczył 24 tysiące funków i 90 tysięcy tewulców – druga armia. Tajna – od robienia tajnej historii. Do robienia III RP. No powiedzmy: RP 2 i ½.

Jedna z pierwszych dyskretnych akcji polegała raczej na zaniechaniu, niż na działaniu. Poborowi z 1939 roku i przebywający na emigracji AK-owcy zbliżali się wówczas do siedemdziesiątki. Oni stanowili dla nas największe zagrożenie. Zagrożenie stanowiły też tysiące Polaków deportowanych z Kresów na Sybir. To były przechowane tam jak w zamrażarce szczątki II Rzeczypospolitej. Pojemniki pełne złowrogiej pamięci. W Ameryce jacyś bogacze dali się pozamrażać – by wskreszono ich przy sprzyjającej okazji. U nas została zamrożona nędza polska i krzywda, nienawiść do nas i miłość do dawnej Polski. U nas to miało odżyć?!

Wspólnie z tak zwaną lewicą demokratyczną... nie zrobiliśmy nic, by ułatwić im powrót. Przeciwnie – utrudnialiśmy go na wszelkie sposoby. Wystarczyło przeczekać kilka lat... Hibernacja to także agonia, choć spowolniona, musi skończyć się śmiercią. W Ameryce może trochę później, w stepach kazachskich prędej, w Sybirze – jeśli jeszcze żyją, to są to ostatnie dni, kiedy nadają się do odmrożenia. Zostawiliśmy ich tam – wprasowanych w lodowe bryły. Na ich miejsce sprowadzaliśmy masowo „emigrantów” z 1968 a nawet z 1956 roku. Wygłaszaliśmy rytualne przeprosiny, przypinaliśmy orderzy i wsadzaliśmy ich na kierownicze stanowiska. Niektórzy z nas ze zdziwieniem stwierdzali, że owi rzekomo straszni „stalinowcy” byli w istocie sympatycznymi ojcami i dziadkami zarówno naszych postępowych aparaczyków z PZPR, jak i liderów „korowskiej” opozycji, jak i wielu oficerów z naszych służb. Radość z uświadomionych sobie rodzinnych więzi okazała się dodatkowym spoiwem nowych elit. Zatarły się dawne podziały, walki „Chamów” z „Żydami” zaczęto wspominać z sentymentem jak jakieś spory z młodości, które w istocie łączą, napełniają serca rzewnością i oczy łzami. Mało nas – kochajmy się. Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą. Mimo swych lat czułem się rodzinnie niczym dziecko. No, adoptowane dziecko.

Wybiegając nieco w przyszłość dodać trzeba, że radzieckim zapewniliśmy przynależność Polski do Paktu Warszawskiego i oczywiście zostawiliśmy im bazy. W zamian za to nasi dostali od Ruskich ponad milion dolarów na nową, odnowioną kompartię – oczywiście pod nową, zachodnio brzmiącą nazwą Socjaldemokracji Rzeczypospolitej. Dla pełnej konspiracji sekretarze Rakowski i Miller przywieźli dolary w reklamówkach, żadnych bankowych transferów, żadnych podatków, żadnych śladów. Będzie potem trochę hałasu, jakieś śledztwo dla pucu, ale w 1993 nowa SDRP wróci do władzy, „Bolka” postraszy, solidaruchów wydyma i sprawie ukręci łeb.

Największe oszustwo końca XX wieku zostanie nazwane „transformacją”.

Jeszcze trochę roboty w nadbudowie

Wyprzedzając nieco bieg czasu, warto na prawach post scriptum dopisać kilka, mało już istotnych szczegółików. Niczego nie zmieniają w wymowie zdarzeń, natomiast ukazują, jak starannie, jak elegancko przeprowadzaliśmy nasze operacje. Każdy szczegół był dopieszczony. Wypadki przydarzyły się także dziennikarzom, którzy zajęli się badaniem tych zgonów:

- w kwietniu 1990 w Pruszkowie nieznani sprawcy podpaliли mieszkanie redaktora Jerzego Jachowicza, który zajmował się sprawą klechy Zycha. W pożarze zginęła żona dziennikarza, Maria. Będzie miał o czym myśleć do końca zasranych dni!

- w lutym 1991 we Wrocławiu nieznani sprawcy pobili do nieprzytomności Zbigniewa Branacha – autora książki *Tajemnica*

śmierci księdza Zycha. Nie będzie już taki ciekawy. Świat nie ma tajemnic, ale czasem dobrze jest nie poznawać wyjaśnień.

Na wszelki wypadek wpisuję te dane do notatnika.

~~Ja także jestem pojemnikiem informacji.~~

I jeszcze jedną datę w charakterze małej, ale pieprznej piny: 13 kwietnia 1992 we francuskiej telewizji odbyła się promocja książki Jaruzelskiego. Nazbyt natrętnym dziennikarzom dał odpór były opozycjonista Adam Michnik – w krótkich słowach, które przeszły do historii: *Odpieprzcie się od generała!*

Pacta sunt servanda. Ten chłopak nie zajdzie wysoko, ale długo będzie szedł i tłusto.

GALA II

Dwadzieścia lat później

Te głupie gryzipiórki nie zrobiły lustracji, niektórzy już nawet myśleli, że żadne teczki nie istnieją. Zapomnieli, że donosy nie płoną! Przypomniałem im o tym w odpowiednim momencie. I oto kole-dzy literaci wymyślili mi galę dla uczczenia mojej nowej książki *Po drugiej stronie luster*. A właściwie to ja im podpowiedziałem, a oni się zgodzili – jak wtedy – bo nie mogli odmówić. Leopold przeproszał, że zapomniał, Jan Krzysztof kłamał, że już wcześniej zaczął działać, lecz to miała być niespodzianka. No i wyszło, że laudacje wygłoszą zaufani pisarze nieistniejącej Służby. Jak wtedy – tylko w odwrotnej kolejności. I jeszcze jedna różnica: wtedy to byli początkujący krytycy – dziś liderzy obydwu związków, pisarze III Wolnej i Samorządnej Rzeczypospolitej. Uczciwie by tak wysoko nie zaszli.

Promocja odbyła się w tej samej sali co poprzednio, tylko na ścianach pojawiły się nowe twarze: Wałęsa, który ze swoimi wąsami wyglądał na karykaturę Piłsudskiego (niby podobny, ale wykonany ze znacznie podlegszego materiału); z boku – jakby nieco zniesmaczony – Jan Paweł II. Poniżej, znacznie mniejszy portrecik:

Joseph Murray. The Nobel Prize in medicine 1990. Ten amerykański transplantolog wycięty został przez jakiegoś lizusa z amerykańskiego magazynu i awansowany na patrona naszych czasów. Pawiem narodów byłeś i papugą. A przecież nie tak dawno, w 1985, nasz Religa przeszczepił serce. National Geographic z opóźnieniem, ale jednak zamieścił jego fotografię i ogłosił fotografią roku. Siedzi zmęczony nad ratowanym pacjentem, asystent, jeszcze bardziej zmęczony – śpi. To mogliby powiesić, to nawet byłby dobry symbol dla literatury, ale oni wolą Amerykanina od nerki niż Polaka od żywego serca.

Czort z nimi, wszedłem na podium.

Zbiegiem okoliczności goście usiedli podobnie jak wtedy. Zbiegiem okoliczności? *Ordo et connexio rerum idem est ac ordo et connexio idearum.*

W środku pierwszego rzędu szef Pen-Clubu Międzyrzecki. Miejsca po bokach wolne, widać nikogo nie zaprosił. Za dziurami – dwóch błaznów władcy: Jan i Lubicz (rozdzieliłem ich wyłącznie po ksywach), dalej w kierunku drzwi – Nawrotek, odpieprzony jak stróż w Boże Ciało, za nim lewituje Kuryłko, mistyk prowincjonalny, zaś w stronę okna, żeby łatwiej wejść na podium, zasiedli doktor Lewy z Janem Krzysztofem Brudnicą – jeszcze chwila i będą wygłaszać laudacje. Nie mogli mi odmówić...

A w centrum sali i świata – puste miejsce. Kiedyś siedziała tu Laryssa, której wielki secesyjny kapelusz zapewne zasłaniał widok wszystkim następnym rzędom. No niestety... Los zrządził, że znów znaleźli się razem trzej wieszcz socrealizmu: Kubiak, Śpiewak i Heller – może się domyślają, że pozorny przypadek jest echem znacznie poważniejszych powiązań i przeznaczeń, czasem znakiem – jeśli ktoś umie czytać. Byli bohaterami poprzedniej gali, tańczyli razem trojaka – miotając się w tej samej niewidzialnej sie-

ci. Oczywiście mignął mi Wiktor – wciąż niewiele o nim wiedziałem, on jednak jest w moim wieku, jeśli nie starszy. Urodą coraz bardziej przypomina Lenina z czasów, kiedy ten jako bóstwo zamieszkał w mauzoleum. Tam łatwo o odmrożenia.

W dalszych rzędach siedzieli znani i mniej znani aktywiści Związku – wszyscy mimo pozorów żywi. Koźniewski, Kuśniewicz, Kapuściński – usiedli razem, czyżby wiedzieli, że nie tylko pierwsza litera ich łączy? Nawet Kabatc, nawet Kajtoch z Krakowa i Kurylak z Przemyśla! Cała elita tych na „K”! Tych na „G” też jest paru: Gisges, Grynberg, Gaworski, Garlicki; na „D” – Drawicz z Damińskim, ale ci siedzą osobno. A potem to już chaos, czyli informacyjny burdel: Lewin i Stiller, Passent i Toeplitz, Wiczorkowski i Sadkowski, Piwowski i Szczypiorski, Safjan i Minkowski, Sadkowski i... Jest także uzdolniona młodzież: Wawrzekiewicz, Boni, Zaniewski, Nawrocki, Żuliński, Huzik, Walczak, Żółciński – elyta! Tajni współpracownicy, a nawet konsultanci MSW.

A wszyscy zaszczycający mnie!

Pozytywne recenzje zapewnione!

Ale wciąż czuje się ten dziwny zapaszek.

Mnie oczywiście posadzili na fotelu na scenie, u stóp postawili kosze kwiatów, nad głową zawiesili żyrandol w stylu Księstwa Warszawskiego, chyba pożyczony z teatru. Ciekawe, kto teraz będzie bulił – nawet jeśli to nie był autentyk.

Prelegenci wygłaszali laudacje z mównicy – czyli z kąta po mojej lewej.

Otworzył szef Międzyrzecki. Nie ta ranga, co prezes ZLP Kuncewicz, lecz jako człowiek parasol nawet lepszy. Był rekordzistą PRL w dziedzinie nekrofilii politycznej: po śmierci Stalina wydał

z siebie najdłuższy poemat o Wodzu, więc potem, w hierarchii nawróconych stanął wysoko, bardzo wysoko. Jego wypowiedź była krótka, ale tak zawiała, że wszystkim się wydała inteligentna. Szef Międzyrzecki miał w zasadzie maturę, lecz jako człek bywały, ułożywszy wystąpienie po polsku, otwierał słownik wyrazów obcych – i przerabiał jego tekst w ten sposób, że największe banały brzmiały tajemniczo i dostojnie. Tym razem taka forma pasowała nawet do treści. W swej zapętlonej wypowiedzi Międzyrzecki stwierdził bowiem, iż przyszłością literatury nie jest literatura jako taka, nie jest nawet krytyka, ale hermeneutyka – czego dowodem znakomita książka Langa (czyli moja). Mówca podzielił twórczość Henryka Langa (czyli moją), na dwa etapy – krytyczny i metakrytyczny, po czym popatrzył po sali, machnął ręką i oddał głos prelegentom.

Jako pierwszy wystąpił krytyk Jan Krzysztof **Brudnica**. W nowym, jeszcze bardziej pedalskim szaliczku. Nie zrozumiał, jak wszyscy, Międzyrzeckiego, ale poparł go zgrabną metaforą: moja praca poprzednia *Człowiek wobec luster* była książką krytyczną, mówiącą, co odbija się w lustrach zwanych książkami, a książka *Po drugiej stronie luster*, to przykład hermeneutyki, która te lustra rozbija.

– W zbiorze pod tytułem *Człowiek wobec luster* Lang jeszcze wierzy twórcom – objawił Brudnica – lecz w arcydziele (mam odwagę tak powiedzieć!) *Po drugiej stronie luster* Lang jest już sędzią podejrzliwym, mądrzejszym od autorów, traktuje ich literaturę jako świadomą lub nieświadomą *maskirowkę*.

Jan Krzysztof użył popularnego w naszym kręgu określenia, natychmiast jednak się poprawił i łopatologicznie rzecz wyjaśnił:

– W pierwszym okresie Lang rysował mapy poezji, zdawał sprawozdanie z zawartości dzieł literackich, w drugim wyjaśnia, dlaczego w dziełach zjawia się taka a nie inna zawartość. To jakby na

podstawie celowo zniekształconych map odkrywać zaszyfowaną rzeczywistość. (Ta druga wypowiedź Brudnicy poszła do protokołu).

Przechodząc do adremu Jan Krzysztof oświadczył, że największym wkładem Langa – jest wykrycie mechanizmów **homeostazy** rządzących twórczością literatów. Przypisał mi rozróżnienie trzech rodzajów homeostazy: polityczną, etyczną i metafizyczną, czyli mitologiczną.

(Podrozdział Kubiak – Kanał)

Przykładem homeostazy politycznej są wiersze Kubiaka. Nie wszystkie, ale grupa tekstów, która służy najwyraźniej autorowi do przywrócenia wewnętrznej harmonii. Można określić je mianem „gorzkiego patriotyzmu”, tak gorzkiego, że wydaje się po prostu antypolonizmem. Brudnica przywołał na początek znany wiersz, w którym Jan Kubiak porównuje historyków z IPN do zdrajców wydających Jezusa. By go oskarżyć – „Bibliotekarze pamięci”, jak ich nazywa Kubiak, fałszują dokumenty. Sala zamiera, czeka na ciąg dalszy apokryfu – ale Jan Zdzisław przerywa.

– Do tego wiersza wrócimy, ale określną drogą. Najpierw chciałbym Państwu przypomnieć znany wiersz kolegi Kubiaka *Kanał*. Pamiętacie: grupa powstańców trafia na ślepy kanał, są ranni, za nimi naziści, dowódca liczy kule... By zrozumieć ten wiersz, drodzy państwo, trzeba zastosować hermeneutykę, trzeba też sięgnąć do akt IPN.

Jako Tajny Współpracownik „Kanał” odnotowany jest tam właśnie nasz autor. We własnoręcznie napisanym życiorysie Jan Ku-

biak pisał, że z racji wieku „spóźnił się” na Powstanie, walczył jego starszy brat, Adam, który zginął, prawdopodobnie w kanale albo w czasie przeprawy przez Wisłę. Były plotki, że przeprawił się na praski brzeg i gdzieś zniknął, nieważne. Ten brat był dla Kubiaka wyrzutem sumienia. Bo Jan nie miał takiej odwagi, zaczął nawet działać w podziemiu, ale po prostu się przestraszył. A potem z tego strachu zaczął pracować dla nas. W życiorysie napisał: „ja przejrzałem na oczy”. Okazało się, że było coś więcej – Brudnica zawieścił głos i znowu zboczył z tematu.

Na moment wróciła mi przed oczy scena tamtego przesłuchania i skulony tchórzliwie na brzegu stołka Kubiak. O jego bracie i o nim mieliśmy już inne, znacznie ważniejsze informacje z miejscowego Urzędu, w czasie rozmowy dałem mu to do zrozumienia, lecz sprawy nie drażyłem. Wystarczy, że on wie, że my wiemy. Miałem rację. Wystarczyła ta jedna rozmowa. Widać było, że ciulik chce przejść na naszą stronę, tylko mu jakoś głupio. Więc zacząłem mu podsuwać argumenty, ośmieszać AK, z Piłsudskiego robić agenta Niemców, z których potem wyrosli hitlerowcy. Kupował ten szajs z wdzięcznością, żywił się nim, przerabiał na wiersze. Brudnica o tym wszystkim nie wiedział, ślizgał się po powierzchni:

– Poeta Jan Kubiak przeżył duchową ewolucję. W końcu zapisał się do partii, zaczął robić karierę, urządził sobie życie osobiste, ma żonę i dwóch synów. W stanie wojennym przygotował nam nawet listę dobrych i złych pisarzy, przydzielił odpowiednie stanowiska, wytypował egzekutywę partyjną. Sam jednak kariery nie zrobił. A po nocach zjawiali mu się koledzy, na których donosił; i było ich coraz więcej, włązili mu w każdy sen, potem i tam się nie mieścili, zaczęli prześladować go na jawie. Przestał pisać, bo musiałby pisać o nich.

Nic dziwnego, że bał się Instytutu Pamięci Narodowej. Nic dziwnego, że odwracając role nazywa naukowców z tego Instytu-

tu Kainami i Judaszami. W ten sposób staje się Chrystusem, a co najmniej Ablem. Może patrzeć na siebie z litością, a nawet z podziwem. Na tym właśnie polega homeostaza.

Wiersze Kubiaka nie kłamią – kończył wątek Jan Krzysztof. – Powierzchowna lektura widzi w nich utwory o powstańcach, analiza hermeneutyczna o zdradzie. Towarzysze broni pod ziemią, może w jakimś kanale, a on, kiedyś jeden z nich, liczy srebrniki za donosy do SB. Udać, że mówi o IPN czy o Powstaniu, poeta mówi o czym innym: mówi politycznym szyfrem o zdradzie młodzieńczych ideałów, mówi o swoim lęku przed lustracją, usprawiedliwia dawne donosy i kontakty ze Służbą Bezpieczeństwa. Wiersze nigdy nie kłamią, tylko nie wszyscy potrafią je czytać.

(Podrozdział Merkucjo – Marek Śpiewak)

– Twórczość Śpiewaka – Brudnica wlaźł na drugiego z wieszczów i zaczął pisać – to przykład homeostazy etycznej. Poeta Śpiewak pisze przeważnie o Żydach skrzywdzonych przez Polaków. Znamy wiersz o pięknej Żydówce, która woli wrócić do getta niż oddać się Polakowi. Autor potępia Polaka i na pozór kończy swój wiersz. Ale wiersz się nigdy nie kończy, on nadal działa. Mamy prawo zapytać, co autor załatwił tym wierszem, co wcześniej zakłóciło jego równowagę.

Metoda hermeneutyczna każe szukać odpowiedzi w innych tekstach poety Śpiewaka, w tych najbardziej intymnych, ukrytych w IPN. Są wśród nich listy Śpiewaka do „Oli”. Imię żeńskie, które skądś znamy. Tak, to przecież młodsza siostra „Julii”, tej poetki od Romea. Śpiewak zaprzyjaźnił się z parą naszych laureatów z Zameczku jak poeta z poetami.

(Muszę wtrącić, że tak mu poleciłem. Chodziło o to, by odizolować „Olę” od „Julii”, żeby nasi ex aequo laureaci mogli się sobie zapoznać).

Marek tak bardzo zauroczył się „Olą”, że napisał dla niej kilka wierszy; nie było w nich wątków żydowskich, była nieśmiała erotyka.

(Ponieważ nasi Julia i Romeo też machnęli do siebie po parę wierszy, stwierdzam, że moja czarna, ubecka intryga wzbogaciła znacząco polską lirykę miłosną).

„Ola” wyjechała po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku do Izraela, a konkretnie do Danii. Parę miesięcy mieszkała na luksusowym statku zacumowanym w centrum miasta Kopenhaga, przysłała Markowi kartkę i pięć listów, proponowała romantyczną wyprawę w świat. Julia była poetką w wierszach, Ola – w życiu. Tylko że Marek w życiu był posranym prozaikiem, bał się odpisać, listy przynosił do nas. Wreszcie kontakty się urwały, lecz przecież nie na zawsze. Kilka lat potem nasz TW „Merkucjo” (sam mu wybrałem takie pseudo) zgodził się pomóc resortowi w antyżydowskiej grze operacyjnej. Teraz on zaczął pisać listy do „Oli”, wspomnieniowe, sentymentalne, coraz bardziej miłosne, do koperty włożył dawny wiersz. Potem zaprosił Olę do Polski. Obwoził ją po kraju, odwiedzali dawnych przyjaciół, Marek ułatwił dziewczynie sprzedaż dolarów, wyjechali do Kazimierza. Wiemy o tym dokładnie, bo z każdego dnia jej pobytu pisał raport. Mieliśmy na nią tyle, że z łatwością zgodziła się na współpracę. Rozpracowywała „pomarcową” emigrację w Danii i Szwecji.

Pisząc pochlebnie o Żydach Śpiewak załatwia w istocie nie sprawy wielkiej etyki, a własną ułomność etyczną, wierszami potępiającymi cudzą niemoralność przesłania własne donosy.

I tyle powiedział Jan Krzysztof o internacjonalistycznej poezji Marka Śpiewaka, ksywa TW „Merkucjo”.

Tyle ujawniłem w swojej książce – sporo, ale rzecz jasna nie wszystko.

(Podrozdział Heller – „Orion”)

Na koniec Brudnica zajął się ostatnim z „trzech wieszczów” – Karolem Hellerem. Paksowiec, nawet były zakonnik, w mojej książce pojawił się jako przykład homeostazy mitycznej. Jan Krzysztof podjął ten wątek, wyliczył nawet wiersze, w których podmiot liryczny, prościej mówiąc poeta Heller, utożsamia się z Faustem, ucieka ze swojego świata w jego zaświat.

Jest więc o pakcie z diabłem, jest o iluzorycznej miłości do Małgorzaty – tak labiedził nasz „Orion” wiele lat. Jednak w ostatnim tomie poeta zmienia rodzaj mitu i poetykę: z kłótlivej na mędrzącą. Heller jakby wpadł na lepszy pomysł: zrzuca strój Fausta kłócącego się z diabłem i utożsamia z Hiobem wypłakującym się Bogu w chałat. W jego wierszach pojawia się światło, słuchać nuty nadziei.

Czy również i te wiersze otwiera klucz hermeneutyki? Ja twierdziłem, że tak, a Jan Krzysztof to jeszcze rozwinął.

Heller był zakonnikiem, ale nie miał ambicji męczennika, łątwutko dał się zawerbować. (Wystarczyło mu tylko napomknąć, że wiemy z jakiego powodu krył się przed światem w klasztorze...). Przez lata pisał raporty ze środowisk katolickich. Na czas pisania przebierał się w płaszcz Fausta.

Opierając się na ujawnionych aktach IPN Brudnica przypomniał słuchaczom o roli Hellera w sprawie Bąka, potem o rozpracowywaniu biskupa Baraniaka. By ułatwić Hellerowi działanie SB zrobiła z niego dziennikarza – ale ta metamorfoza na niewiele się zdała. Zaczynał jakieś wieczorowe studia i nie kończył, kolejne ko-

biety go rzucały, zarobione pieniądze szły na alimenty. Mit Fausta wyczerpał swą moc.

Brudnica to zauważył, ale nie do końca zrozumiał. Nie zadał sobie trudu, by poznać zatajnione akta, nie zna nawet połowy po-nurej tajemnicy Hellera.

Opowieść Jana Krzysztofa brzmi prosto, choć bardzo zgrabnie:

– Karol Heller jest wrażliwszym poetą od poprzedników, jest człowiekiem wierzącym, donosił na przyjaciół i autentycznie cierpiał. Z punktu widzenia homeostatyki przeżyte przezeń naruszenie równowagi było mocniejsze. Kubiak demagogicznie odwrócił porządek zła i dobra, bohaterów nazywał zdrajcami, był Kainem, który ukrył się w przebraniu Abła. Śpiewak przeżył swoje doświadczenie historycznie, lecz płytko, przed koszmarami ratował go materializm, mógł bać się najwyżej kompromitacji w dobrym towarzystwie, ale w takim raczej nie bywał. Prawdziwe winy wobec Żydów maskował zmyślonymi zasługami. A Heller rozpacział na prawdę. Jego upiory były bardziej materialne, prawdziwsze; wierzył w Boga i wierzył w Szatana, chciał zrobić coś dobrego, wyszło źle, odwrotnie niż Mefistofelesowi. Poczul się zawiedziony przez Boga i żeby nie stracić wiary wymyślił coś na swoją i Jego obronę: światem rządzi Szatan, on, poeta Heller, dostał się w jego szpony. Nie jest winny, nie naprawia win, nie prosi o wybaczenie; domaga się wybaczenia, nawet szacunku. Nie jest Faustem, jest Hiobem, i w ten sposób przywraca sobie równowagę – zakończył Brudnica.

Sala zahuczała oklaskami, ja mogłem mieć wątpliwości, ale zostawiłem je dla siebie. Dla mnie obydwie mity były chytrymi kryjówkami, Brudnica – jakby ujął to Poe – wykazał wspaniałą umiejętność *de nier ce qui est et d'expliquer ce qui n'est pas*.

Ogólnie jednak biorąc *speech* Brudnicy był dobry, warto go gdzieś powtórzyć – na przykład w „Tygodniku Solidarność”. Ale

już pod moim nazwiskiem. Zgodnie z hasłem Lenina *Grabit' nagrablennoje*. Niech nie myślą, że komunizm się skończył. On tylko stanął na dwie łapy!

Lewy prorok nowej etyki

Jako drugi wstał i przemówił doktor Leopold Lewy. Nie cytował Althussera, który był już passé, bo w międzyczasie zamordował żonę i odszedł od marksizmu. Żona – rzecz nabyta, ale odejścia od linii partii lewica mu nie wybaczyła. Teraz do cytowania byli „postmoderniści”: Jean Baudrillard, nawiasem mówiąc mój rówieśnik i Zygmunt Bauman, w naszych kręgach zwany „Semjonem”, o czym Lewy raczej nie wiedział. Bauman też raczej nie wie, że Lewy jest agentem „LL”.

Leopold potraktował mnie postmodernistycznie – moją twórczość ostatniego etapu nazwał wskrzeszaniem zabitej rzeczywistości, przywołał parę cytatów, nazwisk przeważnie nie podawał. Niby im dołożyłem, niby zło dobrem zwyciężaj, prawda na wierzch wypływa – ale nie tak zupełnie. Żadnych okrzyków *hańba*, czy choćby *wyrzucić ich z sali*, żadnych okrzyków w ogóle. Przywoływani donosiciele udawali, że deszcz pada. No bo co mieli robić? On by im wypomniał współpracę, oni jemu, zrobiłaby się pyskówka i galę by diabli wzięli. A tak – mogą iść razem na wódkę i śpiewać *Polacy, nie się nie stało*. To teraz nasz nowy hymn.

A Lewy też mówił nie to, co wszyscy chcieli słyszeć. Zaskoczył i ich i siebie. Po zacytowaniu donosów, które nazwał listami uczniów Judasza Lewy zrobił wyskok w historię literatury. Przywołał **Mochneckiego i Brzozowskiego**, a nawet Miłosza i Bańczę. Mochnacki musiał odreagować memoriał karmelicki,

Brzozowski – „konsultacje” dla ochrony. To on był pierwszym polskim „konsultantem” – zażartował Lewy. Rozległy się pojedyncze śmiechy i parsknięcia, gdy umilkły Lewy zmienił nastrój i zapytał:

– Ale czy dzieło Chrystusa byłoby możliwe, gdyby nie zdrada Judasza? Czy nie odegrał on przepisanej przez Opatrzność roli strasznej i niewdzięcznej?

Judasz także miał misję: musiał zdradzić Jezusa, żeby historia popłynęła do przodu – tak jak przepowiedziano w Piśmie, musiał zdradzić, żeby proroctwo stało się prawdziwe, a Księga stała się prawdą Głosem Pana. Judasz musiał uwolnić Jezusa od cielesnej powłoki, żeby mógł zostać Bogiem – żeby mogła zaistnieć Trójca, która bez dzieła Judasza byłaby niepełną Dwójką z niedoszytym do siebie Bogiem błakającym się w ciele Jezusa po wzgórzach Galilei. Czyż zło nie jest tym ziarnem psianki wokół którego rośnie perła dobra?

Miejmy odwagę powiedzieć, że nie naiwne baśnie kanonicznych, lecz niezbyt lotnych Ewangelistów, nie świadectwa zakochanych w Galilejczyku kobiet, lecz przypominana przez „Gazetę Wyborczą” Ewangelia Judasza jest Ewangelią przyszłości.

Śmiem twierdzić – powoli pointował swoje wywody Lewy – że w historii świata mało jest ludzi, którym wyrządzono tak straszliwą krzywdę jak Judaszowi. Stał się on ponadczasowym symbolem arcyzdrajcy, symbolem, który po dwóch tysiącleciach nadal pali żywym ogniem, a imię Judasza wywołuje odruch protestu i niechęci. Judasz wytwarza biegun zła, aby tym mocniej uwypuklił się biegun dobra.

Bóg wiedział, co robi, kodując Judasza na arcyzdrajcę, tak jak wprzód „zaprogramował” Adama na ofiarę i narzędzie boskiej

polityki. Prawda jest taka, że przez ostatnie dwa tysiąclecia najgorszy, najokrutniejszy krzyż odtrącenia i wzgardy niesie właśnie Judasz, wykonawca boskiego planu, wybrany przez Najwyższego do czarnej roboty. A wszystko po to, żeby tamten, ten piękny, ten szlachetny i czysty zdołał udźwignąć ciężar misji zbawienia. Tak to widzę, w wielkim skrócie, rzecz jasna. Bywaj zdrów, Judaszu!

Na moment zrobiło się cicho jak na pogrzebie organisty. A może także jego szefa, znaczy proboszcza, i Szefa tego szefa – znaczy Szefa Wszystkiego.

Była w tym pozdrowieniu Judasza prowokacja, ale i jakaś chora, rozpaczliwa nadzieja, pokrętne wyjaśnienie i groźba pod adresem tych, którzy go nie przyjmą. Było oczekiwanie.

I nagle w powietrze runęły już nie trzepoczące oklaski, lecz brawa spadające w niebo niczym sępy na żer, salę tną błyskawice rozradowanych spojrzeń – zebrani wstają i w mistycznym uniesieniu walą ręką o rękę albo obydwoma rękoma o uda, albo o oparcia foteli – co przywodzi na pamięć hałas biblijnych instrumentów i wysoki ton krzyków słyszanych ongiś pod Jerycho. Jehowa zatrzymuje słońce, by dać nam czas na zwycięstwo!

Wali rękami Kubiak ze Śpiewakiem, wali mistyk prowincjonalny Kuryłko, walą ci na „K” – Koźniewski, Kuśniewicz, Kapuś-ciński, nawet Kabatc i Kajtoch, ci na „G” i ci na „D”, wali uzdolniona młodzież – Wawrzkiewicz, Zaniewski, Żuliński, Walczak, Boni, Żółciński i wszyscy, wszyscy walą, więcej niż pół sali wciąż jest moje! Biją brawo żywi i umarli, w pierwszym rzędzie Putrament i Borejsza, może sam Berman zaszczyci, może Bierut prezydent wszystkich kolaborantów?! Czy kieruje nimi jakiś odruh stadny? Czy nawzajem coś o sobie wiedzą? Każdy z nich klaszcze i klaszcze i nie chce być tym, który pierwszy przestanie...

Wstają tak dobrze posklejani, że mogą ruszyć ku podium, mogą
mnie wziąć na ręce

Jest pięknie, chwilo trwaj!

Chwilo trwaj!

Żyrandol jako narzędzie Boga

Po laudacjach miały być jeszcze spontaniczne życzenia. Mogłem przypuszczać, że wystąpi co najmniej dwudziestu śmierzeli – na tyłu wciąż miałem kwity, a oni o tym wiedzieli. Rzecz jasna przez cały czas miałem siedzieć na tym fotelu. Nie była to zachęcająca perspektywa – postanowiłem popsuć im zabawę. Gdy więc umilkły oklaski po wystąpieniu Lewego, gdy zobaczyłem, że do wystąpienia szykuje się ta gnida Szczypiórkowski, za nim Wiktor – w oczach miał coś takiego... jak zakochana kobieta, która nie przepada za obciążaniem, ale za chwilę ci to zrobi... Nie wytrzymałem i zerwałem się z miejsca, wyjąłem mikrofon z mównicy i schodząc po schodkach, które nie wiem skąd się wzięły, zacząłem deklamować przepis Boya na urządzenie jubileuszy. Oczywiście sporo skrócony:

*Bierze się do tego celu
Tęgiego, starego pryka;
Sadza się go na fotelu
I siarczyście go się tyka.*

*Odmiany wszak prawa znacie,
Trudności nie będzie zatem;*

*Więc: jubilat, jubilacie,
Jubilata, z jubilatem...*

*„Twoje słowa mądre, wieszczę,
Żyć w narodzie będą święcie,
I prawnuki nasze jeszcze,
„Mieć je będą... (cicho: w pięcie).“*

W tym momencie musiałem przerwać. Widać zerwałem się z fotela zbyt energicznie, energia musiała poruszyć ów żyrandol z czasów Księstwa, który runął za moimi plecami wprost na fotel. Zrobiło się zamieszanie, pani Krysia ratując sytuację zaprosiła wszystkich na lampkę wina do sali Zarządu Głównego. Oczywiście ja też przeszedłem, poza tym nie jestem od zbierania fałszywych kryształów po podłodze. Ciekawe, ile to będzie kosztować – myślałem, pchając się w korytarzyku przed drzwiami.

Po drodze zatrzymali mnie dziennikarze, niby nie ci sami, co przed laty, a jednak tacy sami. Mówiłem o zaletach „grubej kreski”, o wybaczeniu, o względności dobra i zła, piękna i brzydoty. Że nieważne skąd kto przychodzi, ważne, że teraz jest z nami, że nie da się iść do przodu z głową odwróconą do tyłu i takie tam pierdoły wywołujące zachwyt.

Tymczasem moi pisarze lepiej lub gorzej odgrywali swoje role. Najbardziej się załgiwał Żółciński, opowiadając, jak to wspierałem ich drukarnię wykradanym esbecji papierem i ostrzegałem o planowanych nalotach. Wtórował mu łysy Drawicz, mówiąc nie tylko o moich zasługach dla demokracji, ale także o moim „koncyliacyjnym charakterze” (to teraz modne określenie) i o rozmowach w Magdalence, bez których nie byłoby obrad Okrągłego Sto-

łu. Nie było i nie będzie lepszego Szefa Departamentu Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa niż nasz generał – zakończył patetycznie Drawicz – i rozległy się brawa. Generał to oczywiście ja, co niektórych literatów zaskoczyło. Dali mi za to, że ich przerobiłem na śmieci, za to że popaliłem teczki – ale nie wszystkie, nie są pewni które – więc dali. Kiedy brawa umilkły w szklankę zadzwonił nożem Szypiórkowski – nie mógł być gorszy od Łysogo, też musiał wspomnieć o mnie i przy okazji o sobie, chytry „Mirek”. Więc zaczął streszczać artykuły pisane przeze mnie do prasy podziemnej. Dzięki takim jak Henio Lang – powiedział za pan brat świnia z pastuchem – „Krytyka” wiedziała, co dzieje się w aparacie władzy!

Było dokładnie odwrotnie: dzięki takim jak Szczypiórkowski czy Drawicz nasze służby wiedziały co dzieje się w „Krytyce”! „Biuletyn Informacyjny” KOR czytaliśmy wcześniej niż czytelnicy, czasem wcześniej niż sami redaktorzy nanosiliśmy poprawki!

Jak przed laty: nie chciałem psuć gali jakimiś sprostowaniami. Historia, która się zdarzyła Polsce – zdarzyła się i minęła wiele, coraz więcej lat temu. Zaczęliśmy żyć inną, tą wynegocjowaną. Na sali panowało zbratanie i ogólne „kochajmy się”, niektórzy już nawet rzygali. W tej dziedzinie klasą dla siebie był wytworny „Hölderlin”, zanim bowiem przystąpił do czynności – dyskretnie uchylił drzwi szafy, w której prezes Kuncewicz trzymał smoking, białą koszulę i lakierki. Tym razem nie było lakierki, więc zniesmaczony „Hölderlin” zamknął drzwi i po prostu wyszedł na balkon. Inni śpiewali co popadło i rzygali też byle jak. Łysy poeta Kubiak z jeszcze bardziej łysym Śpiewakiem oraz trzeci ufajdany muszkieter Józio Heller odsunęli pod ścianę stół i zaczęli tańczyć trojaka. Jak wtedy. Ze sztuczną młodością, jakby odgrywali

komedię. Zagarniali stojących pod ścianami, porywali w fałszywych, ale silnych uściskach – zataczali się z nimi po sali, po schodach, po ulicy.

Nie dałem się porwać tańczącym i cofnąłem się aż pod ścianę, z której szczyrzył zęby nieżywy poeta Sebyła. Dziś wolno mówić, że zamordowany, wolno nawet, że przez Ruskich. Albo strzałem w tył głowy w piwnicy NKWD w Charkowie, albo utopiony na barce u ujścia Jenisieju w ocean. Ale wtedy żeśmy nie wiedzieli. To znaczy kto chciał, ten wiedział, ale mało kto chciał.

Nastrój poprawił mi nieco facet, który przypominał mi Bąka. Oświadczył, że przyjechał z Poznania, ale z tego prawdziwego Poznania, ostatecznego Poznania – by uścisnąć mi rękę. Uścisk miał kościsty i nie wiem, czyja dłoń zachręściła. Złożył banalne życzenia, lecz dodał do nich bardziej ludzki akcent:

– Dziękuję, za pomoc w znalezieniu mieszkania.

Bóg wie, jakie mieszkanie miał na myśli i gdzie. Nie był nawet wstawiony, lecz wzrok miał dziwnie szklany. Ja też musiałem chyba dziwnie wyglądać. Aż mróz mnie przeszedł. Dobrze, że potem gdzieś zniknął. Niestety nie zniknęli dziennikarze. Jakiejś młodej idiotce z magazynu studenckiego musiałem opowiedzieć o swoim rozumieniu literatury. Chciałem przywołać któreś dawne porównanie: literatura jest jak sok wyciśnięty z życia, krytyka niczym sok do drugiej potęgi, czyli wino, a najwyżej, och! wspaniały koniak! – moja hermeneutyka, krytyka krytyki, paląca aż do trzewi Meta-krytyka przez największe M. Ale tej młodej dziennikarce trzeba to prościej wytłumaczyć. I bardziej obrazowo:

– Utwór udaje lustro, które odbija świat, autor się za nim chowa, a zwykły krytyk opisuje. A ja to lustro rozpieprzam!

Studentka przestała notować i niepewnie podniosła na mnie głupie oczy.

Na chwilę zjawił się Szeff z koniakiem i życzeniami. Szeff bał się, czy nie będzie reperkusji, odwetu, procesów.

– Dlaczego ich nie wykończyłeś?

– Bo mogą mi się przydać. Poza tym mam na nich dodatkowe haki, wiedzą, że mogę je ujawnić.

– Nie pytam jakie, to jakbym zaglądał w karty. Ale przy okazji wpadnij do mnie, też mam trochę. Może nawet mocniejsze. Nie tylko na nich. Zabezpieczenie w ogóle jest konieczne, a czuję, że niedługo odetną nam dostęp do źródeł.

Korowód wrócił. Wróciło „kochajmy się” i sala znów zaczęła cuchnąć od potu, fałszywych uścisków i obślinionych całusów. Komuchy lizały się z solidaruchami, wierzący z niewierzącymi, jak spod podłogi wylazł ksiądz Czajkowski i z opóźnieniem zaczął błogosławić picie, bo jedzenie już wyszło. Dali mu wódki i wytoczyli go – jak beczułkę. Chór lizusów po raz kolejny śpiewał *Sto lat*, choć znalazło się kilku, przeważnie kapusiów z SPP, bardziej europejskich, którzy zawyli mi nad uchem *Happy Birthday*. I wtedy raz jeszcze doceniłem zdolności organizacyjne pani Krysi, która odtoczyła Gapienia gdzieś precz na bok, wiecznie głodnego Nawrotka zamknęła z Kuryłką w sraczyku, a mnie wciągnęła do małego pokoiku, tam gdzie biurko prezesa Kuncewicza. Nie było Kuncewicza, było biurko, a na biurku... talerz pierogów!

– Pomyślałam, że pan generał pewnie głodny, skoczyłam tu na Piwną, tylko trzeba jeść póki ciepłe.

Złośliwie pomyślałem, że pewnie odłożyła je na początku, zanim podała na salę, ale przecież i to świadczy o talencie tej baby.

Ech pani Krysiu! Gdybym nie przekroczył pięćdziesiątki i gdyby pani nie przekroczyła i to nie raz...

– No niech się pan tak dziwnie nie gapi, myślałam, że nauczył się pan chociaż mrugać, że o uśmiechu nie wspomnę...

Skrzywiłem się do pani Krysi, a potem uśmiechnąłem do talerza. Czego oni się tak czepiają mrugania? Wiadomo, że kto mruga, to kłamie.

Spotkanie z sobą i Laryssą

Tak więc nie musiałem iść na kolację „Pod gołębie”, nie dałem się odprowadzić paru lizusom, jestem w domu. To znaczy w ponurym gmachu resortowym przerobionym z hotelu. Wcześniej to był podobno jeszcze bardziej ponury gmach, z którego zrobiono hotel... Recepcja na swoim miejscu, ktoś tam mówił o likwidacji, cieć jak zwykle ciemno ubrany – oczywista, że donosiciel. Na każdym piętrze długi, słabo oświetlony korytarz, sylwetki ludzi jak w teatrze cieni, ale czasem słyszy się tylko kroki biegnące korytarzem.

A oni tam na gali dalej piją, tańczą i dupczą jak przed laty Larysse... Nie, psiakrew, Laryssa jest w Choroszczy, na gali też jej nie było. I pewnie nie zauważyli, że jej nie ma, i nie zauważyli, kiedy ja zniknąłem. Cieć był na swoim miejscu. ale nawet mnie nie zauważył. Słyszałem, że na speckursach w Moskwie uczą spać na stojąco i z otwartymi oczami. To przydaje się nie tylko agentom, także politykom.

Po wejściu do mieszkania zacząłem się rozbierać, z jakąś dziecinną satysfakcją zostawiając rzeczy na podłodze. Rano, gdy będę szedł od strony łóżka – będę je wkładał w należytej kolejności. O ile będzie ranek – nad tym też trzeba się zastanowić.

Wkładając szlafrok z czułością popatrzyłem na stare dziury: jak wtedy. Na chwilę stanęła mi przed oczami sala z pustym krzesłem pośrodku, zrobiło mi się jakoś tak po dziecinnemu żałośnie i po

dziecinnemu zacząłem bawić się własnym ciulikiem. Tylko było to mniej przyjemne niż w dzieciństwie, nawet nie zauważyłem, kiedy ze mnie coś wypłynęło.

Teraz powinienem jak przed laty zrobić znów sam z sobą wywiad. Taka spowiedź dziecięcia wieku XX – stulecia podłości, zbrodni i najbardziej praktycznego ze złych wynalazków – obłudy.

Musiałbym zacząć od tego, że naprawdę nie nazywam się Lang. Ktoś powie: wiemy, wiemy... Jest pan Majchrzakiem. Też nie, lecz po kolei.

Nazywałem się Majcher. Ojcu to nie dźwięczało dość aryjsko, były już lata trzydzieste, więc i sobie i mnie zmienił na Majchrzak, bardziej proletariackie. Znaczy, że nie tylko Lang, ale już wcześniej Majchrzak to była nowa osoba. Więc jednak było mnie trzech, przejściowo nawet czterech, bo kumple w internacie wołali za mną „majcha”, tak nazywano mańkutów. A przecież i Leonardo, i Napoleon, i Einstein byli leworęczni. No nic, i tak zaszedłem wyżej niż te chujki. Lewą marsz! jak mówił o nas Majakowski. Po latach bycia Majchrzakiem dorobiłem się generalskiego munduru, Lang został uznanym krytykiem, a gdzie Majcher? Będę musiał zapytać któregoś z moich TW klechów, może samego TW „Filozofa” – Życińskiego, jak to jest, ale bez ściemy, z tą Trójcą i czy podobną teorię da się dopasować do człowieka. Czy człowiek ma jedną główną osobowość, galaretowatą jak ameba, a na użytek różnych prac wytwarza inne osobowości – jak wypustki? Czy ma ze trzy osobowości równorzędne niczym osoby Trójcy? Czy tylko Trójcy?

Nazwisko Lang rzeczywiście się przydało, nawet po transformacji. Załatwili mi przekłady moich i niby moich najbardziej głównianych utworów na Czechosłowację i Węgry, Leopold wciśnie mnie

na Skandynawię. Gdybym miał jakieś przaśne, polskie nazwisko, to najwyżej doczekałbym tłumaczeń na bułgarski i promocji w Empiku na Ursynowie.

Drugie pytanie dotyczyło twórczości. Próbowałem napisać coś od siebie, za PRL-u nie wyszło, ale ja próbowałem także teraz, po odnowie. Jakbym chciał zacząć wszystko od początku, więc jako wiejski syn, Majcher. Czułem i czuję, że mam dług wobec siostrzyczki.

Wspominałem już o niej, lecz najważniejsze nie przeszło mi przez usta. W trakcie tak zwanego wyzwalańca czerwonoarmiejcy otoczyli naszą wieś, szukali faszystów z AK. Wtedy zabili ojca – oczywiście w żadnej ankiecie nie mogłem się do tego przyznać. Pisałem po prostu, że umarł i to po wojnie, albo że zabili go Niemcy, to było lepsze politycznie. Nawet nie wiem, jak zginął, bo ojciec kazał mi wyprowadzić siostrzyczkę, a sam miał nas odszukać w lesie. Nigdy się nie odnaleźliśmy.

Błąkaliśmy się z siostrzyczką po lesie parę godzin, potem trafiliśmy na stację. Słyszałem o dalszej naszej rodzinie gdzieś w Sanku, miasto nieduże – myślałem, na pewno da się ich odnaleźć po nazwisku. Czekaliśmy na jakiś pociąg w stronę Rzeszowa, ale najpierw nadjechał pociąg z krasnoarmiejcami wracającymi z frontu. Nawet się nie zatrzymywali, tylko zwolnili przejeżdżając przez stację. Wskoczyło dwóch Ruskich i dosłownie porwali siostrzyczkę, wrzucili do eszelonu i wskoczyli za nią. Pobiegłem za nimi, pociąg za stacją przyspieszył, najpierw biegłem, potem szedłem po torach...

Potem noc, potem znowu szedłem.

Ludzie mówili, żebym wracał, że niedaleko granica, ale szedłem.

I właśnie niedaleko granicy odnalazłem jej ciało. W pierwszej chwili nie mogłem jej poznać, ale czułem, że to musi być ona. Jeden skrzep zamiast buzi, nóżki też we krwi. Nie miałem czym jej obmyć, zwyczajnie plułem na chusteczkę, ale chusteczka szybko zamiast zmywać zaczęła marasić krwią. Najsampierw żem ją niósł na rękach, ale jak mi zemdlały, to tylko ją ciągnę. Tak złapała mnie patrol, może gdybym nie powiedział, że to zrobili Ruskie, może by przepuścili. Ale powiedział, odebrali mi moją siostrzyczkę, a mnie do aresztu powlekli.

Byłem nieletni, byłem młodociany przestępca, ale oni nie bardzo wiedzieli o co mnie skarżyć – odesłali do domu dziecka z internatem. Teraz, po latach, mogłem już wydrukować tę opowieść, kilku moich stukaczy, tajnych szpiclów zgodziło się podredagować, nie mówiłem im z góry co, i dobrze, bo nie potrafiłem nawet szkicu tak „na rybkę” napisać. Raz nawet coś wymęczyłem, szczery płacz mi przerywał, ostatni w życiu płacz i nawet żem to pisanie zaniósł do redakcji – lecz w ostatniej chwili żem się cofnął. „Przepraszam” – powiedziałem. Ale kogo? To się nie dało opisać.

Mój wywiad z samym sobą zamieniał się w użalanie nad sobą. Na szczęście coś mi przerwało. Przerwało mi drapanie do drzwi. Nie stukanie, lecz właśnie zwierzęce drapanie – jak przed laty. Podbiegam, szarpię – w drzwiach stoi Laryssa i cicho, żałośnie mówi:

– Nie zdążyłam na galę.

Nie wiem co robić. Ona trzęsie się z zimna i opowiada, że musiała uciec z Choroszczy, że drzwi wyjściowe z zakładu były zamknięte, chodziła od pokoju do pokoju, żeby pozwolili jej wyskoczyć, na parterze jakieś gabinety, laboratoria, skakała z pierwszego piętra, skręciła nogę. Doszła dopiero na następny autobus i dlatego nie zdążyła na galę.

Wpuściłem ją do mieszkania. Od razu się do mnie przykleiła, zaczęła mnie rozbierać. Poczułem podniecenie, ale gdy upadliśmy na łóżko – wszystko zgasło. Byłem do niczego, wiedziałem, że będę do niczego! Zacząłem udawać złość, że nie po to załatwiłem jej leczenie, że teraz będzie trudno, bo dawny resort nie istnieje, nie mam już takich kontaktów. Właściwie tak po chamsku dałem jej do zrozumienia, że siedzi tam dzięki mojej forsie, dzięki mnie ma pokój, a nie łązi jak upiór po wielkiej hali fabrycznej pełnej innych upiórów.

W odpowiedzi zadała mi jedno pytanie, zupełnie nie na temat. Czy ty potrafisz mrugać, czy musisz zamykać oczy?

Pozwoliłem jej spać obok siebie. Ale to wszystko. Rano wezwałem nasze, jeszcze nasze resortowe pogotowie. Odwieźli ją do Choroszczy. Znowu byłem sam i znowu miałem dużo czasu dla siebie. Pustego czasu, takiego, w którym nie ma ludzi.

O Laryssie co jakiś czas myślałem. Nawet kilka razy, ale, *jak powiedział święty Łukasz, rączką chuja nie oszukasz*.

Od praktyki do teorii

Polityka kontrolowała się sama. Groźne dla nas były tylko dwa momenty. Zaklepany przy Okrągłym Stole Sejm „kontraktowy” funkcjonował do końca października. 25 listopada 1991 roku wybrano nowy Sejm, w którym do głosu dorwali się radykałowie, nacjonałści, a nawet sieroty po AK. Gdzieś te pluskwy pod podłogą przetrwały i teraz wyłaziły! Już 10 grudnia 1991 roku Konfederacja Polski Niepodległej wniosła w nowym Sejmie projekt ustawy o Restytucji Niepodległości, który po części naśladował akt notyfikacji Polski dokonany 16 listopada 1918 roku przez Piłsudskiego.

Ale nie tylko naśladował. Projekt KPN wprowadzał także lustrację i dekomunizację, przewidywał obwąchiwanie nietykalnych dotąd służb wojskowych, a nawet sądownictwa.

Lustracji powinni się raczej bać parlamentarzyści i inni promienci III RP, z Wałęsą i Geremkiem na czele, ale pomysł z dekomunizacją stanowił śmiertelne niebezpieczeństwo również dla nas. Może by nie pozamykali, ale zakazy sprawowania różnych funkcji załatwiałyby nas na lata. Aż do starości!

Wydaliśmy więc paru byłym współpracownikom odpowiednie polecenia, paru pożytecznych idiotów po prostu podpuściliśmy. Unia Demokratyczna to wpadła dosłownie w histerię, jej posłowie tak przemawiali, że pół sejmu dostało sraczki z przerażenia.

Debata odbyła się 31 stycznia 1992 roku.

W imieniu największej partii – Unii Wolności poseł Ujazdowski perorował: Panie Marszałku, Wysoka Izbo. Nie ma żadnych racjonalnych przesłanek, aby w trybie ustawowym potwierdzić odzyskanie niepodległości... Projekt Konfederacji Polski Niepodległej mówi o przestępstwach związanych z funkcjonowaniem systemu komunistycznego. Unia Demokratyczna opowiada się za tym, aby sprawcy tych przestępstw podlegali indywidualnej odpowiedzialności na zasadach przewidzianych w kodeksie karnym...

Projekt KPN proponuje zasadę powszechnej weryfikacji. Owa weryfikacja ma się odnosić nie tylko do osób zatrudnionych w organach bezpieczeństwa, ale także do sędziów, prokuratorów a nawet adwokatów. Unia Demokratyczna nie zgadza się z tą zasadą. Nie wiadomo dlaczego projekt KPN zmierza do weryfikacji sędziów. Sądownictwo polskie w ciągu ostatnich dwóch lat uległo zasadniczym zmianom. Znam bardzo wielu sędziów w moim wieku, sędziów młodych, którzy nie mogą w żaden sposób ponosić odpowiedzialności za system komunistyczny.

Oczywiście wnioskował o odrzucenie projektu.

Bardzo pożyteczny był ten Ujazdowski.

Odrzucili w pierwszym czytaniu. 207 głosami za, przeciw 77, przy 36 wstrzymujących się od głosu.

Do dziś nie przeprowadzili lustracji. Do dziś sądownictwo jest w naszych rękach. Na wszelki wypadek jednak upieprzyliśmy KPN. A ich sojusz z partią Olszewskiego oznaczał wyrok na nas. Szef rzucił hasło „wszystkie ręce na pokład!”. Po raz ostatni widziałem taką mobilizację naszych służb. Nasze media straszyły nimi dzień i noc, nasi posłowie i lobbyści napuścili na nich wszystkie partie, nawet te prawicowe, chrześcijańskie i narodowe. Pomogli – sami o tym nie wiedząc – nawet nawiedzeni „olszewicy”. KPN została zmieciona, załatwiono ją teczkami i plotkami. A gdy już zabrakło KPN – upieprzenie samych „olszewików”, harcerzyków premiera Olszewskiego było dziecinną zabawą.

Kilka lat potem pojawiło się nowe zagrożenie. Na horyzoncie pojawiła się groźna ustawa o Prokuraturii Generalnej, a właściwie poprawka Senatu do tej ustawy, która zapewniała państwu kontrolę nad prywatyzacjami majątku narodowego. Głupi Sejm projekt przepuścił, ale jacyś senatorowie byli na tyle upierdliwi, że nawet tę ustawę przeczytali. I to oni zaczęli ostrzegać przed wyprzedażą Polski. Oni zaczęli się domagać kontroli prokuratorskiej – co godziło w dogadane w Magdalence uwłaszczenie nomenklatury. Mówię to w liczbie pojedynczej, ale wiadomo było, że nie tylko nasza nomenklatura się uwłaszczy. Także i paru cwaniaków z Solidarności, zwłaszcza różnych „doradców” i „ekspertów”. Tylko nie wolno było dopuścić, by ktoś w to wścibiał nos. Na szczęście uwalili tę poprawkę Senatu posłowie z Unii Wolności – również w dobrze pojętym własnym interesie. Raz jeszcze pojawiło się niebezpieczeństwo. Posłowie AWS jednak przeforsowali dość podobną ustawę „zapobiegającą korupcji i przeciwdziałającą wyprzedaży majątku

narodowego za bezcen”. Poszczuliśmy paru naszych ludzi, Unia Wolności zwróciła się do prezydenta Kwaśniewskiego o zawetowanie tej ustawy, prezydent Kwaśniewski zawetował, ustawa poszła pieprzyć się w buraki.

Prywatyzacja ma się dobrze.

Jeszcze trochę i nie będzie już co prywatyzować.

Wstęp do poetyki donosu

Podczas jednej z rozmów z „Hölderlinem”, wpadł mi do głowy pomysł, że nie wolno marnować skarbów wiedzy zgromadzonej w teczkach donosicieli, zwłaszcza tych z wyższej półki, pieprzonych autorytetów. Uczciwie mówiąc, to pomysł „Hölderlin” mi podsunął, bo to ja mam wiedzę, jakiej nie ma nikt inny w tym kraju. Wśród ocalonych papierów było dużo teczek pracy literatów – na razie jest to śmietnisko pełne teczek, często brakuje w nich kartek, niektóre zaczynają już cuchnąć. Więc tym bardziej trzeba się spieszyć. Na początek trzeba to jakoś posegregować, uporządkować choćby z grubsza – następcy wytkną błędy i poprawią. Trzeba – jak przy każdej operacji – zacząć od teorii. Wzór myślenia dał nam wielki radziecki uczony Mendelejew, który wymyślił klatki – potem już wystarczyło znajdować odpowiednie ciała i wsadzać do takich czekających klatek. Sprawdza się w metodologii nauk, w więziennictwie i w bibliotekoznawstwie. Sprawdza się i w teorii literatury. Głębsza struktura jest podobna. Powiedziałem o tym młodszemu kolegom, ci – jeszcze młodszymi. Dzieciaki z Solidarności były wzruszone do łez. Miałem tam swojego człowieka, który publicznie świadczył, że zakładałem w SB Solidarność i gotów był mi przyznać status pokrzywdzonego, pełnię dostępu do archi-

wów, nawet do zbiorów zastrzeżonych. Na dostęp się zgodziłem, nie wszystko przecież pamiętam, na status pokrzywdzonego i jakiś tam krzyż zasługi – oczywiście nie. Co za dużo, to i świnia nie zje.

Donosy zachowałem nie tylko jako kwity na autorów, ale jak to kiedyś mówiliśmy *na wsjakij pożarnyj słuczaj*. I teraz właśnie taka okazja się trafia. Za jednym zamachem mogę wywołać pożar, wydać książkę i dostać za to stopień naukowy. Więc powołujmy nowy dział teorii literatury. Teorię donosu polskiego. Równolegle trzeba przygotować antologię donosu – umieszczając w niej utwory najwybitniejsze i najbardziej charakterystyczne dla swoich podgatunków, czyli „klatek”. Bez tego wiedza o naszej historii i o naszej literaturze wciąż będzie ułomna, więc fałszywa. Jeśli wziąć pod uwagę, jacy pisarze i jak długo byli zaangażowani w tę twórczość – będzie to wydarzenie w skali świata. Nasza jawna literatura wciąż jest niedoceniana – ta z pewnością zdobędzie rozgłos.

Wstęp do wstępu

Stworzenie takiej antologii merytorycznie i prawnie nie jest trudne. Teksty były już opłacane jako donosy z budżetu MSW, więc prawo autorskie przeszło na tajne służby a po ich rozwiązaniu – na państwo. Procesów żaden z tych Twórców nie wytoczy, natomiast na pytanie, czy im samym winno się wytaczać procesy należy odpowiedzieć twierdząco. Donosy tajnych współpracowników powodowały realne krzywdy – ten człowiek stracił pracę, tamten wolność, ów wyjechał z rodzinnego miasta a nawet z kraju. Jeżeli oficjalne prawo zrezygnuje z przywracania sprawiedliwości – w kulturze powstanie wyrwa, swoisty *nolawland* – trzeba będzie wybierać pomiędzy nihilizmem a samosądem (*Lynch law*), smoła i pieprz

mogą okazać się wtedy podręcznymi narzędziami przywracania wiary w sprawiedliwość.

Zaniechanie lustracji i sądzenia tajnych złoczyńców może zapoczątkować (o ile już tego nie uczyniło) zniszczenie etosu życia zbiorowego. Rezygnacja z użycia prawa wobec tajnych donosicieli implikuje bowiem przekonanie, iż złoczyńca tajny pozostaje istotą uprzywilejowaną i wyższą nie tylko od złoczyńcy jawnego i jawnie osądzonego, ale także od ludzi niewinnych a nawet zasłużonych. Trud tych ostatnich jawi się bowiem jako czynność absurda. Efektem postępowania ludzi prawych jest niedola najbliższych, gorycz świadków i bezczelny chichot donosicieli (pomijając ich korzyści materialne odnoszone dzięki donosom). Dla odbudowy wiary w sprawiedliwość należy przyjąć, iż potomkowie skrzywdzonych również mogą pozywać donosicieli – odebrano im bowiem prawo do dzieciństwa tak szczęśliwego, jakim byłoby, gdyby nie działalność delatorów. Precedensy można znaleźć już w orzecznictwie NRF oraz w roszczeniach dzieci i wnuków holocaustu.

~~Wkręt. Wtręt, który trzeba gdzieś wkręcić:~~ Stałe i zmienne wartości utworów kapownicznych

Donos jako materiał oskarżenia ma wartość zmienną i stałą. Zmienną, gdyż po politycznej transformacji z dokumentu oskarżającego opozycjonistę staje się dokumentem oskarżającym samego donosiciela i władze, którym ten służy a jednocześnie świadectwem moralności, odwagi a czasem niezwyklej inteligencji i pomysłowości opozycjonisty, który w pełni zasługuje na miano bohatera donosu. Ta wartość ma charakter odwracalny – jak same transformacje polityczne. Wartością niezmienną pozostaje jakość literacka donosu.

Z notatnika

Książkę Pawła Miliukowa o Leninie do sejfu, ale najważniejsze fakty i daty do notesu. Piszę skrótami – nie tylko dla oszczędności miejsca – notes i tak dość szybko się zapełnia. Dla przypadkowego czytelnika – przypadkowe daty i nazwiska. Mogą się kiedyś przydać – albo nigdy. Marynarze z Kronsztadtu i Frakcja Czerwonej Armii, rodzice Romea i Julii pracowali u szlachetnego Schindlera, Moczulski przed KPN robił ROPCiO, Marcowe zeznania michnikowców, Zakłady Putiłowskie, „Albin” Szlajfer, lista 33 poetów z Konfederacji Nowego Romantyzmu, Karl-Heinz Kurras i agent „Wolski”, kolejne nazwiska przywódców Solidarności.

To jest prawdziwy obraz i historii polski i mojej małej historii, która się w tę większą zaplatała. Bałagan, który potem porządkujemy – zapominając o tym, co nie pasuje do wzoru.

Dopisać:

Jan Samsonowicz. Poeta z Gdańska, przewodniczący Koła Młodych przy ZLP. Pracował jako zaopatrzeniowiec w Akademii Medycznej w Gdańsku. Był członkiem i przewodniczącym Literackiego Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. Do Stoczni Gdańskiej w Sierpniu '80 trafił jako strajkujący delegat Akademii Medycznej. Autor i kolporter ulotek. Internowany. Wtedy napisał wiersz *Modlitwa*:

madonno moja
czarna i senna
już nie wiem
czy to ja
czy ty drżysz we mnie.

Jeden z jego kolegów powiedział: „On pozbawiał nas strachu”.

30 czerwca 1983 znaleziono go powieszzonego na płocie Stoczni Gdańskiej. Do dziś nie wiadomo, jak zginął. Było to tak niedawno – a jakby w innej epoce.

Teoria donosu polskiego – ~~ciąg dalszy~~ początek właściwy.

Tożsamość genologiczna donosów i problemy pokrewne

W napisanym około 335 przed Chrystusem traktacie *O sztuce poetyckiej* Arystotelesa (*Περὶ ποιητικῆς* – *Peri poietikēs*) wprowadzony został podział przydatny po dziś dzień. Literatura to liryka, epika i dramat. Współczesność dodała rodzaj czwarty – literaturę faktu, pisaną, ale także mówioną, a w niej takie gatunki jak listy (fakty prywatne, subiektywne), reportaże pisane dla sławy i dla służb, a z mówionych wywiady (przesłuchania) i gawędy, czyli zwierzenia różnych tewulców i konsultantów, które potem streszcza oficer prowadzący. Mistrzem takich ubeckich gawęd był Nawrocki, a w starszym pokoleniu „Stefan” Guranowski, który nawet niektóre nagrywał nam na magnetofon.

Na marginesie powiedzmy, że taka forma współpracy pozwalała co ambitniejszym i wrażliwszym donosicielom z czystym sumieniem oświadczać, iż niczego nie podpisywali i żadnych pieniędzy nie brali. Zamiast srebrników brali na przykład paczki delikatesowe. Wielu tewulców potem otrzymane od SB koniaki, kawy i delikatesy po prostu sprzedawało.

Osobny nurt stanowi metaliteratura delatorska, czyli analizy dzieł zwane krócej krytyką – z interesującego nas, a nowatorskie-

go w krytyce światowej policyjnego punktu widzenia. Tutaj należą konsultacje i opiniowanie utworów dla SB oraz poufne „recenzje polityczne” wykonywane dla wydawnictw. Do czołówki „meta krytyków”, można zaliczyć „Marię Wolską” i Gapienia – „Walcza-ka” od poezji, tewulca „33” od prozy i paru innych. Klasę dla siebie stanowi „Dingo” – Aleksander Wieczorkowski, który nie tylko opiniował utwory, ale nawet napisał dla służb dziełko, które jest pierwszym, opartym na współczesnej psychologii podręcznikiem manipulacji ludźmi – także za pomocą telewizji. Pod tym względem wyprzedziliśmy nawet radzieckich.

Donos klasyczny

Z punktu widzenia teorii donos jest podgatunkiem literatury epistolarnej, ma nadawcę i adresata. Dodać można, iż stopniem demokracji stoi wyżej niż *poesis docta* – czytelna tylko dla elit i tym samym dzieląca społeczeństwo. Donos łączy – w gównianej odmianie demokracji – ale łączy! W Polsce uprawiała go czołówka literatów PRL: Szczypiorski, Passent, Kapuściński, Odojewski, Kuśniewicz, Kabatc, Grynberg, Wieczorkowski, ale także przedstawiciele innych zawodów artystycznych (Piwowski, Tomaszewski), przyartystycznych (dupa Jasienicy TW „Ewa”) i zgoła nieartystycznych, jak legendarny już TW „Bolek” – prosty elektryk, który dzięki uprawianiu tej literatury rozpoczął olśniewającą karierę w stylu amerykańskim: od liżybuta do prezydenta.

W razie edycji – jak uważam – zachować będzie trzeba pisownię oryginału, błędy można poprawiać w przypisie. Pomyłki bowiem dużo mówią o autorze donosu, zarówno te nieświadome, wynikające z pochodzenia klasowego, jak świadome, wyrozumo-

wane. Donosy ludzi prostych to raj dla socjologa, etnologa i językoznawcy.

Problem prawdy i innych wartości

Z demokratyzmem (egalitaryzmem) donosów łączy się ich naturalny pozytywizm, tak w estetycznym, jak w politycznym i ideologicznym wymiarze. Z respektu dla milicyjnego adresata i z lęku przed „krzyżową” kontrolą służb delatorzy podawali informacje uważane za prawdziwe; stopień przybliżenia ich tekstów do rzeczywistości bliższy jest Arystotelesowej definicji prawdy, niż „prawdziwość” utworów uchodzących jawnie za „literaturę faktu”. To donosiciele opisują materialne fakty – i więcej nic. Gra słów narzuca się sama: fakty i nic, czyli nicość. Nie ma żadnych wartości wyższych, odgórných iluminacji ani cudownych nawróceń. Bohaterowie donosów kierują się tymi samymi materialnymi wartościami, co ich autorzy: chęcią poprawy bytu, zdobycia wygodniejszej nory, smaczniejszych potraw, lepszego miejsca w hierarchii stada. Większość donosicieli to zdeklarowani materialści – nawet jeżeli wspominają o tak zwanych wartościach wyższych, to tylko po to, by przypomnieć, że są to albo złudzenia, albo celowe fałsze rozpowszechniane przez kler. Widziana w dłuższej perspektywie czasu literatura donosicielska jawi się jako ważna część projektu socrealizmu, a nawet socrealizmu *avant la lettre*. Namysł nad nią pozwala przyjąć, iż nurt ten miał swe źródła nie w czasach Żdanowa i Żółkiewskiego, lecz w czasach pozytywizmu, który ograniczał swoje analizy do faktów materialnych i socjalnych. Pamiętajmy, że w porównaniu z literaturą romantyzmu pozytywizm cechował się rezygnacją z wartości

tak zwanych wyższych – religijnych i patriotycznych, w przypadku literatury polskiej – z katolickich i niepodległościowych. To samo da się powiedzieć o literaturze socrealistycznej, także w odmianie delatorskiej. Można więc mówić o dwóch nurtach socrealizmu: sfabularyzowanym (ale jawnym) dla mas i bardziej adekwatnym do rzeczywistości (ale tajnym) dla elit. Jawny tworzyły powieści Brandysa i Koźniewskiego, tajny – donosy tegoż Koźniewskiego, a także Szczypiorskiego, Grynberga, Nawrockiego, Szlajfera i wielu innych twórców.

Można powiedzieć, że marzenie o realizmie socjalistycznym wcieliło się w sposób niedoskonały w „produkcyjniakach” i w sposób prawie doskonały – w teczkach UB!

Teraz trzeba będzie z powrotem przejść od teorii do praktyki.

Nie wiem, czy kiedykolwiek opublikuję te notatki, młody Lang oczywiście by to zrobił, ja mam wiele zastrzeżeń, wiem, że to wstęp do dzieła niemożliwego. Żeby stworzyć dzieło wyczerpujące temat, trzeba by opracować kilkadziesiąt tysięcy teczek, sięgnąć po donosy z okresu utrwalania władzy ludowej, uwzględnić informacje przemysłowe, z czasów gdy przemysł PRL był w powi-
jakach, posegregować donosy spoza żelaznej kurtyny – choć kurtyna zniknęła i świat wygląda inaczej. A jednak literatura delatorska to ogromny dział literatury współczesnej (nie tylko polskiej, choć to niewielka pociecha) warto by ją, jak mówi poeta, ocalić od zapomnienia. Uświadomiłem sobie, że spalenie teczek to akt barbarzyństwa podobny do spalenia Biblioteki Aleksandryjskiej przez Omara.

Schron w Dubrowniku (przed 17 IX 93)

Widmo krążyło nad Europą, widmo komunizmu. A krążyło – bo gdzie przysiadło – ludzie je wyganiali, machając narodowymi flagami – takie widać najskuteczniejsze, jak czosnek na wampira a woda święcona na diabła. W końcu uciekło do Rosji i dalej do Północnej Korei, gdzie chroniły się wtedy wszystkie widma, upiory, demony – zarówno złe, jak i dobre. A jak wygnali widmo – zaczęli się tłuc między sobą tymi samymi, narodowymi flagami. Trzeba było ich godzić, a czasem – wprowadzać zawieszenie broni, by mogli pogrzebać trupy. I na taką właśnie okoliczność trafił mi się wyjazd do Jugosławii, a właściwie do rozwalającej się Jugosławii. Do dzisiaj jej żałuję! To mogła być słowiańska Szwajcaria. Też miała, Alpy a jeszcze dostęp do morza, kolorowe miasteczka nawet ładniejsze od włoskich. Architekci bizantyńscy, włoscy i osmańscy zostawiali tej ziemi swe dzieła, a przyroda stapiała je w harmonijną całość z górami, morzem i lasami. I komu to przeszkadzało?

Przed wyjazdem co nieco czytałem. Na przykład cały Split zbudowano w rozpadającym się pałacu Dioklecjana. To był chyba jedyny z cesarzy, który odważył się abdykować i zamieszkał w pałacu wielkości miasta. Komnat tyle, ile dni w roku, z widokiem na góry i morze, a jeszcze na niebo i piekło. Dopiero teraz zauważyłem, że mój pałac stoi nad morzem – powiedział po abdykacji.

Po jego śmierci, podobno samobójczej, godnej wyznawcy stoicyzmu, pałac poszedł w ruinę, ale ludzie zamieszkiwali w dawnych salach, dostawiali ściany, doklejali balkoniki. W jednej z głównych sal zrobiono teatr, w innej kościół – to właściwie to samo, tylko że piętro wyżej, za to spektakle nudniejsze. A ci z przedmieść to podkradali rzeźby, kolumnienki, ozdabiali swoje domostwa i w ten sposób Split stał się pałacem, ale i pałac Splitem.

Niestety – miałem jechać nie do Splitu, ale do Dubrownika, to był pierwszy minus tej delegacji. Drugi minus to fakt, że miałem jechać tam z Jankiem. Trochę mnie to niepokoiło. Szef wracając do incydentu z Torunia zasiał jednak we mnie trochę wątpliwości. Gdzie był Janek, gdy ja byłem już w hotelu? Przecież go w pokoju nie zastałem. Czy rzeczywiście Laryssa była obiektem zamachu? Wyszła przecież z mężczyzną podobnym do mnie. Figurant umarł, ale czy to on miał umrzeć? Jeżeli to był zamach na mnie – to nie pierwszy i zapewne nie ostatni. Za co mści się ten nieudacznik?!

W Dubrowniku zbijaliśmy baki i mieliśmy nadzieję, że tak będzie do końca naszej misji. Hotel był kawałek za murami, wojna jeszcze dalej, gdzieś w Bośni, o Chorwację tylko zawadziła. Ruscy byli oczywiście za Serbią, my raczej za Chorwatami, ale do strzelaniny, ani nawet do mordobicia nie doszło. Wziąłem z sobą nagana, raczej dla szpanu, ani razu nie użyłem. Nawet by po pijaku popisać się grą w ruletkę.

Pierwszego dnia pokazano nam schron i salę konferencyjną. Schron był wkopany poziomo w zbocze tej samej góry przy której stał hotel, dosłownie parę metrów. Jakby kto wsunął w górę wielką metalową szufladę. Dziwne tylko, że nikt nie przekuł przejścia wprost z hotelowych podziemi. Chyba że schron wybudowano wcześniej, dla wierchuszki miejscowej kompartii. Wskazywać na to mogła umieszczona na końcu bunkra, dodatkowo wzmocniona betonem i żelastwem salka konferencyjna w starym stylu. W razie nalotu siedziało się wygodnie w fotelach pijąc miejscowe wino. Językiem obowiązującym naszej konferencji był rosyjski, Ruscy mieli zresztą większość w Komisji. My byliśmy tylko dodatkiem, żeby zwać ją międzynarodową.

Po obiedzie poszliśmy na zwiedzanie miasteczka. Dużo średnio-wiecznych reliktyw, na przykład posąg świętego Vlacha nad bramą. Wierzano, że jest opiekunem miasta. Główna ulica dość szeroka, jednak poboczne ciasne, ciemne – trudno żyć. Takie wycieczki w przeszłość każą doceniać rozmach socjalistycznych miast takich jak Nowa Huta czy Nowe Tychy. To są enklawy przyszłości, Dubrownik to piękna skamielina. W zatoczce na północ od miasta pokazano nam klasztor. Dosłownie pokazano, bo był już zachód i nie było środków transportu. Po zachodzie rybacy boją się tam podpływać, wysepka czasem zanurza się w morzu wraz z ludźmi. Jeśli dobrze zrozumiałem przewodnika, jest to klasztor wygnańców, do tego heretycki. Wyznawcy świętego Vlacha walczyli z mniachami, którzy uznawali się za prawdziwych uczniów świętego Augustyna, to znaczy z czasów, gdy ten był jeszcze manichejczykiem. Podobno prorok heretyków twierdził, że wyjaśnił tajemnicę Boga. Przewodnik też nam ją wyjaśniał, ale dosyć pokretnie, pewnie sam nie rozumiał. Jeśli dobrze to składam, to ci od Vlacha twierdzili, że Bóg jest dobry i wszechmocny – wyrócili się na problemie zła, cierpien dzieci, chorób, wojen, morowego powietrza. Byli jednak optymistami, twierdzili, że zło jest tylko brakiem dobra, taką metafizyczną dziurą na drodze do nieba, czyli do powszechnej szczęśliwości. Vlach był takim naprawiaczem dziur, strzegł miasta. Dlatego pozostało niezdobyte i piękne, pozostało Słowiańską Wenecją.

Ich przeciwnicy zarzucali im błąd w „przedobrzonych” definicji Boga. Jeśli uzna się, że jest jednocześnie i wszechmogący, i dobry – trzeba uznać, że albo nie jest wszechmogący, albo nie jest dobry. Jeśli uznamy, że nie jest wszechmogący, wtedy wszystko jest jasne. Nie widzimy tego, lecz wciąż trwa walka jakby dwóch bogów – trzeba pomagać temu dobremu, sam nie wygra. Jeden z Ruskich powiedział, że coś w tym jest. Oni na przykład mieli dobry Plan Pięcioletni, ale psuli im go dywersanci i szpiedzy, i że u nich wciąż

walczą dwie siły, jakby dwóch bogów. Janek, który zna lepiej rurski przerwał mu złośliwie, że widocznie ten zły bóg jest silniejszy, to znaczy lepszy, skoro popsuł dobrą Pięciolatkę. Rusek otworzył dziób i długo go nie zamykał. Z kolei jeden z zachodnich delegatów, na oko wymoczek albo matematyk, powiedział, że koncepcja Boga da się pogodzić z koncepcją inteligentnego planu, tylko że Związek Sowiecki (on używał takiego określenia) nigdy nie miał inteligentnego planu, nie był nawet jego częścią. Rusek z wściekłym trzaskiem zamknął dziób, a gdy znów go otworzył, to kłął nierzeczywistym pulomiot – tak szybko, że nikt nie wiedział o co mu chodzi. Sprawę załagodził przewodnik przy okazji kończąc swoją opowieść.

Dogmatycy chcieli najpierw tych, którzy negowali wszechmoc Boga, spalić na stosach. Ale zjawił im się święty Vlach i zabronił. Więc wygnano ich tylko na tę wyspę. Miejscowi dowożą im jedzenie, mnisi czasem pojawiają się w mieście, pomagają w szpitalu, jest wśród nich nawet lekarz, wynajmują się do remontów domów czy naprawy dróg. Potem znikają.

Patrzyliśmy w kierunku wyspy. Klasztor wyglądał jakby płonął, potem wszystko zgasło. Zachody zapadają tu szybciej niż u nas, trwają krócej. Nastrój popsuł przewodnik, który rozpoczął zbieranie pieniędzy, potem zniknął, ale nastrój nie wrócił. Powinien był z góry uprzedzić, że to płatne. Ten kapitalizm jest jednak cyniczny, to zły ustrój. To mówię już generalnie. Kapitalizm odwołuje się do tego co w człowieku najgorsze, zwierzęce, poniżej pasa. Do chciwości, łakomstwa, chęci zniewolenia, jednym słowem, do wydupczenia innych w każdym znaczeniu tego słowa.

Drugiego dnia zrobiono interesujące seminarium – okazja, żeby Zachód pokłócił się ze Wschodem. Ale właśnie się nie pokłócił! I to było w tym wszystkim piękne. Haruspik na widok haruspika się

uśmiecha – zauważył Cycero. Siedząc przy dobrych francuskich koniakach czuliśmy się jak współcześni haruspikowie. Rozdano nawet jakieś skrypty, oczywiście ponumerowane, ale w praktyce z nich nie korzystano, nie wszystkie opisane tam operacje były udane. Zamiast tego referenci analizowali wzorcową akcję *Seat 12*. Głównym jej haruspikiem był Iwan Iwanowicz Agayanc, z pochodzenia nie Ormianin, jak myślałem, tylko Azer, ale i tak Sowiet. Byłem jedynym na sali, który potrafił coś o tym typie opowiedzieć. Tylko referent wiedział więcej i nawet mnie zaskoczył. Zwłaszcza jeżeli chodzi o działalność Agayanca w Paryżu. Ruscy jednak większość ważnych informacji wciąż utajniali, niektóre jednak wypłynęły same. To Agayanc, widząc klęskę komunistów w Hiszpanii ściągnął do Moskwy słynną La Pasionarię, a nieco wcześniej – wywoził w trumnach hiszpańskie złoto. Czasem tak wyładowywał trumny, że na samych nieboszczyków, niby poległych ochotników z ZSRR i paru innych krajów, brakło miejsca. Wywalano ich wprost do miejskiego ścieku, tylko trochę zniekształcano im twarze. Wiadocześnie nie dość starannie zniekształcano i nie dość starannie zatapiano. Dlatego sprawa wypłynęła – zażartował referent. Ale wiadomo, co było w metalowych trumnach, jeżeli ochotnicy byli w ścieku i wiadomo, że było tego dużo.

Agayanc także w czasie tak zwanej „zimnej wojny” rozpoczął atak na zachodnie autorytety, konkretnie na Kościół. Z tego co mówił referent wynikało, że pisarz Hochhuth, Niemiec, żyjący do dzisiaj, nie był wcale taki wredny, za to głupi. Generał, bo Agayanc był już wtedy generałem, dał mu odpowiednie dokumenty, pseudocytaty z pseudopamiętników, przystawił do niego kilkoro wielbicieli, którzy starego bufona nadymali, że autorytet moralny, że nie wolno robić wyjątków dla zła – bez względu na to, po której stronie barykady wypływa. No i Hochhuth z papieża, który ratował

Żydów, zrobił papieża, który ich wydawał, z namiestnika Boga – namiestnika Hitlera.

Hochhuth nie tylko dowalił „Namiestnikowi”. Ubocznym, ale wkalkulowanym efektem jego sztuki była furia Żydów. Ich nienawistne krzyki słychać było w całej Europie – a bardziej krzyczeli na papieża i katolików niż na Niemców. Gdyby żył Jezus – znów kazaliby go ukrzyżować – wypuszczając zbrodniarza Barabasa – oświadczył Hochhuth. Antypapieska operacja *Seat 12* była jedną z najbardziej pustoszących kampanii zimnej wojny, referent porównał ją do amerykańskiej bomby neutronowej – niszczyła niewidzialnie. Myślę, że była czymś lepszym. Bomba neutronowa pozostawia budowle, niszczy ludzi i materię żywą. *Operation Seat 12* zniszczyła tylko mózgi, przynajmniej zachodnich lewaków. Reszta dalej była do użycia. A naszą małą *Seat 12* była operacja *Dejmek 66*. By popsuć ciemnogrodowi świętowanie tysiąclecia chrztu, Dejmek też odpalił Hochhutha. Nie była to superbomba, takiego sprzętu nie mieliśmy, raczej gówno wrzucone w wentylator, ale też skutek odniosło. Ten Dejmek to zajdzie w ministry! A polskie głupki teatr nazwą jego imieniem. Może w samej Warszawie albo co najmniej w Łodzi. Może kto chce się założyć?

Widmo komunizmu uciekło, ale zostawiło dużo piskląt. Mniej gryzą, bo za słabe, za kalekie, ale za to kłamią, kradną, szczują jednych na drugich, a przede wszystkim smrodzą. Na Grassa też radzieccy mają haka. Był za młodu w SS. Każdy naród ma swojego „Bolka”. Przy kolejnej butelce spieraliśmy się z Jankiem, czy byłoby lepiej, czy gorzej, gdyby Wałęsa wziął się do pisania książek, a Grass został prezydentem? Jednak jest coś w tych połamanych ludziach, co nie pozwala osiągnąć prawdziwej wielkości – w żadnej dziedzinie. Może dlatego z lansowanych u nas „trzech wieszczów” socrealizmu nie udało się skleić ani jednego porząd-

nego poety? Zbyt zgniłe były te kawałki. Nie zrosły się, tylko zaśmiardły.

Nasiadówki były przed obiadem, po południu włączyliśmy się po mieście. Miejscowi i Ruscy dojeżdżali swoimi samochodami, my – autobusem, lecz to tylko kilka przystanków. Przed wejściem każdy kupował małą torebkę kasztanów – akurat wystarczała do końca jazdy. Fideiści zwiedzali katedry, kościoły, klasztory, my, materialisci maszerowaliśmy do którejś z knajp na nadbrzeżu, wbijaliśmy na ruszta tony makaronu zwanego tu z włoska *spaghetti*, popijaliśmy beczułkami piwa. Pod koniec gospodarze nie oszczędzili nam miejscowych tańców, oczywiście karnawałowych, bo tu cały rok trwa karnawał. Byłoby to nie do wytrzymania, gdyby nie pewne urozmaicenie. Jeden z tańców niezwykle bogaty w figury, piruety i skoki bliskie akrobacji wykonywano w średniowiecznych strojach – nie tylko na wzór tańców śmierci, ale nawet w oświetleniu „świateł śmierci”. Były to tak zwane lampy stroboskopowe – oświetleni nimi tancerze jakby zastygali w powietrzu – w odrealnionych kolorach, ni żywi, ni martwi. Roztańczeni.

Najciekawszy był jednak wieczór, kiedy urządziliśmy zawody konsumpcyjne z Ruskimi. Oni byli tak kontrolowani, że bali się zwiedzać kościoły i ograniczali się do żarcia. Z restauracji wychodzili tylko... starym radzieckim obyczajem za restaurację i wracali, by znowu żreć i pić. Zawody odbyły się w knajpce tuż przy przystani, co okazało się nader korzystne dla Ruskich.

Walczyliśmy na spaghetti i piwo, wygraliśmy w obu konkurencjach, do tego Ruscy się fatalnie posrali. Małą, elegancką ubikację załatwili już po pierwszej rundzie, potem biegali wprost na wspomnianą przystań. Myśleliśmy, że wyjaśnienie jest oczywiste. Że jednak my byliśmy ci kulturalni, bardziej powściągliwi w obżar-

stwie. Tajemnicę wyjaśnił nam szef kuchni. Ruscy od czasu konfliktów, gdy ogłosili że Tito to pies łańcuchowy imperializmu, nie byli w Chorwacji kochani. Bo Tito był Chorwatem, a w Dubrowniku czcili go prawie tak samo jak barokowego poetę Ignjata Đurđevića, który w tymże mieście się urodził. Okazało się – przyznał szef kuchni – że kibicujący nam kelnerzy dosypywali do spaghetti proszku – Ruskim na rozwolnienie, a naszym na zatwardzenie. Pokochaliśmy Chorwatów i ich miasto. Oni też nas na tyle polubili, że zaczęli wpadać do nas do hotelu, pływali w naszym basenie, wydupczyli połowę delegacji bez względu na wiek i płeć, a nawet – i to kilkakrotnie – zwiedzali bunkier. Za każdym razem wspólnie wspominaliśmy nasze zwycięstwo nad Ruskimi w żarciu. Ta makaronowa Iliada do dziś czeka na nowego Đurđevića, by ją opisał.

Z Chorwatami zrobiliśmy raz jeszcze wycieczkę wzdłuż brzegu – podobno była w planie. Tłumaczyłem, że już jedna się odbyła – odpowiadali, że to niemożliwe, że oni trzymają się dat. Ponieważ nikt z nas nie znał nazwiska tamtego przewodnika nie dało się nic wyjaśnić. Organizatorzy twierdzili, że był to fałszywy przewodnik, który po prostu nas naciągnął. Pewien dziwny incydent potwierdził to podejrzenie. W trakcie spaceru wyszliśmy daleko za mury – prowadzono nas do jakiejś ekstra karczmy na poczęstunek. Znaleźliśmy się nad znaną z pierwszego spaceru zatoczką – żadnej wyspy nie zobaczyliśmy. Podobno tamten przewodnik kłamał, nigdy nie było tu wyspy ani klasztoru „wygnańców”. Na szczęście była knajpa i czekał poczęstunek. Spaghetti świętej Magdaleny – podobno ulubione spaghetti Đurđevića.

W Dubrowniku raz tylko przeżyliśmy nalot – i o tym muszę napisać. Bo jak zawyła syrena, jak wybiegliśmy do schronu, to przed wejściem zrobił się tłok. Miałem wchodzić, gdy jakaś ręka

odepchnęła mnie tak, że zacząłem zjeżdżać po stoku, do wejścia wepchał się mój Janek, potem kilku Ruskich, ci zawsze przodem, a ja wciąż nie mogłem się wykaraskać. Zjeżdżałem kolejny raz, gdy nagle zatrzęsło górą, miastem i całym światem. Schron eksplodował, część góry uniosła się w powietrze, ja straciłem przytomność.

Gdy potem opowiadałem o tym wszystkim Szefowi, spytał, czy sprawę Janka uważam za wyjaśnioną. To on mnie odepchnął od schronu, żebym został na zewnątrz, wystawiony na bomby i serie z broni pokładowej. Wyraźnie chciał, żebym zginął.

– Za wyjaśnioną nie, ale na pewno za zamkniętą.

– Jak to? – Zdziwił się Szef, potwierdzając krążące po departamencie plotki o kolejnym nawrocie debilizmu i bliskiej emeryturze.

– Tak, pewne jest, że zginął.

– A to, że was chciał zabić.

– Myślę, że nie, był przerażony jak wszyscy, nie wiem nawet, czy wiedział kogo odpycha.

– Na pewno wiedział. Wepchnął was, Majchrzak, pod bomby. Daliście mu kiedyś posmakować Laryssy, a potem mu ją wzięliście, on tego nie zapomniał. Rusczy mają genialne określenie na takich: *pizdostradaliac*. Wiecie, *stradat'* to tyle co cierpieć i tęsknić – tłumaczył Szef. – I nie chodzi o smak jej piczki, chodzi o całą jakość życia, o wiersze, kapelusze, wieczory poezji w zamkach. W zamian dałeś mu życie samotnego, starzejącego się milicjanta topiącego swoją rozpacz w wódce. Życie podobne do twojego, wybac Majchrzak, ale taka jest prawda. Więc gdy nadarzyła się okazja, wypchnął cię na śmierć, pod bomby! – Szef znowu przeszedł na ty.

– Też tak myślałem. Lecz to nie była bomba. A jeśli bomba – to podłożona do środka, do salki konferencyjnej. Myślę, że ci Chorwaci naprawdę nie lubili Ruskich, a właśnie Rusczy stanowili więk-

szość naszej komisji. Zresztą w czasie wybuchu zbiegiem okoliczności w bunkrze nie było Chorwatów.

– Jaki stąd wniosek?

– W sensie dochodzeniowym żaden. W sensie, jakby powiedział Witkacy, metafizycznym, że Janek uratował mi życie. Nawet jeżeli przedtem chciał mi je odebrać.

Szef oczywiście nie wiedział kim był Witkacy, ale umiał zachować twarz;

– Uważajcie, kurwa, bo jak się okaże, że jesteście nieśmiertelni, to was przeniosą do Moskwy. Jako zmiennika w mauzoleum – parsknął. Ja też zarechotałem.

Stypa w „Złotej Kaczce”

Coś podobnego powiedział mi Wiktor. Urządziliśmy zaimprovizowaną, świecką, ale za to zakrapianą stypę po Janku, oczywiście w „Złotej Kaczce”. Wznosząc za jego pamięć powiedziałem *homo totiens moritur, quotiens amittit suos*, wymawiając ostatnie słowo już widziałem, że się wygłupiłem. Za mało pracuję nad Wiktozem. Nawet gdy mu rzecz wyjaśniłem, że człowiek tylekroć umiera, ilekroć traci bliskich – i tak przekręcał Publiliusza na Publiusza a Syrusa na Senekę. Nie on pierwszy, starożytni także przypisywali sentencje Syrusa Senece, znaczy, że były dobre. Ale jak to tłumaczyć Wiktorowi? Machnąłem ręką i zarządziłem drugą kolejkę, że niby nie jest pewne, czy do lepszych, czy gorszych zaświatów Janek trafił. Wypił, a razem z nim wszyscy przygodni znajomi, którzy nagle sobie przypomnieli, że też kochali Janka. Na powszechnie życzenie opowiedziałem im tę historię spod schronu – dalej patrzyli podejrzliwie. Wtedy Wiktor dorzucił, że w Toruniu też ktoś chciał

mnie upierdolić (sorry, tak się wyraził) – i nie dał rady. Przez pomyłkę zaciukał kogoś innego. Jakby Opatrzność się pomyliła. Ale jak wiemy Opatrzności nie ma, a jeśli jest – to na pewno się nie myli.

Wniosek: generał – jesteś nieśmiertelny.

Nie byłem jeszcze generałem, ale awans był zapowiedziany, wszyscy się podlizywali na wyścigi. Zresztą: nie to było ważne w słowach Wiktora. Przypomniałem, że wcześniej uniknąłem śmierci właśnie w czasie komandirówki na Podlasie, bo przecież Ruscy wzięli nas najpierw za AK-owców, chcieli nawet rozstrzelać, a dopiero gdy pomyłka się wyjaśniła – zaprosili na „bratskij pir”, znaczy ochłaj i na wspólne rozstrzeliwanie „istinnych faszystów” – AK-owców. Jeśli dodać do tego, że przeżyłem bez uszczerbku okupację, to – dodając Toruń i Dubrownik – może ktoś rzeczywiście czuł. Warto by sprawdzić.

Wiktor jakby czytał w moich myślach:

– Głowę daję, generał, że nawet gdybyście chcieli strzelić sobie w łeb – nie traficie. Albo diabeł po drodze skradnie kulę.

– Nie przesadzaj, Witia.

– No to spróbuj, generał, w ruską ruletkę. Głowę daję, że włos ci z głowy nie spadnie.

To akurat mogłem. „Złota Kaczka” zamarła, z wyjątkiem kilku pań, które zaczęły piszczeć.

– No generał, wiem, że z tyłu za paskiem masz ten swój nagan, nie?

To już było za dużo. Wyjąłem nagan, w bębenku były cztery kule, trzy wyłuskałem na stół. Głosy umilkły, goście z sąsiednich stolików wyciągnęli łby w naszą stronę, Wiktor trzymał kieliszek w powietrzu, ale nie pił. Zakręciłem bębenkiem i bojąc się, żeby nie zabrakło mi odwagi – to jednak jest ryzyko – błyskawicznie przystawiłem lufę do czaszki i pociągnąłem za spust. Rozległ się ci-

chy trzask. A potem oklaski, ten i ów nawet mnie całował, jakbym wrócił z jakiejś podróży.

Chciałem podać nagan Wiktorowi, ale on nie był Szefem, on by się nie wykręcał, on by wziął – i też by ocalał. Co innego, gdyby były dwie kule...

Wiktor jakby w moim imieniu wyciągnął nagan kolbą w stronę sali, lecz odważnych nie było. A jeśli byli, to wiedzieli: jeśli Opatrzność albo inna siła czuwa nade mną – innych w tym czasie olewa.

Nie byłem pewien, czy Witia wiedział na czym polega trick. On chyba też nie był pewien, bo przy kolejnym kieliszku „za Janka” zapytał:

– Przy jednej kuli generał jesteś pewien siebie, nie? To tylko, jak liczę, niecałe siedemnaście procent, że ustawi się kulą przy lufie? Szesnaście procent i dużo szóstek po przecinku.

– Na pozór. W rzeczywistości jak jest jedna kula, to przeważnie zatrzymuje się na dole, to siła grawitacji. Sprawiedliwość rośnie dopiero od dwóch kul, bo zachowują się jak szale wagi. – Dla lepszej ilustracji zakołysałem po bokach rękami. – No, ale ryzyko jest zawsze. Na przykład Bóg może wyłączyć na chwilę grawitację.

– Tobie nie wyłączy, generał, już prędzej mnie.

Wypiliśmy za grawitację, to materialistyczna forma Opatrzności, potem – na wszelki wypadek – za Boga. Co dwóch Bogów to nie jeden, nie?

Idąc spacerkiem do domu, układałem sobie filozoficzną parabolę o jakimś złym polityku, którego nikt nie może zabić. W końcu bierze się za to Bóg, ale też nie bardzo mu wychodzi, bo działa naturalnymi środkami. Bo jakiś środek cudowny, zakłócający bieg natury wywołuje następne cudowne i zakłócające ciągi zdarzeń, które w końcu mogą doprowadzić do kataklizmu. Robi w Morzu Czerwonym przejście dla Żydów, a potem wpadają w nie statki,

toną ludzie. Więc Bóg raczej nie robi takich numerów. Używa tego co pod ręką, noża pijanego bandziora z Torunia, żyrandola w Związku Literatów... To nie działa – widocznie więcej zła nie jest wskazane, więcej zła mogłoby już zachwiać równowagą świata.

Świat jest jednak najlepszy z możliwych – a jeśli tak, wszystkie zmiany mogą wychodzić tylko na gorsze. Jak doszedłeś już na biegun północny i chcesz iść dalej na północ, choćby jeden jedyny krok – dokądkolwiek się skierujesz, pójdiesz na południe.

Gdy potem wracałem do wydarzeń tamtej nocy już na chłodno – uświadomiłem sobie, że Wiktor przecież wystawił mnie na śmierć. Nie znał tych wszystkich kruczków, po prostu podał mi rewolwer. Podał mi szuja rewolwer, żebym rozwaliał sobie łeb. Czyżby mnie po cichu nienawidził? A przecież wszystko mnie zawdzięcza. Z drugiej strony to dzięki niemu nabrałem jakiejś pewności siebie. Gdy wkrótce potem odbyły się urodziny Szefa – punktem kulminacyjnym był mój popis z rosyjską ruletką. A podpuścił mnie znowu Wiktor opowiadając o popijawie w „Złotej Kaczce”. Koledzy w Departamencie nazywają mnie „Nieśmiertelny” – jest w tym kpina, ale i jakaś trwoga.

List pośmiertny kniazia Obolenskiego

W ministerstwie przekazano mi list, który czekał podobno dość długo, ale ja przecież byłem za granicą, w Dubrowniku, w międzyczasie sekretarka się zmieniła i właściwie to powinienem być wdzięczny, że ten list w ogóle otrzymałem. List był z Rosji. Związek Radziecki już nie istniał, ale listy nadal nosiły brudne ślady otwierania – może specjalnie tak je przyozdabiano, by odbiorcy nie

czuli się zbyt pewnie. Stary książ zapraszał mnie do siebie, poza tym opowiadał o wydarzeniach, jakie miały miejsce w Rosji już po moim wyjeździe – na ogół znałem je z prasy, więc tę część listu przeczytałem dość pobieżnie.

Z większą uwagą i że tak powiem z ukontentowaniem potraktowałem fragmenty czegoś, co robiło wrażenie reportażu, a miejscami powieści grozy, a co zostało dopchane do koperty. Obolenski napisał, że „ten tekst krąży po Moskwie” – zastrzeżenie to jednak robiło wrażenie naiwnej asekuracji, podobnej do tych, które w podziemnych gazetkach umieszczali niedawno nasi „solidarnościowi” pismacy: *tekst zamieszcza się bez zgody i wiedzy autora*.

Podjejrzałem, że autorem był sam książ. Od autora ważniejszy był jednak bohater utworu: martwy Lenin. Martwy, ale coraz mniej martwy, gdyż konieczność uzupełnień mumii i fakt, że do reperacji wybierano najlepsze i najświeższe kawałki, na przykład mięśnie mężczyzny, który zginął przed chwilą w wypadku – więc jeszcze w dużym stopniu obdarzone życiem i czuciem – powodowały to, co książ nazwał „efektem Frankenstein’a”: mumia była coraz mniej martwa. W pewnym momencie można już było nawet zacząć aranżować wypadki, by zyskać w miarę świeże narządy wewnętrzne, starannie dobierano płyty skóry. Mumia początkowo jedynie się ruszała, niczym ogromna, glutowata żaba pod działaniem elektrod. Uczeń jakby cofnął się w czasy Galvaniego – znów mówili o „elektryczności zwierzęcej”, potem jednak musieli się pogodzić z „efektem Frankenstein’a”, z wewnętrzną interferencją, z wyładowaniami bez ciągłości przewodowej – rolę bioprzewodów pełnią wszak nerwy. Mumia zaczęła się unosić do pozycji siedzącej, w końcu wstawać, a nawet wychodzić na miasto krokiem kulły, nieco podskakując, co wyglądało i śmiesznie, i przerażająco.

Jednocześnie w kronikach policyjnych odnotowano wzrost liczby morderstw, niektórych dość makabrycznych. Z napadniętych wykrawano, czy może nawet wygryzano kawałki żywego jeszcze ciała, resztę pozostawiając na pastwę psów i szczurów. Kto te fragmenty wygryzał – prasa nie podawała. W ostatnim rozdziale zaczęły się morderstwa polityczne – utwór zapowiadał śmierć wielu aktualnych przywódców, niektóre wypadki miały miejsce dosłownie wczoraj, niektóre wydarzą się jutro...

Na autorstwo starego kniazia wskazywał fakt, że utwór był właściwie niedokończony, kończył się angielskimi w stylu uwagami, iż półżywy Lenin bierze swoje sprawy w swoje ręce, a za czas jakiś weźmie się za Rosję, potem za cały świat. *Heute gehört uns Deutschland, und morgen die ganze Welt.*

Jakbym słyszał starego księcia!

Pod tymi nieco makabrycznymi fragmentami było jeszcze kilka krótkich, niezbyt jasnych zdań. Kończyłem kilkakrotnie kursy rosyjskiego, czytałem drukowane i pisane. Tu pismo było wyraźne, jednak jego przesłanie pozostawało niejasne. Jedno jest pewne: książę przypominał mi o monetach, które mi dał i podkreślał, że wbrew pozorom nie był to błahy prezent, lecz dar na wagę życia. Już niedługo się o tym przekonam. Ale *timeo Danaos...*

Im dłużej próbowałem odczytać te linijki i zrozumieć ich jawne bądź ukryte przesłanie – tym bardziej czułem się nieswojo, jakby ktoś szurnął po oknie zębami grzebienia. Może ten dreszcz był najważniejszym fragmentem korespondencji. List otrzymałem już po śmierci kniazia, ale kiedy został wysłany? Gdybym chciał wierzyć pieczętce, musiałbym uznać, że również po śmierci. Lecz życie nauczyło nas nie wierzyć rosyjskim pieczętkom i w ogóle dokumentom. Swoją drogą ciekawe, czy na podstawie tego listu dostałbym wizę? I od kogo?

Mały, niezbyt wesoły koniak w dyrektorskim gabinecie. Nowi, którzy wjechali na plecach Solidarności zrobili oficjalną wieczornicę w Prezydium Rządu. 17 września 1993 roku z Legnicy wyjechał ostatni eszelon Armii Czerwonej. Można powiedzieć, że jest to symboliczna data zakończenia okupacji, nawet podwójnie symboliczna, jeśli wspomnieć rok 1939, też 17 września. Było biało-czerwono, odśpiewano kilka modnych pieśni, przyszedł nasz oficjalny kapelan, nawet Szef przemawiał.

Potem poszliśmy do dyrektorskiego gabinetu Szefa i zrobiliśmy własny ochłaj. We dwóch.

– Od dzisiaj nikt nam nie pomoże – podsumował sytuację Szef. Nikt nie da w pysk, ale też nikomu nie musimy się nadstawiać. Tuż za dupą kosmiczna pustka, tego jeszcze nie było. Poza tym – Szef zawiesił na chwilę głos – Ruscy oddali Koreańczykom czarne skrzynki, ale nie wiadomo co to znaczy. Czy skończy się ich pech? Czy zacznie nasz? Tak czy inaczej, nie wiadomo ile mamy czasu. Tak czy inaczej, jesteśmy zdani na własne siły, jak stado wilków wśród innych stad.

– Do tego ta pustka tuż za dupą.

– Kosmiczna.

Wypiliśmy za koreańskie demony.

Przedostatnie plany. (I) Około 1993

Bo ostatnie – to jak mówi Szef – przed śmiercią. Wszystko, co teraz robimy jest przedostatnie. Spojrzenie, zwiedzanie, dotyk. Trzeba pamiętać. Trzeba się spieszyć. Doprowadzać prace do końca. Wstęp do poetyki donosu to ledwie wprawka, literacka zabawa. Lecz ta zabawa uświadomiła mi jedno: skoro stworzyłem Langa

– muszę stworzyć też jego dzieła, muszę go unieśmiertelnić. Nie może umrzeć razem ze mną, z jakimś nieznanym nikomu tajemniczym – bo na tym polegała moja praca, moje życie tajemnicy, żeby oficjalnie nie istniał. Istnieć, to znaczy istnieć w polskim matriksie, nie tylko jako 90 kilo mięsa. Owszem, jest już Lang krytyk literacki, wynalazł nowy dział teorii literatury, wkrótce opublikuje poetykę donosu, wprowadzi w obieg nowe metody interpretacji. Ale ~~do kurwy nędzy~~, przyznajmy szczerze: interpretacji cudzych dzieł. Krytyk żyje życiem pasożyta. Gdy umrze jego karmiciel – krytyk też zdycha. Krytyka, metakrytyka, hermeneutyka – to wszystko życie pozorne. Podobnie jak z duszą i ciałem. Dusza to też pasożyt.

No więc wydaję – jako Henryk Lang – *Dzieła zebrane*, albo lepiej *Dzieła odtajnione* – i mam nadzieję, że zdążę.

Oczywiście jest to tytuł roboczy.

Szkice z książki *Po drugiej stronie luster* to były produkty uboczne prawdziwej twórczości. To *maskirowka*. Może to kiedyś wytłumaczę. Wtedy sam o tym nie wiedziałem i to jest to pytanie, na które nie zdążyłem odpowiedzieć. Już byłem blisko znalezienia tego słowa, gdy usłyszałem skrobanie. Do drzwi. Ktoś mi przeszkodził, ktoś stuka, zaczyna walić, drapać – –

Nie to nie było tak, nie od razu.

Na kilka dni musiałem jechać do Krakowa. Kręcili tam film o jakimś **Schindlerze**, podobno uczciwym Niemcu, ocalił ponad 1000 Żydów. Święty człowiek, wśród Polaków niestety takiego nie było. Teraz na całym świecie stawiają Schindlerowi pomniki, lecz ma i wrogów i to nie tylko wśród Niemców, nawet bardziej wśród fanatycznych Żydów, może nawet pośród nich bardziej. Ponieważ sprawa była polityczna – sprawowaliśmy nad nią dyskretną opiekę. Reżyser opierał się w zasadzie na książce Australijczyka Thomasa Keneally'ego *Arka Schindlera*, ten z kolei opierał się na opowie-

ściach jakiegoś pijanego Żyda. Keneally Krakowa ani Płaszowa na oczy nie widział, realiów nie znał, więc reżyser nadrabiał to na miejscu. Przed jednym z ostatnich wyjazdów Szefer wręczył mi jakąś szarą kopertę i podał numer konta, który najpierw miałem zapamiętać, lecz po wykonaniu zadania – zapomnieć.

– To sprawa ściśle tajna – dodał tajemniczo.

– Jeśli oni to wykorzystają w filmie, to tajemnica i tak się ujawni.

– Tego nie wykorzystają, za to zapłacą.

Przed wyjazdem sfotografowałem dokumenty (ze służbowego kserografu wolałem nie korzystać), numer konta – nie wyglądało na krajowe – na wszelki wypadek zapisałem na kartce, którą dołączyłem do zdjęć. I wszystko wsadziłem do sejf. Najważniejsze fakty i cyfry przepisałem do notatnika, lepiej mieć zawsze pod ręką. Odkrycie sejfu jest mało prawdopodobne, ale może być trzęsienie ziemi w Warszawie albo pożar w Krakowie.

Obyło się jednak bez sensacji.

Po powrocie wróciłem do własnych planów. Coraz rzadziej wspominałem i Dubrownik i Moskwę, o Krakowie natychmiast zapominałem. Za to coraz częściej wracałem myślami do ostatniej galii, wspominałem dość dziwny wypadek z żyrandolem, ale przede wszystkim widziałem salę pełną ludzi – i puste miejsce, na którym nikt nie siedział. A powinna siedzieć Laryssa. Nie wiem dlaczego, wydawało mi się, że znów ucieknie z Choroszczy, przyjedzie do Warszawy i że potem już w niej zostanie. Teraz wszystko mogłoby inaczej się potoczyć.

Nie od teraz, od wcześniej, od Kazimierza.

Agnostyk okrakiem siedzący

Wspominałem o Kazimierzu, lecz bałem się wspominać do końca. Stare dzieje – chciałbym powiedzieć, lecz nie mogę, dlatego odsuwam te wspomnienia. W Kazimierzu odbywały się zjazdy „dialogowe”, przyjeżdżali młodzi filozofowie z kilku uczelni. Przyjeżdżali także poeci, niby na dialog między dyscyplinami, przyjeżdżali malarze – wśród nich mogło być najwięcej wrogów, malowali jakieś kwadraty i paski – nie dało się zweryfikować, czy to prawdziwy malarz, czy wróg udający artystę. Tysiące szpiegów amerykańskich mogło jeździć po świecie udając takich abstrakcjonistów. Zwykłych naturalistów by nie poudawali! Nawet przy Szyszkinie by wysiedli! Z Ajwazowskiego najwyżej skopiowali by trochę wody. Osobną grupę stanowili zwolennicy teologii wyzwolenia, którzy zupełnie legalnie przywozili podejrzone broszurki. Udowadniali, że Chrystus był, czy może byłby gdyby istniał, zwolennikiem marksizmu, bo on głosił wyzwolenie biednych – walkę klas. Jednym słowem, „Chrystus z karabinem”! Wydało nam się to strasznie popieprzone – na nich jednak dostaliśmy szlaban.

Te zjazdy w Kazimierzu organizował docent, w końcu nawet profesor Kuczyński, ten od „Szarego” – Hedy. Resztę znacie. Nie trzyma już w garści spluwy, ale ma książki równie niebezpieczne dla ustroju. Nie tylko książki. Dostaliśmy cynk, że uczestnicy wymieniają między sobą „bibułę” – organizatorzy udają, że nie widzą!

Przypomnę, że projekt wkręcenia tam naszego tewulca „Gabrieła” – Edka Ciupaka, który znał Kuczyńskiego z różnych spotkań nie wypalił, ale sprawę i tak udało się załatwić. Janek, wtedy żył jeszcze i miewał chwile natchnienia, podsunął mi świetny pomysł: wkręciliśmy do Kazimierza Larysę jako reprezentantkę Koła Polonistów, zaopatrzyliśmy ją w gazetki skonfiskowane działaczom

KPN. To miało ją uwiarygodnić. KPN to było więcej niż KOR, gdzie byli przeważnie marksiści albo niedawni marksiści. Docent „Hölderlin”, ten Anglik na kaczych łapach, pogrzebał trochę w pismach niemieckich dekadentów i przygotował dla Laryssy celowo prowokacyjną prelekcję, z której miało wynikać, że poezja lepiej dociera do prawdy niż filozofia, a wyobraźnia sięga dalej niż rozum. Chodziło, o ile pamiętam, o pewną sztywność i ogólnikowość pojęć filozofii, której „Hölderlin” przeciwstawił niedookreśloność symboli, metafor, porównań i innych poetyckich narzędzi poznania. Pojęcia nie mogą być za bardzo indywidualne i wrażliwe, bo mają służyć wielu użytkownikom, są potrzebne do ponawianych doświadczeń – metafory mają współczynnik uczuciowy bardziej indywidualny, są trudne do pojęciowej eksplikacji, lecz intuicyjnie oczywiste.

Rzecz jasna i musiałem, i chciałem być przy szkoleniu Laryssy, podczas tych zajęć sam podłapałem różne złote myśli. To, co mówił Vaihinger, że wszystko jest *als ob* – sprzeczne wprawdzie z leninowską teorią odbicia, wygląda na burżuazyjne mieszanie w głowach, ale idzie zrozumieć. Ale to, co Rickert mówił o wartościach, że nie istnieją ani cieleśnie, ani duchowo tylko na jakiś trzeci sposób – strasznie pokrętne. Czy on aby nie Żyd?

Tymczasem Laryssa wkuła, co trzeba, wygłosiła z tupetem, nawet z wyższością poetki wobec filozofii, resztę zrobiła jej uroda. Zanosilo się na to, że Laryssa zapoczątkuje nowy rodzaj filozofii! Że uda jej się znaleźć sposoby określania tego, co wymyka się racjonalności, chwytania nieuchwytnych nastrojów człowieka i kaprysów rzeczywistości – w metafory, które są czymś w rodzaju siatek na motyle. Składają się prawie z samych dziur, a jednak łapią – jak powiedziała Laryssa. Zanosilo się na wielki sukces operacyjny. Zubatow stworzył policyjne partie, ale policyjny nurt filozoficzny to dopiero mój wynalazek!

Do Kazimierza wpadłem pod koniec imprezy, jako znajomy Laryssy, nawet bliski, do tego w dżinsach i okularach à la Zbyszek Cybulski, co całkowicie zastępowało charakteryzację. Pierwszy raz byłem zadowolony, że nie jestem wysoki i – jak mówiła Laryssa – wyglądam „chłopakowato”. Pozwoliło mi to wziąć udział w spotkaniu pod wiatą PTTK, na którym wystąpiła Laryssa i nawet włączyć się do grupy – cały czas oczywiście pod przykryciem – jako filmowiec. Potem poszliśmy na spacer brzegiem Wisły, Laryssa rozglądała się za mną, mnie jednak zainteresował ten gruby, tajemniczy filozof.

Instynkt mnie nie zawiódł – filozof miał w kieszeni piersiówkę i po chwili wypiliśmy brudzia. Najpierw kazał sobie mówić Franc, potem dodał, że Fiszer. Dobrze, że wcześniej miałem już o nim informacje, że podaje nazwisko Hryniewiecki – miałem nadzieję to wyjaśnić.

Odbiliśmy od grupy i zaczęliśmy spacer w stronę Rynku. Podszedłem go, jak każdego z tych nadętych „intelektualistów” – pochwaliłem jego wystąpienie, którego nawet nie słyszałem. Zainteresowało go to na tyle, że usiedliśmy pod parasolem na Rynku. Po drugim piwie uznał mnie za swojego ucznia, ja zacząłem mu mówić Mistrzu. Po trzecim zaczął zwierzenia:

– Muszę ci zrobić wyznanie, Stasinku, ja nie całkiem się dobrze czuję – wymamrotał Grubas. Już się bałem, że zacznie rzygać, ale jemu chodziło o to, że są to zjazdy młodych filozofów, przeważnie marksistów, a on nawet materialistą nie jest.

Żeby go podkreślić w tej szczerości, przyznałem, że ja też nie, że właściwie jestem agnostykiem.

– O, to masz przechlapane u jednych i u drugich, kochanieńki. Teraz, gdy rządzą marksieści, mogą cię wziąć za pierze, że uprawiasz dywersję. Agnostycyzm, to furtka dla idealizmu. Ale jak katolicy

dojdą do władzy, a dojdą, to oni cię wezmą za pierze, powiedzą, że agnostycyzm to zakamuflowany materializm, że jesteś ordynarny ateusz, tylko boisz się przyznać.

– Ale ja naprawdę jestem agnostyk – czknąłem, żeby uprawdopodobnić wyznanie.

– A jaki? Szkoła franfurcka od Wundta czy może szkoła marburska? – rzucił chytrze.

Więc on myśli, że mnie tak łatwo rozkonspiruje. Specjalnie leci po nazwiskach, żeby mnie na czymś przyłapać i jeszcze kręci. Nie doceniasz mnie inteligenciku, to odwieczny błąd opozycyjnych intelektualistów. Ja ci, kurwa, pokażę szkołę Zubatowa:

– Udało mi się wyjść poza taką opozycję, Mistrzu. Wracając do adremu, to, jeśli mam szukać tradycji, to raczej w jaskini Platona, w *Politei*, to jest zapomniane źródło Kanta i nadaje jedność wszystkim szkołom – wykrzyknąłem radośnie. I chyba głupio, chyba mnie zdekonspirował, ale nie dał po sobie poznać. Nadal traktował mnie jak swojego ucznia, z grzeczności spytał o parę banalnych spraw i w końcu – jakbyśmy byli w dawnej Grecji – dał znak do filozoficznego spaceru. Wstaliśmy z ostrożnością godną mędrców:

– Perypatetykami byli w zasadzie uczniowie Arystotelesa, ale właściwie wszyscy jesteśmy dziś jego uczniami. Ty też będziesz – jeśli się trochę poduczysz. Wracając zaś ad rem uważam, że źródeł filozofii trzeba szukać w psychologii, a na własny a własny użytek dzielę agnostycyzm na pesymistyczny i optymistyczny.

Dookoła robiło się ciemno, ale mój świeżo znaleziony mistrz jakby tego nie zauważał. Przeszliśmy rynek, wspięliśmy się pod kościół, minęliśmy ruiny zamku. Byliśmy już mniej więcej w połowie drogi na Górę Trzykrzyską. A tam na pewno nie ma żadnego lokalu. W takim NRD na zicher byłaby knajpka. Nie trzy krzyże na pustej górze, ale knajpa pod trzema krzyżami. *Drei Kreuz am Kreuzigungberg. Bier und Würstchen.*

I nikt nie musiałby być perypatykiem.

– Pesymista sądzi – ciągnął niezmordowany grubas – że niczego do końca nie poznamy, to go miażdży i upokarza; optymista cieszy się z tego, że wydzieramy światu tajemnice, a po cichu jeszcze bardziej się cieszy, że poznamy je nie do końca. Póki choć jeden zakątek wszechświata zostaje niepoznany, choćby brudny, choćby pełny pajęczyn, tam może się kryć bóg! To go napawa optymizmem; no i ja jestem agnastykiem optymistą.

Instynktem młodego ubeka czułem pułapkę – nie wiedziałem jednak, gdzie jest ukryta. Zdecydowałem wycofać się z rozmowy żartem:

– To ja znam lepszą definicję, Mistrzu: pesymista mówi, że butelka do połowy jest pusta, a optymista, że do połowy pełna. Ja także jestem optymistą. Jest jakiś ład, jest Bóg, tylko trzeba odpowiednio długo szukać. Gdyby tysiąc ekip ratowniczych, przez sto tysięcy lat szukało, to na pewno...

– Nie jesteś optymista, tylko oszust – przerwał mi gruby Franc. Zmartwiałem. Ten pijak jednak mnie rozszyfrował.

– Jak to – zaprotestowałem dla formy.

Jemu jednak chodziło wyłącznie o filozofię:

– Ano tak. Bo nawet, jeśli coś znajdziesz, jeśli twój agnostycyzm jest cieniem wyższych światów, to nie powód do radości. Bo w tym twoim zakątku świata, brudnym, pełnym pajęczyn, może znajdować się Bóg, ale może też szatan. Jeśli ten agnostycyzm odbija jakąś walkę, to znaczy, że trwa walka dwóch sił, można mówić Ormuzda i Arymana, Chrystusa i Antychrysta, to tylko nasze nazwy, ale gdzieś tam ta walka trwa naprawdę, a my ludzie o tym nie wiemy, nie uczestniczymy, popełniając grzech zaniechania. Pisałem o tym wszystkim w *Philosophie des Als Ob*.

Nic z tego nie zrozumiałem, chyba robi mi wodę z mózgu, dla zdrowia psychicznego zacząłem myśleć o czym innym, ale szybko przestałem, bo narzucała mi się Laryssa.

Franc wreszcie poczuł się zmęczony i zaproponował byśmy usiedli na ławeczce. Ławeczki wprawdzie nie było, ale usiąść – owszem, zdołaliśmy.

Przystąpiliśmy do drugiej części dyskusji, a konkretnie to ja przystąpiłem.

– Słyszałeś Mistrzu, jak ta chuda poetka mówiła o wyższości metafor – zacząłem tak dla zmyłki, niech nie myśli, że nas łączy sympatia albo co więcej.

– Nie, nie taka chuda – zaprotestował Mistrz. – Wiem coś o tym – dodał z takim uśmiechem, że chciałem pierdolnąć go w pysk. Pociągałoby to za sobą dekonspirację, a na to nie mogłem sobie pozwolić. Ograniczyłem się do zwrócenia uwagi:

– To nie chwal się stary satyrze, dżentelmeni o takich rzeczach nie mówią.

– Jako filozof daję świadectwo prawdzie. Ta poetka pod każdym względem była nadzwyczajna, żadna filozofka nie miałaby takich pomysłów w łóżku. Nie musisz się nadymać, bo pękiesz i zostanę bez uczniów. No ale wróćmy ad rem; zwracam uwagę, że nie mówi się do adremu. Panna Laryssa stworzyła efektowną, lecz bardzo płytką antynomię. Ona mówiła o wyższości metafor nad pojęciami, w istocie jedno i drugie to hipotezy – powiedział z pijacką stanowczością. – Żadne słowo nie oddaje pełnej prawdy przedmiotu, jest prawdziwe w iluś tam procentach. Słowa to hipotezy, z tych słów powstają teorie, które też muszą być hipotezami. Kryterium dla teorii jest praktyka. Jeśli potwierdzi się teoria, że woda odpowiednio podgrzana zmieni się w parę, to była prawdziwa. Jeśli się zmieni się w wino, jak w Kanie, to teoria jest do niczego, za to rzeczywistość piękniejsza niż sądzimy.

– Więc według ciebie, Mistrzu religie też są hipotezami?

– Oczywiście. Jedne bardziej się zbliżają do prawdy, tworzą lepsze opowieści o zaświatach, drugie gorsze. Także ta religia o Bogu

albo o wielu bogach. To hipotezy, które próbują nam powiedzieć o tym, co dzieje się w tej kosmicznej mgie, której nie przebijają nasze oczy. Co innego mówi hipoteza o jednym, dobrym Bogu, co innego ta o Bogu i Szatanie, o Arymanie walczącym z Ormuzdem, o Chrystusie i Antychryście...

– O Antychryście opowiadał mi Wiktor.

– Nie, on dopiero o tym ci opowie.

– Skąd ty to niby wiesz, stary satyrze?

Odpowiedzią było milczenie.

– Gdzie ty właściwie pracujesz, kto cię przysłał? – Zacząłem mu się przyglądać, lecz on to chyba wyczuł, bo im bardziej się przyglądałem, tym bardziej robił się niewyraźny.

– Nie próbuj zgadnąć, to wszystko cię przerasta – zamruczał. – Ale skorzystaj z okazji i pomyśl o tym, co mówię, nim uciekniesz.

– Ja ucieknę?

– I to za chwilę, więc przypominam, na czym stanęliśmy. Jeżeli w hipotezie, na przykład w fizyce czy w religii, są dwie zmagające się siły, to znaczy, że w bycie też są takie. Zgadzasz się?

– Zgadzam, lecz nie do końca. Religie mówią o walce Chrystusa z Antychrystem, Ormuzda z Arymanem, ale dodają, że u końca czasów siły światłości zwyciężą.

– To błąd! To filozoficzna dywersja, żebyście siedzieli z boku i stawali się coraz bardziej letni! To straszny, bo udający niewinność grzech zaniechania.

Próbowałem mu przerwać i coś wtrącić, lecz mistrz nie dopuścił mnie do słowa, przemawiał jeszcze dłuższą chwilę i na końcu przegwoździł mnie pytaniem:

– Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, Mistrzu.

– No to powiedz, co zrozumiałeś!

Zrozumiałem, zakłamanym grubasie, że z twojego agnostycyzmu

wylazło zwykłe religianctwo! – odpowiedziałem w duchu, ale głośno podjąłem grę:

– Zrozumiałem, że póki ludzie nie pomogą Chrystusowi, to świat będzie taki, jaki jest.

– Jesteś na dobrej drodze kochanieńki. Walka dobra, to trudne zagadnienie, wielu ojców kościoła o tym pisało, jak pomóc dobru...

Teraz się całkiem odsłonił, postanowiłem go znokautować.

– A jak pomogą, to świat dalej będzie taki, jaki jest – powiedziałem. Bo zabijając zło, również zło popełniają i świat wcale nie zmienia się na lepsze. Lecz jeśli ludzie pomogą Antychrystowi, ten wygra i ostatecznie ukrzyżuje Chrystusa. Tak że ten nie zmartwychwstanie – mówiłem coraz szybciej i chyba coraz mniej sensownie, bo zaczął padać deszcz.

– Nie nadążam, Stasinku, nie nadążam.

– Bóg nie wygra, jeśli ludzie mu nie pomogą, bo wtedy tylko te szale zła i dobra mogłyby zostać przeważone. Lecz jednocześnie dobro wygrać nie może. Bo żeby wygrać, musi popełniać zło. A jeśli je popełnia, zwiększa ilość zła w świecie. Należy zabić zło i zła zabić nie można. – Krzyczałem prawie, bo deszcz padał coraz mocniej.

– No tak, paradoks szlachetnego anarchisty. Kiedyś o tym pisałem. On został rozwiązany, zanim powstał. Wspomniałem o ojcach kościoła...

– Mistrzu, deszcz...

– Siły wyższe a nam nieznane wtrącają się do dyskusji. Ale my jako mędrcy...

– Ja nie jestem mędrce, ja spierdalam. A mędrzec niech sobie moknie!

Pobiegłem w dół, po chwili usłyszałem za sobą coś jak tupot stada krów. Mistrz mimo tuszy zbiegał dość szybko na dół. Na moment odwrócił głowę:

– Kochanieńki, kiedy indziej skończymy. Czekają cię ważne decyzje.

– Kiedy, gdzie się spotkamy? – Usiłowałem ukonkretnić świeżo złapany kontakt. Zjazd oszustów i filozofów, to zresztą ta sama banda, dobiega końca i gdzie go będę szukał.

– Stawię się z pewnością, kochanieńki, choć też nie wiem kiedy. Ale w tym samym miejscu, na pewno. Ostatecznie jesteś moim uczniem. Ostatnim pewnie.

Prócz nas zbiegało kilka osób, mistrz coś krzyczał, nie mogłem zrozumieć, zgubiliśmy się podczas tej ucieczki.

Do następnego spotkania nie doszło. Taki gruby a zniknął!

Zuzanna i ubecy. Kazimierz

Jako warszawski, może nawet dość bliski znajomy „kontestującej poetki” nie miałem problemów z przeniesieniem się na ostatnią noc do jej pokoju. Tym bardziej, że właściciel pensjonatu był naszym „kontaktem obywatelskim”.

Spaliśmy oczywiście osobno.

W nocy obudził mnie powiew zimnego powietrza. Zapaliłem lampkę przy łóżku. Drzwi były uchylone, okno także, pokój robił wrażenie znacznie większego niż w dzień i obcego, by nie powiedzieć wrogiego. Laryssy nie było w łóżku. Wyszedłem przed budynek. Wydawało mi się, że mignęła mi nad brzegiem Wisły, za łodzią wyciągniętą na brzeg, w białej sukni – nie wiedziałem, że taką miała. Tak, to ona – doszła do wody i zaczęła nie tyle zdejmować, co odwijać z siebie białe pasma, jak Hinduska uwalniająca się od sari. Uśmiechnąłem się bezgłośnie: to przecież była firanka z naszego

pokoju. To dlatego pokój wydawał się jakiś inny, znacznie większy. Tak to nadnaturalne zjawiska zyskują naturalne wyjaśnienia.

Laryssa tymczasem powoli weszła w fale rzeki, zanurzyła się razem z włosami – i po długiej, bardzo długiej chwili, nie wiedziałem, czy nie pobiec na pomoc – wynurzyła się i zaczęła iść w stronę brzegu. Przystanęła – cały czas ubrana tylko w błyszczące krople wody, w światelka. Wydawało mi się że patrzy w moją stronę, że celowo przez dłuższą chwilę stoi tak naga – jakby mnie wołała. Jakże była dziewczęca! Po zrzuceniu sukienki wyglądała jak szczupła gimnazjalistka. Po chwili wyszła na brzeg i kręcąc się jak w powolnym tańcu zaczęła się znów zawijać w franke – jakby zawijała się w obłok. Kropelki na jej skórze gasły. Wycofałem się i pobiegłem, żeby znaleźć się przed nią w pokoju. Po drodze minąłem kogoś, prawie nagiego, w kąpielówkach. Też pływak czy też podglądacz? Ale nie miałem czasu.

Zostawiłem lampkę przy łóżku, żeby nie było jej ciemno.

Kiedy wchodziła do pokoju – udawałem, że śpię. Nie wiem czemu, wydawało mi się, że płacze, chyba tak drżały jej ramiona. Może gdyby podeszła zgasić lampkę... Ale ona od razu położyła się w swoim łóżku.

Zasnąłem, nie gasząc lampki.

Następnego dnia wróciliśmy do Warszawy.

Nie wiem, czy widziała mnie wtedy, czy nie, nie wiem dla kogo odgrywała tę scenę. Czy wyszedłem na starca podglądającego Zuzannę? Ale – gdyby chciała, żebym do niej podszedł chyba dałaby jakiś znak.

A może po prostu taka była?

Teraz, nawet zamknąwszy oczy, widziałem tamtą scenę z Kazimierza, Wisłę, noc – Larysę, która stoi daleko ode mnie i jakby kiwała ręką, a ja nie ruszyłem się z miejsca. Wtedy tego nie zrobiłem, zrobiłem teraz. Zwaliłem konia, było mi wstyd, gość po sześćdziestce, a zachowuje się jak napalony małolat.

Będzie III Gala

A teraz – znów szykuje się gala. Już trzecia. Wiem – bo sam im to zasugerowałem. Będzie awans, odznaczenie, prezentacja dorobku. *Dzieła odtajnione*. Do tego czasu ukażą się przynajmniej trzy pierwsze tomy, może i więcej.

Oczyrna duszy widzę to w ten sposób:

Na sali mnóstwo przyjaciół. Zrządzeniem losu goście usiedli prawie tak samo jak wtedy.

Blisko środka, nie, to niemożliwe, skąd tu Towarzysz Iljicz, choć z drugiej strony ten zapaszek... Ktoś mówił, że najpierw są omy wężowe, potem wzrokowe. Otwieram oczy, ale krzesło jest puste, krzesła po bokach też, za dziurami dwóch błaznów władcy – Tuwim i Broniewski, żartowałem, to „Jan” i „Lubicz”, moi dawni współpracownicy. Nieco dalej – poeta Nawrotek w smokingu, chwali się, że z Paryża – ukradł pewnie śpiącemu kloszardowi. Za nim mistyk prowincjonalny Kuryłko, siedzi, a jakby się unaszał i powiewał...

W centrum sali i świata Laryssa, znów Laryssa, której wielki secesyjny kapelusz zapewne będzie zasłaniał widok wszystkim następnym rzędom. Także – łaskawie – zasłoni widok na jej zmęczoną twarz. Będzie – jeśli każe ją przywieźć. Zbiegiem okoliczności

usiądą obok siebie Kubiak, Śpiewak i Heller – nie wiedząc, że łączy ich ta sama haniebna tajemnica.

Oczywiście jest Wiktor – robi wrażenie starszego nawet ode mnie, twarz poorana, jakby jej części się nie zrosły albo czegoś brakuje, pewnie myśli, że zdąży mnie wykończyć.

Z tylnych rzędów wychylają się inni współpracownicy: TW „33” – Koźniewski, TW „Andrzej” – Kuśniewicz, TW „John” – Passent, „Vera Cruz” – Kapuś-ciński, „Dingo” – Wieczorkowski, „X” – Kurylak, „Literat” – Stiller, „Senator” – Toeplitz, „Eden” – Rywin, „Jan” – Żuliński, „Pedagog” – Garlicki etc., etc. Zupełnie jak w polskim sejmie! Musieli przyjść, bo nie wiedzą, co jeszcze na nich mam. To tajne bractwo, to dzieło mego życia.

Pozytywne recenzje zapewnione!

Doktor Lewy i Jan Krzysztof Brudnica są jak zwykle od spraw wzniosłych, podbijają rangę imprezy, potem będą udzielać wywiadów. Konkretne dzieła omawiają młodzi, no może już nie tak młodzi, twórcy. Zwano ich trzema wieszczami socrealizmu:

Kubiak – o mojej poezji patriotycznej, coś o tradycji legionowej i powstańczej, to teraz modne, po nim Śpiewak o liryce miłosnej. Tu parę sierceszczypajuszczych cytatów, dyskretnie aluzje do mojego życiorysu, broń Boże nic chamskiego. Jeżeli antenaci – to może Leśmian, Tetmajer, może Broniewski, który w palestyńskich lirykach łączył miłość z rozpaczą i tęsknotą do kraju, to zawsze chwyt. Po nim Heller o mojej poezji religijnej, nie żeby na kolanach, raczej ciepło: tradycja świętego Franciszka, przyjaciel księdza Twardowskiego, *Spieszcie się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...* A zamiast grzecznych paciorków – poezja spotkania i odejścia. Po Herbertowsku – on mówił, że czasem od Boga odchodzi, a czasem chciałby przyjść i położyć mu głowę na kolanach. Moment jest dobry: Herbert dopiero co umarł, ludzie, niektórzy po raz pierwszy

w życiu, sięgnęli po jego wiersze. To nawet niezły tytuł dla liryki – ścieżką Herberta.

No tak, tylko skąd brać te dzieła?

Wbrew pozorom okazało się to bardzo łatwe – wymagało tylko kilku rozmów, rzecz jasna przeprowadzanych osobno, *face to face*... Wiedzą, że ciągle coś tam na nich mam – lecz nie wiedzą konkretnie co, na wszelki wypadek wolą udawać długoletnią przyjaźń.

– Nie ma sprawy! Od czego są przyjaciele.

– Stary, dla ciebie wszystko! Co tam opowiadanko, nawet dwa.

– Ale im wywiniemy numer!

Stara przyjaźń to dla nich dobre alibi do dania dupy.

Wydanie dzieł poprzedzi się artykułami i wywiadami, najlepiej w telewizji, o tym, jak byłem prześladowany w PRL, pisałem do szuflady, a po nocach musiałem szyfrować swoje antykomunistyczne utwory i teraz – po odszyfrowaniu – przekazuję je swoim czytelnikom. Wyszłyby dużo wcześniej, ale właśnie to odszyfrowywanie zajęło sporo czasu.

Z filozofii mogę zrezygnować, ale dzieła literackie muszą być.

Niektóre rzeczywiście im dam na talerzu, jakieś smaczki, *co-uleurs locales*, jakieś wspomnienia z kraju młodości.

Z łezką w oku opowiem o śmierci mojej siostrzyczki. To mógłby rozbudować i jeszcze udramatyzować Szczypiorski, wyrobił sobie pióro na donosach. Henio Grynberg musi napisać o tym jak pomagałem Żydom – wie komedian, że mogę materiał z jego teczek upowszechnić i w Ameryce, i w Izraelu. Pozwolę mu wspomnieć czasy, gdy obaj działaliśmy w konspiracji i ratowaliśmy ocalałych z holocaustu Żydów przed nazistami, AK-owcami i UB. Trzy opowieści – materiał na nową *Trylogię*.

Z poezją będzie jeszcze łatwiej. Herbert umarł, Miłosz też już długo nie pociągnie, Różewicz zaczął się i skończył w latach czterdziestych – *Niepokój* i *Czerwona rękawiczka*, bo potem zaczął się prostytuować. Jak napisał *Do piachu*, to nawet naszym było głupio, zwłaszcza partyzantom od Moczara, niech mu ziemia lekką będzie. A następne pokolenia są słabe, niedorozwinięte, zabrakło im grozy wojny, zabrakło im wojennych miłości. Pod szafą można wyhodować tylko jamnika. Albo bardzo długiego Karaska.

Techniczne wykonanie? Najlepsi: Kubiak, Śpiewak, Heller, może jeszcze Żuliński, może Kurylak. Poza tym Gapien, który dorabia w musicalach i operetkach – ten dopisze mi trochę juveniliów, tych z czasów, gdy jako cudowne dziecko pisałem w internacie rymowane wiersze na święta, akademie czy kolegom do rodzin. Najczęściej nieistniejących. To chwyci. Heller doda na koniec trochę modlitw sędziwego poety zaglądającego już na drugą stronę rzeczywistości. Na przykład kłótnie Hioba z Bogiem, bo *La Comedia Divina* to już dla niego za wysoko, dla innych chyba też... Chociaż... Gdyby odpowiednio rozdzielić: ty opracujesz *Inferno*, ty – *Purgatorio*, a ty – *Paradiso*, to może coś by z tego wyszło. Ale jak trzech, to każdy będzie ciągnął w swoją stronę, ktoś musi nadać indywidualizm, jedną duszę. Kossak, kiedy malował bitwy, setki koni i ludzi – rzecz jasna musiał korzystać z „murzynów”, ale pozwalał im malować tylko trawę i końskie zady. Twarze i dłonie robił Mistrz. I tu jest problem, żeby nie został tylko z trawą i zadami, bez Kossaka.

Oczywiście to wszystko mało, liczą się nowoczesne treści. Kiedyś mówiono socjalistyczny w treści – narodowy w formie. Teraz: europejski w treści.

Trendy są aktualnie homosie, renesans przeżywa znowu myśl marksistowska. Jeśli to się połączy... Liryczna opowieść o skrywa-

nej, trudnej miłości Marksa i Engelsa, w dzień walczą na barykadach, w nocy tulą się do siebie i piszą Manifest Komunistyczny. *Widmo krąży nad Europą...* jeszcze bardziej się tulą z tego strachu. Albo proza z własnego podwórka: Michnik i Kuroń, zbliżają się na niwie, wspólnie marzą o finlandyzacji. Targany zazdrością Szlajfer pisze donosy. *By the way*: teczki Szlajfera gdzieś są w IPN, jako TW miał ksywę „Albin”, wystarczy znaleźć i zacytować. Można też rzecz uwzniościć. Szlajfer podrzuca Kuroniowi listy miłosne, które Michnik pisał do niego. Ostre, miejscami sadystyczne, ale rzecz jasna sfalszowane. Szlachetny Kuroń o tym fałszerstwie nie wie – popełnia samobójstwo, by nie stanąć w poprzek szczęścia Adasia i Henrysia. W finale Adaś Michnik śpiewa arię na grobie Kuronia, Szlajfer zostaje wygnany na pustynię.

Tak, operę też mógłbym stworzyć!

A na koniec *Dzieł odtajnionych* powinny iść lżejsze kawałki. Coś jak *Kroniki Prusa* po *Lalce* i *Faraonie*. Najlepiej różne *feuilletons* – można napisać, że wcześniej biegały pod pseudonimami w Wolnej Europie albo w naszych gazetkach podziemnych, nazbieraliśmy tego tony przy różnych rewizjach, można wydobyć z magazynów, zrobić wystawę, oczywiście za szkłem. Te *Kroniki* i *Felietony* to robota dla Passenta z Toeplitzem. Razem donosili, niech razem odpracują. A jakby który umarł – w rezerwie mam Safjana ksywa „Żerań”...

A gdybym ja umarł? No, to będą rewelacyjne dzieła pośmiertne, niczym odkrycie Norwida przez „Chimerę”. I będzie to moja ostatnia „życiem pisana” komedia, *Komedia ludzka* Balzaca. Nowego Balzaca *Komedia o starym esbeku i o cuchnących literatach*. To nawet dobry tytuł.

Próbowałem to rzucić na papier, w trakcie chyba się nieco zdrzemnąłem. Obudziły mnie krzyki dochodzące z korytarza.

Chwyciłem w garść nagana i poszedłem na zwiady. Korytarz był pusty, w półmroku wydawał się dłuższy niż w dzień, jakby rósł pod nogami. Głos dochodził od strony schodów ewakuacyjnych. Zszedłem nimi, kierując się w stronę głosu, a raczej kilku głosów, w których słyszeć było i przekleństwa, i ból, i modlitwę. Jakby ktoś kogoś bił, potem znów krzyki, potem cisza. Dotarłem aż na parter. Odkąd się wprowadziłem, myślałem, że dom kończy się parterem, do piwnic było wejście osobne, z głównej klatki.

Tymczasem odkryte przeze mnie schody prowadziły w podziemia. Tu był kolejny korytarz i kolejne drzwi, wszystkie pozamykane, brudne, jakby dawno nikt ich nie otwierał. Pod sufitem żarówki zwisające na drutach – niektóre nawet świeciły. Zrobiłem kilka kroków, kilka prób. Jedna klamka ustąpiła pod naporem – na brudnych ścianach wzory wyryte czymś ostrym, ale czym, bo chyba nie paznokciami, nazwiska, które nic mi nie mówiły, daty. Jakiś sens może miały liczne krzyże – ale nie dla mnie. W jednej z cel, trochę jaśniejszej od innych, biurko odsunięte pod ścianę, lampa pokryta kurzem – nikogo. W innej na ścianie – cień. Nie wiem dlaczego, zdawało mi się, że ktoś klęczy pod ścianą, jeśli się modli – to może nie przeszkadzać. Zrobiłem jednak krok do przodu – to rzeczywiście był cień, plama brudu a nie człowiek. Odwracam się w głąb celi – jeszcze bardziej pusta, jakby ściany się rozsunęły. Żadnych mrozących krew w żyłach rekwizytów, żadnych szkieletołów z dziurą od kuli z tyłu czaszki, żadnych worków z zeschniętym mięsem, w którym można by się dopatrzyć szczątków zakatowanego człowieka.

Puste, brudne izby, jakby dopiero czekające na ludzi. Nie rozumiem, jak mogły z nich dochodzić głosy.

Takie piwnice są wszędzie.

Ponieważ ten piwniczny korytarz nie łączył się z głównym wej-

ściem, wróciłem tak jak przyszedłem – schodami alarmowymi. Przynajmniej cieć mnie nie widział.

Zasnąłem dziwnie szybko i spokojnie, tak że po przebudzeniu nie byłem pewien, czy to wszystko – nocne krzyki, wędrówka po piwnicznych korytarzach – nie było wytworem snu. Przeszedłem aż do końca korytarza – żadnego wyjścia na schody alarmowe, normalne drzwi do mieszkań, za którymi mieszkają normalni ludzie – przeważnie z naszego resortu i tak samo jak ja samotni.

Nie, jednak Lang musi mieć też swoją filozofię. To będzie mój ostatni tom. Potem ewentualnie aneks, który będzie czymś więcej niż aneksem. To będzie partytura najbliższych lat.

Ale najsamopierw filozofia.

Ciągotki do filozofii to miałem od małości, to się wzięło z moich sporów, a czasem i kombinacji z Bogiem. Jak byłem zupełnym szczylem, to każdego wieczora modliłem się o rower, aż babcia się nie mogła nadziwić. W Szczepanówce był jeden, ale miał go syn kułaka, nawet pojeździć nie dał. Modliłem się – lecz to nie dawało efektu. Zrozumiałem, że Bóg tak nie działa. Więc podprowadziłem rower, do Boga pomodliłem się o przebaczenie.

To zadziało.

To był początek filozofii. Teraz trzeba dorobić ciąg dalszy. To będzie żmudna praca, dla całego zespołu, jak to teraz mówią *think tanku*. W swoim banku donosicieli mam „Filozofa” Życińskiego, jednocześnie biskup i agent, taki najlepiej wyczuje pismo nosem. Olek Wolszczan z Torunia, czyli nasz „Lange” musi pomóc przy kosmologii i w ogóle metafizyce. W rezerwie jest tewulec „Jurek”, czyli nasz świątobliwy arcybiskup Sawa, prawosławni też mogą mieć oryginalne pomysły. Nie po to wyciągałem ich teczki z ognia, żebym teraz miał sam harować. Mogę dać ogólne dyrektywy.

Już po wstępnych przesłuchaniach filozofów zorientowałem się, że przyczyną większości sporów jest różne, często odwrotne, a zawsze nieprecyzyjne rozumienie tych samych terminów. Na przykład nasi antykomuniści są rozbici na ujadające grupki, bo jedni krzyczą ojczyzna i patriotyzm – drudzy – naród i nacjonalizm, a jeszcze inni przychodzą i wrzeszczą państwo! Sprawy te dawno zostały rozwiązane, tylko politycy opozycji są równie debilni jak do niedawna reżimowi. Głupotę obejmuje się ze stanowiskiem. Tych mądrzejszych już dawno żeśmy wykończyli. Poza tym, polskich niby-myślicieli nauczono pogardy dla różnych staroci, że zaścianek, że wstyd przed Europą – więc ani im się śni sięgnąć do naszych XIX-wiecznych filozofów twórczości, którzy te spory z góry, jak to mówią *a priori*, rozwiązali. Naród to twórca zbiorowy; ojczyzna – kraj, w którym mieszka i tym samym materia, którą przetwarza zdobiąc domami, kościołami, autostradami; państwo – jeden z efektów tej zbiorowej pracy, sposób samoorganizacji jakiejś ludzkiej wspólnoty. Można się organizować w gminy, można w państwa – gdzie tu spór? *By the way*, gdyby wydać taki słownik (można nazwać go *Słownik Langa*), spory musiałyby ustać.

Problem zostałby w tym, jak przekonać to stado, że państwo to już nie zaborca ani nawet nie nasz PRL, tylko to oni sami. Nie „oni” budują szosy, żeby na nich zarobić, tylko my obmyślamy, gdzie potrzebne są nam połączenia, gdzie stawiamy fabrykę – żeby i teren ożywić i przy okazji zrobić coś, co potrzebne jest wszystkim.

Nieco trudności byłoby w eliminacji sporów między religiami. Ale drogę pokazali nam radzieccy – eliminując religie, tyle że zastosowali niewłaściwe metody, likwidowali religie razem z kapłanami i wierzącymi. A tu trzeba więcej cierpliwości, nauka wyprze religię. A nie – to niech sobie odgrywają te metafizyczne spektakle, gorsi od tego nie będą, a ci, co nie boją się policji, może zawahają się przed grzechem, przestraszą wykluczenia ze wspólnoty. Po-

myślałem też o języku. Radzieccy tak już zrazili świat do wszystkiego co rosyjskie, że język rosyjski jako interlingua nie wchodzi w grę. Ale jest przecież esperanto. Fakt, że wymyślił go Żyd, ale nie wszystko co żydowskie musimy odrzucać, możemy dokonać aryżacji esperanta. I wtedy słownik Langa wydamy naraz po polsku i w esperanto. Na gali trzeba przedstawić chociaż kilka haseł, to może być niewielka broszurka na powielaczu Związku Literatów. Powiem Wiktorowi, by tego dopilnował – w nagrodę dam mu okazję, by poszpanował na gali i wygłosił referat: „*Mój Słownik filozoficzny Langa*”. To brzmi!

Tylko czy zdążą wydrukować?

To stawia galę pod znakiem zapytania.

Co gorsza: zagrożenie przyszło z najmniej oczekiwanej strony: Wiktor przyszedł pijany i obrzygał mój projekt. Nie, żeby skrytykował, lecz dosłownie narzygał na papiery, na których wypisałem już pierwsze hasła. To znaczy kilka ja, kilka moi tewulce, ale były teraz nie dość, że nieczytelne, to śmierdzące.

Że to utopia, że ludzie nie są racjonalni, że najpierw decyzję podejmuje wola a rozum posłusznie wyszukuje argumenty. Gdzie się debil tego naczytał! Od dawna przestałem kontrolować jego lektury i jego środowisko poza służbą – i to są skutki. Wiktor napisał mi na ten temat całą kartkę i była to jedyna kartka, której potem nie obrzygał. On to chyba celowo zrobił!

Więc Wiktor jako krytyk omawiający mój słownik odpada. Może znów zrobić jakiś numer. Poproszę raczej „Hölderlina”. Mówił coś kiedyś o Heglu, o rozwoju racjonalności w świecie, to można by wyciąć z jego zeznań i przypasować. Może się zrośnie.

Z notatnika

Popchnięcie w górę Hölderlina okazało się dobrym posunięciem. Gość jest lojalny jak czekista, choć na dobrą sprawę nie musi. Może nie wie, że nie musi, że nigdy nie musiał, że właściwie bał się dobrowolnie i upadła z własnego wyboru. Ale po co wyprowadzać go z błędu. Ostatnio podrzucił mi notatkę na temat egipskiej genezy chrześcijaństwa. *Ojciec nasz* to przeróbka *Modlitwy ślepeca*, przykazania przejęte z Egiptu, tam nawet mieli więcej, zmartwychwstanie, poczęcie z dziewicy – wszystko to się powtarza, że aż banał. Ale przy okazji pogadaliśmy o tej sekcie z Dubrownika. Koncepcji boga ułomnego, któremu trzeba pomagać nie znalazł, wynotował mi za to opowieści, w których bóg zła ogranicza boga dobra, ich walka jest motorem świata. Ozyrys, który jest światłem i życiem, uosobieniem sił przyrody walczy z Setem, który jest bogiem pustyni i ciemności. Oczywiście Ormuzd i Aryman i jeszcze paru, których nawet nie próbowałem zapamiętać. Poproszę, żeby opublikował na ten temat większy essay – oczywiście jako Henryk Lang.

Podręczne, które mogą się przydać:

„W Charkowie skalpowano głowę i »zdejmowano z kiści rąk rękawiczki«”.

„W Woroneżu wpychano torturowanych nago do nabijanych gwoździami beczek, które taczano; wypalano na czołach pięcioramienną gwiazdę, a duchownym wciskano na głowy wieńce z drutu kolczastego”.

„W Carycynie i Kamyszynie przecinano ludzi piłą”.

To jakbym chciał pisać nową wersję historii WKP(b). Oni też mieli problemy z utrwalaniem władzy ludowej.

By the way. „Hölderlin” jednak zaczyna trochę się buntować. Powiedział, że władza służb się skończyła i że w ogóle to ja go wysysam, jego i innych takich.

– Ty jesteś pasożyt, tasiemiec.

Kiedys może dałbym mu po pysku, teraz nawet się nie obraziłem. Wy tłumaczyłem mu, że naszą władzę podtrzymują tacy jak on, bo istotą jej jest tajemnica. Nie zgadzając się na lustrację – ty i tacy pożyteczni idioci jak ty właśnie przedłużacie naszą władzę. A co do porównania wolałbym inne. Może być jakiś tasiemiec czy inna glizda ludzka, ale każdy z nas już się rozdziwił. Owszem, jest część, która nadal działa w mroku i babrze się w gównach, ale z każdego z nas wylął się także motyl, bogaty motyl, ty możesz tylko marzyć o takim bogactwie i tak radosnym życiu.

„Hölderlin” wyśmiał moje porównanie jako grafomańskie, godne kogoś, kto w kulturze jest nuworyszem, ale lepszego nie potrafił wymyślić. Nawet gdy postawiłem przed nim najlepszy koniak – upił się na smutno.

GALA III

Czas przypadkowo symboliczny: jesień ostatniego roku tysiąclecia. Tylko czy przypadkowo? *Ordo et connexio rerum, etc.*

Gala odbyła się w tej samej sali Domu Literatury, co wtedy. Inaczej być nie mogło. Niewiele się zmieniło – tyle, że nastawiano palm i wymieniono portrety. Tamte były zbyt zaściankowe. Na honorowym miejscu wiszą Nobliści: Günter Grass, wirtuoz *Blaszanego bębenka*, José Saramago, który dołożył ciemnym katolikom *Ewangelię według Jezusa*, obok Dario Fo, który też im ostro dołożył (patrz koteczku *Misterio Buffo*) oraz nasza Szymborska. Zarówno Dario Fo, jak Grass, jak i nasza Szymborska potwierdzają tę prawdę, że kto za młodu nie był socjalistą, ten na starość będzie zwykłą świnią. Co prawda Fo był socjalistą w Republice Salò Mussoliniego, a Grass – w szeregach Waffen SS, ale powiedzmy sobie, że lepszego socjalizmu niż narodowy w Niemczech wtedy nie było, a ten w Rosji był jeszcze gorszy. Więc jeżeli się dziwić – to już raczej Szymborskiej, która wołała stalinizm. Zawisł na ścianie Rolf Hochhuth wylansowany u nas przez Dejmka. Jednym słowem: wisi Europa!

Każdy, kto wejdzie do sali widzi twarze znane na świecie, może czuć się członkiem ogromnej, nowoczesnej, internacjonalistycznej wspólnoty.

Ale wciąż czuje się ten dyskretny smród.

Zrządzeniem losu goście usiedli prawie tak samo jak wtedy.

Blisko środka, nie, to niemożliwe, skąd tu Towarzysz Iljicz, choć z drugiej strony ten zapaszek, ktoś mówił, że najpierw są omamy węchowe, potem wzrokowe, naciskam oczy, otwieram, krzesło w środku jest puste, zapach też się nieco rozrzedził, no więc wszystko w porządku... W pierwszym rzędzie – liryk Nawrotek, dziwnie nagi, pewnie kloszard odebrał mu swój smoking, obok mityk prowincjonalny Kuryłko, niby siedzi na krześle, ale tak jakby siedział na przyzbie i cicho cichutko wył do bytu; z kraja, żeby ła-twiej wczołgać się na podium zasiedli doktor Lewy z redaktorem Brudnicą – jeszcze chwila i będą żegnać mnie w imieniu Związku.

W środku sali i świata Laryssa, której wielki secesyjny kapelus z zapewne zasłania widok wszystkim następnym rzędom. I poprzednim – na wszystko prócz jej kapelusza. Także – łaskawie – widok na jej twarz. Znów razem, jakby związani niewidzialną siecią przeznaczeń niedoszli wieszcz: Kubiak, Śpiewak i Heller, za nimi Wik-tor – wciąż nie wiem ile może mieć lat, twarz szara, jakby zgniła, jakby kawałki zaczęły z niej wypadać...

Ordo et connexio rerum idem est ac ordo et connexio idearum.
Spinoza! Pomyśleć, że myliłem go kiedyś z Seneką.

Z tylnych rzędów wychylają się inni współpracownicy: TW „33” – Koźniewski, TW „John” – Passent, „Andrzej” – Kuśnie-wicz, „Vera Cruz” – Kapuś-ciński, „X” – Kurylak „Dingo” – Wie-czorkowski, „Literat” – Stiller, „Senator” – Toeplitz, „Pedagog” – Garlicki, „Redaktor” – Minkowski, „Eden” – Rywin i inni, i jeszcze inni. Jest także uzdolniona młodzież: „Gapień” – Walczak, „Znak” – Boni, „Orłowski” – Zaniewski, „Aleksander” – Nawrocki etc., etc. Żywi i martwi, dawni i przyszli agenci – pozytywne recenzje zapewnione! Na tym i tamtym świecie!

Smród prawie się rozwiął, na sali zrobiło się widniej. Upiory, nawet jeśli były przez chwilę – zniknęły, prezes, chyba sam Lenin, podziękował sponsorom, na chwilę wszyscy nieruchomieją, jakby stop klatka, nie wiadomo co dalej, bo moich książek wciąż nie dowieziono, ale wpęłza na mównicę doktor Lewy, tasiemiec z ludzką głową i mówi o mojej filozofii. Niestety nie o *Słowniku Langa*, który nie jest gotowy, tylko ogólnie. Ale stara się, stara! Dogadza mi inteligentnie, jak rzadko która dziwka. Zrównuje mnie niemal z Kopernikiem.

– Filozofów – mówi doktor Lewy – od zawsze męczył problem istnienia świata. Pewien Ingarden wydał nawet książkę pod tytułem *Spór o istnienie świata*. Pisał ją lat trzydzieści, a nawet więcej, ostatni tom wydał dobrze po śmierci, gdy miał pełniejszy ogłód rzeczywistości, znaczy tego i tamtego świata – a wszystko jedno problemu nie rozwiązał. Tymczasem Lang (czyli ja!) spór ten raz na zawsze rozstrzygnął, a zastosował – Mistrzu Henryku (to do mnie) – jeśli coś przekręcę to popraw, zastosował brzytwę Ockhama. Czyli po prostu zasadę ekonomii myślenia. *Entia non sunt multiplicanda praeter necessitatem*, tak powiedział w czternastym wieku William Ockham. – Prawda, Mistrzu – zwraca się do mnie.

– Prawda. – Przytakuję uprzejmie, żeby nie psuć nastroju, choć wiem, że podobne słowa padły już w *Parmenidesie* Platona, w *Fizyce* też coś było, a elegancka formuła, iż bytów nie należy mnożyć nad potrzebę, przytoczona przez Lewego po łacinie, to przecież dyrektywa teologa Libertusa Fromondusa, takiego Belga przed Belgią, ale co ja im będę tłumaczył...

– ...zgodnie z zasadą Ockhama – Lewy kontynuuje wykład, którego głębi sam nijak nie pojmuję, pewnie zdążył mu to napisać „Hölderlin” – najlepsze są najprostsze hipotezy, także w metafizyce. Najprościej byłoby założyć, że niczego nie ma; wolno nam!

Wtedy niczego nie musimy wyjaśniać. (sala cichnie) Ale przeczy temu doświadczenie, więc coś jest! (jeszcze chwila ciszy i oklaski).

– Teraz mamy znów dwie możliwości: jest z jakiegoś powodu, albo jest bez powodu. Jeżeli jest z powodu, to trzeba ten powód podać albo wskazać twórcę tego świata pełnego powodów i powody kierujące samym twórcą; potem przyplączą się teologowie i każą dzień po dniu opisywać pierwsze dni stworzenia, więc prościej i wygodniej po prostu przyjąć, że coś jest i jest bez powodu – pointuje Lewy.

Chwilę czeka aż zabrzmią i przebrzmia oklaski, potem kończy:

– I Lang przyjmuje, że wszechświat jest – (znów oklaski i znów ciąg dalszy). Jest, powtarzam!

Istnienie – Lewy wznosi palec w górę – jest czymś więcej niżli brak istnienia, można przyjąć więc, że jest dobrem, nieistnienie byłoby gołe etycznie.

Dodać też trzeba, że istnienie nie wszędzie występuje, że jest pewną potencją, która może zostać zaktualizowana lub nie. Niezrealizowanie tego co być może, więc niezrealizowanie potencjalnego dobra jest złem. Lub inaczej: zło jest brakiem dobra, odstępstwem od idealnego wzorca.

To samo rozumowanie można odnieść do ruchu – ciągnie Lewy. – Albo mnożymy byty, by ów ruch wyjaśnić, albo przyjmujemy, że to co znamy jest w ruchu, rusza się od zawsze i nic nie ma do wyjaśniania. Pytania o początek świata czy ruchu są metafizyczne, powiem więcej, są bezcelne, głupio bezcelne! To znaczy próbują przekroczyć fizyczność, a to gorzej niż błąd, to pycha. Część, jaką jest człowiek, nie może poznać całości.

Co innego, gdyby to ruchome nagle przestało się ruszać, byłby kłopot metafizyczny, można byłoby żądać wyjaśnień, jeśli byłoby komu żądać i od kogo.

... Lewy wyraźnie zaczyna płątać się w tej metafizyce, Życiński

byłby lepszy, ale *don't cry over spilt milk*... Lewy już chce zakończyć, tylko czy da radę...

Po raz kolejny nie doceniłem Lewego, z filozofią mu nie całkiem wyszło, ale zakończenie wykładu obrócił na swoją korzyść: na jego znak na salę wbiegają młodzi ludzie w bejsbolowych czapeczkach i wnoszą stosik książek. Rozdają przede wszystkim prelegentom i gościom z pierwszego rzędu.

Wydały mi się znajome.

Tymczasem na mównicę wszedł dyskretnie Jan Krzysztof.

Jan Krzysztof zaczął mówić o zasługach Langa, czyli moich, dla kultury europejskiej. Że w sensie dosłownym i przenośnym tchnąłem ducha w literaturę. Dzieło – zdaniem Langa (czyli moim!) powstaje w duszy artysty – cokolwiek słowo dusza znaczy i gdziekolwiek się ona znajduje.

– Na prawach dygresji wspomnę – dodał nonszalancko Jan Krzysztof, że według Langa dusza jest formą całego ciała, nie mieści się w sercu czy mózgu, całe ciało jest napromieniowane duszą, ma inną jakość niż materia nie uduchowiona. Kończę dygresję. Akt twórczy, dokonuje się w duszy artysty, tam powstaje produkt, czyli dzieło, reszta to już „wykończeniówka”, rzemiosło. Rzeźbę można wykonać w glinie albo w marmurze, katedrę wybudować z cegieł lub kamieni, wiersz napisać na komputerze lub patykiem na brzegu morza. Dzieło jest partyturą, mogą je potem wykonać różne orkiestry, czasami uszczuplone albo rozbudowane, partie wokalne można powierzyć duetowi Andrea Bocelli – Sarah Brightman, a można chórowi Aleksandrowa. To rzemiosło, sztuka zaistniała już wcześniej. Jeżeli kopie dzieła spłoną, można je będzie odtworzyć na podstawie zachowanej partytury.

Tę fascynującą teorię można i należy rozwijać, lecz twórczość Langa w niej się nie wyczerpuje. Poprosiłem młodszych kolegów,

słynnych poetów zwanych kiedyś trójką współczesnych wieszczów, by wrócili, taki *come back* starych poetów przeistoczonych w młodych krytyków, i żeby zgodzili się zaprezentować pierwsze trzy tomy dzieł Langa. Każdy po jednym. Tak więc poeta Kubiak będzie mówił o patriotyzmie, Śpiewak o wątkach humanistycznych, Heller o metafizyce Langa (czyli mojej!).

– Ja właściwie – zaczął Jan Kubiak jako pierwszy – streszczę państwu zawartość pierwszego tomu dzieł Langa. O patriotyzmie bez patriotyzmu. Utwór prawdziwie patriotyczny jest jak ptak, który krąży nad Europą, nie ma piór w barwach narodowych, ale gdy opadnie w jakimś kraju, wszyscy go rozpoznają. To nasz! Archetypem jest *Raport z oblężonego miasta*: Herbert pisał o Lwowie, a nawet Berlińczycy uznali ten wiersz za swój. Lang idzie tą wysoką ścieżką nad drogami. Gdy mówi o tragedii dziewczynki gdzieś we wschodniej Europie, narodowość nie jest ważna, porywają ją żołdacy z przejeżdżającego pociągu; cierpienie małej Żydówki, Polki czy Rosjanki jest takie samo i każdy czytelnik przyjmuje je jako swoje. Każdy z nas może być porwany i zgwałcony. Żołnierz, który trafił do kanału i czeka na śmierć ma jakiś mundur i hełm. Ale autor nie domalowuje mu godła, to musi zrobić czytelnik. To samo dotyczy miast: cierpienie bombardowanego Drezna i cierpienie Warszawy jest po prostu ludzkim cierpieniem. Palona skóra tak samo pokrywa się bąblami i krwią.

Właściwie ten Kubiak nie kłamie. Historię o dziewczynce rzeczywiście mu opowiedziałem, Drezno rzeczywiście było bombardowane. Ale przecież on mówi o fizjologii, pomija etykę, pomija problem winy i sprawiedliwości, nie rozróżnia napaści i odwetu. Pomija to co ludzkie. Kubiak zasłużył jednak na miejsce w moim Aneksie.

Marek Śpiewak, który wystąpił po Kubiaku przelicytował go bezczelnością.

– Będę mówił o humanizmie bez humanizmu – zaczął – a zwłaszcza o filosemityzmie bez Żydów.

– Bo ich wykończono w łagrach – rzucił mu ktoś z tylnego rzędu. Sala zareagowała głupim śmiechem, ale Śpiewak przeczekał chichoty a *zwischenruf* sprytnie wykorzystał. Może nawet go wcześniej zamówił?

– Tych, których wykończono, rzeczywiście nie ma – stwierdził Śpiewak. Nie jest to wielkie odkrycie. Nie mówiłbym o Langu, gdyby do czegoś tak banalnego się ograniczył. Ale Lang idzie dalej i wyżej. Dlatego, że ich nie ma. w Langa książki są dramatycznie puste karty. To bardzo postmodernistyczne. Jest u nas taka stara zasłużona artystka, która sprzedaje, nawet niezbyt drogo, fotografie powietrza. Na pozór są jednakowe, na pozór to puste kadry, ale to tylko pozór. Bo jeden pusty kadr może być powietrzem znad Treblinki, drugi znad Auschwitz, bądź odwrotnie. Decyzja należy do widza. Artystka wyzwała w ten sposób kreatywność odbiorcy. Lang idzie jeszcze dalej. Już w juveniliach pisze o miłości polskiego chłopaka do Żydówki, ale potem zamieszcza puste kartki, które mogą być opowieściami o ich śmierci albo o porzuceniu, o kłótniach i o seksie ponad podziałami. Mogą też być narracjami o Auschwitz i Treblince, ale także o Dachau i Teresinie, i w tym jest Lang bogatszy od wspomnianej fotografki. I nie tylko w tym. Na jego pustych kartkach nie ma nie tylko Żydów, ale także nie ma homoseksualistów, transwestytów i innych wykluczonych; jego dzieło jest zatem bardziej trendy, a o zbyt samoograniczonej Janickiej (tak nazywa się wspomniana fotografka), będzie się mówić tylko w przypisach jako o prekursorce Langa i jego idei sztuki bez sztuki.

Śpiewakowi przerwały krótkie, ale gromkie oklaski. Skłonił się lekko i po chwili kontynuował.

– Pustka Langa, ten termin warto wprowadzić do teorii sztuk, pustka Langa, powtarzam, jest pełna. Może oznaczać milczenie antysemitów, a to może oznaczać wszystkie potencjalne inwektywy, obelgi i groźby, może oznaczać brak potępienia przez papieża organizacji homofobicznych i brak poparcia kościoła dla ruchów LGBT. Nawiązując do inspirującej wypowiedzi doktora Lewego trzeba stwierdzić, że na kartach pierwszych ksiąg Langa jest także rodzaj niezaktualizowanej potencji. Pozorna pustka cyklu jest więc w rzeczywistości wypełniona sprzecznymi treściami: niemożnością zasymilowania krańcowej przemocy i niemożnością obrony przed przemocą, a nawet niemożnością dokonania przemocy, co oznacza zwycięstwo humanizmu. I o to nam wchodzącym do Europy chodzi – zakończył, choć i tak gadał za długo.

It is a wise talker who knows when he has nothing to say. Mądry to mówca, który wie, kiedy nie ma nic do powiedzenia.

Najkrócej, ze względu na czas (ceny za wynajem sal znów podskoczyły), przemawiał ostatni z byłych wieszczów – Karol Heller. Mówił o interpersonalnym chaosie i o nowej roli mitologii, a nawet neomitologii. Był blisko prawdy, ale nie przebił się do rzeczywistości. Zboczył i – idąc śladami poprzedników – zaczął mówić o mojej formule wiary, o metafizyce bez metafizyki, liturgii bez reguł, kapłanów bez szat, Kościoła bez Kościoła, a nawet o teologii bez Boga. Pewne struktury nazywane mitami i ze względów praktycznych przedstawiane w formie na przykład biblijnych narracji są czymś w rodzaju mieszkań, może lepiej powiedzieć, pociągów.

W tym momencie stało się coś dziwnego albo nawet jeszcze poważniejszego: Heller bąknął coś o Faustusie, beknął o Hiobie i płacząc zszedł z mównicy.

Sprawę uratowała bezcenna pani Krysia, która krzyknęła: to był ale super event i zaintonowała *Happy Birthday*. Ci z dalszych rzę-

dów niczego nie zauważyli. Przeszliśmy do sąsiedniej sali na poczęstunek.

W pewnym momencie poczułem, że ktoś wkłada mi do kieszeni jakąś kopertę. W tym tłoku nie widziałem kto, ale pisarze często korzystali z okazji, żeby wsunąć mi prośbę albo donos na innego pisarza. Tłum pchał mnie w stronę drzwi – sprawdzę w domu.

Ledwo przewaliliśmy się przez próg, jak spod podłogi wyskoczył Szczypiórkowski i nie bacząc na miny zebranych wygłosił wcześniej przygotowany toast. Koniak, oklaski, kolejne toasty i znowu niezawodna pani Krysia – proszę państwa! przerwa na jedzenie, żebyście mieli siły składać następne życzenia! Genialna baba, dobrze, że nie pozwoliłem jej wyrzucić. Na salę wjechały gorące dania, potem każdy zajął się żarciem, mlaskaniem i siorbaniem, a mną zajęli się dziennikarze.

Tymczasem łysy poeta Jan Kubiak z jeszcze bardziej łysym Hellerem oraz Śpiewak z siwym warkoczykiem – trzej starzy, niespełnieni wieszczowie – odsunęli precz stół i zaczęli tańczyć trojaka. To, że tańczyli wolno, wolniej niż na zwolnionym filmie, zamieniało ów taniec w jakiś *Dance macabre* a widzów przyprawiało o zimne, metafizyczne dreszcze. Trojak zamienił się w węża, w złocistego tasiemca, który sunąc powoli lecz nieubłagane przez salę zagarniał kolejne osoby. Do tańca! Do tańca! Goście poddawali się z coraz głośniejszym śmiechem, lecz ich taniec przypominał żałosne podrygiwania szkieletów. Martwy Putrament, żywy jeszcze Lewy i trzęsący się profesor Hölderlin, o którym nie wiadomo, żyje czy nie, może popełnił samobójstwo, a może gra na zwłokę. Korowód wciągał każdego, kto nie miał siły uciec i zniknął gdzieś w półmroku, jakby ulegał anihilacji. Może rzeczywiście tak było, bo potem tych tancerzy nie spotkałem.

Ja stałem z boku pod palmami, pewnie sztucznymi i zamiast jeść, pertraktowałem z dziennikarzami, którzy – powtarzając rytu-

ał sprzed lat – zadawali mi pytania równie głupie jak kiedyś. Odpowiadałem zatem byle jak, byle szybciej, ale ta bylejakość i mnie za bardzo się nie podobała. Dlatego wpadłem na pomysł, żeby po powrocie napisać – to właśnie, co teraz piszę. Całą tę spowiedź dziecięcia wieku – wieku kłamstwa, hipokryzji i terroru – zwanego socjalizmem, humanizmem i jeszcze ładniej.

Gdy wreszcie mnie odstąpili – nie było nawet pierożków, gdzieś poszły... Ze smutkiem pomyślałem, że w lodówce mam tylko piwo i że chyba po tej całej gali wymknę się na Piwną i zjem „Pod gołębiami”, choćby dwa ciepłe pierogi...

Czas płynął, zbliżała się dziewiąta. Dyskretnie próbowałem zajrzeć do koperty, nie liczyłem, że będą w niej dolary, raczej jakieś prośby o wsparcie. Ale i tego nie było, koperta była chyba pusta. Dokładniejsze badanie musiałem zostawić na później i na lepsze oświetlenie. Wyszedłem na środek sali i z początku dyskretnie, potem ostentacyjnie popatrzyłem na zegarek: punkt dziewiąta! Ktoś zgasił górne światło a na jeden z foteli wskoczył mężczyzna w płaszczu i karnawałowej, metalicznej masce. Podobne widziałem w Moskwie, zawsze robią wrażenie. W ruchach mężczyzny było coś mechanicznego. Wyciągnął w moją stronę obie ręce i jakby przepowiadał mi najgorsze – trzy razy powtórzył: „Biada!!!”. A potem złącząc z krzesła, krzyczał: dobrze, że zrobiliście teraz ten jubileusz, bo następnego już nie będzie! Następnego już nie będzie, następnego już nie będzie. Powtórzył groźbę trzy razy idąc korytarzem ku balkonowi i zniknął – jakby wyszedł wprost w powietrze.

Incydent został szybko zapomniany, może zbyt szybko. To należało bardziej wyeksponować, może powinien był się na mnie rzucić, a ktoś inny powinien mnie ratować? Na sali byli dziennikarze, byłoby echa prasowe. Niestety – zbyt się wszyscy pospieszyli!

Odwróciłem się w stronę sali i stanąłem twarzą w twarz z Sze-
fem:

– Teraz wiem, dlaczego ich nie wykończyłeś. Dalej ich trzymasz
na smyczy, całą trupę.

– To nie znaczy, że ich nie wykończę – odpowiedziałem.

– Masz jeszcze jakieś karty w rękawie?

– Mam asy, których nie wyjmuję się z rękawa, bo to nie asy, tyl-
ko noże.

Wróciłem piechotą, dom zresztą stał znacznie bliżej niż wczoraj. Po prostu w pewnym momencie zorientowałem się, że chodzę wokół znanego bloku – jak dziecko dotykając ściany patykiem. Wszedłem do klatki, na dole zatrzymał mnie cieć, aż się go przestraszyłem. Był pijany, bełkotał niewyraźnie, to co mówił mogło przerazić.

– Was jest tu tylko dwóch, resztę już wytłukłem albo sami się pozabijali, albo ten dom ich zabił, bo ten dom nienawidzi ludzi, a dla mnie jest więzieniem. Póki choć jeden żyje, ja tu muszę być. Lecz mam już tego dosyć, jak Wiktor umrze, to ja zabiję ciebie, a jak ty, to jego i odejdę.

– Dokąd?

– Tam, skąd przyszedłem, nie chciałbyś tego wiedzieć. Dla jed-
nego nie będę się tak męczył.

Zrozumiałem, dlaczego Wiktor mógł wpadać o każdej porze –
jeśli mieszkał w tym samym domu, wszystkie drzwi można otwo-
rzyć tym samym kluczem...

Cieć gdzieś zniknął, nie jestem pewien, czy rzeczywiście roz-
mawiał tutaj ze mną, czy wszystko mi się zdawało, nie ośmieliłby
się chyba mi grozić, nie mówiłby mi per „ty”, a gdyby się ośmielił,
to przecież dałbym w pysk, a nie dałem, więc to wszystko mi się
zdawało...

W marynarce zaszeleścił list, zajrzałem – koperta nadal pusta. Głupi żart albo jakiś symbol. Rzuciłem list na stolik, chwilę stałem bezmyślnie, aż poczułem, że jest mi zimno.

Ocknąłem się na podłodze. Jak walizka, którą ktoś wstawił i odszedł. Jestem walizką. Walizką w walizce. Pojemnikiem w pojemniku. Lang, którego nie ma, bo jest Majchrzak, którego nie ma, bo to jest Majcher, którego już dawno nie ma...

Jak przed laty robię wywiad sam z sobą. Nie kłamię, ale to nie znaczy, że zbliżam się do prawdy.

Cóż jest prawda. Chciałem odwołać galę, bo książek nie wydrukowano. Jan Krzysztof odwiódł mnie od tej myśli, powiedział, że i tak będzie dobrze.

I było:

Kubiak, Śpiewak i Heller opowiadali o niewydrukowanych dziełach. Cytowali nienapisane zdania. Prezentowali kopie niemające oryginałów. Cały nasz świat to kopie bez oryginałów, to różni nas od czasów Platona. A korzystając z okazji Lewy rozdał kilkadziesiąt egzemplarzy swoich wierszy. Ludzie z dalszych rzędów mogli sądzić, że to właśnie wydana przed chwilą moja książka. Może jeden, może nawet trzy tomy. I to jest pierwsza pointa.

Niektóre z tych tomów rzeczywiście trzeba napisać, autorzy już wyznaczeni, innych – już nie potrzeba. Zamiast tych innych dzieł wystarczy parę cytatów, starczy to, co zostało puszczone przez telewizję. Te tomy których nie ma – już zaistniały.

Więc są i nie są – ale to nie jest ważne. To *maskirowka*, produkt uboczny.

I to będzie druga pointa.

Bo prawdziwą twórczością było coś zupełnie innego. Opisywanie zdarzeń nie jest czynnością artysty a tylko rzemieślnika, ujaw-

nia, że prawdziwym twórcą jest kto inny. Autor książki jest tylko lustrem. Czasem krzywym, pomniejszającym albo wyolbrzymiającym zdarzenia, ale tylko lustrem, tylko kronikarzem twórczości, która dzieje się niezależnie od niego. Krytyk też nie jest twórcą, jest jeszcze dalej od żywiołu twórczego, chwytą cienie, a hermeneuta goni tylko cienie cieni.

Primum vivere, deinde philosophari.

Kubiak współpracował z SB, zdradził towarzyszy z AK, Śpiewak wziął udział w moczarowskiej nagonce na Żydów, ale te grzechy nie tłumaczą, dlaczego po napisaniu wierszy oni nie osiągnęli równowagi, dlaczego nadal piszą. Homeostaza trwa, bo naruszenie równowagi było głębsze, bo prócz win, które ujawniłem były te, które na razie przemilczałem, które okaleczyły ich dusze na trwałe. A to znaczy, że równowagi nigdy nie osiągną. O tym napiszę w Aneksie do swych dzieł. Ten Aneks także będzie dziełem.

Primum vivere, deinde philosophari.

Twórczość porzuca nadbudowę i przenosi się znów do bazy, wbija się jak łopata w realny świat.

Majchrzak – aneks do Langa

Mówiłem Szefowi o kartach papieru, które są jak noże. Uczono nas tego w Arteku – w sensie dosłownym. Kaleczą też w sensie metaforycznym, od strony ducha. Ale przecież nie każę się pogrzebać razem z sejfem. Nie zabiorę w zaświaty starych akt, donosów i raportów. Uczynię z nich opowieść, która wprawi w ruch rzeczywistość – na początku było słowo – pamiętacie?

Lang doszedł do kresu twórczości, okazało się, że może nim być nicość. Cokolwiek napisze – będzie przeniknięte nicością.

Lecz aneks do twórczości Langa napisze oficer bez stopnia – Majchrzak.

Aneks będzie wydany – nawet jeśli nie będzie dzieł. Aneks to będzie dokończenie tych żywych opowieści, których literami są ludzie. Jak twórca, który u początków dzieła nie jest pewien jego zakończenia, ja też nie jestem pewien. Ale dzieła już są wprawione w ruch, już żyją.

Aneks nie będzie krytyką, nie będzie opisywał życia, albo raczej: opis będzie tylko jednym z działań, będzie programem, który sam się uruchomi, a jeśli trzeba – skoryguje. Tekst będzie ingerował w życie, słowo zdemoluje rzeczywistość. Na początku było słowo i słowo będzie na końcu. Będzie zabijać i wskrzeszać.

Powrót

Do domu wracałem piechotą. Laryssa została na gali, nawet nie odezwaliliśmy się do siebie. Jeżeli ma nadzieję, że ktoś po ciemku na nią się połakomi, to przykro się rozczaruje. Nie wiem dlaczego wracałem przez Ogród Krasińskich. Było już ciemno, ale potem nagle się rozjaśniło. Jakbym znalazł się zupełnie w innym miejscu, w innej strefie czasowej. Wszystko zrobiło się jaśniejsze, ale szare, powietrze nabrało przykrego, stęchłego zapachu.

Jak byliśmy z delegacją u Polonii w Arizonie, zawieźli nas w góry, w okolice Wielkiego Kanionu. Zajechaliśmy na ceglaste pustkowie – jakby na naturalny parking nad brzegiem kanionu. Stało na nim już wiele samochodów, ale nikt nie wysiadał. A jeśli wysiadł – stał oparty o samochód i patrzył na zachód. Słońce zaszło

– a oni dalej stali. My też staliśmy, nie wypadało pytać, nastrój był dziwnie uroczysty. Po chwili w nasze twarze uderzyły purpurowe promienie – słońce wyszło zza jakiegoś załomu góry, zachodziło i wschodziło jednocześnie. Powitano je oklaskami. Świeciło kilka minut, poczym jeszcze raz zaszło. Miejmy nadzieję, że do jutra.

Samochody zaczęły zapuszczać motory, zaświeciły setki reflektorów. Odjeżdżaliśmy jako jedni z ostatnich – znów w ciemności.

Podejrzewam, że podobne zjawisko musiało mieć miejsce w Warszawie. Tyle że zamiast drugiego, purpurowego zachodu, była powtórna fala szarego, brudnego zmierzchu. Zamiast gór – przypominający klepisko plac za wielkim pokracznym domem. Ani jednego krzaczka, kilka traw, nawet nie zielonych a białawych, jakby odsączonych z koloru.

Potem znów było ciemno.

Położyłem się w ubraniu, próbowałem przeglądać notatki do mojego Aneksu, ale – pomimo światła przysnąłem. Jak się wydaje – nie na długo.

Już po chwili zjawili się kilku mężczyzn, podejrzewam, że dozorca ich wpuścił. Nie musiałem się nawet ubierać, schodziliśmy zapasowymi schodami. Po drodze dołączały następne osoby, ktoś zaczął śpiewać, formowała się procesja. Piętro niżej, na początku tego dziwnego konduktu niesiono coś, co wyglądało na trumnę. Na zakręcie przesunąłem się do przodu i mogłem dokładniej popatrzeć: to był krzyż, drewniany, nawet pachniał drzewem i jeszcze jakby krwią. Wplątałem się w jakąś dziwną inscenizację, pewnie dla potrzeb filmu – z przeznaczeniem na Zachód?

Wyszliśmy na podwórko, a właściwie na ten gliniasty placzyk przylegający do budynku. Na środku była wykopana podłużna jama. Śpiewy umilkły, do jamy spuszczano krzyż, kamer filmo-

wych nie widziałem. Ktoś rzucił garść ziemi, skądś zjawili się ludzie z łopatami. Na mogile zaczęto układać kamienie, które także tworzyły krzyż. Położyłem swój kamień jako jeden z ostatnich, chciałem postać jeszcze minutę, ale podszedł dozorca i stanowczo popchnął mnie w stronę bramy.

Po powrocie znów wziąłem się do uwag do Aneksu, rodzaj streszczenia, które poprzedza jeszcze nieopowiedzianą historię. Nawet jeśli historia nie zostanie napisana – streszczenie już jest, już czeka.

Pisałem jak szalony, jakby ktoś mi dyktował. Szybciej pisałem, niż myślałem, nie pamiętam nawet, co pisałem. W pewnym momencie coś wytrąciło mnie z nastroju. Od dłuższej chwili rozlegał się niezbyt głośny, ale przykry dźwięk.

Skrobanie do drzwi.

Jak kiedyś.

Skrobanie do drzwi.

Za drzwiami stoi Laryssa. Podstarzała, w podstarzałym kape-luszu. Ja też muszę śmiesznie wyglądać: w poszarpanym tu i ówdzie szlafroku i ze spluwą. Nie wiem, co mam powiedzieć, więc po prostu biorę ją na ręce i niosę do łóżka. Stop. Wróc. Miało być szczerze. Więc biorę na ręce i aż się zataczam, nie wiedziałem, że są już takie słabe. Sytuację ratuje Laryssa. Wyślizguje się na podłogę i to ona pomaga mi dowlec się do łóżka. Potem też musi mi pomóc...

Laryssa nie wie, że uratowała mi życie. Nie wie, że na krótko.

Życie po życiu

Nie wie, że na krótko.

Ale przynajmniej mam czas na dokończenie kilku projektów. Dopilnować Aneksu, nawet jeśli dzieła nie wyjdą. Projekt Romeo i Julia już się dokończył, ale czy ja i Laryssa przypadkiem nie zaplątaliśmy się w ten mit. Dogonił nas spóźniony, zwyrodniały, ale dogonił.

Leży teraz na łóżku, wychudzona, chora, a ja widzę jej dziewczęce ciało zanurzone do połowy w Wiśle, przywołuje mnie ręką, dlaczego nie zawołała, nie miałbym wątpliwości...

Zawołała. Spytała o kopertę. Co w niej było, bo zajrzała – pusta.

– Odłóż ją.

– Nie mogę. Nie ma. Nie ma co odkładać. Nic nie ma, a może nic jest. Próbowałeś mi to wytłumaczyć, jak byłam młodsza. Bytuję, nic nicuje.

Laryssa odpływa, jakby zanurzyła się w rzekę.

– Raz jeszcze sprawdziłam, że pusta – ciągnie szeptem. – Włożyłam rękę, dmuchnęłam, wciąż pusto. Jak w tej naszej ulubionej opowieści: im bardziej zaglądał do słoiczka, tym bardziej nic w nim nie było. Było w nim nic.

– Odłóż, w tej chwili odłóż.

– Byłam szybsza, wyrzuciłam przez okno.

Odpychając ją wybiegłem na korytarz, potem po schodach, bałem się, żeby schody nie prowadziły do podziemi, ale nie – wybiegłem przed budynek. Tylko nigdzie śladu koperty.

Gdy wróciłem – Laryssa leżała na podłodze. Wezwałem pogotowie. Lekarz podejrzewa zapalenie płuc, ale na razie nie doradza hospitalizacji. Zawsze lepiej w domu pod opieką. Więc będzie mia-

ła choć na parę dni – dom. Ja też – oboje po raz pierwszy od dzieciństwa. Lekarz przepisał antybiotyk, na wszelki wypadek zostawił wizytówkę – jeśli zadzwonię, będzie w ciągu piętnastu minut, oczywiście prywatnie. Szubrawiec. Mógłbym go wykończyć dwoma telefonami – ale inni są tacy sami.

Wieczorem gorączka spadła, Laryssa poprosiła o rozmowę.

– Przecież cały czas rozmawiamy.

– Ale to ważne, chciałabym ci coś wyznać.

– Najważniejsze już sobie powiedzieliśmy. Szkoda, że tak późno. – Wziąłem ją za rękę.

– Jest jeszcze parę spraw, o których nie wiesz. Nie mogłabym... no wiesz...

Ścisnąłem jej dłoń mocniej, przełknęła ślinę i po chwili wróciła do rozmowy, ale tak, jak wraca się z innego świata:

– Nie miałabym spokoju, gdybym ci nie powiedziała...

– Wkrótce wyzdrowiejesz – przerwałem. – Możemy się umówić na tę rozmowę w Kazimierzu.

– Byliśmy już w Kazimierzu.

– Larysso.

– Słuchasz czy nie.

– Ależ słucham, tylko nie chcę, żebyś się męczyła.

– No więc... Tylko przymknij te oczy, bo patrzysz jak ryba. No więc zacznę od tego mniej ważnego. Pamiętasz Klub Artystów Anarchistów i potem Klub Awangardy Antysocjalistycznej.

– Tak, pięknie to rozszyfrowałaś. Ta sama grupa, ten sam skrót tylko dwa tłumaczenia.

– Głupi! To było bardziej zamotane. A ja to wszystko motałam. Elżbieta i Maria to były moje przyjaciółki. To one udawały Marię, La Pasionarię, potem ja do nich dołączyłam. Organizowałam zasadzki i uprzedzałam o zasadzkach, bawiłam się na dwie strony, jak w dobrym seksie.

– Larysso!

– Nie udawaj takiego cnotliwego, ty mnie w to pchałeś. Cnotliwi to byliśmy tylko dla siebie, jak dwoje nieśmiałych dzieci przed pierwszym stosunkiem, nawet przed pierwszą miłością. I to też chciałam ci powiedzieć.

– Chcesz powiedzieć...

– To co mówię. Wodziłam was za nos prawie rok, córka miała internat, ja mieszkanie, skończyłam studia. Ale do ciebie też coś czułam, to z innymi nie było ważne, to ktoś inny, dotyk obcej skóry, ja czekałam na ciebie.

– Nie wiem co powiedzieć. Nie ukrywam, że moja męska duma jest trochę urażona, a trochę przeciwnie, leci w górę.

– Nie filozofuj. Zostało za mało życia, żeby je przefilozofować. Chciałam tylko wyczyścić sytuację, żebyś wiedział, i nie warto wałkować tematu. Za dużo przefilozofowałeś. Cały Kazimierz.

– Co Kazimierz?

– Powiedzmy, że mógł wyglądać inaczej. Żebyś wiedział, ilu facetów było napalonych, ilu łąziło, podglądało, mogłam pstryknąć palcami, ot tak, miałabym każdego, a ja...

– No cóż, było nawet kiedyś takie powiedzenie: zobaczyć Laryssę i umrzeć.

– Nikt mnie nie widział nagiej prócz ciebie.

Chciałam jej powiedzieć, że lubię nawet jak kłamie – jeśli dla mnie. Ale ona mnie uprzedziła.

– No właśnie w Kazimierzu... w rzece...

– Wiedziałaś?

– Nie byłam pewna, było ciemno. Najpierw byłam pewna, że to ty, ale jak nie przyszedłeś do mnie do wody, nie pomogłeś mi się wytrzeć na brzegu, zwątpiłam. Gdybyś coś czuł do mnie... Chyba że czułeś odrazę.

– Dlatego płakałaś!

– Tak. To była druga tajemnica, właściwie nie powinnam ci mówić. – Laryssa zanosła się kaszlem. Wzięłam ją za rękę. Po chwili zapadła w sen. Spała tak spokojnie, tak pięknie, że zapragnąłem znaleźć się w tym śnie razem z nią. Rozebrałem się i położyłem najdelikatniej jak umiałem obok. Była naga. Dziwne, że wcześniej tego nie zauważyłem. Ale teraz widziałem ją dokładnie, jak nikt inny, całym ciałem.

Potem zapaliliśmy świece. Próbowałem jej coś powiedzieć o sprawach poważnych, o mojej polisie na życie, o niebezpieczeństwach, które czekają, jeśli zamieszka ze mną. Zrewanżować się jakąś ważną prawdą za jej prawdy. Jakbyśmy się rozbierali. Starzy, ale w miarę zdejmowania odzieży coraz młodszy, coraz piękniejszy. Podprowadziłem ją do szafy, żeby zobaczyła jak otwierać. Nie chciała nawet patrzeć. Nie chciała mówić, a raczej mówiła całym ciałem. Zarzuciła mi ręce na ramiona i dosłownie wciągnęła mnie na siebie. Objęła mnie jak dziecko rękami i jednocześnie nogami, jakby miała dwie pary rąk. Było pięknie i śmiesznie, radośnie. Potem było już tylko pięknie, coraz piękniej.

Rano, zamiast iść prosto, najkrótszą drogą do pracy – wyszedłem na tył domu, na to nasze podwórko. Żadnych kamieni, żadnego śladu mogiły. Bardziej smutny niż zły powróciłem na górę i wziąłem się do notatek do Aneksu. Zrobił się wieczór, ale nie dzisiejszy, tylko jakby wczorajszy, jakby wrócił ten po mojej gali. Więc nie wieczór, a już prawie noc. Jakbym w prezencie dostał trochę czasu – takich darów nie wolno marnować.

Czytałem swoje notatki, jakbym nie ja je pisał.

Aneks. Notatki wstępne

Laryssa leży, ja przysunąłem stolik do jej łóżka i piszę. Jak się obudzi – zobaczy mnie, poczuje się trochę różnie. Na razie pracuję nad Aneksem.

To są właśnie te haki na poetów, o których wspominałem Szefowi. Dotkną ich ciał, pokrwawią. Oczywiście na tych hakach nie skończę, to byłoby o wiele za mało. Pożegnałem się z Langiem, lecz jako Majchrzak tym bardziej muszę działać w sposób logiczny, muszę stosować zasadę stopniowania: od spraw bliskich i szczegółowych – do dalekich i najogólniejszych, od fenomenów do noumenów – jakby powiedział Hölderlin. A za Spinozą można w tym miejscu jeszcze dodać: *Ordo et connexio rerum idem est ac ordo et connexio idearum*.

Więc w pierwszej części aneksu, tej, która niedługo wyjdzie i będzie rozsyłana – znajdą się pełne opisy życia moich literackich bohaterów, prawdy, do których nie mógł dotrzeć krytyk, przyjaciel pisarzy Henryk Lang, ale którą odkrywał żmudną pracą oficer Krzysztof Majchrzak.

Więc po kolei.

Jan Kubiak to nie tylko zwykły donosiciel, nie tylko tajny współpracownik SB. Poznałem go, pracując pod przykrywką, gdy był ledwie „kontaktem obywatelskim”, na ochotnika przynosił informacje, nikt nie pytał dlaczego. Dostawał 500 złotych i tyle. Dopiero, kiedy doniósł nam na własnego brata – wziąłem się do zbadania sprawy. Oczywiście szło o kobietę. Wszyscy troje byli w poakowskiej konspiracji, którą we Wrocławiu odtwarzali wygnańcy z Warszawy i Lwowa, obydwa bracia kochali tę samą uciekinierkę ze Lwowa, mówiącą śpiewnym językiem. Helena – bo tak miała na imię – wybrała jego brata.

Podpowiedziałem naszemu poecie, co ma robić. Antyrządowe gazetki to za mały grzech, musi być organizacja, która siłą chce

obalić ustrój, musi być broń. Janek podrzucił swemu bratu rewolwer, nagan z bębenkiem. Potem odbyła się rewizja, Zamknęliśmy ich obu, poeta Jan Kubiak oświadczył, że to nie jego broń, jego brat, Adam wziął całą winę na siebie. Fakt, że był to radziecki nagan pozwolił postawić mu zarzut wcześniejszej napaści i zaboru broni sojuszników, prokurator sugerował nawet morderstwo. Poetę błyskawicznie puściliśmy – brat z więzienia nie wyszedł.

Jan robił karierę, zaopiekował się Heleną, po paru latach się pobrali. Pomagał we Wrocławiu rozpracowywać AK-owców i Solidarność, w stanie wojennym awansował. Jest dobrym ojcem, ma dwóch synów.

Swój nagan oczywiście odebrałem, to zbyt cenna pamiątka, może się jeszcze przydać – nie tylko do pokazów w knajpie czy prowokacji.

Nadszedł czas, by dokończyć tę historię. Na piśmie, w moim Aneksie, będzie opowieść o przeszłości poety. Lecz dokończenie historii nastąpi już nie w rzeczywistości wirtualnej, lecz w realu. Tom Aneksu pójdzie na adres Kubiaków, może przekaże im przez lekarza, który jest naszym konsultantem – i słowa zaczną działać. Żona Jana pozna rzeczywistą prawdę, synowie Jana też nagle ujrzą poza słowami zupełnie inną rzeczywistość. I poznają dalszy ciąg tej historii. Tylko ja jej nie poznam.

Druga historia, drugie dzieło: Marek Śpiewak. Pozyskałem go w Marcu '68. Ale nie za rozruchy studenckie, nie za przyjaźń z Michnikiem. Na michnikowców dostatecznie donosił nam „Albin” – Szlajfer, potem „Ludwik” – Dzięciołowski, a najwięcej to sami na siebie kablowali – znaliśmy każdy ich krok.

Śpiewak był od rzeczy poważniejszych – i mieliśmy na niego poważniejsze haki.

W Marcu nawet próbował się stawiać.

– Nic na mnie nie macie.

– Na ciebie nie. Ale na całą twoją rodzinę. Na ojca.

– Od ojca się odczepcie. Jest stary i schorowany. A prywatnie wam powiem, że zna paru ludzi, był komunistą, stał u boku samego Anielewicza...

– Gdyby stał, to by już nie żył. Bo Anielewicz na początku walk popełnił samobójstwo, a twój ojciec jakoś wyszedł z getta.

– Wiesenthal by się ucieszył – dodałem, przeciągając samogłoski. – Bo oni wciąż szukają policjantów z getta, a twój ojciec był nawet w żydowskim gestapo. Dostarczał Żydów do Treblinki, gdyby nie tacy jak on, Niemcy sami by tylu Żydów nie wymordowali. Judenraty zrobiły listy, przygotowały rozpiskę, a policja wywlekała na śmierć. Twój dziadek był w Judenracie, ojciec w żydowskiej policji. Wiemy, że podczas walk w getcie był najpierw po stronie Niemców, potem się przebrał, wlaź w kanały i czekał. Gdy komuniści zaczęli uciekać, dołączył do nich, zwiął z nimi z getta. Potem, już jako komunista, zamelinował się w Warszawie, później w Lubelskiem. Po drodze odnalazł żonę, a twoją matkę; przechowywał was jakiś proboszcz pod Puławami. A gdy przyszła Armia Czerwona twój ojciec został konfidentem NKWD. Mianowano go szefem powiatowego UB, potem awansował do centrali. Cała jego kariera i majątek oparte są na kłamstwie. Teraz to także twój majątek, twój dom rodzinny. A wiesz jak twój stary go zdobył? Napisał donos na właściciela willi, też Żyda, i to krewniaka. Ten krewniak nie wstąpił do partii. Tacy uczciwi też byli, marzyli o wyjedzie. Twój stary nawet odwiedzał go w areszcie, miał te chody. A cały czas udawał zatroskanego kuzyna. Żegnali się uściskiem i słowami: za rok w Jerozolimie. Bo ojciec obiecywał mu zwolnienie i obiecywał, że też z nim wyjedzie. I za te obietnice wyłudził akt sprzedaży willi. Wy tłumaczył swemu krewniakowi, że to komunistów kłuje

w oczy. Z zazdrości mogą go wykończyć, a wilę zarekwirują. Więc lepiej szybko sprzedać, oczywiście na podstawioną, zaufaną osobę. Ale on będzie nad wszystkim czuwał, nawet kwiaty podlewał. No i poszuka prawdziwego kupca, za prawdziwe pieniądze, bo koniec końców wyjadą do Palestyny i potrzeba będzie dużo szmalu, żeby urządzić się na swoim a nie w kibucu. Krewniak podpisał. Jak się domyślasz, zaufaną osobą była twoja matka. Też pracowała w UB.

A krewniaka potem i tak zabił. Na wszelki wypadek. Jako oficer wziął osobiście udział w przesłuchaniu, przy okazji przeprowadził instruktaż – jak bić, nie zostawiając śladów.

Tak nie ma, wszystko zostawia ślady.

Opiszę to w Aneksie. A także fałszowanie dokumentów, sfotografuję ten pokrwawiony akt kupna sprzedaży. Znany literat Śpiewak-Singer wyleci z mieszkania razem żoną i z synem. A kiedy będzie myślał, że już koniec cierpień, że gorzej być nie może – dobiją go dokumenty, z których wynika, że poszedł śladami ojca i szantażował małżeństwo z Krakowa, właśnie Romea i Julię. W interesie bezpieczki, a nawet przekraczając uprawnienia. Jeśli działa jeszcze żydowska nekama, to go wykończą. Swoich bardziej pilnują niż gojów.

Karol Heller działał dla nas w Poznaniu, donosił na środowiska katolickie, rozpracowywał Bąka. Sam sobie wybrał pseudo „Orion”. To on przekonał zaprzyjaźnionego dominikanina, że dla dobra Bąka musi interweniować w Warszawie. Potem tłumaczył, że robił to z troski o poetę.

Jako działacz katolicki Heller był przyjmowany z serdecznością, jako poeta – z podziwem. Wyszło na wierzch, że był kiedyś zakonnikiem, gdy się nie dało zaprzeczyć, gdy nie dało się wykić łgarstwem o przypadkowej zbieżności nazwisk – dorobiliśmy legendę. Według niej Heller, kryształowy człowiek miał wątpliwości, stracił

wiarę i marzył o jej odzyskaniu – to dodało jego wierszom dramatyzmu. Pozował na doktora Fausta, potem na Hioba, lecz to tylko połowa prawdy, drugą podam w Aneksie. Napiszę, w jaki sposób go zawerbowałem.

W książce ujawniłem jedynie jego donosy do IPN, ale mogę i mocniej zagrać. Opiszę jego udział w akcjach przeciw Kościołowi, w tej pierwszej – w efekcie której schronił się do klasztoru.

To było w 1948 roku. Obiektem był ksiądz Jan Szczepański, miejsce akcji – Brzeźnica Bychawska. Po latach tego księdza nazywali lubelskim Popiełuszką. Powiedzmy to inaczej: jego śmierć była zapowiedzią podobnych wydarzeń, w tym także zapowiedzią śmierci Popiełuszki. Szczepański był kapelanem band antysowieckich, wygłaszał antyustrojowe kazania. Do mszy służył mu czasem taki powiatowy włóczęga, trochę śpiewał, rzeźbił jakieś figurki. Przyłapano go na kradzieży drzewa na te rzeźby, dostał mały wyrok w zawiasach, ale musiał się meldować na milicji. Zaczęliśmy go opracowywać. Dawaliśmy mu zwinięte na jakiejś rewizji książki, żeby zanosił je księdzu. Robił to nawet chętnie, nie czując żadnego podstępu. W ten sposób stał się powiernikiem księdza. Zaczęliśmy go nieco przyciskać, więc się spłoszył. Nas się bał, ksiądz nie chciał zdradzać. Opowiadał więc nam o rzeczach z jego punktu widzenia nieważnych. Jakie ksiądz na regale ma książki, co stoi na szafie, co na biurku, w którym pokoju śpi jego mała siostrzenica. Dzięki niemu UB wiedziało, o której może wejść, bo ksiądz jeździ do jakiejś wiochy na mszę, albo kiedy chodzi z kolędą. Kiedyś nawet, sądząc, że robi dobrze, wychwalał księdza, jak po nocy pojechał wypowiadać umierającego. Biedny wsiowy głupek!

Odbyliśmy z księdzem rozmowę – tyle żeby przestraszyć. Że w każdej chwili możemy wejść do jego domu, że wchodzimy nawet, że wiemy, co ma na biurku i gdzie śpi jego siostrzenica. Widać było, że się przestraszył – ale nie ugiął, co nawet wywołało u nas

pewien szacunek, bo na ogół takie chwytły się sprawdzały. Ostatecznie daliśmy miejscowym pozwolenie na rozwiązanie sprawy – wedle uznania, ale żeby skutecznie. Używam liczby mnogiej, bo nie ja podejmowałem decyzję, byłem za małym pionkiem. Musiałem napisać projekt działań rozpoznawczo-operacyjnych, decyzję podjął Szef. Wykonali miejscowi.

W nocy, to było jeszcze w sierpniu, pod plebanię podjechała furka, ktoś zaczął stukać do okna.

– Ksiądz wyjdzie, mamy umierającego, on chce się wyświadczyć.

– Nie możecie go wnieść, żeby był tu w ludzkich warunkach i wśród ludzi?

– Boimy się go ruszyć, z nim już cienko.

Ksiądz zaczął się ubierać, ale robił to dosyć wolno. W pewnym momencie krzyknął na swojego ministranta, żeby poszedł po kościelnego Gołębiowskiego, żeby otworzył kościół. Po co kościół, jak cały ten cyrk miał odbyć się przy furce, przed plebanią. Chyba że chce ocalić chłopaka, żeby ten zwiął albo szukał pomocy. To znaczy, klecha się domyślił. Przez chwilę jeszcze ciągnęli tę grę. Drugi z resortowych zastukał w okno, poprosił, żeby ksiądz wyszedł z kubkiem wody do konającego. Ksiądz podał kubek przez okno. To było potwierdzenie, że klecha się domyślił! Chłopak z resortu nie wytrzymał i strzelił z rewolweru przez okno, ale chybił. Drugi z bojów rozwalil szybę w drzwiach, wsadził rękę, odsunął zasuwę i wpadli na plebanię. Tak się wściekli, że trochę zdemolowali pokoje, wypili mszalne wino, musieli odreagować. Księżdz na początek fachowo ogłuszyli. A potem go wywlekli i rzucili na furkę. Ksiądz zniknął. Wieś wyła po nocach – i nic więcej nie mogła zrobić.

W piątek 3 września 1948 odnaleziono księdza. Dzieciaki kąpiące się w Wieprzu znalazły jego ciało zaplątane w korzenie. Na wyrwanych skądś drzwiach chłopci ponieśli trupa do Brzeźnicy. Wezwany lekarz stwierdził, że ksiądz zginął dopiero w trzecim dniu od porwania. Ręce kapłana były związane, twarz opuchnięta, na plecach liczne siniaki, paznokcie jednej ręki i nogi były zerwane, oczy wydłubane, język i genitalia wycięte lub wyrwane. Bok głowy rozłupany wystrzałem. Lecz z opinii lekarza wynikało, że przyczyną śmierci nie był strzał, lecz utonięcie – w płucach znajdowała się woda. Tyle wynikało z dokumentacji.

Trzeba było podjąć czynności, sprawy nie dało się już ukryć. Milicjanci i miejscowi ubowcy spisali się na medal. Błyskawicznie rozpoczęli śledztwo Oskarżano bandytów od „Uskoka”, oskarżano świadków Jehowy, ustalono, że po raz ostatni widziano księdza nad ranem 23 sierpnia 1948 we wsi Leszkowice, na furze. I tutaj ślad się urywał. Śledztwo zamknięto z powodu niewykrycia sprawców.

Ministrant, trochę rzeźbiarz, trochę kapuś, to rzecz oczywista nasz Heller. Najpierw wylądował w psychuszce, potem zgłosił się do klasztoru. Odnaleźliśmy go w seminarium – i zaczął współpracować. Nie do końca, jeszcze kombinował, jeszcze próbował uciec występując z zakonu. To było nawet nam na rękę, samotnego łatwiej było osaczyć. Po paru rozmowach jadł nam z ręki. Skierowaliśmy go na odcinek świeckich organizacji katolickich. Najpierw donosił, co dzieje się w PAX-ie, a w okresie Solidarności obserwował wrocławski KIK. A ja mu załatwiałem druk wierszy, spotkania, nagrody. Awansował i pisał, i wciąż nad sobą ubolewał.

I tyle o Hellerze i o wieszczach socrealizmu.

To, co o nich napiszę, to będzie jak trzęsienie ziemi, i nie ustanie tak szybko. W sejfie mam więcej niespodzianek. Dopiszę jeszcze wstępny, może najdłuższy rozdział. Napiszę, jak naprawdę zabi-

to Popiełuszkę, co wiadomo o zleceniodawcach mordy na małym Piaseckim, kto zamęczył Jaroszewiczów. Chcieliście sanacji, to będziecie ją mieli. Nie chcieliście – też będziecie mieli. To będzie moje dzieło sztuki, happening, jakby spadły ubrania, maski, kalesony i nagle wszyscy stoją nadzy. Nie tylko pionki w rodzaju Kubia-ka, Hellera czy Śpiewaka. Po zwykłych agentach także króle – jak u Szekspira.

To mówię do was ja, esbek.

Nie wiem, kiedy czytacie moje słowa. Myślicie, że jestem martwy? Może i martwy. Ale ja trup nadal wami rządę, przestawiam was po zakątkach istnienia niby pionki na szachownicy, wyganiam z domów, rozbijam wasze rodziny, jestem bardziej żywy niż wy. Moja sztuka jest nieśmiertelna. Ile takich dramatów zdołam jeszcze obmyślić, ile Aneksów, wstępów i partytur przygotować do druku?

Te dramaty będą się rozgrywać już bez mojego udziału. Szkoda. Ale lepiej jest, kiedy dzieło przeżywa twórcę, niż gdyby miało być odwrotnie.

Kolejny problem z Wiktorem

Nieoczekiwanie przyszedł Wiktor, więc posłałem go do apteki. Przyniósł co trzeba, nawet więcej. Potem niestety zaczął gadać, jakby nie bardzo chciał wyjść.

Słuchając piąte przez dziesiąte, zastanawiałem się, po co naprawdę przyszedł. Jego gadanie i moje myślenie przerwał telefon od Szefa. Wyszedłem z telefonem do łazienki, drzwi zatrzymały się uchylone z powodu sznura, lecz nie przypuszczam, żeby podślu-

chiwał. Zdziwiło mnie, jak szybko Szeł się dowiedział o szczegó-
łach gali (czyżby był wciąż pod obserwacją?) – on jednak nie wie-
dział o niczym. Dzwonił wyłącznie w sprawach jakichś pogłosek,
jakichś nowych śladów. Spytałem o jakieś konkrety – usłyszałem,
że to nie na telefon i niekoniecznie dzisiaj, czy możesz jutro – i ow-
szem.

Wróciłem do Wiktora. Nawet nie wiem, czy zauważył, że zrobi-
łem sobie przerwę na telefon, bo dalej gadał. Przypomniałem mu,
że Laryssa jest chora. Oskrzela, może nawet płuca.

Wtedy wykrztusił, po co przyszedł.

Przyznał, że liczył na jakieś pieniądze za występ w Związku Li-
teratów, użył słowa happening. Pieniądze nie będą mi już potrzebe-
ne i on chyba też się domyśla, jego trzykrotna zapowiedź biada –
biada – biada – to był akt przedostatni. Teraz w sposób konieczny
musi nastąpić akt ostatni. Wszystko jest przeraźliwie jasne. Ale na-
ciągaczy nie lubię! Mówił, że robi to z przyjaźni, więc tym bardziej
mnie rozczarował. W tych kręgach nie ma przyjaźni. Przypomnia-
łem sobie dawne czasy i zrugalem go, mało zrugalem, opierdoliłem
jak święty Michał diabła, dołożyłem dawno nieużywanych ruskich
jobów – straszył, że wszystko powie, ale to ja mam go w ręku. Jego
akta mam w swoim sejfie, tego nikt nie wyczyści. O właśnie!? Czy
może przyszedł wyniuchać, gdzie jest ten sejf? Na mokrą robotę
się nie odważy, ale może kogoś wynająć, jakiegoś Ruska, ale naj-
pierw musi odzyskać teczkę. Póki ich nie ma, jestem bezpieczny,
to znaczy jestem wciąż nieśmiertelny, to znaczy, że tylko ja będę
mógł sam siebie zabić. To będzie wielki finał, ostatni dramat mego
autorstwa.

Poszedł.

A po paru kwadransach zadzwonił. Okazało się, że wcale nie
powiedział mi prawdy, że o pieniądze to tylko tak poprosił, a nuż

się uda, a naprawdę to pieniądze ma. Rzuciłem znów parę przekleństw, ale w końcu pozwoliłem mu przyjść i powiedzieć, o co naprawdę mu chodzi.

Tym razem zaczął obrabiać groby. Nie tylko dewastowali, robili gorsze rzeczy. On właściwie już przestał, ale kumpel wpadł i pewnie będzie sypał. Cóż mu mogłem doradzić? Oczywiście żeby to on pierwszy sypnął.

Siedzieliśmy do rana pisząc jego antydatowane „doniesienie”, z którego pośrednio wynikało, że on wszedł w to przestępcze środowisko na nasze polecenie, taka specoperacja. Było to naciągane, hienami cmentarnymi zajmował się inny wydział, ale za pomocą łapówek i sfałszowanych dokumentów nie takie rzeczy w Departamencie załatwiano. I koniec końców „Wiktor” jeszcze na tym zarobił. Ponieważ na tak tajną operację nie pobrał z góry środków – poświadczyłem, że wykladał z własnej kieszeni i natychmiast zwrócono mu to z naddatkiem z kasy ministerstwa. Ponieważ operacja była, jak się rzekło, tajna, nie wiedziała o niej nawet miejscowa SB, a co dopiero milicja – to i ryzyko było większe. No więc Wiktor dostał dodatek, jakiego ja dawno nie oglądałem. W ramach rewanżu – trzeba mu to oddać, zachował się elegancko – zaprosił mnie do „Złotej Kaczki”. I pod koniec obiadu sam wrócił do tej niesmacznej historii. O dziwo – bez poczucia winy. Głowę miał pełną nowych, jeszcze bardziej zwariowanych projektów.

– Oni nie wykorzystują swojej szansy, mają głupich propagandzistów.

– Kto „oni”?

– No czarni, no chrześcijanie, nasza konkurencja. Chrystus, symbol cierpienia wisi w kościele, który przez większość dnia jest pusty, czasami w jednej wsiowej kaplicy jest kilka różnych krucyfiksów, nie? A ile ich marnuje się po cmentarzach! Przecież ten

cały kraj jest pełen trupów, szkieletów, kości. Wszędzie powinny być krzyże. Po to mi tyle krzyży.

– Przecież wam nie o krzyże chodziło, wy okradaliście trupy, ściągaliście biżuterię, wyrwaliście złote zęby.

– To oni, ale nie ja. Mnie były potrzebne krzyże. Nawet nie całe. Mam pełny magazyn na Bródnie, ja szykuję Wielki Happening.

– Wielkie co?

– To takie wydarzenie, to teraz modne słowo. Opowiem ci, generał, następnym razem, ludzie na mnie czekają.

Nawet nie podał ręki, tylko wykonał jakiś dziwny gest i zniknął. A na koniec się okazało, że to ja płacę rachunek. *Wonderfull!*

Bolero piwniczne

Kiedy po ciemku wstawałem, słyszałem już tylko muzykę. Ale wcześniej, przysięgam, słyszałem krzyki, to one mnie obudziły w środku nocy. Zwłokłem się znanymi już schodami, piwniczny korytarz był prawie ciemny, tym bardziej niesamowite wydawały się wychodzące ze ścian figury muzykantów zjawiających się jak natrętni skrzypkowie na weselu, tańczących z piszczałkami jak pijane satyry, trąbiących z bliska wprost w twarz – a to było jak pogardliwe pierdzenie. Melodia rosła coraz potężniejsza – jakby coraz głośniejsze wrzaski musiała zagłuszać.

Nie od razu zorientowałem się o co chodzi. Bo na dnie tej melodii jednak słyszałem krzyki, jeszcze ludzkie, lecz już odczłowieczone, już zwierzęce. W krzyku jest jeszcze myśl jakaś, jakiś protest – w tym skowycie było już tylko cierpienie. Bębenki, bębny uderzenia pałkami w czaszkę, suchy trzask kości, ludzkie wrzaski, uderzenia pięściami w drzwi – wszystkie dźwięki podporządko-

wywały się rytmowi, stawały się elementami narastającej muzyki. Podłogą, ścianami rytmicznie wstrząsało Bolero Ravela, ale w jakiejś odkształconej wersji – jakby miało nie tylko zagłuszać, ale i parodiować głosy katowanych ofiar, jakby gwałciło coraz szybciej, coraz brutalniej, sam diabeł dobrał tę melodię, muzycy uzbroili ją w instrumenty, więźniowie wzbogacili o wycie, skomlenie i o rytmiczny, coraz straszniejszy chichot.

Próbowałem dorwać się do którychś drzwi, lecz grajkowie zagradzali mi drogę, chwyтали za ręce, za ramiona, jak w dziecięcej zabawie – i zaczynali kręcić. W pewnym momencie tak zakołowało mi się w głowie, że upadłem i straciłem przytomność.

Kiedy ją odzyskałem, korytarz był pusty. Drzwi brudne, niektóre pozabijane wielkimi kowalskimi gwoździami. Spróbowałem otworzyć – klamka nawet się nie ugięła. Następne również zamknięte, wygląda, że od lat.

Po kilku takich próbach – powróciłem na górę.

Nie ja się śmiałem, coś we mnie chichotało, nie mogłem tego zatamować. Gdy piłem wodę – zęby dzwoniły mi o szklankę. W końcu się położyłem, ale jakoś bałem się zasnąć. Próbowałem nawet coś czytać – i zasnąłem przy zapalonej lampce. Chyba coś mi się śniło, coś przerażającego, bo obudziłem się z pogryzionymi ustami. Na poduszce też były plamy krwi. Niczego nie pamiętałem. Przy goleniu zacząłem nie tyle śpiewać, co pojękiwać Ravela – też nie wiedziałem dlaczego. Nadal nie wiem.

W pogoni za cieniem

W sejfie niczego o nim nie znalazłem. Trzeba będzie uzupełnić, póki czas. Na razie poszedłem do naszego archiwum „C”, niby to

w stanie likwidacji, de facto w stanie rozkradania. Przejrzałem kilka chudych teczek. Kpiny. Jakaś zgoda na wyjazd do NRD, jakaś wycieczka do Moskwy i to wszystko, co mamy na temat Wiktora. Jakby nie istniał. A ja naiwnie sądziłem, że to ja go zawerbowałem – ale nie. Widocznie go odziedziczyłem. Podsunęli mi go z innego departamentu, jeśli nie całkiem z zewnątrz. Oczywiście: teczki pracy zniknęły, z teczki personalnej – zostało parę kartek, nawet bez zdjęcia. Zresztą pod jakim nazwiskiem miałbym go szukać? Imię też sam mu wymyśliłem pod wpływem opowieści o doktorze z Frankensteinu.

W połowie poszukiwań przypominałem sobie, że miałem pójść do Szefa. Zwykle, polityczne nudziarstwo, dziwne było jedynie to, że wyznaczył mi spotkanie w domu. Gdy dotarłem – zaprosił mnie do gabinetu, sam pozostawił mnie na moment i przeszedł do drugiego pokoju, żeby – jak to ujął po polsku – wykonać telefon. Korzystając z okazji sięgnąłem do półki z książkami – i ściągnąłem na siebie cały rząd. Atrapy! Same okładki, a właściwie grzbiety, Zanimi butelki z różnymi gatunkami wódek. Przypominałem sobie sentencję Wilde’a: *A room without books is a body without soul*. Pokój bez książek jest jak ciało bez duszy. W duszę wprowadzić nie wierzę, ale jeżeli już, to raczej ja ją mam, niż on, niż oni wszyscy. Tylko jaką?

– Skoro już odkryłeś tajemnicę mojej biblioteki, to nalej po szczeniaczku – zawołał Szef przez drzwi.

Nalałem. Szef po chwili wrócił.

– Wybacz, nie pogadamy tak od serca, bo znowu mnie wzywają. Szykują jakieś czystki i to takie w moskiewskim stylu.

– Mógłby Szef jaśniej?

– I tak za dużo powiedziałem. Do ciebie też jest sprawa, nawet prośba, ale to przy innej okazji. Może zresztą obejdzie się bez twojej pomocy, ktoś nie całkiem ma do ciebie zaufanie. Wiesz dużo,

a może nawet za dużo. Ale nie bój się na zapas, młody. Pijmy, póki możemy.

Wypiliśmy.

Próbowałem go chociaż podpytać o Wiktora.

Popatrzył na mnie dziwnie:

– Nikt taki u nas nie pracował.

– Jak to! Był u mnie na gali, jeździłem z nim do Wrocławia.

Szef zajrzał do szuflady. Jak wszyscy lekceważył przepisy i najważniejsze papiery trzymał w domu. Niektóre miały mu służyć jako zabezpieczenie. Gdy podniósł głowę, patrzył jakimś obcym wzrokiem i mówił do mnie per „wy”.

– We Wrocławiu towarzyszył wam TW „Konar”, miejscowy tewulec. Nikogo z Warszawy nie było. A tak nawiasem mówiąc, trochę tam narozrabialiście, młody! Na waszym stanowisku, tylko woda i to bez bąbelków. Chłać to możecie w domu, lecąc w konia przy zasłoniętych firankach.

– A sprawa „Konara”? Ktoś go przecież...

– Złapano dwóch meneli z Warszawy, nie histeryzuj młody. Typowe morderstwo na tle rabunkowym. Nikomu ze śledczych nie chciało się pieprzyć z jakimś donosicielem, przyjęli pierwszą wersję, do prasy dali standardowy nekrolog, oczywiście nie z bezpieczniackim a z literackim pseudonimem. A jak się naprawdę nazywał – ja też już nie pamiętam. – Szef wyraźnie chciał zakończyć rozmowę. Rozpaczliwie chwyciłem się dowcipu, to czasem działało.

– To znaczy, Szefie, że dajecie mi wolną rękę?

– Mówcie jaśniej. Ja nie mam czasu.

– No bo jeżeli Wiktor nie istnieje, to mogę go zabić. Będzie mniej jednego parszywca, a jednocześnie, jak wynika z dokumentów, nikogo nie zabiję. Poprawię tylko stan swojego umysłu – zakończyłem wymuszonym śmiechem.

– Tak, i poprawicie porządek świata, bo świat...

- Wypadł z zawiasów, jakby powiedział Szekspir.
- Przestańcie mi tu już pierdolić i idźcie na ten urlop – zakończył Szef. Czyżby nagrywał? Albo bał się, że jego nagrywają.

Pożegnałem się z wymuszonym uśmiechem, przez moment coś ciepłego było na jego twarzy, przycisnął mnie bez słowa do piersi i popchnął w stronę drzwi. Powlokłem się do siebie. Najpierw kawałek spacerkiem, ale mimo iż szedłem kilka minut chwilę – ulica zdawała się wydłużać aż za horyzont, dorzucała po bokach nowe kamienice, jakby wrywane z innych ulic. Nie, nie da się jej przejść, wciąż będą nowe domy, jakieś nieoczekiwane zakręty i zaułki. Wsiadłem w tramwaj, stanąłem na pomoście. Wróciłem do rozmyślań o Wiktorze, który nie istnieje, o morderstwach w Toruniu, Wrocławiu, Dubrowniku.

M – O – Ś.

To trzeba sprawdzić. Ktoś miał motyw, ale nie miał okazji, lub trafiła mu się okazja – nie miał środków. Janek miał dziesiątki okazji.

W pewnej chwili wydało mi się, że w drugim wagonie stoi Wiktor. Trochę większy, jakby dołożono mu ciała, łapska chłopskie – niczym powyginane konary, za to nogi urzędnicze, chude. Ale ten drugi wagon też był większy od pierwszego, chyba jakieś złudzenie optyczne. Na pewno złudzenie – bo gdy wysiadałem – nikt z drugiego wagonu nie wyskoczył. Chyba nawet drugiego wagonu nie było, to pierwszy jakby się podwoił w powietrzu – jak ogromnej kałuży, nad którą się zatrzymał.

To złudzenie powtórzyło się raz jeszcze, gdy szedłem korytarzem. Znów go widziałem, Wiktora. Ten stary upiorny hotel nadaje się do kręcenia filmów z czającymi się mordercami lub z duchami, które w nim się zabłąkały jak w labiryncie. Będą łączyć tak do końca świata

albo dłużej, bo to przecież duchy. Nawet teraz też zdaje mi się, że słyszę kroki, ktoś nadchodzi – ale kroki urywają się przed drzwiami – a gdy drzwi nagle otwieram – korytarz za nimi jest pusty.

Chorobliwe złudzenie. Wiktor przecież by się nie chował, przeciwnie – próbowałby pogadać, coś pożyczyć albo chociaż czegoś się napić.

Dusza, czyli podręczna biblioteka

Gdy wróciłem do swojego pokoju, podejrzliwie zacząłem patrzeć na swoją bibliotekę. Jakies albumy – resortowe nagrody, książki kupowane na bazarze, cuchnące ze starości, mieszanina filozofii i tandety. Włodzimierz Iljicz Lenin *Trzy źródła i trzy części składowe marksizmu* w wydaniu z 1949 roku, poemat ku czci Dzierżyńskiego, oprawny w skórę, dobrze że nie ludzką, w środku obłudna dedykacja Leopolda, to był początek współpracy. Obok *Winnetou* Karola Maya – nie pamiętam komu go nie oddałem, Rilke – w środku drobnym kobiecym pismem „doniesienia” Laryssy. Zamiast listów miłosnych, a może jednak trochę... Poniżej *Cichy Don*, kilka zielonych tomów arcydzieł światowych filozofów (kupowane po zniżonej cenie), *Barwy walki* – Moczar dedykował je Szefowi a stoją jakimś cudem na moim regale, *Rozmówki niemieckie*, wybory przysłów angielskich...

Z czego pozszywana jest dusza?

Następnego dnia wyciągnąłem z sejfu najstarsze teczki. Wiktor nie musiał mieć własnej teczki, ale mógł znaleźć się przypadkiem w teczce kogoś, na kogo donosił, albo w donosach innych moich współpracowników. Znów pudło. Chyba jednak pojawił się później. Kto go naprawdę prowadzi – bo chyba prowadzi do dzisiaj?

Do notatnika przepisałem kilka informacji, które wkrótce mogą się przydać. Najważniejsze zostają w pamięci – jak w pojemniku. Można je przepisywać, można zeznawać, opowiadać, wydobywać i wydobywać – a one wciąż pozostają. Nie można się ich pozbyć. To może być niebezpieczne. Bo jeśli są cenne albo groźne – wszystko jedno dla kogo – jeśli można skopiować, lecz nie można usunąć – pozostaje likwidować pojemniki.

Nasza definicja człowieka: pojemnik.

Z punktu widzenia teorii ewolucji można powiedzieć, że małpy miały informacje niezbędne do działania, te które stawały się zbędne – wyrzucały. Potem ten mechanizm nawalił, pozostawało coraz więcej złogów, informacji nieaktualnych, ale może potencjalnie przydatnych, ilość musiała przejść w jakość. Przeładowana małpa stała się człowiekiem.

A Wiktora po prostu nigdzie nie ma. Gdy zapytałem dozorcę – popatrzył na mnie dziwnie. Czy możliwe, że w papierach nic nie ma. Skąd on się wziął. Dlaczego żyje. To zlepek tego co martwe, gnijące, co dawno powinno się rozpaść.

Mity nas rozszarpia

To gorszy wynalazek niż łoże Prokrusta, pokręconego syna boga morza. Mitologia grecka jego ustami powiedziała prawdę o sobie.

Ale co stało się z nami? Mity są chore, wynaturzone, zamieniają się we wściekłe psy, które rozszarpują właścicieli.

Mit o Prometeuszu wywabił doktora z Frankensteina na lodową pustynię i rozszarpał na martwe kawałki.

Propozycja nie do odrzucenia

Wezwali mnie pod nieobecność Szefa. Stare sprawy, stare układy. Okazało się, że mogę, a to znaczy, że powinienem poświadczyć, że obecny prezydent nie był tajnym współpracownikiem. Nie chodzi o to, żebym miał na ten temat jakąś wiedzę, może posiadać ją Szef, który chwilowo gdzieś zniknął, chodzi o to, że moja pozycja była taka, że mógłbym ewentualną wiedzę na temat posiadać. Cokolwiek powiem – będzie wiarygodne.

A powiem, oczywiście, to, co każą.

Wiem, że to propozycja nie do odrzucenia, ale postanowiłem się podroczyć i podróżować. Powiedziałem, że niewiele pamiętam i że w ogóle nie czuję się najlepiej. Jeżeli głowa to pojemnik z informacjami, to mój już mocno przerdzewiał, informacje się pomieszały, pokruszyły. Gdybym wtedy przypuszczał, że ten młody, bezkompromisowy dziennikarz zostanie prezydentem, pewnie więcej szczegółów bym próbował zapamiętać, z kim się spotkał, w jakim języku rozmawiał. A tak – pamięć zachowała jakieś fragmentaryczne obrazy, jakieś kalekie, pozbawione ciągłości freski. Tu kawałek twarzy generała, tam jakiś Rosjanin bez twarzy, knajpa, która jest kortem tenisowym... Obiecali pomóc mojej pamięci, co może oznaczać zarówno groźbę, jak przyrzeczenie rewanzu. W pewnym sensie to zależy ode mnie.

Więc przestałem się droczyć, no nie całkiem. Podtrzymałem, że źle się czuję, z tym kortem nieco przesadziłem, dałem do zrozumienia, że wiem coś więcej, ale szybko przykryłem to narzekaniem na warunki mieszkaniowe. Obiecali załatwić przesłuchanie u mnie w domu.

Korzystając z okazji przeprosiłem, że mieszkanie mam niezbyt reprezentacyjne, bo jeszcze z czasów PRL.

Głos w telefonie obiecał „wyjść naprzeciw” i zapewnił, „my swoim pomagamy”.

Rozmowa odbędzie się u mnie. Może już nawet w nowym mieszkaniu na Ursynowie.

I odbyła się. Jeszcze w starym mieszkaniu, ale to kwestia czasu. Następne będzie w nowym, dużym lokalu o podwyższonym standardzie. Osiedle starych domków wśród bloków, zielone dachy, parkan i cieć na wartowni. Ciekawe, czy przeniosą też naszego ciecia, czy dadzą kogo nowego.

Te gnojki wciąż się nas boją. A kiedy trzeba wystawić świadectwo moralności – przychodzą do nas po ratunek. I my, bezpieczniacy sięgamy do tajnych sejfów, sprawdzamy, co taki gnój naprawdę ma na sumieniu, po czym wystawiamy złodziejom, zdrajcom i bandziorom niemal certyfikaty świętości. My, którzy łamaliśmy ludzi, przekłamywaliśmy ich biografie, fałszowaliśmy historię PRL – dziś wyrokujemy, kto był uczciwy, kto nie, co jest dobro, a co jest zło.

Jestem autorytetem moralnym.

Jestem wszechmocny. Uśmiecham się do swojej twarzy w lustrze na szafie.

I taka jest ta nowa Polska. Nie w niewoli u obcych a u swoich.

Dach

Na razie jednak wciąż jestem w starym mieszkaniu, w starym domu – ponurym jak z filmów Hitchcocka. Światła, które same się zapalają, wiatr, a czasem i śnieg na korytarzach, bezpieczeństwa głosy i krzyki, które pozostały po umarłych.

Powiedziałem dozorczy o piwnicach – udał, że nic o nich nie wie. Ale w rewanżu pokazał mi schody awaryjne na dach. Właściwie z dachu na dół, ale my poszliśmy pod górę. Ciec bełkotał, że kiedyś to były schody ruchome, tyle że zardzewiały, nikt nie używał. Poczułem się wyróżniony, ale szło się ciężko. Jakby po drodze zaczynało przybywać schodów, jakby jakaś siła nie chciała żebym doszedł, ale dozorca najpierw mnie podpierał, potem wziął mnie na plecy – i doszliśmy. Świeże powietrze mi pomogło. Na dachu jest kopczyk, kilka drzewek w donicach, wyglądają żałośnie, chyba tylko deszcz je podlewa. I ta kupa piachu, na którą oczywiście wleźliśmy. Ciec miał z sobą butelkę, której przedtem nie zauważyłem. Piliśmy z gwinta – może nie wypadało, zbytnia amikoszoneria, ale nastrój był surrealny. W dole światła Warszawy, jasne i czerwone smugi samochodów, na górze gwiazdy jak na niemieckim kiczu. Ciec mówił, że ludzie mogą fruwać, tylko nie mają odwagi. By mi to udowodnić zeskoczył z dachu, ale nie upadł w dół tylko w górę – jeśli w górę można upaść. Po chwili wrócił.

– Teraz twoja kolej – powiedział, jakby był mi równy stopniem.
– To lepsze niż rosyjska ruletka. Jeśli raz się odważysz, nigdy nie będziesz się bał. Niczego.

Dwa razy nie musiał mi powtarzać Zastanawiałem się tylko, czy skoczyć z krawędzi jak on, czy wejść na kupę piachu i wybić się z niej w górę. Zacząłem wchodzić na kupę, ale ciec patrzył na mnie ironicznie, jakby nie wierzył w moją potęgę. Światła miasta pulsowały pięknem, pod stopami miałem wszystkie królestwa świata. Zszedłem z kopczyka, ciec parsknął diabelskim śmieszkim – ale to ja go zaskoczyłem. Bo zdecydowałem się na krawędź dachu. W powietrzu pojawiły się ogromne ptaki, dwu-, cztero-, a nawet sześcioskrzydłe, kołowały, czekając by mnie pochwycić, chciałem się znaleźć między nimi – tak samo wolny, potężny, wieloskrzydły. Już miałem wzlecieć, gdy usłyszałem jakieś wulgarne prze-

kleństwa. Zupełnie nie pasowały do pięknego kobiecego altu. Ktoś zaczął sypać piachem i na dachu pojawiła się Laryssa, widocznie odnalazła te same tajne schody. Ciec nagle znikł, pewnie znowu zeskoczył, upadliśmy z Laryssą na piach.

Nawet nie próbowała nas rozbierać, tylko trochę ściągnęła ze mnie spodnie.

– Ja ocaliłam ci życie, jesteś mój, teraz mogę cię zabić albo zerznąć! Było cudownie. Na dachu nie pamięta się lat.

No i rzecz najważniejsza: Laryssa jest prawie zdrowa. Bałem się, że ta wyprawa na dach, powiedzmy ładniej: na dach świata, może jej zaszkodzić. Tymczasem odwrotnie. Jednak kobiet nie da się zrozumieć. To co kogoś mogłoby zabić – im służy znakomicie, wręcz odmładza. Warto zapamiętać ten sposób i zacząć go propagować. Można stosować bez umiaru, byle na dachu.

Wyjedziemy do Kazimierza. Na jesień – to dosyć symboliczne. Kiedyś – ileż lat temu – szliśmy spacerkiem przez kazimierski rynek. Nawet chwyciła mnie za rękę, potem spłoszona puściła. Ja też nie miałem odwagi, ktoś mógł zobaczyć. Gdy staliśmy pod Domem Architekta powiedziała, że chciałaby tam spędzić choć jedną noc. Nie powiedziała, że ze mną, ja nie miałem odwagi tak myśleć. Teraz mógłbym jej zrobić niespodziankę.

Wielki Happening. Projekt Jezus

Nie dostałem mieszkania, ale... zostałem prezesem spółdzielni mieszkaniowej. Dbają o swoich, a co ważniejsze, mają możliwości, by dbać. Jeszcze nie wszedłem za bardzo w obowiązki, a już musia-

łem zrobić oblewanie dla dawnych kumpli, w nowym, a przecież wciąż w tym samym, wciąż w tym naszym ministerstwie. Całą imprezę zorganizował Szeff, który wrócił po paru dniach tajemniczej nieobecności. Stara gwardia znowu się skrzykuje, a może lepiej powiedzieć: nigdy się nie rozeszła. Za czas jakiś zrobimy oblewanie nowego mieszkania już w nowym mieszkaniu. Prawie pewne, że na pierwszym piętrze – najbezpieczniej. Nikt nie podejdzie z zewnątrz, w razie czego można wyskoczyć, pod oknem jakieś klomby. Nasza spółdzielnia ma odpowiednie rezerwy dla swych funkcyjnych! A wszystko oczywiście *lege artis*, zadbał o to zespół prawników. No, chyba żeby stary, upiorny budynek nie chciał mnie wypuścić ze swych murów... Czasem myślę, że ten stary gmach w cieniu Sądów to potwór obdarzony złą inteligencją i chorą, okrutną wyobraźnią, a co najgorsze, zdolnościami do transformacji. Jakby bawił się ze swoimi mieszkańcami w jakieś upiorne gry. Są takie amerykańskie zabawki, teraz modne, że jakieś metalowe potwory same się przetwarzają a to w pojazdy, a to właśnie w budynki. Inna rzecz, że jeśli tak jest – to najpierw ten dom nauczył się tych wszystkich potworności i przepoczwarzeń od ludzi, w jakiś sposób je jednak zachowuje, a nawet powtarza i przetwarza. Dlatego nasze dni są jak film, który sam siebie powtarza, czasem doskonali, czasem czyni bardziej upiornym.

Nie wiem, w jaki sposób Wiktor wywęszył mnie w tym nowym miejscu pracy, a raczej dorabiania. Na oblewanie prezesury przecież gnojka nie zapraszałem. Popytał, powęszył, poznał moje godziny dyżurów i przyłazł. Dokładnie na pięć minut przed końcem dyżuru. Chciał jechać tradycyjnie do „Złotej Kaczki” – wymówiłem się brakiem czasu i zaciągnąłem go do kawiarenki „Ricardo”, parę kroków od mojego biura. Właściwie jest to duży, tyle że elegancki sklep, nie można się zasiedzieć, bo kiedy kończy się handel

– dziewczęta gaszą światło. Poza tym – nie można tu pić alkoholu. Biedny Wiktor zamówił herbatę i lody.

A potem mnie zaskoczył.

W każdej kieszeni miał piersiówkę. Do herbaty dołał rumu, lody polał koniakiem.

Obie dziewczyny udały, że nie widzą.

– No, jak tam twój happening, Witia – zapytałem na powitanie.

– Wielki Happening, generał! Narozdajemy ludziom Chrystusów bez krzyży, a potem na czele tłumu idziemy wieszać je w różne straszne miejsca. Na drzwiach, gdzie Niemcy przybili jakiegoś więźnia, na drzewie, gdzie wisiał kiedyś wianuszek dzieci, albo na zwykłej wsiowej studni, do której zaglądała jakaś nieostrożna dziewczynka.

Ale nie tylko.

Także na drzewie, pod którym ktoś był szczęśliwy i po raz pierwszy całował się z dziewczyną, i na dworcu, gdzie po latach wojny spotkała się żona z mężem. My przywrócimy sacrum tej spustoszanej ziemi. Jak ludzie żyją po uszy w śmierdzącym profanum, to pragną sacrum, nie? Życie bez sacrum jest jak ta herbata bez rumu. A my im damy tyle sacrum, ile dusza zapragnie, no może nie damy a sprzedamy, ale po cenie przystępnej i na każdą okazję: od wiary w siły wyższe, opiekuńcze – po sakramencik małżeństwa i chwilę wieczornej modlitwy. Oczywiście jak moda się przyjmie, to będziemy sprzedawać wersje różnej wielkości, od Chrystusa kieszonkowego do osiedlowego, od żelaznego, żeby był piorunochronem, po taki, co się będzie unosić na falach jak boja i świecić własnym światłem. Po cichu rozdałem już ponad tysiąc Chrystusów, a to dopiero początek. Tysiąc krzyży na tysiąclecie! Łapiemy obie strony, szczęśliwych i zrozpaczonych, Chrystus na domu, gdzie ktoś cierpiał i na domu, gdzie ktoś żył szczęśliwy. To będzie nowa reforma religijna, mogę się nawet ubrać w jakiś habit...

– Ty w habit?

– Jak święty Franciszek! Ale powiadam ci, generał, święty Franciszek, to pikuś, ja zrobię coś na miarę Jezusa, tyle że z lepszym zakończeniem. Ludzkość zbydlęcieje bez religii, tylko to różni ludzi od zwierząt, ludzkość musi mieć sacrum – i my to załatwimy. Na początek wyniesiemy krzyże z cmentarzy na osiedla, na stacje kolejowe i skrzyżowania dróg, na tramwajowe przystanki i przed wejścia do sklepów, tych krzyży cmentarnych będzie za mało, trzeba będzie dorobić setki tysięcy nowych, niektóre postarzyć, trochę patyny, trochę mchów na drewniane ciała. To wymaga nakładów, ale finalnie przyniesie zyski. Roboczo możemy to nazwać Projekt *Jesus again*. Ja będę jego apostołem. Nowy Jezus!

– Chyba Judasz!

– Judasz?

– Ty Witia, jeszcze raz chcesz sprzedać Chrystusa i jak cię znam, to nie zwrócisz tych zarobionych srebrników, jak zrobił to Judasz. Ty jesteś zwykły oszust!

– Może oszust, ale nie zwykły! Ludzkość potrzebuje nadziei, nie? Ja ją ofiaruję i jak mówiłem tanio, bo to będzie wyrób masowy. Im więcej nadziei – tym taniej. Nawet jeżeli znajdzie się w tym trochę fałszu, to skutek będzie dobry. Do miedzi także trzeba dodać trochę tańszego świństwa, żeby był spiż na pomniki.

– Kręcisz.

– Tylko logicznie myślę. Sam mnie generał uczył: z prawdy wynika prawda, ale prawdy jest mało, nie wystarczy. A z fałszu także może wynikać prawda, nie? Produkt wyjściowy gorszy, ale efekt równie dobry. Po latach nikt nie dojdzie, czy to była prawdziwa nadzieja, czy podróbka, ona będzie żyć własnym życiem, ludzie chcą być oszukiwani.

– Stul pysk z tą twoją diabelską logiką!

Ekspedientka zaczęła nam się uważniej przyglądać. Uśmiechnąłem się głupkowato i poprosiłem jeszcze o dwie kawy. Wypiliśmy w milczeniu. Już bez żadnej dolewki.

Pożegnaliśmy się z ulgą. Odruchowo podałem mu lewą rękę.

Notatka Hölderlina

Szukając jakichś dokumentów trafiłem w sejfie na notatkę Hölderlina. Jak przypuszczałem – do Słownika się nie nadaje, nadęte, pseudouczzone, Kotarbiński powiedziałby naukawe. Napisał mi na odczepnego, żeby dostać parę groszy przed świętami. Niepotrzebnie ją znalazłem.

Kant – bazgrze swoim chorym pismem Hölderlin – uznał, iż nie poznajemy rzeczy jakimi są „dla siebie” i „same w sobie”, für sich, a tylko fenomeny, ich wyglądy zewnętrzne dla nas – für uns.

Można poddać się i na tym zakończyć, można rozwijać myśl dalej – i tak zrobił genialny Schopenhauer. Stwierdził on mianowicie, że człowiek przynajmniej jedną rzecz poznaje również „od środka”, więc na oba sposoby – mianowicie samego siebie. W ten sposób rozpoznaje ukrytą w sobie substancję – wolę. To jest ta nasza irracjonalna rzecz w sobie – i to jest także tajemnica rozwoju wszystkiego, co żyje.

W ten sposób epistemologia łączy się elegancko z ontologią a nawet z metafizyką – co pozwala rozwiązać parę spraw. Jeśli tajemniczą „istotą” wszystkiego jest jakaś wola, pęd do wzrastania, élan vital, wola mocy, wola pełni (Arystoteles mówił o aktualizowaniu potencji), to nie muszę już stawiać pytań o żadne bodźce wzrostu, o pierwszych poruszczeniach, nie muszę trwożyć siebie ani ludzkości tymi przekłętymi pytaniami. Człowiek po prostu jest w ruchu, jest

twórczy – o ile jest zdrowy. Ruch to także myślenie, mówienie, nie tylko praca fizyczna. Brak ruchu to bezmyślność, milczenie, choroba – symptomy obumierania.

Tylko to nie rozwiązuje problemu zła. Dlaczego życie żywi się życiem, wola pożera wolę, wyobrażenia tworzy z inną wyobraźnią pełen drapieżności i lęku łańcuch pokarmowy.

Przerwałem czytanie. Ten biedak Hölderlin chyba z nihilizmu donosił. Owszem, ze strachu, dla zysku, z nienawiści do zdolniejszych kolegów – to widywałem często. Ale żeby kto donosił z filozofii – pierwszy raz takiego widziałem. Jemu było wszystko jedno i smutno.

Mnie także opanował smutek, nad którym nijak nie potrafiłem zapanować. Przypomniało mi się, że Laryssa powiedziała kiedyś, że malarstwo ukazuje rzeczy z zewnątrz, rzeźba – niemal z daleka, a muzyka dociera do rzeczy samych w sobie. To było na jakimś koncercie, w jakimś kościele. Prowadziłem wtedy obserwację jednego z tak zwanych niepodległościowych intelektualistów związanych z KPN. Miałem cynk, że bywa na kościelnych koncertach. Wziąłem z sobą Laryssę, chodziło o przykrywkę: gość samotny wzbudza podejrzenie, gość z kobietą wydaje się naturalny gdziekolwiek by się znalazł. Niestety nasz figurant wtedy nie przyszedł, lecz nie znaczy to, że mieliśmy ten czas na jakieś poufałości. Siedzieliśmy wprawdzie jedno obok drugiego, oczywiście bez żadnych nieodpowiednich gestów, patrzyłem przeważnie przed siebie. Wiedziałem, że mogę być obserwowany, ale gdy napłynęła muzyka, stało się coś dziwnego, bo ona pogrążyła nas razem, było tak, jakbyśmy patrzyli na swoje twarze, a nawet trzymali się za ręce. Oczywiście nawet się nie dotykaliśmy. Laryssa jakby czytała w moich myślach, szepnęła:

– To nie polega na patrzeniu na siebie, tylko na patrzeniu w tę samą stronę.

– Jakie „to”? – zapytałem, ale nie dostałem odpowiedzi.

Wyszliśmy w milczeniu i Laryssa po prostu zatrzymała kołującą pod kościołem taksówkę i wskoczyła. Gdybym ją trzymał za rękę, to bym zatrzymał, ale specjalnie stałem w pewnej odległości... To był jedyny nasz wspólny wypad na koncert.

Wkładając notkę do sejfu uświadomiłem sobie, że przecież będę to wszystko musiał przewieźć na nowe mieszkanie. Czy to nie jakaś podpucha z tym mieszkaniem? Łatwo podstawić resortową firmę przewozową, łatwo spowodować drobną kraksę, która zatrzyma samochód. Ale nie. Jakby chcieli obrobić sejf, to zrobiliby kipisz w mieszkaniu. Może nie wpadli, że to jest za szafą, może sami czekają, aż się zdradzę. Pierwsze co trzeba zrobić po wprowadzeniu się na Ursynów, to nowe zamki, najlepiej jakieś zagraniczne, w trzech różnych firmach. Poza tym muszę wykonywać telefony, których nie zidentyfikują. Póki wierzą, że wiem więcej niż wiem, póki wierzą, że mam zabezpieczenia w różnych miejscach, własnych adwokatów i tewulców – boją się. Nawet ludzie prezydenta będą czuwać, by mi włos z głowy nie spadł.

Wielkoduszność Wiktora w Złotej Kaczce. Mesjasz Triumfujący

Znów mnie namierzył. Wywołał mnie telefonicznie, umówiliśmy się w „Złotej Kaczce”. Gdy przyszedłem – już siedział przy stoliku i połykał nieprzyzwoicie długiego de volaille’a. Wąż zżerał węża. Dwa opróżnione kieliszki dowodziły, że także go podlewał.

– Mam dla ciebie taką propozycję, o jakiej zawsze marzyłeś, generał! Tak jak zapowiadałem, rozpocząłem swój Projekt Jezus. Interes się rozwija, zyski rosną, zgodnie z zasadą: niska marża to duży obrót, duży obrót to duży zysk. Objąłem obowiązki Mesjasza, potrzebni mi kapłani, apostołowie, robimy bibliotekę *De imitatione Christi*. – Wyczuł, że nie bardzo kojarzę, więc ze źle skrywaną po-błażliwością dorzucił: – *O naśladowaniu Jezusa* Tomasza à Kempis, poza tym *Soliloquia* Augustyna, rzecz jasna *Myśli Pascala* i temuż podobne, więc potrzebny mi bibliotekarz, ale najbardziej zaufany pomocnik, jakiś papież albo chociaż arcybiskup. Więc pomyślałem o tobie, generał.

– Trzymajcie mnie! A ty obowiązki Mesjasza?!

– Co w tym dziwnego, ktoś musi. Ludzie potrzebują wiary, potrzebują sakramentów, bo życie bez sacrum, to jak ten kotlet bez wódki. Zgodzisz się ze mną?

– Nie. Jeśli chcesz już małpować, rób to z głową. Używasz słowa Mesjasz. Widzimy go w skromnej szacie, dzielił się z uczniami już to rybą, już to kawałkami chleba. Nauczał, cierpiał, był katowany. A ty? Ty obżerasz się dewolajami, żłopiesz alkohol, co z ciebie za Mesjasz!

– No to sam sobie odpowiedziałeś, generał.

– Nie gadaj zagadkami, junior!

– To był Mesjasz Cierpiący, nie? A ja jestem Triumfujący. To jak, wchodzisz, generał?

Dopiero teraz zauważyłem, że za Wiktorem stoi dwóch ubra-nych w papieskie korony i złote, nieco pedalskie szaty kapłanów. Na nogach mieli półbuty z podwyższonym obcasem, co przydawa-ło im wzrostu. On sam zdążył się przebrać w jakąś biało-srebrną tunikę i założyć koronę z kolorowymi, świecącymi cierniami. Ko-ściół Triumfujący. Tymczasem Wiktor ciągnął:

– No przyznaję, nie wszystko wtedy przemyślałem, ale teraz to

pewniak, strzał w dziesiątkę! Tylko potrzebuję kapitału. Chrystus dlatego skończył tak marnie, że nie miał kapitału założeniowego, on miał dwunastu obdartusów i jedną zakochaną dziwkę, na tym trudno budować. Ale teraz to będzie robione ze wschodnim rozmachem, spójrz generał, na *Prawdziwych Rodziców*, na Moona i jego żonę, na te tysiące na stadionach.

– Masz na myśli Kościół Zjednoczeniowy?

– Gówno tam zjednoczą, on już wyczerpał potencjał. Te pierdoły o zjednoczeniu religii z nauką, ducha z materią, Wschodu z Zachodem, to nudne i bezpłciowe! Jego Bóg jest jak rozlazła galareta, jego niebo to mgła. On sprzedaje galaretę we mgle. A ludzkość musi mieć konkretne zapewnienia: tak! będziecie nieśmiertelni, tak! jest niebo i piekło, a diabły mają straszne mordy pełne zębów! tak! jest Sąd, dlatego macie być dobrzy jeden dla drugiego. Nie z miłości, to wersja soft, dla kucharek, macie być dobrzy z normalnego ludzkiego strachu!

Moon jest dobry dla żółtków, bo żółtkom jest właściwie ganc pomada, oni niemal nie wierzą w zaświaty, ani ci od Konfucjusza, ani ci od Buddy. Zapalają czasem świece przodkom, lecz z równym skutkiem mogą je sobie wsadzić, no wiesz, generał, gdzie. Stare stulecie, nawet tysiąclecie dogorywa, a z nim starzy bogowie. A trzecie tysiąclecie będzie superreligijne albo go wcale nie będzie. My damy ludziom religię trzeciego tysiąclecia, Kościół Triumfujący. I w tym kościele czeka na ciebie dobra fucha, arcykapłana czy namiestnika na ziemi, Number Two, generał.

– Ja Numer Dwa? Ty Numer Jeden?

– Ostatecznie to jest mój pomysł. Patrz generał realnie: na Chrystusa jesteś za stary, masz haki w życiorysie, nie? Chrystus miał trzydzieści trzy lata, był z Egiptu, czyli znikąd, a ty jesteś z UB, ktoś to może wygrzebać. **À propos** teczek...

– Myślisz, że ci oddam twoją teczkę? A jeśli ją ujawnię?

– To byłoby także twoje samobójstwo, generał, do tego głupie, nieprzynoszące korzyści żadnej stronie. Ja proponuję ci dobry *deal*, generał. Ty teraz jesteś na wylocie, czeka cię renta chuda jak piersi gruzlika Dzierżyńskiego, starość w ponurym jak z horroru bloku. Wcześniej czy później się obwieszisz na haku od urwanej żarówki. Nie ja pójde drogą Judasza, tylko ty, generał.

Tym razem dałem mu w pysk.

Lewą ręką.

Męczący odpoczynek na dachu

Człowiek powinien patrzeć na wszystko z perspektywy księżycy, jeśli to nie jest możliwe – chociaż z dachu. Chodzi o nabranie dystansu. Dlatego jestem na dachu, na szczycie brudnego piasku, który w tym kraju zastępuje biblijne szczyty. Mojżesz spotykał się z Bogiem, Chrystus z Szatanem, ja z cieciem i do tego szpiclem. Złoty wiek był jednak na początku, potem żelazny, teraz całkiem szmaciany. Moje życie też takie było, ale to widać dopiero z tej góry.

I dopiero z tej wysokości widzę, jak było poskładane, posklejane z nie zawsze pasujących do siebie scen. Najczęściej przeplatały się w nim sceny dwóch porządków, jakby dwóch różnych komedii. Ale to ja je przeplatałem i myliłem.

Dubrownik to była inna historia, nic wspólnego z Wiktorem, to zamknięcie pogodnej w istocie komedii o Janku, o Laryssie i o mnie. To był taki *Sen nocy letniej* w mojej mimowolnej reżyserii i z nie pasującym do komedii tragicznym zakończeniem. Może rzeczywiście Janek chciał mnie wypchnąć pod bomby – i sam siebie ukarał. Może przejawiała się w tym jakaś sprawiedliwość, a w najgorszym razie ironia – też dobra jako namiastka Opatrzności. A może po

prostu ludzki, właściwie zwierzęcy strach Janka, który za wszelką cenę chciał znaleźć się w schronie – ale to naprawdę nie jest ważne, to osobna historia. Pomieszały się sceny dwóch komedii. Teraz je widzę osobno. Jeden ciąg zdarzeń to spotkania z Laryssą i Jankiem, punkt kulminacyjny w Dubrowniku, teraz dogrywamy epilog. Drugi ciąg rysuje się w ostrym, trupim świetle: podpucha z rosyjską ruletką, dotknięcie tajemnicy zbrodni na tym chłopaku, pociąg z Wrocławia, zamach nie na Larysę a na mnie – w Toruniu, na koniec ta pusta koperta. Wiem już co w niej było naprawdę: nic. *Das Nicht.*

Ale te dwa porządki mają jeden wspólny mianownik: ja nie zginąłem! Nikt nie zdołał mnie zabić! I oto stoję na dachu miasta, patrzę z góry na ludzi i robactwo.

To był sen, Polacy, nic się nie stało

Wiktor splajtował jeszcze szybciej niż wystartował. W składnicach złomu pojawiły się nagle setki Chrystusów. Żelazo, miedź, bo te srebrne poszły do jubilerów. Nie słyszałem, żeby Wiktora zamknięto, działał zapewne przez podstawione osoby. Ja jednak wiedziałem, że za tą aferą stoi on, we własnej, cuchnącej osobie. Nareszcie poniósł klęskę – pomyślałem, może nawet całkiem przestał istnieć, nabrałem też przekonania, że to upiorne bolero mi się śniło. Specjalnie przed snem przeszedłem ze dwa razy do końca korytarza – ani jednych dodatkowych drzwi, ani jednych tajemnych schodów. Zawróciłem pod swoje mieszkanie, w pewnym momencie musiałem przytrzymać się ściany, bo zakręciło mi się w głowie. Chwyciłem za klamkę – lecz nie wszedłem. Znów usłyszałem jakieś głosy, wśród nich jeden wyższy od pozostałych. Dziecięcy albo raczej ko-

biecy, to mogła być Laryssa, ale skąd ona tutaj, powinna być normalnie na górze...

Zacząłem znów biec korytarzem. Schodami w dół. Ale to chyba nie ona, jakiś dzieciak, jakby wołał ojca. Prawie wszystkie żarówki pluły czerwonym światłem, drzwi jednej z piwnic były otwarte. Przybiegłem jednak za późno. Na podłodze z głową opartą o sedes leżał może 15-letni chłopiec. Z piersi sterczała drewniana rękojeść bagnetu. Chłopcu nie mogłem już nic pomóc, nawet czułem do niego złość, przecież nie jego szukałem. Ale gdybym znalazł tu Laryssę?

Dwie sylwetki odkleiły się od ściany i zaczęły uciekać korytarzem. Rzuciłem się w pogoń. Wbiegali po jakichś schodkach, za ubikacją. Wpadłem do pomieszczenia prawie razem z nimi – i znalazłem się w pustym pokoju zupełnie sam. Mężczyźni gdzieś zniknęli, chyba tylko przebiegli przez mieszkanie, drzwi wyjściowe nie były zamknięte. Popchnąłem je i znalazłem się na korytarzu identycznym jak na moim piętrze. Ale nie byłem na piętrze, byłem na parterze swego domu. Znalazłem kolejne drzwi wyjściowe i znalazłem się na ulicy. Po paru krokach zobaczyłem gmach Sądów.

Błąkałem się, póki porządnie nie zmarzłem. A może mi się to śniło. Obudziłem się we własnym mieszkaniu, tyle że nie pod kołdrą a na niej, do tego w cywilnym garniturze, a właściwie w spodniach i butach, ale bez marynarki i koszuli. Mogłem zmarznąć. To mógł być sen.

To był sen.

Labirynt

Mam dowód, że to nie był sen. Niestety. Te piwnice, te podziemne korytarze istnieją naprawdę, tworzą drugie, podziemne miasto,

mają wiele tajemnych wejść i zamaskowanych wyjść. Właśnie trafiłem na jedno – i to jest mój dowód. Nie ze słów, tylko z autopsji. Ale opowiem wszystko po kolei. Nagle, już po godzinach, zostałem wezwany do Szefa. Zostałem dłużej w swoim gabinecie, bo chciałem coś dyskretnie skserować dla dopełnienia sejfu. A Szef mnie wezwał, jakby o tym wiedział.

Poszedłem, spodziewając się najgorszego, zwłaszcza że nie podał mi ręki, trzymał obydwie z tyłu. Po chwili jednak mnie zaskoczył.

– Ponieważ jest już po godzinach – rzekł uroczyście – nie musimy stosować się do przepisów... – i z okrzykiem urra! wyciągnął zza pleców jedną rękę z butelką i drugą z dwoma kieliszkami. – Whisky z samego serca Anglii, pachnącą dymem ognisk, wywołująca wspomnienia – rzekł tonem probierza z powiatowych Delikatesów. Potem rozlał i zaczęliśmy wspominać młodojeckie czasy. Wypiliśmy za tego biedaka przydrożnego Bąka, za pechowego Białowasa, który chciał być „Borutą” jak brat, a został prowincjonalnym Kainem, za Romea i Julię, którzy pechowo trafili ze swą miłością do PRL-u, nawet kolejno za tych trzech księży Niedzielaka, Suchowolca i Zycha, też mieli pecha, nic przeciw nim nie mieliśmy. Okazało się zresztą, że księży było więcej, butelek zresztą też. Z bufetu przyniesiono nam śledzia – nie bardzo pasował, ale nic innego nie było.

A gdy butelka była prawie pusta – Szef zaskoczył mnie po raz drugi. Powiedział po co mnie zaprosił:

– Co to, kurwa, za neobogacka, reklamarska gala, a?! Jakieś sensacje, jakieś gadki o mistycznej klątwie, trzy razy „biada” jak kiedyś trzy razy tak? Generalstwo wam na mózg padło? Nasze służby działały zawsze w cieniu – podkreślił – a tu w każdej gazecie sprawozdanie, kto zaszczycił, kogo zabrakło. Ktoś napisał, że galę zaszczycił towarzysz Iljicz.

– Jeśli napisał, to zapewne tak było, prasa nie kłamie, Szeffie. Szczerze mówiąc, widziałem kogoś podobnego, lecz myślałem, że wzrok mnie myli... Poza tym, Borejsza, Iwaszkiewicz, Luna Brystigerowa, piękna, choć nisko skanalizowana, poza tym nieśmiertelna Czajka w swym nieśmiertelnym kapeluszu. – Zacząłem wyliczać na palcach, lecz Szeff mi stanowczo przerwał:

– Ty robisz sobie jaja, a sprawa robi się śmierdząca. Te wszystkie sprawozdania poszły w świat, mogą trafić kiedyś do podręczników... Tabloidy robią z ciebie najwybitniejszego krytyka, do tego „zaangażowanego”, to znaczy niby byłego tajnego opozycjonistę.

– Bzdura, Szeffie – odpowiedziałem krótko i po wojskowemu. Ale z drugiej strony, jak już ktoś kiedyś pytał: cóż jest prawda?

– Obaj wiemy, że jest to bzdura – uciął Szeff. – Bo gdyby tak było, jak piszą, już dawno przydarzyłby ci się nieszczęśliwy wypadek.

– Nieszczęśliwy wypadek. – W pierwszej chwili nie zrozumiałem.

– Dokładnie.

Poczułem dreszcz na plecach, tymczasem Szeff rozwijał wątek kłątwy:

– Podobno dostajesz listy z przepowiedniami śmierci, pogróżkami. Jak jaki Juliusz Cezar, cała Warszawa huczy. A po przepowiedniach powinno iść spełnienie, bo inaczej stają się nieważne, tracą powagę – rzekł nagle odmiennym tonem.

Zrobiło mi się chłodno, ale jeszcze trzymałem fason:

– Plotki, Szeffie, Warszawa lubi sensacje, nasz papież wylansował modę na metafizykę...

– Nie powiesz, że w Związku Literatów nic nie dostałeś?

Skoro wiedział – nie było sensu zaprzeczać, zaserwowałem mu wymyśloną przez siebie grę słówek:

– Właśnie dostałem nic, Szefie.

– Co ty mi tu pier...

– Nic, nicość. Pusta koperta pachnąca damskim pudrem. Wiedocznie zapomniała włożyć liścik i klucz od bramy.

Szef uniósł jedną brew – chyba myślał, że dodaje mu to inteligencji albo chociaż miłąkiego demonizmu i wywalił o co mu chodzi – przechodząc partyjnie i resortowo na wy:

– Nie na plotki ja was tu zawezwałem, Majcher...

Skąd wiedział? W teczce personalnej miałem Majchrzak.

– Macie czterdzieści osiem, wróć, macie dwadzieścia cztery godziny na uporządkowanie spraw i wypierdalacie na urlop. Tyle lat bez oddechu jest niebezpieczne dla zdrowia. Jeżeli nie weźmiecie się za siebie, to możecie wylądować w Dziekance jak Bąk. Nasz konsultant obserwował was w Poznaniu. Jesteś na równi pochyłej... O tu, kawałek mogę przeczytać: ... o karierze jako krytyka zdecydował paradoksalnie brak literackiego talentu, krytyka mieści w sobie element zemsty, daje poczucie nadludzkiej, niemal boskiej władzy nad pisarskimi rywalami... A dalej: Zachowuje się tak, jakby ktoś mu towarzyszył, ale to może świadczyć także o silnym pobudzeniu.

Takie tam pieprzenie inteligencika, który nie jest pewien, o co biega – burknął Szef i dalej przerzucał kartki. – Ale tu jest wreszcie konkretnie: *skłonność do konfabulacji, opowiada cudze przygody jako własne, przypisuje sobie zasługi swoich współpracowników... Nie znaleziono potwierdzeń jego bytności we wskazanych terminach w podanych miejscowościach, zapewne zostały zapożyczone z teczek pracy...* Znaczy, że okradałeś ich nie tylko z wierszy czy kawałków książek, okradałeś z kawałków życia! Temu ukradłeś kilka godzin z kobietą, temu wyprawę na Krym albo dzień w pościgu za bandą i tak ciulacie generale Majcher siebie. – Po raz drugi użył mojego prawdziwego nazwiska, zmienionego jeszcze przez ojca. – A w pod-

sumowaniu, o tutaj: *osobowość bazowa, która czasami się ujawnia, gdy zadanie wydaje się ponad siły, dla osobowości wtórnych...*

Jeżeli to rozumiecie, wyciągnijcie wnioski, towarzyszu Majcher. Ja kurwa nie rozumiem, ale ja nie muszę, jestem szefem. Jednakowoż wam, Majcher, radziłbym urlop wypoczynkowy, może sanatorium, mamy jeszcze układy na Krymie. Niby już płatne, kapitalistyczne, ale dla starych towarzyszy jest upust.

– Nie, dziękuję.

– O, tu jest jeszcze jedna kartka, tytuł: diagnoza wstępna. Współpracujący neurolog dopuszcza, że może coś uciska ci na mózg. Oczywiście nie musimy jej brać pod uwagę, myślę, że krótki wyjazd z Warszawy wystarczy. Bo inaczej konieczna będzie operacja, a te różnie się kończą. Pamiętajcie, jak zginął Ordżonikidze...

– Nie sędzę, żeby to był rak czy w ogóle coś biologicznego.

– Pieprzysz, młody, jakby właśnie znów ci naciskało na mózg – zaśmiał się Szef. – Przypominam, że nasz konsultant daje najpierw propozycję diagnozy, coś można wynegocjować. Następna wersja może być ostateczna.

Szef nie bardzo wiedział, czy jest ze mną na „wy”, czy na „ty”, czy wciąż jest moim mentorem, moim drugim ojcem, drugim bibliotekarzem z internatu, czy powinien się mną opiekować, czy już bać. Tego problemu jednak nie rozwiązaliśmy, bo zadzwonił telefon, ten specjalny.

– Na to czekałem. Masz szczęście, skończymy przy okazji. Wybacz, że cię nie odprowadzę, trafisz?

Trafie Szefie, tyle lat chodzę tymi schodami. Gdy wychodziłem, dziwnie popatrzył mi w oczy i dodał, żebym nie uległ lansowanej ostatnio modzie na wąglika. On w każdym razie wyjedzie i to na Zachód. *Exactly!*

Ucałowaliśmy się po staropolsku z dubeltówki, nie wiadomo, czy się jeszcze zobaczymy, taka służba. Ruscy całują się trzy razy, na trójkę, Marks, Engels, Lenin. My dwa razy. Tak sobie dowcipkując muzom a sobie, korytarzem szedłem dość szybko, bez żadnych niespodzianek szedłem. Chyba pomyliły mi się schody, kawałek jest w remoncie korytarza, zamiast na schody główne trafiłem na ewakuacyjne jakieś, mówi się teraz tyle o rzeczywistościach równoległych... Bo kiedy odliczyłem tyle ile zawsze pięter – trafiłem na dziwne jakieś, brązową pomalowane korytarze farbą. Niby korytarz znajomy, lecz kto i kiedy pomalować zdążył go? I dlaczego tak właśnie tak? Brąz to kolor, który sam z siebie śmierdzi, zapaszek jak w mauzoleum. Zacząłem oddychać i przyspieszyłem kroku przez chusteczkę. Wydało mi się, że w jakichś drzwiach uchylonych widzę Wiktora, nawet się ucieszyłem, podbiegłem – zamknięte drzwi okazały się. Spod nóg prysnęły szczury mi. Dobrze, że nie i z nosa i uszu. Podbiegłem do korytarza, gdzie na brązowym tle końca wąskie czerniły się drzwi – ze stwierdzeniem zdziwiłem, że to nie drzwi, a korytarza odgałęzienie jakieś, tylko ciasne i pomalowane na granatowo. Odgałęzienie miało jakieś przecznice, rozstaje, tunele pod schylonym nagle sufitem – po kilku minutach marszu poczucie kierunku straciłem. W momencie pewnym niemal spadłem, sturlałem się po schodkach jakichś na jeszcze poziom niższy. Różnił się od wyższego albo i nie różnił, bo w trudny do uchwycenia sposób. Jakby inną architekturę miał, jakby wypełniony innym, choć równie cuchnącym powietrzem był. Przed drzwiami stali mężczyźni w skórzanych kurtkach, niektórzy coś mówili. Słyszałem głosy, lecz nie rozumiałem słów. Zza którychś drzwi doszedł krzyk *nie ubiwajcie!* Zrozumiałem. Nagle jakby wszystko ożyło, wszystko zaczęło mówić w obcym, nienawistnym języku, na korytarzu pojawili się więźniowie prowadzeni przez strażników. Jedni i drudzy mieli

puste oczy, chyba nie mogli mnie widzieć. Potem ktoś cmoknął – konwoje wtopiły się w ściany, korytarz nagle się zwolnił. Gdzieś czytałem, że konwojenci musieli się cmokaniem ostrzegać: nadchodzimy! Chodziło o to, żeby więźniowie się nawzajem nie widzieli, nakazana była pełna izolacja.

Wykorzystałem tę chwilę i dobiegłem do najbliższych schodów, ześlizgiwałem się po kilka stopni tracąc chwilami równowagę. Więc tu jest jeszcze jeden tajny poziom! Przed drzwiami wyprężone sylwetki w mundurach carskiej policji, tak sobie wyobrażałem świat Dostojewskiego! W jednej z tych piwnic sędzia śledczy Porfiry przesłuchuje Raskolnikowa, w innej – Raskolnikow uderza siekierą w głowę starej lichwiarki, jako geniusz ma prawo zabić żmiję, ale do celi wchodzi siostra lichwiarki, Lizawietta, ją także trzeba zabić, potem jeszcze jakaś kobieta, może sąsiadka – ją także i znów ktoś wchodzi, cela wypełnia się czekającymi, kolejka aż na korytarz, wszyscy pokornie do siekiery, niektórzy nawet całują żelazne ostrze, pchają się do tej siekiery, padam na ziemię i to mnie chwilowo ratuje, zaczynam czołgać się w kierunku drzwi, wybiegam, przepycham się przez nadchodzących ze wszystkich korytarzy ludzi, znów słysząc cmokanie konwojenta, ludzie wklejają się w ściany, dzięki temu wbiegam na górę – zamknięte, nie ma drzwi tylko ściana, uderzam całym ciałem – boli, budzę się z krzykiem, leżę na podłodze, nie wiem, kto mnie tu doprowadził, słyszę cmokanie i śmiech Szefa, który po chwili milknie. Szef razem z prowadzonymi więźniami wtapia się w ścianę, ja leżę dalej na podłodze, ale obok jest łóżko, na łóżku siedzi Wiktor. Zamiast podać mi kawę – sam żłopie.

Religia III Tysiąclecia Antychryst

Najpierw myślałem, że Wiktor mi się śni, siedział, siorbał kawę i milczał. Usiadłem przecierając oczy, prawdę mówiąc to byłem wściekły, dopiero co zasnąłem.

Chyba nie całkiem milczał, dotarło do mnie, że ma o coś pretensje:

– Ty generał wcale mnie nie słuchasz!

– Słucham, ale ty mnie oszukujesz, mówisz o dziesięciu rzeczach naraz, wyduś wreszcie po co naprawdę przyszedłeś? Mówiłeś o Jezusie Triumfującym, Niosącym Światło.

– Odkąd nie werbujesz duchownych to nie nadążasz, generał. Lucyfer to nie Chrystus, to dosłownie Niosący Światło. Chrystus od początku nie miał szans. Zaczyna się XXI wiek, kto dziś uwierzy w zmartwychwstanie czy niepokalane poczęcie. A wszechmogący Bóg tylko wkurza: Wszechmogący, a w Auschwitzu zginęli tysiącami Polacy i Żydzi, nie? Wszechmogący, a na śmietnikach zdychają małe bezgrzeszne noworodki wyrzucane przez matki, nie? Wszechmoc i zło – to się kupy nie trzyma. Potrzebna jest antyteza tego wszystkiego! Antyteza przez duże A!

– Coś ty znowu wymyślił?

– Nic nowego. Przypominam to, co już było, zmieniam opakowanie. Za parę dni na stadionach i w telewizji zespoły młodzieżowe będą śpiewać o pięknym Bogu, który jest prawdziwym władcą ziemi. Czytałeś te kawałki o Hiobie? No to wiesz, że nie Jehowa rządzi ziemią, tylko Lucyfer. Według jednych był on bratem Jezusa, Antychrystem, według drugich zbuntowanym aniołem. Ale nie to jest ważne, ważne że on jest tu władcą.

– Ich walka ciągle trwa, ale w końcu dobro zwycięży.

– Ale to jeszcze potrwa, a ludzie chcą religii na dzisiaj. Religia

musi być, ale tamten, staroświecki model już nie działa. Ludzie chętnie opowiedzą się po stronie silniejszego, jeśli nawet jest zły, to bardziej skuteczny!

Czarne koszulki z czerwonymi frędzelkami, zespoły metalowe, tatuaże, perkusje, klaksony, wuwuzele, ten hałas ogłupi ich do końca! Te ciemniaki na pewno to kupią! Zainwestuj, generał, ja ci to radzę jak ojcu, którym po części i jesteś.

Dopiero teraz zauważyłem, że za Wiktorem stoi dwóch ubranych w czarne dżinsy i skórzane nabijane gwoździami kurtki.

Tymczasem Wiktor kusił:

– Rejestrujemy kościół Lucyfera! Jest w Trzeciej RP tolerancja, przygotowałem papiery do rejestracji, żaden sąd nie odważy się odmówić. Polacy są głupszy, niż myślałeś, generał. W tej chwili wszyscy ich dymają, więc i ty dymaj, generał, póki możesz.

– Chyba za dużo wypiełeś.

– A może już nie możesz, co generał?

– Licz się ze słowami.

– O jaki obrażałski. Stary ubek przypomniał sobie o honorze i innych takich zakłęciach. Przepraszam, generał, ale wiesz, jak cię kocham. Ludzie też będą cię kochać.

– A jeśli nie zechcą?

– Dla takich, którzy nie chcą szczęścia są jeszcze piwnice. Nawet w twoim domu, generał.

Cisnąłem w niego jakąś szklanką. Nie wiem dlaczego rzuciłem prawą ręką i oczywiście nie trafiłem. Ale przynajmniej trochę go ochlapałem. Otrząsnął się niczym pies i uciekł.

Kiedy się obudziłem nie było po nim śladu. Było tylko potłuczone szkło i mokre plamy na ścianie i na podłodze. Przeszedłem do kuchenki – na maszynce stał kubeczek z wodą i cuchnął, chyba się

rozlutował. Żywego ducha, ale ogień płonął, cud, że woda nie zalała gazu. A jeżeli on tego chciał? Czyżby ten zbok chciał mnie otruć!

On rzeczywiście mnie nienawidzi. Nienawidzi wszystkich, ale mnie w sposób szczególny. Jak monstrum doktora Frankensteina – swego twórcę. I będę musiał przerwać ten związek – jak doktor Frankenstein. Czy Szef nie wierzy w Wiktora, czy dał mi wolną rękę – i dlatego zasugerował urlop. Wiktor reprezentuje siły zła. Zabijając go...

Ja już zaczynam chorować na Wiktora.

Całe życie walczyłem o racjonalizm, walczyłem o to, by uwolnić ludzkość od zjaw, lęków i zabobonów. Ja posłałem Wiktora na WUML, uczył się naukowego socjalizmu, naukowego! Potem pomagał go wprowadzać. A teraz, bydlę głupie, chce to wszystko rozwalić, jakiś nowy irracjonalizm rozpętać. Religia Trzeciego Tysiąclecia, krucjaty od wiochy do wiochy, Góra Spotkań z Niosącym Światło w każdej wsi. Nawet jeżeli mi się tylko przyśnił, to jest diabelnie niebezpieczny. Nie, nie przyśnił. Wyraźnie usłyszałem jego głos na górze. Pobiegłem w stronę schodów awaryjnych, głos jakby śpiewał, potem jakieś dzwonienie. Ale gdy się znalazłem na dachu – nie zobaczyłem nikogo. Chciałem wrócić, gdy od strony otworu wentylacyjnego usłyszałem jakieś krzyki. Sięgnąłem po służbowy pistolet – nikogo. Za to tuż za plecami usłyszałem metaliczny trzask, prawie huk. Na otwór, którym wyczołgałem się na dach, spadła żelazna klapa. I co nieprawdopodobne – jakby się zassała. Ja, dorosły chłop nie byłem w stanie jej podnieść. Usiadłem na krawędzi dachu. Ten gmach nie jest normalny.

Sam na dachu

Powoli się uspokajam. Koło leżącej tu od zawsze kupy piachu – butelka koniaku. Czyżbym zostawił ją poprzednim razem? A może to trucizna? – Nie wpadaj w manię prześladowczą, kto by cię chciał otruć i to na dachu. Demonstracyjnie – bo może ktoś obserwuje – sączę koniak z butelki. Niech widzą, że się nie boję, ja jestem nieśmiertelny! Koniak normalny, niezbyt drogi, ale kojarzy mi się z młodością: Ararat. Juwilejnyj. ZSRR. Pewno jacyś starzy funkcjonariusze spotykają się tu na sentymentalne wspominki – w tajemnicy przed małżonkami. Jeśli tak, to nie znajdą zachomikowanej butelki, bo nie tylko wypiję, ale zrzucę ją z dachu. Ale to trochę potrwa. Na razie obchodzę dach dookoła szukając jakiegoś wyjścia. Otwór wentylacyjny, jakaś paka. Siadam na niej i znowu pociągam łyceczek.

Gdzieś za plecami słyszę łoskot metalowej płyty. Czyżby sama się otworzyła?

Odwracam się gwałtownie lecz nikogo nie widzę. Sięgam znów po pistolet, nie, to mój pamiątkowy rewolwer, ten z bębenkiem, dwa naboje mniej. Ale to wszystko jedno. Nikogo nie ma.

Ludzkie ślady na kupie piachu i na niej się kończą. Kiedyś na plaży widziałem takie ślady, które prowadziły do morza. Tylko w jedną stronę. To było chyba na Krymie. Przeszedłem wtedy parę kilometrów w jedną i drugą stronę – żadnych śladów powrotnych. Teraz też: drobne ślady na piasku.

Ostatecznie skazano nas na latanie. Ale jeszcze nie czas. Zaczynam się cofać tyłem, padam na kolana, w końcu pełzną na czworakach. Jakimś cudem doczołgałem się do schodów. Z żelaznym zgrzytem zaczęły się przesuwac. Więc cieć wtedy nie kłamał. Scho-

dy zaczynały pełznąć coraz prędzej, ja wpełzłem na nie, ale boję się poruszyć. Nadal się poruszają, bardzo wolno, nie wiem dokąd, jakby coraz dalej.

Nie wiem jak wróciłem do domu. Wiem, że przeżyłem szok. Wszystko co wiem zamyka się w jednym zdaniu: Laryssa zniknęła. Ma talent do znikania, a mieliśmy razem wyjechać.

Ciecia nie było na portierni. Postałem chwilę w bramie, potem powlokłem się na górę. Specjalnie szedłem coraz wolniej, przystawałem, kreśliłem palcem na ścianie jakieś znaki. W końcu stanąłem przed uchylonymi drzwiami do mieszkania. Może miałem nadzieję, że coś się w międzyczasie zmieniło i Laryssa jest w naszym pokoju. Niestety – nic takiego się nie stało. Aż dziw, jak można się przyzwyczaić przez kilka dni.

Położyłem się sam.

Zawsze była nieobliczalna, a może doszła do wniosku, że nam się nie uda, że po co jeszcze jedno rozczarowanie. W pewnej chwili wydaje mi się, że słyszę jej głos.

I znów biegnę z powrotem, i znów szarpię się z drzwiami – co za nimi się kryje – ale schody prowadzą nie na górę a tylko cały czas poziomo, to chyba niemożliwe, Skręcam w jakiś boczny korytarz, znów schody, chyba wreszcie na górę, na dach. Wpadam na jakieś drzwi, naciskam klamkę – i jestem nagle na ulicy. Nie, nie na ulicy, to ogromny plac, na który wychodzą przesłonięte deskami okna więziennych cel, betonowe podwórze, na którym rosną szare, jakby pokryte asfaltem martwe drzewa. Skraj lasu, jakaś grupa śmiejących się mężczyzn ciasno zbitych wokół czegoś ciemnego, co przypominało ludzkie ciało. W pierwszej chwili myślałem, że to grób, ale nie, tylko ciało, tyle że duże i martwe.

Ktoś leżał a oni szczali.

Nagle jak na komendę odwrócili się w moją stronę. Jedni patrzyli z nienawiścią, inni tylko z kpina, prawie przyjaźnie. Wiedziałem na co czekają. Wyjąłem nabrzmiewającego kutasa i też zacząłem lać.

Tej nocy, po raz pierwszy w życiu zeszczalem się we własną pościel.

Poszukiwania. Pierwsza zagadka

Nie mogę nie myśleć o Laryssie, nie mam pomysłu, gdzie jej szukać. Ale to przecież Wiktor powie mi mądre słowa, to on powie, gdzie mam szukać Laryssy.

Przez niego ją straciłem, dzięki niemu ją znajdę. Ona chyba po to uciekła, żebyśmy się naprawdę odnaleźli. Tylko co Wiktor powiedział? „Tam gdzie byliście szczęśliwi”?

Kiedy to powiedział? Kiedy przyszedł? Przecież nikogo tu nie było, ani Wiktora, ani nikogo. Ale na stoliku stoi napoczęta butelka koniaku. Nie wychodziłem do sklepu, tym bardziej nie wychodziłem na dach. Ktoś przyniósł? Sama wyrosła? *Truth is stranger than fiction; fiction has to make sense*. Prawda jest dziwniejsza od fikcji, fikcja musi mieć sens, stary pocziwy Mark Twain.

Dlaczego mi to zrobiła?

– Jeśli gdzieś była szczęśliwa, to tam jest i czeka – mówił Wiktor.
– Baby są jak cień. Uciekasz, goni za tobą, chcesz złapać, ucieka przed tobą. Chcą, żeby ich szukać.

Wiktor jest strasznie prymitywny, ale może w tym przypadku ma rację.

Wiadomość od Wiktora

Tę zagadkę sam bym rozwiązał, byłem już blisko, kiedy zadzwonił Wiktor.

Właściwie niepotrzebnie zadzwonił, lecz z drugiej strony to on zdopingował mnie do wyjazdu. Tak siedziałbym do teraz na krawędzi łóżka i patrzył w ścianę. Zadzwonił i wyśpiewał niemal radośnie.

– No, generał, wszystko ci wybaczyłem. Jesteśmy nadal współpracownikami, nie? No to rusz dupę. Już mówię gdzie. W dowód synowskiego przywiązania daję ci w prezencie to magiczne słowo: Kazimierz. Na wagę złota i to wielu sztabek złota, generał.

Wyłączył się, nim zdążyłem odpowiedzieć, w pierwszej minucie zresztą nie wszystko skojarzyłem, ale w drugiej wiedziałem już wszystko.

Zadzwoniłem. Do Wiktora nie mam zaufania. Pojadę do Kazimierza, jak mi ten gnojek podpowiada – i okaże się, że jej nie ma, a ja znowu się wygłupiłem jak mały onanista. Albo może tam być z kim innym, z kimś o wiele lat młodszym. Janek nie żyje, ale nie tylko on się w niej podkochał. Janek zdechł, ja się zestarzałem, ale młodszych przybyło.

Lecz jednak zadzwoniłem do znajomych z Puław. Dawna rezydentura zmieniła nazwę, ale ludzie ci sami, numer telefonu ten sam. I sprawa okazała się niezwykle prosta, bo właściciel pensjonatu w Kazimierzu to wciąż nasz człowiek.

Zadzwoniłem pomimo późnej pory. W jego pensjonacie Larysy nie ma i nie było. Ostatnio była tam... ze mną. Ale przecież są inne pensjonaty, jest schronisko PTTK tuż za miastem. W PTTK odbywały się spotkania filozofów. Jest Dom Architekta, do którego mieliśmy się wybrać.

Zadzwoniłem i uprzejmie, lecz stanowczo poprosiłem właści-

ciela pensjonatu, aby zarezerwował pokój. Ale nie zdzierżyłem do rana. Zadzwoiłem do naszej bazy – a tam jakby na mnie czekali, przyjęli zamówienie niby rozkaz i to bez potwierdzeń u góry. *Wonderfull!* Pewnie Wiktor załatwił sprawę. Ten potworek był pewien, że odgadnę zagadkę i będę chciał natychmiast jechać do Kazimierza. I miał rację: kazałem wieść się natychmiast.

Poszukiwania. Wąwóz Małachowskiego

Cały dzień biegałem po śladach jak pies. Dzięki komputerowej bazie meldunkowej sprawdziłem PTTK i Dom Architekta – nie ruszając się z posterunku. A potem – jakby nie wierząc – poszedłem osobiście do Domu Architekta, nie mogłem uwierzyć, że jej nie ma. Na posterunku przepytalem dwóch informatorów – nie widzieli nikogo, kto odpowiadałby jej rysopisowi. To nie sezon na blade, powiedział jeden i uśmiechnął się jakimś lepkim uśmiechem. Uśmiechnąłem się, potem podszedłem i przywaliłem mu w pysk.

Pokręciłem się trochę po rynku, parę razy zajrzałem do kościoła. Ruch był niewielki, jesień – gdyby była, na pewno bym ją spotkał, w końcu zrozumiałem, że przegrałem.

Chciałem wracać, ale szofer wpadł na pomysł, że pokaże mi jeszcze parę zabytków. Najpierw miejsce, gdzie któryś z bojowców zabił generał gubernatora, potem wąwóz Małachowskiego. Myślałem, że jak obejrzę tablicę pamiątkową, to szofer odpuści mi wąwóz. Ale szofer był nieustępliwy.

– Niemożliwe, żeby pan generał nigdy w życiu tego nie zobaczył.

– Skąd wiesz, że nigdy.

– Tam musimy pojechać, może to jest ostatnia szansa – rzekł,

nie odpowiadając na pytanie.

Dojechaliśmy pod Dom Dziennikarza, dalej poszliśmy piechotą, a właściwie ja sam poszedłem, bo szofer sobie przypomniał, że musi coś u dziennikarzy załatwić. Wąwóz i podczas dnia jest w cieniu, teraz jednak z każdym krokiem wydawał się szarzeć, gasnąć, wypełniać nocą. Gdzieś u góry mignęła mi jakaś sylwetka, skądś znałem tego grubasa, ale po chwili zniknął. Doszedłem aż do kamiennej płyty – pusto. Postałem chwilę, lecz przecież nie będę się modlił na stare kolana. Wystarczy, że wiem skąd ta nazwa, że w tym wąwozie zginął Juliusz Małachowski dowodząc atakiem kosynierów. 29 lat. W miejscu, w którym został zabity bagnetami i kolbami karabinów leży kamienna płyta. U góry wyryty krzyż, poniżej napis:

+
Juliusz
Hr. Małachowski
ur. 1802
poległ 18 Kwietnia
1831 r.
pod Kazimierzem
na tem miejscu.

Wieczny odpoczynek
racz mu dać PANIE.

Obiło mi się o pamięć, że wygrzebano go z ziemi i pochowano gdzieś w majątku rodzinnym, tu pozostała tylko ta kamienna płyta. Ktoś z miejscowych postawił krzyż, prosty – dwie skrzyżowane deski. Carscy żołnierze je wyrwali. Po kilkadziesiąt lat historia się powtórzyła. Chyba po zdobyciu Kazimierza, 19 maja 1945

nad płytą znowu postawiono krzyż. Wyrwali go albo wściekli enkawudyści mszcząc się za klęskę w Lesie Stockim, albo nasi chłopcy z KBW. Myśleli, że to jeden z tych „wyklętych”, z AK czy NSZ. Ale kto zrobił to teraz, w III RP? Żałowałem, że dałem się namówić temu szoferowi. Miejsce ponure, ciemne, nadawałoby się raczej na tortury – nikt by nie zauważył, nikt by nie usłyszał. Wciąż te ubeckie skojarzenia.

Odwrociłem się i zacząłem iść szybko, prawie biegiem, jakbym od czegoś uciekał.

Gdy dochodziłem pod Dom Dziennikarza szofer stał przy otwartych drzwiach samochodu. Tu było widniej. Wsiadłem i wróciliśmy pod kamienicę Przybyłów. Potem ja pomaszerowałem na Mały Rynek pogapić się na kramy ze starociami, a szofer swoim obyczajem zniknął. Kupiłem jakiś wisior z dziwnego, zielonkawego bursztynu – taka łaza w srebrze. Nie wiem jak się nazywa, nie wiem skąd w tym miejscu kraju bursztyn, nie wiem czy komuś to podaruję. Myślałem o Laryssie, ale właśnie jej nie ma. Przeszedłem koło bożnicy, w której zrobiono kino a teraz znowu bożnicę – nie chciałem być tu Bogiem. Potem przeciąłem Rynek i skierowałem się w stronę Wisły. Tylko skierowałem, bo przez okna poczty zobaczyłem znajomą sylwetkę. Oczywiście mój szofer, oczywiście gadał przez telefon. Nawet nie próbował tłumaczyć swoich zniknięć, tylko ni w pięć, ni w dziewięć powiedział, że mamy szczęście w nieszczęściu i zaproponował „wspólny przegryz”. On mnie! Poszliśmy z powrotem na Rynek, po drodze zastrzegłem, że ja płacę. Po drugim daniu, żeby podkreślić, kto tu pan – chciałem postawić mu piwo. Kelnerka przyniosła kufle i butelki, lecz cham burknął, że on tutaj na służbie i zaczął wstawać. No więc zacząłem szukać pugilaresu a cham to wykorzystał i zniknął. Na stole nadal czekały butelki – kelnerka otworzyła obydwie. W zasadzie nie powinna tego robić, ktoś może coś dosypać. No więc

raz z jednej, raz z drugiej, nie różniły się smakiem... Przy drzwiach zaczęła się jakaś rozróżba, chyba niezbyt poważna, nim się zorientowałem o co chodzi – było po wszystkim.

Mistrz

Sięgnąłem po piwo i w tym momencie spostrzegłem, że ktoś koło mnie siedzi. Nie dość na tym: łapie za mój kufel i beczelnie wychłęptuje cenny napój. Podniosłem głowę i poznałem tego znajomego sprzed lat. Podstarzały, twarz poorana, lwia grzywa włosów, a w środku łyso jak u Einsteina. „Mistrz” trochę schudł – ale to nadal ten sam stary filozof, który przyjeżdżał na zjazdy młodych filozofów. Podawał się za Fiszera, ale go rozszyfrowałem. Wsyłał się, podając *Die Philosophie des Als Ob* jako swoją. Oczywiście nie dałem mu poznać, że go rozszyfrowałem, taka wiedza, o której się nie mówi, daje przewagę.

– Tak, to ja. Z tą filozofią *jak gdyby* trochę przesadziłem – mówił, jakby czytał w moich myślach – ale chciałem cię jakoś rozszyfrować. I wiem, że nie jesteś filozofem, mimo to czekałem na ciebie. Ostatecznie jesteś moim najlepszym uczniem.

– Najlepszym.

– I jedynym po prawdzie. Tamci już poumierali, ty też wkrótce... Lecz póki co, ty weź tę do połowy pustą, ja wezmę do połowy pełną i obyczajem perypatetyków pójdziemy dokończyć dyskusję – powiedział grubas. Chwycił jedną z butelek i skierował się ku wyjściu. Chwyciłem drugą i poszedłem za nim. Zbiegiem okoliczności weszliśmy na drogę sprzed lat – w stronę Góry Trzykrzyskiej.

Minęliśmy ruiny Zamku, ścieżka pięła się coraz wyżej, też nieco się zataczając, aż w końcu wprowadziła nas w jakieś zarośla.

– Chyba nie dane nam nigdy osiągnąć szczytu. Poprzednim razem też tak było.

– To co radzisz.

– Z przeznaczeniem nie wygrasz, mówię to jak filozof. Siadajmy zatem gdzie stoimy, to przynajmniej upadek nam nie grozi. Jak się rzekło, czekałem na ciebie, ciężko było, nie bardzo miałem z czego żyć, ale czegoś byłem przekonany, że przyjedziesz dokończyć rozmowę. Jeśli nie z jakiejś etycznej motywacji, to chociaż z ciekawości, bo urwaliśmy dysputę w najciekawszym momencie, gdy kamień filozoficzny gnoseologii, etyki i metafizyki jednocześnie chciałem ci przekazać. A tyś uciekł przed grozą tej wiedzy.

– Uciekłem nie przed wiedzą, a przed deszczem. I Mistrz też, nie jak filozof a jak zając spieprzał.

– No to porozmawiajmy, nim drugi raz uciekniesz. Pamiętasz chociaż o czym to mówiliśmy.

Pamiętałem, przez lata pamiętałem, usiłowałem sobie też przypomnieć, jakie nazwisko Mistrz za mną wykrzykiwał – ale pamięć wciąż płatała figle. Jednak kiedy mistrz zadał mi pytanie – nagle wróciła pamięć, z nią przeszłość i rzeczywiście – dawna trwoga. Mówilem – jakby ktoś za mnie mówił, całe pokolenia wątpiących i zrozpaczonych.

Światło i ciemność, Ormuzd i Aryman, Chrystus i Antychryst. To znaczy, że wciąż walczą te dwie siły. Mistrz mówił, że dobro może wygrać, ja się wtedy zaśmiałem. Jeśli ta dobra siła przez tysiąclecia nie wygrała – to widocznie wygrać nie mogła. A dlaczego? Bo siły są wyrównane a ta dobra ma skrępowane ręce. Te skrępowane ręce to oczywiście metafora. Chodzi o to, że taka szlachetna siła musi – na mocy definicji – rezygnować z tak zwanych „złych” metod. To jej reprezentant nauczał kiedyś naiwnie: „zło dobrem zwyciężaj”. Dlatego wyłowiono go z Wisły pod Włocławkiem. A może wyłowiono z bunkra a wrzucono pod Włocławkiem,

wszystko jest względne. Kilku morderców z resortu zmasakrowało jego ciało – jak wcześniej zmasakrowany został ksiądz Szczepański i jak zostanie zmasakrowanych wielu jeszcze naiwnych stronników dobra, harcerzyków Jezusa. Wszyscy, którzy chcieli pomóc Chrystusowi – a nie potrafili.

– No tak, paradoks szlachetnego anarchisty – rzekł, jakby chciał mnie przytłumić Mistrz. – Kiedyś o tym rozmawialiśmy, może z tobą, może z kim innym.

– Nie pamiętam.

– Jak nie pamiętasz, to pewnie z tobą. Nigdy nie miałem szczęścia do uczniów. Przecież ja ten paradoks rozwiązałem, ja krzyczałem to nazwisko za tobą, żebyś sprawdził w encyklopedii.

– Nie pamiętam, Mistrzu – powtórzyłem. – Jakie nazwisko.

– Hryniewiecki. Chodziło o zgładzenie tyrana, cara Aleksandra II. To on zdławił Powstanie Styczniowe, oskarżały go tysiące szubienic, które kazał postawić w Królestwie i na Litwie, oskarżało go czterdzieści tysięcy Polaków pognanych na Sybir. Zamachu podjął się jeden z najszlachetniejszych ludzi, jakich nosiła ta ziemia, Ignacy Hryniewiecki, herbu Przeginia, lat dwadzieścia sześć. Wspominam herb specjalnie, bo i mój ojciec takim się pieczętował.

– A pańskie nazwisko Fiszer?

– Pseudonim filozoficzny, kochanieńki. Chyba nie myślisz, że przedwojenny Fiszer jeszcze żyje. Jeśli tak myślisz, przestajesz być moim uczniem. A wracając do naszego tematu: Hryniewiecki rozumiał, że to wyrok, że on jest tylko narzędziem sprawiedliwości. A jednak sumienie nie dawało mu spokoju. Zabijając cara niszczy zło, a jednocześnie popełnia nowe, jeden zbrodniarz, ten tyran zniknie, ale przecież zostaje drugi, zamachowiec. Ilość zła się nie zmniejsza, jest stała. Więc rzucił bombę podbiegając do powozu cara, jakby w połowie odległości. Zginął car, ale zginął zamachowiec.

– Więc to było właściwie samobójstwo.

– Nie wiem, czy to właściwe słowo, w każdym razie zginęło zło po jednej i po drugiej stronie ognia, który buchnął z bomby. Nie wiem, czy zrozumiałeś.

– Też nie wiem. Wiem, że zaczyna padać. Muszę uciekać.

– To właśnie ci przepowiedziałem – powiedział triumfująco, lecz już go nie słuchałem. Trochę biegłem, trochę się ślizgałem, deszcz lał coraz mocniejszy. U stóp Góry Trzykrzyskiej upadłem i straciłem chyba przytomność, ktoś mnie podnosił, ja znowu się osunąłem.

– Panie starszy, tutaj się nie śpi. Albo pan coś zamawia. albo...

Nie wiem dlaczego znalazłem się w knajpie przy Rynku, dlaczego zasnąłem przy stoliku. Dlaczego nie odpowiedziałem na wyzwanie i nie poszedłem walczyć z Antychrystem? Dlaczego? Dlaczego?

Wyszedłem z lokalu i skierowałem się odruchowo w stronę Wisły.

Lazłem, noga za nogą, po nadbrzeżu. Nawet nie zauważyłem, że zrobiło się ciemno. Nie tak jak w tym wąwozie, ale ciemno. Początkowo nie poznawałem brzegu, ale nagle aż stanąłem w miejscu: chyba tu się kąpała.

Oczywiście Laryssa nie było. Była rzeka, nad nią gwiazdy – dziwnie blisko, jakby niebo osunęło się bliżej ziemi – albo ziemia wypiętrzyła się ku górze. Czy ona była tu szczęśliwa? Mogła być, gdyby były tylko gwiazdy, a nie ziemia z obleśnymi szpiclami i filozofami, którzy też są w pewnym sensie szpiclami, tyle że szpiegują Boga, donoszą na los, podglądają Historię bez majtek i makiażu. Laryssa mogła tu być szczęśliwa, choćby w ostatniej chwili, ostatniej nocy – ale nie była z mojej winy. Wyszła z pokoju sama – i wróciła sama. Nagle coś zaczęło do mnie docierać, przebijać się przez zamglone przez alkohol obrazy. Zapragnąłem natychmiast

wyjechać. Wyjechać natychmiast. Chyba wiem, gdzie jej szukać. Po to musiałem tu przyjechać, by to zrozumieć. Tu była prawda o tam. Tu była prawda o tam – powtórzyłem, jakby to była jakaś odkrywczą myśl.

Wiem gdzie jej szukać, ale nie wiem, gdzie szukać szofera.

To on mnie znalazł. Wy tłumaczył, że musimy zatankować, dodał, że mam wielkie szczęście, ale nie tłumaczył dlaczego. Chyba jednak gdzieś wypił to piwo. W końcu wyruszyliśmy.

Powrót

Szofer był wyraźnie zmęczony. Żeby czasem nie zasnął, postanowiłem zabawiać go rozmową, zacząłem wypytywać o przebieg służby, o rodzinę i co ma zamiar robić na emeryturze. Na koniec niczym dzieciak pochwaliłem się wisiorkiem. Szofer popsuł mi radość, gdy powiedział, że to bursztyn bagienny. Nasiąkł czymś martwym, zgniłym, czy w ogóle wypada to podarować Laryssie. Ale Laryssy nie ma...

Gdy ocknąłem się z ponurych myśli – szofer przysypiał za kierownicą. Więc znów podjąłem rozmowę. Szofer odpowiadał niechętnie, jednak cokolwiek się rozbudził.

– Widzę, że na coś się jednak ten wyjazd przydał. Coś się pokładało. Nie tylko co należy robić, ale także jak należy robić.

– Najogólniej mówiąc to tak, ale nie wszystko załatwiłem, zwłaszcza nie zrealizowałem celu głównego.

– A któż wie, co naprawdę jest głównym celem? Kto wie, czy udzielona nam wiedza nie jest ważniejsza od tej, którą chcieliśmy zdobyć?

Ja nie wiedziałem, poza tym chciało mi się spać. Więc po paru minutach takiego przelewania z pustego w próżne, oczy zaczęły mi się kleić i teraz szofer w rewanżu mnie zaczął zabawiać rozmową. Coraz bardziej niezwykłą – to chyba nie był zwykły szofer. Wiedziałem, że Szef podstawia mi różnych ludzi, ostatnio coraz mądrzejszych, ale żeby aż takich! I widać udostępnił mu część moich akt, bo ten typ dużo wie, nawet zna moje myśli. W końcu, żeby mnie naprawdę ożywić i uwznioślić zaczął cytować fragmenty jakichś ksiąg, a ja miałem zgadywać jakich.

Gdy kolejny raz otworzyłem oczy – szofer nie siedział obok, tylko unosił się nade mną i śpiewał psalmy, chyba dość długo, bo był już wysoko w numeracji, powyżej setki. *Błogosław ręce moje na bitwę a palce na wojnę*, czy odwrotnie. W końcu widząc, że to niewiele daje opadł, a nawet kucnął. Twarz zaczął mi oblepiać jego oddech i usłyszałem gniewne: *A tak, żeś letni, a nie gorący ani zimny, wypluję cię z ust moich!*

List do kościoła w Laodycei we Frygii. Chyba Jan pisał go z Patmos. Któryś z moich informatorów, ksiądz Czajkowski, a może sam biskup, arcybiskup, żeby rozmowa nie wyglądała na zwykły donos podbarwiał ją opowieścią o tym kościele. To był w tamtych czasach największy kościół, oczywiście jako budynek, choć wiernych też miał wielu.

Szofer z aprobatą kiwał głową. Jak pochwalony uczeń postanowiłem jeszcze coś dorzucić:

– Tam był też taki akwedukt, podłączony do gorących źródeł. Smakowały jak złoto i zioła potem biegnąc akweduktem stygły, lecz zimne także były ożywcze i smaczne. Tylko pośrodku, tam gdzie woda była letnia, to nie dawała się pić. Ludzie, którzy też nie są ani gorący, ani zimni...

– Tak – przytaknął szofer. – Rzadkie świństwo.

Białe kolumny świątyń znikwały, jakby gasły. Gasło też świa-

tło w ludziach i w drzewach rosnących wzdłuż drogi. Poczułem w ustach ciepły, błotny smak. Wypełniał usta, zda się za chwilę je rozewrze, będę nie tylko pluł, będę rzygał – na pograniczu snu i jawy chciałem rzygać. I w tej chwili poczułem szarpanie za rękaw.

– Nie tutaj!

– Co jest. – Wreszcie się rozbudziłem.

– To ja pytam, co jest panu generałowi. Szofer lewą ręką prowadził, prawą najpierw mnie szarpał, potem sięgnął do przekładni biegów.

– Pierwszy raz widzę, żeby ktoś próbował za przeproszeniem rzygać przez sen. Pan generał się przejdzie po powietrzu.

Dobrze, że nie każe mi chodzić po wodzie.

Samochód stanął. Szofer wybiegł, otworzył drzwiczki, chyba bał się, że rzeczywiście mu obrzygam tapicerkę.

– Gdzie jesteśmy?

– Za Konstancinem, niedaleko Warszawy.

– Tak długo spałem?

– Trudno powiedzieć, bo raz pan spał, raz rozmawiał, to znów jakby się modlił.

Spacer po nocnym powietrzu dobrze mi zrobił. Tu gwiazdy też były wielkie, jakby opadały w stronę ziemi. Przypomniałem sobie po co wracam.

Wsiadamy.

Na tropie

Wszedłem do mieszkania, **oczywiście Laryssy nie było**. W ubra-
niu położyłem się na łóżku, ale nie mogłem zasnąć. Wiedziałem,
że to idiotyczne, a jednak mimo to wyszedłem na korytarz. Tak jak

się spodziewałem – na końcu były otwarte drzwi, za nimi schody.

Biegłem po nich nie czując zmęczenia. Dach pusty.

A jednak wiem, że ona tu przyjdzie. Blisko gwiazd. Czas się zatrzymał.

A ponieważ czas się zatrzymał – nie wiem ile godzin czekałem. Został mnie świt, wróciłem napić się kawy i znów wyszedłem na dach.

Do biura nie poszedłem. Wyjąłem z kieszonki bursztynowy wiśiorek i podszedłem do szafy. Dopiero z bliska zobaczyłem, że tył szafy jest rozwalony, a drzwi do sejfu uchylone. Po to wysłali mnie do Kazimierza, ja byłem pod kontrolą, a oni mieli kilka godzin. Nie musieli ostukiwać ścian, ktoś pewnie zajrzał do starych planów mieszkań. Wleźli do szafy i rozwalili tylną ścianę. Nie wiedzieli, że się łatwo otwierają. Papiery zniknęły, zostały tylko błyskotki, które szef dał mi kiedyś „dla kobity”. Czytelny sygnał, nawet nie próbują zachować pozorów. Zresztą, może to dobrze, że znaleźli sejf, bo gdyby nie – zająłby się mną ten rzekomy szofer. Na pewno bym się wygadał. A nawet jeśli nie – pewnie skończyłbym... Chyba w Wąwozie Małachowskiego, po co innego by mnie tam zawoził. A może wrzucił mi coś do piwa i zostawił mnie w knajpie. Dlatego tak łatwo zasnąłem, dlatego potem miałem koszmary. I chciało mi się rzygać w samochodzie. Szkoda, że nie narzygałem, teraz za późno.

Zniknęły najważniejsze papiery, to, co w notesie, to za mało nawet na krótką nowelę. Wycofuję się z gry, może nawet wyjadę z tego kraju. A z tego miasta budowanego na kościach – na pewno. Laryssa da się namówić, co lepszego ją czeka tutaj?

Zaczynam się zastanawiać, czy jej zniknięcie nie ma czegoś wspólnego z tą sprawą. Może się bała? I jeszcze gorsza myśl; czy jej pojawienie się u mnie po gali nie miało czegoś wspólnego z tą

sprawą? Czy przyszła tylko po to, by dogonić naszą podstarzałą młodość?

Noc albo dzień, albo ani to, ani to

Po paru minutach czy godzinach znowu wyszedłem na dach. Znowu nikogo. Owszem, leży tu trochę szkła, nasz cieć nie sprząta, leń przebrzydły! Albo tylko na pozór jest cieciem, nic nie jest tym, na co wygląda. Dozorca nie jest dozorcą, szofer nie jest szoferem, ja nie jestem Langiem ani Majchrzakiem. Rzeczy i ludzie są tylko hipotezami. Ten dom też nie jest domem, ani dach – dachem. Wychylam się, odruchowo wypatruję Laryssy. Nikogo.

Chmury, jakby zbierało się na burzę, powietrze przeniknięte elektrycznością. Jestem na dachu sam, mam czas na swobodne rozmyślanie. Bóg też jest sam, właściwie jest tylko on sam. Jeśli $A = B$ i $C = B$, to $A = B$. Sam równa się Bóg. Sam. *Der Einzige. Der Einzige und sein Eigentum*. Sam będę musiał popełnić samobójstwo. To taki skrót myślowy: samobójstwo jako najwyższe stadium istnienia. Dowód mocy. Nikt nie był w stanie mnie zniszczyć, nikt nie był dość potężny. Ja pokażę, że jestem najpotężniejszy. Ukoronowanie. *Die Krönung*. A dach to mój *Königsthron*. Coraz lepiej mówię w obcych językach, sam siebie rozumiem w obcych językach, bez pomocy tłumacza, to coś znaczy, to miało precedensy, chyba pisał o mnie święty Paweł, nie, raczej Łukasz Ewangelista, Grek chyba, albo lekarz, do tego malarz, na blacie stołu Matkę Boską namalował. Teraz ten obraz czczą w Częstochowie. Piękna historia! Ale kto kazał mi fruwać twierdząc, że aniołowie mnie złapią po drodze. I kto teraz mówi za mnie po niemiecku, a nie po grecku

albo od razu po hebrajsku?! A jeśli ktoś zesłał na mnie sen? I te języki, których nie znam, a nie potrafię się wyplątać. Nieważne. Jeśli ktoś na mnie coś zsyła, to znaczy, że nie jestem we wszechświecie sam. Nie jestem *Der Einzige*. Wróć – jak powiada mój Szef. Jeśli nie jestem sam – trzeba rozumować od nowa.

Jestem zmęczony, półśpiący. Z tego snu raz jeszcze wychylam się w dół. Nawet gdyby szła koło domu – z tej wysokości przecież bym jej nie rozpoznał.

Ślady na kupie piasku powoli znikają. Dorabiam do nich grafo-mańską opowieść, a nawet nie wiem, czy są kobiece, męskie, czy dziewczęce

A Laryssy naprawdę nie ma.

Jeszcze trochę, zacznę wątpić, czy była.

Wiadomość od ciecia

Wychodząc z domu natknąłem się na ciecia, chyba skądś wrócił, bo był w płaszczu:

– Jak ma się pani Laryssa?

– Czy wy sobie za dużo nie pozwalacie?

– Ja przepraszam, jeśli uraziłem. Ale pani Laryssa była w kiepskim stanie, szczęście, że ją znalazłem. Coś mnie tkło, żeby zrobić obchód i to aż na samiuśki dach, od lat żem tam nie zaglądał...

Coś mi nie pasowało, kłamał, nawet doborem słów kłamał, ale nie przerywałem, żeby się z czymś wygadał. A on:

...leżała – ciągnął – na takiej kupie piachu, a właściwie to za nią, jakby się chowała... Trzęsa się ni to z gorączki, ni to ze strachu. Coś mówiła, ale niezbyt składnie, nie mogłem słuchać, bo myśla-

łem, jak ją ratować. Nie miała siły by iść, więc w końcu wzionłem ją niby dzieciątko i zaniósłem do windy i dopiero od siebie żem zadzwonił na pogotowie. No, na to nasze, więc myślałem, że pan generał wie, tam zawsze mają parę karettek pod ręką. Rozchodziło się przecie o pośpiech, o życie się rozchodziło.

– Ale kiedy ja tutaj byłem, portiernia była pusta.

– Zgadza się toczka w toczkę. Bom z panią Laryssą pojechał, a na miejscu kazano mi bacznie czuwać, czy ona co ważnego nie powie. Potem dopiero mnie zwolniono, ważny jakiś z Centrali zwolnił, tom wrócił, ale pana generała nie było.

Wiedziałem, że ten upiorny przebieraniec gra tylko pocziwego ciecica, że powie tylko tyle, ile mu kazali. Nie było sensu ciągnąć, ważniejsze co innego, najważniejsze:

– No to gdzie ona jest.

– No w naszej klinice na Wołoskiej. Mają tam zrobić taki normalny szpital, ale póki co, całe piętra są nasze, i w podziemiu, że nawet nikt nie wie – odpowiedział, kłaniając się co pół zdania i mnąc czapkę, która nie wiadomo skąd znalazła się w jego rękach.

Nie słuchałem co jeszcze mi powie, nie chciałem też by to on wzywał taksówkę. Wiadomo jaka podjedzie. Uścisnąłem mu dłoń, on gadał, wybiegłem, on tam pewnie dalej gada, jakieś pieniądze dam mu przy innej okazji, teraz mógłby czuć się urażony. Wykonał szlachetny uczynek, wykonał bezinteresownie – jeśli zapłacę to wszystko zniszczę, jakbym zmienił zakończenie w książce.

Przed budynkiem złapałem przejeżdżającą taksówkę, rzuciłem „Do kliniki MSW” – nie musiałem podawać adresu, znali ulicę i numer.

Biegłem, chyba coś po drodze krzyczałem, jakbym biegł ratować siostrzyczkę – – –

Niestety nie wpuścili mnie do niej. Ma wysoką gorączkę, podejrzewają coś poważniejszego, może nawet zakaźnego. To świństwo ma długi okres wylęgania, ale jak już wybucha, to powala jak nagłe zapalenie płuc – powiedział lekarz dyżurny. Człowiek w jakimś miejscu coś zje, zdąży wyjechać, normalnie zaczyna żyć, a nie wie, że zaczyna... Nie chcę powiedzieć, że człowiek zaczął umierać, na to są środki, ale człowiek zaczął poważnie chorować. Paru polityków tak załatwiono, oczywiście nie u nas – ciągnął w dość dziwnej polszczyźnie.

Usiadłem na korytarzu, po chwili naprzeciwnie usiadł jakiś pielęgniarz. Czułem, że mnie obmacuje oczami. Posiedziałem jeszcze chwilę i wyszedłem.

Polowanie na węglik – wspomnienia konsultanta

Bez śniadania, zalałem sobie tylko kawę, pojechałem do centrali. Zajrzałem do naszego konsultanta. Do moich wiadomości przywiezionych ongiś z Moskwy dorzucił na początek tę, że radzieccy również robili eksperymenty. W latach siedemdziesiątych mieli całe laboratorium w Swierdłowsku.

– O tym słyszałem.

– A o tym, że podczas doświadczeń nad węglikiem zatruli i wykończyli własnych pracowników? Zachorowało siedemdziesiąt dziewięć osób, zmarło – sześćdziesiąt sześć. To dane oficjalne, a liczby ofiar ustalano na najwyższym szczeblu, biorąc pod uwagę zarówno to, by nie wywoływać paniki, jak i to, że wszystkie takie dane czytają też wrogowie. Może nie jest to liczba dokładna, ale na pewno z jakichś względów ważna, liczba słuszna. Jeszcze nie umiemy jej odczytać. Wiemy tylko, że dla dobra sprawy przenie-

siono centrum badań w bardziej odległe rejony, między innymi do Stiepnogorska w Kazachstanie.

Czy udało im się wykończyć wąglikiem paru dysydentów, czy załatwili paru obcych naukowców bądź polityków – ciągnął konsultant – tego nasi eksperci nie wiedzą. Zmarli nam tego nie powiedzą, zresztą objawy mogły mylić.

– Jakie objawy?

– Skórne, ale to mały pryszcz. Dosłownie. Przy małej infekcji robi się czarny strupek, potem odpada. Gorzej gdy strupy są większe i gdy wciąż ich przybywa i wraz z nimi odrywa się ciało.

Najgorzej jednak, gdy bakteria, jak my lekarze mówimy, drogą wziewną dostanie się do płuc. Jej działanie rzeczywiście przypomina zapalenia płuc: gorączka, dreszcze, kaszel, coraz gorszy ból brzucha, coraz częstsze wymioty.

Krążyła kiedyś hipoteza, że w ten sposób wykończono Mickiewicza, ale nie było jak sprawdzić. Za szybko go zaplombowali. Z tego co wiem, raczej nie, a przynajmniej nie takim wąglikiem go potraktowano, o jakim teraz mówimy. Okres utajony, bez objawów, to można zawsze i każdej śmierci przypisać. Całe życie to taki okres bezobjawowy. Potem atak i zaczynają się różnice. Zatrute wąglikiem zwłoki nie tężeją do końca, z otworów ciała, no wie pan generał, tych naturalnych, wycieka ciemna, lakowata krew. Ale to nie musiał być wąglik. A nasz wieszcz podburzał im wszystkich; organizował nie tylko legiony polskie, śnił mu się jeszcze legion kozacki i żydowski, podbechtywał bośniactwo i bułgarstwo, a do tego był najwybitniejszym poetą świata i oczywiście Słowiańszczyzny. Musiał ich wkurwiać, tych Moskali. A z późniejszych podobno poczęstowali tym naszego Bieruta. Uznali widać, że to działa na Polaków. I podziałało. Oficjalna diagnoza była zaskakująco banalna.

– Jaka?

– Jak na Ruskich wręcz skromna: *coś na pograniczu grypy i zapalenia płuc*.

Déjà vu. Już coś podobnego słyszałem. Szukałem w pamięci gdzie i kiedy, tymczasem konsultant ciągnął:

– To mogłoby wskazywać na płucną formę zakażenia. Bierut walczył ze dwa tygodnie. Już nawet sądził, że wyzdrowiał, chodził po ogrodzie i planował powrót. Wiem, bo mówił mi to jego syn. No więc ruscy znów mu coś podali, trochę walczył, po trzech dniach się poddał. Jak mówiono, pojechał w futerku, a wrócił w kuferku. Oczywiście nie pozwolono tego kuferka otwierać, może ze względu na te lakowate wycieki. To płynie z nosa, uszu, nawet oczu. Z innych dziur też – zażartował.

– Ale – dodał poważniej – jak już mówiłem, to nie musiał być wąglik. Rosja wielka, bogata w najróżniejsze choroby, trucizny i skurwysyństwa – zakończył filozoficznie.

Chciałem mu opowiedzieć o swojej gali twórczej i o tej niby pustej kopercie i o gniewie Laryssy, z którego wtedy się śmiałem. Ale nagle sobie uświadomiłem – to nie na rozmowę z tym wymoczeniem! On też zdradzi, on jest w tej samej konspiracji co Wiktor, Szofer, dozorca w naszym domu.

Wyszedłem jak porażony prądem, po drodze bełkotałem coś o pierwszej kobiecie, Pandorze, którą z gliny ulepił Zeus, czy może Hefajstos na rozkaz Zeusa, sam tego nie rozumiałem.

Tak więc tajemnica pustej koperty została wyjaśniona do końca. No: prawie do końca. I tajemnica zapalenia płuc, na które choruje Laryssa. Ile czasu trwa takie zapalenie? Ile chorował Bierut? Ile ja mam dni? Kilka? Co znaczy słowo „kilka”? Kto jeszcze zachoruje? A może ja znów ocaleję? Znów będę chodził sam korytarzami tego ponurego gmachu, nadsluchiwał głosów z piwnicy. A może mam

się przeprowadzić do mieszkania w nowej dzielnicy. Wielkiego i pustego. O podwyższonym standardzie lęku.

Takie sobie dywagacje przed snem

Myślę, że współczesna filozofia nie nadąża za nauką. Wiemy o wykorzystywaniu elementów biologicznych w konstrukcjach precyzyjnych, a nie chcemy dopuścić myśli, że sami jesteśmy wytworem tego typu zaawansowanej technologii, informacyjnym układem na biologicznych podzespołach. Obserwujemy ewolucję nośników informacji – były płyty metalowe, były taśmy, teraz znowu specjalne płytki. To samo dotyczy obrazów – pierwsze zdjęcia były rejestrowane na szkłe, potem na celulooidzie i tak dalej. U szczytu tej ewolucji znajdują się żywe, a choćby nawet martwe tkanki zwierzęce czy ludzkie. Może to co przedwcześnie uznajemy za martwe nadaje się do regeneracji, może wynalazek doktora Dippla jest ważniejszy od przewrotu Kopernika, może ten skromny lekarz z Frankensteinu na Śląsku rozwiązał problem, za który Faust płacił duszą.

Władimir Worobiow, Iwan Zbarski to radzieccy uczniowie Frankenstein, niestety – znacznie mniej zdolni. Ich twór leży nieruchomo w mauzoleum, a jeśli je opuszcza – czyni to tylko nocą. Ze wstydem i wściekłością. Nienawidzi siebie i świata. Podobno ma tendencje zbrodnicze niczym Kuba Rozpruwacz, ale te przejawiał już za życia, więc może są ubocznym efektem procesu twórczego, może nie. Chyba powinienem zgasić lampkę.

A wracając do głównego problemu. Pytanie nie brzmi dziś: na czym, tylko: w jaki sposób nagrywać. I w jaki to da się odtworzyć. Bo nagrywać można już chyba na wszystkim, choć jedne nośniki

są trwalsze, drugie mniej. Tak jak piosenki na taśmach albo płytach, może całe dusze na ciałach?

Więc głosy krzyczące w naszych piwnicach z pewnością na coś się nagrały. Na ściany, na rury, nawet na porośnięte brudem sprzęty znajdujące się w innych pomieszczeniach. Akustyka w tych budynkach jest tak dobra, że przerażająca, a przesłuchania odbywały się nocą. Teraz te krzyki, przypadkowo czy celowo są odtwarzane. Dlatego je słyszymy, zwłaszcza po nocach, gdy cicho. Nagrania rozprzestrzeniają się po piętrach, można mówić o informacjach głosowych, obrazowych a nawet zapachowych względnie niezależnych od nośników. Powoduje to pewien dyskomfort, zakłócanie normalnego biegu przyczyn i skutków. Czasem to dziwi, czasem nawet przeraża. Nawet starzy towarzysze z resortu wyprowadzają się z resortowego domu. Na naszym piętrze chyba już jestem sam.

Chyba jednak zapalę lampkę.

To samo może dotyczyć obrazów, na przykład ludzkich sylwetek. Sprawa Całunu Turyńskiego wydaje się dziecinna: tak, to na pewno jest „nagrany” człowiek. Problem tylko w tym, kto nim jest, Chrystus czy przypadkowy trup? W jaki sposób wypłatał się z tego całunu śmierci?

Więc może ktoś z drewnianej burty łodzi albo z piasku nadrzecznej plaży odtworzy postać kąpiącej się Laryssy. Przy okazji i moją – na brzegu.

Czy tylko my się nagrywamy? A gdyby brzegiem rzeki, obok łodzi przeszedł Bóg?

Wśród gałęzi drzew przeleciał anioł, albo coś, co nie mając słów nazywamy w przybliżeniu aniołem? Też rzucił cień swoich skrzydeł. Pozostaje problem odtworzenia.

Sen / Rytuał

To był sen, albo nie. Jeśli nie sen – to rytuał na tyle bolesny, że wymagający znieczulenia, narkotyków czy innych środków zamieniających ból w szalone wizje. Nie wykluczam, że poddano mnie hipnozie, by zdobyć informacje na temat związany z moją przeszłością albo wykonywaną pracą.

Jeśli sen – to jego ranga maleje, ohyda pozostaje. Bo znowu śnił mi się Wiktor. Pochylał się i grzebał we mnie. To on sklejał mnie z kawałków zwłok przyniesionych z cmentarza, właściwie z kilku cmentarzy, bo wymieniał różne miejscowości. Z tego to się nadaje, a to nie, to Kuryłówka, to Las Stocki, czyżby tam był? A to chyba jakiś kawałek czaszki Sowietą z 1920, a może jego ofiary, poźółkle toto, nie do odróżnienia. Kawałek kręgosłupa, piszczał, pełno tego w naszej ziemi, cały piach mazowiecki to zmurzone kości, cała Warszawa stoi na cmentarzu – tak mamrotał. I cały czas narzekał – coś było nie dość świeże, ale wsadził, lepsze śmierdzące niż żadne, serce mu nie pasowało, wyglądało na psie albo coś z psowatych, świńskie byłoby lepsze, mózg nie ludzki a gadzi, każdy ma taki pod spodem, na to kładzie się jakiś inny, ale innego nie było, jakiś czas będzie działać bez nakładki... Na chwilę mnie opuścił, chciałem uciec, lecz nie mogłem się ruszyć. A on przyniósł jakiegoś psa czy wielkiego szczura, nie wiem, bo rozdzierał po drodze i też wyjmował z niego części. Mówił że bardzo ludzkie, że tego się nie spodziewał. Potem miał problemy z bebechami, które nie chciały się zmieścić, więc po prostu brał w garść i odrywał, resztę upchał. Na końcu zaczął wpychać oczy, co mnie zaskoczyło, bo cały czas go widziałem. A kiedy wepchnął drugie – przestałem widzieć.

Już budząc się usłyszałem: *Alem się ufatygował. Jakbym trzy razy obłapiał. Albo i cztery.*

Było widno. W pokoju rzeczywiście był Wiktor, chyba to mówił wchodząc przez zamknięte drzwi, pilne wezwanie do centrali, do Szefa, a nie mieli nikogo innego pod ręką, więc on przybiegł. Na sobie miał barwny szlafrok, który można było wziąć za strój kapłana – chyba że był to strój kapłana, w którym chodził po domu, czasem sypiał a czasem w nim wybiegał z jakąś pilną misją – jak teraz. Ale jak wszedł przez zamknięte drzwi...?

Poszedłem za nim.

Wyjaśnienie zamachów, wyjaśnienie wyjaśnienia

Szef gapił się najpierw na mnie bez zmrużenia oka. Oni tak wszyscy, przynajmniej góra Wydziału. A kiedyś pani Krysia i mnie to zarzucała, że nie mrugam.

Ja też milczałem. Jeżeli maczał łapy w wywiezieniu mnie do Kazimierza (przecież to było nieomal porwanie), i nawet rozważał możliwość jakichś tortur czy czegoś gorszego, po cholerę mnie wieźli do wąwozu a ten szofer wciąż telefonował – więc jeśli Szef to nadzorował – wie o tym przedsięwzięciu więcej niż ja. Jeśli ma już moje papiery z sejfu – cóż dodać? Ruch należy do nich.

A jeżeli nic nie ma – tym lepiej, niech myśli, że ja wciąż mam tę swoją polisę na życie, że to ja mam ich w rękę, że oni muszą dbać, bym mógł spokojnie spacerować, nawet wyjeżdżać na ryby i nawet wracać, i nawet coś czasem złowić.

W końcu Szef nie wytrzymał w roli. Nalał, ale tylko sobie i warknął:

- Miałeś szczęście. Właściwie to Laryssa cię uratowała.
- Szef coś wie?

Podniósł rękę do czoła, by zademonstrować zatroskanie. Na palcu mignął sygnet, pewno z tych niemieckich.

– Plotki resortowych emerytów – wycedził. – Podobno dali ci jakieś pigułki, ale nie zadziałały... Tyle że miałeś omamy wzrokowe i słuchowe a potem chciało ci się rzygać. Twój opiekun dwa razy dzwonił z Kazimierza.

– Rozumiem, że ten pseudoszofer.

– Nie, ten już odchodzi na emeryturę, może nawet do klasztoru, jak ma dobry odlot, to zacytuje całą Apokalipsę z głowy. Ostatnio zaczął przerabiać psalmy na sonety, i o dziwo nieźle mu to idzie. Do ciebie przystawiony był twój dawny znajomy, ten, który pomyłkowo rozpracowywał cię za poprzedniej bytności w Kazimierzu, taki gruby, udawał przedwojennego filozofa. Wiadomo było, że przed szoferem będziesz się miał na baczności, a tego grubasa zlekceważysz. To jeden z lepszych współpracowników, nawiasem mówiąc rozpracowywał Kuczyńskiego, spowodował wypadek tego socjologa Strzeleckiego, ma też parę innych sukcesów. Bajdełaj, mówiąc, uczeń Schaffa. Dał się zawerbować jako student, koniecznie chciał ukończyć filozofię i robić nową, marksistowską teorię poznania. Jakoś go przepchnęliśmy – a potem i tak nie pracował w zawodzie.

Szef zamyślił się na sekundę i wrócił do tematu:

– Ale nie było potrzeby żadnych drastycznych środków. Laryssa powiedziała co trzeba, a kto trzeba dobrał się do sejfu.

Laryssa? To niemożliwe!

– Gdyby ona nie powiedziała o sejfie, mieli wydobyć z ciebie wiadomości jak z pojemnika, a potem pojemnik zniszczyć. Ale ona już więcej cię nie uratuje. Ja też nie. Jak tylko będę mógł odlatuję do ciepłych krajów. *Prashtschei lubymeay gorat* – zanucił tak fałszywie, że aż czuło się w tym śpiewaniu modny ostatnio translit „zachodnimi” bukwami.

– O co tu chodzi?

– Pewnie wiecie za dużo, Majchrzak. A może zaczęła się akcja w skali całego układu.

– Jakiego układu?

– Do niedawna Warszawskiego. Teraz mu już nazwa niepotrzebna. Zlikwidowali nazwę, zlikwidują i ludzi. *Prashtschei lubymeay gorat*. No, ale jak widzicie generale, znowu mieliście szczęście. Jak w Toruniu, jak w Dubrowniku, jak w pociągu z Wrocławia... Szczęściarz z was kurwa. Kurwa z was szczęściarz. – Szefowi zaczął się plątać język.

– A może po prostu jestem nieśmiertelny, Szefie, i nikt nie da rady mnie wykończyć?

A Szef znów przeszedł na „ty” i powiedział nieomal czule, patrząc mi w oczy:

– No to sam będziesz musiał to zrobić. Logiczne, nieprawdaż?

To był żart, ale czy tylko? Mówił już kiedyś o wymianie ekip, ale czy to dotyczy bogów? Podał rękę, jakby się żegnał.

Do domu wracałem piechotą. W pewnym momencie zorientowałem się, że od jakiegoś czasu idę zupełnie inną ulicą, niby tą samą, ale jakby sprzed lat. Wielu budynków brakowało, nawet mojego. Zawróciłem. W powietrzu wciąż unosił się ten zapaszek zjełczałego mięsa, musiała nawalić elektryczność w jakichś podziemnych magazynach. Po chodniku przebiegały szczury. A chodnik kołysał się jak pokład okrętu. Co chwila z kimś się zderzałem – mijający mnie ludzie patrzyli przeważnie w ziemię. Niektórzy mieli na sobie skórzane kurtki, ci nie patrzyli w ziemię, lecz nie schodzili z drogi. To ja patrzyłem w ziemię.

Po pogrzebie

Na pogrzebie „Hölderlina” nie byłem. Mówią, że samobójstwo. To nawet wynikałoby z jego filozofii. Znudziło mu się ubierać i roz-bierać, jak mawiał Obolenskij? Nawet w te angielskie marynarki? A może była inna przyczyna, wiele innych? Kiedyś mi to, niejako *a priori* (to jego powiedzonko) wyjaśniał: nigdy do końca nie wiadomo. Nie jest tak, że przyczyna wywołuje skutek, przyczyny i skutki chodzą stadami jak bydło (to moje powiedzonko), wiele przyczyn wywołuje wiele skutków.

Też to zrobię z tych samych powodów.

A może dzieje się coś zupełnie innego, może nie samobójstwo, może zaczęło się to, o czym mówił Szef, w skali układu a mój sejf niestety jest pusty. Nie mam polisy.

Muszę raz jeszcze przyjrzeć się paru zdarzeniom, może wszystko było czym innym, niż myślałem?

MOS.

Motyw – Okazja – Środek.

Ten list włożony do mojej kieszeni podczas gali, tamten napad na Larysę w Toruniu, W sypialnym z Wrocławia morderca nie zapalał światła – bo po co. W tym przedziale tylko ja miałem leżeć. Koperta, która nie zawierała nic (a raczej: zawierała nic) znalazła się w mojej kieszeni. Ten żyrandol też nie spadł przypadkiem – to mnie chciano zabić.

Ktoś tak pokierował zdarzeniami, że nożownik dźgnął innego amanta odprowadzającego Larysę, że jakaś ręka odepchnęła mnie od schronu, w którym zaraz miała wybuchnąć bomba, że po kobiecemu ciekawa Laryssa zamiast mnie zajrzała do koperty – potem wściekła wyrzuciła ją przez okno. Jest w tym wszystkim jeden,

wciąż powtarzający się motyw: wszystkie te wydarzenia, czy łączyły się z Dubrownikiem i z Jankiem, czy tylko ze mną, czy byłem ich ośrodkiem, czy tylko się otarłem – za każdym razem kończyły się dla mnie szczęśliwie. Padali ludzie koło mnie – ja wychodziłem cało. Ktoś czy coś cały czas mnie chroni. Więc nie mam podstaw do obaw, chyba że sam zdecyduję o swym końcu...

Rozmyślenia godne Stirnera przerwało mi ujadanie telefonu. Kto wie że jestem? Albo: kto sprawdza czy jestem.

Bóg Janus i prezent od Wiktora

To Wiktor. Zadzwoił z dołu od ciecia i wprosił się pod pretekstem, że znalazł dla mnie prezent na starociach. Było z nim dwóch ochroniarzy przebranych za kapłanów nieznanej mi religii. Strasznie to było sztuczne, teatralne, ale z jakimś złowrogim podtekstem. Szaty w kolorach tęczy, ale w rękach kije bejsbolowe. Czyżby przyszli wykonać wyrok? Raczej nie, przecież widział ich dozorca. Ale jeśli dozorca jest z tej samej bandy, jeśli specjalnie po to ich tu wpuścił? Nawet nie ma jak sięgnąć po rewolwer.

Ochroniarze stanęli z uśmiechami po obu stronach drzwi, a Wiktor jeszcze bardziej uśmiechnięty wyśpiewywał peany na cześć swego nowego programu, na który poprzez Partnerstwo dla Członkostwa ma dostać środki z Unii, a po traktacie akcesyjnym otrzyma jeszcze większe. Katolikom by może nie dali, ale my dostaniemy na pewniaka.

– Jacy „my”, bo się pogubiłem. Czy to jeszcze jest Mesjasz Triumfujący, czy już Lucyfer Niosący Światło? Jaką sektę znowu wymyśliłeś?

– Po pierwsze nie sektę a Kościół, Kościoły są zwolnione od po-

datków. A po drugie nie jesteś generał na bieżąco, Niosący Światło to już passé, zapomnij o nim.

– Ale go przecież lansowałeś?

– Powtarzam, zapomnij o nim. Tamten projekt mógł stać się zarzewiem konfliktów, jeśli podniecał zwolenników do ataku, to tym samym podniecał przeciwników do obrony. Wrzeszczą, że muszą odpowiedzieć na wyzwanie, idą walczyć! To jest straszliwy błąd tych religii. Przecież Lucyfer to jest tylko antyteza, a ludzie pragną spokoju, pragną syntezy, pełni. My nie narazimy ich na kolejną walkę. My połączymy Chrystusa z Antychrystem, Ormuzda z Arymanem. Małuczkim damy nie tylko Królestwo na Ziemi, jak obiecywał Marks, nie tylko „Królestwo nie z tego świata”, jak obiecywał Chrystus, obaj byli minimalistami, my damy im dwa w jednym, tu i tam, co nam szkodzi obiecać. To my, a nie tłusty Moon naprawdę połączymy Wschód z Zachodem.

Goryle stojące przy drzwiach potakująco zamachały głowami i kijami. Wiktor pęchniał jak balon – czas było wsadzić szpilkę.

– Nie uważałeś, junior, kiedy ci tłumaczyłem, że u Hegla synteza nie jest trwała, że wyłania się z niej nowe przeciwieństwo. Świat nie jest walcem na trzy pas i historia nie kończy się na trzecim kroku, to ciągła walka przeciwieństw, paradoks w marszu. Widzę z twojej niemądrej miny, że nie o filozofię ci chodzi. tylko o szmal. Jeśli nie o coś gorszego – przemknęło mi przez głowę. Wiktor bojąc się, że dyskusja może iść w stronę niebezpieczną, zaczął trajlować jak przekupień rozpraszaający podejrzenia kupujących:

– Oczywiście to musi kosztować, ale dobry towar kosztuje. Tego nas uczy kapitalizm, generał! Wszystko jest towar! Wiedza na prywatnych uczelniach i zdrowie w klinikach, nawet najgorsze żarcie nie jest darmo. Sacrum nie jest dla biednych, generał, na dziadach nie zarobimy. Adresujemy produkt do klas wyższych. To one, te

wyższe klasy najbardziej boją się materializmu. W dupach im się przewracało od bogactwa, ale jak już się nażrą, to chcieliby w coś uwierzyć. Bogacą się, skupują stopy rzeczy a potem boją się śmierci i rzygają z przerażenia. W każdą bujdę uwierzą, w każdą nadzieję, byle z dostawą do domu. My im sprzedamy, dostawimy nadzieję pierwszego gatunku, w higienicznym opakowaniu, nawet ślanką ociekające prorocstwa, nawet wywiady z tymi, którzy byli t a m i wrócili, żeby podzielić się z nami Dobrą Nowiną.

A Dobra Nowina jest taka, że piekło jest puste, że nie ma złych i dobrych, bo nie ma zła i dobra – wykrzyknął z jakimś fałszywym entuzjazmem. – Życie jest jakie jest, trochę takie a trochę takie, posklejane jest. Najlepszy z możliwych światów musiał widać zawierać zło, jak stal prócz żelaza węgiel. Ale tego nie można zmieniać, to wynika z dobroci Boga. Więcej dobra widać nie dało rady w świat wmontować, bo by się rozpękl. A więcej zła, chociażby o kropelkę, świat by się rozpadł – tłumaczył pobłaźliwie. – Dlatego na razie na patrona projektu wybraliśmy Janusa, mówimy program Janus. Po akcesie wymyśli się bardziej chwytliwą nazwę i dopiero wprowadzi na rynek: dziś Europa a jutro cały świat! Żadnej wojny dobra i zła, ognia i zimna. Wszystko letnie – dodał po paru sekundach.

Żadnej wojny dobra i zła, ognia i zimna. Wszystko letnie.

Skąd wiedziałem, że on to powie? Skleja swoją religię z kawałków, które kiedyś były żywe – lecz przyszyte do siebie gniją. I chyba o to chodzi. To są pierwsze oznaki tego, co fizycy nazywali śmiercią cieplną, tylko on to przedstawia od strony jakiejś upiornej teologii, a kosmolodzy – od strony fizyki. I taki będzie koniec świata. I ludzie ani gorący, ani zimni. Letni. W nic się nie będą angażować, żadnemu złu nie przeciwstawiać... W głowie zaczęły mi dzwieć ostrzegawcze dzwonki. Czy to nie o to chodzi, żeby nie walczyć ze złem. Czy Wiktor na pewno zmienił swoją poprzednią religię, czy

może zaczął ją maskować? Te teatralne szaty, maski. Przecież on cały czas kłamie, co więcej wie, że kłamie. Całą swoją olśniewającą wizję stworzył żeby oszukać, teraz wypróbowuje ją na mnie. W pierwszej chwili chciałem mu to krzyknąć w twarz, ale lepiej nie zdradzać się z podejrzeniami. Zwłaszcza że za nim stoi tych dwóch z kijami. Lepiej udać, że mu uwierzyłem, albo lepiej, że jestem bliiski uwierzenia.

– Nie nadążam za twoimi projektami stworzenia królestwa na ziemi, junior. O tym co Leibniz mówił o najlepszym ze światów, sam ci kiedyś mówiłem, a właściwie mówił nam obu Hölderlin. Lecz w jaki sposób przeszedłeś od dualizmu do monizmu, jak ci się ta nowa posklejana religia trzyma kupy, ten nowy bóg nie rozpada na pośmierdujące kawałki...

– To zanosí się na osobną dyskusję, generał. Ja chcę wiedzieć, jakie jest twoje stanowisko i spadam

– Nie mówię nie, ale za mało mi powiedziałeś, junior. Jeśli mam uwierzyć w twój projekt, a chciałbym włączyć się czynnie, muszę go do końca zrozumieć.

– To mamy powód, by się wkrótce spotkać, teraz się spieszę. – Wiktor demonstracyjnie spojrzał na zegarek, dał znać swoim słodko uśmiechniętym gorylom i nawet nie wyciągając ręki skierował w stronę drzwi.

– A prezent dla mnie? – Zatrzymałem go na moment. – Przecież masz jakąś niespodziankę.

– A tak, oczywiście. – Klepnął się artystycznie w czoło i sięgnął do teczki. – To taka ciekawostka: nóż dla leworęcznych.

Wręczył mi podłużny pakunek i dosłownie rozplynął się w powietrzu.

Wonderfull! Ten gnojek nie tylko chciał mnie okłamać, nie tylko chciał mnie zwerbować, ale także pokazać mi miejsce w szeregu. Poniżyć jak te gnojki w internacie, które wołały za mną „majcha”,

„majcha”, lewus. Oczywiście on nie woła, on tylko coś sugeruje... Nie gorąco a letnio. Nie wie, że go przejrzałem. Ten potworek, a może już potwór, cały czas kłamał. Nie poszedł dalej od poprzedniej rozmowy, nie zmienił wiary, tylko teraz maskuje ją lepiej, żeby zapewnić zwycięstwo swemu bóstwu. Dalej stawia na wszechmogącego, nie na dobrego. On myśli, że wszechmogący – powtórzyłem. Skąd ja znam te myśli. To wypłynęło z zatopionego świata.

Nowy zakład Pascala

Obudziłem się, a może ta myśl nie dawała mi spokoju. Co mówili ci mnisi ze znikającej wyspy? Tak, koło Dubrownika. Chyba to właśnie to! Zło istnieje pozytywnie. Oni myśleli o pochodniach Nerona i zbrodniach Hunów, my możemy dorzucić zbrodnie przezwycajki, niemieckie obozy śmierci, nawet nasze skromne UB wyrrywające paznokcie. Możemy dorzucić raka niszczącego organizmy. Jeśli jest Bóg, to nie jest dobry – albo nie jest wszechmogący. Zło jest faktem. Drugim Bogiem czy drugą siłą rozrywającą boską naturę życia. Gdzieś trwa walka. Nie wiemy, jak wyglądają walczący, ani nawet czy naprawdę istnieją. Wiemy, że walka trwa i wciąż trwa, bo nikt nie potrafi zwyciężyć. W tym jest lęk, lecz i nasza nadzieja. W tym, że istnieje siła zła, drugi Bóg, Antychryst, że wciąż trwa walka. Że jeszcze trwa. Myśl, myśl dalej! Jeżeli obstawiamy, że Bóg jest zły i że wygra – jak głosi ten szalony apostoł Wiktor – to koniec ludzkiego świata. Życie musi żywić się życiem, natura to krwawiący łańcuch pokarmowy, to rzeźnia, to *bellum omnium contra omnes* jak krzyczał przed śmiercią Hobbes. Ale...

Myśl, myśl dalej, to ważne.

Wiktor myśli, że służy Bogu złemu i wszechmogącemu, a jed-

nak jakąś częścią zakłada istnienie dobra, także sprawiedliwości, skoro liczy, że za służbę zostanie wynagrodzony. Wierzy w drugą twarz Boga Janusa, może w drugiego Boga, tylko skleja ich w jednego walczącego z sobą samym potwora. Tym samym – choć o tym nie wie, wierzy w istnienie drugiej siły. *Quod erat demonstrandum*. Co było do udowodnienia.

Jeszcze raz po kolei. Myśl, myśl dalej, to ważne. Po to jeździłem nad Adriatyk i do mauzoleum potwora sklejonego z kawałków ciała, tego szukałem w wąwozie w Kazimierzu i w piwnicach ubeckiej katowni zmienionej w hotel. Teraz to do mnie dotarło, teraz to się złożyło, wszystkie elementy układanki zwanej życiem wskoczyły na swoje miejsce. To nowy zakład Pascala. Jeżeli stawiamy na złego a wszechmogącego i go nie ma – klęska. Jeśli jest – też klęska, nie możemy być niczego pewni, nawet jego wdzięczności, głupcze! Jeśli stawiamy na dobrego i on jest – zwycięstwo. Jeśli go nie ma – też zwycięstwo: bo życie nasze ma sens, zyskuje spokój, godność, z niewolników stajemy się rycerzami. Więc warto grać! Q.e.d.

Myśl, myśl dalej, to ważne, to najważniejsze dla nas: Jeżeli zakładamy, że nie jest wszechmogący, że nie potrafi zwyciężyć – to znaczy, że i ten drugi nie potrafi zwyciężyć.

Coś było o tym w ewangeljach. Bóg dobra nawet próbował działać przez Chrystusa, chodził, leczył, uczył miłości – wygrał ten drugi, który działał przez Judasza i Żydów krzyczących: ukrzyżuj! Wypuść na świat Barabasa a tego tu Chrystusa ukrzyżuj. Krew jego na głowy nasze i na dzieci nasze! Nawet jeśli zmartwychwstał – przecież nie wygrał tej walki. Uczniowie go nie poznali, nie poszli za nim. No niech będzie, że poszli, ale gdy jego już nie było i gdy jego matka umarła. Ale i zło nie wygrało, pochodnie Nerona odbierały życie – ale dawały światło i siłę tym, co zostali. I tak przez wieki. Męczennicy i kaci, zbrodniarze i święci, dziecięce krucjaty i handlarze dziećmi.

Bogomachia. Mordercza, bo nikt nie wygrywa, bo nikt wygrać nie może – prócz samej walki, prócz śmierci. Czas na ostatnie słowa – mówię do siebie.

Sami bogowie nie rozstrzygną tej walki. Pomóc Bogu! Mamy wolną wolę. Stoję z boku przyzwalając na zło, czy włączam się do walki. To nie wyczekujący, kupiecki zakład starego Pascala. Kombinacje wystraszonego filozofa, który czuje nadchodzącą śmierć. To wybór Pascala! Włączam się jako siła pośród sił. Po to mam wolną wolę – Q.e.d. Ta potworna zagadka ma jednak rozwiązanie! Koniec układanki. Jasność.

Wszystkie drzwi pozamykane

Wreszcie poczułem się lepiej, jakbym się obudził. Albo wytrzeźwiał. Inna rzecz, że chyba nie trzeźwiałem miotając się po piwnicach i śpiewając jakieś bluźnierstwa na dachu. Ale to już poza mną! Koniec z koszmarami, upiorami wylękłymi z błota białej gorączki. Moja lampa znów świeci mocno, jaśniej niż przedtem.

Postanowiłem zajrzeć raz jeszcze do konsultanta, przy okazji przypomnę mu o chorobie żony poety Kubiaka, to znaczy o lekarstwach. Ale nie mogę sam siebie oszukiwać. Idę przede wszystkim w swojej sprawie.

Jeśli wytwarzają trucizny, to mają i odtrutki. To jest żelazna zasada, muszą mieć – choćby dla laborantów, gdyby który rozbił próbkę albo przypadkiem rozdarł kombinezon. Albo pacjent ugryzł go w rękę.

Poza tym pięć procent przypadków tej zarazy kończy się samoleczeniem. Oni muszą coś wiedzieć. Co sprzyja, co uniemożliwia, jakie są rokowania? Mogę opisać mu przypadek Laryssy – niech

skonsultuje gdzieś wyżej, ona oddała usługi dla resortu, ona tyle lat poświęciła!

Dziwne byłoby, gdyby nasze pogrzeby odbyły się tego samego dnia, mój na Powązkach, z asystą wojskową, a jej? Samotna o niepewnej tożsamości może skończyć na stole studentów medycyny. Tam zniknie.

Gabinet konsultanta był zamknięty, major, który jak cerber pilnuje przy wejściu też nic nie wiedział.

Pobiegłem do gabinetu Szefa – też był zamknięty. Albo zegarki idą każdy w inną stronę, albo zaczęły się jakieś czystki. *Rats desert a sinking ship.*

Zbiegłem na dół. Z rozpędu jedno piętro za daleko, a raczej za głęboko.

I nagle stanąłem na początku takiego samego korytarza, jak w moim ponurym gmachu. A może tego samego? Jeżeli jestem nieśmiertelny – nic się nie może stać.

I nic się nie stało.

Owszem, trochę się pogubiłem, nie przeczę – nawet zawracałem, ale w końcu znalazłem się pod swoim mieszkaniem. Jeśli coś mnie zdenerwowało, to szczury. Łaziły całymi gromadami, były coraz bezczelniejsze, dotarły nawet na moje piętro. Jednego kopnąłem pod swoimi drzwiami, mam nadzieję, że go utrupiłem.

Cieć mówił, że póki będzie choć jeden mieszkaniec, to on musi być. Ale potem i on zniknie i nawet ten budynek. Zostanie pusty plac.

Gdy wychodziłem z domu – cieć był, tyle że w płaszczu. Gdy wracałem – recepcja była pusta. Ale chyba słyszałem kroki na którymś korytarzu. Jeśli nikogo nie ma, po co jeszcze obchodzi dom, czego pilnuje?

Do notatnika

Zakończenie, które nie będzie zakończeniem.

Jeszcze drobiazgi.

Jeśli sam siebie zabiję – zostanie rewolwer z odciskami na dowód samobójstwa. Nie mogę popełnić błędu Empedoklesa, który by udać wniebowzięcie wszedł na Etnę i skoczył do krateru. Tyle że na brzegu został sandał.

Na brzegu zostanie też Wiktor. I będzie oczywiste, że znienacka mnie popchnął a teraz opowiada światu o mojej chorobie psychicznej albo innej depresji.

Muszę stworzyć rezerwowe zakończenie, w którym Wiktor tak czy inaczej zginie, z własnych rąk albo z rąk moich mścicieli, z rąk sędziego i kata.

Trup, rewolwer, odciski – wszystko oskarży Wiktora.

Odciski – drobiazg, można mieć rękawiczki, można czymś posmarować palec, można naciągnąć rękaw od koszuli. Tyle że nie wyrzucę po śmierci rewolweru przez okno, zostanie w martwej dłoni. Albo obok.

Ale mogę to zrobić tak, że nie będzie potrzebne ani fabrykowanie odcisków, ani wyrzucanie pistoletu, mogę zrobić tak, że moje odciski i pistolet oskarżą jego – żywego czy martwego. Wiktora. Jeśli zrobię to prawą ręką i w prawą skroń uznają to za morderstwo upozorowane na samobójstwo. I nie muszę się przejmować odciskami. To zabójca wcisnął mi omyłkowo broń w prawą rękę.

Chyba już wszystko przewidziałem. Jeśli nawet ja go nie zabiję – zabije go za mnie sąd. Nawet gdyby ogłoszono moratorium na karę śmierci – będzie miał wypadek w więzieniu. Myślą, że jak rozwiązali Służbę to ją zlikwidowali. Oni ją uczynili niewidzialną.

Oczywiście są to pomysły na tak zwany wszelki wypadek. Gdyby świat wyłamał się z zawiasów.

Refleksje po

Parę dni temu odbyła się gala, której byłem głównym bohaterem. Na koniec stulecia i tysiąclecia. Sam im to podpowiedziałem – wiedziałem, że nie odmówią. Jak za pierwszym i jak za drugim razem, bo była to już trzecia taka uroczystość w moim życiu. Nie mówiono „gala pożegnalna”, ani „ostatnia” – choć słowa te unosiły się w powietrzu jak przekleństwo. Były momenty wzruszające, nie brakło też momentów budzących dziwny, metafizyczny dreszcz: na sali zjawiał się zamaskowany człowiek, który wskazując ręką w moją stronę wykrzyczał kilkakrotnie *Biada!* Dla takich zdarzeń trudno znaleźć precedensy, chyba że sięgnie się w odległą przeszłość, gdy do słów *Biada* głos tajemniczy dołączał ostrzeżenie przed Idami Marcowymi i przed najbliższym przyjacielem, niemal synem.

Wspominając tę galę muszę przyznać się do pewnego kłamstwa. Kłamstwa milczenia. Laudatorzy, którzy wychwalając mój dorobek mówili o zwieńczeniu pracy twórczej, tak jak się mówi o przywaleniu jej wieńcem żałobnym, nie wiedzieli, jak bardzo się mylą. Owszem – gala ostatnia, owszem – zwieńczenie pracy literackiej, ale przecież nie kres pracy twórczej! Oni mówili o tym, co zostało napisane, a dokładniej mówiąc ukradzione przez pisarza Henryka Langa z cudzych dzieł, z wymuszonych zeznań i dobrowolnych donosów. Ale to wszystko odbywało się niejako na powierzchni, w świecie literackiej nadbudowy i nie na tym polegał błąd moich

laudatorów. Błąd ich polegał na tym, że nie znali mojej prawdziwej twórczości – ukrytej pod powierzchnią wydarzeń twórczości generała Stanisława Majchrzaka. Nie wiedzieli, że największe moje dzieła dopiero zostały rozpoczęte, że niektóre piszą się i dopiszą same – nawet gdy mnie już nie będzie.

Koniec literatury

Koniec literatury! *Twórczość prawdziwie artystyczna wymaga prawdziwego tworzywa. Przenosi się z nadbudowy w bazę, nadbudowa to zaledwie poligon, prawdziwe dramaty rozegrają się w bazie!*

To tylko początek manifestu. Lecz czy nowej twórczości potrzebne są manifesty? Zwłaszcza kiedy ta twórczość zaczyna się i gaśnie jednocześnie...

Qualis artifex pereo. Bez względu na to, czy śmierć zostanie odczytana jako zabójstwo czy jako samobójstwo – prawdziwym zwycięzcą będzie artysta.

W pierwszym wypadku powstanie opowieść o męczenniku, w drugim nawet o Bogu. Samotnym – lecz na tyle nieśmiertelnym, na tyle potężnym, że nikt go nie mógł zabić.

Musiał uczynić to sam.

Nowa przypowieść o Hiobie, dramat o Szawle przemienionym w Pawła, jak i nowa legenda o miłości młodziutkiej Julii do Romea nie otrzymają Nobla, może nawet nie zostaną dostrzeżone – ale to ja wcieliłem życie w te utwory. Szekspir czy Paweł to byli jałowi marzyciele – ja sprawilem, że napisana krew pociekła z ran i poplamiła ludzi. Teraz muszę dokończyć opowieść o uczonym

sklejającym potwory z kawałków ciał kradzionych na cmentarzu i opowieść o rosyjskiej ruletce w roli oszukiwanej Opatrzności. By zdążyć – łączę je w jedno – może zdążę.

Na marginesie tych poważnych prac – jak Bóg dla radosnego wytchnienia – stworzyłem komedie o Mikołaju Bakłażanie pocie ludowym i o przygodach kompozytora Melluda. Nie tylko zabawne, ale także prawdziwe, to był żywy śmiech! I włączyłem się też, ale bardzo dyskretnie, w działania plenerowe typu światło i dźwięk. Tylko co dalej?

Był u nas taki reżyser, który wchodził na scenę z aktorami, był drugi, który grywał epizody we własnych filmach, lecz to wszystko działo się w nadbudowie, w świecie mgły. Gdy zniknęli – ich sztuka zniknęła razem z nimi. Bóg wcielony – jak twórca wcielony w dzieło – żyje i umiera razem z nim. Czy naprawdę nie można iść dalej pomimo śmierci?

W testamencie zostawiam wam jeszcze jeden wynalazek. Dzieła, które nie tylko żyją razem z twórcą, lecz także po nim, dzieła pełne zagadek, które trzeba rozwiązać, i przygód, z których trzeba się wywikłać, sztuki pełne pułapek, min i bomb zegarowych, świece zapalające się od świec. Zmieniłem kierunek z dzieł opisujących przeszłość na dzieła skierowane ku przyszłości – to znaczy żywe, to znaczy żywiące się życiem.

By nie być gołosłownym – dwa przykłady ocalone w notesie.

Myślicie, że Białowąs już odszedł, że nie będzie czytał wierszy i opowiadał kawałów o pisarzu Szczypiorskim, którego nazwisko zawsze przekręcał? Ależ będzie o nim opowiadał, tylko historie znacznie poważniejsze, a tym samym coraz śmieszniejsze. Będzie przywoływał ze świętym oburzeniem wypisy z teczeki personalnej TW „Mirka”, z mlaskaniem zacytuje jego donosy a potem opowie o wyprawie do Anglii, o serdecznym spotkaniu z ojcem – starym,

przedwojennym socjalistą. A potem znowu zacytuje donos, jaki współpracownik „Mirek” złożył Służbie Bezpieczeństwa na temat ojca i innych emigrantów. A kiedy już będziecie przekonani, że to pointa, że dalej tematu nie da się ciągnąć – upiór wyciągnie donosy, jakie na temat pisarza Szczypiórkowskiego pisał własny syn. Piękna saga, może materiał na serial.

Ars longa, vita brevis.

Dla umysłów bardziej subtelnych – samoodnawiająca się komedia pogłębiona psychologicznie i socjologicznie. Subtelności, półcienie, nic strasznego. Odpali się sama – w momencie, gdy warszawskie ciotki rewolucji rozpoczną starania o budowę monumentu Jacka Kuronia. Już będzie blisko sukcesu, pozostaną tylko szczegóły, czy przedstawić go z termosem, czy bez, tudzież w jakiej pozycji – gdy nagle któryś z wychowanków wystąpi z łzawą opowieścią, jak to w „walterowskich” drużynach Kuroń ich uczył komunizmu, to znaczy miłości do ZSRR, pogardy dla faszystowskiej Polski i nienawiści do band „Ognia” tudzież innych żołnierzy wyklętych. A towarzysz zetempowskiej młodości wspomni, jak chodził w czasach komunizmu z Kuroniem do kościoła, jak się zręcznie kryli za filarem... by spisywać harcerzy chodzących na mszę...

Głos zabiorą też towarzysze z czasów opozycji, wspominając, jak Kuroń bohatersko domagał się „finlandyzacji” – bohatersko i głośno, bo szło o to, żeby zagłuszyć słowa niedobitków z AK majających o niepodległości. Tej akcji nikt nie przeprowadziłby lepiej, bardziej przekonująco niż nasz Jacuś. Tym lepiej – że nie wiedział komu ta akcja jest naprawdę potrzebna. A może wiedział? Są przecież zapisy rozmów, nie donosów broń Boże, rozmów serdecznych, rozmów pełnych troski o Polskę, rozmów z oficerami SB, w których Kuroń ostrzegał przed niekonstruktywną opozycją a informował o tych drugich, wartych dyskretnego poparcia. Punktem kulminacyjnym może być scena z Magdalenki pod tytułem

„Kochajmy się!” Przy stole komunii trzech pokoleń, Kiszczak, Kuroń i Michnik – znowu rodzina razem. Jak się mocniej uścisną, przytulą z pijacką serdecznością – to i Polskę przy okazji zadławiają na drugie lata.

Ars longa, vita brevis

Kolejne pointy będą odpalały się same – jak fajerwerk od fajerwerku; a to wybory prezydenta Jaruzelskiego – przy dyskretnej pomocy kuroniowców, a to kolejne nieudane próby osądzenia generała Kiszczaka za ofiary stanu wojennego, a to spory o pogrzeby zdrajców w Alei Zasłużonych na Powązkach... Fajerwerki, miny i bomby z opóźnionym zapłonem. Te sztuki będą grać się – i to same – latami. Zagrzebią was w przeszłości, to znaczy w mojej przeszłości, im bardziej będziecie ją rozgrzebywać – tym bardziej będziecie wygrzebywać mojego trupa.

Tak, to będzie wieloletni serial. Subtelności, półcienie, nic strasznego i zarazem wszystko. Gdyby Rembrandt był prozaikiem – tak by pisał.

Ars longa, vita brevis.

Uwierzą albo nie

Ostatnia wizyta na dachu. Anteusz odzyskiwał siły, kiedy dotykał ziemi, ja – gwiazd? chmur? Nie chcę być zbyt patetyczny, ale zawsze chodzi o taką czy inną transcendencję. Może przez małe, może przez duże „T” – zależy od stopnia optymizmu. Dla mnie ważne jest to, że właśnie tutaj odzyskałem zdolność jasnego myślenia.

Panowania nad życiem.

Wszystko zamyka się w piękne, klasyczne okresy. *Exegi monu-*

mentum aere perennius. Nawet śmierć tego nie przekreśli. Ciekawe dlaczego coraz częściej wygłaszam różne frazesy w martwym języku. Czyżbym się przyzwyczajał?

Wariant fizyczny

Jeśli uwierzą, że to zamach, uwierzą, że byłem współpracownikiem opozycji,

więc uwierzą, że to zemsta zdradzonych służb, może nawet radzieckich. Zapowiadana trzykrotnym okrzykiem *biada*. Ta historia zacznie żyć własnym życiem, pojawią się publikacje, może filmy. Nowy Konrad Wallenrod, nowy Konrad Wallen, nowy Pułkownik Kukliński, nowy ja! Generał Majchrzak zapoznany bohater, drugi Traugutt. Jak dobrze pójdzie, zepchnę z pomnika Kuklińskiego. Świeży trup jest zawsze silniejszy. *Mundus vult decipi*.

Wariant metafizyczny

Jeśli uznają, że to samobójstwo, uwierzą, że dotychczasowe próby zabicia mojej osoby nie udały się, bo udać się nie mogły. Że były niemożliwe, że musiałem wyręczyć ludzi i sam musiałem z sobą skończyć. Może nie całkiem uznają mnie za Boga, lecz za zwykłego człowieka też przestaną uważać. Oczyma wyobraźni już widzę naukowe publikacje, czytam wypowiedzi psychiatrów i teologów, może nie jest czas na zakładanie sekt, ale czas na naukowe stowarzyszenia jest dobry.

I liryczny

Byle komuś nie wpadło do głowy, by przypisać mi samobójstwo z miłości. Byłby to błąd *post hoc ergo propter hoc*. Chociaż... Taka opowieść także byłaby nieśmiertelnym dziełem, nieco innym niż Romeo i Julia, ale przecież prawdziwszym. Ich miłość tylko mignęła w życiu, zbyt mocno – więc je zgasła. Ta – towarzyszyła ży-

ciu jak światło, tam gdzie najbardziej potrzebne, bo w mroku. Ich miłość była niedojrzała, w gruncie rzeczy uboga jak oni sami, ta – dojrzała latami, wzbogacała się o ból i radość, o zdrady i wybaczenia, przeżyła wszystkie pory roku: wiosnę, lato, jesień, zimą też przetrwała.

Co będzie po niej?

Ile jeszcze zakończeń można wymyślić?

Kilka dramatów w jednym. Jak pasje w Oberammergau, może mniej patetyczne, ale za to bogatsze, przyciągające tym, że zakończenie jest zagadką. Tym w Oberammergau mógłbym także doradzić, żeby raz uwolniono Jezusa zamiast Barabasa, a drugi – żeby zmartwychwstał łotr z lewej strony zamiast Jezusa. Ale na to się nie odważą. A z widowiskiem o mnie będą mogli robić co zechcą – na scenie, w telewizji, w wyobraźni. Przez całe lata! Jednego wieczora z jednym, drugiego z drugim zakończeniem.

Ta opowieść może mieć kilka zakończeń. Ale:

...ta opowieść nie ma złego zakończenia!

...ta opowieść nie ma złego zakończenia!

Odchodzi Lang, głos zabiera generał Majchrzak

Zrobiłem korektę Aneksu, tej wiedzy nie było w sejfie, ona już kształtuje rzeczywistość, zmienia bazę. To partytura moich żywych dzieł.

Zaczyna się tragikomedia o Janie. Jego żona otrzymuje Aneks do moich utworów – to znaczy do swojego życia. Synowie Jana także poznają tę historię. I oni będą tworzyć jej ciąg dalszy.

Zawsze sądziłem, że Biblię trzeba poprawić, tam jakoś sprawiedliwość się rozłazi. Kain zabił, lecz nie został zabity. Jeśli wczytać

się uważnie w tekst, to chyba nie było komu. Było za mało ludzkości. Adam i Ewa mieli Kaina i Abła. Kain zabił Abła. Pan wygnał Kaina w jakąś pustkę i jeszcze naznaczył piętnem. A co Kain? – Klóci się z Panem:

Skoro mnie teraz wypędzasz z tej roli i mam się ukrywać przed Tobą, i być tułaczem, i zbiegiem na ziemi, każdy, kto mnie spotka, będzie mógł mnie zabić.

Gadanie! Kain nikogo nie spotka, bo nikogo tam więcej nie ma. Rodzice – Adam i Ewa zostają w chałupie, brat Abel już nie żyje, brat Set urodzi się później. Pan daleko. Kain będzie żałośnie sam, ale żywy. I nikt go nie ukaże, nawet Pan o nim zapomni. A przecież wydał swego brata na śmierć.

Tę historię trzeba naprawić.

Konsultant dostał już ode mnie polecenie, z uśmiechem wypisze parę recept, może z biurka wyciągnie tabletki. Wy tłumaczy Helenie jak działają. Nasenne, przeciwbólowe, otepiające. Ona ich nie potrzebuje – przynajmniej dla siebie. Ale będzie je miała w ręku, gdy wpadnie we wściekłość, gdy będzie chciała zapłacić mężowi za śmierć Adama, za ukradzioną miłość.

Trwa ciąg dalszy Romea i Julii, a właściwie to historii Śpiewaka. Gdy zginęli tragiczną śmiercią nikt nie sądził, że ta opowieść jeszcze nie została dokończona, że ma ciąg dalszy – takie „Dwadzieścia lat później”.

Teraz bohaterem opowieści został brat Zofii i Oli – nałogowy ćpun „Tybalt”. Przy okazji wyjaśniła się historia tej trójki. Paradoksalnie zawdzięczali swe ocalenie Oskarowi Schindlerowi, ich rodzice – niestety nie. Owszem, byli nawet na liście pracowników niezbędnych dla Rzeszy, ale potem i tak zginęli. Mówiono, że nie załatwili sprawy jak potrzeba, że mieli gdzieś jakieś brylanty, lecz je ukryli dla dzieci zamiast dać Schindlerowi. Zbrodniczą naiw-

nością wykazał się ojciec rodziny, nie wiedział, że ktoś go może przelicytować. Matka widać miała mniej wiary – pozostawiła dzieci u zaprzyjaźnionych Polaków, akowców i ocalały, a brylanty razem z nimi. W styczniu 1945 Armia Czerwona wyzwoliła Kraków. Co prawda NKWD zabiło potem oboje opiekunów – ale to inna historia.

Dziewczynkami zajmował się „Tybalt”, był ich starszym bratem, ojcem, nawet matką. Więc „Tybalt” także dostanie egzemplarz Aneksu. Z podkreśleniami. Do jego przyćmionego mózgu i krwawiącej wciąż duszy, dotrze, że to poeta Śpiewak był wszystkiemu winien. Bóg zabił matkę i ojca, ale ocalił dzieci. Śpiewak wtrącił się w plany Boga. Doprowadził do emigracji „Oli” i do śmierci Zofii. Bo przecież nie pijany Romeo wyznał swej Julii, że jest donosicielem. Nie przyznał tego przed sobą, nie wyznał Zofii. To Śpiewak dotarł do tej patrzącej na świat dziecinnymi oczyma poetki, to on powiedział Zofii:

– Twój mąż, ten rzekomy Romeo jest zwykłym donosicielem.

To Julia zażądała wyjaśnień. Romeo kręcił, szedł w zaparte, niczego nie podpisywał, owszem spotkałem się w restauracji, owszem gadaliśmy o teatrze, ale nie pisałem donosów, nie brałem od nich pieniędzy. Na koniec stanął przed nią i zaczął wyć, skuczeć jak jakie zwierzę. Wściekła i zrozpaczona Julia próbowała mu zatkać twarz, doszło do poszturchiwań, pchnęła go w stronę zlewu...

Ale nie byłoby tej sceny, gdyby nie Śpiewak. Poeta agent. Miał gadać tylko z tym aktorem, jego miał podejść, zawerbować. Może był wściekły, że jemu nie wyszło z Olą i chciał całej rodzinie popsuć życie, a może dla kariery chciał się w resorcie popisać nienawiścią do Żydów. Ta druga, antysemicka wersja będzie lepsza do upowszechnienia wśród Żydów, ta pierwsza – rozwścieczy brata dziewcząt.

Zaczęła się część ostatnia, równie ekscytująca jak poprzednie.

Ciekawe, kto prędzej dopadnie Śpiewaka: czy ci Żydzi z Nekamy, mordercy morderców, czy ten krakowski ćpun. Szkoda, że tego nie zobaczą. Bo że ktoś go wykończy – to pewne. On jeszcze o tym nie wie, lecz już ścigają go dwie boginie zemsty. Którakolwiek go doścignie – zabije. Dramat na miarę Szekspira, ale lepszy, z otwartym zakończeniem. Można taki grać wielokrotnie, bo każdego wieczora może inaczej się kończyć – trzymając ludzi i bogów w napięciu.

Do historii Hellera niewiele da się dodać. Jego twórczość, mit Fausta i Hioba to tylko próby ucieczki przed pułapką jaką był los Judasza. Bo Heller był tylko Judaszem, żadnym tam próbowanym przez Boga Hiobem, żadnym podpisującym cyrograf z Szatanem Faustusem.

Jako krytyk opisywałem jego życie, ale przecież tworzyłem je też jako artysta. I jako artysta je dokończę. Dzięki mojemu Aneksovi rozpoczęły wędrowkę po kraju jego donosy – na rodzinę, na przyjaciół i kolegów literatów. Na pewno któryś, zwłaszcza z tych słabszych i zawistnych poetów zadba o to, by stały się powszechnie znane. Heller nie był jednym z „trzech wieszczów”. To Judasz czasów realnego socjalizmu.

Aneks oddaje jego los w jego ręce – pod warunkiem, by go szybko skończył.

Ciekawe czy się powiesi jak Judasz. Jako Faust nie mógł zginąć, jako Hiob mógł mieć nawet nadzieję, ale jego dogonił los Judasza.

On jeden – wiem to na pewno – będzie jako Judasz uczciwy.

I wypłyną z niego nieczystości!

Do notatnika

Czy to możliwe, że to ja, to ja ulepiłem Wiktora. Nawet jeśli nie ja – to jest pierwszym człowiekiem, którego nie bóg stworzył. Dosłownie i w przenośni. No, pierwszym od czasów szalonego lekarza z Frankensteinu. W pewnym sensie stworzyłem ze starej ludzkiej materii zupełnie nowe człowiecze monstra – żywe kukły, nowych niewolników. Bóg też nie tworzył z niczego, tylko z gliny, ja wprowadzam metafizyczny recykling. Była wędrówka dusz, może być też wędrówka ciał.

Ex nihilo nihil fit. Nic z niczego. Stary, smutny Lukrecjusz miał rację.

Czyżby moje tworzywo było gorsze? Nie, nie i jeszcze raz nie!

Ostatnim monstrem zrobionym według recept doktora Frankensteinu był potwór z moskiewskiego mauzoleum. Nie jest pewne czy żyje – wciąż kryje się ze swym życiem i swymi zbrodniami.

Ale przecież w kazamatach czeki i w piwnicach naszego UB, zaczęto tworzyć potwory nowej generacji, jako tworzywa używając żywych ciał najszlachetniejszych ludzi – partyzantów, spiskowców, ludzi świętych.

Nowi ludzie zaczęli chodzić po ulicach naszych miast, zajmować nasze miejsca w domach, przy naszych kobietach i dzieciach, wydawać rozkazy w urzędach. To jak inwazja ludzi z innych planet albo jak inwazja żywych trupów.

Różnią się tworzywem. Różnych mieli wykonawców.

Najlepszym twórcą był Prometeusz: ulepił człowieka z gliny pomieszaney ze łzami. Lecz duszę dał mu z ognia wykradzionego bogom.

Monstrum Frankensteinu nie miało duszy.

Nasze twory?

Podobnie jak trupie ciała istnieją trupie dusze, trupie myśli wydzielające trupi jad.

Martwe filozofie widzące wszędzie tylko martwą materię.

Martwe religie.

Martwe wiersze.

Z tego są wasze dusze.

Banalny i bardzo zabójczy testament generała: prawda

Aneks ujrzał wreszcie światło dzienne. Przedostatni ruch należy do mnie. Powinienem napisać: słodki smak zwycięstwa albo nawet gorzki smak zwycięstwa. Nie, to raczej gówno w gębie. W każdym razie jakieś zgniłe kawałki.

Ostatniej części nie muszę już pisać. Ogólnie porządkuję fakty i daty, podaję sygnatury archiwów i adresy internetowe – to co miałem zawsze przy sobie w notesie, teraz starczy zamiast grubych książek. Ostatni ruch także należy do mnie. Lekkie wprowadzenie od autora, treść będzie dostatecznie ciężka. Nazwałem to aneks do aneksu, potem odsyłacze do aneksu, ale nie są to odsyłacze do aneksu, to są odsyłacze z aneksu do map rzeczywistej historii, do samej rzeczywistości. Zawierają to, o czym dowiedziałem się jako tajny policjant. Podaję nazwiska zdrajców, którzy zasiedli tak wysoko, że boicie się posądzić ich o zdradę, a niektórych – musielibyście wykopać. Nowotkę, który kazał pepeerowcom donosić do gestapo na AK, Alstera, który zorganizował zabójstwo małego Piaseckiego...

Polacy będą musieli pogodzić się z myślą, że nie byli narodem odważniejszym i szlachetniejszym od innych, że – co gorsza – nie dorównywali swym dawno zmarłym przodkom.

Te odsyłacze do historii to najtrudniejsza, czasami sentymentalna, czasami groteskowa część narodowej dramaturgii. Dowody, donosy, numery akt, pokwitowania wypłat – w złotówkach a czasem w paczkach delikatesowych – tak czy inaczej w srebrnikach. Lecz jeszcze długi czas pycha będzie wzbraniać Polakom uwierzyć, że legendarny przywódca strajków Lech Wałęsa, to nasz agent „Bolek”; że generał Wojciech Jaruzelski, w którym chcieliby widzieć w najgorszym razie Wallenroda, to agent „Wolski”, wystraszony sługus Kremla; że tajnym współpracownikiem służb był ksiądz Stanisław Wielgus, ksywa „Grey”, który został arcybiskupem, a mógł zostać i prymasem Polski. Interrexem. Nie będą chcieli w to wierzyć, bo zawali im się cały świat zbudowany na samooszustwie. Bo kimże okażą się oni, naród wybrany, który tak dawał się oszukiwać i gwałcić, który wołał trzymać się kłamstw – jak tonący brzytwy. *Mundus vult decipi*.

Ale myślę, że rację miał Hölderlin, który mówił, że prawda okazuje się dobrem, bo ostatecznie pozwala zniszczyć kłamstwo i świat na kłamstwach budowany. Nie pytajcie, w którym dziele to powiedział. Mam na myśli naszego agenta Hölderlina, a mówił to w jednym z donosów.

Prawda w końcu zwycięży. Przekroczy granice jednej kultury i jednego narodu, dotrze na inne kontynenty, do Australii i Ameryki.

Primo

Dramat przeżyją ci wszyscy, którzy za młodu wierzyli, iż Jugosławia jest słowiańską Szwajcarią Europy a Tito (symbolicznie: pół Chorwat, pół Słoweniec) – zbuntowanym przeciwko Stalinowi obrońcą prawdziwego socjalizmu, tego o ludzkim obliczu.

Przed wszystkim: ani Słoweniec, ani Chorwat, mieszane pochodzenie dobrali mu radzieccy propagandziści, nie jest pewne nawet jak się zwał. Jako poddany austriacki wziął udział w I wojnie, najbardziej bohaterskie, co zrobił, to dał się wziąć do rosyjskiej niewoli. Teraz sprawy się nieco gmatwają. Wedle jednych badaczy dołączył do zbuntowanych bolszewików, potem przeszedł odpowiednie szkolenie i wrócił do Jugosławii jako agent, wedle innych – został ranny na froncie i umarł – zachował się nawet akt śmierci. Do niewoli trafił jakiś jego ziomek, którego zastrzelono po wyciągnięciu odpowiedniej do kamuflażu legendy. Do Jugosławii wrócił zamiast Tity – radziecki agent. „Matrioszka”. Nie pół Słoweniec, pół Chorwat tylko Rosjanin, Czech, a może nawet Polak. Tak, o Polaku pełniącym obowiązki Jugosłowianina też mówiono. Językoznawcy zwracali uwagę na jego dziwny akcent, lepiej mówił po rosyjsku czy angielsku niż po serbsku, widać ten język przyswoił w dalszej kolejności. Działając w ruchu komunistycznym postawił na absolutną lojalność partii i Moskwie, co przejawiało się tym, że był jednym z najgorliwszych donosicieli. Donosił przede wszystkim na partyjnych kolegów, ale także na żonę i kochankę. Żona trafiła do obozu, kochankę po prostu zabito. By podbudować legendę, Tito odwiedził nawet raz swoją „rodzinną” wioskę, ale matka już od lat nie żyła, ojciec – nie trzeźwiał. Pokręcił się po okolicy, ale z rodzeństwem się nie skontaktował. Następnie skierowano go do działalności związkowej, działał w mieście – na wieś już nie wrócił. W czasie II wojny światowej – kazano mu organizować komunistyczną partyzantkę. Lecz nie miał walczyć z Niemcami, a z chorwackimi ustaszami i z wiernymi królowi czetnikami generała Draży Michajlovicia. Tak! W okresie współpracy Stalina z Hitlerem Tito zdradził swój kraj, działał najpierw na rzecz Niemców, potem – na rzecz Rosjan. Jego oddziały podobnie jak polska Armia Ludowa czyściły miejsce pod komunizm. W decydującym

momencie Stalin przysłał mu komunistyczną pomoc liczącą 200 tysięcy żołnierzy. Jugosławia została wyzwolona, a Tito – mianowany przywódcą partii i państwa. A parę lat później następuje zaskakujący zwrot akcji: Tito buntuje się przeciw Sowietom, nawiązuje stosunki z Ameryką, otrzymuje pomoc gospodarczą i nie tylko. Uszczęśliwiona buntem Tity Ameryka umożliwia mu dostęp do nowoczesnych technologii, o jakiej radzieccy mogą tylko pomarzyć, czasem podsyła trochę sprzętu wojskowego. Może nie tego najnowocześniejszego, ale w każdym razie lepszego niż radziecki. Jugosławia staje się najnowocześniejszym państwem w regionie, ZSRR ją potępia – ale nie atakuje.

Historia pozornie prosta i optymistyczna, może trochę smutna dla Rosjan. Pod tą historią kryje się jednak druga, już wcale dla Rosjan nie smutna. Czas powiedzieć, że nie było żadnego buntu Tity, żadnego rozłamu w obozie. Związek Radziecki przegrywał wyścig ekonomiczny z Ameryką, chodziło o to, by pozyskać dostęp do nowych technologii. Do obłożonego embargiem Kraju Rad nowoczesnego sprzętu nie wysyłano – do Jugosławii wręcz z poczuciem misji. A Józef Broz-Tito był zdyscyplinowanym agentem i wykonywał zadania, zarówno jako partyzant, jak i jako przywódca państwa. Pozyskane technologie przekazywał radzieckim towarzyszom. Również pomocą gospodarczą musiał się z nimi dzielić. Dlatego żył i rządził spokojnie Jugosławią – aż do śmierci w 1980 roku.

Secundo

Dramat o wymiarze regionalnym przeżyją poznaniacy, zwłaszcza ich literaccy elitarze. Zaszczuli Bąka. Ale niech się nie pocieszają, że „sam wybrał”, że popełnił samobójstwo. Wspominałem o do-

świadczeniach radzieckich z truciznami. Po etapie prób z rzekomo niewykrywalnymi (w rzeczywistości wszystkie okazały się wykrywalne) zaczęli doświadczenia z truciznami imitującymi śmierć naturalną. Najlepsze rokowania dawał kwas pruski i jego mutacje. U siebie załatwili Gorkiego, a podobno i Dzierżyńskiego, u nas – Bąka. Kwas pruski, naukowo cyjanowodorowy, jest zupełnie bezbarwną cieczą, ma zapach gorzkich migdałów, lecz niektórzy go nie wyczuwają, poza tym, jeśli zapach przytłumić innymi zapachami – połknie nim zdąży zauważyć. Podczas I wojny się nie sprawdził, potem jednak Niemcy używali go z powodzeniem do dera-tyzacji i w komorach jako cyklon B, radzieccy nie byli gorsi, tyle że na skalę kameralną – do wykańczania przeciwników politycznych. Wszystkie ataki serca – Dzierżyńskiego, Gorkiego, Słuckiego – odbyły się na rozkaz Stalina. Od pewnego momentu głównym trucicielem – szefem specjalnego laboratorium na Kremlu był Jagoda. Był on drugim zastępcą Dzierżyńskiego, czyli trzecim w kolejce do władzy nad tajnym państwem NKWD. Dzięki znajomości chemii załatwił najpierw Dzierżyńskiego, potem Mienżyńskiego i zajął jego miejsce. Ale wiedział za dużo... Po zamknięciu lekarzy kremlofskich również rzeczy potworne i sensacyjne zaczęły wypływać na światło dzienne – jak się zdaje aresztowano jednak nie tych lekarzy albo nie wszystkich. Opowieść, że Beria z Chruszczowem mieli wykończyć Wodza Ludzkości poduszkami jest tyleż dramatyczna, co głupia. Również po śmierci Stalina kremlofskie laboratoria nie przestały działać – przeciwnie, rozwinęły produkcję na skalę przemysłową i międzynarodową. Wykonywanie wyroków stanowi zawsze eksperyment naukowy, posuwa do przodu wiedzę o psychologii, anatomii etc. Egzekucje oficerów w latach 30. dostarczały wiedzę pokazną, lecz szybko zbanalizowaną, dopiero sięgnięcie po środki dyskretne, od cyjanku po radioaktywny polon, stanowiło istotny krok naprzód.

„Sprawa Bąka” to skromny wkład naszych służb we wspólną sprawę. Myślę, że truciznę podano poecie w alkoholu, dlatego przez pewien czas fundowano mu do tatara lampki i szczeniaczki na koszt firmy. Ale na wszelki wypadek również woda była zatruta. Weryfikacja nagłych zgonów na serce to zadanie dla całych pokoleń badaczy naszego życia – nie tylko literackiego. Nie znaczy to, że wszędzie należy węszyć za subtelnym zapachem cyjanku, socjalistyczna chemia wyprzedzała wówczas cały świat. Na pewno jednak warto się przyjrzeć różnym „nagłym i niespodziewanym” a wygodnym dla władz przypadkom śmierci. Także i w III RP.

Tertio

Dramat o wymiarze globalnym przeżyją też ci wszyscy, którzy zainwestowali pieniądze i lata życia w Schindlerbiznes i w inne filie firmy przedsiębiorstwa holocaust. Tyle lat pracowali nad budowaniem opowieści o dobrym Niemcu, który ocalał od śmierci 1000 Żydów! W papierach, które opublikuję wyczytają, że większość Żydów, którzy przeszli przez jego *Deutsche Emaillewarenfabrik* – zginęła. Nie tysiąc a kilkanaście tysięcy. W Mauthausen i innych obozach, a wcześniej – w krakowskim getcie, gdzie zabijali ich nie tylko Niemcy, także i inni Żydzi.

To będzie pierwszy szok, lecz nie największy.

Z dokumentów wynika, że Schindler najpierw działał w agencjonalnej partii Niemców Sudeckich Henleina, potem wstąpił do NSDAP, został agentem Abwehry. Czesi skazali go na karę śmierci – nie zdążyli wykonać wyroku. W 1938 ocalili go Niemcy, oskarżyciele poznikali, a Schindler jako męczennik, jako święty nazizmu – otrzymał odszkodowanie. Jako agent Abwehry Schin-

dler jeździł na Śląsk i do Krakowa – badał przyszły obszar agresji. Był jednym z tych, którzy przygotowywali tak zwaną prowokację gliwicką – jeżeli nie mordował, to wiedział o zamordowanych, o trupach, które przebrano w polskie mundury i podrzucono w gmachu radiostacji – na dowód, że to Polacy napadając na Niemcy, że to Polacy wywołują światową wojnę. Podczas okupacji „aryzował” żydowskie mienie, otworzył fabrykę zbrojeniową, w której zatrudniał uwięzionych Żydów. Warunki mieli znośne – ich praca była bezpośrednio przeliczalna na trupy czerwonoarmistów i Polaków Berlinga.

Gdy ze wschodu nasuwał się front – fabryki zbrojeniowe ewakuowano na zachód, zakłady Schindlera znalazły się w Brünnlitz. Ewakuowano też „niezbędnych fachowców”, których listę sporządził Schindler. Oprócz paru fachowców znaleźli się na niej prominenci, którzy opłacili się Schindlerowi, OD-mani, czyli policja, prócz nich Żydzi – obozowi kapo i zwykli donosiciele. W trakcie ewakuacji zdarzały się dantejskie sceny, w ostatniej chwili skreślano z listy nazwiska jednych ludzi i wpisywano innych, którzy dali więcej pieniędzy, najlepiej zaś – brylantów. I w Krakowie, i w Brünnlitz Schindler wiernie pracował na potrzeby niemieckiej armii. Żydzi też pracowali na potrzeby niemieckiej armii, to dawało szansę przeżycia. Warunki były jednak ciężkie, praca bez przerwy – na trzy zmiany, śmiertelność stosunkowo wysoka. Niezbyt wykwalifikowanym robotnikom często zdarzały się wypadki – obcięte ręce i palce wrzucano do jakichś puszek i kubeków, nikt nie bawił się w operacje. Cóż, życie Żydów było tanie.

Po wojnie Oskar Schindler, rzekomy obrońca Żydów nie zeznał w procesach przeciwko nazistom, tylko zwiął razem z nimi do Argentyny. Chwila namysłu wystarczała, by zrozumieć, że przez Schindlera więcej Żydów zginęło niż ocalało. Zbrodniarza poszukiwały sądy Czechosłowacji i Polski, potem sprawy ucichły a jeszcze

później powstało zapotrzebowanie na Uczciwego Niemca. Kaci dogadali się z ofiarami i wspólnie zaczęli robić interesy.

Quarto

Przywiozłem z Moskwy skrypt – oczywiście nie cały, ale... Gdy po szkoleniu odbierano nam skrypty (były ponumerowane, do zwrotu – dyskretnie wyrwałem kilka kartek. Moją uwagę zwróciło nazwisko Szelepina a w innym miejscu akapit o Janie Pawle II. To świadczyło o randze sprawy. Dzięki temu po latach wiem, dlaczego zakazano nam włączyć w tajemnice teologii wyzwolenia. Dlaczego w PRL pojawiało się tyle książeczek na jej temat. To inna tajemnica od tajemnic dotyczących dogmatów czy innych prawd wiary. Ta tajemnica dotyczy działalności operacyjnej służb radzieckich. Na Kremlu wygłaszano frazesy o Krajach Trzeciego Świata, o sukcesach rewolucji na Kubie i w innych państewkach latynoskich. Lecz na Łubiance nie powtarzano frazesów. Marksizm nie wyszedł poza Kubę, nie dlatego, że jego ekspansję zablokowali imperialiści z USA. Marksizm przegrał z katolicyzmem wspieranym... Nigdy byście nie zgadli! Wtedy to w KGB wymyślono strategię, która miała przechwycić ewangelie i uczynić z nich nową broń niszczącą to co najwyższe, co łączyło ludzi od góry – nadzieję. Wymyślono sobotwora Chrystusa – miał chodzić z karabinem i uczyć nienawiści. Miał uczyć, że prawdy ewangelii lepiej wyraża język marksizmu-leninizmu – a gdy tłumy nędzarzy uwierzą – przyślemy jako wyzwoliciele komunistów z Kuby i doradców z ZSRR. „Teologię wyzwolenia” zatwierdził sam szef KGB Aleksander Szelepin. Dzięki dyskretnym dotacjom zaczęła działać Chrześcijańska Konferencja Pokojowa (WPC) w Pradze i mogła wydawać na początek „Nouvel-

les Perspectives” i „Courrier de la Paix” – za pieniądze KGB. Drukowali w nich prawie sami szlachetni, pełni troski o bliźnich uczeni i równie szlachetni publicyści. Nie brakło też szlachetnych poetów.

W tajnych drukarniach odbijano tysiące broszur, na obozach komunistycznych uczono agentów kazań w nowomowie. Obok biskupów pojawiali się jak spod ziemi doradcy o płonących oczach i wpisywali w ich pełne troski kazania – słowa wzywające do rewolucji. Po wsiach i małych miasteczkach zaczynano mordować księży – podobnie jak to działo się wcześniej w Hiszpanii, a jeszcze wcześniej w rewolucyjnej Rosji.

Jedną z takich broszur miałem w sejfie. Nie wiem, czy jej pobożny autor wiedział w czyim naprawdę działa interesie. Mówił o nędzy i o niesprawiedliwości i mieszał słowa ewangelii ze słowami Manifestu Komunistycznego. Ale powołując się na niego – komunistyczni agenci wzywali do „obalenia kapitalizmu”, wyprowadzali ludzi na ulice, kazali strzelać. Ameryka w imię Chrystusa deptała wiarę, nadzieję i miłość. Po stronie teologii wyzwolenia opowiadali się kolejni biskupi. Konferencja Episkopatu Ameryki Łacińskiej w Medellin nie tylko jej nie potępiła, lecz wręcz zaleciła wiernym.

Jako jeden z pierwszych zorientował się w tej perfidnej grze Jan Paweł II. Udał się z pielgrzymką za Atlantyk i zaczął przywoływać do porządku ojców amerykańskiego Kościoła,

W styczniu 1979, podczas wizyty w Meksyku ostrzegł: *koncepcja Chrystusa jako polityka, rewolucjonisty, jako wywrotowca z Nazaretu, nie zgadza się z nauczaniem Kościoła.*

Biskupi nadal ujmowali się za biednymi i cierpiącymi, lecz nie łączyli wyzwolenia z nędzy i ciemnoty z rewolucją na wzór radziecki; lud Ameryki przestał wykonywać rozkazy obcych doradców. Papież odzyskał Chrystusa, oszustom został tylko karabin.

Dlatego właśnie próbowano zabić Jana Pawła II.

Quinto

Nie lepsze wiadomości mam dla ekologów, pacyfistów, podstarzałych rewolucjonistów paryskich i berlińskich, którzy w 1968 rozwalali starą Europę. Zaczęło się od rozruchów wywołanych zabiciem przez policję berlińskiego studenta Bena Ohnesorga podczas manifestacji przeciwko wizycie szacha z Persji. Potem zaczęły się rozruchy w Pradze, następnie w Paryżu. Demolowano sklepy i magazyny, podpalano samochody i domy. Nie robiliście w ten sposób miejsca dla epoki, robiliście miejsce dla potworów, które wyszły z piwnic Łubianki. A policjant Karl-Heinz Kurras, który zastrzelił głupiego studenta był od 1956 roku agentem Stasi. To Stasi finansowała potem wasze wywrotowe gazetki, podrzucała wam materiały wybuchowe i kałasze, na jej garnuszkach żyli – całkiem tłusto – wasi czołowi wywrotowcy RAF-u, Konkretu i paru innych Kampfów. Ich rękami zlikwidowaliśmy blisko 40 liderów niemieckiej władzy, gospodarki, bankowości. Do piachu poszło paru zbyt wścibskich prokuratorów i zbyt pyskatech dziennikarzy. A gdy im się powinęła noga w NRF – odpoczywali w naszym, bezpieczniackim ośrodku na Mazurach. Nawet dziś mogę wymienić nazwiska: Brigitte Mohnhaupt, Peter Boock, Rolf Wagner, Sieglinde Hoffmann. Trochę jedli, trochę trenowali razem z terrorystami z Palestyny, a przeważnie to pili i pieprzyli się wszyscy ze wszystkimi. To była już ostatnia fala Frakcji Czerwonej Armii.

Gdy te fakty zostaną odsłonięte – ci którzy żyją z kłamstw o Schindlerze i o męczennikach z Rote Armee Fraktion, ci, którzy

robią szmal na medalikach z dzieciątkiem Lenin i na książeczkach o Kapuścińskim, ci, którzy robią kokosy na filmach o patriocie Wałęsie i o kryptopatriocie Jaruzelskim, ci wreszcie, którzy głosząc teologię „Chrystusa z karabinem” zarabiają miliony na handlu i bronią, i narkotykami – ci wszyscy skoczą w finale do gardeł głosicielom prawdy, może nawet ich pokonają. Ale wtedy do walki włączają się nowe zastępy – tych, którzy zaczną zarabiać na prawdzie! Na koszulkach i gatkach z prawdą. I tych nie pokonają. Bo oparcie na prawdzie, oparcie na rzeczywistości wzmacnia tak, jak Anteusza wzmacniało oparcie się o ziemię. Byle nie dali się od niej oderwać.

Wunderbar! – to będą piękne sceny!

Prawda zbawi świat – a przy okazji pokaże jak jest piękna. Byle nie dali się od ziemi oderwać – powtarzam.

Czas zatem wrócić do dzieła, którego nie mogłem zakończyć jako Lang ani nawet jako generał służb. Do dzieła, które powstawało poza ich kompetencjami. Do dzieła, którego jestem twórcą, reżyserem i aktorem, do dzieła o Nowym Szekspirze, który tym różni się od starego, że jego dzieła nie są zmyśleniami, że żyją. Więc o Nowym Prometeuszu, Nowym Bogu.

Czas wcielić w życie akt ostatni mojego życia i utworu jednocześnie: walkę genialnego lekarza z własnym dziełem. I czas ten akt spointować.

W dzień, w słońcu mój ponury, teraz już prawie pusty dom wygląda normalnie. Od strony podwórka, które nazywam klepiskiem wyrosło drzewo. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem kiedy. Nie było – a teraz jest.

Myślę o swojej decyzji.

Jeżeli Wiktor istnieje – będzie to sprawiedliwe, nawet czyniąc zło – uczynię dobro.

Jeżeli nie istnieje – będzie to mądre, logiczne. Nie może istnieć wytwór beze mnie, to jakoś samotnie i głupio.

I to będzie ostatnie moje dzieło.

Do notatnika. Paradoks Hryniewieckiego

Jak popełnić zło, by nie zwiększać ilości zła w świecie. Żyjemy w najgorszym z możliwych światów. Trwa walka bogów. *The time is out of joint*. Jeszcze kropelka zła, a wszystko runie. Dobro jest brakiem zła.

Dzieło żywe. Nyatapola

Dzieło o otwartym zakończeniu, może nawet kilka dzieł w jednym. Chińscy poeci potrafili pisać poematy, które w tym samym zapisie przekazywały nawet pięć treści. Świątynia o pięciu piętrach. Albo lepiej o pięciu dachach, jak Nyatapola w Nepalu. Taki dramat można grać przez kilka wieczorów – za każdym razem będzie wzbu-
dzał zainteresowanie: jak tym razem się skończy? Jakie będzie jego przesłanie?

Czy wszystko rozważyłem? Wszystko wyreżyserowałem?

Tak. Powtarzam: nie ma złego zakończenia. Zło zostanie zniszczone.

Zaczynając od najmniej prawdopodobnych wariantów widowiska.

Możliwość pierwsza – jednak zostanę zabity, to monstrum może rzucić się na mnie w biurze czy w „Złotej Kaczce”. Za zabój-

stwo otrzyma karę śmierci, generałów nie zabija się bezkarnie, nie generałów z moimi koneksjami. Wariant odpajkowany.

Możliwość druga – zostanę zmuszony do samobójstwa. Potrafię uczynić to tak, że on zostanie skazany za morderstwo. Zło zostanie zniszczone. Wariant odpajkowany.

Możliwość trzecia i najbardziej prawdopodobna: zło zostanie zniszczone, zabiję, zmuszę do samobójstwa, siłą, podstępem – nieważne. To także dowód, że nikt nie może mnie zabić.

Skoro nikt mnie nie może zabić – muszę uczynić to sam. Zło zostanie zabite, drugie zło popełni samobójstwo.

I świat wróci do normy, także moralnej – jak w momencie śmierci Hryniewieckiego.

Czas na walkę z odsłoniętą twarzą – przy tej okazji sam ją poznam. Kiedy tańczyłem na tonącym Wariagu miałem maskę. Nie widziałem ani twarzy, ani maski.

Nie pójdę za tobą na północ, Wiktor.

Będziemy walczyć tutaj.

Załatwimy to po męsku – w ruletkę.

Pożegnanie z dachem świata

Koniec literatury. Kończy się wiek XX, zaczyna się trzecie tysiąclecie.

Sztuka przeniosła się z nadbudowy w bazę, rozgrywana jest żywymi aktorami – tak kiedyś władcy grali w szachy rycerzami, każąc im skakać po kamieniach dziedzica. Nie rzeźbię w glinie,

ale nie rzeźbię w bezcielesnym duchu, rzeźbię w glinie zmieszanej z duchem.

Ja, Bóg, który... No, może nie Bóg, ale powiedzmy nieśmiertelny, który wszystkich przeżył i nie może umrzeć, zamachy się nie udają, ma dosyć, świat się rozpada, ludzkie ciała i dusze gniją – musi sam się zastrzelić. Ale najpierw jeszcze coś zrobi. Odpowie na wyzwanie. Chwile słabości już poza nim. Nie wie, jak wygląda ta nadludzka siła, wola mocy, élan vital, boska siła, ale czuje ją w sobie.

Schodzę w dół.

Wychodzę z budynku.

Przez moment boję się, że za drzwiami otworzy się jeszcze jeden nieoczekiwany korytarz prowadzący jak pochylnia ku piwnicom świata. Albo z powrotem na dach.

Nie wiem, gdzie góra, gdzie dół, ziemia eksploduje mi nad głową, wszystko wiruje. I napływa powietrze cuchnące spalenizną, cuchnące ogniem i mięsem. Napływa z przeszłości.

Czarny strzęp ognia. Strzęp ognia tylko czarny. Ksiądz!

Wciąż tam jest.

Jego ręka... Nie, nie wygraża. Kreśli znak krzyża i rozpada się w ogniu.

Idę.

Opowieść dla Laryssy

Pielęgniarki w maskach z ogromnymi szklanymi oczami. Owady. Ja z gołą twarzą, w generalskim mundurze. Biegnę – jakbym biegł do swojej siostrzyczki. Z jakiejś izolatki zawył alarm, ale po chwili zamilkł. Wpadam na salę.

Laryssę raczej czułem, niż widziałem – coś musiało mi wpaść do oka, zacząłem mrugać – zdjąłem rękawiczki, by potrząsnąć twarzą – jest taki efekt teatralny uzyskiwany dzięki specjalnym lampom: zamiast ludzi w ruchu widzi się co ułamek sekundy jakby ich posągi, jakby kukły zmartwiały w dziwnych pozach: Laryssa leżąca nieruchomo, Laryssa uniesiona lekko ponad łóżkiem, prawie stoi z wyciągniętą ręką, stroboskop miga, Laryssa spada na plecy, dalej spada, jakby w większą głębię, Laryssa leży – przypomina alabastrową rzeźbę, podobne widziałem w jakichś podziemiach. Już nie mrugam, ale ona się nie rusza.

Opowiedziałem Laryssie, że ją pomszczę. Nie wiem, czy to do niej docierało, już konała, ale mówiłem. Wiedziałem, że póki mówię – ona żyje. Jakbym się modlił.

To będzie ruletka, Larysso. Wcześniej załatwię korespondencję z działem nekrologów, na wypadek gdyby mnie dopadła pokusa, żeby się cofnąć. Tu już nic nie da się cofnąć, ja też jestem zarażony nicością. A potem pójdę z nim jak zwykle do „Złotej Kaczki” – niemal jak ojciec z synem. Tam znają nas i nasze dekadenskie zabawy. Wiktor się zgodzi. Nienawidzi mnie tak samo jak ja jego. Poza tym jest przekonany, że lepiej zna zasady. Nie zasady gry, to dla naiwnych, zasady oszustwa w grze.

– To będzie ruletka, Wiktor.

– Dobrze generał, ale nie z jedną kulą, a z dwoma. Z jedną możemy strzelać do usranej śmierci.

Więc on wie, że jedna kula przeważnie zatrzymuje się na dole, a dwie są w równowadze. Tłumaczyłem mu to kiedyś właśnie w tej naszej „Złotej Kaczce”, może niezbyt dokładnie, że szanse na uczciwość zaczynają się od dwóch kul. On myśli, że wahają się jak

szale wagi, on myśli, że to będzie uczciwy pojedynek. Poruszałem wtedy rękami, jakby to były szale obok siebie, a powinny być jedna nad drugą. Bo najczęściej jedna z kul staje na samym dole, druga na samej górze, naprzeciw lufy.

– Ja się zgodzę, Wiktor. Mogą być dwie kule.

– Nie, o Boże, nie! – Laryssa jednak usłyszała.

– Tak.

Wiktor ma dalsze żądania. On nigdy nie przestaje podejrzewać.

– Ale będziemy losować generała, który pierwszy, nie?

– No dobra, możemy losować, Wiktor.

Na to jestem przygotowany, na to mogę się zgodzić. *La noblesse oblige*.

– Co wybierasz?

Będziemy rzucać monetę o to kto pierwszy. I on wygra. Strzelanie będzie uczciwe, ale by się uczciwie strzelać – trzeba najpierw oszukać. Tę tajemnicę też mi zdradził Obolenskij. Mam monetę z orłem po obu stronach. Orzeł wygrywa – orzeł strzela pierwszy. Jedna z kul jest na górze, druga na dole.

A jeśli wybierze reszkę?

Ze złem nie da się wygrać uczciwie.

Monetę z dwoma reszkami też mam.

Pochyliłem się, jakbym chciał ją jeszcze ratować metodą usta-
-usta. Ale to ona wkrztusiła we mnie oddech.

ANEKS: NEKROLOGI WARSZAWSKIE 10.10.2000

1)

9 października 2000 roku zmarł śmiercią tragiczną

GENERAŁ STANISŁAW MAJCHRZAK

CZŁOWIEK HONORU

DŁUGOLETNI WSPÓŁPRACOWNIK OPOZYCJI,

MĘCZENNIK POLSKIEJ NIEPODLEGŁOŚCI

ARTYSTA AMATOR

ZGINĄŁ OD MŚCIWEJ KULI OBCEGO AGENTA

POGRZEB ODBĘDZIE SIĘ NA CMENTARZU

POWĄZKOWSKIM W ALEI ZASŁUŻONYCH

Zarząd i towarzysze

2)

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu

Gniazdo na skałach orła, niechaj umie

Spać, gdy źrenice czerwone od gromu

I słyszać jęk szatanów w sosen szumie.

Tak żyłem.

HENRYK LANG

krytyk, pisarz, filozof – odszedł dumnie i samotnie jak żył

**Pogrzeb odbędzie się na Cmentarzu Powązkowskim w Alei
Zasłużonych**

Będzie mi Ciebie brakować

Przybrany syn Wiktor

Zamiast kwiatów prosimy ofiarować datki na Fundację.

3)

WIKTOR ZĄBKOWICKI

świetnie zapowiadający się pisarz,

człowiek Boży,

zginął, próbując ratować przyjaciela

Cześć jego pamięci

TROPY PRAWDZIWE, TROPY FAŁSZYWE...

Posłowie autora

Zacznę od historyjki wymyślonej, acz prawdopodobnej. Czytałem kiedyś wspomnienia szefa grupy paleontologów, którzy pracowali w górach Peru. W jednej z jaskiń trafili na stanowisko pełne kości i skorup – ale ani jednego kompletnego szkieletu, ani jednego nienaruszonego dzbana, który nadałby się na jakąkolwiek wystawę. A władze lokalne naciskały na wyniki, chciały się pochwalić przed światem, przedłużenie koncesji zależało od sukcesu. Więc dopasowując różnorakie kostki, składając skorupki podobnych, choć różnych naczyń – uczeni zrekonstruowali nie tylko kompletne szkielety naszych przodków, ale także zastawę na której oni jedli – także siebie nawzajem. Oczywiście po rekonstrukcji liczba przodków i naczyń była niższa – ale byli jak żywi, nawet bardziej. Skondensowani. Prawdziwsi. Wystawa odniosła sukces, koncesję przedłużono.

Historyjkę tę wymyśliłem z dwóch powodów. Po pierwsze, by zastąpić nią narzucające się kolejny raz opowiadanie o doktorze ze śląskiego Frankensteina zlepiającym swojego „syna”, po drugie

– aby jednak przybliżyć czytelnikom trud autora piszącego o przeszłości i o własnym utworze. Parabola o archeologu nie ma może tej siły ekspresji, za to jest niemal wolna od tego drażniącego zapachu, który dokuczał już bohaterom książki.

W opowieści o szalonym generale i jego współpracownikach nie ma ani jednego oryginalnego i stuprocentowego nieboszczyka – a jednak wszystkie żebra, piszczele tudzież kawałki czaszki są autentyczne, pochodzą z tego samego czasu i miejsca, i co najważniejsze – pasują. Nawet serce – rozkładające się czy też nie do końca złożone, a przecież wciąż pulsujące. By jakiś organizm funkcjonował wystarczy, że pasują i współpracują najważniejsze części – dlatego mógł żyć i chodzić wśród ludzi uzbierany z cmentarza „syn” doktora von Frankensteina, dlatego także żyją i działają bohaterowie powieści.

Więc parę słów o źródłach, wykopaliskach i dawcach

Za Wyspiańskim zastosowałem podział na osoby (autentyczne) i osoby dramatu (fikcyjne).

Osoby autentyczne występują w epizodach, przebijają się z drugiego planu na pierwszy – migają na zebraniach Związku Literatów w Warszawie i w terenie, biorą udział w historycznych wydarzeniach – w Rewolucji Październikowej albo w lokalnej Magdalence. Tajni współpracownicy i „konsultanci” MSW – Wieczorkowski, Passent, Żuliński, Nawrocki, przez swoją autentyczność i autentyczność swych „zwierzeń” podnoszą wiarygodność nie tylko eseju o literaturze delatorskiej, ale całej powieści. W tle pojawiają się li-

terackie fotografie Schindlera czy Lenina – zbliżone do oryginałów na tyle, na ile fotografie zbliżają się do rzeczywistości. Ich obecność to rodzaj certyfikatu: owszem, znajdziecie tu trochę kombinacji, trochę wymyślonych uzupełnień, ale nie jest to *political fiction*, ta książka jest czymś więcej, jest czymś znacznie prawdziwszym.

Również cyfry i fakty, które podał kiedyś Miliukow, jak opisy zbrodni bolszewickich, są oparte na rzeczywistości.

Osoby dramatu to bohaterowie opowieści – Wiktor, „syn” Frankensteina, Szef, Laryssa czy Jan Krzysztof – rodem z Romain Rollanda. W kilku przypadkach niektóre z tych osób uzupełnione zostały fragmentami autentycznych „dawców”. Pozorną osobą dramatu jest filozof Franc Fiszer, którego, jak się okazuje, udawał współpracownik SB. Fiszer istniał, wyglądał tak, jak go opisałem, zmarł w 1937 roku.

Dla dopełnienia tej klasyfikacji muszę wspomnieć o typie, który mi się niejako przyplątał. Nazywał się naprawdę Heinrich Lang, był XIX-wiecznym teologiem, który próbował rozumem opanować zaświaty. Nie bardzo mu to wyszło. Zmarł mając 50 lat – według niektórych przekazów śmiercią samobójczą. Dlaczego przypomniał mi się, gdy wymyślałem pseudonim i losy swego bohatera – nie mam pojęcia. Nie jestem jednak teologiem i nie muszę się tym martwić

Czekista, który zmarnował wygraną na loterii biografii

Najpierw Narrator i bohater w jednej osobie. Wróć! W kilku osobach: Lang, Majchrzak, a na dnie ten z gadzim mózgiem – Majcher. Nim o nim powiem, chcę wykluczyć nasuwające się miłośnikom

naszych tajnych służb skojarzenia i oświadczyć, że powieściowy Majchrzak nie ma niczego wspólnego z pułkownikiem Aleksandrem Majchrzakiem, pseudonim „Lech”, który był między innymi rezydentem tajnych służb PRL w Londynie. To przypadkowa zbieżność nazwisk – niestety, w czasach PRL tylu było agentów, tylu etatowych i ochotniczych kapusiów, tylu tawulców, padalców i tasiemców, że takiej zbieżności nie da się uniknąć

Powieściowy Majcher – Majchrzak jest przede wszystkim „osobą dramatu”, podobnie jak Laryssa ma swego praprzodka w Fauście, jeszcze bardziej jednakże jest to doktor Frankenstein – wcielony w rzeczywistość PRL. Jednym z jego literackich wzorców jest także Mackie Majcher z *Opery za trzy grosze* – jak on, wspina się z dołów na warszawskie salony i na moskiewskie przedpokoje.

Oprócz korzeni literackich Majchrzak ma także i autentycznych „dawców”. „Szkielet” biografii w postaci przybliżonych dat życia i przebiegu kariery zawdzięcza autentycznemu esbekowi, Krzysztofowi Majchrowskiemu, który przez prawie lat 40 był „opiekunem” warszawskich pisarzy. W roku 1952 – młody, może nawet żywiący jakieś złudzenia referent UB, przez lata robił karierę (razem z moczarowcami – stąd jego niepoprawne poglądy) – szpiegując i szantażując środowisko literackie. Niestety – z Majchrowskiego nadawał się do wykorzystania tylko ten szkielet, co zagrażało powieści tym, że jej główny bohater będzie miał urodę szkieletu. Jego właściciel zmarnował otrzymane od losu możliwości, nie został demonem zła, mistrzem kłamstwa, asem kontrwywiadu. Prowadził banalne życie funkcjonariusza, awansował, dostał mieszkanie, zawarł mieszczański związek małżeński, świadomie i bez poczucia winy służył interesom sowieckich hegemonów – był żywym potwierdzeniem tezy o banalności zła. W Trzeciej Rzeczypospolitej został generałem, dyrektorem Departamentu Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa. Mało kto wie, że ów nazywający się

z amerykańska departament powstał na bazie osławionego Departamentu III, zwalczającego opozycję – tak w bazie, jak w nadbudowie.

Jako ciekawostkę odnotujmy, że w roku 2000 ów generał otrzymał ostatni i najwyższy awans: został „autorytetem moralnym” – świadkiem w jednym z najważniejszych procesów III RP. Chodziło o to, czy również i drugi z prezydentów odrodzonej Polski, Aleksander Kwaśniewski, był współpracownikiem komunistycznych służb, spotykał się z ruskim agentem. Generał w szczegółach przeważnie zasłaniał się brakiem pamięci, na ogół jednak zaświadczał o niewinności prezydenta. Ze względu na zły stan zdrowia zeznania pobierano u niego w domu, budziły one pewne wątpliwości i zapewne wymagały uzupełnień, te jednak niemal nazajutrz okazały się niemożliwe: bohater nasz popełnił samobójstwo, zostawiając banalny list pożegnalny.

I list, i zeznania, i okoliczności śmierci wywołały liczne wątpliwości, mówiono o depresji i szaleństwie, choć pojawiły się także pogłoski, jakoby został zamordowany. Właśnie żeby już więcej nie zeznawał. Wydobyto potrzebne informacje, zbędne – zniszczono z pojemnikiem. Generał miał wielu wrogów, wielu osobom złamał życie, więc pogłoski o zemście nie były nieuzasadnione. Również jego zeznania w sprawie Prezydenta RP wywołały całą falę plotek. Nie to co mówił, bo mówił to, co trzeba, lecz jak mówił. Podobno niby nie pamiętał, ale straszył, że może sobie coś przypomni, że może uzupełni zeznania.

Nie uzupełnił.

Biorąc pod uwagę skutki jego działalności, zwłaszcza w dziedzinie kultury generał był jednym z największych przestępców PRL. Pochowano go ostatecznie na Cmentarzu Północnym, pierwotny pomysł, by pogrzebać go na Wojskowych Powązkach wzbudził zbyt dużo protestów.

Dla „dopełnienia” tego chudego szkieletu musiałem dowiesić sporo „mięsa” i narządów pobranych od innych egzemplarzy tegoż ubeckiego gatunku. Dopełniłem więc kościec dodatkowo szczątkami Jerzego Borejszy i Antoniego Alstera. Pierwszy miał prócz zbrodniczych – także literackie skłonności, balował w ZLP i dbał o zabezpieczenie swych interesów w Moskwie; drugi był wysokiej rangi oprawcą z UB, przypisywano mu zlecenie morderstwa małego Piaseckiego; poza tym miał zdolności plastyczne, drzeworytnicze. Mówiono, że zaprojektował własny nagrobek. Pomyśl ten twórczo rozwinął powieściowy „generał Majcher” – reżyserując ostatnie sceny swego życia i projektując życiorysy swoich ofiar. „Metoda pisarska” Langa, polegająca na wykorzystywaniu cudzych materiałów jest autentycznym wynalazkiem esbeckiego nadzorcy pisarzy. Sam generał nie odniósł z jej pomocą sukcesów, tyle że wydrukował kilka książek i artykułów. Dodam, że jego wypowiedzi, choć czasem tendencyjne (antysemityzm, antyklerykalizm) i zawierające pomyłki, nie przekazują kłamstw, jeśli chodzi o historyczne zdarzenia. Błędy pojawiają się w jego komentarzach, co wynika z zastępowania wiedzy propagandową papką. Przykładowo: ani Bierut nie był synem Hempla, ani Hempel Żydem. Ten ostatni był przedstawicielem radykalnej młodzieży szlacheckiej, podobnie jak Piłsudski, Dzierżyński czy Abramowski (też zresztą propagator spółdzielczości) – wygłaszane przez generała bzdury służą autokompromitacji. Nie jest natomiast wymysłem opis rewolucji bolszewickiej, nie mijają się z prawdą opowieści o Piaseckim czy o Bąku, jest też faktem, że Jaruzelski pozostawał sowieckim sługusem do końca PRL, a nawet dłużej. Znane są rozmowy generała z kwietnia 1990 z kremlowskimi emisariuszami, podczas których określił zmiany jako tymczasową porażkę (słynne „dziś przegraliśmy”) i prosił o wsparcie dla partii Millera i Kwaśniewskiego. Jak to nazwać jeśli nie spiskiem przeciw własnemu państwu?

Szczegóły dotyczące „moskiewskiej pożyczki” dotyczą autentycznej afery ze stycznia 1990, „bratnia pomoc” KPZR dla polskich komunistów wyniosła co najmniej 1,2 mln dolarów oraz 500 mln złotych. W tym samym czasie z budżetu państwa aktywiści partyjni różnymi sposobami wyprowadzili co najmniej 5 mld złotych. To tylko parę znanych cyfr z czasów „uwłaszczania nomenklatury”, czubek góry lodowej.

Najohydniejsza zbrodnia Polski Ludowej

Afery i zbrodnie, w których uczestniczy SB-man „Majcher”, to w większości wydarzenia z historii PRL; każdy jego autentyczny pierwowzór mógł w większości wziąć udział, a już na pewno musiał o nich wiedzieć. Dotyczy to także zbrodni – jedne z nich popełniano jawnie, nawet na postrach, prawdę o innych odkrywano latami – i nie zawsze do końca. Tak było w przypadku najohydniejszej zbrodni PRL – morderstwa Bohdana Piaseckiego. Wersja podana czytelnikom przez bohatera książki jest zgodna z dzisiejszym stanem wiedzy. Nadal znamy grupę zbrodniarzy – nie znamy nazwiska konkretnego mordercy bądź morderców. Chłopca zabito, by natychmiast pozbyć się problemu i rozpoczęto polowanie na ojca – a wszystko pod osłoną zbrodniczego Ministerstwa Bezpieczeństwa. Mordercy nie docenili faktu, iż szef PAX-u, udając naiwnego, od początku wciągnie do akcji milicję a jednocześnie posłuży się własną ochroną złożoną z niedawnych partyzantów AK. Poza tym zbrodniarzom palił się już grunt pod nogami, grupa była w trakcie ewakuacji do Izraela.

Mordercy Bohdana Piaseckiego – z wyjątkiem Ekerlinga – żyli długo i szczęśliwie w Izraelu. Ekerling żył długo i szczęśliwie

w Polsce jako tłusto uposażony emeryt. Alster zmarł nie niepokojony w 1968 roku jako szczęśliwy emeryt, pogłosek o jego udziale w zbrodni nie próbowano weryfikować. Bojąc się zarzutu antysemityzmu władze III RP również do zbrodni na małym Piaseckim nie wracały, zlecniodawców morderstwa nie zdołano ustalić – plotek o zaangażowaniu Alstera w tę zbrodnię ani nie zweryfikowano, ani nie sfalsyfikowano. Nawet ich specjalnie nie tępiono – poczekano aż same ucichną. Śledztwo w sprawie morderstwa Bohdana ostatecznie wygasił Jaruzelski. Rasizm nie wygasł, tylko działa w inną stronę.

Polski Hiob

Jeśli chodzi o sprawę „polskiego Hioba”, czyli Wojciecha Bąka, oparta jest na dokumentach; jego śmierć (30 kwietnia 1961 w Poznaniu) do dziś budzi wątpliwości. Nagonka na poetę odbywała się pod dyktando UB, ale wzięli w niej ochoczy udział tacy pisarze jak Kogut, Fornalczyk czy Rospendowski, a także dyspozycyjni lekarze Barańczak i Bielawski. I był też dr Edwin Herbert, który udziału w zbrodniczej nagonce odmówił. Magia nazwiska?

Pierwszą opowieść o Bąku zawdzięczałem poznańskiej poetce Łucji Danielewskiej, która dyskretnie pomagała poecie. Wiedza o Bąku była wówczas niemal wiedzą tajemną, publikatory krajowe wymazywały poetę z polskiej pamięci. Istniał tylko w specjalistycznych leksykonach i w paru ulotnych drukach wydanych w rodzinnym Ostrowie Wielkopolskim. Dopiero w 1993 przypomniał o nim Józef Ratajczak – w „Kulturze” paryskiej; w tym samym roku Piotr Kuncewicz napisał o Bąku w swej tyleż pomnikowej, co przemilczanej historii literatury; dwa lata później poświęcił mu

duże hasło w leksykonie. W obu tekstach za pewnik przyjmował samobójstwo poety. W roku 2002 upomniął się o Bąka w „Rzeczpospolitej” Krzysztof Masłoń – w poruszającym tekście *Nic prócz rękopisów nie wezmę*; w 2005 Joanna Siedlecka poświęciła sprawie Bąka pierwszy rozdział znakomitej *Oblawy*, wzbogaconej kopiami dokumentów. W konkluzji autorka dopuściła możliwość otrucia poety.

Od tej pory stan wiedzy o losach Wojciecha Bąka się nie zmienia. Za samobójstwem przemawia fakt, że byłaby to kolejna tego rodzaju próba – za wersją Siedleckiej fakt, iż byłoby to kolejne morderstwo popełnione przez komunistów.

Księżna Zajączek – wcielenie II poprawione

Laryssa – wbrew imieniu – nie ma niczego wspólnego z bohaterką *Doktora Żiwago*. W planie archetypicznym jest trochę Małgorzatą z *Fausta*, a trochę bohaterką teatralnej adaptacji powieści Mary Shelley. (Jako autor tej adaptacji mam do niej trochę praw ojcowskich). W planie rzeczywistym postać ta również miała swój pierwowzór. Najstarsi warszawscy literaci, jeśli im pamięć dopisuje, poznają ją po skandalach i po ogromnym kapeluszu, młodszym – nawet jej nazwisko nic nie powie. Zaskoczę ich jednak informacją, że była ona starsza od ubeka nadzorującego literatów (w tym i ja!) o ponad ćwierć wieku. Zdążył ją poznać Witkacy, czy może ona jego – w każdym razie dokładnie. Po którejś z upojnych nocy Witkacy określił ją jako *św. Teresę zmieszaną pół na pół z żydowską sadystką, mordującą w kokainowym podnieceniu białogwardyjskich oficerów*. Po wojnie nadal szalała w kulturze, wylansowała nie tylko modę na swe ogromne kapelusze (jedyne po tej stronie żelaznej

kurtyny!), ale też modę na Ociepkę, jako polskiego Rousseau Celnika. Za aprobatą samego Jakuba Bermana założyła jedyny w PRL „opozycyjny” salon literacki, który z czasem przemienił się w Klub Krzywego Koła, którym zajął się potem inny typ związany ze służbami – Juliusz Garztecki. Warto o tym pamiętać, by wiedzieć dlaczego słowo „salon” bywa dziś wymawiane ironicznie. Salon pani Laryssy nie był romantycznym salonem, ani nawet salonem z II części „Dziadów”... Z racji, iż wyglądała niezwykle młodo, Laryssa wkręcała się w kontestujące grupy literackie, nawet studenckie. Porównywano ją do legendarnej generałowej Zajączkowej, która zbliżając się do dziewięćdziesiątki zaliczyła wielu młodych dziennikarzy i podchorążych, natychajac ich przy okazji patriotycznym wigorem. Szczyt patriotycznej działalności pani namiestnikowej przypadał na dni Powstania Listopadowego (księżna Aleksandra Zajączek urodziła się najpóźniej w 1754 roku). Balzac, który poznał ją w 1836 roku dawał jej lat 35 – stąd jego słynne określenie wieku balzakowskiego, to znaczy atrakcyjnego dla Balzaca. Ponieważ jednak dzisiaj uznanoby autentyczną Laryssę za postać zmyśloną – dla uprawdopodobnienia powieści znacznie obniżyłem jej wiek. Wykorzystałem przy okazji werbunkową historię innej, młodszej wielokrotnie agentki. Ta młodsza Laryssa podpisała z ubecją coś w rodzaju feministycznego paktu Fausta z diabłem. W zamian za współpracę została odmłodzona o sporą liczbę lat, dostała nowy dowód i stały paszport. Ale... Prawdziwy Faust zawierał pakt z prawdziwym diabłem, został naprawdę odmłodzony. Laryssa zawierała pakt z diabłem mizernym, karykaturalnym, z urzędnikiem bezpieczeństwa. Więc i ta dana jej młodość była oszukana, karykaturalna, istniała tylko w papierach. Tak naprawdę to przedłużono jej tylko starość. Laryssa zmarła w czasach Gomułki, przed śmiercią nawet przypominała go urodą. Jakie czasy, taki szatan i takie jego możliwości.

Nie tylko trzech wieszczów socjalizmu

„Trzej wieszcz” realnego socjalizmu – Kubiak, Śpiewak i Heller – to stwory zlepione z kawałków lansowanych kiedyś „trzech wieszczów” socjalizmu, autorów wspólnej Wiosny *Sześciolatki* – i na tym ich archetypiczny rodowód się wyczerpuje. W przygodach powieściowych bohaterów nie wykorzystywałem elementów biografii Woroszylskiego, Brauna i Mandaliana, zamiast tego wykorzystałem akta kilku poetów młodszych, lecz równie, a może bardziej upodlonych. Żaden z opisanych trzech wieszczów nie jest więc autentyczny – żadna z opisanych podłości nie została zmyślona.

„Polski Kain” Czesław Białowąs zmarł w grudniu 1981 roku. Był postacią publiczną, przelotnie – bohaterem mediów. Opisałem jego losy po raz pierwszy w „Niezależnej Gazecie Polskiej” (nr 4/2006), następnie wykorzystałem w dramacie *Boruta*. Dramat był już dwukrotnie drukowany – w „Arcanach” (2007) i w zbiorze *Mochnacki. Sny o ojczyźnie* – ani razu jednak nie był wystawiony. W 2009 roku telewizja wyemitowała dokument „Tajny współpracownik”, w dyskusji i reklamie, które tej emisji towarzyszyły na równi z telewizyjnym „Białasem” padało nazwisko Białowąsa, przytaczane też były cytowane przeze mnie dokumenty. W tej sytuacji kamuflowanie nazwiska poety donosiciela nie miało i nie ma sensu. Autentyczny Białowąs zmarł 16 grudnia 1981 roku, trzy dni wcześniej we wrocławskim szpitalu cieszył się z wraz z towarzyszami z resortu z wprowadzenia stanu wojennego. Fragmenty jego wierszy cytowane według tomiku wydanego w czasach stalinowskich, deklaracja współpracy Białowąsa z 26 marca 1950 – autentyczna, skopiowana z zachowanych w IPN akt UB.

Romeo i Julia z PRL zachowali imiona, przekształciłem ich nazwiska i losy i – dla potrzeb powieści – trochę ich odmłodziłem.

Para autentycznych pierwowzorów – Zbigniew Wójcik i Zofia Marcinkowska – zginęła mniej więcej tak, jak zostało to opisane – w Krakowie, w roku 1963. Oboje byli aktorami i trochę „poezjowali”. Zofia Marcinkowska (rocznik 1940) była jedną z najpiękniejszych polskich aktorek, błysnęła w *Lunatykach* Poręby i *Nikt nie woła Kutza*; zawodowo grała w Teatrze Starym, podobnie jak jej partner. Umarła, popełniając samobójstwo. Historię tej pary poznałem jako jedną z legend tego teatru, gdy konsultowałem tam premierę moich *Białych ogrodów*. Przypuszczenie o nękanii aktora przez SB było domysłem jednego z „opowiadaczy” (bodaj dyr. J.P. Gawlika), z tego co wiemy o ogólnej sytuacji – bardzo prawdopodobnym. Odkrytym po latach tajnym informatorem z grona aktorów był według akt IPN niejaki Sykutera – późniejszy dyrektor teatrów w Legnicy i w Nowej Hucie. Fragmenty jego donosów dowodzące kontaktów ze służbami cytowałem przy okazji wydania dramatów *Mochnecki. Sny o ojczyźnie* i w *Pierścieniu Gygesa*, pochodziły one z lat 70. Sprawę jego kontaktów z SB w innych latach i donosów na innych twórców pozostawiam innym badaczom.

Bohaterem afery „Melluda” był jeden z warszawskich poetów. Formalnie nie był tewulcem, lecz pisywał wiersze ku czci KBW i UB, zachwycał się uśmiechem Stalina. Poza tym niczym ważnym w literaturze się nie zapisał, oddałem więc kawałki jego życiorysu komu innemu.

Działalność filozofa, prof. Janusza Kuczyńskiego, jego młodzieńcza walka w oddziale Hedy „Szarego” – są zgodne z historią. Łącznie z bezpieczniacką adnotacją zarzucającą mu zabicie 50 komunistów. Z faktu, że adnotacja jest autentyczna nie wynika, że sam zarzut odpowiada prawdzie, przypuszczam, że chodziło

o udział w bitwach, w których padło w sumie 50 ubeków i enkawudzystów. Prócz stopnia naukowego Kuczyński ma oficerski. Esbecja rozpracowywała uczestników organizowanych przez niego zjazdów filozofów w Kazimierzu, podejrzewając – i słusznie – że stanowią legalną przykrywkę dla opozycyjnej działalności.

Wspominam o tym, by czytelnik nie mylił go na przykład z nagłaśnianym przez media III RP Waldemarem Kuczyńskim – aktywistą PZPR, reżimowym ZMS-owcem (który źle się zapisał w pamięci studentów z Kickiego!) a także partyjniakiem-kuroniowcem. „W. Kuczyński” – trzeba mu to oddać – był za swe przekonania aresztowany w marcu 1968 i internowany w grudniu 1981. Jego życie to gotowy materiał na powieść o młodym buntowniku, który został służalczym wiceministrem – lecz nie ją napiszę.

Popiełuszko czasów bierutowskich

Ksiądz Jan Szczepański został zamordowany przez UB w sierpniu 1948, w sposób podany w opowieści. Miał lat 58. Był jedną z wielu ofiar władz komunistycznych. Według dokumentacji zebranej przez ks. Zygmunta Wichrowskiego, do roku 1953 zamordowano w PRL 37 księży i 54 zakonników. Do śmierci Szczepańskiego przyczyniło się kilku donosicieli, mordercami byli funkcjonariusz UB z Lubartowa i okoliczny aktywista PPR. Milicja i służba bezpieczeństwa z powodzeniem zamataczyły sprawę, próbowały zbrodnią obciążyć antykomunistycznych partyzantów „Żelaznego”, a nawet świadków Jehowy. Sprawę umorzono już w listopadzie 1948, w lipcu 1971 akta zniszczono. W roku 1952 mieszkańcy Brzeźnicy ufundowali dzwon o wadze 341 kg i nazwali go „Ksiądz Jan Szczepański”.

Źródła nieco cuchnące

W kilku miejscach użyłem dosłownych lub przerobionych cytatów. Fragment wydanej w 1949 rozprawki Lenina brzmiał następująco:

Nauka Marksa jest wszechmocna, ponieważ jest słuszna. Jest pełna i harmonijna, daje ludziom jednolity światopogląd, nie godzący się z żadnymi przesądami, z żadną reakcją, z żadną obroną ucisku burżuazyjnego. Jest ona prawowitym spadkobiercą tego, co ludzkość stworzyła najlepszego w XIX wieku w postaci niemieckiej filozofii, angielskiej ekonomii politycznej, francuskiego socjalizmu.

Jak widać, nie wymagał zbyt wielu przeróbek, by jego głupota za-błysnęła pełnym światłem.

W fikcyjną obronę Judasza przez Lewego na fikcyjnej gali ZLP wplotłem fragment wystąpienia posła PO Arkadego Radosław Fiedlera na posiedzeniu Sejmu RP V kadencji – 25 kwietnia 2006. Projudaszowa doktryna była bowiem nagłaśniana nie tylko w „Gazecie Wyborczej”, ale nawet w Sejmie RP – mniejsza z tym, czy poważnie, czy tylko z poważną miną a na złość katolikom. We wstępie do poetyki donosu zacytowałem autentyczne fragmenty przemówienia posła Michała Ujazdowskiego – 31 stycznia 1992 roku. Przytoczone wyniki głosowania zostały podane przez Sejm.

W kilku miejscach, dla ubarwienia tekstu autentyczną poetyką tamtych lat zacytowałem odnotowane przez SB a zachowane w IPN fragmenty „doniesień” z donosów pisanych lub odtwarzanych „ze słów”: Leszka Żulińskiego (TW Jan, TW Literat), Aleksandra Nawrockiego (KO/konsultant „AN”/ „Aleksander”), Leopolda Lewina („LL”) i innych. Pełniejsze cytaty i dokładniejszy opis działalności tych tajnych przyjaciół SB przywołane zostały w mojej dokumentalnej pracy *Pierścień Gygesa* pisanej po części w ramach planu badawczego „SB a środowisko młodoliterackie”.

Powieść jest dla nich bardziej wyrozumiała niż fakty, najbardziej oskarżają ich własne słowa.

Powieściowa „Operacja Nostalgia” łączy wątki dwóch podobnych antyemigracyjnych akcji Żulińskiego – próbę ściągnięcia z Anglii Antoniego Nowaka i rozpracowywanie „marcowego Żyda” Aleksandra Zorkrota. Wobec obu tych „figurantów” Żuliński odgrywał podsuniętą przez SB rolę „przyjaciela z młodości”. Cytaty wyjęte są z donosów zachowanych w IPN (BU 00 200/8), wykorzystywałem je już w dokumentalnym *Pierścieniu Gygesa*. Donos na temat antyradzieckich piosenek pochodzi z okresu wcześniejszego, gdy Żuliński rozpracowywał grupy młodoliterackie i dotyczy wystąpień Tadeusza Witkowskiego. Witkowski „w trakcie spotkania wykonuje piosenki o tematyce politycznej (Okudźawy, Wysockiego)” a także „łagier-nyje, antyradzieckie, antystalinowskie, polskie, sławiące przywiązanie do Lwowa i Wilna” – raportował „Jan”. Donosy Żulińskiego miały wartość źródłową – po informacjach o warszawskich spotkaniach zaproszonego przyjaciela i o sprzedaży waluty podaje niemal z dumą: *z tego zwierzył mi się Zorkrot osobiście*.

Leszek Żuliński (1949, TW „Jan”, TW „Literat”), który wzbogacił IPN o zbiór liczący co najmniej 270 stron donosów i komentarzy, zarejestrowany został pod numerem 39 849 w listopadzie 1974; Andrzej Zaniewski (1939, TW „Orłowski”) pozyskany został 14.04.1971. Obydwaj wierni do końca, wyrejestrowani zostali dopiero w 1990 roku.

Nieco inna była sytuacja Aleksandra Nawrockiego, który w tej hierarchii zajmował wyższą (głębszą?) pozycję. W aktach SB występuje nie tylko jako Kontakt Operacyjny, ale zostaje formalnie zarejestrowany (nr rej. 68 706)⁴ jako Konsultant Wydziału IV

⁴ Trochę problemów jest z Nawrockim. Fakt, iż na początku powieści został wymieniony wśród poetów opozycyjnych nie jest wynikiem pomyłki.

Departamentu III MSW. Pierwsze oralne wyznania złożył ppłk Edwardowi Leśniewskiemu 5 stycznia 1982. MSW zrezygnowało z jego usług 26 lipca 1989, co odnotowano pod numerem 22 464. Po drodze został trochę w delatorskiej hierarchii zdegradowany – po podpułkowniku Leśniewskim prowadził go ppor. Ryszard Mulik i kpt. Edward Jurewicz.

Daniel Passent (1938) ma w tej chwili trzy znane teczki oznaczone numerami

00 2082/ 151, 002086/ 385 i 01434/ 364 – ich zawartość przedstawiłem dokładniej w obydwu wydaniach *Pierścienia Gygesa* (2013, 2015). Oprócz jego donosów – są w teczkach donosy na niego. Karierę zaczynał jako KP (Kontakt Poufny) „Daniel” (pozyskany do współpracy 4.I.1961), w 1964 awansował do rangi Tajnego Współpracownika, w związku z czym otrzymał ksywę „John”. Kontakty operacyjne zawieszono z nim w 1976, czy kiedykolwiek odwieszono – dokumentacja milczy. Podobnie jak Nawrocki miał kilku oficerów prowadzących.

Ryszard Kapuściński (1932) figuruje w 1965 w aktach MSW jako Kontakt Informacyjny „Poeta”, następnie jako „Vera Cruz”. Współpracę agenturalną przerwano, w 1972 wznowiono – brak dokumentacji na jak długo. Oficerami prowadzącymi byli Eugeniusz Spyra i Henryk Sobieski, z tym drugim przyjaźnił się do 1989 roku. Do tego roku należał do PZPR, odmawiał też kolegom pisania do nielegalnego „Tygodnika Mazowsze”.

Historia Wieczorkowskiego ps. „Dingo” opisana została za dokumentacją IPN (BU 1043/3674), relacjonowałem ją w *Pierścieniu Gygesa*, gdzie przytaczam więcej dokumentów i nazwisk. Tekst

W młodości Nawrocki wziął udział w kilku opozycyjnych spotkaniach, nie donosił na kolegów i współpracowników, nie dostawał od bezpieki paczek delikatesowych etc. To samo dotyczy Barbary Kmicic, która gdy Barańczak był po stronie partii – była po stronie opozycji. Potem zamienili się miejscami.

zobowiązania Wieczorkowskiego również znajduje się w tych aktach. Zawerbował go 15.12.1981 roku i przez długi czas zadaniował (ale i załatwił nagrody w gotówce i płynie) wspomniany w powieści mjr Piotr Kozłowski. Z akt wynika, że wspomniana wysoka dotacja finansowa stanowiła zapłatę za analizę środowiska literackiego Warszawy (poglądy, zaangażowanie w ruch Solidarności itp.) i rodzaj zachęty na przyszłość. Opowieść o zmuszaniu kelnerów do śpiewu przypisywana była kilku literatom, między innymi Gerłowskiemu, Herbertowi i Himilbachowi.

Opisy sesji wyjazdowych tylko częściowo wykorzystują znaną dokumentację. Moskiewska kursokonferencja jest echem różnych narad. W dniach 26 – 30 czerwca 1989 odbyła się narada szefów Wywiadu Naukowo Technicznego, w której ze strony polskiej uczestniczyli między innymi pułkownicy Henryk Jasik i Włodzimierz Soszyński, wcześniej, bo 12–14 marca 1985 – I Zarząd Główny Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego zorganizował konferencję roboczą w dziedzinie chemii i farmacji.

Spotkanie, które umiejscowiłem w Dubrowniku w rzeczywistości odbyło się w Pradze i miało zupełnie inny przebieg.

Szpicel i handlarz śmiercią, czyli wzór moralny dla lemingów

Dopowiedzeń i badań wymaga legenda Oskara Schindlera – hitlerowca, „aryzatora” żydowskiego przemysłu i fabrykanta śmierci. Jest faktem, że był szpiegiem i agentem Abwehry – zachowały się materiały sądowe. W Czechach został schwytany i skazany na karę śmierci, potem uwolniony przez Niemców – ta sprawa jest powszechnie znana. Mniej znana jest działalność przeciwpolska. Jeszcze przed

wojną Schindler nawiązywał szpiegowskie kontakty, między innymi z krakowskim handlarzem Simomem Jeretem, który stanowił jego cenny kontakt informacyjny (nie jest pewne na ile świadomy). Jeret został podczas okupacji jednym z tak zwanych Schindlerjuden. Zarzucano też Schindlerowi, że załatwiał zwalnianie Żydów za pieniądze, potem często gościł ich u siebie, próbował werbować, a często pisał na nich raporty. Zachowane na ten temat informacje świadka („Hana C.”) wymagają weryfikacji i potwierdzenia z innych źródeł.

O konieczności weryfikacji przychylnych i nieprzychylnych dla Schindlera pogłoszek przekonuje zresztą więcej spraw. Na przykład kilkakrotnie powtarzane twierdzenie, iż Schindler otrzymał złotą odznakę NSDAP (*Das Goldene Ehrenzeichen der NSDAP*) wydaje się oparte na pomyłce. Odznakę taką dostawali bądź zasłużeni „towarzysze broni” (do 100 000 numeru legitymacji) bądź przyznawał ją Hitler „za zasługi dla Narodu i Rzeszy”. Taki fakt nie został odnotowany w legitymacji partyjnej Schindlera (numer 6 421 477)⁵.

Prócz relacji o udziale w prowokacji gliwickiej (opartej na wspomnieniach żony, która mówiła o zakupie polskich mundurów), warto odnotować konkurencyjną relację czeskiego badacza Mečislava Boráka, według której Schindler nie przygotowywał tej akcji. Zaangażowany był w innej: organizował przerzut broni dla dywersantów niemieckich w Polsce i brał udział w przygotowywaniu takich akcji jak obsadzenie tunelu w Mostach koło Jabłonkowa nocą na 26 sierpnia 1939. O wysokiej randze Schindlera w hitlerowskim aparacie władzy świadczy fakt, że dopuszczany był do różnych tajnych przedsięwzięć. Między innymi jeździł do Budapesztu na rozmowy z dr Rudolfem Kastnerem i do Turcji, gdzie

⁵ Jako członek mniejszości niemieckiej w Czechosłowacji Oskar Schindler formalnie był członkiem *Sudetendeutsche Partei* (SdP) do momentu jej rozwiązania 1 listopada 1938. Przepisanie do NSDAP nie następowało automatycznie, wymagało osobnego zgłoszenia a hitlerowcy prowadzili ostrą selekcję pozbywając się elementów konkurencyjnych, np. z *Kameradschaftsbundu*. Oczywiście Schindler został przyjęty bez zastrzeżeń.

prawdopodobnie z polecenia Himmlera prowadził jakieś poufne rozmowy. Na ten temat zachowały się niestety jedynie hipotezy.

Kilka kropek nad i

Bohater powieści jest nie tyle samoukiem, co esbekiem wykształconym przez najlepszych polskich intelektualistów donosicieli. Werbowani byli w różnych sferach, stąd i jego informacje są różnorodne, czasem zaskakujące, a zawsze chaotyczne. W pewnym momencie wspomina nepalską świątynię Nyatapola. Jest takich kilka, więc uściślam, że generał wspomina tę stojącą na placu Taumadhi w Bhaktapurze. Świątynia Nyatapola została zbudowana (podobno w ciągu 5 miesięcy 1701/1702 roku) przez króla Bhupatindrę Malę, mierzy ponad 30 metrów wysokości. Nazwa jej znaczy tyle, co „pięciostopniowa” (Nyata = pięć) stoi ona na pięciostopniowym postumencie a zwieńczona jest pięcioma dachami. Pilnuje jej pięć par strażników – każda następna para jest dziesięciokrotnie silniejsza od poprzedniej. Pierwszą stanowią legendarni zapaśnicy – z królewskiego rodu Mallów: Jaya Malla i Patha Malla – każdy z nich miał podobno siłę dziesięciu ludzi. Nad nimi stoją słonie, lwy i gryfy oraz Baghini i Singhini – boginie pod postaciami tygrysa i lwa. Centrum mocy znajduje się wewnątrz świątyni poświęconej bogini Lakszmi⁶. Trudno wykluczyć, iż jest tak rzeczywiście: od wybudowania świątyni do centrum nie wolno wchodzić, nie wiadomo co ono skrywa...

Nawet po przeczytaniu tych lapidarnych informacji czytelnik może zastosować transfer i stworzyć takie „wielodachowe” dzieło, o jakim myślał przed śmiercią ambitny generał.

I na koniec sprawa formalna, lecz nie tylko: brzmiące autentycz-

⁶ Czteroręka bogini szczęścia, piękna i bogactwa, żona Wisznu i matka boga miłości – Kamy.

nie nazwiska literatów donosicieli oznaczają – odwołując się znów do Wyspiańskiego – osoby. Autentyczne i historyczne, a nie wymyślane dla dramatu. Tu nie ma żadnej fikcji i „przypadkowej zbieżności”, autor chciał o nich napisać, nie krył ich pod pseudonimami i nie ma zamiaru przeproszać za ich kolaborację z SB. To oni powinni się wstydzić, uczciwe rodziny takich po prostu skreślają – chyba że chcą korzystać z owoców ich donosicielstwa, z efektów zaszczuwania przez nich ludzi uczciwych, jednym słowem: z owoców zdrady. Ale wtedy niech nie mówią o uczciwości, naruszaniu dóbr i szarganiu dobrego imienia. Dobre imię trzeba najpierw mieć. Jeśli więc przy czymkolwiek nazwisku znajduje się pseudonim Tajnego Współpracownika – znaczy to, że zostali umieszczeni w zasobach IPN jako tajni współpracownicy, konsultanci – jako konsultanci i że nosili takie właśnie pseudonimy. Dotyczy to całej grupy występującej na zebraniach ZLP i SPP a więc: TW „33” – Koźniewski, TW „John” – Passent, „Andrzej” – Kuśniewicz, „Vera Cruz” – Kapuś-ciński, „X” – Kurylak, „Dingo” – Wieczorkowski, „Literat” – Stiller, „Senator” – Toeplitz, „Pedagog” – Garlicki, „Aleksander” – Nawrocki, „Oda” – Odojewski, „Redaktor” – Minkowski, „Eden” – Rywin, „Gapień” – Walczak, „Orłowski” – Zaniewski, „Znak” – Boni etc., etc. Fragmenty donosów przytoczonych w książce – ujawnione przez IPN jako jawne, jeżeli nie zostały przypisane autorom, to postaciom fikcyjnym, nigdy jednakże innym autentycznym podmiotom. Nie jest więc tak, że któremukolwiek z literatów przypisano nie jego donos.

Jeśli niektóre postacie wydają się bardziej żywe od pozostałych, to dlatego, że nie wszyscy pisarze służący jako budulec byli do końca martwi. Ale trudno – mnie też czas już goni.

Autor

PS. Nie będę zgłaszał sprzeciwu, jeśli i moje części zostaną wykorzystane.

Dubrownik 2010, Warszawa 2012